

KAROL MAY

Spadkobiercy Winnetou

Tytuł oryginału
WINNETOUS ERBEN

Przekład
Andrzej Czarnocki

Wydanie I
Wydawnictwo MARBA CROWN LTD.
Warszawa 1991

Był śliczny, ciepły, obiecujący poranek. Przez okno wpadł do mojego pokoju jasny promień słońca, jakby z pozdrowieniem “Szczęść Boże”. Z parteru weszła do mnie na górę moje Serduszko niosąc poranną pocztę, którą przed chwilą zostawił listonosz. Usiadła naprzeciw mnie, tak jak wielokroć w ciągu dnia i zabrała się do otwierania kopert, by na głos przeczytać mi dzisiejszą porcję listów. Zanim jednak zacznę, odpowiem na pytanie, które zdaje się słyszeć z wielu ust: “Kto to jest Serduszko? Tak się nikt nie nazywa. To musi być jakieś pieszczotliwe przezwisko.”

Owszem, jest to pieszczotliwe przezwisko. Pochodzi z pierwszego tomu moich *Wiejskich opowieści z Harcu*. Jest tam taki “wzorcowy” wyimaginowany krajobraz — górki, wioska i domek w ogródku. W domku mieszka “Serduszko” ze swoją matką. To “Serduszko” jest, przynajmniej pod względem duchowym, wiernym odbiciem mojej żony. Ponieważ zaś ów sobowtór stał mi się podczas pracy nad nim na tyle bliski, że zyskał pieszczotliwie miano “Serduszka”, samo przez się jest zrozumiałe, że z czasem przeniosło się ono na oryginał. Nie jest to jednak imię na każdą okazję! Kiedy niebo zaciąga się chmurami, czemu zresztą zawsze ja tylko jestem winien, nazywam żonę “Klarą”. Kiedy chmury ustępują — “Klareczką”. Gdy zaś niebo znowu jest czyste, wraca Serduszko. Do mnie żona zwraca się zawsze “Serduszko”, bo nigdy sama nie sprowadza chmur.

Na piętrze są moje pokoje, do niej należy parter. Tam króluje niczym niezmordowany anioł codziennej krzątania, przyjmuje coraz częściej odwiedzających mnie moich czytelników i odpowiada na liczne listy, którymi nie mogę się zająć osobiście. Czyta mi je jednak wszystkie, przy czym ma zwyczaj najważniejsze odkładać na koniec.

Tak jak dzisiaj. Na sam koniec pozostawione zostały dwie rzeczy, które oboje od razu uznaliśmy za niezwykle, mianowicie list z Ameryki i austriackie pismo antropologiczne. W tym ostatnim uwagę zwracał podkreślony na niebiesko tytuł sporego artykułu: *Wymieranie rasy indiańskiej w Ameryce oraz jej brutalne wypieranie przez ludy kaukaskie i Chińczyków*. Ponieważ miałem, jak nigdy, trochę czasu, poprosiłem zaraz “Serduszko” o przeczytanie mi tego artykułu. Autorem była osobistość szeroko znana i wybitna — profesor uniwersytetu. Pisał z wielkim zaangażowaniem, a wszystko, co miał do powiedzenia o “czerwonoskórych” nie tylko dowodziło sympatii, jaką do nich żywił, ale było ze wszech miar słuszne. Za ten artykuł chętnie uściskałbym mu rękę.

List z Ameryki najprawdopodobniej nadany został gdzieś na “Dalekim Zachodzie”, gdzie jednak — tego z koperty nie dało się odczytać. Po obydwu jej stronach widniało tyle stempli i odręcznie napisanych nazw miejscowości, że całość stała się zupełnie nieczytelna. Wyrazistość, pewnie ze względu na swoją istic indiańską zwięzłość, zachował tylko adres. Składał się on z trzech słów i brzmiał: *May Radebeul. Germany*.

W kopercie był kawałek papieru, który najwyraźniej najpierw ucięty został dużym nożem — pewnie jakimś *bowie knife*¹ a potem poskładany. Zawierał kilka linijek angielskiego tekstu, napisanych ołówkiem, ciężką, niewprawną ręką:

Do Old Shatterhanda.

Czy przyjeżdżasz na Górę Winnemu? Ja będę tam na pewno. Być może także Awat-Nija, stuletni. Czy widzisz, że umiem pisać? I że piszę w języku białych twarzy?

Wagare-Tej

Wódz Szoszonów.

Spojrzeliliśmy na siebie oboje zaskoczeni. Nie to mnie dziwiło, że dostałem list z

¹ *bowie knife* - potężny nóż myśliwski z krótką rękojeścią i zabezpieczeniem ręki - (przyp. tłum.).

dalekiego Zachodu, nie to nawet, że od Indianina. Takie listy przychodziły nierzadko. Zdumiało mnie, że ten list przysłał ktoś, kto jeszcze nigdy do mnie nie pisał — wódz Indian-Wężów. Jego imię — Wagare-Tej — tłumaczy się mniej więcej jako Żółty Jeleń. Proponuję przeczytać o nim w mojej książce zatytułowanej *Boże Narodzenie*. Wówczas, a więc przed ponad trzydziestu laty, był jeszcze człowiekiem młodym i dość niedoświadczonym, ale dobrym i uczciwym, a nam — mnie i Winnetou — wiernym i pewnym przyjacielem. Jego ojciec Awat-Nija liczył sobie wtedy ponad sześćdziesiąt lat, był człowiekiem honoru, a swoich ogromnych wpływów używał zawsze ku naszej korzyści. Jego podeszły wiek oraz fakt, że nigdy więcej już o nim nie słyszałem, skłoniły mnie do uznania go za umarłego. Oto jednak dowadywałem się, że żyje, i tak fizycznie, jak duchowo jest w dobrej formie. Gdyby bowiem było inaczej autor listu nie mógłby napisać, że najwyższy rangą wódz Szoszonów być może uda się z nim na Górę Winnetou.

Prawdę powiedziawszy nie miałem najmniejszego pojęcia, gdzie się ta góra znajduje. Wiedziałem tylko, że Apacze wraz z zaprzyjaźnionymi plemionami nosili się z zamiarem nazwania imieniem swego najukochańszego wodza jakiegoś wyróżniającego się położeniem, specyfiką i znaczeniem szczytu. O tym, że już do tego doszło dotychczas nie słyszałem, jeszcze mniej wiadomo mi było na temat wyboru jakiego dokonali. Przypuszczać mogłem jedynie, że góra ta nie może leżeć poza granicami obszaru, po którym poruszają się Apacze. A ponieważ obozowiska i pastwiska Indian-Wężów oddalone są stamtąd o wiele dni konnej jazdy na północ, było rzeczą naprawdę nadzwyczajną, że stuletni starzec ośmielał się podjąć taką podróż i to nie zmuszony okolicznościami, a z porywu ciągle jeszcze młodego serca.

Z jakiego jednak powodu chciał jechać z synem tak daleko na południe? Tego nie wiedziałem. Na to pytanie — nawet po dłuższym zastanowieniu nie potrafiłem znaleźć zadowalającej odpowiedzi. Wszystko, co mogłem zrobić to tylko mieć nadzieję, że pojawi się jakiś inny list w tej samej sprawie. Odpowiedzieć nie mogłem, gdyż nie znałem aktualnego miejsca pobytu obu wodzów. Jedno było dla mnie jasne: do podjęcia tak dalekiej podróży mogło ich skłonić tylko coś bardzo ważnego. Uznałem, że nie może to być sprawa czysto osobista, lecz o szerszym znaczeniu, a ponieważ mój adres znany jest wielu żyjącym w tamtych stronach osobom, o których opowiadałem i będę jeszcze w moich książkach opowiadał, i z którymi pozostaję w listownym kontakcie, miałem prawo żywić nadzieję, że wkrótce dowiem się czegoś więcej.

Tak też się stało. Niecałe dwa tygodnie później przyszedł drugi list i to od osoby, od której najmniej spodziewałem się otrzymać nie tylko list, ale i jakiegokolwiek znak życia. Na kopercie widniał dokładnie ten sam adres, a jego treść (napisano go po angielsku) była następująca:

Przybądź na Górę Winnetou na wielką, ostatnią walkę. I oddaj mi wreszcie swój skalp, który winien mi jesteś już od dwóch pokoleń! To każe ci napisać

To-kei-czun

Wódz Komanczów Rakurro.

W tydzień zaś później otrzymałem identycznie zaadresowany następny list:

Jeśli starczy ci odwagi, przybądź na Górę Winnetou! Moja ostatnia kula tęskni za Tobą

Tangua

najstarszy wódz Kiowów.

Napisane przez Pidę, jego syna, obecnego wodza Kiowów, którego dusza pozdrawia

Twoją.

Obydwa listy pozwalały na wyciągnięcie wielu wniosków, nie tylko natury psychologicznej. Wyglądało na to, że podyktowane zostały przez To-kei-czuna i Tanguę w tym samym miejscu i pod wpływem tych samych okoliczności. Obydwaj wodzowie zdawali się pałać do mnie tą samą co niegdyś nieprzejednaną nienawiścią. Dość osobliwie brzmiały w tym kontekście pozdrowienia od syna Tanguy, choć z drugiej strony jego wdzięczność nie była dla mnie niezrozumiała. Daleko ważniejsze niż wszystko inne było jednak to, że na Górę Winnetou zamierzali się udać również wrogowie Apaczów. Padły słowa o “wielkiej, ostatniej walce”. To wyglądało poważnie. Z drugiej strony nie było wykluczone, że jakiś dawny przeciwnik postanowił zabawić się moim kosztem skłoniwszy mnie na starość do bezsensownej podróży na drugą stronę globu. Jednak po upływie pół miesiąca otrzymałem list, nadany w Oklahomie, który mogłem potraktować jako wiarygodny dokument:

Mój drogi, biały bracie!

Wielki, dobry Manitou, mieszkający w mym sercu, każe mi Cię zawiadomić, że na Górę Winnetou zwołane zostało zgromadzenie starych wodzów oraz zgromadzenie młodych wodzów, aby odbyć sąd nad bladymi twarzami i rozstrzygnąć o przyszłości czerwonych mężów. Przybędziesz Ty i przybędę ja. Moja dusza raduje się Twoją. Liczę dni, godziny i minuty do naszego spotkania!

Twój czerwony brat

Mato Szako

wódz Osagów.

Także ten list został napisany po angielsku — ręką syna, którego pismo znam, jako że korespondujemy ze sobą. Mato Szako dołączył do listu skórzany totem, co czynił zawsze, ilekroć chodziło o rzecz wielkiej wagi. Mogłem zatem nie obawiać się kawału. Coś się działo rzeczywiście i to coś ważnego. Coraz bardziej zajmowała mnie myśl o podróży. Aby jednak doprowadzić do jej realizacji musiałem dowiedzieć się czegoś więcej. Te bliższe informacje nie dały długo na siebie czekać. Otrzymałem duży list o urzędowym wyglądzie, który miał być zaproszeniem, choć swym tonem przypominał raczej zawiadomienie. Oto jego tłumaczenie:

Szanowny Panie!

Podczas ubiegłorocznych spotkań wodzów jednogłośnie uchwalono, by najlepiej odpowiadający temu celowi szczyt Gór Skalistych nazwany został imieniem najsłynniejszego z wodzów— Winnetou. Wybór padł na szczyt najprawdopodobniej Panu znany — przynajmniej z mapy — na którym swego czasu zamieszkał tajemniczy czarownik Tatella-Sata (Tysiąc Lat). We wrześniu br. u podnóża, jak również na poszczególnych poziomach tej góry odbędą się następujące meetingi:

- 1. Starych wodzów;*
- 2. Młodych wodzów;*
- 3. Żon wodzów;*

4. Wszystkich innych znanych czerwonych mężów i niewiast;

5. Zgromadzenie zamykające pod przewodnictwem niżej podpisanego komitetu.

Pańskiemu uznaniu pozostawiamy, czy zechce się Pan tam stawić osobiście, by po zgłoszeniu się u przewodniczącego lub jego zastępcy, zostać poinformowanym o przedmiocie obrad. Jednocześnie zwracamy uwagę, że zarówno informację o w/w meetingach, jak i wszelkie do nich przygotowania należy utrzymać w tajemnicy przed obcymi. Zobowiązujemy Pana niniejszym do jak najdalej idącej dyskrecji i zakładamy, że milczenie o całym przedsięwzięciu uzna Pan za sprawę swego honoru. Numerki wskazujące przydzielone Panu na poszczególne spotkania i miejsca prosimy odebrać osobiście u niżej podpisanego Sekretarza. Wszystkie przemówienia dotyczące przedmiotu obrad wygłaszane będą ze względów praktycznych w języku angielskim. Z poważaniem

Komitet w składzie: Simon Bell (Czo-lo-let), profesor filozofii, jako przewodniczący;

Edward Summer (Ti-iskama), profesor filologii klasycznej, jako zastępca przewodniczącego; William Evening (Pe-wida), agent, jako sekretarz; Antonius Paper (Oki-czin-cza), bankier, jako skarbnik; Old Surehand, osoba prywatna, jako dyrektor.

U samego dołu widniało kilka linijek skreślonych ręką Old Surehanda:

Mam nadzieję, że przyjedziesz. Uważaj mój dom za własny, choćbyś nas w nim nie zastał. Jako dyrektor jestem niestety ciągle w rozjazdach. Czeka na Ciebie ogromnie radosna niespodzianka. Będziesz zachwycony naszymi dwoma chłopakami.

Twój stary, wierny Old Surehand

Obok tego długiego listu przytaczam krótszy, który wkrótce nadszedł.

Mój bracie! Wiem, że jesteś zaproszony. Nie zawieź więc! Cieszę się nieopisanie na Twój przyjazd. Obaj chłopcy napiszą do Ciebie jeszcze oddzielnie.

Twój Apanaczka Wódz Komanczów Pohonim

Od owych “chłopców” czy, jak się wyraził Old Surehand, “naszych dwóch chłopaków” otrzymałem następujący list:

Wielce szanowny Panie! Kiedy do naszej fałszywej, przyziemnej drogi w sztuce skierował nas Pan z takim przekonaniem ku wyższej, czy wręcz najwyższej, obiecaliśmy Panu wystąpić publicznie dopiero wtedy, kiedy z pomocą prawdziwych i nienagannych dzieł będziemy w stanie udowodnić, iż czerwona rasa nie jest, również w dziedzinie sztuki, uzdolniona mniej od innych ras. Nasze artystyczne talenty odziedziczyliśmy po babce, która, jak Panu wiadomo, była pełnej krwi Indianką. Obecnie jesteśmy gotowi przedstawić dowód, którego Pan się domagał. Obiecał nam Pan, że kiedy ta chwila przyjdzie, zjawi się Pan bez względu na odległość dla dokonania oceny naszych prac. Nie obawiamy się wyniku tej oceny i około 15 września chcemy Pana powitać na Górze Winnetou. Dowiedzieliśmy się, że został Pan zaproszony na te objęte tajemnicą i nadzwyczaj ważne obrady, i jesteśmy święcie przekonani, że nic Pana nie powstrzyma przed przybyciem w oznaczonym czasie na oznaczone miejsce. Z wielkim szacunkiem i całkowitym oddaniem.

Young Surehand, Young Apanaczka.

Ten list miał ręce i nogi. Sprawił mi radość, choć sposób w jaki “chłopcy” go sformułowali miał być czymś w rodzaju potężnego ciosu w klatkę piersiową. Temu, kto czytał moją opowieść pod tytułem *Old Surehand* nie sprawi trudności odgadnięcie, kim są owi chłopcy. Tego, kto nie czytał, zmuszony jestem prosić o nadrobienie zaległości po to, by zawartość niniejszego tomu stała się dla niego zrozumiała.

Jak sobie moi czytelnicy zapewne przypominają, odkryłem, że Old Surehand i Apanaczka są braćmi. Wykradziono ich matce, niezwykle przez naturę, pod względem fizycznym, umysłowym i duchowym, obdarzonej Indiance. Dla wyjaśnienia tej sprawy przez wiele lat przebrana za Indianina, pod fałszywym imieniem Kolma Puszi, bezskutecznie przemierzała miasta Wschodu, sawanny i puszcze, aż do czasu kiedy Winnetou i mnie udało się trafić na ślad i znaleźć obydwu synów — jednego pod postacią słynnego westmana, a drugiego jako nie mniej znanego wodza Komanczów; dwóch nadzwyczaj wartościowych ludzi, których przyjaźnią cieszę się w dalszym ciągu mimo wszelkich zmian, jakie przez wszystkie te lata zaszły w moim i ich życiu.

Old Surehand i Apanaczka wzięli sobie za żony siostry — dwie piękne, inteligentne Indianki ze szczepu Apaczów Mescalero — szczepu Winnetou — i każdy z nich został obdarzony synem, który w spotęgowanym jeszcze stopniu odziedziczył talenty Kolmy Puszi. Rodzice dysponowali środkami, które pozwalały na rozwijanie tych talentów. Chłopcy zostali wysłani na Wschód; jeden miał się uczyć architektury i rzeźbiarstwa, drugi — malarstwa i rzeźbiarstwa. Spełnili pokładane w nich nadzieje. Później obaj wyjechali na parę lat kontynuować studia w słynnych atelier paryskich, a następnie do Włoch i do Egiptu, gdzie chcieli się zapoznać bliżej z gigantycznymi dziełami sztuki starożytnej. Chcąc mnie odwiedzić wracali przez Niemcy. Mam do nich wiele sympatii. Cieszyło mnie nie tylko to, że uwielbiają niczym półboga mojego niezrównanego Winnetou. W podziw wprawiały także ich artystyczne zamysły i umiejętności, które na dodatek zdawały się mieć jeszcze przed sobą nieograniczone pole rozwoju. Niestety w iście amerykańskim stylu, wszystko zdawało się zbaczać na manowce tak zwanego businessu, i tak, zamiast pochwały chłopcy otrzymali ode mnie poważne ostrzeżenie, którego, jak wynikało z listu, do dzisiaj ani nie zapomnieli, ani mi nie wybaczyli. To było też najprawdopodobniej przyczyną, dla której ani ich ojcowie, ani oni sami nic nie napisali tak o planach na przyszłość, jak i o obecnych dokonaniach młodych twórców. Szczególna zaś zmowa milczenia w stosunku do mojej osoby otaczała powody, dla których chłopcy podjęli studia nad gigantycznymi dziełami starożytnych Egipcjan. To najwyraźniej miała być tajemnica. Teraz zacząłem się domyślać, że “arcydzieła”, które chcieli poddać mojej ocenie, pozostają z nią w jakimś związku.

Nie będę twierdzić, że seria listów sprawiła mi dużo radości. Dlaczego nikt nie chciał otwarcie i uczciwie powiedzieć, o co właściwie chodzi? Jaki ma cel ta cała zabawa w tajne meetingi? Wielkie i twórcze myśli rodzą się wśród świętej, niczym nie zakłóconej samotności, a nie pośród długich przemów, które obliczone są zwykle na doraźne rezultaty. Po co oddzielać od siebie wodzów starych i młodych? Jaki ma sens obecność kobiet? Kim są “wszyscy inni znani czerwoni mężowie i niewiasty”? Kim są wreszcie panowie wchodzący w skład owego osobliwego i wręcz podejrzanego komitetu? Mają zamiar przewodniczyć zgromadzeniu zamykającemu, a więc kształtować i korygować postanowienia wszystkich poprzednich meetingów! Nazwiska obydwu profesorów, z pochodzenia Indian, były mi znane. Budziły zaufanie. Ale ani Sam Howkens, ani Dick Hammerdull, ani Pitt Holbers nie pozwoliliby zwracać się do siebie w tym tonie! Nazwiska sekretarza i skarbnika były mi zupełnie obce. A do tego Old Surehand jako “dyrektor”? Czyli, jak należało przypuszczać, osoba odpowiedzialna moralnie i finansowo? Old Surehand należał z pewnością do najznakomitszych westmanów, ale czy byłby w stanie połączyć to z kupieckim sprytem kutego na cztery łapy amerykańskiego businessmana, co do tego naprawdę można było mieć

wątpliwości. Im dłużej i intensywniej całą sprawą się zajmowałem, tym bardziej wydawała mi się problematyczna. Również żona miała wiele zastrzeżeń. A skoro już o niej mowa, to wspomnieć trzeba, że i ona otrzymała list tej mianowicie treści:

Moja droga, biała siostró!

Teraz więc zobacz Cię w końcu moje oczy; moja dusza widzi Cię już od dawna. Władca Twego domu i Twoich myśli przybędzie na Górę Winnetou, by razem z nami radzić o rzeczach wielkich i pięknych.

Wiem, że bez Ciebie nie wyruszy. Proszę, byś mu powiedziała, że przygotuję Wam najlepszy z naszych namiotów i że w Twoim przyjeździe przeczuwani pieścizotliwy, ciepły promień słońca, którego w życiu nie zaznałam aż do tej chwili, kiedy przychodzi mi je pożegnać. Przyjedź więc i przywieź mi ze sobą Twą miłość drugiego człowieka i dobroć serca — Twą wiarę w wielkiego, sprawiedliwego Manitou, którego chciałabym odczuć tak wyraźnie, jak Ty, moja siostró, Go czujesz.

Kolma Puszi.

Dodam tu, że Serduszko korespondowała — i nadal koresponduje — z Kolmą Puszi i że powyższy list nie był bez znaczenia dla podjętych przez nas później decyzji. Od tej chwili jasne już było, że jeśli pojedę to nie sam. Przyszło jeszcze kilka innych listów. Spośród nich wybrałem ten, który wydaje mi się najważniejszy ze wszystkich, które w ogóle otrzymaliśmy. Napisany został z kaligraficzną wręcz starannością na bardzo dobrym papierze i owinięty w dość duży totem od osoby, która go podyktowała. Totem sporządzony był z cienkiej jak papier skóry antylopy wyprawionej w sposób znany tylko Indianom tak, że bielą dorównywała śniegowi, a gładkością porcelanie. Rysunki o konturach zaznaczonych mikroskopijnymi punkcikami, zabarwione były na czerwono i niebiesko — cynobrem i jakimś innym nieznanym mi barwnikiem. List brzmiał następująco:

Mój biały starszy bracie! Spytałem o Ciebie Boga. Chciałem się dowiedzieć, czy jeszcze pozostajesz wśród tych, których nazywają żywymi. W odpowiedzi otrzymałem wiadomość, że zostałeś zaproszony do udziału we wrześniowych obradach, tu w moje góry, których święta cisza i spokój mogą być raz na zawsze unicestwione. W imię tych wszystkich, których tu kiedyś kochałeś i być może dziś jeszcze kochasz, proszę Cię: przyjmij to wezwanie! Przybywaj, gdziekolwiek jesteś i ratuj Twego Winnetou! Ludzie chcą go zrozumieć fałszywie. Nie chcą też zrozumieć mnie. Ani Ty mnie, ani ja Ciebie nigdy nie widziałem. Tak jak ja nigdy nie słyszałem Twojego głosu, tak i Tobie obce jest brzmienie mojego. Dzisiaj jednak krzyczę mój niepokój poprzez morze daleko ku Tobie, z taką mocą, że głos mój usłyszysz i na pewno przyjedziesz.

Nikt nie wie o tym, że Cię wzywam. Dowiedzieć się musiał ten tylko, który pisze te słowa. Jest moją ręką, będzie milczał. Zanim się tu zjawisz, udaj się do Nugget Tsil. Środkowy spośród pięciu wielkich srebrnych świerków przemówi do Ciebie i powie to, czego nie mogę powierzyć temu papierowi. Niech jego głos będzie Ci głosem Manitou, wielkiego, wiecznego, wszechmiłującego Ducha! Proszę raz jeszcze: Przybądź na ratunek Twemu Winnetou! Chcą Ci go udusić i zabić!

*Tatella-Sata
Strażnik Wielkiej Wiedzy
Medycznej*

Jeśli idzie o wspomniany w liście Nugget Tsil, to “nugetami” nazywa się równej wielkości grudki szczerzego złota znajdowane przez poszukiwaczy albo pojedynczo, albo całymi gniazdami. “Tsil” znaczy w języku Apaczów tyle co góra. “Nugget Tsil” można więc tłumaczyć jako “Górę Nuggetów”. Jak wiadomo na tejże górze niejaki Santer zamordował ojca i siostrę Winnetou. Później, na krótko przed swą śmiercią we wnętrzu Góry Hancocka, Winnetou powiedział mi, że swój testament dla mnie zakopał na Nugget Tsil obok stóp pogrzebanego tam ojca. Miałem zobaczyć wiele złota, bardzo wiele złota. Przy wykopywaniu testamentu zostałem zaskoczony i pojmany przez Kiowów, wśród których znajdował się również Santer. Ową grupą Kiowów dowodził młody wówczas Pida, ten sam, który ostatnio, w liście swego ojca przesłał mi pozdrowienia od swej “duszy”. Santer wykradł testament i udał się do miejsca, w którym złożono złoto, a które Winnetou opisał w swej ostatniej woli. Uwolniwszy się z rąk Kiowów podążyłem za mordercą. Na miejsce przybyłem właśnie w chwilę po tym, jak Santer znalazł skarb. Kryjówka znajdowała się na wysokiej skale stojącej nad brzegiem samotnego górskiego stawu zwanego Ciemną Wodą. Santer, kiedy mnie zobaczył, strzelił do mnie. Późniejszy bieg wypadków został opisany w ostatnim, trzecim tomie *Winnetou*.

Co do Tatella-Saty, “strażnika wielkiej wiedzy medycznej” przyznać muszę, że było zawsze moim skrytym pragnieniem, spotkać się i porozmawiać z tym najbardziej tajemniczym spośród czerwonych mężów; do tej pory nigdy jednak nie nadarzyła się sposobność, by je zrealizować. Imię Tatella-Sata w języku Indian Tao oznacza dosłownie “Tysiąc Słońc”, w tym wypadku jednak tłumaczy się jako “Tysiąc Lat”. Jego właściciel osiągnął tak niespotykany, wręcz niebywały wiek, że nie jest możliwe dokładne jego określenie. Również niewiele wiadomo o miejscu jego urodzenia. Nie jest członkiem żadnego określonego plemienia; cieszy się natomiast nadzwyczajnym poważaniem wśród wszystkich czerwonych ludów i narodów. Jemu, najwyższemu rangą i wtajemniczeniem, przypisywano od dawna wszelkie umiejętności i dary ducha setek indiańskich “medyków” czy “czarowników”. Aby dobrze zrozumieć, co to znaczy, wiedzieć trzeba, że z gruntu błędnym jest uważać indiańskiego “medyka”² za swego rodzaju znachora, zaklinacza deszczu czy magika. Słowo “medyk” nie ma też tu nic wspólnego z tym, co my rozumiemy pod pojęciem “medycyny”. Nasze pojęcie “medyczny” jest Indianom tak obce, a sens tego słowa u nich tak odmienny, że jedno trzeba uznać wręcz za przeciwieństwo drugiego.

Od chwili kiedy czerwono skorzy zetknęli się z białymi zobaczyli, usłyszeli i doświadczyli wielu rzeczy, które zrobiły na nich ogromne znaczenie. Najbardziej zadziwiło ich jednak działanie środków medycznych, naszych lekarstw. Nie do pojęcia była dla nich skuteczność i trwałość tego oddziaływania. Dostrzegali w nim ogrom Bożej miłości objawiającej się poprzez ten ofiarowany rodzajowi ludzkiemu dar. Kiedy po raz pierwszy usłyszeli słowo “medycyna”, natychmiast związali je z pojęciem cudu, błogosławieństwa, Bożej miłości i niepojętego dla ludzi, tajemnego, zachodzącego w najgłębszym ukryciu działania. Krótko mówiąc, słowo “medycyna” stało się dla nich synonimem “misterium”. Weszło na stałe do wszystkich ich języków i dialektów. Mianem “medycyny” zaczęli określać wszystko, co się dla nich łączyło z religią, wiarą i poszukiwaniem rzeczy wiecznych, a także te spośród osiągnięć nauki i cywilizacji europejskiej, które z racji nieznamości ich początków i etapów rozwoju wykraczały poza zdolność pojmowania Indianina. Byli przy tym na tyle uczciwi i prostolinijni, że bez ogródek potrafili przyznać, iż w ogólnym rozrachunku blade twarze mają nad nimi zdecydowaną przewagę. Starali się więc ich naśladować. W rezultacie przejęli od nich wiele dobrego, ale również niestety wiele złego. Byli często tak

² W języku polskim odpowiedniejsze byłoby słowo “czarownik”. *Medi-zinmann* (medyk) z wersji niemieckiej od angielskiego *medicine man* pozostawiony został gwoździem zamieszczonym przez autora poniżej wyjaśnienia dotyczącego słowa “medycyna”. W dalszej części książki używane będzie raczej słowo “czarownik” (przyp. tłum.)

dziecinni i naiwni, że wiele z tego, co było mierne czy wręcz niskie uznawali za niezwykle, wzniosłe, a nawet święte i trwale sobie przyswajali nie zastanawiając się wcale i nie pytając, jakie to będzie miało konsekwencje. W ten właśnie sposób przyswoili sobie słowo „medycyna“ i odnosili je do wszystkiego, co było dla nich najwznioslejsze i najświętsze, całkowicie nieświadomi faktu, że tym samym owym świętościom uwłaczają. W tamtych bowiem czasach słowo „medycyna“ nie było określeniem tak szacownym, jak dzisiaj i wyraźnie nawiązywało do czarów, szarlatanerii i oszustwa. Nazywając więc w swojej prostolinijności „medykami“ adeptów raczkujących przecież jeszcze w ich kulturze nauk przyrodniczych i teologii, Indianie nie podejrzewali, że w ten sposób na zawsze pozbawiają tych ludzi dobrego imienia.

Jakich zaś wyżyn sięgali owi adepci, zanim zetknęli się z „cywilizacją“ białych, stopniowo odkrywamy dopiero dzisiaj, kiedy wchodzimy coraz głębiej w historię rodowitych mieszkańców Ameryki. Wielokrotnie na przestrzeni swych dziejów znajdowali się oni na tym samym etapie rozwoju, co biali. Wszystko zaś, co u tych ludów w tworzonych przez nie państwach było dobre, wielkie i szlachetne wypływało z duchowych źródeł bijących we wnętrzu tych nadzwyczajnych jednostek, które późniejsze pokolenia nazwały „medykami“ i „czarownikami“. Ta kategoria ludzi obejmowała teologów, polityków, strategów, astronomów, budowniczych świątyń, malarzy, rzeźbiarzy, znawców pisma węzełkowego, naukowców, lekarzy, słowem wszystkie osoby i strony, których potencjał intelektualny i etyczny nadaje charakter ich czasom. Wśród koryfeuszy były postacie dorównujące świetnością swym odpowiednikom w historii ludów Azji i Europy. Ich blask nie zgasł bezpowrotnie, lecz tylko do czasu, kiedy posiadzicie wiedzę i zrozumiecie na tyle, by rozświecić mroki historii. I jeśli współcześni „medycy“ i „czarownicy“ nie dorównują już „medykom“ przeszłych wieków, to z pewnością nie są temu winni sami tylko Indianie. Duchowa elita Indian, Tolteków i Azteków, a więc „medycy“ działający na terytorium Peru i Meksyku, z pewnością nie stali pod względem kulturowym niżej od awanturników ze święty Corteza i Pizarra. Jeśli dziś, na skutek inwazji białych, z ówczesnej świetności pozostało tak niewiele, że Indianie nazywani są po prostu „dzikimi“, nie powinno nas dziwić, że w społecznościach indiańskich, wraz z ogółem podupadły również jednostki wybitne.

Przewyższają jednak jeszcze daleko to, co się o nich powszechnie sądzi. Nie znam żadnego białego, który mógłby się poszczycić tym, że został przez indiańskiego czarownika wprowadzony w tę tajemną wiedzę, czy który choćby na tyle rozumiał symbolikę związanych z nią obrzędów, by mieć prawo o nich mówić lub pisać. Prawdziwy „medyk“, szanujący swój urząd i godność, nie zniża się nigdy do dawania przedstawień. Tak zwani „medycy“ z tu i tam włóczących się mieszanych band indiańskich, daleko odbiegają od swych autentycznych pierwowzorów; przyłączyć się do ich wygibasów, skoków i grymasów byłoby dla tych ostatnich nie do pomyślenia, jak u nas dla poważnego teologa, czy naukowca nie do pomyślenia byłoby popisywać się na jarmarku fikaniem koziołków.

Mam nadzieję, że moi czytelnicy nie uważają tych wywodów za nudne czy zbyteczne. O tych sprawach trzeba powiedzieć, gdyż czas już najwyższy uwolnić psychologię ludów indiańskich od dotychczasowych błędów i nieporozumień. Jeśli zaś w osobie Tatella-Saty miałbym poznać jednego z wielkich „medyków“ poprzedniej epoki, ciemniejących niczym potężne pule na tle zachodzącego słońca indiańskiej cywilizacji, to jako sumienny i wierny prawdzie dokumentalista, zobowiązany byłbym poczynić wnikliwe obserwacje, które przygotowałyby pracę nad obrazem tej minionej świetności.

Ów tajemniczy człowiek, o którym z takim szacunkiem piszę, nie był bynajmniej nigdy moim przyjacielem! Nie był jednak również nigdy moim wrogiem. Nie był niczym wrogiem. W swych myślach podobnie jak w swym postępowaniu kierował się zasadami absolutnej sprawiedliwości i absolutnego humanitaryzmu. Jego osobisty stosunek do mnie był jednak

czymś gorszym i jeszcze bardziej przygnębiającym od otwartej wrogości. Ja po prostu dla niego nie istniałem. Dlaczego? Uważał mnie za faktycznego zabójcę ojca i siostry Winnetou. Owa młoda indiańska niewiasta, zgodnie ze swoim życzeniem i życzeniem całego szczepu miała być mi dana za żonę, ja jednak ją odrzuciłem. Nazywała się niebezpiecznie Nszo-czi — Piękny

Dzień — i z jej śmiercią odszedł z życia Apaczów, a zwłaszcza z życia starego Tatella-Saty ostatni promień nadziei. Tatella-Sata uważał ją za najpiękniejszą i najlepszą z cór wszystkich szczepów Apaczów i twierdził, że gdyby nie moja odmowa nie zostałaby zastrzelona. Ja sam wprawdzie otwarcie przyznawałem, że istnieje tu pewien związek, ale od wszelkich zarzutów wobec samego siebie czułem się tak wolny, jakby moja urocza i oddana przyjaciółka żyła w najlepsze. Chciała pojechać na Wschód, by zdobyć wyższe wykształcenie i wraz ze swym ojcem Inczu-czuną padła w drodze ofiarą rabunkowego napadu. Jej bratu, Winnetou, nigdy nie przyszło do głowy skierować pod moim adresem choćby cień oskarżenia na tej podstawie, że podróż tę podjęła dla mnie; natomiast Tatella-Sata wykluczył moją osobę ze swojego życia i rachub całkowicie, i jak się wydawało nieodwołalnie. Jak daleko sięga pamięć ludzka, żył zawsze w absolutnej samotności wysoko w górach. Zbliżać się do niego mogli tylko wodzowie i to też możliwie jak najrzadziej, wyłącznie w sprawach wielkiej wagi. Tylko Winnetou, jego ulubieniec, mógł przychodzić tak często, jak mu się podobało. Czarownik był gotów spełnić każde z jego możliwych do spełnienia życzeń, poza jednym, które Winnetou powtarzał zawsze na próżno, a mianowicie, by mógł mnie choć raz przyprowadzić ze sobą.

A teraz znienacka, po tylu latach, to nagłe zaproszenie! W grę wchodzić musiały sprawy poważne i ważne, wykraczające poza zwykłe i codzienne cele, coś nieporównywalnie większego i cenniejszego, od tego, czego byłem się w stanie domyślać teraz, otrzymawszy ten list. Jedno już jednak wiedziałem: pojedę i w oznaczonym czasie stanę na Nugget Tsil, aby wysłuchać, co ma mi do powiedzenia srebrny świerk. Jasne też było dla mnie, że Serduszko będzie mi towarzyszyć.

Na wieść o tym nie tylko nie wybuchnęła radością, lecz przeciwnie — bardzo spoważniała. Zdawała sobie sprawę z niewygód i niebezpieczeństw, jakie wiążą się z tak długą konną jazdą po niezmierzonych obszarach zachodu. Było dla nas oczywiste, że wodzowie, z daleka i z bliska, spieszący na spotkanie, nie będą korzystali z kolei; wykluczał to już sam tajny charakter spotkania. Mówiąc o wysiłku i niebezpieczeństwach, Serduszko miała na myśli nie siebie, lecz wyłącznie mnie. Bez większego trudu udało mi się jednak ją przekonać, że już od dłuższego czasu mówić można wyłącznie o „Zachodzie“ — „dziki Zachód“ należy do przeszłości — i że taka jazda będzie dla mnie odpoczynkiem, a nie uciążliwością. Co do niej to cieszyła się na tyle dobrym zdrowiem i była na tyle odważna, zręczna, wytrwała i niewymagająca, że mogłem bez obaw zabrać ją ze sobą. Mówiła po angielsku, a dzięki wytężonym studiom i wspólnej pracy przyswoiła sobie także wiele indiańskich słów i zwrotów, które mogły się jej przydać. Miała za sobą świetną praktykę konnej jazdy podczas naszej ostatniej dłuższej podróży na Wschód.³ Spisała się bardzo dobrze i nauczyła obchodzić nie tylko z końmi, ale i z wielbłędami. Jak zawsze, tak i w tej sytuacji Serduszko okazała się mądrą i przewidującą gospodynią. Kilka amerykańskich wydawnictw zwróciło się do mnie ostatnio w sprawie angielskiego tłumaczenia moich książek. Serduszko uważała, że powinienem wykorzystać okazję i spotkać się z tymi panami osobiście, bo gdyby przystali na moje warunki łatwiej byłoby ustalić szczegóły tu na miejscu niż drogą korespondencyjną. Aby móc pokazać Amerykanom wzory okładek zrobiła wielkoformatowe zdjęcia wydań oryginalnych — bardzo zresztą udane bo Serduszko świetnie znacznie lepiej

³ W latach 1899-1900 Karol May odbył swą wielką podróż na Wschód w której towarzyszyła mu przez jakiś czas jego późniejsza żona Klara wraz ze swym pierwszym mężem, Richardem Plöhn (zm. 1901).

ode mnie zna się na fotografii. Najlepiej wyszło zdjęcie ilustracji Saszy Schneidera przedstawiającej Winnetou zmierzającego ku niebu. W moim posiadaniu są jeszcze dwa wspaniałe, chwytające za serce portrety jego pędzla: Abou Kitala, człowieka przemocy i Marah Duri-meh, duszy ludzkości. Także te prace wykonane z myślą o naszych dwóch tomach, zostały sfotografowane, zresztą bez przenoszenia na karton, co sprawiło, że zdjęcia były cieniutkie, zajmowały minimalną ilość miejsca i dawały się zwijać, a więc można je było włożyć do torby.⁴

Znowu mam nadzieję, że czytelnik nie uzna tych uwag za nudne czy zbyteczne. Jak się później okaże, ilustracje te odegrały w łańcuchu wydarzeń niebagatelną rolę. Ci, którzy mnie lepiej znają, wiedzą, że nie wierzę w “przypadek”. Wszystko, co się dzieje, przypisuję działaniu wyższej woli, wszystko jedno, jak ją nazwiemy — Bogiem, losem czy przeznaczeniem. Jestem przekonany, że przeznaczenie decydowało o losach również tej wyprawy. Ostatecznie oferty wydawców rozplynęły się jak mgła — bez żadnych praktycznych konsekwencji; nie miałem zresztą czasu, by odwiedzić tych panów. Sensu tych ofert dopatruję się w tym, że podsunęły nam myśl zabrania ze sobą kopii okładek.

Celowość wydarzeń dała się zaobserwować jeszcze lepiej i wyraźniej przy okazji innej oferty wydawniczej, która została mi przedstawiona nie na piśmie, lecz osobiście — o dziwo — w tym właśnie czasie i znowu przez Amerykanina. Szczególnie wymowne były tu okoliczności — całkowicie wykluczające jakąkolwiek przypadkowość.

Mam w Dreźnie przyjaciela, cieszącego się wielkim wzięciem, lekarza i psychiatrę. Szczególnie w tej ostatniej dziedzinie ma on na swym koncie niebagatelne osiągnięcia. Uważają go za autorytet i zasięgają jego opinii nie tylko tutejsi, ale i wielu przyjezdnych.

Otóż podczas wizyty, którą nam ów przyjaciel złożył — było to nie w niedzielę, kiedy nie pracuję, ale w środku tygodnia, późnym popołudniem, a więc w porze, w której nas jeszcze nigdy nie odwiedzał — rozmowa zeszła na temat podjętej przez nas decyzji udania się do Nowego Jorku statkiem Północnoniemieckiego Lloyd'a.

— Jedziecie po nugety? — spytał tak szybko, jakby od dawna czekał na te słowa.

— Skąd ci przyszły do głowy akurat nugety? — odpowiedziałem.

— Bo tak się złożyło, że dzisiaj jeden widziałem. Był wielkości gołębiego jaja i zwisał na dewizce — odpowiedział.

— Czyjej?

— Pewnego Amerykanina, który zresztą wydał mi się bardziej interesujący niż ta grudka złota. Powiedział mi, że przyjechał tu tylko na dwa dni i prosił o moją opinię w sprawie, którą każdy psycholog, a więc i ty, mój drogi przyjacielu, uzna za przypadek chorobowy, ze wszech miar zasługujący na uwagę.

— A o co mu chodzi?

— Chodzi o dziedziczną manię samobójczą, występującą u wszystkich bez wyjątku członków pewnej rodziny. Pojawia się ona u poszczególnych jednostek niepostrzeżenie i cicho, by z czasem tak przybrać na sile, że nie sposób jej się oprzeć.

— Słyszałem o takich przypadkach i znałem nawet kiedyś osobiście osobę w ten sposób obciążoną. Był to lekarz okrętowy na statku, którym płynąłem z Suez na Cejlon. Na rozmowie o psychologii spędziliśmy kiedyś na górnym pokładzie całą rozgwieżdżoną noc. Zyskałem wówczas jego zaufanie i powiedział mi o czymś, z czego do tej pory nie zwierzał się nigdy i nikomu. Jeden z jego braci i jedna z jego siostr popełnili już samobójstwo; podobnie ojciec. Matka umarła pod ciężarem zgryzoty i niepokoju. Druga siostra pisała do

⁴ Sascha Schneider (1870-1927) — długoletni przyjaciel domu Karola Maya. W latach 1904-1910 namalował serię ilustracji do jego książek, które znalazły się na okładkach specjalnej edycji w ramach pierwszego wydania.

niego raz po raz, że nie jest już w stanie dłużej się opierać, a on sam został lekarzem tylko po to, by, jeśli nie będzie mógł pomóc nikomu innemu, przynajmniej dla siebie znaleźć ratunek.

— Co się stało z nim i z siostrą?

— Nie wiem. Obiecał, że do mnie napisze i przyśle swój adres, ale tego nie uczynił. Czy ten Amerykanin jest w równie trudnej sytuacji?

— Czy on sam, tego nie potrafię powiedzieć. Nie padły żadne nazwiska, nawet jego własne i zachowywał się, jakby mówił o znajomych, a nie o swojej rodzinie. Jednak moim zdaniem chodzi również o niego. Miał niewyobrażalnie smutne spojrzenie. Robił wrażenie przyzwoitego człowieka, tak że naprawdę było mi przykro, że nie mogę mu udzielić jakiejś konkretnej pomocy.

— Ale przynajmniej podtrzymałeś go na duchu?

— Tak, dałem mu kilka rad, powiedziałem parę słów pociechy. Pomyśl jednak — tyle nieszczęścia: matka się otruła, ojciec zniknął bez śladu. Spośród pięciorga dzieci, samych synów, żyje jeszcze tylko dwóch. Obydwaj się ożenili, ale żony ich zostawiły, gdyż u dzieci mania samobójcza wystąpiła już w wieku dziewięciu, dziesięciu lat i rozwinęła się do tego stopnia, że tylko jedno dożyło lat szesnastu.

— Zginęły więc wszystkie?

— Tak, wszystkie. Tylko owi dwaj bracia pozostają jeszcze przy życiu. Ale ci walczyć muszą dzień i noc, i nie sądzę, by któryś z nich okazał się na tyle silny, by przemóc w sobie tego demona.

— Straszne!

— Tak, straszne! Ale równie straszne co zagadkowe! Ta nieszczęsna mania dręczy ich dopiero od dwóch pokoleń; wcześniej niczego takiego w rodzinie nie było. Niestety nie dowiedziałem się, u kogo się najpierw pojawiła — czy u matki, która się otruła, czy u zaginionego ojca. Nie dowiedziałem się również, czy choroba ta wystąpiła w związku z jakimś wydarzeniem, na tyle ważnym i tragicznym, że mogło wywołać psychiczny wstrząs. To byłby przynajmniej jakiś trop. Ostatecznie musiałem się więc ograniczyć do zalecenia mu wytężonej pracy fizycznej i umysłowej, sumiennego wykonywania obowiązków i przeplatania go chwilami pogodnej acz nie prymitywnej rozrywki, a przede wszystkim wytrwałego ćwiczenia i hartowania charakteru oraz siły woli, od czego tutaj najwięcej zależy.

— Dowiedziałeś się, czym się rodzina zajmowała?

— Tak, to było jedno z najważniejszych pytań, jakie musiałem zadać. Zaginiony ojciec był westmanem, osadnikiem, traperem, poszukiwaczem złota i w ogóle kimś tego pokroju. Część z tego, co mu się udało zarobić przywoził od czasu do czasu do domu. Były to często całkiem pokaźne sumy. Miał swoje dziwactwo — chciał zostać milionerem. To mu się wprawdzie nie udało, ale rodzina nie cierpiała biedy. Synowie założyli wspólnie duże przedsiębiorstwo. Coś z końmi, bydłem, owcami i świniami...

— Pewnie nie mogło się obyć bez szlachtowania zwierząt na wielką skalę? — wpadłem mu w słowo.

— Zgadza się!

— Przy takim schorzeniu to mogło tylko pogorszyć sytuację!

— Bez wątplenia! Masowa rzeź bydła! Gorące opary krwi! Nieustanny odór mięsa, również gnijącego! W takich warunkach człowiek uodparnia się na odruchy współczucia! A tym się właśnie karmi demon! Powiedziałem o tym Amerykaninowi całkiem otwarcie i ostrzegłem przed konsekwencjami. Odpowiedział, że doszedł do podobnych wniosków i był nawet doradcą i pełnomocnikiem obu braci w sprawach związanych ze sprzedażą

przedsiębiorstwa. Sprzedali je w zeszłym roku, ale dolegliwość nie tylko nie ustała, ale nawet nie zelżała. Ale! Opowiadał o tak późnej porze o rzeczach, które i wam, i mnie mogą zakłócić nocny wypoczynek. Proszę o wybaczenie! Będę na tyle sprytny, że się ulotnię nie czekając aż mnie sami wyrzucicie. Dobrej nocy.

Przerwał nagle i opuścił nas tak szybko, jak to mu się nigdy nie zdarzało. Tak samo nagle było zresztą całe jego zjawienie się. Odniosłem wrażenie, jakby odwiedził nas o tej niezwyklej porze po to tylko, by zwrócić naszą uwagę na osobę Amerykanina. Serduszko miała podobne odczucie.

— Wydał mi się dzisiaj bardziej posłańcem niż kimś, kto przyjechał odwiedzić przyjaciół — powiedziała. — Czy to, co opowiedział o tym jankesie może mieć dla nas jakieś znaczenie? Tylko tobie mogę zadać takie pytanie, bo ktokolwiek inny najprawdopodobniej by mnie wyśmiał.

Przyznałem jej rację. I oto następnego ranka siedząc przy pracy słyszę w porze odwiedzin głos dzwonka. Komuś otworzono. Zapowiedziałem wcześniej, że dzisiaj absolutnie z nikim nie chcę się widzieć. Mimo to po krótkiej chwili w drzwiach stanęła Serduszko i kładąc przede mną wizytówkę powiedziała:

— Wybacz mi! Musiałam ci przerwać. To po prostu zdumiewające, sam się zdziwisz.

Spojrzałem na wizytówkę. Nie było na niej nic poza nazwiskiem — “Hariman F. Enters”. Popatrzyłem pytająco na Serduszko.

— To naprawdę zdumiewające! — powtórzyła. — Na dewizce ma nuget wielkości gołębiego jaja.

— Niemożliwe!

— Tak, a w dodatku bardzo smutne oczy!

— Czego chce?

— Rozmawiać z tobą!

— Nie mam czasu. Chyba mu powiedziałaś? Niech przyjdzie kiedy indziej.

— Dzisiaj musi wyjechać, bo inaczej spóźni się na statek. Powiedział, że nie pójdzie stąd, dopóki z tobą nie porozmawia. Posiedzi aż skończysz. Masz mu potem powiedzieć, ile kosztował cię czas, który straciłeś na rozmowę. Natychmiast zapłaci.

— To iście amerykański nonsens. Czy powiedział, czym się zajmuje!

— Jest wydawcą. Nie mówi ani słowa po niemiecku. Chciałby kupić prawa na *Winnetou*.

— Czy może udzieliłaś mu już odpowiedzi?

— Powiedziałam, że mieliśmy już stamtąd podobne propozycje i że w najbliższym czasie płyniemy do Ameryki, by tę sprawę załatwić.

— Oj, Serduszko, tu się nie bardzo spisałaś!

— Dlaczego?

— Kto zamierza udać się na “Zachód”, winien nade wszystko ćwiczyć się w milczeniu, bez względu na to, czy jest to w dalszym ciągu Zachód “dziki”, czy nie.

— Ale my jesteśmy jeszcze tutaj!

— Powiedziałem, że już ten, kto zamierza. Poza tym nie trzeba koniecznie tam jechać, bo Zachód sam zjawił się u nas.

— Jak to?

— W osobie tego Amerykanina. Ów mister Hariman F. Enters to amerykański Zachód.

— Naprawdę tak uważasz?

— Oczywiście! Wkrótce przekonasz się, że mam rację. Kimkolwiek ten człowiek jest i czegokolwiek chce, mamy już do czynienia z Ameryką. Chce nas podejść. Spróbujmy więc odwrócić ostrze! Zejdź teraz na dół i powiedz, że przyjdę, ale nic poza tym. W ogóle jak najmniej z nim rozmawiaj!

Serduszko zeszła, a wkrótce zszedłem i ja. Mister Enters był dobrze zbudowanym, gładko ogolonym mężczyzną w wieku około czterdziestu lat. Robił dobre wrażenie, choć jego sposób bycia nie wskazywał na to, by był człowiekiem wykształconym. Zachowywał się przyzwoicie, ale nie bez odcienia pewnej pyszałkowatości. I miał rzeczywiście smutne oczy. Śmiać się chyba w ogóle nie potrafił, a kiedy raz spróbował, zrobiło to raczej wrażenie męki niż wesołości. Żona przedstawiła nas sobie. Wymieniliśmy ukłony i usiedliśmy naprzeciw siebie. Poprosiłem, by powiedział, czym mogę mu służyć. Odpowiedział pytaniem:

— Pan się nazywa Old Shatterhand, sir?

— Tak mnie nazywano — odparłem.

— Czy również obecnie? Tak pana nazywają?

— Najprawdopodobniej.

— Wkrótce udaje się pan znowu do Ameryki?

— Owszem.

— Dokąd? Jak daleko?

— Jeszcze nie wiem.

— Jakim statkiem?

— Dokładnie nie wiadomo.

— Na jak długo?

— O tym zadecyduję dopiero na miejscu.

— Czy zamierza odwiedzić pan starych znajomych?

— Być może.

— Czy skieruje się pan raczej na północ, czy na południe Stanów?

Na to wstałem, ukloniłem się i odwróciwszy się podszedłem do drzwi.

— Dokąd pan idzie, mister May? — krzyknął za mną pośpiesznie gość.

Zatrzymałem się i odpowiedziałem:

— Z powrotem do pracy! Zapytałem, czego pan sobie ode mnie życzy. Zamiast mi odpowiedzieć, zadał mi pan cały szereg pytań, do których nie ma pan najmniejszego prawa. A ja nie mam czasu na nie odpowiadać!

— Powiedziałem pani May, że za wszystko zapłacę.

— Nie byłby pan w stanie, sir. Jest pan o wiele za biedny!

— Tak pan uważa? Czy rzeczywiście robię takie wrażenie? W takim razie jest pan w błędzie!

— Z pewnością nie jestem. Nawet gdyby miał pan miliardy w kieszeni, nie byłby pan w stanie największemu biedakowi zapłacić nawet za kwadrans danego mu przez Boga i niczym nie dającego się zastąpić życia!

— Jeśli tak to pan rozumie, sir, to zgoda. Niech pan usiądzie! Postaram się mówić możliwie zwięźle.

Zaczekał aż z udanym ociąganiem spełniłem jego życzenie i mówił dalej:

— Jestem wydawcą. Znam pańskiego *Winnetou*...

— Czy mówi pan lub czyta po niemiecku, sir? — przerwałem.

— Nie — odpowiedział.

— Jak więc może pan znać tę opowieść? O ile wiem, nie została jeszcze przetłumaczona na angielski.

— Była czytana w zaprzyjaźnionej rodzinie, gdzie mówi się także po niemiecku, i z myślą o mnie jednocześnie tłumaczona. To, co usłyszałem zrobiło na mnie tak wielkie wrażenie, że wynająłem sobie młodego człowieka, bezrobotnego, z pochodzenia Niemca, po to tylko, by bez pośpiechu przeczytał mi wszystko w taki sposób i tyle razy, bym wszystko zrozumiał i mógł zrobić konieczne notatki.

— Notatki? Po co notatki?

Zauważyłem, że to pytanie wprawiło go w zakłopotanie. Starając się je ukryć odpowiedział:

— Notatki czysto literackiej natury, oczywiście, w związku z moją pracą! Zabrałem je w długą konną podróż po Zachodzie i sprawdziłem wszystko, co pan w tych trzech tomach napisał. Dlatego mogę teraz powiedzieć, że wszystko się zgadza, aż do najdrobniejszych szczegółów.

— Dziękuję — odparłem krótko, widząc, że obserwuje, jakie wrażenie wywarła na mnie ta pochwała.

— Były jednak dwa miejsca — mówił dalej — których sprawdzić nie mogłem, jako że nie zdołałem ich jeszcze odnaleźć.

— O jakie miejsca chodzi?

— O Nugget Tsil i Ciemną Wodę, w której Santer znalazł swój zasłużony koniec. Czy podczas obecnej podróży zamierza się pan tam udać, sir?

— Może tak, może nie. Zadaje pan znowu zbyt wiele pytań, zamiast powiedzieć mi, czego właściwie pan ode mnie chce.

Zrobiłem taki ruch, jakbym chciał znowu się podnieść.

— Proszę niech pan siedzi — krzyknął pośpiesznie. — Zmierzam już wprost do celu, czy lepiej — wcale się od niego nie oddalałem. Chciałem tylko pokazać, że zweryfikowałem zawartość pańskich książek i uznałem, że warto je przetłumaczyć na angielski.

— Zweryfikował pan? Na to potrzeba lat.

— Zgadza się, zgadza się, sir! — potwierdził ochoczo, nie dostrzegając, że tym razem ja próbowałem go podejść. — Sporo czasu upłynęło, zanim dotarłem do tych miejsc.

— Czy dało się to pogodzić z pana pracą?

— Owszem, owszem. Zajmowaliśmy się wówczas handlem końmi, byłem, świniami i owcami i немало podróżowaliśmy po starym Zachodzie.

— Mówi pan “my”. A więc nie był pan sam?

— Tak, ale to nie był nikt obcy, tylko moi bracia. Było nas pięciu, dzisiaj żyje nas tylko dwóch. Nadal prowadzimy wspólny interes, ale nie zajmujemy się już końmi i bydlęciem, lecz książkami. Chcemy kupić prawa do pańskiego *Winnetou*...

— Tylko *Winnetou*...

— Tak, tylko — odparł.

— A dlaczego nie do innych książek, które są przecież również z gatunku podróżniczych opowieści?

— Dlatego, że nas inne nie interesują.

— Wydawało mi się, że najistotniejsze jest to, co interesuje czytelników?

— Być może, ale nie w naszej firmie. Chcemy tylko *Winnetou* i nic poza tym.

— Hm? A jak pan sobie wyobraża tę transakcję?

— Bardzo prosto; pan sprzeda nam raz na zawsze wszystkie prawa, a my panu raz na zawsze zapłacimy.

— Kiedy?

— Natychmiast. Mogę wręczyć panu już teraz dyspozycję dla dowolnego banku. Ile pan żąda?

— Ile pan oferuje?

— To zależy. Chcemy mieć prawo wydrukować tyle egzemplarzy, ile nam się spodoba.

— Zgoda — jeśli dojdziemy do porozumienia.

— A więc tak dużo lub tak mało, jak to nam będzie odpowiadało.

— Co to, to nie.

— Nie? Dlaczego?

— Oczywiście, że nie. Moje książki piszę po to, by były czytane, a nie po to, by zniknęły bez wieści.

— Zniknęły? — zapytał unosząc ze zdziwieniem brwi. — Kto powiedział, sir, że znikną?

— Wprawdzie nie było o tym mowy, ale wspomniał pan przecież, że chcecie mieć również prawo wydać tak mało egzemplarzy, jak wam się spodoba.

— Oczywiście. Jeśli okaże się, że tłumaczenie nie znajdzie nabywców, zrezygnujemy z dalszego druku. To jest przecież samo przez się zrozumiałe!

— Czy mówi pan poważnie, sir?

— Tak.

— Czy pańska podróż do Niemiec miała jeszcze coś innego na celu?

— Nie. Nie mam powodu ukrywać przed panem, że przybyłem tu wyłącznie dla tych trzech książek.

— W takim razie przykro mi, że przejechał pan taki szmat drogi na próżno. Nie sprzedam panu praw.

Przy tych słowach wstałem. On także uniósł się z krzesła. Nie potrafił ukryć swego ogromnego rozczarowania. Patrzył zdumiony, a kiedy się odezwał w jego głosie dało się wyczuć drżenie.

— Czy dobrze pana zrozumiałem, sir? Nie chce pan sprzedać *Winnetou*?

— Nie panu w każdym razie. Nie pozwalam pojedynczo tłumaczyć moich książek. Kto chce tłumaczyć jedną lub kilka, musi wziąć wszystkie.

— Nawet jeśli za te trzy tomy zapłacę tyle, ile chce pan za wszystkie?

— Nawet wtedy.

— Czy jest pan naprawdę tak bogaty, mister May?

— Nie, bynajmniej. W moim przypadku o bogactwie nie może być mowy. Nie mam nic poza dobrą gażą, która pozwala mi realizować moje cele. Ale to mi w zupełności wystarcza.

Jeśli zaś rzeczywiście zna pan *Winnetou*, powinien pan wiedzieć, że interesuje mnie nie bogactwo, a dobro wyższe i cenniejsze, które mogłoby również moim czytelnikom nieść prawdziwą radość i błogosławieństwo. Do tego z kolei niezbędny mi jest właściwy wydawca, a że pan nim być nie może, o tym właśnie zostałem przekonany.

Moja żona zdawała już sobie sprawę, że nic nie może zmienić mojej decyzji. Było jej żal jankesa, który stał przed nami z miną człowieka, którego spotkało coś strasznego i nieodwracalnego. Nie chciał uznać mojej odmowy za ostateczną. Próbował się sprzeciwić, argumentować, obiecywać, ale na próżno. Kiedy już nic mu więcej nie pozostało, powiedział:

— Mimo wszystko nie tracę nadziei, że dostanę *Winnetou*. Widzę, że pani May jest o wiele przychylniejsza mojej sprawie. Proszę z nią jeszcze o tym porozmawiać, a ja tymczasem naradzę się z bratem, który bądź co bądź jest moim współnikiem.

— Czy zamierza pan raz jeszcze przyjechać? Byłoby to równie daremne, co obecna podróż — oświadczyłem.

— Nie ma potrzeby, bym tu przyjeżdżał, bo, jak słyszę, pan wkrótce przybywa do Ameryki. Proszę dać mi jakiś adres i określić dzień, w którym mógłbym się stawić.

— Ale to również będzie daremne — zapewniłem.

— Skąd może pan teraz o tym wiedzieć? Czy nie jest możliwe, że po rozmowie z bratem będę mógł złożyć panu ofertę, która w większym stopniu wyjdzie naprzeciw pańskim celom i życzeniom?

Czułem, jak wewnętrznie drży w obawie, że i tu spotka go odmowa. Ja również mu współczułem, nie miałem jednak prawa dać moim emocjom pierwszeństwa przed decyzjami. Serduszko ostrzeliwała mnie błagalnymi spojrzeniami, a widząc, że nie skutkują, ujęła mnie za rękę. Powiedziałem więc:

— Dobrze, niech będzie! Dajmy sobie czas do namysłu! Moja żona nigdy jeszcze w Ameryce nie była. Szczególnie zależy jej na tym, by zobaczyć wodospad Niagara. Z Nowego Jorku popłyniemy więc parowcem w górę Hudsonu, do Albany. Potem pojedziemy koleją do Buffalo, a stamtąd do wodospadów jest już tylko godzina drogi. Nad wodospadami zatrzymamy się po stronie kanadyjskiej, w hotelu „Clifton“, gdzie...

— Znam go, znam go dobrze! — przerwał mi w pół zdania. — Bardzo dobry hotel. Pierwszorzędny, cichy, elegancki, wyposażony we wszystkie zdobycze nowoczesnej techniki, do tego...

— Well! — teraz ja wpadłem mu w słowo, chcąc przerwać ten potok komplementów, które wbrew pozorom skierowane były pod własnym adresem.

— Skoro pan go zna, to jest niewątpliwie dobry. Tam więc będzie można nas znaleźć.

— Kiedy?

— Tego jeszcze nie wiem. Najlepiej będzie, jeśli skontaktuje się pan z kierownictwem hotelu i poprosi, by was zawiadomiono o moim przybyciu.

— Słusznie! Tak będzie najlepiej i tak też zrobię!

Na tym też stanęło. Po kilku uprzejmościach na pożegnanie wizyta dobiegła końca. Wizyta, która miała się okazać o wiele ważniejsza, niż wówczas miałem podstawy przypuszczać.

Serduszko nie była ze mnie całkiem zadowolona. Łatwo w niej wzbudzić współczucie i litość — zalęknione, udręczone spojrzenie naszego niespodziewanego gościa prześladowało ją jeszcze przez kilka dni. Uważała, że zachowywałem się w stosunku do niego nieuprzejmie i odpychająco.

— Dlaczego tak postąpiłeś? — spytała.

— Ponieważ mnie okłamał — odpowiedziałem. — Ponieważ nie był całkowicie otwarty i szczerzy. Czy wiesz, kim naprawdę jest?

— Owszem.

— Kim więc?

— Jednym z pozostałych przy życiu synów owej prześladowanej manią samobójczą rodziny.

— Zgoda, ale to nie wszystko. Nie nazywa się Enters.

— Myślisz, że występuje pod fałszywym nazwiskiem? Uważasz go za oszusta, hochsztaplera?

— Nie. Pod swoim prawdziwym nazwiskiem nie występuje dlatego właśnie, że jest człowiekiem uczciwym. Wstydzi się go. Przypuszczam nawet, że zrezygnował z niego pod wpływem lektury *Winnetou*...

Serduszko patrzyła na mnie bez słowa szeroko otwartymi oczyma. Mówiłem więc dalej:

— Jestem przekonany, iż znam jego prawdziwe nazwisko.

— Jakie to nazwisko?

— Ten człowiek nazywa się Santer.

— O jakim Santerze mówisz? Mordercy ojca i siostry Winnetou? — wydusiła z siebie w najwyższym zdumieniu Serduszko.

— Tak. Nasz gość jest jego synem.

— To nie do wiary, nie do wiary!

— A jednak!

— Jakie masz na to dowody?

— Nie są tu wcale potrzebne specjalne dowody. Powinnaś wpaść na to tak samo łatwo i szybko jak ja.

— Mówisz poważnie? Jak na razie rozumiem jedynie to, że uważasz go za kłamcę, ponieważ przedstawił się jako Enters zamiast Santer.

— To mało, o wiele za mało. Gdyby na tym jedynie opierały się moje wnioski byłbym najgorszym z tropicieli, greenhornem, oferma, który powinien się wstydzić swego rozumowania. Zwróć jednak uwagę na przykład na to, że specjalnie najął sobie kogoś do czytania, aby móc natychmiast robić notatki. Kiedy to było?

— Parę ładnych lat temu. Sam to powiedział.

— Świetnie! A po co mu były te notatki?

— Robił je z powodów czysto literackich, dla celów wydawniczych. To też powiedział.

— Zgadza się! I tutaj mamy już kłamstwo, tu zaczyna się trop, który zaprowadzi nas do jego prawdziwego nazwiska. Sam przyznał, że handlował wówczas na wielką skalę byłem rzeźnym, a wiesz doskonale, kiedy przerwał tę działalność. Czy tak?

— Tak. To przedsiębiorstwo zostało sprzedane dopiero w zeszłym roku. Tak powiedział wczoraj lekarzowi.

— Jak z tym pogodzić “wydawnicze” notatki sprzed wielu lat? Czy wierzysz w nie jeszcze?

— Nie! W to już nie! Wiesz, dopiero zaczynam rozumieć. Być może nawet nie jest wcale wydawcą!

— O tym nie pomyślał! Teraz jesteś już obok mnie na właściwym tropie! Pomyśl: ledwie usłyszał od znajomego o *Winnetou*, już najął człowieka do tłumaczenia i czytania. Czy można zakładać, że przeczytano mu u znajomego wszystkie trzy tomy?

— Na pewno nie.

— Tak i ja myślę. Mógł tam usłyszeć jedynie jakieś fragmenty. Jeśli więc potem natychmiast najął sobie prywatnego tłumacza, aby w jego tylko towarzystwie zapoznać się z całą resztą książki, to owe fragmenty musiały mieć dla niego ogromne znaczenie, musiały dotknąć go i poruszyć do głębi. A może sądzisz, że chodziło o sprawy czysto literackie, wydawnicze?

— Nie.

— Albo jakiś interes?

— Również nie. Musiało to dotyczyć, jak słusznie przypuszczasz, jego psychiki, ducha.

— Innymi słowy jego życia wewnętrznego, prywatnego, a więc również stosunków rodzinnych. Robił notatki z tego, co mu czytano. Dlaczego i po co? Chyba nie po to tylko, by niczego nie zapomnieć! To, co porusza do głębi, człowiek zapamiętuje bez notatek. Sam przyznał, że te notatki wydały mu się “niezbędne” i że przy ich pomocy lata całe poruszał się po Zachodzie...

— W poszukiwaniu zaginionego ojca... — wpadła mi w słowo Serduszko.

Skinąłem głową i powiedziałem:

— Bardzo dobrze, wspaniale! Właśnie w poszukiwaniu zaginionego ojca! Chciałem przytoczyć jeszcze kilka innych wniosków, aby sprawa stała się dla ciebie całkiem zrozumiała, skoro jednak doszłaś już do celu, nie jest to, przynajmniej na razie, konieczne. Chciałbym tylko ci jeszcze przypomnieć, jak pilno mu było dowiedzieć się, drogi do dwóch miejsc, których, jak powiedział, nie zdołał jeszcze odnaleźć. Myślę o Nugget Tsil i Ciemnej Wodzie.

— Czy musiało mu chodzić właśnie o Santera?

— Tak.

— O żadną inną osobę? Również nie o nugety?

— Nie. Z innych osób w grę wchodzi tylko ja, bo wszyscy pozostali albo nie żyją, albo nie mają znaczenia, a śmiechu warte byłoby założenie, że to z mojego powodu całymi latami przetrząsał Zachód. Swoimi odwiedzinami dowiódł zresztą, że wie doskonale, jak łatwo i szybko można mnie odnaleźć. A co do nugetów, to czytał przecież, że zginęły bezpowrotnie i że nikt nie zdoła ich odszukać. To co się wydarzyło na Nugget Tsil i nad Ciemną Wodą dotyczy więc w gruncie rzeczy dwóch tylko osób: Santera i mnie. Wszystkie inne albo odegrały rolę daleko mniej istotną, albo zginęły. Ja nie wchodzę w grę, zostaje tylko Santer. A teraz uważaj, Serduszko! Chcę powiedzieć na czym przede wszystkim opiera się moje rozumowanie. Ten rzekomy Enters chce kupić mojego *Winnetou*. Po co? Żeby go przetłumaczyć i wydać? Przeciwnie, nie chce dopuścić do ukazania się opowieści w Ameryce. Tu miałaś rację. To się dało wywnioskować z jego słów, a w szczególności z przestachu, jaki go ogarnął po twojej niespodziewanej odmowie. Nie potrafił go ukryć. Nie chce, by ktokolwiek w Ameryce dowiedział się o przeszłości i występkach jego ojca.

— Zgadza się. Do tego właśnie zmierzałem. Uprzedziłaś mój wywód, ale co do jego wniosków końcowych nie mam najmniejszych wątpliwości. Myślał, że dam się omamić jego dolarami, choć musiał przecież wiedzieć z *Winnetou*, że nie jestem wrażliwy na taką przynętę. Cała ta wizyta i oferta zakrawały właściwie na obelgę i powinienem był zareagować zupełnie inaczej.

— Pewnie więc gniewasz się na mnie?

— Czy się gniewam? A za co?

— Za to, że nakłoniłam cię do tego, byś go w końcu nie odprawił z niczym i dał szansę podczas jeszcze jednego spotkania.

— O nie! Nawet ty nie jesteś w stanie spowodować bym jakieś wyższe dobro rozmiął na zwykłe pieniądze. Z pewnością też będziesz ostatnią osobą, która by mnie mogła o to podejrzewać. Na spotkanie nad Niagarą zgodziłem się z tego względu, że istnieją bardzo istotne powody, dla których lepiej będzie nie spuszczać już z oczu braci Santerów czy też Entersów. Wiesz przecież, że doświadczony westman nie ma zwyczaju odwracać się plecami od niebezpiecznych osób.

— Niebezpiecznych? — spytała. — Uważam tego Entersa, który co prawda nazywa się chyba Santer, za kogoś przyzwoitego.

— Ja również. Ale czy nawet uosobienie dobroci nie miewa kaprysów? Czy w ciągłym przygnębieniu i, chciałoby się rzec, chorym jestestwie tego człowieka nie tkwi niebezpieczeństwo jakiejś eksplozji? A czy znamy jego brata? Jak wiesz rodzeństwo może się bardzo między sobą różnić charakterem i temperamentem. Jestem przekonany, że spotkamy tego brata nad Niagarą, a wtedy okaże się jak należy z nimi postępować, by obaj nie poszli w ślady ojca. Doktor mówił wczoraj o mieszkającym w nich demonie. Ten demon nas tutaj odnalazł. To Santera żąda mordu. Jak widzisz nasza podróż zrobiła się niezwykle interesująca, zanim jeszcze ruszyliśmy się z miejsca.

— Czy uważasz, że będzie niebezpieczna?

— O, nie! Uważam jedynie, że musimy zobaczyć Górę Winnetou i Tatella-Satę, "strażnika wielkiej wiedzy medycznej". Pisz, żebyś "ratował" mojego Winnetou. W takiej sytuacji niebezpieczeństwo dla mnie nie istnieje. A dla ciebie?

— Dla mnie również! Pojadę z radością!

— A więc życzymy sobie szczęśliwej podróży!

Do kraju Indian

Byliśmy nad wodospadami. Mieszkaliśmy w Clifton-House, niedaleko kanadyjskiego końca mostu wiszącego. Z hotelu rozciągał się niezrównany widok na wałące się majestatycznie w dół masy wodne. Najlepsze pokoje — z oknami wychodzącymi na wodospady — znajdowały się na pierwszym piętrze. Ze wszystkich pokoi można było wyjść na wspólny taras szerokości około ośmiu kroków, nad którym rozciągnięty był podparty filarami dach. Na ów taras wychodziło się przeszedłszy pokój wszerz po wejściu z korytarza. Oba wodospady — prosty i wygięty w kształcie podkowy — były z niego szczególnie dobrze widoczne.

Gdybyśmy byli w Niemczech, goście z pierwszego piętra kręciliby pewnie nosem na ów wspólny zadaszony taras i bardzo szybko przegrodzono by go ściankami. Tu jednak człowieka oddzielały od innych tak wysokim i mocnym, acz niewidocznym, murem, że nie trzeba budować drewnianych ścianek, by ochronić się przed natarczywością i niedyskrecją. Mimo to ucieszyło mnie, że kiedy przybyliśmy, wolny był akurat apartament położony w bliższym wodospadom końcu korytarza, a więc sąsiadujący z jednym, a nie z dwoma innymi apartamentami. Jak się okazało sąsiedni zajmowały dwie osoby — Hariman F. Enters i Zebulon L. Enters.

Spodziewałem się, że bracia nie będą czekali, lecz zjawią się jak najszybciej, by być przy naszym przyjeździe. Tego jednak, że będziemy mieszkali w sąsiednich apartamentach oczywiście nie mogłem przewidzieć, co nie znaczy, by ta bliskość przeszkadzała.

Każdy nowo przybyły gość miał obowiązek wpisać się w biurze na listę. To była jedyna informacja, jakiej się od niego wymagało. Wpisałem nas jako “państwa Burtonów”. Ten kamuflaż był o tyle konieczny, że właściwy powód naszego przybycia zobowiązaliśmy się zachować w tajemnicy. Musiałem więc zrezygnować z posługiwania się moim prawdziwym nazwiskiem, które było tu ogólnie znane.

Nasz apartament składał się z trzech pomieszczeń. Pokój żony znajdował się po stronie wodospadu w kształcie podkowy i był wprawdzie większy od mojego, ale nie miał balkonu. Z mojego widać było wodospad amerykański, a choć był mniejszy, miał wyjście na taras, gdzie mogłem się również wygodnie urządzić. Pomiedzy tymi pokojami znajdowała się toaleta w praktyczny amerykański sposób połączona z garderobą. Kiedy pokazywano nam ten apartament zapytałem kelnera, kto mieszka obok.

— Dwaj bracia, jankesi o nazwisku Enters — odpowiedział. — Ale oni właściwie tylko tu śpią. Jedzą gdzie indziej. Wcześniej wychodzą, a wracają dopiero późnym wieczorem, kiedy już nic nie podajemy.

Zrobił przy tym dość osobliwą minę tak, że postanowiłem pytać dalej:

— Dlaczego tak robią? Kelner wzruszył ramionami:

— Clifton-House jest hotelem pierwszej klasy. Kto do niej nie należy, może tu spać, ale nie będzie chciał jeść i obcować z innymi gośćmi. Być może spróbuje, ale tak szybko zostanie rozpoznany i odepchnięty, że z pewnością tej próby nie powtórzy.

To było szczere postawienie sprawy! Tutejsi kelnerzy, przynajmniej w sześćdziesięciu procentach pochodzili z Niemiec lub Austrii. Ten był kanadyjskim Anglikiem — stąd też jego samodzielność i pewność siebie. Widząc, że spogląda na mnie badawczo, by nie rzec taksująco, powiedziałem, że należę do tej klasy, która ogólną sumę napiwku dzieli na dwie części. Jedną daje zaraz po przybyciu, aby dać do zrozumienia czego oczekuje, drugą zaś, albo w ogóle nic, przy odjeździe, aby pokazać swoje zadowolenie lub jego brak. Z tymi słowami włożyłem mu w rękę pierwszą część napiwku. Kelner obejrzał najpierw banknot bez skrzępowania, potem jednak skłonił się z szacunkiem w sposób, którego nie powstydziliby się żaden Niemiec czy Austriak i rzekł:

— Gotów na każde skinienie! Polecę państwa również pokojówce! Może ci Entersowie są panu niewygodni, mister Burton? Natychmiast ich przeniesiemy.

— Proszę ich zostawić. Nie przeszkadzają nam. Kelner uklonił się raz jeszcze z wielkim uniżeniem, po

czym oddalił się emanując wszelką gotowością. Kiedy pojawił się znowu, aby przedstawić nam pokojówkę, łatwo zauważyliśmy, że wie już ona o sposobie wypłaty napiwku, i umożliwiliśmy jej równie efektowne zejście ze sceny. Oczywiście, ani tego nie robiliśmy, ani też — tym mniej jeszcze — nie opowiadaliśmy o tym, by przechwalać się swymi pieniędzmi. Jak już stwierdziłem, nie jestem wcale bogaty, poza bieżącymi dochodami nie dysponuję żadnym innym majątkiem. Rezultaty takiego traktowania służących

— to, że okazałem im względy i dałem do zrozumienia, iż potrafię być wdzięczny — nie dały długo na siebie czekać i one to najlepiej wytłumaczają moją hojność.

Przyjechaliśmy po południu i jeszcze tego samego dnia wybraliśmy się na dwie wycieczki, które koniecznie powinien odbyć każdy, kto kiedykolwiek zawita w te strony — kolejową i wodną.

Tor kolejowy zjeżdża na kanadyjskim brzegu ostro w dół, by na brzegu amerykańskim wrócić znowu do poprzedniego poziomu. Głęboko, głęboko w dole gotują się i pienią wodne odmęty, z których sterczą pionowo w górę ostre skały. Tory kolejowe przebiegają częstokroć w odległości najwyżej dwóch metrów od przepastnego urwiska. Pociąg jedzie szybko, a ponieważ pasażerowie mają przed oczami tylko otwartą paszczę przepaści oraz przeciwległy brzeg, od początku do końca tej podróży ma się niesamowite wrażenie, że wagony wjeżdżają rozpędem w przepaść, by zwalić się w dół i roztrzaskać wśród spienionych fal. Rejs wodny odbywa się na znanej i lubianej „Maid of the Mist“, która płynie śmiało aż pod sam wodospad i przybija z pasażerami do takiego miejsca, że mogą nie bez podstaw przechwalać się później, iż byli „za ścianą wody“.

Zjadłszy kolację przy dźwiękach doskonale grającego kwartetu skrzypcowego w położonej na parterze sali jadalnej, udaliśmy się do naszego apartamentu, a ściślej mówiąc na taras, skąd mogliśmy podziwiać piękno wodospadów rozświetlonych tajemniczym blaskiem księżyca. Było już koło jedenastej, kiedy bezgłośnie i w najwyższym pośpiechu zjawiała się pokojówka i powiedziała:

— Przyszli bracia Entersowie.

— Gdzie są? — spytała Serduszko.

— Jeszcze w biurze. Co wieczór zanim udadzą się do swego pokoju przeglądają księgę.

— Po co?

— Sprawdzają, czy nie przybyło niemieckie małżeństwo, państwo May. Początkowo pytali, teraz jednak sami sprawdzają, bo wiedzą, że nikt ich tu nie darzy specjalną sympatią. Ja również z nimi nie rozmawiam.

Oddaliła się, a my nie chcąc, by nas zobaczyli, również opuściliśmy taras. Ta informacja była pierwszym owocem wypłaconego na poczet przyszłych usług napiwku. Aby docenić jej użyteczność wiedzieć trzeba, że wszystkie drzwi wychodzące na taras posiadały specyficzną konstrukcję. Chodziło o to, by uchronić gości w apartamentach od wścibskich spojrzeń, a jednocześnie dać im dostęp do dowolnej ilości światła i powietrza. Dlatego drzwi te zaopatrywano w szyby i żaluzje. Można je było dowolnie otwierać i zamykać, a dodatkowo jeszcze zasłaniać firankami. Tak więc osoby przebywające w apartamentach mogły w każdej chwili zobaczyć i usłyszeć, co się odbywa na zewnątrz, same przy tym pozostając w całkowitym ukryciu. Dlatego zostaliśmy w moim pokoju i nie zapalając światła otworzyliśmy żaluzje. Byliśmy bowiem przekonani, że bracia nie zostaną wewnątrz, lecz wyjdą na taras.

Tak też się stało. Wkrótce się pojawili. Księżyc świecił jeszcze i w jego blasku natychmiast rozpoznaliśmy tego z braci, który odwiedził nas w Niemczech. Rozmawiali chodząc wzdłuż barierki. Potem usiedli i to właśnie przy stole, który stał w naszym końcu tarasu. Kazałem go zostawić, bo potrzebny mi był do pisania. Słyszeliśmy każde słowo, choć z początku rozmawiali o sprawach dla nas nieistotnych. Dopiero później nastąpiła na krótką chwilę cisza, przzerwana raptownie i głośno przez tego z braci, którego nie znaliśmy, a więc Zebulona.

— Nieznośna sytuacja! Mam dosyć siedzenia tutaj! Zanim przyjadą upłynie może jeszcze parę tygodni!

— Nie bój się! — odparł Hariman. — Przyjadą tu przecież przed rozmowami z wydawcami. Każdego dnia można się ich spodziewać.

— Zostajesz przy swoim zamiarze?

— Tak. Musimy być uczciwi. Ten człowiek nie obszedł się ze mną najdelikatniej, ale odniosłem wrażenie, że z jego strony nie musimy się obawiać nieuczciwości. A co do jego żony, to mam ją niemal po swojej stronie. Byłoby mi naprawdę przykro, gdybym musiał postąpić z nią nieuczciwie.

— Też coś! Nieuczciwie! Co to znaczy — nieuczciwie! Uczciwym trzeba być przede wszystkim w stosunku do samego siebie! A jeśli chcemy zrobić interes, który, o ile się do niego mądrze zabierzemy...

— Pss! Cicho! — syknął drugi.

— O co chodzi?

— Stary może nas usłyszeć. Mówiąc to wskazał na nasze drzwi.

— Stary? — zapytał Zebulon. — Wiesz przecież, że codziennie do punkt dwunasta siedzi w czytelnicy, a potem do pierwszej, czyta jeszcze godzinę w swoim pokoju. Światło się nie pali, a więc jest na dole.

— Wszystko jedno! Poza tym jestem już zmęczony. Idę spać. Jutro do Toronto, a powrót dopiero pojutrze. Musimy odpocząć. Chodź!

Wstali od stołu i weszli do środka. Niewiele usłyszeliśmy, ale wiedzieliśmy przynajmniej, że Hariman F. Enters nie chce nas oszukać. I byliśmy przekonani, że w tym względzie warto byłoby dowiedzieć się czegoś więcej o jego bracie, Zebulonie.

Kiedy nazajutrz zeszliśmy na śniadanie, kelner powiadomił nas, iż nasi sąsiedzi opuścili czasowo hotel i w razie przybycia niejakich państwa May prosili im powtórzyć, że pojechali do Toronto i wrócą dopiero jutro wieczorem. Kelner uczynił przy tym lekceważący ruch ręką i dodał:

— Rowdies, ci Entersowie! Ledwo się ich tu toleruje. Skoro ci państwo May zadają się z takimi jak oni, z pewnością również tutaj nie pasują. Nie dostaną pokoju!

Jak dobrze, że zjawiliśmy się tu pod innym nazwiskiem! Również ta ostatnia wypowiedź

kelnera stanowiła pewne ostrzeżenie. Słowem “rowdy” określa się ludzi nieokrzesanych, aczkolwiek niekoniecznie złych.

W hotelu “Clifton” nie ma wielkich wspólnych stołów, a tylko pojedyncze. Najlepiej jednak je się na przylegającej do jadalni werandzie, która jest na tyle wąska, że stoły ustawione są na niej w dwóch tylko rzędach. Rozciąga się stąd wspaniały widok na wodospady. Upatrzyliśmy sobie jeden z tych stołów i postanowiliśmy zarezerwować dla siebie. Kiedy spytaliśmy, czy to możliwe, kelner odrzekł:

— Normalnie, nie, ale dla państwa Burtonów zrobimy wyjątek. Załatwię to. Najlepiej jednak byłby nie ten, a najdalszy stół, bo siedzących przy nim można obserwować, podsłuchiwać i zaczepiać tylko z jednej strony. Ten jednak jest już zajęty przez pewnych dżentelmenów. Im również tego odmówiono.

Do tej pory mówił normalnym głosem. Teraz jednak dodał ciszej:

— Oni płacą za wszystko nugetami! Oddali w depozyt całą ciężką torbę samorodków!

Wiele osób bezskutecznie próbowało usiąść przy tym stole, aż wreszcie, kiedy śniadanie dobiegało już końca, na sali pojawiło się dwóch mężczyzn, na których natychmiast zwróciły się wszystkie oczy. Liczyli sobie mniej więcej po tyle samo lat i byli Indianami. To dało się poznać od razu. Wysocy, barczyści, o ostrych lecz szlachetnych rysach przeszli z wolna, zdając się na nikogo nie oglądać, do stołu i usiedli. Mieli na sobie eleganckie, lecz normalnie skrojone garnitury, także fryzurami nie różnili się niczym od innych mężczyzn. Można było jednak iść o najwyższy zakład, że właściwszą scenerią dla tych władczych sylwetek byłby koński grzbiet, step i potężne bloki Gór Skalistych. Mimo głębokiej opalenizny w ich twarzach dostrzegalny był ów nieuchwytny rys charakterystyczny dla ludzi myślących, którzy zwykli swe spojrzenia kierować ku sprawom wyższym. O takich ludziach mówi się, że mają uduchowione twarze. Owo wrażenie uduchowienia jest większe, głębsze i trwalsze, jeśli jednocześnie w ich oczach gości smutek oplakujący minione bezpowrotnie lata i swego kresu dobiegające dni umierającego ludu. Tę cichą i głośną zarazem, nieopisaną elegię śpiewały oczy obu Indian.

— Oto i obaj dżentelmeni — powiedział kelner. — Wykwintni ludzie, choć Indianie! Pierwsza klasa!

I dla zaakcentowania swej aprobaty strzelił palcami.

— Skąd przybyli? — zapytałem.

— Dokładnie nie wiem. Jeden z bardzo daleka, drugi z bliższych okolic. Jechali przez Quebec i Montreal, w górę rzeki.

— Jak się nazywają?

— Mister Athabaska i mister Algongka. Piękne nazwiska, nieprawdaż? Brzmiały zupełnie bajecznie! I to jest bajka na jawie — płacą tylko nugetami!

To było jego kryterium, dawał mu wyraz bez najmniejszego skrępowania. Powiedział nam jeszcze, że “dżentelmeni” mają swój apartament w obsługiwanym przez niego korytarzu, największy i najdroższy w całym hotelu. Potem musiał zająć się innymi gośćmi.

Mr Athabaska i Mr Algongka jedli powoli i z umiarem, zachowywali się w taki sposób, jakby w hotelu “Clifton” mieszkali od urodzenia. Przyjemnie było na nich popatrzeć. Robiliśmy to oczywiście możliwie najdyskretniej. Serduszkowi przypadła do gustu szczególnie godność, z jaką ci niezwykle ludzie wykonywali najmniejszy nawet ruch oraz skromny sposób bycia i noszenia się. Nie mieli na sobie żadnych sygnetów, dewizek, czy jakichkolwiek innych przedmiotów, które mogłyby sugerować zasobność czy wręcz bogactwo właścicieli. To bardzo odpowiadało upodobaniom mojej żony, która zwykle dopiero pod moją presją

kupuje sobie nowy kapelusz czy suknię. Moją szczególną uwagę zwrócił fakt, że wbrew zwykłej indiańskiej małomówności obaj bardzo żywo ze sobą rozprawiali, zapisując coś raz po raz w notesach, które przynieśli ze sobą. Owe notesy zdawały się być dla nich czymś niezmiernie ważnym, gdyż obchodzili się z nimi z wielką uwagą i dbałością, jak ze swymi skarbami. Zapisków dokonywali szybko i wprawnie, co dowodziło doskonałej umiejętności pisania. Widać było, że ci ludzie potrafią robić użytek nie tylko z tomahawku czy noża myśliwskiego, ale również z pióra i ołówka, i że nawykli do pracy umysłowej.

W hotelu "Clifton" jest zwyczaj dawania napiwków po każdym posiłku. Nie omieszkaliśmy tego uczynić, a kelner, który dostrzegł nasze zainteresowanie Indianami, natychmiast zapytał:

- Czy zarezerwować dla państwa stół obok stołu dżentelmenów?
- Tak — pośpieszyła z odpowiedzią Serduszko.
- Na wszystkie posiłki?
- W ogóle!
- Well. Zajmę się tym.

Kiedy przyszedliśmy na obiad, wodzowie siedzieli już przy stole. Zajęte były także wszystkie inne stoły, poza stołem zarezerwowanym dla nas. Nasz kelner już czekał i przekazał nam, że dyrekcja będzie zaszczycona, jeśli uznamy ten stół za własny przez okres naszego pobytu. Siedzieliśmy teraz tak blisko Indian, że z łatwością mogliśmy usłyszeć, o czym mówią. Znowu mieli ze sobą notesy i dużo w nich pisali, zwłaszcza w przerwach między daniami, często jednak również podczas jedzenia, odkładając na bok sztucce. Proszę sobie wyobrazić moje zdumienie, kiedy się okazało, że mówią w języku Winnetou i że postawili sobie zadanie uchwycenia i określenia wspólnych rysów języków atabaskijskich, do których należy również język Apaczów! Dla Athabaski była to praca nad różnymi dialektami jego ojczystej mowy, ale nie dla Algongki, który pochodził moim zdaniem z kanadyjskiego plemienia Kri. Podczas ożywionej rozmowy powiedział coś dla mnie bardzo interesującego, a mianowicie, że posiada kilka zbiorów słów azteckiego języka Nuahatl, spokrewnionego z jego językiem ojczystym. Najważniejszą jednak zdobyczą naszego biernego udziału w rozmowie Indian, była wypowiedziana mimochodem uwaga, z której wynikało, że oni również udają się na Górę Winnetou i że rozmawiają w języku Apaczów po to tylko, by przed dotarciem do celu zdobyć pewną wprawę. Cóż za zdumiewająca wiedza lingwistyczna! Ci ludzie byli poliglotami, a z pewnością również wodzami! Jednak nie koniec na tym — musieli być czymś więcej jeszcze! Kim? Tym pytaniem nie trzeba się było teraz zajmować. Zmierzaliśmy do tego samego celu i byłem całkowicie przekonany, że na miejscu będziemy mieli sposobność poznać się bliżej, niż to było możliwe nad Niagarą.

Po południu pojechaliśmy do Buffalo na Forest Lawn Cemetery, gdzie znajduje się pomnik i grób słynnego wodza Sa-go-je-wat-ha. Przywieźliśmy mu kwiaty. Tego niezwykłego człowieka, który dzisiaj jeszcze nazywany jest "wielkim i niezrównanym mówcą"⁵ wszystkich Indian Seneków" darzę szczególną sympatią i szacunkiem. Cmentarz, na którym leży jest piękny, rzec by można niepowtarzalny. Amerykanie potrafią w genialny niemal sposób urządzać cmentarze. Przewyciężają również śmierć w sensie artystycznym, nie zaznaczając miejsc wiecznego spoczynku, które przecież nie są niczym więcej jak symbolem rozkładu, jakimkolwiek wzniesieniem. Przeciwnie, przemieniają śmierć w życie, wybierając na cmentarze miejsca o urozmaiconej rzeźbie terenu i przeobrażając je w jasne, przeświecone słońcem i radujące zielenią parki, w których odległe jeden od drugiego grobki

⁵ dosłownie (ang.) *strong and peerless orator* - napis na kamieniu nagrobnym wodza (1756-1830), przy którym Karol May sfotografował się podczas swej podróży do Ameryki w roku 1908. Ta właśnie podróż skłoniła go do napisania niniejszej książki.

budzą w zwiedzającym myśl o zmartwychwstaniu. Spoczywający na tych cmentarzach cieszą się wzruszającą równością umarłych. Ubogi staje się gościem bogacza, nieuczony leży ramię w ramię z wykształconym, a najnikczemniejszy stanem otrzymuje darmo miejsce wśród patrycjuszowskich marmurów. Biedny, nie znany nikomu, bezimienny człowiek ginie na drodze. Przechodzący przypadkiem milioner przystaje. Pyta, czy ktoś zna nieszczęśnika. Odpowiedź brzmi — nie. “A więc należy do mnie” — mówi milioner, zabiera zmarłego i daje mu miejsce w swoim grobie rodzinnym. Tak zrobił pewien jankes. Czy słyszeliście, by ktokolwiek inny zrobił coś takiego?

Był piękny, jasny, nagrany słońcem dzień. Złożywszy kwiaty na kamieniu nagrobnym wodza usiedliśmy na najniższym stopniu cokołu, na którym stała wykuta w kamieniu jego sylwetka sięgająca głową wierchołków zasadzonych wokół drzewek. Rozmawialiśmy o nim niemal szeptem, tak jak rozmawiają na grobach ludzie wierzący w zmartwychwstanie i inne życie. Dlatego też nie usłyszały nas osoby, które zbliżały się z przeciwnej strony pomnika. Nie usłyszeliśmy ich i my, gdyż miękka trawa tłumiła odgłos kroków. Osoby te nie mogły też nas ujrzeć, zanim nie okrążyły zasłaniającego nas przed nimi cokołu. Zobaczyliśmy się więc jednocześnie. Przed nami stali nasi indiańscy znajomi z hotelu “Clifton”. Także oni chcieli odwiedzić słynnego mówcę Seneków. Jasne było dla nich, że i my przyszliśmy w tym samym zamiarze. Mimo to nie dali po sobie poznać, że nas w ogóle zauważyli. Szli dalej powoli po kamieniach, które wkopano od frontu dla upamiętnienia osoby leżącego tu wodza i członków jego rodziny. Tam też leżały nasze kwiaty. Na ich widok stanęli.

— Uff — powiedział Athabaska. — Ktoś przemówił tu w języku miłości! Któż to mógł być?

— Z pewnością nie te blade twarze — odrzekł Algongka. Schylił się i podniósł kilka kwiatów, aby się im przyjrzeć.

Athabaska zrobił podobnie. Zamienili szybko zdziwione spojrzenia.

— Są jeszcze świeże, ścięte niespełna godzinę temu.

— A położone tutaj przed niecałym kwadransem — potwierdził Algongka przyglądając się świeżym śladom naszych stóp. — A więc to jednak te blade twarze.

— Tak. Porozmawiamy z nimi?

— Jak mój brat chce. Zostawiam to jemu. Wodzowie nie mylili się. Kwiaty kupiliśmy nie nad

Niagarą, a tutaj w Buffalo i to świeżo ścięte. Serduszko zatrzymała dwa z nich, jeden dla siebie i jeden dla mnie. Krótkie zdania, które dotychczas między sobą wymienili Indianie, wypowiedziane zostały w języku Apaczów. Położyli teraz kwiaty z powrotem delikatnie i ostrożnie na ziemi, po czym Athabaska powiedział do nas po angielsku:

— Wydaje nam się, że to wy położyliście te kwiaty. Czy to prawda?

— Tak — odpowiedziałem wstając grzecznie z miejsca.

— Dla kogo są one przeznaczone?

— Dla Sa-go-je-wat-ha.

— Z jakiego powodu?

— Bo go kochamy.

— Tego, kogo się kocha, trzeba znać!

— Znamy go i rozumiemy.

— Rozumiecie? — zapytał Algongka przymrużając oczy dla podkreślenia swego sceptycyzmu. — Czy słyszeliście jego głos? Dawno go już nie ma wśród żyjących! Minęło

już niemal osiemdziesiąt lat od jego śmierci.

— On żyje. Nie umarł. Słyszeliśmy jego głos wielokrotnie i ten, który ma otwarte uszy, ten usłyszy go i dzisiaj tak samo wyraźnie jak wtedy kiedy przemawiał do klanu Wilków w swoim plemienu. Oni go niestety nie usłyszeli!

— Cóż mieliby usłyszeć?

— Nie tylko dźwięk jego słów, ale ich głęboki, od wielkiego Manitou pochodzący sens.

— Uff! — zawołał Athabaska. — Jaki sens?

— Że żaden człowiek, żaden lud i żadna rasa nie może pozostawać niedorostkiem i pacholkiem. Że każdą prerię, każdy szczyt i każdą dolinę, każdy kraj i każdą bez wyjątku część ziemi Bóg stworzył po to, by nosiły ludzi cywilizowanych, a nie tych, którzy nie potrafią wyrosnąć z bijatyk i awantur. Że wszechmocny i wszechdobry opiekun świata daje każdemu człowiekowi i każdemu narodowi czas oraz sposobność ku temu, by pozostawił za sobą ten dziecięcy, chłopięcy wiek. I wreszcie, że każdy, kto mimo to trwa w niedojrzałości i nie chce kroczyć naprzód, traci prawo do dalszego istnienia. Wielki Manitou jest litościwy, ale jest również sprawiedliwy. Chciał, by również Indianie byli litościwi, szczególnie w stosunku do swych własnych współbraci. Kiedy jednak Indianie nie chcieli przestać się nawzajem tępić, posłał im blade twarze...

— Aby tym szybciej się nas pozbyć! — wpadł mi w słowo Algongka.

Obydwa z widocznym napięciem czekali na moją odpowiedź.

— Nie, po to, by was ratować — odparłem. — Sa-go-je-wat-ha zrozumiał to i chciał, by jego lud również to zrozumiał, ale nikt nie chciał go słuchać. Jednak nawet dziś nie jest za późno na ratunek, o ile Indianie zdołają przemienić się z dzieci w mężów.

— A więc wojowników? — zapytał Algongka.

— O, nie! Bo zabawa w wojnę jest dla czerwonej rasy najpewniejszym dowodem na to, że nie wyszła z wieku dziecinnego i że jej miejsce muszą zająć ludzie o wyższych dążeniach. Stać się mężem nie znaczy stać się wojownikiem — znaczy stać się osobą. Wielki wódz Seneków, na którego grobie stoimy mówił o tym wielokrotnie. Powtarzam to raz jeszcze, a usłyszycie w tym nie mój głos, lecz jego. Jeżeli pójdziecie za jego wskazaniem, znaczyć to będzie, że dla was nie umarł, ale żyje i w was dalej będzie żyć!

Uchyliłem kapelusza, aby się oddalić. Wtedy ku memu zdumieniu odezwała się Serduszko. Powiedziała:

— I weźcie te dwa kwiaty. Nie są ode mnie, lecz od niego! Kwiaty zrozumienia, dobroci i miłości, którymi niegdyś obdarował swój lud, są zwiędłe tylko pozornie, ich woń jednak pozostała. Popatrzcie, jak promienie słońca cicho i powoli przesuwają się, by oświetlić i ogrzać wykute w kamieniu imiona! Posłuchajcie szeptu liści, spośród których słońce wypłoszyło cień! Ten grób nie jest martwy. Chodźmy!

Wręczyłem każdemu po jednym kwiecie.

— Zostańcie z nami! — poprosił Athabaska.

— Tak, zaczekajcie jeszcze — przyłączył się do niego Algongka. — Skoro go kichacie, macie prawo do tego miejsca.

— Poczekamy — odpowiedziałem. — Jestem jego przyjacielem, wy zaś braćmi. To miejsce należy do was. My mamy jeszcze czas.

Odeszliśmy nie oglądając się za siebie. Kiedy znaleźliśmy się na tyle daleko, że stracili nas z oczu, Serduszko zapytała:

— Mam nadzieję, że nie popełniliśmy żadnego błędu.

— Nie — odparłem. — Dlaczego?

— Ty przy pierwszym spotkaniu wygłosiłeś całą mowę, a ja nawet obdarowałam kwiatami tych całkowicie obcych mi ludzi. Czy tak zachowuje się lady?

— Pewnie nie. Ale nie przejmuj się tym! Bywają chwile, kiedy takie uchybienia są najlepszym rozwiązaniem. Wobec kogoś innego nie wygłaszałbym żadnej “mowy”, sądzę jednak, że potrafię postępować z Indianami, a poza tym trzeba wziąć poprawkę na specyficzne okoliczności, które nie tylko pozwalały, nawet zobowiązywały do tego, by powiedzieć coś więcej. O słuszności naszego postępowania świadczy również sukces, jaki niewątpliwie odnieśliśmy. Prosimi byśmy zostali. Pomyśl! Zostali na tym grobie! W ich — wodzów — obecności! To wyróżnienie, wyróżnienie ogromne! W ich przekonaniu zachowaliśmy się bardzo dobrze. Nie, na pewno nie popełniliśmy żadnego błędu.

Po powrocie do hotelu okazało się, że się nie myliłem. Było już pod wieczór, bo drogę powrotną odbyliśmy statkiem, nie koleją. Natychmiast zjawił się kelner i przywitawszy nas, jeszcze chyba niższym niż zwykle ukłonem, powiedział:

— Proszę wybaczyć, że tak od razu przeszkadzam. Mam dla państwa ważną i niezwykłą wiadomość:

— Cóż takiego? — zapytałem.

— Mister Athabaska i mister Algongka nie będą dzisiaj jedli na dole, ale u siebie na górze!

Patrzył przy tym na nas tak, jakby zakomunikował nam lub miał zakomunikować coś wstrząsającego.

— Cóż więc? — zdziwiłem się. — Czy to nas w jakikolwiek sposób dotyczy?

— O to właśnie chodzi! Zlecono mi zaszczytne zadanie zaproszenia państwa na ten właśnie posiłek!

To była rzeczywiście nieoczekiwana wiadomość. Zrobiłem jednak oczywiście taką minę, jakby w głowie mi nawet nie powstało, dziwić się temu zaproszeniu i spytałem obojętnym tonem:

— Na którą godzinę?

— Na dziewiątą. Ci panowie pozwolą sobie przyjść po państwa osobiście. Moim jednak zadaniem jest jak najszybciej powiadomić ich, czy przyjmiecie zaproszenie.

— O tym decyduje pani Burton, nie ja.

Kiedy kelner zwrócił na nią swe pytające spojrzenie, Serduszko powiedziała:

— Przyjmujemy zaproszenie i będziemy punktualni.

— Dziękuję. Natychmiast przekażę. Co do stroju dżentelmeni proszą, by potraktować ich jak przyjaciół, którzy nie przywiązują wagi do tego, co zewnętrzne.

Ta ostatnia uwaga ucieszyła nas, i to nie ze względu na nas samych, a dlatego, że nie chcieliśmy, by wodzowie obciążali się niepotrzebnie tym, co dla obu stron nie miało większego znaczenia. Wodzowie przyszli punktualnie o dziewiątej. To był gest wymowniejszy od wszystkich słów. Przyszli wewnętrznym korytarzem, poprosili jednak, byśmy do ich apartamentu udali się przez taras, do którego mieli taki sam dostęp jak my. Wyszliśmy na zewnątrz. Księżyc zdawał się być nawet jaśniejszy niż poprzedniego wieczoru. Wodospady przedstawiały zgoła bajkowy widok, a ich szum dobiegał naszych uszu niczym głos odwiecznego prawa, któremu podlega ten nawet, kto je łamie. Wodzowie jakby ociągali się. Przystanęli, a Athabaska powiedział:

— Nie tylko biali ludzie, lecz teraz również czerwoni wiedzą, że wszystko, co widzimy

na świecie nie jest niczym więcej niż porównaniem i przenośnią. Mamy oto przed oczami jedną z największych i najpotężniejszych przypowieści, jakie kieruje do nas Manitou.

Podszedł z Algongka aż do krawędzi tarasu. Poszedłem za nimi z Serduszką, która wsparła się na moim ramieniu i lekkim uściskiem dała mi znak, który doskonale rozumiałem. Bardzo często przychodziły nam do głowy te same myśli. Także teraz, podobnie jak ja, zdawała się domyślać dlaczego Athabaska wypowiedział takie a nie inne słowa. Chciał nas sprawdzić — choćby na podstawie jednego tylko pytania. Ten sprawdzian miał zdecydować o tym, jak należy nas potraktować — czy jak zwykłych przeciętnych ludzi, czy też inaczej. To, co powiedziałem na grobie wielkiego mówcy Seneków mogłem przecież gdzieś przeczytać albo usłyszeć i zapamiętać, aby wykorzystać przy odpowiedniej okazji. To wszystko miał mi dać do zrozumienia ów uścisk. Odpowiedziałem podobnym uściskiem, komunikując żonie, że rozumiałem i że jestem gotów.

Przez kilka minut staliśmy bez słowa przy balustradzie. W końcu Algongka podniósł ramię i wskazał poprzez przepaść na wałce się w dół masy wodne.

— Oto obraz czerwonego męża. Czy biały potrafi to zrozumieć?

— Czemuż by nie miał zrozumieć?

— Bo to los innego ludu.

— Czy uważa pan, że my, biali, potrafimy zrozumieć to tylko, co nas dotyczy?

— Czy może więc pan rozwiązać tę zagadkę?

— Zagadkę? To nie zagadka, lecz przenośnia. Przenośni się nie rozwiązuje, lecz tłumaczy.

— A więc proszę, niech ją pan wytłumaczy.

— Z przyjemnością. Widzimy mknący w dół nurt, rozbijający się na krople i pył wodny. Nie widzimy jednak ani wielkiego jeziora, z którego ten nurt wypływa, ani drugiego jeziora, które powstaje w dole. Obydwa ukryte są przed naszymi oczyma.

— Zgadza się! To jest przenośnia — skinął poważnie głową Athabaska. — A wytłumaczenie?

— W teraźniejszości jesteśmy tylko świadkami wielkiego i wstrząsającego upadku czerwonej rasy. Potężny szum, jaki rozbrzmiewa, to krzyk tych wszystkich, którzy zginęli i którzy jeszcze zginą. Gdzie szukać owego wielkiego, wspaniałego ludu, który wydał te wszystkie roztrzaskane i skazane na roztrzaskanie dzieci? W jakim kraju? W jakim czasie? Tego nie wiemy i tego nie widzimy! Widzimy tylko, że wałący się w dół nurt rozbija się na setki i tysiące ludów, plemion, szczepów i grup, z których wiele nie liczy sobie więcej niż sto osób. Wodospad wiruje nimi i pędzi je dalej i dalej, aż znikają całkowicie z pola widzenia. I słyszymy niezliczone, coraz bardziej rozdrobnione języki, narzecza, dialekty i gwary, na które ów nurt rozbija się w otchłani przepaści, rozpryskuje i rozwiewa tak, że językoznawca, śmiało rzucający się w te odmęty może zginąć tak samo, jak ci, których szuka. Gdzie jednak trzeba szukać ludu jeszcze większego, jeszcze potężniejszego i wspanialszego, w który zlewają się na powrót rozbite i rozpryskane nurty tej językowej i etnograficznej Niagary, aby w pokoju i błogosławionej praworządności rozpocząć od nowa swą drogę? W jakim kraju będzie żył ten lud? W jakim czasie? Tego nie wiemy i nie widzimy. Patrząc na wielką “przenośnię” Niagary możemy jedynie powiedzieć, że jezioro Erie przelewa się w jezioro Ontario. Tak samo też o “rozpryskującej się” czerwonej rasie wiemy to tylko, że swój początek bierze w czasie i krainie człowieka przemocy i zmierza ku czasom i krainie człowieka wzniosłego, gdzie zleje się w jedno w nowych granicach. Oto przenośnia, panowie, i całe jej wytłumaczenie!

Milczeli. Staliśmy jeszcze przez jakiś czas, aż w otwartych drzwiach apartamentu pojawił

się kelner. Wtedy Athabaska podał ramię Serduszku i wszedł z nią bez słowa do środka. Algongka i ja, również w milczeniu, podążyliśmy za nimi.

Apartament wodzów, podobnie jak nasz, składał się z kilku pokoiów. Do stołu nakryto w największym. Na korzyść gospodarzy przemawiał fakt, że sposób, w jaki nas przyjęli, nie zdradzał najmniejszej nawet chęci imponowania. Wybór potraw był dokładnie ten sam, co na dole. Obok naszych nakryć stało wino, natomiast obok ich — woda. Serduszko zgodnie z prawdą powiedziała, że w domu o wiele chętniej pijemy do posiłków wodę niż wino. Kelner otrzymał polecenie usunięcia butelek. Każdy z wodzów miał przed sobą mały flakonik z ofiarowanym im przez Serduszko kwiatem, za który odwdzięczyli się stawiając przede mną i żoną po jednej wprawdzie, ale wyjątkowo pięknej róży. Na temat kwiatów nie padło nawet jedno słowo.

Rozmawialiśmy tylko w przerwach w jedzeniu. Gospodarze nie mówili nic o sobie, nie pytali też o nas i nasze sprawy. Wszystkie pytania i odpowiedzi dotyczyły jednego tylko tematu, a mianowicie przeszłości i przyszłości Indian, czy mówiąc inaczej losów czerwonej rasy. I muszę tu przyznać, że mimo zdawkowości naszych rozmówców oraz krótkiego czasu, jaki razem spędziliśmy, dowiedziałem się od nich bardzo wiele rzeczy. Z ich ust bowiem nie wyszło ani jedno błahe, niepotrzebne słowo. W jednym zdaniu potrafili często zawrzeć doświadczenie całego życia. Patrząc na wodzów pomyślałem o olbrzymach odłamujących wielkie bloki skalne i staczających je na niziny, gdzie mogli nad nimi pracować mali ludzie z pomocą swych małych narzędzi. Był to piękny, choć jednocześnie bardzo poważny wieczór, który nas ogromnie pod każdym względem ubogacił, i który niewątpliwie na zawsze pozostanie nam w pamięci.

Rozstaliśmy się o północy. Nie spędziliśmy całego wieczoru w pokoju, lecz wystawiliśmy stół z krzesłami na taras. Tam też usiedliśmy po jedzeniu, aby z przelewających się przed naszymi oczami wód Niagary wylawiać jedną myśl po drugiej. Dopiero na krótko przed rozstaniem dowiedzieliśmy się, że Athabaska i Algongka wyruszają nazajutrz w dalszą drogę i że tym samym ofiarowali nam swój ostatni wieczór. A zawdzięczaliśmy to Serduszku i jej kwiatom!

Żaden z wodzów nie podejrzewał nawet, że jesteśmy Niemcami, a jeszcze mniej, że zmierzamy do tego samego celu. Nie spytali o nasz adres, w żaden też sposób nie dali nam też do zrozumienia, czy życzyliby sobie powtórnego spotkania. Kiedy jednak podałem im obie ręce, trzymali je dłużej niż to jest w zwyczaju. Wtedy też Athabaska stanął tak blisko mojej żony, jak to było możliwe bez dotykania i przyciągnąwszy delikatnie obiema dłońmi jej głowę do siebie, ucałował we włosy.

— Athabaska was błogosławi! — powiedział. Algongka poszedł za jego przykładem. Widać było, że te słowa i gesty płyną z serca. Wskazywał też na to pewien pośpiech z jakim wrócili do swego apartamentu.

Położony on był mniej więcej w środku tarasu, w odróżnieniu od naszego, którego drzwi, również otwarte, znajdowały się przy jego końcu. Aby do nich dojść musieliśmy minąć przylegający do naszego apartament Entersów. W środku paliło się światło. Drzwi wprawdzie były zamknięte, ale listwy żaluzji znajdowały się w takim położeniu, że ze środka było nie tylko światło, ale dały się również słyszeć dwa głośne i najwyraźniej podniecone głosy. Bracia wrócili już dzisiaj. Chodzili po pokoju i kłócili się. Naturalnie nie przeszliśmy mimo, lecz przystanęliśmy i słuchaliśmy. Mówił właśnie Hariman:

— ... powtarzam: nie krzycz tak! Jak wiesz, nie mieszkamy sami w tym hotelu!

— Niech diabli porwą ten hotel! Nikt się tu z nami nie liczy! Poza tym płacimy za ten pokój i mogę tu krzyczeć, ile mi się podoba. Stary nas nie usłyszysz — wyjechał. A May jeszcze się nie zjawił. Mam tego dosyć! Jak długo jeszcze trzeba będzie czekać? I to teraz, kiedy znowu

słyszeliśmy, jak pilna jest sprawa z Devils Pulpit⁶! Jeśli spóźnimy się choćby o pół dnia, stracimy nie wiadomo ile forsy! — To był Zebulon.

Hariman odrzekł:

— I ja się tego obawiam. A czy możemy pojechać nie doczekawszy się tej pary?

— Czemu nie? Niech jeden z nas pojedzie i przytrzyma Kiktahana Szonkę⁷ do czasu, kiedy będzie mógł się zjawić drugi!

Ale nie to mnie denerwuje, lecz ta twoja uczciwość, która w tych warunkach zakrawa na szaleństwo! Zgadza się, musimy dotrzeć do Nugget Tsil i do tej Ciemnej czy tam Mrocznej Wody i tylko ten Niemiec może nam pokazać drogę. Ale to jeszcze żaden powód, by być mu tak oddanym.

— A kto mówi o czymś takim? Nie ja w każdym razie! Domagam się uczciwości, a nie jakiegoś oddania!

— Też coś! Uczciwość względem mordercy naszego ojca!

— On nie jest mordercą. Ojciec sam ponosi winę za to, w jaki sposób zginął! I nie daje nam spokoju! Tylko my dwaj zostaliśmy przy życiu. Jeśli nie będziemy uczciwi zginiemy w mgnieniu oka! Ciągle jeszcze mam nadzieję na ratunek! Możliwy on będzie jednak tylko wówczas, kiedy to, co się stało, spotka się z przebaczeniem. Również tutaj ten Niemiec jest jedyną osobą, która nam może pomóc — cała reszta przeniosła się na tamten świat! Czy ty tego wszystkiego nie rozumiesz?

Zebulon nie odpowiedział od razu. Przez krótką chwilę było cicho. Słyszeliśmy tylko chrząkanie, które równie dobrze mogło być szlochem. Kto to jednak był — Hariman czy Zebulon — tego nie wiedzieliśmy. Wreszcie odezwał się ten ostatni, bardziej już w tonie skargi niż złości:

— To straszne, naprawdę straszne, jak to wewnątrz krzyczy i kusi, popycha i pędzi, posuwa się coraz dalej i dalej! Chciałbym już nie żyć!

— Ja również!

— Coś we mnie liczy! Dniem i nocą, nieustannie! Gdybyśmy wydobyli skarb, który zatonął wraz z ojcem! A ile zapłaciłby Kiktahan Szonka za dostarczenie mu pod nóż tego Niemca! Ile woreczków pełnych nugetów! Może całą bonanzę, może całą żyłę!

— Na Boga! — krzyknął z przestachem Hariman. — Porzuć tę myśl!

— Czy to w ogóle możliwe! Ta myśl mną włada, a nie ja nią! Przychodzi, kiedy chce! A kiedy przyjdzie jest o wiele silniejsza od tej resztki sił, jaka mi jeszcze pozostała! A teraz nagle poczułem strach, wielki strach! O co chodzi? Czy ktoś nas nie podsłuchuje za drzwiami...?

Chwyciłem żonę pod ramię i najszybciej jak to było możliwe wciągnąłem ją do znajdującego się obok mojego pokoju. Nie traciliśmy czasu na zamknięcie za sobą drzwi, lecz przebiegliśmy pomieszczenie zatrzymując się dopiero w garderobie. Nasłuchiwaaliśmy. Jak dobrze, że zostawiliśmy drzwi otwarte!

— Nikogo tu nie ma — powiedział Hariman. — Coś ci się przywidziało!

— Prawdopodobnie — odpowiedział Zebulon. — To było tylko we mnie. Słyszeć, nic nie słyszałem. Ale te drzwi! Czy były otwarte, kiedy przyszliśmy?

— Tak. Stary wyjechał, wietrzą pomieszczenie.

— Wejdę tam jednak!

⁶ (ang.) - Diabelska Ambona.

⁷ (dialekt Siouxów) Czuwający Pies

— Nonsens! Gdyby nas ktoś podsłuchiwał, zamknąłby drzwi za sobą. To pewne!

— A przynajmniej prawdopodobne.

Mimo to wszedł do środka. Zrobił kilka kroków i wpadł na krzesło.

— Nie rób hałasu — ostrzegł Hariman.

Wtedy Zebulon odwrócił się i wyszedł. Jego brat zasunął żaluzje, po czym obaj zniknęli w swoim pokoju. My przeszliśmy do pokoju żony, gdzie mogliśmy zapalić światło bez obawy, że zauważą to Entersowie.

Serduszko była bardzo zdenerwowana.

— Dostarczyć cię pod nóż! — zawołała. — Pomyśl tylko! Kto to jest ten Kiktahan Szonka?

— Prawdopodobnie wódz Siouxsów. Nie znam go, ale o nim słyszałem. Jesteś zaniepokojona, a nie ma ku temu najmniejszego powodu.

— Co? Chcą cię dostarczyć pod nóż! A więc zabić! I to ma nie być powód?

— Ponieważ o tym wiem, nie dojdzie do tego. Poza tym nie jest to rzecz postanowiona, a tylko myśl, z którą ten nieszczęśnik walczy. A po trzecie: nawet gdyby to chciał zrobić, nie może przedsięwziąć, dopóki nie znajdzie się nad jeziorem, w którym wtedy utonął Santer. Do tego momentu mogę czuć się bezpieczny. Sprawy nie mają się tak źle, jakby się mogło wydawać.

— A ta “diabelska ambona”? Co za przerażająca nazwa!

— Mnie się wydaje co najwyżej romantyczna. Diabelskich ambon jest w tym kraju mniej więcej tyle co u nas w Niemczech miejscowości w rodzaju Breitenbach, Ebersbach czy Langenberg. Gdzie znajduje się owa jak ją tu nazywają Devil’s Pulpit, dowiem się jutro w Prospect-House.

— A cóż to za instytucja?

— Hotel, w którym będę spał dzisiejszej nocy.

— Spał? Ty! — zapytała z szeroko otwartymi oczami.

— W innym hotelu?

— W innym hotelu!

— Zdumiewasz mnie!

— Dla mnie nie jest to wcale takie zdumiewające. A, jak wiadomo, w dobrym małżeństwie mąż może sobie pozwolić co najwyżej na zdumienie. Nie sądzę, by właściwym było wszystko ci teraz od początku wyjaśniać. Idę do Prospect-House, zjem coś, wynajmę pokój i poślę parę słów panu Harimanowi Entersowi zawiadamiając go, że jestem już na miejscu i że znalazłem na liście gości hotelu “Clifton” jego nazwisko. Potem z wiadomych sobie a ważnych powodów udałem się do Prospect-House, gdzie będę jego i brata oczekiwać jutro rano, między godziną ósmą a dziesiątą, jednak nie później, gdyż następnie zając się muszę moją nieobecną jeszcze w tym momencie żoną. Zgadzasz się?

— A czy mam jakiś wybór? — zapytała z uśmiechem. — Nie musisz mi wyliczać wszystkich powodów. Otrzymujesz zgodę na przeprowadzkę. Ale czy to jest wykonalne o tak późnej porze?

— Tutaj wszystko jest wykonalne!

— Również przeprowadzka bez walizek? Czy mam ci coś zapakować? Będiesz wyglądał żałośnie zjawiając się w hotelu z zupełnie pustymi rękami.

— To będzie tylko chwilowe wrażenie. Mam tylko jeszcze jedną prośbę, która, jak sądzę,

jest właściwie zbyteczna: nie pozwól się zobaczyć!

— Rzeczywiście całkowicie zbyteczna! — potwierdziła. — Czy mogę cię kawalek odprowadzić? Na przykład do drzwi wyjściowych.

— Dziękuję, nie! Masz być niewidoczna. Rozstaniemy się tutaj!

W holu na dole ludzie jeszcze nie spali, ale nikt nie zwrócił na mnie uwagi. Wyszedłem i przespacerowałem się mostem na drugą stronę miejscowości do Prospect-House, gdzie kwadrans później wynająłem pokój. Następnie posłałem bilecik do Mr Harimana F. Entersa, zjadłem coś i zadowolony z pożytecznie spędzonego dnia udałem się na spoczynek. Na liście gości figurowałem oczywiście jako Mr Burton.

Kiedy nazajutrz o wpół do ósmej szedłem do salonu wypić kawę, bracia już na mnie czekali. Hariman pośpieszył przedstawić mi Zebulona i powiedział, że obydwaj bardzo się ucieszyli na wiadomość o moim przyjeździe, po czym ogromnie rozczarowali kiedy okazało się, że w hotelu o państwu May nikt nie słyszał.

— Występuję pod pseudonimem, jako mister Burton.

— Well! — kiwnął głową Hariman. — Ze względu na czytelników, którzy nie zostawiliby pana w spokoju?

— Niestety.

— A pani Burton? Nie widać jej.

— Jeszcze jej tu nie ma. Zobaczy ją pan później. Być może jutro lub pojutrze. Najpierw byłem oczywiście w Clifton-House, ale tam zobaczyłem na liście wasze nazwiska. Dlatego skierowałem się tutaj. Mam nadzieję, że panowie nie mają nic przeciwko temu?

— Ależ skądże! Jednak co do pani Burton, którą również mieliśmy nadzieję dzisiaj powitać, to musimy niestety zrezygnować ze spotkania się z nią jutro czy pojutrze. Już dzisiaj bowiem odjeżdżamy.

— Ach, tak! A więc sytuacja wygląda tak, jak przewidywałem. Również obecna rozmowa nie przyniesie rezultatów.

— Tego jeszcze nie wiadomo. Mamy nadzieję, że będzie zupełnie odwrotnie i że dojdziemy z panem do porozumienia.

— Cóż skłania pana do takiego optymizmu?

— Świadomość pańskiej mądrości i rozsądku. Odlóżmy jednak tę rozmowę na później! To nie jest odpowiednie miejsce.

Miał tu całkowitą rację. Salon pełen był ludzi popijających kawę, herbatę lub kakao — lepiej się było powstrzymać od omawiania poufnych spraw. Dokończyłem szybko śniadanie, a potem poszliśmy spacerem wzdłuż rzeki i siedliśmy na jednej ze stojących na brzegu ławek. Tutaj nikt nas nie mógł usłyszeć. Hariman wyglądał tak samo, jak go już opisywałem. Zebulon miał te same “smutne” oczy, ale wydawał się być człowiekiem bardziej zawziętym i nieobliczalnym. Co do mnie to byłem zdecydowany, jak to się mówi, “nie ceregielić się” z moimi rozmówcami i nie przedłużać całej sprawy.

Z chwilą kiedy usiedliśmy, Hariman od razu przystąpił do rzeczy:

— Jak powiedziałem, liczymy na pańską mądrość i rozsądek, sir. Czy możemy przejść do interesów?

— Tak — odpowiedziałem. — Najpierw jednak chciałbym się dowiedzieć, z kim panowie chcą rozmawiać: z westmanem czy z pisarzem?

— Z westmanem być może później, na razie tylko z pisarzem.

— Well! Obydwaj są do dyspozycji, ale każdy z nich najwyżej przez piętnaście minut. Czasu mam niewiele i muszę się z nim obchodzić oszczędnie.

Wyjąłem zegarek i wskazując na niego dodałem:

— Jak panowie widzą, jest dokładnie godzina ósma. Do kwadrans po ósmej możecie więc rozmawiać z pisarzem, a do wpół do dziewiątej, z westmanem. I na tym zakończymy nasze spotkanie.

— Przecież — wtrącił Zebulon — napisał pan, że poświęci nam pan pełne dwie godziny!

— Owszem, ale wkalkulowałem w to półtorej godziny dla “przyjaciela”. Skoro jednak panowie chcą rozmawiać wyłącznie z “pisarzem”, ewentualnie z “westmanem”, musimy przestać na dwóch kwadransach.

— My mamy jednak nadzieję zostać pańskimi przyjaciółmi. Czy w takim razie możemy liczyć na dwie godziny?

— Nawet na więcej. Zaczynamy więc! Minęły już trzy minuty pierwszego kwadransu...

— Ma pan swoisty sposób załatwiania interesów! — zawołał Zebulon rozdrażniony.

— Wówczas tylko, kiedy raz nie wyraziwszy zgody, zmuszony jestem znowu tracić czas na załatwioną już sprawę. A więc słucham.

Zabrał głos Hariman:

— Chodzi o trzy tomy pańskiego *Winnetou*, które chcielibyśmy od pana kupić...

— Aby wydać? — wpadłem mu w słowo.

— Czyż prawa do książek kupuje się po to, by...

— Proszę, żadnych wykrętów! Niech pan odpowie krótko! Tak czy nie? Czy chcą je panowie przetłumaczyć i wydać?

Spojrzeni na siebie zbici z tropu. Milczeli. Mówilem więc dalej:

— Ponieważ panowie milczą, sam za nich odpowiem. Chcecie nie tego, by wyszły drukiem, lecz by zniknęły całkowicie z horyzontu, a to ze względu na wasze prawdziwe nazwisko i nieżyjącego ojca.

Skoczyli obydwa na równe nogi, zasypując mnie okrzykami i pytaniami. Uciąłem to wszystko energicznym ruchem ręki.

— Cisza! Proszę zamilknąć! Pisarza może byście oszukali, ale nie westmana. Nazywacie się Santer. Jesteście synami tego samego Santera, który zmusił mnie do opowiadania o nim tylu przykrych rzeczy. Mam nadzieję, że o was będę mógł napisać coś lepszego.

Przez jakiś czas stali bez ruchu, jak drewniane figury. Potem jakby zabrakło im sił, jeden za drugim usiedli. Milczeli patrząc w ziemię.

— A więc? — zapytałem. Hariman zwrócił się do Zebulona:

— Ostrzegałem cię, ale mi nie wierzyłeś. Z nim nie można w ten sposób! Czy mam mówić?

Zebulon skinął głową. Wtedy Hariman odwrócił się do mnie i zapytał:

— Czy zgodzi się pan sprzedać nam te opowieści po to, aby zniknęły?

— Nie.

— Za żadną cenę?

— Za żadną cenę, bez względu na wysokość! Nie jest to z mojej strony ani zemsta, ani upór — taka transakcja nic wam po prostu nie da. To, co już zostało napisane, nie zniknie z powierzchni ziemi. Do Stanów Zjednoczonych dotarły tysiące egzemplarzy wydania

niemieckiego, a obowiązujące tu prawo nie chroni mnie jako autora. Każdy może książkę przetłumaczyć i wydać w dowolnym nakładzie. O tym wie każdy wydawca, więc oferta, którą mi uczyniliście jeszcze w Niemczech udowodniła, iż wydawcami panowie nie jesteście. Mógłbym wziąć od was pieniądze, a potem śmiać się za waszymi plecami. Czy to by wam odpowiadało?

— Słyszysz? — powiedział Hariman do swego brata. — Gra uczciwie!

Zebulon podniósł się znowu i stanął dokładnie naprzeciw mnie. Miał płonące oczy i drżące usta.

— Mister Burton — powiedział — niech mi pan pokaże pański zegarek?

Spełniłem jego życzenie.

— Jeszcze tylko dwie minuty do końca pierwszego kwadransa! Jak pan widzi dostosowuję się całkowicie do pańskiego rozkładu. Będę mówił krótko — tak, jak pan sobie tego życzy. Skutki obciążą jednak nie nas, lecz pana i pańskie sumienie! Tak, nazywamy się Santer i znał pan naszego ojca. Czy sprzeda nam pan *Winnetou*?

— Nie!

— Skończyliśmy więc z pisarzem! Czas minął, co do sekundy. A teraz kwadrans dla westmana! Pytam: za jaką sumę gotów jest pan zaprowadzić nas na Nugget Tsil i do Ciemnej Wody?

— Czegoś takiego w ogóle nie robię, nie jestem przewodnikiem.

— Lecz gdybyśmy pana bardzo, bardzo dobrze za to wynagrodzili.

— Nawet wówczas. Niczego nie robię dla pieniędzy. Wtedy Zebulon zapytał brata:

— Czy można?

Ten skinął głową i Zebulon zwróciwszy się znowu w moim kierunku mówił dalej:

— Mimo to zrobi to pan, proszę mi wierzyć, choć może rzeczywiście nie dla pieniędzy. Czy zna pan Siouxów?

— Tak.

— A Apaczy?

— Co za pytanie! Jeśli naprawdę przeczytaliście panowie *Winnetou*, to nie gorzej ode mnie wiecie, że jest ono całkowicie zbyteczne!

— A więc niech pan słucha! Za to, że mówimy prawdę, gotowi jesteśmy włożyć obaj ręce w ogień. Wodzowie Siouxów zostali zaproszeni przez wodzów Apaczów. Dlaczego i po co, tego nie wiem, słyszałem tylko, że chodzi o ustanowienie pokoju między oboma plemionami. Przybyć mają sami wodzowie. Siouxowie postanowili jednak wykorzystać tę okazję do tego, by połączywszy swe siły ze wszystkimi przeciwnikami Apaczów, zadać im ostateczną klęskę. Czy mi pan wierzy?

— To trzeba by sprawdzić — odpowiedziałem chłodno.

— A więc dalej: ustalono miejsce, w którym mają się spotkać wodzowie Apaczów, by omówić plan wojny i zniszczenia. To miejsce jest mi znane.

— Naprawdę?

— Tak.

— Skąd? Od kogo?

— To zawodowa tajemnica, panu jednak ją wyjawię, bo liczę na wzajemność z pana strony. Znam Siouxów, oni mnie również znają. Handlując końmi i bydłem często się z nimi stykaliśmy. Obecnie proponowali nam przedsięwzięcie tak wielkie i zyskowne, jak nigdy

dotąd. Mamy przejąć łupy, jakie zdobędą na Apaczach. Czy rozumie pan, o czym mówię?

— Doskonale.

— I wierzy pan w to, że jesteśmy dobrze poinformowani?

— To się jeszcze okaże!

— Ma dojść do starcia, do rozlewu krwi. Wiem, że jest pan przyjacielem Apaczów. Dam panu sposobność zniweczenia planów ich wrogów. Zaprowadzę pana na miejsce, gdzie odbędzie się narada. Gotów jestem zrezygnować z całego oferowanego mi zysku. A za to oczekuję tylko jednego, że zaprowadzi nas pan do miejsc, które wymienilem. Proszę teraz powiedzieć, czy pan się zgadza! Szybko, zdecydowanie i wyraźnie! Nie mamy czasu!

Mówił bardzo szybko, jakby bardzo zależało mu na czasie. Dlatego brzmiało to dwa razy bardziej przerażająco i robiło podwójne wrażenie.

Mimo to spytałem powoli i bez śladu napięcia:

— Chce mnie pan zaprowadzić na miejsce narady? Dokąd wiedzie droga?

— W kierunku Trinidad?

— Którego? Jest ich kilka.

— W Colorado.

W tym Trinidad mieszkał mój stary, dobry znajomy, Max Pappermann, niegdyś doskonały myśliwy, obecnie właściciel, jak to nazywał, hotelu. Był Niemcem z pochodzenia i miał osobliwy zwyczaj przypisywania wszystkich spotykających go niepowodzeń swemu imieniu. Wymawiał je nie z angielska a z niemiecka, przy czym na skutek wady wymowy nigdy nie mógł sobie poradzić z "iksem"; Max brzmiał w jego ustach jak Maksz. Choć bardzo mu to przeszkadzało nigdy nie wpadł na pomysł, jaki natychmiast przyszedłby do głowy każdemu innemu, a mianowicie, by unikać wymieniania swego imienia. Wręcz przeciwnie, było ono bez przerwy na jego ustach i z tego, a także jeszcze jednego powodu, zyskał sobie przydomek "niebieskiego Maksza". Mianowicie podczas jednej ze swych wędrówek poparzył sobie lewą połowę twarzy eksplodującym prochem. Wprawdzie nie stracił oka, ale z tej strony skóra zabarwiła się na niebiesko. Był wspaniałym, wiernym i oddanym przyjacielem i kilkakrotnie już spędziłem z nim krótsze okresy czasu. Był jednym z tych westmanów, których naprawdę serdecznie polubiłem.

Dla uzupełnienia dodam, że owo Trinidad będące stolicą hrabstwa Las Animas w stanie Colorado stanowi ważny węzeł komunikacyjny i do dzisiaj jest ważnym ośrodkiem handlu byłem. To było też niewątpliwie powodem, dla którego bracia dobrze znali zarówno samą miejscinę, jak i jej okolice.

Zebulon podjął znowu rozmowę, zadając mi pytanie:

— Czy był pan już kiedyś w Trinidad, mister Burton? Odpowiedziałem wymijająco:

— Muszę pomyśleć. Byłem w tylu miejscowościach, że Trinidad mogło mi wylecieć z pamięci. Czy tam więc spotkają się nieprzyjaciele Apaczów?

— Tak, ale nie w samym Trinidad, a w górach, spory kawałek drogi stamtąd.

— Ach, tak? Musi mnie pan mieć za zupełnego żółtodzioba, jeśli uważa pan za możliwe, bym uznał, że czerwonoskórzy, którzy przecież chcą swe zamiary utrzymać w tajemnicy, wybrali na miejsce spotkania takie tętniące życiem miasteczko. Tego rodzaju ocena mojej osoby nie skłania mnie wcale do przystania na wasze warunki. Chciałbym jeszcze tylko zapytać, kiedy ma odbyć się to spotkanie.

— My wyruszamy już dzisiaj, bo musimy zatrzymać się jeszcze na dzień w Chicago i na dwa całe dni w Leavenworth. Może nas pan dogonić. Narada odbędzie się dokładnie za

dziesięć dni. Będziemy jednak na pana czekać w Trinidad już trzy dni wcześniej.

— A gdzie dokładnie się spotkamy? Czy Trinidad jest na tyle mały, że natychmiast się na siebie natkniemy?

— Niech pan zapyta o hotel starego Pappermanna, zwanego “niebieskim Makszem”. Tam się zatrzymamy. Już nawet zarezerwowaliśmy miejsce. Ale minęło już jedenaście minut, sir! Niech pan się szybko zastanowi i da nam odpowiedź, bo czas już będzie kończyć!

— Nie martwcie się panowie! Zmieścimy się w tych piętnastu minutach.

— Mam nadzieję! To bardziej w pana niż w naszym interesie!

— A to dlaczego?

— Bo bez nas nie zdoła pan ocalić Apaczów!

Teraz nadszedł czas na to, by poskromić nieco moich rozmówców w ich pretensjach i wysokim mniemaniu o sobie. Spojrzałem więc im jakby z rozbawieniem prosto w twarz i powiedziałem:

— Czy aby się nie mylicie panowie? Czy naprawdę sądzicie, że nie zdołałbym znaleźć Kiktahana Szonki na Diabelskiej Ambonie?

Strzeliłem w dziesiątkę. Skutek był piorunujący i natychmiastowy! Hariman skoczył na równe nogi i wykrzyknął przerażony:

— O nieba! On już wie! Jest pan wszechwiedzący?

— Właśnie. Czy pan jest wszechwiedzący? — powtórzył Zebulon.

Stali jeden przy drugim niczym dwaj chłopcy złapani w cudzym sadzie. Wyjąłem zegarek i rzuciwszy na niego okiem odrzekłem:

— Nie ma ludzi wszechwiedzących. Ale ponieważ nie jestem już w tym momencie pisarzem a westmanem, samo przez się jest zrozumiałe, że mam oczy otwarte. Waszą tajemnicę znałem już, zanim mi o niej powiedzieliście. Jesteście więc w zupełnym błędzie, jeśli sądzicie, że za wasze informacje muszę wam zapłacić wskazaniem drogi do Nugget Tsil i Ciemnej Wody. Sytuacja jest wręcz odwrotna: to wy zyskać możecie cokolwiek tylko dzięki Apaczom, a nie Siouxom, w dodatku wyłącznie za moim pośrednictwem.

Podniósłszy się z miejsca mówiłem dalej:

— Za siedem dni licząc od dzisiaj będę w Trinidad, we wskazanym przez was hotelu. I zacznę was obserwować. Jeśli zdacie egzamin, zobaczycie Nugget Tsil i Ciemną Wodę, jeśli nie, nie macie na co liczyć! Wybierajcie — Siouxowie albo Apacze — jak chcecie; sami jednak poniesiecie tego konsekwencje. To wszystko! Także ten kwadrans dobiegł końca, co do sekundy! Powodzenia! I do zobaczenia u starego Pappermanna!

Schowałem zegarek i oddaliłem się nie oglądając się za siebie. Nie próbowali mnie zatrzymać. Nie powiedzieli ani słowa. Stali w osłupieniu. Poszedłem prosto do hotelu “Clifton”, gdzie nikt nie zauważył mojej nocnej nieobecności. Wyglądało na to, że po prostu wracam z porannego spaceru.

Od kiedy zostawiłem ją samą, Serduszko nie opuszczała pokoju i do tej pory nie jadła jeszcze śniadania. Zeszliśmy więc na dół i usiedliśmy przy naszym stole. Wodzów już nie było, ich miejsca zajęli inni goście. Powtórzyłem Serduszku słowo po słowie rozmowę z Entersami i przyjąłem należne mi jako głowie stadła wyrazy uznania. Jak już o tym wspomniałem, okno, przy którym siedzieliśmy, wychodziło na rzekę, a z nią i na most, co pozwalało obserwować przechodzące nim osoby. Ledwie skończyłem moje sprawozdanie na moście ukazali się bracia. Również kelner ich zauważył i powiedział wskazując na nich:

— Oto i sąsiedzi państwa! Wyszli dzisiaj bardzo wcześnie. Dostali jakiś list. Normalnie

nigdy się w ciągu dnia nie pokazują, a dzisiaj już są z powrotem. Zainteresuję się, w czym rzecz!

Nic nie było nam bardziej na rękę niż ta ciekawość. Kelner wyszedł i już po kilku minutach przyniósł nam nowe wieści.

— Wyjeżdżają! Najpierw do Buffalo, a stamtąd najbliższym pociągiem do Chicago. Tak jak ci dwaj czerwoni dżentelmeni, którzy dziś rano również pojechali do Chicago. O jak mi ich szkoda! Płacili samymi nugetami!

Wkrótce zobaczyliśmy, jak bracia Enters, opuściwszy hotel, znowu przechodzą przez most. Cały ich bagaż składał się z dwóch skórzanych toreb. Nie widziałem potrzeby dowiadywania się teraz, na czym spędzali całe dnie; przynajmniej na razie byliśmy kwita.

— Czy my również wkrótce wyjeżdżamy? — spytała żona.

— Tak, jutro rano!

— Dokąd?

— Hm, gdybym był sam, pojechałbym prosto do Trinidad.

— Uważasz, że to dla mnie za daleko?

— To nie w kij dmuchał, Serduszko!

— Ale nie dla mnie! Jeśli coś postanowione, to naprawdę! Zaczekaj, popatrzymy jak to wygląda.

Przyniosła z biura rozkłady jazdy. Przejrzeliśmy je obliczając czas. Nie mogliśmy się dać zobaczyć ani w Chicago, ani w Leavenworth. Nie było to takie trudne, tym bardziej, że pociąg nie przejeżdżał nawet przez Leavenworth, a przez pobliskie Kansas City. Wprawdzie stamtąd do Trinidad był jeszcze spory kawał drogi, ale zważywszy na duży komfort jazdy w oferujących wszelkie możliwe wygody amerykańskich kolejach, można się było pokusić o zaniechanie przerw w podróży.

— To się da zrobić! — powiedziała Serduszko. — Będziemy jechać bez przerwy! Sama pójde po bilety!

Kiedy Serduszko uderza w taki zdecydowany ton, znaczy, że wie, czego chce. Następnego ranka siedzieliśmy już więc w zarezerwowanym telegraficznie przedziale pulmanowskiego wagonu, pędząc naprzeciw oczekujących nas i — jak mieliśmy nadzieję — nie zagrażających naszemu bezpieczeństwu wydarzeń.

Westmani

Upowiedziałem Serduszko, że z chwilą opuszczenia wagonu w Trinidad, będziemy musieli na dłuższy czas zrezygnować ze znacznej części tego, co określa się mianem "cywilizacji". Jak się okazało, miałem całkowitą rację. Wprawdzie Trinidad zmieniło się nie do poznania od czasu, kiedy pierwszy raz ujrzałem to położone pomiędzy prerią a górami miasteczko, ale pod względem cywilizacyjnym pozostawiało ciągle jeszcze wiele do życzenia. Kiedy spytałem na peronie o Pappermanna i jego hotel, zagadnięty kolejarz odparł krótko:

— Nie ma już tego!

— Co? — zdziwiłem się. — Czy nie ma hotelu?

— Owszem jest.

— W takim razie mister Pappermann nie żyje?

— Owszem żyje.

— Przed chwilą powiedział pan, że ani jednego, ani drugiego już nie ma!

— Razem ich nie ma! Ale oddzielnie istnieją! Rozdzielili się!

Kolejarz delektował się bez końca swoim tanim dowcipem, a kiedy wreszcie przestał się śmiać, powiedział:

— Mister Pappermann sprzedał, to znaczy był zmuszony sprzedać swój hotel. Wszystko przez to jego nieszczęsne imię.

Na tym kolejarz zakończył rozmowę i odszedł nie przestając się śmiać.

Hotel, o którym mówiliśmy, nie zasługiwał na swoją nazwę. Wiejska gospoda w Niemczech wygląda bardziej zachęcająco. Byliśmy jednak na niego skazani, a poza tym nie zamieszkałbym gdzie indziej, choćby ze względu na starego towarzysza. Otrzymaliśmy dwie przylegające do siebie izby, wprawdzie małe i nędznie wyposażone, ale czyste. Jak nieustannie podkreślano, zaletą tych tak zwanych "pokojów" było to, że ich okna wychodziły na "ogród". Kiedy spojrzeliśmy w dół, oczom naszym ukazał się otoczony z czterech stron rozwalającym się murem kwadrat ziemi, a na nim: dwa stare stoły, z sześcioma w sumie jeszcze starszymi krzesłami, pozbawione niemal kompletnie liści drzewo, które mimo największych wysiłków ze swej strony nie wyglądało ani na prawdziwą lipę, ani na prawdziwą topolę, cztery krzaki nie znanego mi (a podejrzewam, że i sobie) gatunku, a wreszcie trochę trawy która od lat bez powodzenia udawała trawnik. Przy każdym ze stołów siedział odwrócony do nas bokiem mężczyzna. Jeden trzymał w ręku szklankę do piwa, ale nie pił, gdyż była pusta. Drugi trzymał cygaro, nie palił jednak, bo zgasło. Siedzieli odwrócenii do siebie plecami. To byli nasi gospodarze. Ten z pustą szklanką był — jak się później dowiedzieliśmy — nowym, a ten ze zgasłym cygarem — tego już się sami mogliśmy domyślić — dotychczasowym właścicielem hotelu. Żaden z nich nie wyglądał na szczególnie zadowolonego. Wręcz przeciwnie, obaj robili takie wrażenie, jakby żalowali, że transakcja w ogóle doszła do skutku, a teraz zajęci byli tym tylko, jak na niej mimo wszystko nie stracić.

— Wiesz — odezwała się Serduszko — ten z prawej wygląda na twojego Pappermanna.

Przed chwilą ruszył trochę głową i widać było, że lewa połowa jego twarzy jest niebieska.

— Tak, to on — odpowiedziałem. — Zestarzał się i posiwiiał. Ale wygląda jeszcze całkiem krzepko. Poczekaj, zobaczysz, jak go rozruszam. Tylko się nie pokazuj!

Podszedłem jeszcze bliżej okna, skrywając się jednak cały czas za ścianą, włożyłem palec wskazujący do ust i wydałem przeraźliwy okrzyk wojenny Siouxów. Skutek był natychmiastowy. Gospodarze zerwali się z krzeseł, a “niebieski Maksz” wykrzyknął:

— Siouxowie! Siouxowie!

Rozejrzeli się na wszystkie strony, a nie widząc nikogo, popatrzyli na siebie:

— Siouxowie? — zapytał nowy właściciel. — A skąd by się tu wzięli w środku miasta? I tyle dni drogi od okolic, gdzie ich jeszcze paru zostało.

— Jeden musi tu być! — stwierdził Pappermann.

— Bzdura!

— Ja nie opowiadam bzdur! Wiem nawet, z jakiego pochodzi szczepu! To jest Sioux Ogellah!

— Nie rozśmieszaj mnie! Jeśli tem...

Zamilkł w pół słowa, gdyż po raz drugi wydałem z siebie wojenny skowyt.

— Słyszałeś!? Jeśli to nie jest prawdziwy Ogellah, to niech ściągną ze mnie paskami skórę przy palu męczarni!

— Powiedz mi więc, gdzie on jest!

— Skąd mogę wiedzieć? Wydaje mi się, że gdzieś wysoko, wysoko nad nami!

— Tak, rzeczywiście mało prawdopodobne, by był gdzieś głęboko, głęboko pod nami! To jakiś kawał, nic więcej!

— Żaden kawał! Wprawdzie nie jest to prawdziwy okrzyk wojenny, ale na pewno jakiś znak!

Powtórzyłem okrzyk raz jeszcze.

— Słyszysz!? — zawołał Pappermann. — To nie jest żaden głupi kawał. Ten człowiek to albo prawdziwy Sioux, albo obieżyświat mojego pokroju, który potrafi naśladować okrzyk wojenny czerwonych tak dobrze, że oni sami daliby się nabrać. To musi być któryś ze starych towarzyszy. Zobaczył mnie tutaj i chce mi powiedzieć, że...

Przerwał, bo z drzwi kuchennych rozległ się kobiecy głos:

— Chodźcie szybko! Nie wiem, co mam ugotować!

— Ugotować! Ktoś chce coś zjeść, a nie tylko pić?

— Nie! Mieszkać i jeść!

— A więc mamy gościa?

— Nawet dwóch!

— Bogu niech będą dzięki. Znów się w końcu ktoś trafił! Gdzie oni są?

— Pod trójką i czwórką! Mąż i żona! Pappermann błyskawicznie się zorientował:

— Trzy i cztery? Po tej stronie domu! Okna otwarte! Teraz wiem, kto to był!

— Jeszcze większa bzdura! — sprzeciwił się nowy właściciel. — Od kiedy to mężowie i żony skowyczą?!

— Od dawna i to często! Oczywiście tu wyła nie żona, lecz mąż! To musi być mój stary towarzysz! Jeśli nie, wytarzajcie mnie w smole i w pierzu, a potem zlinczujcie a...

— Chodźcie wreszcie! — przerwała mu kobieta. — Goście chcą jeść, a ja nie mam ani mięsa, ani pieniędzy!

Zniknęli wewnątrz budynku. Serduszko zaś powiedziała ze śmiechem:

— Trafiliśmy do pierwszorzędnego hotelu! Twój stary Pappermann nie jest ani głupim, ani złym człowiekiem! Już mi się spodobał i...

Ktoś mocno zastukał w drzwi.

— Proszę wejść! — krzyknęła, sama sobie przerywając. Któż to był taki? Oczywiście, Pappermann!

— Za przeproszeniem! — usprawiedliwiał się. — Tam na dole usłyszałem okrzyk wojenny Siouxów Ogellahów i chciałem... pomyślałem... wydało mi się... i... i... mister Shatterhand! Hallo, welcome, welcome!

Rozpoczął z werwą swoją przemowę, na mój jednak widok zająknął się kilkakrotnie, po czym rozpoznawszy mnie rzucił się z radością w moim kierunku. Rozpostarł ramiona, jakby chciał mnie uściskać i ucałować, następnie jednak uznał widocznie, że nie byłoby to na miejscu i chwycił mnie tylko za ręce. Przyciągał raz po raz mocno do serca i do ust, wydając z siebie wszelkie możliwe okrzyki najprawdziwszej i najserdeczniejszej radości i od czasu do czasu oglądając mnie pełnymi łez oczyma; słowem zdawało się, że jego zachwyt nie ma granic. Mówi się, że nie wypada człowieka porównywać ze zwierzęciem, to jednak wyglądało naprawdę na demonstrację nieopisaną miłości wiernego psa, który widząc swego pana skacze wokół niego skowycząc z zachwytu i sam już nie wie, co ma ze sobą zrobić. Serduszko miała łzy wzruszenia w oczach i nawet ja musiałem się mocno wziąć w karby, by zachować na zewnątrz spokój.

— Czyż to nie pan skowyczał, mister Shatterhand? — zapytał, kiedy minęło pierwsze uniesienie.

— Tak, ja! — przyznałem.

— Wiedziałem! Wiedziałem! To mógł być tylko ktoś taki jak pan!

— Tak, tylko ktoś taki jak ja — uśmiechnąłem się. Na pewno nie moja żona, jak pan słusznie powiedział koledze.

— Pańska żona? Do diabła! Zupełnie zapomniałem, jak się należy zachować! Jest dobrym obyczajem prerii przywitać się najpierw z niewiastą, a potem dopiero z mężczyzną! Za przeproszeniem! Już się poprawiam!

Spróbował ukłonić się z wielką elegancją i oddaniem. Odezwałem się do niego w naszym ojczystym języku:

— Może pan rozmawiać z nią po niemiecku; jest Niemką.

— Niemką? W dodatku Niemką! W takim razie ucałuję pani dłoń. Albo lepiej od razu obydwie!

Uczynił to z niedźwiedzim może wdziękiem, ale na pewno z najlepszymi intencjami. Potem natychmiast zaczął mnie wypytywać o moje losy i chciał powiedzieć o swoich, ja nie podjąłem jednak tematu, gdyż taka rozmowa wymaga odpowiedniej ilości wolnego czasu i właściwego nastroju. Zaproponowałem, by zjadł z nami posiłek i poprosiłem, by powiadomił kucharkę, że chcemy jeść w ogrodzie i to dopiero za godzinę. Tymczasem pójde z żoną na spacer zobaczyć miasto, w którym towarzysz moich dawnych lat jest właścicielem takiego pięknego hotelu.

— Nie jest, a był — poprawił mnie. — Opowiem o tym panu.

— Może jednak nie teraz, a nieco później! Dołączam do tego prośbę, by mówił pan jak

najmniej o naszych wspólnych wspomnieniach. Nikt tutaj nie powinien dowiedzieć się ani jak się nazywam, ani też że jestem Niemcem.

— Jaka szkoda! — przerwał mi. — Już miałem wszystko o panu opowiedzieć...

— To absolutnie niedopuszczalne! — wpadłem mu w słowo. — Natychmiast bym wyjechał i nigdy więcej z panem nie zobaczył. Może pan co najwyżej powiedzieć, że jestem również starym westmanem...

— I to sławnym, bardzo sławnym!

— Nie, o tym ani słowa! Mam powody, by się ukrywać. Nazywam się Burton, a pan był znacznie bardziej znanym westmanem ode mnie. Czy pan zrozumiał?

— Tak.

— Nie będziemy też więcej rozmawiać ze sobą po niemiecku. Niech się pan tylko nie zapomni!

— Proszę się o to nie martwić! Jakem Maksz Pappermann, kiedy trzeba potrafię być głuchy i niemy. Jak przypuszczam, jest pan na tropie jednej ze swych starych, a może zupełnie nowej przygody?

— Możliwe! Niewykluczone, że o tym panu opowiem, ale tylko wówczas, gdy przekonam się, że rzeczywiście potrafi pan milczeć.

A teraz niech pan już idzie!

Uklonił się po raz drugi i oddalił, by przekazać nasze polecenia. My zaś wyszliśmy obejrzeć miasto i o oznaczonym czasie wróciliśmy do hotelu. Wstąpiliśmy najpierw do naszych pokoi, co pozwoliło nam się zorientować, że zjawili się nowi goście — pół tuzina młodych mężczyzn, którzy najwyraźniej również zamierzali jeść w "ogrodzie". Dla nas już nakryto, dla nich zaś wystawiono długi stół i dodatkowe krzesła. Siedzieli wokół jednej butelki brandy, protestując wniebogłosy przeciw temu, że jedyny biały obrus, jakim dysponował hotel, rozesłano na naszym, a nie na ich stole. Domagali się też przygotowanego dla nas jedzenia. Zmusili Pappermanna, by usiadł i napił się z nimi, a on był na tyle mądry, by zbytnio nie protestować. Teraz krzyczeli na niego jeden przez drugiego. Słysząc było nie tylko pretensje, ale i drwiny, on jednak, jak na starego westmana przystało, nie okazywał najmniejszego zdenerwowania czy poruszenia. Najgłośniejszy z gości nazywał się, jak się później dowiedzieliśmy, Howe. Już wchodząc do naszych pokoi usłyszeliśmy, jak mówił:

— Kim jest właściwie ten mister Burton, który chce nas tu wszystkich zepchnąć na drugie miejsce?

Pappermann spojrzał w nasze okna, a widząc mnie kiwnął leciutko głową i odpowiedział:

— To muzyk.

— Muzyk? Co za muzyk?

— Gra na akordeonie.

— Gra na akordeonie! W takim razie żona pewnie ciągnie akordeon z drugiej strony.

Obecni wynagrodzili ten tani dowcip wybuchem gromkiego śmiechu.

— Nie, gra na gitarze — powiedział Pappermann.

— Co on mówi? — rozzłościła się Serduszko.

— Spokojnie! — poprosiłem. — Wie, co robi. I dobrze robi. Mam wrażenie, że tam na dole dojdzie do czegoś, co każdemu westmanowi zawsze sprawia dużą przyjemność, a mianowicie do skarcenia osób, które z niewiadomego powodu uważają go za głupca czy też kogoś gorszego od siebie.

— Czy to nie są przypadkiem rowdies?

— Nie sędzę, choć zachowują się podobnie. Dlatego tym bardziej zasługują na nauczkę. Przypuszczam... ach, co za konie! Należą chyba do nich!

— To dobre konie?

— Powiedzieć “dobre” to o wiele za mało!

— Cenne?

Zwlekałem z odpowiedzią zainteresowany w tym momencie tylko i wyłącznie końmi. Furtka w tylnym murze prowadziła na niezabudowany ugór, który przedtem był zupełnie pusty. Teraz jednak ożywiały go postacie kilku stawiających namiot peonów⁸ oraz dwa stadka zwierząt. Jedno składało się z dziewięciu koni i czterech mułów. O tych koniach można było powiedzieć “dobre” — ani mniej, ani więcej. Muły pochodziły z Meksyku i należały do doskonałej odmiany zwanej tam “nobilitario”⁹. Natomiast drugie stadko koni liczyło tylko trzy sztuki. Cóż to jednak były za zwierzęta — jabłkowite gniadosze pokryte rdzawo-czarnymi plamami jedynej w swoim rodzaju urzekającej maści, którą da się osiągnąć wyłącznie na drodze długotrwałej i żmudnej hodowli. Budową, postawą i zachowaniem przypominały mi kruczo-czarne ogiery Winnetou, choć miały też coś w sobie z zaginionego gatunku słynących z wytrwałości kłusaków z Dakoty. Hodowało je jedno z północnych plemion indiańskich osiągając przez niezłomną wytrwałość lepsze rezultaty niż stajnie koni wyścigowych.

To wszystko przemknęło mi tylko przez myśl, bo powiedzieć coś pewnego można byłoby dopiero po dokładnym obejrzeniu zwierząt. Na to jednak, że gniadosze były końmi najczystszej krwi wskazywał już fakt, że trzymały się oddzielnie i odnosiły się do siebie nawzajem z wyraźną delikatnością. Lizwały się i pieściły, goniły nawzajem i przyciskały do siebie w taki sposób, że musiały być albo rodzeństwem, albo przynajmniej towarzyszami zabaw z jednej zagrody, których nigdy jeszcze nie rozdzielano. Obok namiotu leżał stos koców i innych przedmiotów obozowych, w tym również ponad dwadzieścia siodeł. Wśród tych ostatnich było też kilka siodeł damskich. Komu miały służyć? Czy owych sześciu hałaśliwych mężczyzn przyjechało w towarzystwie niewidocznych na razie kobiet? I czy cała grupa liczyła tyle osób, ile było siodeł, czyli ponad dwadzieścia? Jak dotąd ujawniła się tylko szóstka w ogrodzie i trzech peoni. W każdym razie nie pomyliłem się twierdząc, że nie są to żadni rowdies, a zwykli ludzie pozbawieni prawdziwej kultury, przez którą rozumiem kulturę serca — dowodził tego sposób, w jaki potraktowali dawnego gospodarza i w jaki najwyraźniej potraktowaliby i nas. Mogli okazać się gorsi niż rowdies. Wyjąłem z walizki obydwie rewolwery, załadowałem je i włożyłem do kieszeni.

— Co robisz na Boga? — spytała Serduszko.

— Nic, co by musiało wzbudzać twój niepokój — odparłem.

— Będziesz strzelał!

— Nie! A jeśli nawet, to nie do ludzi.

— Może lepiej zjedzmy na górze!

— Czy chcesz mnie sama przed sobą zawstydzić?

— Nie — odparła zdecydowanie. — Chodźmy! Zeszliśmy na dół i nie witając się z nikim usiedliśmy przy naszym stole. Na krótką chwilę zapanowała cisza. Patrzyli na nas i oceniali. Pappermann, jako że go zaprosiliśmy, wstał od ich stołu i podszedł do nas. Oni pochylili ku sobie głowy a ze sposobu, w jaki rozmawiali, można było wywnioskować, że naradzają się,

⁸ sługa stajenny

⁹ szlachetny

jaki by nam zrobić kawał.

— To artyści — powiedział Pappermann siadając.

— Jacy artyści? — zapytałem.

— Malarze i rzeźbiarze. Mówią, że jadą na południe do Apaczów.

— Ach tak? A czegoż u nich będą szukać?

— Tego nie wiem. Sami nic mi nie powiedzieli. To wszystko tylko wywnioskowałem. Zdaje się, że są zaproszeni. Wyjeżdżają jutro rano. Pełni animuszu. Żaden z nich nie ma więcej niż trzydzieści lat. Żółtodzioby! Zachowują się jednak tak, jakby im rozum naładowano do głowy całymi łopatami. Czy słyszał pan, o co pytali?

— Tak.

— I co im na to odpowiedziałem?

— To też.

— Czy dobrze odpowiedziałem?

— Ani dobrze, ani źle. Obojętne, co ci ludzie o mnie pomyślą.

— Może nie całkiem! Są źli na pana! Spodziewam się jakiejś zaczepki.

— Proszę bardzo!

Na spełnienie się tych słów nie czekaliśmy ani sekundy. Howe wstał i wolno ruszył w stronę naszego stołu.

— Zaczyna się! — ostrzegł Pappermann.

— Cała przyjemność po mojej stronie! — odpowiedziałem. — Niech pan pozwoli mi działać i niech pan nic nie mówi.

W tym samym momencie Howe doszedł do nas, skłonił się kpiąco i zapytał:

— Mister Burton, jeśli się nie mylę!

— Tak — skinąłem głową.

— Pan gra na harmonii?

— Owszem. Dla pana ze szczególną przyjemnością.

— A to pani Burton? — wskazał na Serduszko.

— Oczywiście.

— Gra na gitarze?

— Czy chce jej pan posłuchać?

— Może później. Na razie potrzebujemy tylko tego. Ściągnął z naszego stołu biały obrus, zaniósł go do swego stołu i rozłożył.

— Tego jeszcze nie było! Co za bezczelność! — rozgniewał się Pappermann.

Serduszko siedziała z niewzruszoną twarzą.

— Tylko spokojnie! — powiedziałem. — Niech robią, co chcą!

Zjawił się nowy gospodarz, by nas osobiście obsłużyć. Najpierw przyniósł talerze i sztućce. Ledwo odwrócił się od nas plecami, już Howe zabrał wszystko ze stołu i zaniósł swoim towarzyszom. Gospodarz przyszedł teraz z zupą. Zobaczył, co się stało, nie zareagował jednak i postawił wazę na naszym stole. Waza została oczywiście natychmiast porwana i opróżniona, po czym wróciła do nas z powrotem.

Ten sam los spotkał również wszystkie inne dania, łącznie z owocami. Przy akompaniamencie docinków i śmiechu zabierano nam pełne talerze a zwracano puste.

— To przecież nie są Murzyni! — oddychał ciężko Pappermann. — Ani Indianie! To biali! Co pan na to, sir?

— Wkrótce pan usłyszysz — odpowiedziałem.

— Oczywiście zaraz zamówię świeże jedzenie!

— Jeszcze nie! Niech odegrają tę komedię do końca! Kiedy ci dżentelmeni dostaną swój obiad?

— To trochę potrwa. Mojej starej, dobrej kucharki już nie ma, a o żonie nowego właściciela, która sama gotuje, można powiedzieć wszystko, ale nie to, że jest szybka. Na oskubanie młodej kury byłoby jej trzeba ze trzy miesiące, bo każde piórko wyrywa osobno. Ta banda zamówiła sobie właśnie rosół. Ponieważ jednak mieliśmy tylko jedną, starą, sześćioletnią kurę, oskubanie jej może zająć, jeśli dobrze liczę, pięć do sześciu miesięcy. Teraz już pan mniej więcej wie, kiedy “dżentelmeni” dostaną swój obiad!

— Świetnie! Serduszek, czy masz ochotę zagrać na gitarze?

— Co masz na myśli? — zapytała.

— Dowiesz się później. Powiedz teraz, czy masz ochotę! Harmonię i gitarę mam przy sobie, w kieszeniach.

— Ach, masz na myśli rewolwery?

— Tak.

— Czy to niebezpieczne?

— Ani trochę!

— A więc zagram!

— Wspaniale! Zdaje się, że zaczyna się drugi akt komedii. Kurtyna idzie już w górę.

Howe zbliżył się do nas ponownie, stanął szeroko rozstawiwszy nogi i powiedział:

— Mam prośbę. Jesteśmy malarzami. Chcielibyśmy państwa Burtonów i pana Pappermanna sportretować.

— Będziecie malować w sześciu?

— Tak.

— Nas troje?

— Tak. Czy państwo pozwolą?

— Bardzo chętnie. Pod jednym tylko warunkiem.

— Jakim?

— Że będziemy mogli pozostać na naszych miejscach.

— Well! Chcieliśmy was namalować w całkiem innej pozie, ale i tym się zadowolimy. Siedźcie więc państwo i w miarę możliwości się nie poruszajcie, a wkrótce powstanie prawdziwe dzieło. Zaczynamy!

Wyjęli z toreb papier i ołówki i zaczęli rysować. Nagle za ogrodzeniem pojawił się jakiś człowiek. Ubrany był po indiańsku i dźwigał na plecach owinięty w skórę najwyraźniej ciężki pakunek. Szedł pochylony, wolnym krokiem. Był ogromnie zmęczony. Na widok koni przystanął i po chwili ruszył znowu. Kiedy był już na tyle blisko, że jego twarz stała się wyraźnie widoczna, stwierdziliśmy, że liczy około dwudziestu dwóch, trzech lat. Jego rysy były bardzo sympatyczne. Tak jak niegdyś u Winnetou włosy związane u góry w węzeł, spływały mu szerokim płaszczem na ramiona. Zdawało się, że dobrze zna otoczenie, bo zmierzał prosto ku furcie wiodącej do “ogrodu”.

— To Egad! — powiedział Pappermann.

— Zna go pan? — zapytałem.

— Tak. To Młody Orzeł. Przed czterema laty zszedł tu z gór na piechotę, tak jak dzisiaj. Zatrzymał się u mnie przez dwa dni, aby odpocząć. Poza ubraniem, które miał na sobie, przyniósł jeszcze jedno — nowe i lepsze. Ruszając w powrotną drogę oddał mi je na przechowanie. Powiedział, że jeśli będzie żył, za kilka lat przyjdzie je zabrać. Nie miał przy sobie pieniędzy, a tylko trochę nugetów, niezbyt dużo, o wartości najwyżej trzystu, czterystu dolarów. O, do diabła, on jest wycieńczony!

— Jest głodny! — powiedziałem.

— Tak pan uważa?

— Nie tylko uważam, tak jest rzeczywiście. Widać to po nim.

— I ja to czuję — powiedziała Serduszko. — Jest zupełnie wykończony! Chwieje się na nogach! Powinien z nami zjeść! Powiem mu to. Niech pan przyniesie krzesło, mister Pappermann!

Pappermann zniknął, aby spełnić jej życzenie. Serduszko zaś wstała, podeszła do furtki, otworzyła ją przed młodym Indianinem, wzięła go za rękę i podprowadziwszy do stołu, poprosiła, by usiadł. Pappermann przyniósł właśnie krzesło. Indianin, choć strasznie zmęczony nie usiadł od razu, lecz zwrócił swoje wielkie, ciemne oczy ku tej, która go w tak niezwykle sposób powitała.

— Jak Nszo-czi, która była zawsze miłosierdziem! — powiedział, po czym opadł na krzesło i zamknął oczy.

Był tak zmęczony, że nie pomyślał nawet o uwolnieniu się od swego ciężaru. Zdjęliśmy mu go z ramion rozluźniając pasy. Był to długi, ciężki pakunek owinięty w mocną skórę, wagi trzydziestu do czterdziestu kilogramów. To musiało być żelazo! Złożyliśmy pakunek obok krzesła. Pappermann poszedł do drugiego stołu i poprosił o szklankę brandy.

— Dla kogo? — zapytali.

— Dla tego Indianina — odparł.

— Brandy jest dla białych, nie dla czerwonych, nie dla niego, a dla nas. Idź pan stąd!

Stary westman był wściekły, uspokoiłem go słowami:

— Niech się pan nie złości! Za wszystko nam zapłacą! Niech pan pobiegnie do kuchni i wytrząśnij skądś talerz zupy! To mu się bardziej przyda niż pańska brandy!

Pappermann zrobił, jak mu kazałem. Indianin musiał mnie usłyszeć. Nie otworzył oczu, ale powiedział cicho:

— Nie brandy! Tylko nie brandy!

Z jego ust padło imię, Nszo-czi, siostry Winnetou. Czy był Apaczem? Zjawił się Pappermann z zupą.

— To tylko rosół ze starej kury, ale całkiem niezły — powiedział.

Usiadł przed Indianinem, ale ten nie wykonał nawet najmniejszego ruchu. Wtedy Serduszko chwyciła za łyżkę i zaczęła go karmić. Z drugiego stołu dobiegł gromki śmiech.

— To jest właściwie nasz rosół! — krzyknął Howe. — Ale ze względu na tę piękną scenę gotowi jesteśmy z niego zrezygnować. Zatyłujemy ją: “Przenajświętsze miłosierdzie albo zgłodniały Indianin”. Za pięć minut będziemy gotowi. Kto nie zdąży, stawia butelkę brandy!

“Artyści” wzięli się do pracy i po pięciu minutach leżało przed nami sześć karykatur niegodnych zresztą nawet tej nazwy — właściwie sześć ordynarnych bazgrołów. Te rysunki

miały nas rozzłościć i sprowokować do zrobienia jakiegoś głupstwa, ale my wręcz przeciwnie — zachowywaliśmy się tak, jakbyśmy byli nimi zachwyceni.

— Bardzo dobre! — powiedziałem. — Naprawdę bardzo dobre! Ile kosztuje taki obraz?

— Mówi pan: obraz? — zaśmiał się Howe. — Nazywa to obrazem! To nic nie kosztuje! Damy to panu za darmo!

— Za darmo? — spytałem z niedowierzaniem.

— Tak.

— Wszystkie sześć?

— Owszem!

— W takim razie dziękuję!

Poskładałem razem kartki, włożyłem do kieszeni i powiedziałem:

— Jestem jednak człowiekiem honoru. Nie pozwolę się obdarować nie okazawszy wdzięczności. Czy któryś z was może mi zrobić portret na koniu? Te trzy, cztery czy pięć dolarów, które trzeba będzie zapłacić, to dla mnie drobnostka!

— Pięć dolarów? Do diabła, to majątek! Biegnę, pędzę, śpieszę. Zaraz wracam z rumakiem! — zawołał jeden z nich.

Wyszedł a za nim cała reszta. Chcieli wyszukać najgorszego konia.

— Czy ma pan jakiś plan? — zapytał Pappermann.

— Oczywiście! Teraz zostaną ukarani! Niech pan biegnie do właściciela i powie mu, że potrzebuję dwóch lub trzech dobrych świadków, najlepiej policjantów, lub kogoś z urzędu miasta. Niech pójda do naszych pokojów, skąd wszystko doskonale zobaczą i usłyszą.

— W porządku! Już się robi!

Wyszedł w pośpiechu a kiedy przyprowadzono konia był już z powrotem. Howe zażądał, bym owe pięć dolarów zapłacił z góry. Przystałem na to. Miałem teraz sięść na konia. Udałem, że robię to pierwszy raz w życiu. Trzy razy próbowałem bez skutku, a za czwartym wzięłem taki zamach, że spadłem z drugiej strony. Moim niezgrabnym wysiłkom towarzyszyły wybuchy śmiechu. Wreszcie usadzono mnie na koniu i wciśnięto w ręce wodze. “Artyści” znowu rozpoczęli pracę.

— To będzie naprawdę coś! — zawołał jeden z nich.

— Mister Burton siedzący dumnie na koniu niczym niepokonany rycerz.

Oczywiście miałem na rysunku wyglądać zupełnie inaczej.

— Czy mówicie panowie poważnie? — pytałem z dumą i radosnym podnieceniem.

— Oczywiście, oczywiście! Od razu widać, że w jeździe na koniu żaden z nas nie może się z panem równać!

— Naprawdę?

— Tak, oczywiście!

— Powiedzcie więc panowie, ile taki koń kosztuje?

— Chce pan sobie kupić konia?

— Może nawet kilka! Skoro mówicie, że dobrze jeżdżę, byłbym głupcem, gdybym podróżował dalej tymi drogimi kolejami. Koniem przecież taniej, nieprawda?

— Prawda, o wiele taniej. Mamy kilka na zbyciu. Może sprzedamy panu jednego z nich.

Mrugali na siebie porozumiewawczo. Miałoby to być niewidoczne, ale nie umknęło mojej

uwadze.

— Tylko jednego? — zapytałem. — Potrzebuję pięciu albo sześciu!

— Ho, ho! Dla kogo?

— Dla mnie, dla pani Burton...

— ... która gra na gitarze — wpadł mi w słowo Howe z szyderczym uśmiechem.

— Tak. A do tego dla jeszcze kilku dobrych znajomych...

— ... którzy również są muzykami?

— Jeśli nie macie panowie nic przeciwko temu. Najchętniej kupiłbym trzy konie i trzy muły, wraz z siodłami. Ile to będzie kosztowało?

Zmieszali się nieco. Spojrzeli na mnie, na siebie nawzajem, po czym Howe zapytał badając mnie wzrokiem:

— Trzy konie i trzy muły? A które? Wskazałem na muły i odpowiedziałem:

— Z koni chciałem wziąć te, które się pokładły, z prawej strony, te z długimi uszami.

Powaga moich rozmówców znowu prysła, a ja mówiłem dalej wskazując palcem na gniadosze:

— Podobają mi się też te muły. Płacę każdą cenę. Znowu wybuchnęli śmiechem.

— Te muły! I te konie! To cudowne, cudowne, niezrównane!

Kiedy wesołość nieco przycichła, Howe zapytał:

— Płaci pan każdą cenę? A ile pan ma przy sobie pieniędzy, sir?

— Całe dwieście pięćdziesiąt dolarów! — odparłem nie bez dumy. — To z pewnością więcej, niż warto jest całe wasze stadko!

Śmieli się do rozpuku. Potem pochylili się ku sobie, by omówić jakąś niewątpliwie bardzo dla mnie korzystną ofertę. Zapomnieli o konnym portrecie, a całą swoją uwagę skupili prawdopodobnie na tym, jak wydobyć ode mnie owe dwieście pięćdziesiąt dolarów.

— Niech pan zsiądzie! — krzyknął do mnie Howe. — Bardzo się nam pan spodobał, panie Burton! Dostanie pan i konie, i muły, i siodła! Może nawet za darmo!

— Za darmo? W jaki sposób? — spytałem ogromnie zdziwiony.

— Chcemy zobaczyć jak pan jeździ! Na koniach i na mułach! Osiodłamy panu teraz wszystkie sześć zwierząt! Dosiadać je pan będzie na zewnątrz i potem będzie pan, wjeżdżał galopem tu do środka, ale nie przez furtkę, lecz przez mur.

— A więc trzeba będzie skakać?

— Tak. Czy ośmieli się pan?

— Czemu nie? Sami mnie panowie zapewniliście, że jestem dobrym jeźdźcem! Czy można w ogóle spaść mając nogi w strzemionach a wodze w dłoni?

— Ma się rozumieć, że nie! — zaśmiał się, a pozostali zawtórowali mu rżącym głosem. — A więc każdy koń i każdy muł, który przeskoczy przez mur nie złamawszy przy tym karku i nie zrzuciwszy jeźdźcę na ziemię, należy do pana!

— Czy mogę zdjąć kapelusz i marynarkę?

Jego kompani dosłownie pokładali się ze śmiechu, ale on sam opanował się i powiedział:

— Może pan z siebie zdjąć lub nałożyć, co się panu żywnie podoba. Nawet jeśli pan przebierze się za kłowna czy głupiego Jasia nie będziemy mieli nic przeciwko temu. Teraz powiem jednak od czego zależeć będzie cała transakcja. Musi pan wyłożyć swoje dwieście

pięćdziesiąt dolarów. Jeśli przeskoczy pan sześć razy dostanie je pan z powrotem razem ze zwierzętami. Jeśli nie, pieniądze należą do nas. Chyba pan rozumie, inny układ byłby dla nas nie do przyjęcia?

— Oczywiście! Wy ryzykujecie swoimi końmi, więc ja również muszę czymś ryzykować. Wprawdzie wszystkie wasze konie i muły są już do pańskiej dyspozycji, winien pan natychmiast wyłożyć całą sumę.

Znowu zagrzymiał śmiech, a Howe rzekł:

— Słusznie, słusznie! A ponieważ nasze konie i muły są już do pańskiej dyspozycji, winien pan natychmiast wyłożyć całą sumę.

— Zrobię to natychmiast po spisaniu umowy.

— Umowy? — spytał zdziwiony.

— Oczywiście! Umowy! Nasłuchałem się najrozmaitszych rzeczy o handlarzach końmi i wiem, jak trzeba się w stosunkach z nimi zabezpieczać i asekurować.

— Ale my nie jesteśmy handlarzami lecz artystami!

— Wszystko jedno! To jest handel końmi, bez względu na to, kim lub czym jesteśmy!

— Well! Zgoda! Papier!

— Ja podyktuję! — powiedziałem.

Zsiadłem, a raczej zsunąłem się niezdarnie z konia. Howe usiadł przy stole i napisał słowo w słowo podyktowaną mu treść umowy. Uważał, że może bezkarnie podpisać wszystko; nie ulegało bowiem dla niego najmniejszej wątpliwości, że już przy pierwszych krokach wylecę z siodła. Dyktowałem podniesionym głosem, gdyż chciałem, by świadkowie, których dojrzałem w naszych oknach, wszystko dokładnie słyszeli i zrozumieli. Dodałem zastrzeżenie, że pieniądze zostaną zdeponowane u osoby trzeciej, a mianowicie u pana Papperrnanna i że on też osiodła wybrane przeze mnie konie i muły. Howe był na tyle pewny swego, że bez wahania wyraził na to zgodę. Potem podpisaliśmy się pod umową, najpierw oni wszyscy, a na końcu ja. Podałem papier staremu westmanowi, a on włożył go do kieszeni. Od tej chwili mogłem już właściwie uważać tych sześć wspaniałych zwierząt za swoją własność. Wyciągnąłem portfel i wręczyłem Pappermannowi uzgodnioną sumę. Serduszek uśmiechała się leciutko. Skinęła mi po kryjomu głową. Siedzący przy stole Indianin na tyle już doszedł do siebie, że z uwagą śledził, co się wokół niego działo. Patrzył na mnie badawczo a z jego spojrzenia można było wywnioskować, że przeczuwa dalszy bieg wypadków.

— A teraz po siodła! — rozkazał Howe.

Rzucili się wszyscy do furtki a za nimi Pappermann. Po pewnej chwili ruszyłem i ja z miejsca obserwując moich przeciwników z odpowiedniej odległości. Powiadomili peonów o tym, co ma nastąpić. Peoni to słudzy stajenni, podwładni. Zwykle rekrutują się spośród Meksykanów najpośledniejszego stanu. Ci jednak na pewno byli jankesami i to, jak się zdawało, doświadczonymi; nie zaliczali się już zresztą do ludzi młodych, każdy z nich miał z pewnością ponad czterdzieści lat. Rozmawiając z "artystami" zachowywali się nie jak słudzy, a przeciwnie - niczym ich panowie. To mnie zastanowiło. Kiepski kawał, którego miałem paść ofiarą, nie wzbudził jednak ich sprzeciwu, gdyż w końcu przyłączyli się do ogólnego śmiechu. Kiedy Howe ruszył z dwoma spośród nich w kierunku gniadoszy, trzeci zawołał za mną rozbawiony:

— Jaka szkoda, że nie ma tu Zebulona i Harimana! Pękliby ze śmiechu.

Nietrudno sobie wyobrazić, jak podziały na mnie te imiona. Znowu Entersowie. Że o nich chodziło, nie miałem najmniejszych wątpliwości. Zgadzała się również kolejność, w jakiej wymieniono imiona. Zebulon na pierwszym miejscu. Pasował do tych ludzi o wiele

bardziej niż Hariman i z pewnością cały ten kawał bardziej właśnie jemu by się podobał. Nie miałem jednak czasu więcej nad tym myśleć, bo oto stałem już przy siodłach i musiałem wybierać te, które mi się najbardziej podobały. Czy ich potrzebowałem nie było w tym momencie rzeczą najważniejszą, choć już wtedy wiązałem z nimi pewne plany, które zasadały się wprawdzie na przypuszczeniach, ale potem rzeczywiście zostały zrealizowane. Wybrałem jedno siodło damskie i pięć najlepszych siodłał jeździeckich. O ile moje przypuszczenia okazałyby się słuszne, dwa spośród tych ostatnich miały być wymienione na juki.

Od tej chwili stało się dla mnie jasne, że nasi współbiednicy nie tylko nie są artystami, ale nie posiadają żadnego przyzwoitego rzemiosła. Zacząłem sobie niemal wyrzucać, że się przed nimi bez mała poniżam, kiedy to właśnie im, kimkolwiek byli, brakowało odrobiny najpospolitszej inteligencji. Z faktu, że spośród dwudziestu siodłał potrafiłem wybrać pięć najlepszych, bez trudności powinni byli wywnioskować, iż nie jestem aż taką ofertą, za jaką mnie mają. Oni jednak byli ciągle na tyle ślepi, że jeden z peonów przyniósł mi jeszcze do przypięcia swoje wielkie ostrogi. Również na to z całym spokojem się zgodziłem.

Pappermann osiodłał najpierw muły, a potem gniadosze. Konie dały się osiodłać, ale nie pozwalały nikomu zbliżyć się do nich z boku. Musiałem się przekonać, czy dotyczy to tylko lewej strony, z której normalnie się koni dosiada, czy również strony prawej. Próbowałem więc podejść do nich nieznacznie z prawej strony, ale zawsze odwracały się głową w moim kierunku. Również od tyłu nie można się było do nich zbliżyć, bo wszystkie trzy zaczęły niebezpiecznie wierzgać. Byłem już dostatecznie zorientowany. Przeskoczyć mur będzie o wiele łatwiej na ogierach niż na mułach, co do których nie wiedziałem jeszcze, czy są zwierzętami szkolonymi, czy tylko jucznymi.

— A więc naprzód, mister Burton! — krzyknął na mnie Howe. — Czas zaczynać. Niech nam pan tylko pozwoli wrócić do ogrodu, skąd będziemy mieli lepszy widok!

— Najpierw pomóżcie mi wsiąść! — poprosiłem podchodzących do muła.

Mężczyźni posadzili mnie na grzbiecie, po czym śmiejąc się poszli pośpiesznie w stronę "ogrodu". Peoni i Pappermann zostali na zewnątrz. Stary westman nie odstępował mnie na krok i skinawszy do mnie po kryjomu głową dał mi do zrozumienia, że mogę na niego liczyć. Poprzez te wszystkie lata pozostał rozważnym i przezornym człowiekiem, jakiego niegdyś znałem.

Muł ruszył z miejsca. Wyglądało na to, że idzie naprzód wyłącznie z własnej woli — najpierw powoli, potem coraz szybciej. Wkrótce zaczął biec, skręcając to w lewo, to w prawo, jakby według własnego widzimisię. Zawrócił, zrobił łuk, zawrócił znowu biegnąc stępą, miejscami próbując nawet kłusa. Skakałem po całym grzbiecie, chwiałem się na wszystkie strony. Chwilami wypuszczałem wodze z dłoni, kilka razy nogi wysunęły mi się ze strzemion. Wyglądało to bardzo niewinnie i zabawnie, tymczasem jednak muł poddawany był ostremu egzaminowi. Nie zrobił ani jednego kroku bez mojej woli i bardzo szybko zorientowałem się, na jakim zwierzęciu dane mi jest jeździć. Muł wyszedł ze świetnej meksykańskiej szkoły. Także wówczas, kiedy bardzo delikatnie przygotowywałem go do skoku, reagował tak precyzyjnie i z taką szybkością, że brakowało mi niemal czasu na odwołanie próbnych sygnałów. Coraz bardziej zbliżaliśmy się więc do muru, aż w pewnej chwili dzieliło nas już od niego tylko cztery lub pięć kroków. Po drugiej stronie rozległ się szyderczy śmiech. Moi przeciwnicy byli przeświadczeni, że muł spaceruje sobie niosąc mnie na grzbiecie.

— Do nas, do nas, prosimy, panie Burton! — krzyknął do mnie Howe.

— Mówi pan zupełnie poważnie? — spytałem.

— Oczywiście!

— A więc nie weźmie mi pan tego za złe?

— Skądże! Naprzód!

— Salto! Alto! Elevado!

Na dźwięk tych używanych przy skokach komend uniesiony zostałem nagle do góry. Muł przeskoczył nad murem i stanął po drugiej stronie tak nieruchomo i spokojnie, jakby nigdy się stamtąd nie ruszał. Spojrzałem na Indianina. Jego oczy płonęły.

— A niech to... — zaklął Howe.

Z ust jego towarzyszy wyrwało się kilka podobnych okrzyków.

— No i co? — spytałem. — Z której jestem teraz strony?

— Niech diabli pana porwą! — krzyknął do mnie rozwścieczony. — Zdaje się, że pan jednak umiesz jeździć!

— Zdaje się? Jednak? Czy mówiłem, że nie umiem? Ześlizgnąłem się na ziemię, wyprowadziłem muła za mur na dziedziniec i tam go przywiązałem.

— Dlaczego pan go wyprowadza? — zapytano.

Nic na to nie opowiedziałem i kiwnąwszy wesoło głową do Serduszka poszedłem po drugiego muła. Ten skoczył nie gorzej od swego poprzednika.

— Teraz już wiadomo! — krzyknął Howe. — Ten człowiek jeździ konno! Kłamał!

Puściłem obelgę mimo uszu i również tego muła wyprowadziłem na dziedziniec. Potem poprosiłem Serduszko:

— Kiedy będę zajmował się trzecim mułem, przynieś, proszę, z góry moją walizkę i połóż ją tu na stole!

Kiedy zbliżyłem się do peonów, jeden z nich powiedział:

— Zdaje się, że chce pan nam zrobić kawał?

— Jeśli nawet, to odpłacam tylko pięknym za nadobne!

— Niech pan uważa, bo może się zrobić z tego coś poważnego!

— Ja każdy kawał traktuję poważnie. Czy wy, panowie, robicie inaczej?

Podszedł do mnie bliżej i zagroził:

— Ostrzegam pana!

— Pshaw! — wzruszyłem wzgardliwie ramionami.

— Tak, ostrzegam pana i to przed czymś zupełnie innym, niż się panu wydaje. Konie to nie głupie muły. Albo połamię pan kości, albo skręci pan kark!

— Niech pan spokojnie poczeka!

Nie uważałem za stosowne dłużej udawać. Wskoczyłem szybko na muła trzymanego przez Pappermanna.

— A co będzie z końmi? — zapytał ściszym głosem.

— To, co z mułami! — odrzekłem.

— Ale one nie pozwalają do siebie podejść!

— Niech się pan nie martwi! Nie tylko do nich podejść, ale i dosiąść!

Po tych słowach pojechałem przez plac i przeskoczyłem przez mur. Kiedy przyprowadziłem muła na dziedziniec, naokoło stało już sporo ludzi. Wieść się rozniosła i wielu przyszło, by na własne oczy zobaczyć, co się dzieje. Właściciel zacierał ręce, bo miał dużo gości. Z wolna zapełniły się też sąsiednie "ogrody".

Moja walizka leżała już na stole. Serduszko sama towarzyszyła komuś, kto ją przyniósł. Powiedziała mi, że z naszych okien bieg wydarzeń obserwuje czterech świadków — trzech policjantów oraz mężczyzna przez innych nazywany corregidorem.

— To tyle co burmistrz. Tak nazywają burmistrza ludzie meksykańskiego pochodzenia — wyjaśniłem.

— Przyszedł dopiero później. Przyprowadził go, nie wiem dlaczego, jeden z policjantów. Był dla mnie bardzo uprzejmy. Czy potrzebujesz czegoś z walizki?

— Tak. Potrzebna mi jest “szata rady”.

Otworzyłem walizkę wyjąłem uszytą z białej skóry i ozdobioną na szwach splecionymi włosami skalpów część indiańskiej garderoby.

— Uff! — zawołał półgłosem zdumiony Indianin. — Tę szatę noszą tylko wodzowie! I to wyłącznie przy ogniu rady i podczas specjalnych uroczystości!

Zdjąłem marynarkę i włożyłem na siebie “szatę rady”.

— Dlaczego to robisz? — spytała Serduszko. — Czy nie słyszysz tych śmiechów i kpin.

— Niech się śmieją. Dojdą do tego jeszcze ozdoby wodzowskie. Chodzi o konie. To indiańska tresura. Poza swym panem nie dopuszczają do siebie żadnej bladej twarzy. Również ja bez przebrania nie zdołałbym ich dosiąść.

— Ach, to stąd zastrzeżenie, że możesz się dowolnie przebierać?

— Tak. Jak widzisz przemyślałem każde słowo, choć nawet ty nie wiedziałas dlaczego i po co.

Kiedy wyjmowałem z pokrowca ozdoby wodzowskie Indianin dał powtórnie wyraz swemu zdumieniu:

— Uff, uff! Prawdziwe pióra orła bojowego, który już wyginał! Czy jest ich pięć razy dziesięć?

— Nawet więcej — odpowiedziałem.

Na to uniósł się z wielkim szacunkiem i powiedział:

— Proszę więc przyjąć moje pozdrowienie i prośbę o wybaczenie...

— Cicho, cicho! — przerwałem mu. — Nie siedzimy przy ogniu rady, a te tajemne przedmioty, których znaczenia szczęśliwie nikt tu się nie domyśla, odsłaniam wyłącznie ze względu na konie.

Do stroju, w którym miałem wystąpić, należą tylko dwa skrajne, lotne pióra orła bojowego. Moje pióro sięgało z głowy do ziemi, było rezultatem najtroskliwszych indiańskich zabiegów konserwacyjnych i miało swoją własną, bardzo niezwykłą historię. Kiedy je przypiąłem, wśród szóstki “artystów” rozległy się śmiechy. Howe krzyknął jednak na swoich kompanów ze złością;

— Zamknijcie się! Nie widzicie co robi? Zna tajemnicę tych ogierów! Nie ma się z czego śmiać! Miejmy nadzieję, że i tak skręci kark!

Przeszedłem pomiędzy nimi i skierowałem się ku koniom. Nieopodal stali peoni. Żaden z nich nie powiedział ani słowa, ale jeśli ich spojrzenia mogłyby zabijać jak kule, nie żyłbym ani chwili dłużej. Gniadosze trzymały się blisko siebie. Zacząłem się do nich powoli zbliżać. Obserwowały mnie nie ruszając się z miejsca. Rozdęły swe zaróżowione chrapy i zastrzygły uszami. Ich wspaniałe ogony zaczęły się lekko poruszać. Dwa z nich pozwoliły mi do siebie podejść, trzeci jednak parsknął. Odskoczył, ale nie próbował mnie kopnąć czy ugryźć. Ten był najmądrzejszy i tego zostawiłem na koniec. Miał tuż nad chrapami małą, białą plamkę wielkości miedziaka, przejrzyste — zdrowe oczy i kościstą, świadczącą o silnej

indywidualności małą głowę oraz aksamitną, lśniąca sierść. Był przy tym tak doskonałej budowy, że już wówczas, kiedy jeszcze do mnie nie należał, postanowiłem go wziąć dla siebie. Teraz jednak wskoczyłem na jednego z pozostałych. Nie stawiał żadnego oporu. Dwukrotnie przegalopował ze mną w koło, a potem przeleciał ponad murem jak nad niskim progiem. Rozbrzmiały oklaski i krzyki podziwu. Tylko “artyści” stali bez słowa. Zaprowadziłem ogiera do mułów i udałem się po drugiego. I z nim poszło jak z płatka. Kiedy szedłem po ostatniego konia, zastąpił mi drogę peon, z którym poprzednio rozmawiałem i powiedział:

— Niech pan przyzna, sir, że od początku chciał pan...

— Dać wam nauczkę? — przerwałem mu. — Owszem, zgadza się!

— Dobrze! Dostaliśmy nauczkę. To wystarczy i na tym kończymy!

— Ja również już kończę! Za chwilę będzie po wszystkim!

— Nie całkiem. Bo na tego konia pan nie wsiądzie! Podeszedł od przodu do ogiera, by chwycić go za wodzę, ale ja byłem szybszy. Spodziewając się, że peon chce go dosiąść, koń zwrócił ku niemu łeb i pierś i parsknął ostrzegawczo. Wykorzystałem ten moment. Szybko podbiegłem do konia od tyłu — mocne odbicie, skok, podparcie i już siedziałem mu na grzbiecie. Jak najszybciej wymacałem nogami strzemiona i chwyciłem za wodzę. Gniadosz skoczył już czterema nogami w górę. Peon zmuszony był odskoczyć, bo w każdej chwili groziło mu kopnięcie.

— Psie! — warknął. — Zapłacisz mi za to!

A zwracając się do dwóch pozostałych dorzucił:

— Szybko na dziedziniec! Umowa nie obowiązuje! Musi nam je wszystkie oddać! Wszystkie!

Pobiegli. Ponieważ siedziałem już na koniu nie mogli mi przeszkodzić w wykonaniu ostatniego skoku. Pozostało im jedynie pozbawienie mnie zasłużonej zapłaty. Dlatego chcieli dotrzeć do koni. Byli przekonani, że ostatni ogier nie posłucha mnie tak chętnie, jak pozostałe. Pomylili się jednak. Z chwilą, gdy usiadłem mocno w siodle, koń nie próbował mnie już więcej zrzuć. Zawdzięczałem to indiańskiemu strojowi, którego wygląd i zapach zwiódł ogiera. Nie do końca jednak. Zwierzę poznawało też we mnie białego i zwlekało z wykonywaniem komend. Nie chciałem go przymuszać ostrogami. Próbowałem raczej łagodnej perswazji. Ponieważ przypuszczałem, że pochodzi z hodowli Dakotów, zwróciłem się do niego słowami zachęty używanymi przez Dakotów w stosunku do koni:

— Szuktanha tehike, waszteh! Amani-wo, tokije-we-bądź dobry, bądź dobry koniku! Biegnij, biegnij, dalej!

Nie dało to żadnych rezultatów. Spróbowałem więc języka Apaczów:

— Inczu, arguko! Tatiszah, nakate elkantasz — kochany, dobry! Biegnij, biegnij!

Ogier nadstawił uszu i poruszał ogonem. Znał więc te słowa, ale to nie były jeszcze właściwe komendy. Powiedziałem więc w języku Komanczów:

— Miaro, namachco — dalej, szybko...

Nie musiałem kończyć. Ogier wydał z siebie radosne westchnienie i zatańczył kopytami. I wtedy przyszła mi do głowy myśl, która wówczas mogła się wydawać bezpodstawna, lecz która później okazała się prorocza. Przypomniałem sobie mianowicie szlachetnego kasztanka, o ciemnej tonacji, którego swego czasu bardzo chętnie dosiadał mój przyjaciel Apanaczka, podówczas jeszcze wódz Koman-czów-Naimi. Opisałem tego konia w pierwszym tomie *Old Surehand*. Wiedziałem też, że zarówno Apanaczka, jak i Old Surehand zadali sobie wiele trudu, by wyhodować zwierzęta, które łączyłyby w sobie zalety tej rasy wraz z zaletami

ulubionych ogierów Winnetou, oraz najlepszych kłusaków z hodowli Dakotów. To przedsięwzięcie zostało uwieńczone sukcesem. Obydwaj byli teraz właścicielami kilku wielkich stajni hodowlanych, z których największa znajdowała się nad Bijou Creek, drugorzędną rzeką południowego płaskowyżu. Old Surehand zbudował sobie tam też dom mieszkalny, w którym spędzał co roku kilka miesięcy. To o tej, ze smakiem urządzonej posiadłości napisał: *Uważaj mój dom za własny, choćbyś nas w nim nie zastał*. Czy owe trzy gniadosze pochodziły z tej stajni? A może również muły? Czyżby “artyści” oraz ich peoni byli koniokradami? Na pewno nie można było tego wykluczyć. Trinidad słynie z handlu końmi, jest więc dla takich rzezimieszków równie wygodnym, co pożądanym miejscem dla pozbycia się skradzionych zwierząt.

To wszystko przemknęło mi przez głowę lotem błyskawicy. Nie było czasu tych myśli ani zatrzymać, ani poprowadzić dalej. Ogier tańczył więc kopytami. Nie widząc przy sobie swych przyjaciół, czy też krewnych, skierował się w ich kierunku. Ująłem go mocno i weszliśmy w galop. Dojechałem jednak tylko do muru i tu go zatrzymałem. Ogier wydał z siebie głębokie chrapanie, które wyrażało jego pragnienie znalezienia się po drugiej stronie. To właśnie chciałem usłyszeć. Jak to mówią fachowi jeźdźcy: “Przeszkoda została wzięta z najwyższą elegancją”.

— Wygrał! Wygrał te wszystkie konie! — rozbrzmiało dokoła.

Pappermann przybiegł zadyszany. Podałem mu wodze, by i to zwierzę odprowadził na dziedziniec.

— Stać! Nie ruszać się! — ryknął Howe władcym tonem. — Ten ogier jest nasz i cała reszta również. Pójdą wszystkie do nas!

Chwycił za cugle. Podszedłem do niego i rzekłem:

— Ręce przy sobie! Liczę do trzech: raz... dwa... trzy...! Nie puścił cugli. Mówiąc “trzy” uderzyłem go pięścią

w żebra z taką siłą, że wpadł między swych towarzyszy i osunął się na ziemię. Próbował jak najszybciej podnieść się, by oddać mi cios, ale nie był w stanie. Zanim stanął na nogi do sporu włączył się już ktoś inny, a mianowicie peon, który nazwał mnie “psem”. Podskoczył do mnie z zaciśniętymi pięściami i krzyknął:

— Chcesz się bić? To ci nie wyjdzie...

Nie dokończył. Przerwał mu nowy właściciel, wkraczając do “ogrodu” w towarzystwie kilku postawnych, krzepkich mężczyzn, których zwołał naprędce, by w decydującym momencie włączyć się do sporu.

— Spokój! Zamknąć gęby! — przekrzyczał peona. — Podajemy jedzenie! Zupę! Przedyskutujecie po jedzeniu! W moim hotelu nie pozwalamy od razu uciekać się do rękoczynów! U nas najpierw kura, a potem interes!

Sprytnie to załatwił. Aby uspokoić peona zważył najpierw na mnie całą winę, mrugając przy tym do mnie porozumiewawczo, abym nie brał tych “rękoczynów” zbyt do siebie. Towarzyszący mu mężczyźni nieśli talerze i sztuce, a on sam dźwigał przed sobą wazę z rosółem. Nie przerywając swojej tyrady, wyciągnął z rosółu starą, wygotowaną kurę i podniósł ją za nogę do góry tak, by dla wszystkich stała się widoczna. Jego rozumowanie okazało się słuszne. Z przyległych dziedzińców i “ogrodów” doszedł naszych uszu głośny śmiech, a kilka rozbawionych głosów zawołało:

— Słusznie, słusznie! Najpierw kura, a potem interes! Wiwat kura! Niech żyje kura!

To podziało.

— Well! — krzyknął peon. — Najpierw kura, a potem konie! Siadajcie! Jemy! Ten pan

Burton może zaczekać!

— Nie, nie będzie czekać! — odparł Howe, który potykając się zmierzał w kierunku swojego krzesła — Niech nam zagra do jedzenia! Gra na akordeonie, a żona akompaniuje mu na gitarze!

— Tak, właśnie! — zgodził się chętnie peon i skinął do mnie rozkazująco głową. — Dawaj tu ten akordeon i gitarę!

— Już się robi! — odpowiedziałem.

Podszedłem do Serduszka i wyjąłem rewolwery z obu zewnętrznych kieszeni zdjętej przeze mnie poprzednio marynarki. Zapytałem:

— Czy wiesz, co teraz musi nastąpić?

— Tak — odpowiedziała.

— Jesteś gotowa?

— Mam nadzieję!

— A więc chodź!

Odwiodłem kurki i wręczyłem jej jeden z rewolwerów. Dotychczas stałem odwrócony tyłem, tak że nie widzieli broni. Teraz jednak odwróciłem się i podszedłem do ich stołu. Tuż za mną kroczyła Serduszko.

— Oto mój akordeon!

— A to moja gitara! — powiedziała za mną Serduszko.

— Zaczynamy więc grać — mówiłem dalej. — Ten, kto chwyci za broń, zarobi natychmiast od nas kulę! Poprzednio raczyliście się naszym jedzeniem, teraz my spróbujemy waszego! Mister Pappermann, niech pan to zabierze! Razem z obrusem i sztucami!

Na kilka chwil zapadła głęboka cisza. Widziałem, że rewolwer w rękę Serduszka drży lekko. Dla większej pewności chwyciła się drugą ręką mojego ramienia. Groźba jednak podziałała. Żaden z „artystów“ i peonów nie odważył się ruszyć. A wkoło rozległy się gromkie oklaski.

— Razem z obrusem i sztucami! — wołano, wrzeszczano, śmiano się i szydzono bez umiaru. — I z kurą, i z kurą!

Pappermann przystąpił do wykonywania mojego polecenia i nikt nie ruszył się, by mu przeszkodzić. Tymczasem z dziedzińca dobiegły odgłosy jakiegoś zamieszania. Ktoś chciał się stamtąd dostać do „ogrodu“.

— Corregidor! — usłyszałem. — Corregidor!

A więc burmistrz we własnej osobie! A z nim trzech policjantów. Nasi świadkowie. Zjawili się jednak nie tylko jako świadkowie, lecz także z zupełnie innego, znacznie poważniejszego powodu. Corregidor zwrócił się najpierw do mnie:

— Niech pan schowa broń, mister Burton! Zrobił pan, co do pana należy, a teraz ja muszę przejąć tę sprawę. Konie i muły należą do pana i nikt nie ma prawa ich panu odebrać. Również pieniądze należą do pana!

— Oho! — krzyknął najrozmowniejszy z peonów widząc, że chowamy rewolwery. — Trzeba tu jeszcze nas uwzględnić!

— Istotnie, trzeba tu i pana uwzględnić! Zwłaszcza pana! Bardzo mnie interesuje pana nazwisko, ale nie fałszywe, lecz prawdziwe!

— Moje nazwisko? — zapytał peon. — A to z jakiego powodu? Nie mam zwyczaju występować pod fałszywym nazwiskiem!

— Znam co najmniej dziesięć lub jedenaście, którymi się pan posługiwał. Pańskie prawdziwe nazwisko brzmi Corner. Pod ostatnim z pana fałszywych nazwisk został pan w Springfield skazany za rabunek i kradzież koni, ale udało się panu uciec z więzienia!

— To nieprawda! To kłamstwo! To haniebne łgarstwo! Jestem uczciwym człowiekiem i nie zabrałem nikomu nigdy ani centa!

— Naprawdę? Czy chce pan zobaczyć teraz kogoś, kto nie tylko twierdzi, ale potrafi dowieść, że jest odwrotnie?

— Niech pan go pokaże!

— Oto on.

Urzędnik usunął się na bok odsłaniając jednego z policjantów. Ten uklonił się peonowi ironicznie i powiedział:

— Chyba się znamy, mister Corner? Aresztowałem pana w Springfield i dzisiaj zrobię to ponownie z wielką przyjemnością. Zostałem przeniesiony do Trinidad.

Ledwie policjant skończył, peon krzyknął:

— Ten szubrawiec tutaj! Niech was wszyscy diabli porwą! Jazda stąd!

Ostatnie słowa przeznaczone były dla kompanów. Peon uskoczył na bok, po czym wybiegł jak opętany z "ogrodu" kierując się ku miejscu, gdzie na ugorze stały konie. Nie uciekał sam. Wszyscy jego towarzysze zerwali się na równe nogi i poszli za jego przykładem, wykazując się przy tym szybkością i zręcznością, która wskazywałaby na niebagatelną praktykę. Ja również, kiedy trzeba działać, działam zazwyczaj bardzo szybko. Ruszyłem więc natychmiast w pościg, ale udało mi się złapać tylko ostatniego z nich. Ten próbował się wyrwać, lecz zaraz wziął go w swoje ręce Pappermann, który nie należał do słabeuszy. Rzucił go na ziemię i ukląkł na piersi w taki sposób, że opryszek nie mógł się nawet ruszyć.

Jego towarzysze uciekali nie zwalniając kroku. Dopadłszy koni, wskoczyli na ich grzbiety i pogalopowali zabierając z sobą również czwartego muła i konia, schwytanego przeze mnie peona.

— Łotry! — krzyknął za nimi ze złością. A co ze mną?

— To zależy od ciebie — odpowiedziałem.

— Jak to?

— Zaczekaj!

Na moich oczach rozgrywała się bowiem zabawna nieomal scena. W pogoń ruszyli nie tylko niektórzy, a wszyscy zgromadzeni. Na miejscu pozostali tylko: Pappermann, właściciel ze swymi ludźmi, Indianin, moja żona i ja. Także sąsiedzi ze swymi siedzącymi na murze i stojącymi przy płocie gośćmi uczestniczyli w pościgu. I nawet teraz, kiedy uciekający dosiedli koni, nikt nie miał zamiaru rezygnować czy zawracać. Przeciwnie — usłyszeliśmy jak corregidor krzyknął:

— Do corrali! I za nimi!

Corrale to ogrodzone place, na których trzyma się konie. Było ich w Trinidad kilka. Do nich pośpieszyli teraz ścigający, zamierzając jak najszybciej ruszyć konno śladami zbiegów. Byliśmy sami. Zwróciłem się znowu do więźnia, który ciągle jeszcze dyszał pod kolaniem Pappermanna:

— Wstań, chłopcze! I dobrze słuchaj, co ci powiem! Pappermann puścił go ostrożnie i pozwolił wstać. Mówiłem dalej:

— Jeśli uczciwie odpowiesz na moje pytania, puszczę cię wolno!

— I będę mógł pójść, dokąd zechcę? — zapytał szybko.

— Tak.

Spojrzał na mnie badawczo.

— Nie wygląda pan na oszusta. Mam nadzieję, że dotrzyma pan słowa. Niech pan mówi, co pan chce wiedzieć!

— Skąd mieliście trzy gniadosze?

— Ze stajni niejakiego Surehanda.

— A muły?

— Również stamtąd.

— Ukradliście je?

— Właściwie nie. To było małe, sprytne oszustwo. Corner dowiedział się gdzieś, że Old Surehand zostawił swoje najlepsze konie i muły jakiemuś Niemcowi, który miał do niego przyjechać z żoną. Oczekiwał także odwiedzin kilku młodych malarzy i rzeźbiarzy, których miał wyposażyć...

— Wyposażyć? — przerwałem mu. — W jakim celu?

— Mieli jechać konno do kraju Apaczów na wielką wystawę. Zaprosił ich młody Surehand, który podobnie jak ojciec pojechał tam wcześniej. Zamiast artystów, zjawiliśmy się my. To było jak karnawałowa maskarada. Zarządca uwierzył nam i dał wszystko, czego zażądaliśmy.

— Ach! To dlatego nazwaliście siebie malarzami i rzeźbiarzami!

— Tak jest! — roześmiał się. — Niech pan pyta dalej!

— To mi wystarczy. Jeśli poznałbym więcej waszych tajemnic, bardzo byłoby mi trudno albo w ogóle nie byłbym w stanie dotrzymać słowa. Wolę więcej nie wiedzieć.

— A ja mogę sobie pójść?

— Tak.

— Dziękuję! Jest pan człowiekiem honoru, sir! Ale ja nie mam konia!

— Na to ja z kolei nie mam wpływu.

— Czy mógłby mi pan przynajmniej dać muła?

— Kradzionego? Wykluczone.

— Skoro jednak wie pan już, że zwierzęta nie były nasze, sam nie może ich pan zatrzymać!

— I nie mam zamiaru. Znam obu Surehandów. Może być pan pewny, że otrzymają z powrotem to, co im ukradliście, a w każdym razie tyle, ile zdołam z tego uratować. Zatrzymuję również wasz namiot.

— Well! To mi obojętne! Ale bez konia nie mogę nigdzie wyjechać. Dzisiaj jeszcze usłyszysz pan, że komuś gdzieś ukradziono konia. Czy to nie obciąży pańskiego sumienia?

— W żadnym wypadku. Nie zamierzam obciążać się tym, co robi ktoś inny.

— Dobra! Wszystko w porządku! Powodzenia!

Chciał się oddalić, ale drogę zastąpił mu gospodarz, który przysłuchiwał się rozmowie.

— Jeśli rzeczywiście chce pan apelować do czyjegóż sumienia, to moje jest do pańskiej dyspozycji. Natychmiast zatroszczę się o to, by dzisiaj nie zginął stąd żaden koń. Nikomu i nigdzie! Za dziesięć minut całe miasto będzie wiedziało, że nam pan uciekł i zamierza pan

ukraść konia. Lepiej niech się pan stąd wynosi!

Mężczyzna chciał już pójść za tą radą, ale Pappermann raz jeszcze wziął go za rękę i powiedział:

— Jeszcze słówko! Ci dżentelmeni zapomnieli o najważniejszym! Ma pan przecież pieniądze?

— Tyle, ile mi potrzeba.

— Gdzie?

— W torbie. - I chcąc się przed nami pochwalić wyciągnął stamtąd dobrze wypełnioną sakiewkę. — A z jakiego powodu pytacie o moje pieniądze? — spytał.

— Z powodu rachunku! — odpowiedział Pappermann z szerokim uśmiechem. — Nazywam się Maksz Pappermann i nie pozwalam się wodzić za nos takim facetom jak wy! Zapłaci pan teraz za siebie i za kompanów!

— Za siebie, zgoda! Ale za nich!? Nigdy nie przyszłoby mi to do głowy!

— Ale tym razem przyjść musi! Gdzie ta sakiewka? Wyrwał mu ją z ręki, dał mi szybko i rzekł:

— Niech pan będzie uprzejmy zapłacić, sir! Ja tymczasem przytrzymam łajdaka.

Tak też się stało. Nowy gospodarz wypisał rachunek, a ja zapłaciłem i oddałem sakiewkę z resztą pieniędzy właścicielowi, który przeklinając, umknął najszybciej jak potrafił.

Aszta

Po odejściu koniokrada włożyłem ozdoby wodzowskie i rewolwery z powrotem do walizki. Wreszcie mogliśmy spokojnie zjeść. Młody Orzeł nabrał już rumieńców. Najwyraźniej bolał nad tym, że staliśmy się świadkami jego słabości. Zależało mu na naszym zdaniu. Dlatego opowiedział nam, że przed prawie czterema dniami, nad Carriso Greek, skradziono mu konia wraz z torbami podróżnymi. Żywił się więc w drodze tylko jadalnymi korzeniami i jagodami, a w dodatku musiał sam dźwigać ciężki pakunek. Nie było więc nic dziwnego w tym, że dotarł do Trinidad w stanie krańcowego wyczerpania. Dowiedział się, że skórzany strój czeka na niego. Teraz zaś jadł razem z nami, powoli, z manierami człowieka obracającego się wśród ludzi wykształconych. Serduszko jest zawsze zachwycona, kiedy naszym gościom smakuje poczęstunek. Na jej twarzy malowało się wielkie zadowolenie.

Ja miałem w stosunku do Indianina swoje własne domysły, ale nie zabierałem głosu. Pappermann najwyraźniej chętnie by się czegoś od niego dowiedział, ale Indianin robił na nim mimo swej młodości takie wrażenie, że nie miał odwagi naprzykrzać mu się pytaniami. Pozostała jeszcze moja żona! Ona nie toleruje żadnych niejasności i chce zawsze dokładnie wiedzieć, na czym stoi. Indiańska cierpliwość i powściągliwość jest absolutnie nie w jej guście. Cały czas z uwagą obserwowała Młodego Orła i widziałem, że się jej bardzo podoba. Biada zaś temu, kto się jej spodoba! Zaczyna dobijać się do jego serca i nieszczęśnik, czy chce czy nie chce, musi odsłonić swoje tajemnice. I nie wynika to u mojej żony z żadnej ciekawości czy natarczywości — po prostu widząc kogoś w kłopotach chce mu pomóc i ma zupełnie swoisty sposób dowiadywania się, jak mogłaby to uczynić najskuteczniej. Tak było i teraz. Zanim jeszcze zdołaliśmy dobrać się do kości starej kury, którą nam podano, Młody Orzeł zdążył już wyjawić mojej żonie, i to z własnej inicjatywy, że ukradziono mu broń, że nie ma już ani centa i że zamierza udać się na południe — nie powiedział nam tylko, dokąd. Żona spojrzała na mnie wymownie. Miałem zaprosić go, by pojechał z nami. To był zresztą powód, dla którego chciała dostać trzy a nie dwa konie. Przedstawiłem mu naszą propozycję. Jego twarz pojaśniała. Zerwał się nawet na równe nogi, ale natychmiast siadł z powrotem — Indianin bowiem nie powinien otwarcie okazywać ani radości, ani bólu. Z wyrazu jego twarzy wywnioskowałem, że choć nigdy mnie nie widział, domyślał się, kim jestem.

— Jestem Apaczem — powiedział. — Chcę jechać najpierw na Nugget Tsil.

Mówiąc to nie patrzył na mnie, lecz w ziemię, ale niemal fizycznie czułem, z jakim napięciem oczekiwał mojej reakcji.

— My również — odpowiedziałem z całkowitą swobodą, jakby w głowie mi nawet nie powstało go obserwować. A zwracając się do Pappermanna spytałem:

— Czy zna pan przypadkiem miejsce zwane Devil's Pulpit, które podobno znajduje się gdzieś w pobliżu?

— Tak — odrzekł. — Młody Orzeł znał je również, bo wtedy, przed czterema laty, powiedział mi, że stamtąd pochodzi. Czy chce pan się tam udać?

— Tak.

— Czy mam być przewodnikiem?

— Jeśli panu to odpowiada...

— Co za pytanie! Oczywiście, że mi odpowiada! Mam tylko jeden jedyny warunek.

— Jaki?

— Nie śmiem powiedzieć.

— Bez takich ceregieli! Starzy towarzysze mogą mówić ze sobą zupełnie otwarcie!

— Nawet jeśli nazywają się Pappermann? Maksz Pappermann? Przekłête imię! Niech pan spróbuje wymówić je z angielska! Brzmi jeszcze gorzej! Cały świat się z niego śmieje!

— Niech się pan nazywa, jak pan chce, ale niech pan powie, w czym rzecz!

— Well! Niech będzie! Zaprowadzę pana do Devil's Pulpit pod warunkiem, że pozwoli mi pan pojechać ze sobą dalej!

Tu wpadła mu pośpiesznie w słowo Serduszko:

— Pozwoli, na pewno pozwoli!

— Oho! Oho! — rzuciłem surowym, negującym tonem.

— Oho! Oho! — zaśmiała się Serduszko, — Niech pan się tylko nie da przestraszyć, mister Pappermann! On pana bardzo lubi, ja zresztą też. A trzy konie i trzy muły, to za dużo jak na nasze potrzeby. Co zaś najważniejsze, jeśli pana nie weźmie, będzie musiał jechać sam, bo ja tu zostanę z panem i nie dam się ruszyć z miejsca!

W oczach starego poczciewca zabłyśły łzy. Wyciągnął do niej rękę i powiedział:

— Niech panią Bóg błogosławi, pani Burton! Jakże jestem pani wdzięczny! Weźmie mnie choćby z tego powodu, że za panią wskoczyłbym w ogień!

— A hotel? Co w takim razie z hotelem? — zapytałem.

— To już mnie nie obchodzi! Nic mi nie zostało! Jestem biedny jak mysz kościelna. I do tego tyle już lat na karku! Gdybym się inaczej nazywał! Nie Pappermann! To jest przyczyna, jedyna przyczyna mojego pecha i niedoli! Niech pan mnie zabierze! Jeszcze nie jestem całkiem do niczego, a te ostatki sił i ten kawałek życia, który mi jeszcze pozostał, chciałbym panu ofiarować, panie Shatterhand!

Dał się ponieść swoim pragnieniom i posunął się za daleko. Zamilkł wystraszony. Na twarzy Indianina pojawił się jednak miły, jasny i niemal tkliwy uśmiech.

— Niech się pan nie obawia — powiedział. — W niczym się pan nie zdradził. Wiedziałem o tym. I nie przemilczałbym tego, że rozpoznałem brata wielkiego Winnetou i przyjaciela mojego ludu.

Serduszko klasnęła z radości w dłonie i zawołała:

— Będzie więc tak, jak chciałam! Pojadą obaj z nami, dobrze?

— Dobrze — odparłem. — Młody Orzeł dostanie trzeciego gniadosza. Pappermann zatroszczy się o muły i namiot. Mianujemy go naszym majordomem. Będzie sprawował pieczę nad gospodarstwem i oczywiście nad panią domu.

Jakże szczęśliwy był stary westman! Na wszelkie sposoby starał się wyrazić swoją wdzięczność. Indianin siedział nie mówiąc ani słowa, ale tym głębiej przeżywał swoją radość.

Po jedzeniu zatroszczyliśmy się o to, by złożyć namiot i wraz z całym oporządzeniem przenieść go do domu, gdzie był bezpieczniejszy. Podczas pracy Pappermann wskazał nagle palcem na plac, z którego przyszliśmy.

— Zobaczcie. Co tam biegnie?

— To muł, czwarty muł! — odparła moja żona.

— Tak! Uciekł łajdakom! Znarwił się i urwał! Wróci! do swych towarzyszy! Zaraz go przyprowadzę...

Mieliśmy więc jeszcze jednego muła do niesienia bagaży i odzyskaliśmy ostatnie ze skradzionych Old Surehandowi zwierząt.

Później raz jeszcze poszedłem do miasta i kupiłem strzelbę i rewolwer dla Młodego Orła — noża mu nie ukradziono. Podyktowałem też Pappermannowi list do Harimana F. Entersa. Celowo nie chciałem go pisać sam:

Dotrzymałem słowa i stawilem się w hotelu. Miałem okazję poznać pańskich przyjaciół — Cornera i Howe'a. Z tego też powodu musiałem wyjechać wcześniej niż zamierzałem. Mimo to nadal czuję się związany obietnicą. Jeśli będzie pan ze mną uczciwy — i tylko w tym przypadku — przyjadę do pana i zaprowadzę do obu miejsc, które chce pan zobaczyć.

Burton.

Pappermannowi nie było wcale łatwo napisać ten list. Spocił się jak przy rąbaniu drewna, a zajęło mu to prawie trzy godziny, gdyż z powodu błędów, tłustych plam i kleksów musiał wiele razy zaczynać pisanie na nowo. Wreszcie czerwony z wściekłości krzyknął:

— Co za zmora — co za męka! Nigdy więcej! Lepiej umrzeć i zgnieć niż bazgrać czarnym atramentem po białym papierze tak długo, aż będzie na nim coś napisane! Jestem naprawdę dla pana i pańskiej żony gotów na wszystko, ale tej udręki, proszę mi wybaczyć, wołałbym sobie oszczędzić!

To, że nie chciałem oczekiwać w Trinidad na przybycie braci Enters było samo przez się zrozumiałe. Mieliśmy coś ważniejszego do zrobienia. Tak jak nikt nie znał mojego prawdziwego imienia, tak też nikt — nawet nowy właściciel hotelu — nie miał się dowiedzieć celu naszej podróży.

Pod wieczór wrócili ci, którzy ruszyli w pogoń za koniokradami; nie udało im się pojmać ani jednego z nich. Ten zaś, którego wypuściliśmy, zdawał się prostować swoje ścieżki, bo nic nie słyszeliśmy o jakiegokolwiek kradzieży. Już nazajutrz opuściliśmy miasto, udając się na zachód w kierunku tak zwanego Płaskowyzu Parkowego. Nie spędziliśmy w Trinidad nawet jednego pełnego dnia. Pobyt ten był jednak równie krótki, co obfitujący w ważne konsekwencje. Przede wszystkim jechaliśmy nie we dwójkę, lecz w czwórkę, a dzięki namiotowi podróż była o wiele wygodniejsza niż przewidywaliśmy. Zwierzęta zostały rozdzielone tak, jak pisałem. Serduszko, ja i Młody Orzeł jechaliśmy na gniadoszach, a Pappermann na najlepszym z mułów. Trzy pozostałe niosły namiot i skórzany pakunek Indianina. Zawartość tego ostatniego pozostawała dla nas nadal tajemnicą. Powstrzymywaliśmy się jednak od pytań. Ciężar pakunku wskazywał na to, że w środku jest żelazo. Natomiast pieczołowitość, z jaką podczas załadowywania i rozładowywania obchodził się z pakunkiem właściciel, pozwalała się domyślać, że musi to być jakieś niezwykle żelazo.

Tutaj chcę nadmienić, że natychmiast skorzystałem ze sposobności, by wraz ze starym westmanem powspominać dawne dzieje. Wracalem na Zachód po długich latach nieobecności i — rzecz oczywista — nie znany był mi los wielu dawniejszych towarzyszy. Wprawdzie z niektórymi spośród nich miałem kontakt listowny, jak o tym jednak wiedzą ludzie korespondujący z osobami nienawykłymi do pisania, listy ich pozbawione są przeważnie szczegółów i w zasadzie sprowadzają się do ogólnych, niewiele mówiących uwag.

Losy kilku najważniejszych postaci w ogólnym zarysie znałem.

Old Firehand, na przykład, dawno już spoczął na cmentarzu w Saint Louis, gdzie osiadł zakończywszy eksploatację kopalni nad Srebrnym Jeziolem. O tym wiedziałem. Nie mogłem się natomiast dowiedzieć niczego dokładniejszego na temat jego syna Harry'ego z małżeństwa z Ribanną, Indianką z plemienia Asiniboinów. Chłopak zbyt wcześnie stanął na własnych nogach — zanim jeszcze zdążył docenić wartość ojcowskich skrzydeł. Będąc człowiekiem niespokojnego ducha nie potrafił wytrzymać dłużej przy jednym zajęciu i wiódł nieustabilizowane życie myśliwego. Wydarzenia opisane w drugim tomie *Winnetou* nie zaspokoili jego żądzy zemsty za okrutną śmierć matki i małej siostrzyczki. Pozostał najzacieklejszym wrogiem Siouxów Ogellahów, a jego słynna strzelba ciągle siała w ich szeregach spustoszenie i śmierć. Niejasne przeczucie, opierające się jednak na bogatym doświadczeniu mówiło mi, że i on sam nie umrze we własnym łóżku.

Ciotka Droll w kilka miesięcy po wydarzeniach opisanych w *Królu nafty* zginął od kuli mordercy, którego tropem szedł wiedziony swoim niezawodnym zmysłem. Los westmana!

Gdzie teraz są ci wszyscy bohaterowie Zachodu? Większość z nich zniknęła bez śladu. Może leżą gdzieś wśród prerii czy w Górach Skalistych, pod naprędcę usypanym kopczykiem? Może ich kości bieleją w rozpalonym piasku Liano Estacado albo na dnie jednej z wielu niedostępnych ludzkiej stopie rozpadlin Wielkiego Kanionu? Los westmana!

Tylko w przypadku nielicznych statek życia zawinął do cichego portu. Wiem na przykład, że Gruby Jemmy — obecnie Jacob Pfefferkorn — dożywa spokojnie swych dni nad Jeziolem Ontario. Wiem, że Hobble — Frank, jako starzejący się emeryt wspomina w zaciszu domowym swego przyjaciela Drolla — duch prerii nie zdołał go jednak więcej przekonać do tego, by choć na krótką chwilę zamienił swój przytulny domek na brzegu Łaby na “ciemne i krwawe terytoria”.

To, co chciałbym tu opowiedzieć zmieścić musi się niestety w jednym tylko tomie, podczas gdy wszystkie te przygody i losy ludzkie zapełnić mogłyby, nie nuząc czytelników, cztery lub pięć takich ksiąg. Dlatego staram się pisać zwięźle, a niekiedy zmuszony jestem, aczkolwiek niechętnie, niektóre rzeczy pomijać. Wśród nich znajdzie się również szczegółowy opis naszej drogi. Powiem tylko, że prowadziła w góry Raton, które opadają ku wspaniałej dolinie Purgatorio oddzielającej je od gigantycznego masywu Hiszpańskiego Szczytu.

Przed naszymi oczami rozpostarła się ogromna, majestatyczna panorama łańcucha górskiego. Z godziny na godzinę byliśmy bliżej niego, a wjechawszy wreszcie w góry znaleźliśmy się na stałe w scenerii krajobrazowych cudów, które nie tylko trwały nieprzerwanie, lecz stawały się coraz liczniejsze i coraz bardziej zachwycające. Moja żona, która widziała to wszystko po raz pierwszy i do tej pory śmiała się tylko, kiedy opowiadałem, że całego piękna Harcu, Schwarzwaldy czy nawet samej Szwajcarii nie da się porównać z tym, czym natura obdarzyła Stany Zjednoczone, teraz musiała uznać swój błąd. Zachowywała się cicho, bardzo cicho. Kiedy jest w takim stanie, staram się jej nie przeszkadzać, wiem bowiem, że za tym milczeniem kryje się modlitewna głębia.

Okolo południa trzeciego dnia podróży zrobiliśmy postój nad przejrzystym strumieniem. Rozmawiałem z Serduszkim o różnicach pomiędzy naturalnym pięknem gór i równin. Młody Orzeł przysłuchiwał się nam z właściwą sobie skromnością. Pappermann wtrącał raz po raz jakieś trafne słowo. Niemal w swym życiu słyszał, a miał też sporo własnych przemyśleń, mimo bowiem niskiego statusu nie był człowiekiem pozbawionym talentów. W pewnej chwili powiedział:

— Tę różnicę zobaczycie jutro na bardzo wymownym przykładzie. Przybędziemy nad “jezioro równiny” leżące pomiędzy bardzo wysokimi szczytami.

— Czy znam to miejsce? — spytałem.

— Tego nie wiem — odparł. — Mówię o jeziorze Kanubi.

— Słyszałem o nim. Jego odpowiednik czy raczej pierwowzór znajduje się w stanie Massachusetts. Byłem nad nim goszcząc kiedyś w Lawrence. Owo jezioro Kanubi odegrało istotną rolę w historii niektórych plemion indiańskich, w szczególności Seneków. Jego lśniąca w promieniach słonecznych powierzchnia, tonące w soczystej zieleni, wyposażone w liczne i dogodne zatoczki wybrzeże i wyspy były wspaniałym środowiskiem dla rozwoju tamtejszych plemion. Do dziś nie potrafię rozstać się z widokiem tego jeziora. Słyszałem, że to samo imię nadano jednemu z tutejszych jezior górskich, i ciekaw jestem, czy na nie ono zasługuje.

— Zdaje mi się, że tak — powiedział Pappermann oddychając głęboko.

— Czy był pan nad nim kiedyś? — zapytałem.

— I to ile razy!

Znowu odetchnął głęboko. Czy z tym jeziorem wiązały się dla niego jakieś bolesne wspomnienia? Zamilkłem nie chcąc przysparzać mu bólu. Patrzył długo przed siebie; wreszcie sam się odezwał:

— To nad tym jeziorem strzelono mi haniebnie w twarz, co mnie oszpeciło i rozgoryczyło na resztę życia.

— Kto strzelał?

— Niejaki Tom Muddy. Czy słyszał pan kiedyś o tym łajdaku?

— Nie.

— Właściwie nie nazywał się Muddy, ale nigdy nie dowiedziałem się jego prawdziwego nazwiska.

— Czy kiedyś pan go jeszcze spotkał?

— Nigdy! Niestety nigdy! Mimo, że całe życie szukałem go jak żebrak zgubionego dolara. Niechętnie o tym mówię, ale jeśli mnie najdzie, jak zwykle na widok tego jeziora, opowiem panu wszystko jutro wieczorem. Na razie potwierdzę tylko, że ma pan rację z tymi Senekami.

— A o co chodzi?

— Że mieszkali w Massachusetts nad jeziorem Kanubi. Zna pan ich właściwą nazwę? Jak się naprawdę nazywali?

— Tak. Senontowana.

— Zgadza się. Imię Seneków nadali czy narzucili im biali. Jeden z ich wodzów nazywał się Sa-go-je-wat-ha. Leży na cmentarzu w Buffalo. Postawili mu tam wielki pomnik...

— Choć przed swą śmiercią prosił, by go pochowano wśród czerwonych braci, a nie wśród białych twarzy! — wtrąciła się moja żona.

— A więc zna go pani? Słyszała pani o nim?

— Byliśmy na jego grobie — odpowiedziała.

— Niech panią Bóg za to błogosławi! Mniemam, że odwiedzając czyjś grób nie czyni pani tego z ciekawości, ale z porywu serca. A ja mam do Seneków szczególny sentyment.

— Dlaczego?

— Bo... bo... bo...hm! Opowiem wam o tym dziś wieczorem, nie teraz tam nad jeziorem będę do tego niejako zmuszony, gdyż ta stara struna zaczyna dźwięczeć i drzeć, i na pewno nie uspokoi się dopóki nie pozostawimy go za sobą. Na razie jednak pozwólcie mi milczeć!

Całe popołudnie jechaliśmy pod górę, aż osiągnęliśmy punkt, z którego rozciągał się w kierunku zachodnim widok na położoną nieco niżej równinę. Słońce chyliło się ku

zachodowi. W jego gasnących promieniach błyszczało ze środka równiny coś na kształt diamentu otoczonego szerokim kręgiem zielonkawych szmaragdów o migotliwych, płonących konturach.

— To jest jezioro Kanubi — powiedział Pappermann. — Choć wydaje się tak bliskie, jest jeszcze daleko. Dzieli nas od niego jeszcze trzy godziny jazdy. Dlatego rozbijemy się tutaj, i to w dodatku, jeśli nie macie nic przeciwko temu, na tym samym miejscu, na którym spędziłem moją pierwszą noc w tych okolicach.

Zaprowadził nas na osłonięte z trzech stron całkowicie, a z czwartej częściowo, miejsce, dające doskonałe schronienie przed bardzo zimnym na tej wysokości nocnym wiatrem. W pobliżu była też woda i pożywienie dla koni. Trudno byłoby sobie wyobrazić lepsze miejsce na obozowisko. Szybko rozbiliśmy namiot i rozpaliliśmy ogień. W namiocie sypiała wyłącznie Serduszko. My, mężczyźni, woleliśmy spędzać noc pod gołym niebem. Była cudowna pora indiańskiego lata, kiedy nawet na tej wysokości można jeszcze spać na zewnątrz.

Podczas kolacji zapadł zmierzch. Na niebie pojawił się księżyc w swej pierwszej kwadrze. Powietrze było przejrzyste i klarowne. Nasz wzrok sięgał niemal tak daleko, jak w ciągu dnia, z tą tylko różnicą, że kontury porozpływały się tracąc swoją wyrazistość. Błyszczący diament zmienił się teraz w srebrnobiałą perłę. Pappermann sam rozpoczął swoją opowieść:

— Jezioro leżało wtedy przede mną tak samo jak dzisiaj. Coś mnie do niego ciągnęło. Obudziłem się bardzo wcześnie i nie wypawszy się nawet jak należy wsiadłem na konia. Panował poranny chłód. Dlatego jechałem dość szybko i już o wschodzie słońca byłem nad jeziorem. Zobaczyłem na trawie ślady ludzi, ślady Indian, ukryłem więc konia i poszedłem za nimi z największą ostrożnością. Prowadziły poprzez zarośla nad wodę. Tam stały chaty czy właściwie domy. Nie prymitywne wigwamy czy namioty, ale prawdziwe domy z bali i desek, kryte gontami, takie domy, z jakich składały się wsie i miasta indiańskie przed przybyciem białych. Na brzegu leżały łodzie i suszyły się sieci rybackie. Wszędzie panowała niezwykła czystość. Żadnych śmieci, porzuconej broni, krwawych pozostałości po zabitych zwierzętach, śladów polowania i śmierci. I głęboka cisza. Zupełny bezruch. Drzwi domów były pozamykane. Mieszkańcy najwidoczniej jeszcze spali i to beztrząsco, bo nie zauważyłem żadnego strażnika. Dzisiejszy dzień zdawał się dniem wypoczynku.

Przemknąłem się bliżej, wyjrzałem zza krzaków i zobaczyłem... zobaczyłem... najpiękniejszą dziewczynę — tak, na Boga! — najpiękniejszą dziewczynę, jaką było dane kiedykolwiek ujrzeć tym starym oczom! Proszę mi uwierzyć! Siedziała na brzegu, na jednym z wielkich kamieni i patrzyła na wschód, gdzie właśnie zza horyzontu wychynęło słońce. Ubrana była w wygarbowaną na biało, miękką skórę ozdobioną czerwonymi frędzlami. Po plecach spływały jej długie czarne włosy przybrane kwiatami i kolibrami. Kiedy piórka kolibrów zabłysły w promieniach słońca, wstała z miejsca i rozłożywszy szeroko ramiona powiedziała w stanie modlitewnego skupienia i zachwyty:

— “O Manitou, o Manitou!”

To wszystko. Potem złożyła ręce. Mówię wam jednak, że nigdy w życiu nie słyszałem modlitwy lepszej i bardziej szczerzej od tych dwóch słów. Stała tam długo, patrząc bez przerwy w słońce. Ja nie potrafiłem ustać w miejscu, przyciągała mnie jak magnes, którego sile nie sposób się oprzeć. Podeszedłem do niej, ale wolno, z namysłem i cicho, jakby w świętej bojaźni. Spostrzegła mnie. Nie przestraszyła się. Nie wykonała też najmniejszego ruchu. Po prostu na mnie patrzyła. Patrzyła swymi wielkimi, szeroko otwartymi, pełnymi oczekiwania oczyma! W oczach tych świeciło to samo słońce, które właśnie wzeszło na wschodzie. Oszołomiony jej nieopisanym pięknem, straciłem głowę i zachowałem się jak

bałwan. Zupełnie zapomniałem ją pozdrowić. Mogę sobie wyobrazić, jak wówczas mądrze i inteligentnie wyglądałem! Wiedziałem tylko jedno, a mianowicie, że ona czeka, bym się pierwszy odezwał. Ale zamiast zachować się jak przystało na dżentelmena, postąpiłem jak prostak i spytałem wprost: “Jak się nazywasz?” “Nazywam się Aszta” — odpowiedziała.

W pierwszym momencie wydało mi się to pieśczośliwym zdrobnieniem, później jednak dowiedziałem się, że Aszta to prawdziwe słowo indiańskie oznaczające tyle co “dobroć”. Nazywała się więc “Dobroć” i taka też była. Nigdy nie widziałem jej inną niż cichą, pobożną, wszystkim dobrze czyniącą, czystą i dobrą. Nigdy nie widziałem żadnej plamy na jej ubraniu, nigdy też jej ust nie splamiło nieczyste słowo. Mogę wam powiedzieć, że bardzo często bywałem wtedy nad jeziorem Kanubi i nie odstępowałem jej całymi miesiącami. Spędziłem u jej boku wiele godzin i dni, i ani razu nie byłem świadkiem niczego, co nie zasługiwałoby na miano rzeczy pięknej i dobrej. Nie byłem przy tym jedyną osobą, której Aszta tak przypadła do gustu. Ktokolwiek tu przybył, nie potrafił odjechać, wyłącznie z jej powodu. Tak było też z Tomem Muddy i... Siouxem Ogellahem.

Przerwał na chwilę. Wykorzystała to natychmiast moja żona zwracając uwagę na istotne luki w jego opowieści:

— Mister Pappermann, nie powiedział nam pan przecież, do kogo należały te domy nad brzegiem jeziora i kto był ojcem owej dziewczyny!

— Naprawdę? Tak, słusznie. Zawsze jest dla mnie najważniejsza i zapominam o wszystkim innym. Tak było zawsze. Jej ojciec był czarownikiem Seneków. Nie znachorem i szarlatanem, jak można określić jego dzisiejszych kolegów po fachu, a prawdziwym, znanym szeroko czarownikiem! Prześladowany i molestowany przez białych z powodu swego wielkiego wpływu na pobratymców, wraz z kilkoma towarzyszami podobnych co on zapatrywań opuścił rodzinne strony i ratował się ucieczką na “dziki Zachód”. Przybył w tutejsze okolice i ujrawszy to jezioro zachwycił się jego podobieństwem do jeziora, które musiał zostawić za sobą. Pozostał tu wraz z towarzyszami. Zbudowali sobie domy w sposób zgodny z tradycją swego plemienia i nazwali jezioro imieniem ojczystego jeziora. Ta nowa osada przyciągała czerwonych i białych myśliwych. Stała się niejako azylem, w którym spotkać się mogli, nie okazując sobie nienawiści, czerwony i biały, przyjaciel i wróg. Taki panował tu zwyczaj i niepisane prawo, że nienawiść należało przemilczeć, a dopuścić do głosu tylko miłość i pokój. Przerwał na chwilę, westchnął głęboko i rzekł pogodnie:

— To były piękne czasy! Jedyny okres w moim życiu, kiedy byłem naprawdę człowiekiem, dobrym człowiekiem, możecie mi wierzyć!

Potem wrócił do swej opowieści:

— Wśród białych, którzy pojawiali się nad jeziorem był też Tom Muddy, a wśród czerwonych młody czarownik Siouków Ogellahów, którego ojciec Aszty wprowadzał w tajną wiedzę czerwonej rasy. Nie wiadomo było, gdzie mieszkał. Zachowywał to w tajemnicy, nie chcąc, by wróg czy ktokolwiek inny zakłócił samotność, jakiej wymagały jego studia. Przypuszczam jednak, że miał swoją chatę nad jednym ze strumieni w Purgatorio. Opuszczał ją jedynie po to, by odwiedzić swego mistrza i otrzymać nowe wskazówki. Był pięknym, młodym mężczyzną i choć doskonale władał każdą bronią miał tak pokojowe usposobienie, jakby ten świat nie znał żadnej wojny. Nic też dziwnego, że był przez Asztę najmilej widziany. Ja jednak o tym nie wiedziałem, a dowiedziałem się dopiero przez Toma Muddy.

Ten nie był człowiekiem ani nadzwyczaj przystojnym, ani odrażającym, lecz natarczywym i nieokrzesanym. Nikogo specjalnie nie interesował. Miał Asztę na oku, ona jednak unikała go na wszelkie sposoby i starała się nawet z nim nie rozmawiać. Złościło go to ogromnie, bo naprawdę ubzdurał sobie, że ją pojmie za żonę. Myślę, że z jednej strony ją kochał, a z drugiej nienawidził za okazywaną uczciwie nieprzychylność. Był więc

wewnętrznie rozdarty. Najchętniej przebywał w moim towarzystwie. Dlaczego, do dzisiaj nie wiem. Prawdopodobnie, dlatego, że jako człowiek najmniej ze wszystkich wartościowy, nie potrafiłem się od niego odwrócić tak jak inni. Strzegłem się oczywiście bardzo, by nie zauważył, że i moje serce rozpało się wielką, wolną od wszelkiej nieczystości miłością i że gotów byłem po tysiackroć oddać swoje życie, by to indiańskiej piękności udowodnić. Wprawdzie często pojawiała się myśl, że mierzę zbyt wysoko, bywały jednak chwile, kiedy zastanawiając się nad sobą czułem przyływ swego rodzaju odwagi. Mówiłem sobie wtedy, że wcale nie jestem taki do niczego i że z niejednym mógłbym się pod wieloma względami równać. W tych momentach postanawiałem sobie wreszcie otwarcie porozmawiać z Asztą. Ilekroć jednak znowu zjawiała się na horyzoncie, traciłem zupełnie animusz i nie potrafiłem powiedzieć ani słowa z tego, co zamierzałem.

Pewnego pięknego dnia wróciłem z dłuższego polowania i dowiedziałem się od Toma Muddy, że Sioux Ogellah poprosił ojca o rękę Aszty i otrzymał pozwolenie, by wykraść ją w nocy...

— Wykraść? — przerwała mu moja żona. — Czy to było potrzebne?

— Nie tylko potrzebne, ale i roztropne. Przekonałem się, że wszystkie te zwyczaje mają głębszą przyczynę i sens. Rodzice wychowali swoje dziecko, swoją córkę, nie licząc bezsensownych nocy, trosk i ofiar. A teraz przychodzi ktoś obcy i po prostu je zabiera. Pozbawia rodziców pierwszego miejsca w sercu dziecka, ono idzie za nim chętnie nie dociekając nawet, czy jest tego wart. Indiańskie zwyczaje związane z zaślubinami odzwierciedlają te wewnętrzne przeżycia. Córka gotowa jest dać się wykraść, rodzice zaś starają się usilnie do tego nie dopuścić. Zamykają ją w domu, ukrywają, pilnie jej strzegą. Również ukochany robi wszystko, aby przechytryć rodziców, a kiedy mu się to nie udaje ucieka się nawet do przemocy. Obydwie strony toczą między sobą bardzo interesujący pojedynek, w którym głównym atutem jest inteligencja i spryt; całe zaś plemię w napięciu chłonie wieści o przebiegu poszczególnych faz tej walki, a niekiedy wręcz się do niej włącza. Pomaga jednej lub drugiej stronie. Dochodzi przy tym do aktów szczególnej przebiegłości lub odwagi, przez które kandydat na męża pokazuje czego społeczność może od niego oczekiwać zarówno w czasie pokoju, jak i na wypadek wojny.

Wieść, którą przekazał mi Tom Muddy, była dla mnie jak mocny cios pięścią. Zglupiałem zupełnie. Tom Muddy inaczej — pieniał się z wściekłości. Kłął się na wszystko, że Sioux nie porwie dziewczyny, że on sam już się o to postara. Kiedy spytałem, w jaki sposób zamierza mu przeszkodzić, zażądał ode mnie przysięgi, że nie zdradzę nikomu jego planu. Przysięgłem, lecz oczywiście po to tylko, by nie dopuścić do realizacji jego zamiarów. Wtedy pokazał mi swój rewolwer. Był on aż po brzegi lufy wyładowany prochem. Muddy chciał wystrzelić ten proch w oczy Siouxowi, by go na zawsze oszpecić i oślepić. “Wtedy na pewno nie będzie chciała zostać jego squaw!” — powiedział na zakończenie i poszedł. Zanim jednak zniknął przypomniał mi o przysiędze. Zagroził, że jeśli go zdradzę oślepi nie tylko Siouxa, ale i mnie.

— To nie był człowiek, lecz diabeł! — krzyknęła Serduszko.

— Jeśli nawet nie diabeł, to skończony łajdak, który dążąc do swego celu na nic nie zważał — odpowiedział Pappermann. — Uważałem naturalnie za swój obowiązek nie dopuścić do zbrodni. Zdradzić Muddy’ego nie mogłem, ale kilka odpowiednich słów z pewnością wystarczyłoby, aby chociaż dać Siouxowi do zrozumienia, że chyba na niego niebezpieczeństwo. Gdzie go jednak miałem szukać? Od czasu, kiedy otrzymał pozwolenie na wykradnięcie Aszty, musiał całkowicie zniknąć wszystkim z oczu. Miał przecież zakraść się tak niepostrzeżenie, jakby chodziło o jego własne życie. Rozumiało się samo przez się, że w dzień był nie do odnalezienia i że jedynie w nocy miałem szansę gdzieś go spotkać. Cała sprawa była o tyle niebezpieczna, że Siouxa szukał również Muddy. Stałem więc przed

podwójnym zadaniem: uniknięcia jednego i odnalezienia drugiego i mogę wam powiedzieć, że nauczyć się nieodzownej w takich warunkach ostrożności nie było mi łatwo. Wreszcie przyszła ciemna, wilgotna noc. Wprawdzie nie padało, ale człowiek robił się od razu mokry. Mimo to opuściłem moje ciepłe obozowisko i kluczyłem wokoło, bo coś mi w środku mówiło, że właśnie tej bardzo nieprzyjemnej nocy stanie się coś, przy czym nie powinno mnie zabraknąć. Podczołgałem się cicho do narożnika tylnej ściany domu. Tu chciałem zostać by móc nadśłuchiwać z obu stron. Wyjrawszy zza rogu zupełnie zdrętwiałem — ktoś tam już leżał! Nieomal wpadliśmy na siebie. Mimo ciemności i nieprzejrzystego wilgotnego powietrza on również zdołał mnie dostrzec. Tak samo jednak, jak ja jego, i on mnie nie mógł rozpoznać. Kto to był? Sioux czy Tom Muddy? Już otworzyłem usta, by wyszeptać jakieś słowo, gdy on podniósł rękę. Coś w niej trzymał. Zdażyłem jeszcze tylko odwrócić głowę w bok i zagrzmiał strzał. Łajdak nie chybił. Szczęśliwie oczy ocalały. Natomiast ucierpiała lewa połowa twarzy. Chciałem mu przedtem powiedzieć, by nie strzelał, teraz jednak nie byłem już w stanie wydać z siebie żadnego dźwięku, gdyż straciłem przytomność. To był nędzny, łajdacki strzał z rewolweru i to bez ołowiu, ale oddany z tak bliska, że z mojej przyczajonej pozycji osunąłem się jak worek na ziemię i pozostałem tam aż mnie znaleziono i zanieślono do domu, by przywrócić do życia.

Domownicy słyszeli bowiem strzał i wyszli na zewnątrz, by zbadać jego przyczynę. Przyszedł czarownik, jego żona, Aszta, przyszli też inni. Kiedy tak wszyscy się mną zajmowali, pojawił się również Sioux Ogellah. Przemknął niczym bezszelestny powiew wiatru i był na tyle sprytny, że potrafił wykorzystać zaistniałą sytuację dla siebie. Kiedy wniesiono mnie do domu na zewnątrz rozbrzmiał głośny okrzyk zwycięstwa Ogellahów. Obecni spojrzeli po sobie. Aszta zniknęła. Dla wszystkich było jasne, co się stało: Porwanie udało się. Siouxowi pozostało tylko oddalić się ze swą zdobyczą — Aszta należała do niego. On jednak tego nie zrobił. Nie musiał już niczego udowadniać: przyszedł po Asztę, a ona poszła za nim opuszczając dom rodzicielski! Wprowadził ją znowu do środka, a rodzice Aszty przywitali go jak syna. A więc strzał Toma Muddy umożliwił dokładnie to, czemu miał zapobiec. Ja zaś leżałem długi czas w malignie i wylem z bólu jak pies, którego podczas wiwisekcji żywcem obdzierają ze skóry. Kiedy tylko stanąłem na nogi, czmychnąłem stamtąd, nie pisnąwszy nikomu ani słowa. Tylko ja i Tom Muddy wiemy, kto i dlaczego strzelał tej nocy. A ten łotr przepadł bez wieści i moje gorące pragnienie spotkania go znowu nigdy nie doczekało się spełnienia. Kiedy po kilku latach znowu zajrzałem w te strony, domy były puste. Senekowie zostali napadnięci przez bandę białych i wybici do nogi. Ocalała tylko Aszta, która podążyła z Siouxem do jego plemienia.

— Czy spotkał ją pan jeszcze kiedyś? — zapytała moja żona.

— Nie, nie. Zawsze uważałem Ogellahów za nieprzyjaciół białych i starałem się nie mieć z nimi wiele do czynienia. Natomiast dowiadywałem się kilka razy o Asztę. Słyszałem, że piękna squaw czarownika jest bardzo szczęśliwa. Czarownik przeniósł się nad Niobrara, gdzie założył rezerwat dla siebie i swoich uczniów. Żyje dla starych totemów i wampumów, które zbiera a także dla książek, które zamawia u białych twarzy. Cieszy się sławą i szacunkiem nawet wśród białych.

Po ostatnich słowach Pappermanna zadałem mu szybko pytanie:

— Zna pan oczywiście imię tego Indianina?

— Owszem — skinął głową.

— Czy nazywa się Wakon?

— Tak, tylko Wakon.

— Tylko to jedno słowo, żadnego innego imienia?

— Tylko Wakon! — powtórzył.

— Znam go więc, choć nigdy go nie widziałem. Całe swoje życie i wszystkie siły poświęcił studiom nad historią Indian. Jest autorem wielu dzieł, które jednak nie doczekały się publikacji, ponieważ zamierza je wydać dopiero wówczas, gdy ukończony zostanie ostatni tom. Owoce pracy jego życia słusznie oczekiwane są w wielkim napięciu.

— Ile ma teraz lat? — spytała Serduszko.

— To nie jest istotne — odparłem. — Ludzie wielkiego formatu zwykle umierają dopiero wtedy, gdy przynajmniej wewnętrznie osiągną to, co chcieli lub mieli osiągnąć. Nie dotyczy to rzecz jasna tak zwanych bohaterów wojen i pól bitewnych. Czy jest pan zmęczony?

To pytanie skierowane było do Pappermanna, który zaczynał owijać się w swój koc, jakby miał zamiar ułożyć się do snu.

— Może nie zmęczony — odparł — ale nieomal na nowo ugodzony strzałem Toma Muddy. To niełatwe wspomnienia! Indianka podobała mi się zupełnie nadzwyczajnie! Potem już nigdy nie brałem pod uwagę ożenku. Żyłem samotnie i kiedy przyjdzie moja godzina, tak samo samotnie umrę... Spróbuję teraz zasnąć. Dobranoc!

Również my życzyliśmy mu „dobrej nocy“, ale tym razem życzenie to pozostało niespełnione, zarówno w jego, jak i w moim wypadku. Pappermann przewracał się ze dwie godziny z jednego boku na drugi, a potem wyplątał się z koca i poszedł uspokoić się przechadzką. Gdy wrócił, usiadł — nie mógł spać. Usiadłem również. Wtedy wstał także ze swego posłania Młody Orzeł, a z namiotu dobiegł nas głos mojej żony:

— Ja też nie śpię! Mam pewną propozycję!

— Jaką? — spytałem.

Odsłoniła szerzej wejście do namiotu i wychodząc na zewnątrz odpowiedziała:

— Jedźmy dalej! Nad jezioro! I tak nie zaśniemy! Tak to jest, kiedy się słucha starych opowieści!

Pappermann poderwał się z okrzykiem aprobaty:

— Well! Jedźmy dalej! Będziemy na miejscu o wschodzie słońca, tak jak wtedy! Zgoda?

Przytaknąłem, a Młody Orzeł także się oczywiście zgodził. Złożyliśmy namiot. Potem zaczęliśmy zjeżdżać po szerokiej, wygodnej pochyłości ku równinie, na której położone było jezioro. Widoczność była akurat wystarczająca do tego, by konie widziały, gdzie stawiają nogi. Potem zaczęło się robić coraz jaśniej.

Czy nasza bezsenność była rzeczywiście tylko następstwem opowieści Pappermanna? Czy też przekreślić dotychczasowe plany i ruszyć natychmiast w drogę kazało nam jakieś przeznaczenie? Sytuacja była dość niesamowita.

Jechaliśmy cicho koń przy koniu. Na równinie mogliśmy jechać szybciej! Świtało. Powoli z nocy robił się dzień. I właśnie w momencie, kiedy wzeszło słońce, dotarliśmy do liściastego lasu, który ze wszystkich stron otaczał jezioro. W głąb lasu prowadziła wąska, porośnięta trawą przesieka przechodząca z czasem w drogę pięcio, lub sześciometrowej szerokości.

— To ta sama droga, którą wtedy jechałem — powiedział Pappermann. — Tutaj las robi się gęstszy i wyższy. Tutaj też trafiłem na ślady. Za chwilę zobaczymy jezioro.

Jechał przodem. W pewnej chwili odwrócił się do nas i wskazując przed siebie oznajmił:

— To ostatnie zarośla. Teraz zobaczymy jezioro i kamień, na którym wtedy siedziała Aszta... O mój Boże!

Pochylony nad zaroślami zatrzymał konia i wydawszy okrzyk zdumienia patrzył

osłupiały na coś, co było jeszcze zakryte przed naszymi oczami. Podjechaliśmy szybko do niego i musieliśmy przyznać, że zdumiał się nie bez powodu. Również nasze zdumienie nie miało miary.

Byliśmy nad jeziorem, na jego wschodnim brzegu. Rzeczywiście zasługiwało ono na porównanie ze swym imiennikiem w Massachusetts. Teraz jednak zajmowało nas zupełnie coś innego. Na prawo, zalane promieniami wschodzącego słońca, stały ruiny domostw Seneków. Przed nami rozciągała się marszczona delikatnym porannym powiewem powierzchnia jeziora — przejrzysta zielonkawo-błękitna głębia pośród bujnej, połyskliwej teraz niby płynny metal zieleni wybrzeży, pociętych niezliczonymi zatoczkami i zachodzących na siebie w różnych planach niczym skomplikowane kulisy teatralne. Po lewej zaś stronie, gdzie zarośla sięgały prawie ku brzegowi leżał wielki biały, wypolerowany wodą kamień. Stała na nim młoda indiańska dziewczyna. Wszystko wyglądało dokładnie tak, jak nam to wczoraj opisał Pappermann. Dziewczyna ubrana była w miękką skórę, wygarbowaną na białą i ozdobioną czerwonymi frędzlami. Na ramiona i plecy spadały jej długie ciemne włosy ozdobione kwiatami i kolibrami, których piórka migotały w promieniach słonecznych niczym szlachetne kamienie. Dziewczyna nie patrzyła jednak na wschodzące słońce, łącz miała głowę zwróconą w naszym kierunku. Jej twarz i cała postać była urzekająco piękna. Stała nieruchomo nie mówiąc ani słowa. Jej wielkie, ciemne oczy patrzyły na nas wyczekująco.

Pappermann zsunął się jakby we śnie ze swego muła i równie wolno, mechanicznie niemal zbliżył się do dziewczyny. Wyglądał jak człowiek ogarnięty wielką, świętą bojaźnią.

— Jak się nazywasz? — zapytał.

— Aszta! — usłyszał tak jak niegdyś w odpowiedzi.

— A ile masz lat?

— Osiemnaście.

Musnął ją dłonią po twarzy i powiedział jakby śnił dalej.

— A więc nie! To przecież jest niemożliwe! To ktoś inny, chociaż bardzo do niej podobny, tak bardzo podobny!

— Czy mówisz o mojej matce? — zapytała. — Ludzie mówią, że jestem do niej bardzo podobna.

— Masz matkę?

— Tak.

— A jak się nazywa?

— Tak jak ja — Aszta.

— A twój ojciec?

— Nazywa się Wakon. Mieszkamy teraz daleko na północ stąd, nad Niobrarą.

Pappermann klasnął w ręce i krzyknął:

— To jej córka! To jej córka!

Dziewczyna pochyliła się, jakby chciała zeskoczyć z kamienia i zapytała:

— Znasz moich rodziców? Połowa twarzy spalona prochem! Czy nie nazywasz się przypadkiem Pappermann?

— Owszem, tak się nazywam.

— To ty byłeś tu, nad Kanubi, kiedy moi rodzice poznali się ze sobą?

— To ja!

Dziewczyna zeszła z kamienia i poprosiła:

— Podaj mi swoje ręce!

Pappermann wyciągnął dłonie, a ona pochwyciwszy je dwukrotnie ucałowała. Potem przyciągnęła do siebie jego głowę i dwa razy pocałowała okaleczony policzek.

— Ty jesteś wybawcą mojego ojca! Ty złożyłeś za niego ofiarę! Dlaczego nigdy nas nie odwiedziłeś? Rodzice nigdy nie przestali pytać o ciebie, ale nigdy też nie udało im się niczego dowiedzieć!

Stary westman drżał ze wzruszenia. Z jego oczu płynęły łzy.

— Skąd twój ojciec wie, że ten strzał był przeznaczony dla niego? — zapytał. — Nigdy się z tym nie zdradziłem!

— Owszem, zdradziłeś się, ale mimowolnie. Mówiłeś o tym majacząc w gorączce. Ojciec dwukrotnie jeszcze widział tego człowieka, ale nie zdołał go schwycić. Naprawdę nazywał się Santer. Kiedy wczoraj wieczorem wasze ognisko błyskało na górze z oddali niczym maleńka, migocąca gwiazda, moja matka powiedziała do mnie: “Tak samo błyskało wtedy w górze ognisko naszego białego wybawiciela, kiedy nazajutrz miałam go po raz pierwszy zobaczyć”.

— Twoja matka jest tutaj? — zapytał szybko Pappermann.

— Była — odparła dziewczyna. — Było tu wiele niewiast i córek, ale wszystkie odjechały o świcie. Zostałam tu sama jako strażnik-zwiadowca.

— Zwiadowca? — uśmiechnął się. — A gdybyśmy byli nieprzyjaciółmi?

— Wtedy byście mnie nie ujrzeli.

— Chciałaś więc wiedzieć, kim jesteśmy?

— Tak, widzieliśmy bowiem wasz ogień na górze.

— A skąd wiedziałaś, że nie jesteśmy niebezpieczni?

— Bo była wśród was squaw.

— Słusznie, całkiem słusznie! Teraz jednak musisz szybko ruszać w drogę?

— Tak, by dogonić innych. Nie odjadę jednak, nie dowiedziawszy się wpierw od ciebie, kiedy i gdzie będziemy cię mogli znowu spotkać.

— Dokąd jedziecie?

— Tego nie mogę powiedzieć.

— Na te słowa zeskoczył z konia Młody Orzeł. Podchodząc do niej powiedział:

— Możesz! Zobacz, jestem twoim bratem!

Miał na sobie nowe ubranie ze skóry, które przechował dla niego Pappermann, stare wyrzucił gdzieś po drodze. To nowe ubranie bardzo dodawało mu powagi. Wskazał palcem na dwunastoramienną gwiazdę z pereł przyszytą na piersi po prawej stronie. Taką samą gwiazdę dostrzegłem na ubraniu dziewczyny.

— A więc jesteś Winnetou? — spytała dokładniej mu się przyglądając.

— Tak.

— A ja jestem Winnetah. Obydwoje nosimy gwiazdę wielkiego Winnetou i jesteśmy siostrą i bratem. Jestem z plemienia Siouxów Ogellahów. A ty?

— Ja jestem Apaczem Mescalero.

— A więc ze szczepu Winnetou. Powiedz mi, proszę, jakie jest twoje imię? Czy też może nie masz jeszcze żadnego?

— Mam już imię — uśmiechnął się w odpowiedzi. — Nazywają mnie Młody Orzeł.

Drgnęła zaskoczona.

— To imię nosi ulubiony uczeń słynnego Tatella-Saty. Otrzymał je będąc jeszcze bardzo młodym, kiedy inni długo jeszcze nie mają imion. Czy znasz go?

— Tak.

— Był też pierwszym, któremu Tatella-Sata pozwolił nosić gwiazdę Winnetou. Czy wiesz — gdzie on teraz przebywa?

— Tak. Stoi przed tobą.

— Naprawdę? A więc to ty? Ty sam? — pytała z twarzą jaśniejącą niekłamana radością. — Opowiadano, że zniknąłeś?

— Mówiono prawdę — odparł.

— Miałeś przywieźć świętą glinę na fajkę pokoju?

— Tak, a poza tym jeszcze inny ciężki ładunek.

— Opowiadano, że wziąłeś na siebie bardzo trudne zadanie?

— I to jest prawdą.

— Czy udało ci się je wykonać?

— Tak. Nasz wielki, dobry Manitou prowadził mnie i ochraniał. Od czasu, kiedy opuściłem Górę Winnetou, upłynęły ponad cztery lata. Teraz jadę z powrotem. Czy podążasz tą samą drogą?

— Tak.

— A więc nie będę pytał, dokąd dziś jedziesz, bo wiem, że cię znów zobaczę.

— Czy chcesz tego?

— Tak. A ty?

— Ja również.

— Podaj mi więc swoją rękę.

— Podam ci obie!

Wyciągnęła do niego obie dłonie wpatrując się wielkimi, szeroko otwartymi oczami w jego naznaczoną już męską dojrzałością, pełną powagi twarz. On jednak patrzył ponad jezioro, jakby chciał sięgnąć wzrokiem poza horyzont. Milczeli przez chwilę. Potem on powiedział:

— Wnuczka wielkiego czarownika Seneków i córka Wakona, szukającego i mądrego, oraz uczeń niedostępnego Tatella-Saty, ostatniej i jedynej ucieczki zdeptanej duszy czerwonej rasy — to ty i ja. Połączył nas Manitou. Rozstajemy się tylko pozornie. I wielkie błogosławieństwo wyjdzie z miejsca, na którym się spotkamy ponownie. Bądź pozdrowiona, najmiłsza, piękna Winnetah!

Ucałował obie jej dłonie i zapytał:

— Kiedy stąd odjedziesz?

— Natychmiast — odparła. — Zanim jednak to uczynię, pragnę zapytać dokąd najpierw kierujecie swe konie?

— Do Devil's Pulpit. Czy znasz to miejsce?

— Tak! Jak dobrze, że cię zapytałam. Chcę cię ostrzec!

— Przed kim!

— Przed Kiktahanem Szonką, starym wodzem wojennym Siouxów Ogellahów.

— Przed twoim własnym wodzem?

— Pshaw! — rzuciła pogardliwie. — Aszta nie ma nad sobą wodza. Plemiona Dakotów podzieliły się głęboko. Młodzi wojownicy obstają przy Winnetou, ale starzy są przeciw niemu. Bądź ostrożny! Wiem, że Kiktahan Szonka przybywa na Devil's Pulpit, by radzić z wodzami Utahów. Strzeż się, byś nie wpadł w ich ręce! Czy słyszałeś o tym, że przyjechać ma też Old Shatterhand?

— Słyszałem.

— Czy sądzisz, że można wierzyć tej pogłosce?

— Tak sędzę.

— A więc zobaczymy go, o ile uda mu się ująć przed niebezpieczeństwami, które na niego czyhają.

— Czy wiesz coś o tych niebezpieczeństwach?

— Nie. Wiem tylko, że jeśli rzeczywiście przyjedzie, chcą go schwytąć i zabić przy palu męczarni. Takie jest gorące pragnienie wszystkich nieprzyjaciół jego brata, Winnetou. Mówią, że jest stary i siwy. Ciało i dusza tracą na starość siły. Jakże cieszyliby się jego wrogowie, gdyby teraz ze starym człowiekiem udało im się zrobić to, co tyle razy udaremnił w czasach swej młodości! Gdybym wiedziała kiedy i gdzie się pojawi, posłałabym do niego zwiadowców z ostrzeżeniem.

— Bądź o niego spokojna, Aszto! Bo słyszał już to, co powiedzieliby mu twoi zwiadowcy.

— A więc został ostrzeżony?

— Tak.

— Niech Manitou będzie błogosławiony! Teraz mogę jechać! Czekaj! Jedną jeszcze chwilę!

Poszła w kierunku najbliższych ruin, za którymi ukryty był jej koń. Wróciła po chwili aby podać Młodemu Orłowi rękę na pożegnanie.

— Bądź zdrow — powiedziała. — I do zobaczenia. Potem zwróciła się do Pappermanna:

— Czy pamiętasz, że ja nie opuszczę tego miejsca, dopóki się nie dowiem, gdzie się znowu spotkamy? Wyznacz dowolne miejsce! Przyjedziemy na pewno!

Nie wiedząc, co odpowiedzieć, Pappermann odrzekł:

— Jadę z Młodym Orłem, ale dokąd, tego jeszcze nie wiem.

— Pozostaniecie więc razem.

— Tak.

— Jak długo?

— Tak długo, jak jemu to będzie odpowiadało.

— To mi wystarczy! Wiem, że się na pewno znowu zobaczymy.

Teraz jej spojrzenie spoczęło na mojej żonie i na mnie. Podała nam obydwójgu rękę i powiedziała:

— Nie powiedziano mi, kim jesteście, nie mogę więc pytać! Bądźcie zdrowi!

Odjechała i minąwszy ruiny, zniknęła w zaroślach. Pappermann i Młody Orze! jeszcze długo patrzyli w miejsce, gdzie zakryło ją listowie. Pappermann jak zahipnotyzowany ruszył z wolna za nią. Indianin trwał jeszcze nieruchomo jakąś chwilę, po czym odwrócił się dość

gwałtownie, jakby musiał użyć siły, by wyrwać się spod uroku dziewczyny. My zaś oboje zsiadliśmy z koni; ja zająłem się oględzinami śladów, które pozostawili po sobie nocujący tu goście, Serduszko zaś — przygotowaniem porannej kawy.

Wcześniej nie sądziliśmy oczywiście, że będzie nam dane korzystać z kawy i tym podobnych przyjemności, ponieważ jednak w Trinidad otrzymaliśmy nieoczekiwanie do dyspozycji muły i bardzo wygodny namiot, przed wyjazdem zaopatrzyliśmy się w kilka użytecznych i umilających życie artykułów, których tak zwanym cywilizowanym ludziom trudno jest się wyrzec nawet na “Dzikim Zachodzie”. Do nich, rzecz jasna, należała również kawa.

Ze śladów wynikało, że noc spędziło tutaj około czterdziestu osób, wśród nich dwóch mężczyzn, których uznałem za przywódców. Kiedyś nic takiego nie mogło mieć miejsca, kobiety poginęłyby w dziczy. Choć z drugiej strony, jako rodowite Indianki, jeśli nie osobiście, to przynajmniej z tradycji obeznane były z warunkami i wymaganiami obozowego życia.

Powróciwszy do nas Pappermann powiedział, że Aszta udała się prosto na południe, dokąd prowadziły też wszystkie inne ślady. Tymczasem nasz cel znajdował się na zachód od nas. Przysiadając się do nas Pappermann spytał:

— Czy to nie cud, czy to nie prawdziwy cud? Dokładnie tak, jak wtedy. I wiedzą, że strzał nie był przeznaczony dla mnie. Szukali mnie! Poczcwi, dobrzy ludzie! Dzisiaj w moim życiu jest wielkie święto! Gdyby to był grudzień, powiedziałbym, że to Boże Narodzenie i że otrzymałem podarek od Pana Boga. Tak, od samego Pana Boga, bo nikt oprócz Niego nie może dać takiego szczęścia!

Potem Pappermann był cicho, bardzo cicho. Bo im większe i czystsze jest nasze szczęście, tym mniej potrzebuje słów. Również dla mnie spotkanie z piękną, młodą Indianką miało ogromne znaczenie i nie polegało to tylko na zewnętrznym wrażeniu. Pozwoliło mi wyciągnąć pewne wnioski sięgające daleko w przyszłość. Rzeczą szczególnie interesującą zdały mi się wyszywane z pereł gwiazdy. Pełniły one rolę znaku rozpoznawczego. Młody Orzeł nie poruszał tego tematu, więc ja również nie pytałem. Zresztą i bez zadawania pytań domyśliłem się, o co chodzi. A chodziło po prostu o zasadnicze u czerwonoskórych rozróżnienie pomiędzy “plemieniem” a “klanem”.

Jest to sprawa ogromnej wagi, choć nawet najpoważniejsi badacze zdają się nie poświęcać jej tyle uwagi, na ile zasługuje. Zresztą ileż napisano “popularnych” czy też “młodzieżowych” książek o Indianach, nie posiadając na temat ich życia i zwyczajów nawet najbardziej podstawowej wiedzy! I ile razy książki takie chwalone były i gorąco polecane przez ludzi o jeszcze większym stopniu ignorancji! Odwiedziło mnie mnóstwo autorów piszących o Indianach, ale doprawdy o żadnym z nich nie mogę powiedzieć, by miał najmniejsze choćby pojęcie o rzeczy najbardziej u Indian podstawowej, a mianowicie o klanach.

Tak jak w historii rozwoju całej ludzkości, tak też w historii rozwoju poszczególnych ras uwidaczniają się dwie sprzeczne tendencje — tendencja do rozdrobnienia i tendencja do scalania, pęd do jedności i pęd do wielości. Rozdrobnienie zaczyna się już na najwyższym szczeblu i dzieląc ludzi na rasy, narody, ludy, miasta, wioski schodzi na szczeble coraz niższe dosięgając w końcu właściciela samotnego gospodarstwa, któremu tylko z rzadka świta myśl, że jest członkiem jednego rodzaju ludzkiego. W ten sposób rodzi się patriotyzm, umiłowanie ojczyzny i swojej miejscowości, w ten sposób rodzi się też pycha narodowa i polityczna bezwzględność. Tendencja do zjednoczenia przeciwnie — mocą jednej, wielkiej myśli łączy jednostki w jeden wielki lud. Ludzkość do dziś nie zdołała poznać, która z tych dróg prowadzi do prawdziwego, trwałego szczęścia; czeka ją więc jeszcze wiele gorzkich lekcji.

Jakże bolesne i okrutne bywają to lekcje, najwyraźniej widać na przykładzie rodzimych mieszkańców Ameryki. Ta rasa posunęła rozdrobnienie i rozbicie do ostatecznych niemal granic. Nigdzie, nawet w najodleglejszych i najciemniejszych zakątkach Wschodu potężna niegdyś całość nie została rozbita na tak małe i bezsilne kawałeczki i części, jak u Indian. Każda z tych części, każde z tych licznych plemion i niezliczonych szczepów pielęgnuje swą indywidualną dumę i gotowe jest raczej zginąć niż oddać coś ze swej tożsamości. To rozdrobnienie już dawno doprowadziłoby do zupełnego unicestwienia całej rasy, gdyby wielcy czarownicy przeszłości nie starali mu się ze wszelkich sił przeciwdziałać i to na dwóch płaszczyznach — teologicznej i społecznej.

Teologiczną podstawę jedności tworzyła koncepcja „Wielkiego Ducha“, czy inaczej „wielkiego, dobrego Manitou“. Badania naukowe wykazały i wykażą w sposób jeszcze bardziej niezbity, że pierwotny Indianin był wiernym i jednoznacznym wyznawcą monoteizmu, aż do czasu, gdy został skażony pochodzącym z zewnątrz wielobóstwem, które zapoczątkowało wielką kaskadę upadku i rozdrobnienia rasy i języków. Społeczna droga ku jedności zawierała się w koncepcji klanu jednoczącego od wewnątrz zewnętrznie rozbite plemiona. Oczywiście słowa „klan“ nie można przyjmować tu w jego angielskim, to jest szkockim znaczeniu. Powstały klany prawdomówności, wierności, dobroczynności, krasomówstwa i uczciwości. Kto chciał się ćwiczyć w krasomówstwie, kto pragnął oddać się dobroczynności, kto czuł się na tyle silny, że potrafił się powstrzymać od kłamstwa, ten mógł przystąpić do odpowiedniego klanu, zobowiązując się przez dane słowo i podanie swej dłoni do przestrzegania przez resztę życia przyjętej zasady. Nawet jednorazowe uchybienie powodowało wykluczenie z klanu i bezpowrotną utratę czci. Dla łatwiejszego odróżnienia i widzialnego oznakowania, każdy z klanów przybrał nazwę jakiegoś zwierzęcia, którego wizerunek służył również jako znak rozpoznawczy. Wspomniałem już, że wielki mówca Seneków, na którego grobie byliśmy w Buffalo należał do klanu Wilków. Istniały też klany orłów, sępów, jeleni, niedźwiedzi, żółwi itd.

Do każdego z klanów można było wstąpić bez względu na przynależność plemienną. Przyjmowano nawet śmiertelnych wrogów i udzielano wszelkiej ochrony i poparcia, o ile tylko pozostawali wierni przyjętym przez siebie zobowiązaniom. Jakkolwiek więc nienawidzili się wzajemnie i bezwzględnie zwalczali, na przykład Kiowowie i Nawajowie, jeśli tylko znaleźli się w szeregach jednego klanu, grzebali na zawsze tradycyjną wrogość. Jakże więc błogosławione owoce rodziła działalność klanów! Niestety, pojawienie się białych i dopuszczenie ich do klanów miało godne pożałowania skutki. Wykorzystywali je do swych osobistych celów, czerpiąc pełną garścią z przywilejów, a zaniedbując zupełnie zobowiązania. Klany utraciły swą dobrą sławę, a przez to i siłę społecznego oddziaływania, z myślą o którym je niegdyś zakładano. Trudno było przewidzieć, czy kiedykolwiek jeszcze powrócą do stanu dawnej świetności.

Klany nosiły zawsze imiona zwierząt, a nie ludzi. Ja w każdym razie, o ile pamiętam, nie spotkałem się z jakimiś innymi ich oznaczeniami. Tymczasem teraz po raz pierwszy miałem do czynienia z takim przypadkiem — z klanem noszącym imię Winnetou! Uważałem bowiem za rzecz oczywistą, że organizacja jednocząca Młodego Orła i Asztę była klanem o znaku rozpoznawczym w postaci dwunastoramienną gwiazdy. Kiedy założono ten klan? Co najmniej przed czterema laty. Tyle bowiem lat liczyło sobie ubranie, które miał teraz na sobie Młody Orzeł. Jego to właśnie Tatella-Sata, przyjął jako pierwszego do założonej przez siebie organizacji, której mężczy członkowie tytułowali siebie Winnetou, a członkinie Winnetah. Jaki był jej zasadniczy cel? I jakiego zobowiązania wymagała od swoich członków? Nie pytałem spodziewając się, że niebawem ktoś mi to sam powie. Niewątpliwie był to cel pokojowy, czego dowodziła choćby przynależność plemienna dwojga znanych mi członków klanu — Apacz i Sioux Ogellah, a więc śmiertelni wrogowie!

W Uchu Manitou

Pijąc kawę Pappermann oznajmił nam, że dziś wieczorem dotrzemy do Devil's Pulpit. Spytał, czy nie moglibyśmy pozostać jeszcze godzinę nad jeziorem, gdyż chciałby się rozejrzeć. Nie mieliśmy oczywiście nic przeciwko temu! Chętnie poczekalibyśmy nawet dłużej, ale wrócił zanim godzina upłynęła i powiedział:

— Proponowałbym jechać dalej! Jeśli będę tu dłużej łaził za dużo będzie staremu Pappermannowi goryczy i słodyczy!

Miał rację. Jezioro było piękne, nadzwyczaj piękne, ale jego migotliwa powierzchnia nastrojała nas raczej melancholijnie niż radośnie. Pozostało ono w naszej pamięci jako miejsce krótkiego odpoczynku przed dalszą wędrówką. Zjechaliśmy do doliny Purgatorio i ruszyliśmy tropem kryształowo czystego strumyka, który miał nas zaprowadzić do samego celu. Dotarliśmy do niego przed zmierzchem, zaproponowałem więc, byśmy na noc pozostali poza rejonem Diabelskiej Ambony, jako że ostrzegano nas przed tym miejscem, a z powodu ciemności nie sposób było się przekonać, czy w pobliżu nie ma wrogich nam Indian.

— Well! — powiedział Pappermann. — W takim razie zaprowadzę was do kryjówki, w której nie znajdzie was nawet najbystrzejszy czerwonoskóry. Ja sam odkryłem ją zupełnie przypadkowo i nie sądzę by komukolwiek jeszcze była znana.

— Wiele pan obiecuje! — zauważyłem.

— Ale i dotrzymam! — odparł. — Jeszcze parę kroków, a potem pojedziemy wzdłuż małego strumyka, który wypływa z ukrytego stawu. Ten staw nie jest duży. Nad nim górują wysokie i niedostępne skały, pozornie pozbawione jakichkolwiek szczelin czy przejść. Jeśli jednak jechać przez środek stawu, okazuje się, że jest jedna ukośna szczelina prowadząca do źródła tego strumyka, który w rzeczywistości bierze swój początek nie ze stawu, lecz ze źródła w wyższych partiach skał, gdzie przenocujemy.

— Czy nasze juki przejdą przez szczelinę? — spytałem.

— Tak — odparł. — Z wyjątkiem masztów namiotowych, które trzeba będzie założyć podłużnie, a nie poprzecznie.

— A jak głęboki jest staw?

— Ma co najwyżej jeden metr głębokości.

— Miał wówczas!

— Hm! Sądzi pan, że jest teraz głębszy? O czymś takim jeszcze nie słyszałem. Stojące wody z reguły stają się z biegiem czasu płytsze. Ale stop! Oto i strumyk! Przepakuję maszty! Potem pojedziemy po tej stronie między skały.

Wspólnie zmieniliśmy umocowanie masztów. Było jeszcze na tyle jasno, że widzieliśmy drogę. Przybyliśmy nad ciemniejący tajemniczo staw, a przejechawszy przez niego natrafiliśmy po drugiej stronie na zarośniętą gęsto listowiem szczelinę. Pojechaliśmy nią na ukos i po krótkiej wspinaczce wzdłuż strumyka dotarliśmy do jego źródła. Byliśmy w okrągłej głębokiej skalnej dziurze o gładkich, niedostępnych ścianach biegnących prostopadle

ku górze.

— Jesteśmy na miejscu — powiedział Pappermann. -1 za sto lat nikt nas tu nie odkryje!

— Czy tu dużo wilgoci? — spytałem.

— Nie powiedziałbym. Woda przecież odpływa. Poza tym jest indiańskie lato i od miesięcy nie spadła ani kropla deszczu.

— Czy można wspiąć się na te ściany?

— Nie wiem. Nie próbowałem. Nigdy mnie to nie pociągało.

— A czy ktoś może nas podglądać z góry?

— Musiałby się tam najpierw dostać. A z zewnątrz jest to absolutnie niemożliwe.

— Jestem więc spokojny. Rozpalimy ognisko, a potem rozbijemy namiot!

Po upływie pół godziny wszystko było gotowe. Nie wiązaliśmy zwierząt, tak że mogły poruszać się swobodnie. Najpierw długo piły, a potem równie długo tarzały się w wilgotnej ziemi, co czynią bardzo chętnie jeśli dolegają im stawy i kości. Znalazły wokół tyle listowia i innej zieleni, że mogliśmy tu zostać kilka dni bez obawy, że zabraknie im pożywienia. Zresztą bardziej niż paszy potrzebowały odpoczynku, bo droga znad jeziora okazała się dłuższa i bardziej wyczerpująca, niż przypuszczaliśmy na podstawie słów Pappermanna. My również byliśmy zmęczeni. Dlatego zaraz po kolacji położyliśmy się spać. Odwrotnie niż wczoraj natychmiast posnęliśmy. Ze wstydem przyznać muszę, że nie wstałem sam: obudził mnie Pappermann.

— Pani Burton jest już dawno na nogach! — usprawiedliwił się przede mną. — Zamówiła gorącą wodę, żeby... czy pan słyszy? Mieli kawę w namiocie, by pana nie obudzić. Niech się pan przypadkiem nie wygada, że ja uznałem jednak za stosowne szturchnąć pana w bok. Mężczyzna musi być mężczyzną! A póki śpi, niestety nim nie jest!

— A więc obudził mnie pan tylko ze względu na mój męski prestiż.

— Tak! Old Shatterhand śpiący, kiedy jego żona od dawna już jest na nogach! To nie uchodzi!

Przyjrzałem się teraz dokładnie otoczeniu. Była to rzeczywiście doskonała kryjówka. Nic nie wskazywało na to, by kiedykolwiek przedtem byli tu ludzie. Ściany skalne sprawiały wrażenie stromych, ale wspinaczka nie była wykluczona. Ułatwiały ją przylegające do nich konary i gałęzie parusetletnich drzew-olbrzymów, których rosło tu kilka. Wypiwszy kawę Młody Orzeł natychmiast podjął próbę wejścia na górę. Nie sprawiło mu to szczególnych trudności. Ze szczytu dobiegł nas głośny okrzyk:

— Uff, uff! Widzę coś cudownego! Coś cudownego!

— Nie tak głośno! — ostrzegłem go. — Nie wiemy jeszcze, czy w pobliżu nie ma jakichś ludzi!

— Nie może tu być nikogo! — odpowiedział z góry. — Wokół jest tylko powietrze!

— Czy to tak wysoko? A co widać w dole?

— Devil's Pulpit!

— Diabelską Ambonę? Naprawdę?

— Tak.

— To niemożliwe, zupełnie niemożliwe! — zaprzeczył Pappermann.

— Dlaczego? — zapytałem.

— Bo ja to wiem. A jeśli Maksz Pappermann coś wie, to wie to rzeczywiście. Droga do Diabelskiej Ambony prowadzi w lewo w dół, a my skręciliśmy w prawo. Ponadto ze

wszystkich stron otoczona jest ona wysokimi, stromymi, niedostępnymi dla człowieka skałami. Jak więc może ją widzieć?

— A jednak twierdzi, że ją widzi!

— Jest w błędzie!

— Równie dobrze pan może być w błędzie!

— Nie!

— Może droga do Diabelskiej Ambony tak kluczy, że stracił pan orientację?

— Żaden człowiek i żaden zwierz, choćby nie wiem jak kluczył, nie wywiedzie mnie w pole!

Raz jeszcze zapytałem Indianina, a ten znowu potwierdził, że widzi Devil's Pulpit. Ponieważ i on znał to miejsce, powstawała nierozwiązywalna sprzeczność, co w końcu skłoniło mnie do pójścia w ślady Młodego Orła. Moja żona również potrafi się dobrze wspinać. Lubi chodzić po górach i niekiedy bywa śmielsza niż można jej na to pozwolić. Zaczęła wspinać się razem ze mną. Pappermann jednak pozostał na dole.

— Nigdy nie byłem kozicą — powiedział — i nigdy nią nie będę. Równa droga, dobry koń, mocno przypięte siodło — to mi odpowiada. Wchodźcie sobie, gdzie chcecie, ja zostaję na dole!

Kiedy stanęliśmy na szczycie, naszym oczom ukazał się cudowny widok. Choć nigdy przedtem nie widziałem Diabelskiej Ambony, od razu powziąłem przekonanie, że to ona. Krzyknąłem więc na dół do starego westmana. Ten wstał i powoli, bardzo ostrożnie zaczął jednak wdrapywać się na górę. Trwało to dosyć długo. Wreszcie stanął obok nas.

— No! Jestem! — powiedział. — Teraz rozejrzę się, by zobaczyć, cóż to za niepojęty nonsens...

Przerwał w pół zdania nie zamknawszy nawet ust.

— O jakim nonsensie mowa? — zapytałem.

— O nonsensie... Wszyscy diabli! Co się tutaj dzieje!

— Czy to Devil's Pulpit? Czy nie?

— Tak, to Devil's Pulpit! O Pappermann, Maksz Pappermann, cóż z ciebie za osioł! A wszystkiemu winne to twoje nieszczęsne nazwisko! Tylko ktoś, kto się nazywa Pappermann, może się tak zbłąźnić. Pappermann! To moje całe nieszczęście! Gdyby mój ojciec nazywał się Muller albo Schulze, albo Schmidt, czy nawet Zuckerkant albo Pumpernickel, byłbym takim samym szczęściarzem jak wszyscy, inni ludzie. Ale Pappermann? Czy może być coś gorszego? Nawet tu mnie prześladuje to nazwisko! I będzie mnie prześladowało tak długo, jak długo będzie w ogóle kogo prześladować!

Pappermann wydawał się w najwyższym stopniu niepokieszony. Chodziło w końcu o honor westmana, który cenił sobie ponad wszystko. Żaden znawca gór, lasów i prerii nie może popełnić takiego błędu nie narażając jednocześnie na szwank swego dobrego imienia. Szczęśliwie nie było wśród nas nikogo, kto chciałby ten błąd przeciw niemu wykorzystać, a kiedy jeszcze zapewniłem go, że i mnie wielokrotnie się coś takiego zdarzyło, powoli zaczął się uspokajać.

Wyobraźmy sobie płaski skrawek ziemi wieńczący spiętrzone, wielkie bloki skalne. Porastają go drzewa i gęste zarośla, wśród których można się doskonale ukryć przed wzrokiem kogoś obserwującego wierzchołek z dołu. Znad wszystkich krawędzi tego niewielkiego płaskiego skrawka widać opadające niemal pionowo w dół ściany skalne. Znajdowaliśmy się na tej właśnie niewielkiej przestrzeni, a głęboko w dole widniała

Diabelska Ambona.

Ten, kto ma jakiegokolwiek pojęcie o geometrii, wie co rozumie się pod pojęciem elipsy. Ponieważ jednak nie wszyscy moi czytelnicy musieli się zetknąć z geometrią, aby być lepiej rozumianym spróbuję posłużyć się opisem nienaukowym: elipsa jest okręgiem rozciągniętym wzdłuż przebiegającej przez jego środek linii. Przez owo rozciąganie otrzymuje ona jakby drugi punkt środkowy. Obydwa punkty nazywane są ogniskami elipsy. Kto ma wśród naczyń kuchennych podłużny rondel, temu znany jest wydłużony kształt elipsy. Otóż spoglądając w dół z miejsca, na które weszliśmy, mieliśmy pod nogami taki właśnie wielki elipsoidalny rondel wbity niejako w potężny masyw górski. Miał on tak dokładny geometryczny kształt, że zdawał się być dziełem nie natury, a człowieka. Jak się zresztą później przekonałem, choć zrąb owego kształtu stworzyła natura, reszty dokonała ręka ludzka. Dziać się to musiało w bardzo zamierzchłych czasach, bo skalne ściany rondla pierwotnie pionowe i gładkie, porysowane zostały na skutek zmiennych warunków atmosferycznych szczelinami, wgłębieniami i odpryskami tworząc półki i nisze, porośnięte teraz drzewami, krzewami, przeróżnymi chwastami, mchem i trawą. Również dno rondla pokrywała warstwa zieleni. Wpatrując się w nią poczyniłem jednak dwa istotne spostrzeżenia. Po pierwsze musiała to być chyba pierwotnie przestrzeń wolna od jakiegokolwiek roślinności, gdyż jej podłoże robiło wrażenie zupełnie jałowego, podczas gdy jak okiem sięgnąć ziemia była w tych dolinach żyzna. Żadne ze stojących we wnętrzu rondla drzew, choćby najstarsze i najgrubsze, nie rosło w górę; wszystkie wysokopienne gatunki były uschnięte. Drzewa żywiły się więc tylko z cienkiej, nawianej z zewnątrz warstwy ziemi i albo nie mogły głębiej sięgnąć korzeniami, albo nie znajdowały tam pokarmu. I rzeczywiście — kiedy później zszedłem na dół przekonałem się, że całe dno rondla wyłożone jest ściśle przylegającymi do siebie grubymi, kamiennymi płytami, przez które nie może przebić się żadna roślina, i że wszystko, co tu rośnie, żywi się za pośrednictwem rozrastających się na boki korzeni, z wytworzonej przez wieki na płytach warstwy próchnicy. Głębokich, pionowych, wrastających w podłoże korzeni nie było tam w ogóle, a w związku z tym brakowało również wysokopienych gatunków drzew.

Czemu jednak miała służyć ta gigantyczna posadzka? To było pierwsze pytanie narzucające się baczniejszemu obserwatorowi.

Drugie spostrzeżenie polegało na tym, że na około jednej trzeciej powierzchni elipsy roślinność zdawała się być nietknięta, podczas gdy reszta nosiła ślady ludzkiej obecności. Linia graniczna między większym, uczęszczanym obszarem, a strefą nieuczęszczaną przebiegała bardzo wyraźnie. Wyglądało na to, że istnieje wyraźny zakaz przebywania w gęstej zarośniętej części elipsoidalnego dna rondla.

Jaki cel miało to rozgraniczenie? Takie było drugie pytanie, jakie musiał sobie zadać myślący obserwator.

Sprawą jednak, która wzbudzała moje największe zainteresowanie był fakt, że nad całkowicie wyrównanym elipsoidalnym dnem kotła górowały dwa znaczne i najwyraźniej sztuczne wzniesienia, sprawiające takie wrażenie, jakby w swym zamyśle były wyspami wychylającymi się znad powierzchni wody, która niegdyś ów kocioł wypełniała. Potem na przestrzeni stuleci woda musiała po prostu przecieć przez niezliczone szczeliny, które potworzyły się z czasem w dnie i na krawędziach zbiornika.

Ze wszystkich tych obserwacji wynikało to tylko, że w zamierzchłych czasach zamieszkiwali te okolice ludzie, którzy tak w dziedzinie budownictwa, jak i w innych dziedzinach stali znacznie wyżej od dzisiejszych Indian, czy, mówiąc ściślej, od swych własnych potomków. Oba wzniesienia, czy też — by pozostać przy obrazie zbiornika wodnego — wyspy, wyróżniały się tą niezwykłą właściwością, że leżały dokładnie w

ogniskach elipsy! To nie mógł być przypadek, lecz rezultat dokładnych obliczeń. I znowu pojawia się pytanie: jaki był ich cel? Na pewno nie chodziło o sprawę błahą. Przyszły mi na myśl skomplikowane obliczenia astronomiczne leżące u podstaw budowy piramid egipskich, jak również nie wyjaśnione ciągle tajemnice Teokalli i innych starożytnych świątyń. Nie będąc jednak fachowcem w tej dziedzinie, nie mogłem sobie pozwolić na jakiekolwiek spekulacje. A jednak zaświtała mi w głowie myśl na tyle śmiała, że — przyznam uczciwie — znacznie przekraczała granice tego, na co może sobie pozwolić zwykły westman skupiony na podstawowej sprawie własnego bezpieczeństwa. Myśl ta wracała raz po raz z coraz większą siłą, aż w końcu całkowicie mnie opanowała. Przypomniałem sobie o starożytnych dociekaniach — często szły z nimi w parze również wysiłki budowniczych — których przedmiotem były geometryczne przestrzenie mające tę właściwość, że w jednym ich miejscu słychać było dokładnie to, co zostało nawet cicho powiedziane w innym, odległym miejscu. Ta myśl pojawiła się samorzutnie, bez mojego współdziału, nie była więc moim dziełem. Odrzuciłem ją. Wróciła jednak w momencie, kiedy przemówił Młody Orzeł i już nie chciała ode mnie odstąpić: Indianin wskazał mianowicie w dół, w przepaść i powiedział:

— Oto Ambona. Stoimy na najwyższej z otaczających ją ścian. Są dwie Ambony. Jedna, ta właśnie, jest bladym twarzom znana; nic jednak nie wiedzą o drugiej. Tę pierwszą nazywają Diabelską, drugą nazwaliby pewnie imieniem dobrego Manitou. Czerwoni mężowie nazywają jednak pierwszą Tsza Manitou¹⁰, a drugą Tsza Kehtikeh¹¹.

— Które miejsce nazywasz Amboną? — zapytałem. — Podłużny skalny kocioł rozciąga się ze wschodu na zachód. Jedno wzniesienie znajduje się w części wschodniej, a drugie w zachodniej. Które z nich jest Amboną?

— To w części zachodniej — odparł.

— A więc drugie jest Uchem?

Spojrzał na mnie pytająco. Zacząłem mu więc wyjaśniać:

— Ambona służy przecież do przemawiania, a mówca ma być słyszany. Ty jednak mówisz o uchu, które słucha. Nazywasz je Uchem Boga. Gdzie się ono znajduje?

— Tego nie wiem. W każdym razie chodzi o ten sam punkt, który biali nazywają Amboną. Wszystkiego, co wiem na ten temat, dowiedziałem się od mojego nauczyciela Tatella-Saty. Z jednej Ambony, tej właśnie, Bóg słyszy, co mówi diabeł i skazuje go na potępienie. A z drugiej, która nie jest jeszcze znana białym, diabeł słyszy, co mówi Bóg i zostaje przez to od potępienia uratowany.

— Ma to jakiś głęboki sens, któremu gdzieś tutaj nadano zewnętrzny kształt. Będę go szukać. Jak widzisz wschodnia część kotła jest gęsto zarośnięta i to w określonych ściśle granicach. Roślinność w większej, zachodniej części jest natomiast znacznie przerzedzona. Wygląda nawet na to, że rąbano tam drewno na opał.

— Tak dzieje się zawsze, ilekroć odbywają się tu narady.

— Narady? A może rąbie się drewno podczas polowań czy w jakimś innym celu?

— Nie. To miejsce jest dla każdego czerwonego męża święte. Przeznaczone jest wyłącznie na wielkie i ważne narady pomiędzy całymi narodami. Nigdy nie rozmawia się tu o rzeczach mniej ważnych! I żaden czerwony mąż nie postawi tu nogi, jeśli w grę nie wchodzi wielkie spotkanie pomiędzy dwoma co najmniej narodami!

— Doprawdy?

— Tak — potwierdził. — Znane mi to jest doskonale! I nawet podczas wielkich narad, w

¹⁰ Ucho Boga

¹¹ Ucho Diabła

których bierze udział bardzo wielu wojowników, żaden z nich nigdy nie odważy się wejść do części wschodniej.

— Dlaczego?

— Mówi się, że mieszka tam zły duch, diabeł, od którego wzięła nazwę Ambona.

— Niezwykłe i ciągle dla mnie niejasne! To, co opowiada się o Ambonach liczy sobie z pewnością setki lat. Można sobie wyobrazić, jak bardzo zatarła się już prawda. Czy wierzysz w to, co opowiadają?

— Wierzę w istotną część tego przekazu.

— Czy znasz ją?

— Nie. Ale mam nadzieję dowiedzieć się jej od Tatella-Saty.

— Nie jest pewne, czy on sam ją zna. Gdyby ją bowiem znał, to mówiąc o Ambonie wyrażałby się inaczej. Nie umiejscowiłby Ambony i Ucha w tym samym punkcie. A czy ty wierzysz, że we wschodniej części kotła mieszka zły duch?

— Szanuję zwyczaje moich ojców nie pytając, czy zasadzają się na prawdzie, czy też nie!

— A więc nie byłbyś skłonny przekroczyć granicy?

— Czy pan ma zamiar zejść na dół?

— Owszem.

— Czy żona będzie panu towarzyszyć?

— Z pewnością.

— A więc chętnie pójde i ja, jeśli oboje jesteście zgodni. Przez cztery lata przebywałem wśród bladych twarzy i nauczyłem się przy nich rozróżniać między duszą rzeczy a samą rzeczą. Dusza jest dla mnie świętością, nie oddaję natomiast czci jej zewnętrznej powłoce. Szanuję ją jednak i naruszyć lub zniszczyć mogę tylko wówczas, gdy mam powód uznać ją za coś złego lub szkodliwego.

Ten młodzieniec mówił bardzo mądrze! Gdybym go przedtem nie darzył sympatią, tymi słowami na pewno by zdobył moje serce. Teraz odezwał się milczący do tej pory Pappermann:

— Słyszę, że wybieracie się tam na dół?

— Oczywiście! Naszym celem jest przecież Devil's Pulpit!

— Kiedy ruszacie w drogę?

— Natychmiast.

— A więc trzeba siodłać konie?

— To niepotrzebne. Pójdziemy piechotą.

— Oho! — krzyknął zdziwiony. — Czy uważacie, że Maksz Pappermann będzie biegał z koniem lub mułem na postronku?

— Raczej nie. Nikt jednak panu nie każe biegać. Zostanie pan tutaj.

— Zostanę tutaj? — zapytał wstrząśnięty.

— Tak.

— Czy może nie jestem godny tego, by mnie zabrać ze sobą?

— Niech pan nie mówi bzdur! Tutaj na górze jest nam pan bardziej potrzebny niż na dole. Wiemy, że nadjeżdżają nieprzyjaciele.

Niestety nie znamy czasu ich przybycia. Mogą się zjawić lada chwila. Z dołu nie

będziemy mogli ich zobaczyć. Dlatego właśnie zamierzam zrezygnować z koni. Konie pozostawiają wyraźniejsze ślady niż ludzie. I może się zdarzyć, że sami mogąc bezpiecznie umknąć, aby ratować konie, będziemy musieli narazić się na niebezpieczeństwo.

— Ach tak! Rozumiem...

— Co pan rozumie?

— Że mam tu na górze zostać na straży.

— Zgadza się w zupełności.

— To co innego! Zrobię to chętnie i proszę o instrukcje.

— Już się robi! Wiadomo, że przybędą Siouxowie i Utahowie. Pierwsi nadjadą prawdopodobnie z północy, drudzy — z zachodu. W każdym razie kocioł skalny jest tak położony, że na pewno nie przybędą drogą, którą my jechaliśmy, lecz od strony przeciwnej. Tę przeciwną stronę widać stąd jak na dłoni i na pewno dostrzeże pan czerwonoskórych na długo, zanim zjadą w dolinę. Wtedy da nam pan znać.

— W jaki sposób?

— Długim, ostrym gwizdem.

— Czymś takim?

Wetknął w usta zagięty palec i dał nam próbę swych umiejętności.

— Tak, to wystarczy.

— Wspaniale! Ale nie zna pan przecież drogi na Ambonę. Nigdy pan tam nie był.

— To nie problem. Młody Orzeł zna drogę. A gdyby nawet nie znał, to czy sądzi pan, że zabłądziłbym zobaczywszy Devil's Pulpit tak wyraźnie z tego miejsca? Chodźmy!

Zeszliśmy z powrotem do obozu. Na górze został tylko Pappermann. Wyjąłem z kufra i skrzyłem mój rozłożony na części sztucer Henry'ego.

— Masz zamiar strzelać? — spytała Serduszko.

— Nie ma powodu do niepokoju. To na zwierzynę — uspokoiłem ją. — Młody Orzeł również weźmie swoją strzelbę.

Serduszko wskazała mi oczami Indianina. Spojrzałem na niego ukradkiem. Wzruszające było nabożne napięcie, z jakim patrzył na sztucer i śledził każdy ruch mojej ręki podczas ładowania.

— Uff! — powiedział. — Oto on! A więc to on! Tyle razy o nim słyszałem. Czy mogę go dotknąć?

— Bardzo proszę!

Wziął sztucer do ręki, ale nie pozwolił sobie na dokładne oględziny. Potem przycisnął go do siebie w nagłym przypływie wzruszenia:

— Ileż razy uratował Winnetou! Ten jeden jedyny sztucer!

Z tymi słowami oddał mi broń. Wziąłem go od niego i powiedziałem:

— Taki zupełnie wyjątkowy, to on już od dawna nie jest. Co prawda wyśmiewano mnie często, kiedy mówiłem o dwudziestu pięciu strzałach. Było nawet paru takich mądrych ludzi, którzy z tego powodu nazwali mnie kłamcą i oszustem, choć na broni palnej i strzelaniu znali się tyle, że zdejmowała mnie litość. Teraz jednak, od dawna już nie tylko wielu mi dorównuje, ale nawet przewyższa. We Włoszech major Cei-Rigotti skonstruował dwudziestopięciostrzałowy karabin, a pewien szkocki wynalazca przedstawił nawet angielskiemu ministerstwu wojny karabin dwudziestośmiostrzałowy o nośności trzech tysięcy stu metrów. Ten sztucer czeka w swoim czasie ten sam los, który spotkał srebrną

strzelbę Winnetou.

Oczy Młodego Orła rozbłysły:

— Czy ma pan ją również ze sobą?

— Tak.

— Czy mogę ją zobaczyć?

— Później. Teraz musimy obejrzeć Devil's Pulpit i czas nagli, bo w każdej chwili może pojawić się nieprzyjaciół, a wtedy będzie na to za późno. Nie traćmy ani minuty!

Ostatnie słowa wypowiedziałem przy akompaniamencie rozlegającego się z góry śmiechu. To był Pappermann. Schodził na dół i był już prawie przy nas.

— Miałem zostać na górze — powiedział. — A wy troje mieliście pójść na piechotę. Zdaje się, że będziecie jednak musieli użyć koni. I ja także będę wam potrzebny. Nawet bardzo!

Wiedziałem już o co chodzi. Miał rację. Serduszko jednak powiedziała:

— Użyć koni? Pan nam potrzebny? To nie prawda! Idziemy!

— Nie, jedziecie! — roześmiał się wesoło. — Czy chce pani, czy nie, tym razem będzie mnie pani musiała posłuchać! A może woli pani mokre nogi, katar, kaszel, grypę i inne tego rodzaju przyjemności? Ze nie wspomnę o kichaniu?

Oczywiście miał rację. Westman nie boi się wprawdzie zamoczyć, ale w miarę możliwości stara się tego unikać. Wsiadliśmy więc wszyscy na konie i dojechawszy do stawu przedostaliśmy się na drugą stronę. Pappermann zabrał konie z powrotem, a my zeszliśmy wzdłuż małego strumyka w dół aż do miejsca, w którym wczoraj skręciliśmy ze szlaku do Diabelskiej Ambony. Stąd prowadził nas najpierw szerszy strumień, ale tylko do momentu, w którym stał się zbyt wartki spływając w kaskadach po stromym zboczu w dolinę. Tak szybko zejść nie mogliśmy. Szliśmy więc szerokimi wygodnymi zakosami, zauważając przy tym, że w ogólnym kierunku marszu nie utrzymujemy linii prostej, lecz robimy znaczny łuk. Tego właśnie nie wziął pod uwagę Pappermann i dlatego nie mógł uwierzyć, że Młody Orzeł rzeczywiście widzi Diabelską Ambonę. Na dole natknęliśmy się na niemal pionową szczelinę wyżłobioną w skalach przez wodę w zamierzonych czasach. Wyglądała ona tak niemal, jakby ktoś wyciął ją gigantyczną piłą. Dokładnie taką samą szczelinę widzieliśmy przedtem u wejścia do kotła. Potwierdzałoby to tezę, że całe zagłębienie tworzyło niegdyś na poły naturalne, na poły sztuczne jezioro, które wyschło, kiedy wyciekła z niego woda. Cemu służyć miały obie wyspy? Czy były tylko wyspami? W to jakoś nie mogłem uwierzyć. Również istotne było dla mnie pytanie, czy osiągnięciu zamierzonego przez budowniczych celu służyła woda i czy da się go rozszyfrować po wyschnięciu jeziora. Strumień pozostał. Płynął przez cały kocioł. Nie mogąc wyżłobić głębszego koryta z powodu pokrywających podłoże kamiennych płyt, usypał sobie brzegi z naniesionego z biegiem lat żwiru. Zaprowadził nas najpierw do wschodniej, gęsto zarośniętej części kotła. Nie zabawiliśmy tam jednak długo, odkładając dokładniejsze badanie na później, gdyż sprawą najpilniejszą było poznanie strefy zachodniej. Od tej strony mieli nadejść Indianie, musieliśmy więc jak najszybciej ją opuścić. W części zachodniej ktoś w kilku miejscach rozkopał ziemię odsłaniając kamienne płyty. Drzewa były tu niewysokie, a zarośla dość rzadkie. Zbyt często używano jednych i drugich do podsycania ognisk obozowych. Pomiędzy drzewami i zaroślami było dużo sporej wielkości polan, na których mogły wygodnie obozować setki osób. Wyspa, u której stóp się znajdowaliśmy przewyższała najpokaźniejsze spośród drzew, o co zresztą, jak już mówiłem, nie było wcale trudno. Wzniesienie było zupełnie pozbawione roślinności. Na jego szczyt prowadziły wyżłobione w stoku stopnie. Tam zaś, w kręgu niższych miejsc przeznaczonych do siedzenia, stał na środku wysoki kamienny tron. To była

“Diabelska Ambona“, na której obradowali wodzowie oznajmiając za pośrednictwem herolda wyniki swych rozmów zgromadzonemu u stóp góry tłumowi.

Weszliśmy na sam szczyt nie odkrywając po drodze niczego godnego uwagi. Oczywiście skorzystałem ze sposobności, by obejrzeć z tego miejsca wzgórze położone we wschodniej części kotła. Miało dokładnie tę samą wysokość, natomiast było nieco masywniejsze i całkowicie porośnięte roślinnością. Również ono górowało nad stojącymi u jego podnóża drzewami. Jeśli więc, co wydawało mi się coraz bardziej prawdopodobne, kluczem do tajemnicy były zjawiska akustyczne, na tej wysokości fale dźwiękowe nie napotykały na żadną przeszkodę. Zeszliśmy na dół. Tę część kotła uznaliśmy za spenetrowaną. Spojrzeliśmy w górę szukając wzrokiem Pappermanna. Ten prawdopodobnie nas obserwował, ale będąc na tyle roztropnym, by nie wychylać się poza krawędź, pozostawał dla nas niewidoczny.

Poszliśmy w kierunku wschodniego, gęsto zarośniętego obszaru elipsy. Skierowałem się prosto na drugie wzgórze. W pewnym momencie zwolniłem jednak kroku natrafiwszy na świeży trop. Na szczęście były to ślady mile widziane przez każdego westmana. Również Młody Orzeł natychmiast je zauważył. Trop wyglądał prawie tak, jakby dzieci przedarły się kilkakrotnie przez jeżyny. Najpierw ucichliśmy, ale kiedy już raz przemknęliśmy się wokół wyspy i zorientowaliśmy się w sytuacji, spytałem:

— Czy masz ochotę na szynkę albo łapę niedźwiedzia, Serduszko?

— O mój Boże — powiedziała szybko wyraźnie podekscytowana.. — Czy tutaj są niedźwiedzie?

— Tak.

— Może grizzli?

— Nie. Nie jest tak źle. To zwykły, zupełnie niegroźny czarny niedźwiedź, kulejący na lewą, tylną łapę. Zdaje się, że był kiedyś raniony i od tamtej pory musiał zrezygnować z wszelkiej agresywności. Przypuszczam, że jest przekonany wegetarianinem i nie robi absolutnie nic w tym kierunku, byś go uznała za ludożercę. Jest tu gdzieś na wyspie.

— Tu na górze? — podniosła wzrok i natychmiast zawołała:

— Masz rację! Widzę go! Patrzy w dół! O tam, o tam! Pokazywała ręką w górę. Młody Orzeł złożył się już do strzału.

— Nie strzelaj, nie strzelaj — poprosiła. — Ma taką miłą, misiowatą minę!

Powiedziała to jednak za późno. Huknął strzał. Młody Orzeł mierzył w oko. Kula przeszła mózg zwierzęcia. Niedźwiedź leżał blisko krawędzi, a na nasz widok chciał się podnieść. Teraz opadł znowu na ziemię, przeokoziłkował do przodu i zsunął się martwy ze wzgórza do naszych stóp.

— Jaka szkoda, jaka szkoda! — zawołała Serduszko. — Mógł jeszcze żyć!

— I męczyć się dalej? — spytałem oglądając zwierzę. — Zobacz. Nie był raniony. Miał złamaną tylną łapę. A ponieważ nie chciano go przyjąć do żadnej kliniki musiał ją ciągać za sobą aż do momentu, kiedy trafiła go nasza litościwa kula.

— Złamanej łapy nie będę jadła! — zaprotestowała energicznie Serduszko.

— Ani ja! — przytaknałem. — Najpierw należy ją nastawić i włożyć w gips. Dopiero potem piec ze słoniną!

— Jesteś okropny! — skarciła mnie na pół żartobliwie. — Co będzie teraz z niedźwiedziem? Ja go nie zaniosę do obozu!

— A więc powierzmy to zadanie naszemu Makszowi. Ten niedźwiedź liczy sobie już ze cztery lata i waży parę cetnarów, ale od czego mamy muły? Musimy stąd zabrać wszystko. Ze

względu na Indian. Teraz zedrzemy z niego skórę.

Poszło nam bardzo szybko. Miody Orzeł pomagał nam i okazał się w tej pracy wprawny i czysty. Zawinawszy zwierzę z powrotem w jego własną skórę podjęliśmy na nowo nasze badania. Także na szczyt tej góry prowadziły stopnie, którymi jednak nie dało się prawie iść z powodu pokrywających je kłaczy. Po obu stronach każdego ze stopni stała duża tablica kamienna pokryta dość dobrze zachowanymi wizerunkami wyspy. Tablice te z pewnością musiały pojawić się w czasie, kiedy z kotła zniknęła już woda. Na pierwszej z tablic widoczna była postać mężczyzny zamierzającego wejść na szczyt wzniesienia. Druga przedstawiała przerażającego potwora pożerającego śmiałka, zanim ten zdołał dotrzeć do celu. A więc ostrzeżenie przed wejściem na górę! Z jakiego powodu? Musiało chodzić o utrzymanie czegoś w tajemnicy. Wspięliśmy się na szczyt.

Tu ukazał się naszym oczom całkowicie zakryty krzewami mały, niski budynek, przypominający kształtem budkę strażniczą, ale o ścianach i dachu z kamiennych płyt. Tuż obok znajdowało się legowisko niedźwiedzia. Wewnątrz byłoby mu jeszcze wygodniej, ale nie mógł się dostać do środka, gdyż drzwi były zamknięte. Poruszały się one na kamiennych zawiasach, w które wyposażone były płyty ścian. Otworzyliśmy drzwi. Domek był pusty. Wewnątrz mogły usiąść najwyżej cztery osoby. Dla kogo było przeznaczone to schronienie? Czy dla słuchających? Na drugiej wyspie nie było ani domku, ani kryjących wszystko zarośli. Można ją było stąd doskonale obserwować, samemu pozostając całkowicie niewidocznym.

I tutaj nie poczyniliśmy żadnych innych odkryć, a to z tego prostego powodu, że niczego więcej tu nie było. Jeśli szedłem tropem jakiejś tajemnicy, to na pewno nie polegała ona na niezwykłych komplikacjach i wyrafinowaniu, lecz na zastosowaniu prostego prawa przyrody. Choć moje napięcie sięgało zenitu, ciągle milczałem o moich domysłach. Zdecydowany byłem już jednak dokonać ostatecznej próby. Poprosiłem żonę, by wróciła z Młodym Orłem na pierwszą wyspę i usiadła na wielkim tronie wodzów.

— Po co? — zapytała.

— To będzie niespodzianka.

— Miła?

— Tak, miła. Może ci sprawić dużo radości. A może wolisz, być niemile zaskoczona? To także da się zrobić!

— Nie! Wolę miłą niespodziankę! Ale czy to konieczne?

— Tak, bezwzględnie!

— Od jakiegoś czasu jesteś niezwykle tajemniczy. Mam nadzieję, że ci to przejdzie. Na razie zrobię, jak sobie życzysz.

Oddalili się obydwójce. Patrzyłem za nimi stojąc na krawędzi wzniesienia. Doszli do Diabelskiej Ambony rozmawiając ze sobą, potem zaczęli wchodzić po stopniach. Muszę przyznać, że byłem napięty do granic możliwości. Nasłuchiwałem. Nagle, nie z kierunku, w którym patrzyłem, ale gdzieś z tyłu rozległ się rezolutny głos mojej żony:

— On nie da za wygraną! Zrobi wszystko, żeby zrozumieć o co tu chodzi. Znam go dobrze!

Obydwójce stali teraz na wyspie. Zacząłem słyszeć w momencie, kiedy osiągnęli wierzchołek góry. Widziałem, choć dość niewyraźnie, jak stoją obok siebie. Twarze były nierozpoznawalne — zbyt duża dzieliła nas odległość. Umykały mi również nieznaczące gesty. Po pierwszych słowach zapadła cisza; potem znowu odezwała się Serduszek:

— Nie, nie mam pojęcia. Nie miał jeszcze czasu mi o tym powiedzieć, czy cokolwiek wyjaśnić.

Wynikało z tego, że również Apacz coś powiedział, czego jednak nie usłyszałem. Prawdopodobnie stałem w niewłaściwym miejscu, do którego nie docierały fale dźwiękowe wychodzące z jego ust. Moja żona zatrzymała się na samym skraju wierzchołka. Tak samo stałem i ja. Młody Orzeł natomiast znajdował się w odległości kilku kroków od niej, na samym środku. To mogłoby oznaczać, że trzeba wejść do domku, a więc w samą gęstwinę zarośli, powstało jednak pytanie, czy gęstwina nie wytłumi fal dźwiękowych. Obawy okazały się płonne. Ledwie bowiem przedarłem się w pobliże domku, usłyszałem znowu moją żonę i to o wiele wyraźniej niż przedtem:

— Nigdy jeszcze nie piekłam mięsa niedźwiedziego. Polegam więc wyłącznie na was. Czy łapy są rzeczywiście najlepsze? Czy są tak delikatne, jak mówią?

Równie wyraźnie zabrzmiał teraz głos młodego Indianina:

— Jak najbardziej. Nie ma rzeczy delikatniejszej.

— A czy przedtem muszą rzeczywiście leżeć w ziemi, aż do pojawienia się robaków?

— W zasadzie tak.

— Tfu!

— Dlaczego? Robaki się usuwa. Nie je się ich.

— Ale przecież one tam były! Niedobrze mi!

— W takim razie nie trzeba tak długo czekać! Przyszła mi ochota krzyknąć do nich donośnym głosem:

— Nie prawda! Trzeba czekać do pojawienia się robaków! Wtedy piecze się łapy, a robaki zostawia sikorkom i słowikom!

Serduszko odezwała się natychmiast ze śmiechem:

— To ten spryciarz, mój mąż! Skradał się za nami! Gdzie on jest?

Przypuszczalnie rozglądała się wokoło. Nie widziałem jej. Dlatego krzyknąłem:

— Jestem tutaj ... tutaj!

— Gdzie? — spytała.

— Na górze! Z Makszem Pappermannem!

— Nie żartuj! Powiedz prawdę!

— No, dobrze. Jestem na najbliższym drzewie!

— Co to za wybryki! Mów wreszcie sensownie!

— Jak sobie życzysz. Niech Młody Orzeł zajrzy do swej lewej kieszeni na piersi.

— Uff, uff! — krzyknął Indianin. — Teraz rozumiem! Teraz już rozumiem!

— Co takiego? — zapytałem.

— Jego tu wcale nie ma! Jego głos dochodzi raz z góry, raz z dołu, raz z lewa, raz z prawa. Jest tam, gdzie go zostawiliśmy, ale odkrył w jaki sposób może posłać do nas swój głos!

— Czy to prawda?

— Z pewnością!

— A więc to jest niespodzianka, o której mówił!

— Prawdopodobnie. Sama pani przed chwilą powiedziała, że zrobi wszystko, żeby zrozumieć, o co tu chodzi. Teraz już może być spokojny. Wie, w czym rzecz!

— On ma rację. Jestem już spokojny i odpoczywam

— wtrąciłem się.

— Gdzie? – zapytała.

— Na mojej wyspie. Stoję przed domkiem.

— Naprawdę? Czy ciągle jeszcze stroisz sobie żarty?

— Nie, mówię zupełnie poważnie. Nauczyłaś mnie już lepszych manier. Naprawdę stoję przed domkiem i słyszę was równie dobrze jak wy mnie. Jest tak, jak przypuszczałem. Wszystko wam wytłumaczę. Wysłałem was na drugą wyspę dla dokonania próby. Próba się udała. Jestem nadzwyczaj zadowolony.

— Jeśli jest tak, jak mówisz, to wygląda to prawie na cud! — krzyknęła Serduszko.

— Tymczasem nie jest to żaden cud, a tylko mądre i wymagające pewnej precyzji wykorzystanie prostego prawa przyrody.

— A więc z miejsca, gdzie jesteś, będziemy mogli podsłuchiwać narady Indian!

— Tak! Od początku do końca! Wygodnie i bezpiecznie!

— Naprawdę wyraźnie mnie słyszysz?

— Tak jakbyś stała obok!

— Ja ciebie również!

— Doskonale! Mimo to spróbujemy jeszcze, jak głośny lub cichy może być dźwięk i w jakim punkcie należy stać, by nie uronić ani słowa!

Również ta próba wypadła bardzo dobrze. Tylko szept był niezrozumiały i brzmiał jak bezsłowne tchnienie. Natomiast krzyk przewalał się niczym grom, tak że można się było nawet przestraszyć. Słowa traciły przy tym nieznacznie na wyrazistości. Wszystko zaś pomiędzy szeptem a krzykiem słychać było tak dobrze, jakby mówiący stał nie na odległym wzgórzu, a tuż obok.

Wreszcie ostrożna i zawsze woląca się ubezpieczyć Serduszko zaproponowała, byśmy zamienili się miejscami.

— Pójdiesz na moją wyspę, a ja pójde na twoją — powiedziała. — Spotkamy się po drodze. Przedtem jednak zostawisz w domku pewną rzecz, żebym się przekonała, że ty naprawdę tam jesteś.

— A więc ciągle jeszcze myślisz, że żartuję?

— Nie, bo tu obok nas i wokoło cię nie ma. Widzielibyśmy cię. Z waszej akustyki i praw natury rozumiem jednak tak niewiele, że uwierzę dopiero własnym oczom, a nie nauce czy twoim dowcipom!

— Co mam w takim razie zostawić? Zegarek, nóż?

— Nie, coś bardziej romantycznego!

— Cóż więc?

— List miłosny!

— Ho, ho! A do kogo?

— Do mnie oczywiście! Innej tu nie ma. Wyrwij kartkę z notesu i napisz, co ci podyktuję!

— Dobrze! Mam już kartkę i ołówek. Słucham! Serduszko podyktowała, co następuje:
“*Moje drogie*

Serduszko! Kocham Cię i będę Ci wierny do śmierci. Na urodziny dostaniesz ode mnie pięćdziesiąt marek na szpital w Radebeul. A że słowa dotrzymam potwierdzani

własnoręcznym podpisem. “

— Podpisz to! — dodała.

— Zrobione! — zameldowałem.

— A więc chodź!

Zostawiłem kartkę w domku i zszedłszy ze wzniesienia podążyłem w kierunku drugiej wyspy. Spotkaliśmy się po drodze. Serduszko chciała rzucić mi triumfalne spojrzenie z powodu owych pięćdziesięciu marek, ale jakoś nie mogła się na nie zdobyć. Podała mi tylko rękę w geście wdzięczności i poszła dalej. Ja zaś przyspieszyłem kroku, aby wcześniej od nich dotrzeć na drugą wyspę. Będąc już na szczycie zachowywałem się bardzo cicho i z uwagą nasłuchiwałem. Po pewnej chwili usłyszałem ich znowu. Rozmawiali ze sobą. Klareczka weszła natychmiast do domku. Powiedziała:

— Jest kartka! A więc to prawda! Przeczytała ją i mówiła dalej:

— Tak, jak podyktowałam! Nie ma już więc wątpliwości...

— A jednak... — przerwałem jej szybko.

— Ach, to ty już jesteś na wzgórzu? — spytała.

— Tak.

— I masz wątpliwości?

— Poważne. Muszę przeprowadzić jeszcze jedną próbę!

— Jaką próbę?

— Masz przy sobie ołówek?

— Tak.

— Weź więc kartkę i napisz po drugiej stronie to, co ci podyktuję.

— Dobrze! Mam kartkę i ołówek, możesz zaczynać!

Dyktowałem: *“Ja, niżej podpisana, przyznaję niniejszym, wobec Urzędu Prokuratorskiego Sądu Królestwa Saksonii w Dreźnie, że w miejscu o nazwie Devil’s Pulpit, położonym w amerykańskim stanie Colorado, wyłudziłam w sposób wyrafinowany 50 marek — słownie: pięćdziesiąt — i w związku z tym...”* “

— Stop, stop! Dosyć! — przerwał mi jej głos. — Moje grzechy wyznać mogę tylko tobie, a nie Urzędowi Prokuratorskiemu, którego kompetencji tutaj nie uznaję. Twoje pięćdziesiąt marek należy od tej chwili do moich chorych i tak też pozostanie! Możesz robić inne próby, ale z tej musisz zrezygnować!

— W takim razie w ogóle rezygnuję już z prób!

— A więc przyjdź i przeproś mnie! Jeśli o mnie chodzi, to jestem już przekonana do twego odkrycia.

— Wracamy więc do obozu. Nie będę do was przychodził. Spotkamy się nad wodą, u wejścia do kotła.

Kiedy tam przyszedłem, jeszcze ich nie było i potrwało jakąś chwilę, zanim się pojawili.

— Musiałeś niestety poczekać — usprawiedliwiała się moja żona. — Chodziło o to, żeby ci było możliwie wygodnie.

— Gdzie?

— W punkcie nasłuchowym, w domku, w którym prawdopodobnie przebywać będziesz całymi godzinami albo i dłużej. Musiałam posprzątać. Naznosiłam też suchych liści. Jest tam teraz na tyle przytulnie, na ile pozwalają na to warunki. Idziemy?

— Tak, ale tylko my dwoje. Młody Orzeł powinien tu zostać i poczekać na Pappermanna, który przyjdzie po niedźwiedzia. Zwierzę jest zbyt ciężkie dla jednego.

Apacz nie miał nic przeciwko temu. Ułożył się na mchu, a my ruszyliśmy pod górę w kierunku obozu.

Na miejscu dowiedzieliśmy się, że Pappermann cały czas nas obserwował. Słyszał również strzał i domyślił się, że coś upolowaliśmy. Co to jednak było za zwierzę, nie wiedział i teraz z tym większą radością i pośpiechem wyruszył na dół z dwoma mułami.

Z obawy przed mającymi nadjechać Siouxami i Utahami, dogłębniejszy koni wspięliśmy się na nasz najwyższy posterunek. Elipsa była stamtąd tak doskonale widoczna, że bez specjalnych trudności wytłumaczyłem żonie, w jaki sposób w jednym jej ognisku tak wyraźnie słychać było to, co się mówi w drugim. Po przywiezieniu niedźwiedzia posterunek na szczycie objął Młody Orzeł, a my powróciliśmy do obozowiska, gdzie Pappermann zapoznał Serduszko szczegółowo z takim sposobem wiązania i zakopywania niedźwiedziej łapy, który gwarantuje, że kruszeją one przed pojawieniem się larw robaków. Szynki oczyściliśmy starannie z wszelkiego tłuszczu, obtoczywszy w popiele zawiązaliśmy przygotowując w ten sposób do zabrania w dalszą podróż. W stosunku do przednich łap stary westman zastosował inną, bardzo pracochłonną procedurę. Najpierw mięso musiało być dobrze rozbite. W tym celu tłukł je dobrą godzinę krótką, mocną pałką, wyciętą z grubej gałęzi. Ja natomiast szukałem w tym czasie przeróżnych ziół, bez których nie może się obyć żaden prawdziwy znawca „Dzikiego Zachodu“ pragnący zasmakować pieczonego na rożnie czy pod rozgrzanymi kamieniami niedźwiedziego mięsa. Każdy miał więc coś do zrobienia, a najwięcej Serduszko, która piekła również chleb na następne dwa lub trzy dni, a także swoje smakowite ciasto jeżynowe, wykorzystując owoce obsypujące obficie krzaki za namiotem. Opróżniona w ten sposób puszka z mąką, którą zabraliśmy z Trinidad, miała być teraz wypełniona roztopionym tłuszczem niedźwiedzim. Tłuszcz ten jest na Zachodzie ważnym artykułem o wielostronnym zastosowaniu, dodającym smaku każdej smażonej, a także, jak twierdzą znawcy, każdej pieczonej potrawie. Indianie doceniali go jeszcze przed pojawieniem się białych. W każdej niemal osadzie była zagroda, w której tuczono niedźwiedzie na rzeź.

Siouxowie nie pojawili się ani tego dnia, ani dnia następnego. Wolny czas wykorzystywaliśmy z Młodym Orłem na uczenie mojej żony słów i wyrażeń z języka Apaczów. Bardzo zależało jej bowiem, by w ten sposób sprawić przyjemność Kolmie Puszi.

Dopiero na trzeci dzień — pod wieczór — pojawili się oczekiwani przez nas goście. Dostrzegliśmy ich z bardzo daleka, kiedy przejeżdżali przez odsłonięty grzbiet górski. Jechali gęsiego, w szyku znanym z czasów, kiedy Zachód nazywano jeszcze „dzikim“. Wtedy jednak z pewnością strzegliby się otwartych, wysoko położonych przestrzeni, na których byli dla wszystkich doskonale widoczni. Ponieważ nie była to — przynajmniej na razie — wyprawa wojenna, nie nosili specjalnych barw wojennych pozwalających na precyzyjne odróżnienie poszczególnych narodów i plemion. Jednak na podstawie pewnych charakterystycznych szczegółów — włóczni, szorów, uzd i ozdób końskich — wywnioskować mogłem, że mamy do czynienia z Utahami, i to bardzo różnymi. Reprezentowani byli — że się posłużę potocznym wyrażeniem — dzicy, półdzicy i „cywilizowani“ Utahowie, członkowie takich podgrup jak Pah, Tehsz, Kapotę, Wihminucz, Elkmountain, Jampa, Pahwang, a nawet Sempisz. Pomiędzy Utahami Kapotę dostrzegłem sylwetkę starego, siwowłosego wodza, którym mógł być chyba tylko Tusahga Saricz¹². Pisałem o nim w opowieści *Old Surehand* i do niej odsyłam moich czytelników. Niestety odległość była zbyt duża, by rozpoznać rysy twarzy. Jak się później okazało, nie myliłem się — to był Tusahga Saricz, który choć niegdyś pod naciskiem pojednał się ze mną, teraz stojąc już nad grobem, znowu znalazł się w gronie

¹² jęz. Utahów: Czarny Pies

naszych wrogów.

Zjechawszy do kotła Utahowie poruszali się z powagą i bojaźnią. Widzieliśmy, że i dla nich to miejsce jest święte. Przywieźli ze sobą nawet drewno na opał, by oszczędzić tutejszą roślinność. Wszyscy bez wyjątku pozostali w części zachodniej, nie wając się wkroczyć na obszar, gdzie upolowaliśmy naszego niedźwiedzia. Co zaś najważniejsze, rozbili się wokół Diabelskiej Ambony bardzo szerokim kręgiem. Żaden z nich nie zbliżał się nawet do wzniesienia, nie mówiąc już o wejściu na szczyt. W każdym razie negocjacje i obrady nie mogły się rozpocząć przed przybyciem Siouxów, gdyż dopiero obecność „różnych narodów“ upoważniała do wejścia na Ambonę. Tych przede wszystkim rozmów chcieliśmy posłuchać, bo z pewnością dotyczyć miały spraw ważkich. Dlatego nie zamierzaliśmy zakradać się na dół zbyt wcześnie i dla samej ciekawości, bez specjalnego pożytku narażając się na to, że zostaniemy odkryci. Pozostaliśmy więc w obozie starając się jak najlepiej wyspać, nie wiedzieliśmy bowiem, kiedy będziemy mieli ku temu następną sposobność.

Wieczorem rozbłysło w dole kilka ognisk, ale tak małych, że nie mogliśmy rozpoznać siedzących przy nich Indian. Było też cicho, wyjątkowo cicho. Z obozu Utahów nie dobiegały nas żadne odgłosy. Spaliśmy dobrze, nic bowiem nie zakłóciło nocnego spokoju. Następnego dnia Siouxowie nie pojawili się. Jednak po upływie kolejnej nocy dostrzeżliśmy, że przybyły wystawione na zewnątrz strażę i o czymś meldują. Domyśliliśmy się, że prawdopodobnie chodzi o następnych przybyszów. Siouxowie, tak jak Utahowie, jechali jeden za drugim — na czele wódz: bardzo stary, bardzo wysoki i bardzo wychudzony. Jego konia, dla bezpieczeństwa, prowadzili dwaj Indianie. Musiało brakować mu już sił. Fakt, że podjął się tak dalekiej podróży, świadczył o jakiejś fanatycznej determinacji.

Utahowie przyjęli wodza z wielkimi honorami. Kiedy go zdejmowano z konia widać było wyraźnie, jak niepospolicie wysoka i chuda to była postać. Gdyby cała scena nie rozgrywała się w jasnych promieniach słońca, można byłoby wziąć go za upiora. Jak się wkrótce okazało, był to Kiktahan Szonka, Czuwający Pies, ten sam, który zaprzysiągł zgubę Apaczom i ich sprzymierzeńcom. Rozpostarto dla niego na ziemi kilka miękkich koców i posadzono niczym dziecko naprzeciw Tusahgi Saricza, wodza Utahów. Za plecami wbito mu w ziemię kilka palików, aby mógł się oprzeć. Długo patrzyłem na niego przez lunetę. W takiej ludzkiej ruinie nienawiść i żądza zemsty potrafi palić się dłużej niż w zdrowym odpornym organizmie.

Nadszedł czas rozpocząć podłuch. Serduszko z radością by mi towarzyszyła, więcej jednak miałbym z jej powodu kłopotu niż pożytku. Pappermann sam zrezygnował z pójścia ze mną:

— Co bym tam robił? — zapytał. — Kto chce podłuchiwać Indian, musi znać ich język o wiele lepiej ode mnie. Jestem Maksz Pappermann i póki mam strzelbę w ręku, nikt nie nazwie mnie ofermą, ale akurat języki i dialekty nie są moją najmocniejszą stroną! Zostaniemy tutaj z panią Burton i zrobimy sobie nowe ciasto jeżynowe! Zgoda?

Serduszko skinęła głową.

W drogę ruszyliśmy więc Młody Orzeł i ja. Wzięliśmy ze sobą strzelby, aby na wszelki wypadek mieć przy sobie dalekosiężną broń. Oczywiście robiliśmy wszystko, aby nie zostawić po sobie śladów i nie dać się zauważyć. Nazajutrz bowiem był dzień, o którym mówili Santerowie i również ich należało się tu spodziewać. Niewykluczone było także, że przyjechali już wcześniej, aby przed pokazaniem się Indianom podłuchać ich i zorientować się w sytuacji. Schodziliśmy więc w dół drogą, którą każdy inny wędrowiec prawdopodobnie by ominął, czego sobie zresztą później gratulowaliśmy. Na dole od razu zniknęliśmy w największej gęstwinie.

Dotarłszy do domku na wzniesieniu, przekonałem się, że moja żona bardzo skutecznie zadbała o to, byśmy mogli wygodnie siedzieć i leżeć. Na razie jednak nie korzystaliśmy z tej

sposobności, znajdując się bowiem w tak niewielkiej odległości od czerwonoskórych chcieliśmy się im bliżej przyjrzeć. W tym celu zabrałem ze sobą lunetę. Naliczyliśmy dokładnie czterdziestu Utahów i czterdziestu Siouxów. Musiała to być z góry ustalona liczba. W skład obu grup wchodzili sami wyżsi i niżsi rangą przywódcy. Zwykli wojownicy, a więc bezpośredni wykonawcy wojennych planów, jeszcze się nie pojawili. Dwóch najwyższych wodzów już wymieniłem. Towarzyszyło im, po obu stronach, po pięciu młodszych wodzów. Pozostali obecni byli ludźmi, w jakiś sposób wyróżniającymi się i cieszącymi zaufaniem przywódców. Uderzyło mnie, że zamiast wypalić na wstępie w wielkim kręgu fajkę pokoju, pozdrawiano się tylko w zwykły sposób i przystąpiono do jedzenia i odpoczynku. Moją uwagę skupiali jednak przede wszystkim Kiktahan Szonka i Tusahga Saricz. Ujrawszy w lunecie twarz wodza Utahów poznałem go natychmiast. Bardzo się postarzał. Jego nadzwyczaj pomarszczone oblicze wyglądało znacznie starzej niż wskazywałyby na to lata.

Cóż zresztą dziwnego? Tego typu ludzie pozbawieni są sił duchowych, co nie pozostaje bez wpływu także na wygląd zewnętrzny. Sioux miał ogromny, wąski nos, przywołujący na myśl nóż myśliwski, długie, pozbawione warg usta, głęboko osadzone oczy i perukę ze skalpów. Niedobrze jest osądzać bliźnich, ale uczciwie przyznać muszę, że już od pierwszego spojrzenia wydał mi się człowiekiem nadzwyczaj odpychającym.

Posiłek trwał dość długo, ponad dwie godziny. Potem obaj wodzowie udali się na Ambonę. Kiktahan Szonka nie był w stanie wejść o własnych siłach po stopniach. Pomagano mu ciągnąc go na lassach i popychając z tyłu. W momencie, kiedy wodzowie stanęli na szczycie dotarły do nas pierwsze dźwięki. Zapalono fajkę pokoju. Wódz Utahów powstał i wydmuchawszy dym na sześć stron przemówił jako pierwszy. Wódz Siouxów nie mógł się podnieść. Powtórzył jednak rytuał wydmuchiwanie dymu i przemawiał siedząc. Potem wydmuchiwali dym i przemawiali młodszy wodzowie. Aby przytoczyć wszystkie dwanaście mów musiałbym pisać cały dzień. Tymczasem stanowiły one dopiero wprowadzenie do właściwych rozmów. Te ostatnie miały potrwać całe trzy dni, tyle czasu mieliśmy więc spędzić w domku, aby niczego nie uronić. Na samą myśl o tym przeszły mnie ciarki! Szczęśliwie pewien drobiazg spowodował, że owe długie trzy dni skrócone zostały do trzech godzin; drobiazgiem zaś tym byłem ja we własnej osobie!

Mowy wstępne były jednak — przyznaję — bardzo interesujące. Wszystkie zaczynały się od stwierdzenia, że Apacze i sprzymierzone z nimi narody są najnikczemniejszymi z ludzi, nikczemność zaś ta sięgnęła zenitu w osobach Winnetou i jego druha Old Shatterhanda. I temu właśnie Winnetou ma być wystawiony pomnik! Na górze nazwanej jego imieniem! Pomnik z najczystszej złota, które zbiorą wspólnie wszystkie plemiona indiańskie! Ze wszystkich schowków, żył i pokładów od setek lat strzeżonych pilnie przed bladymi twarzami! Dla tego jednego godnego pogardy człowieka, którego nie godzi się nazwać inaczej jak psem, kojotem, piżmakiem! A kto ma być wykonawcą tego pomnika? Rzeźbiarz do spółki z malarzem! Young Surehand i Young Apanaczka, których ojcowie są zdrajcami czerwonej rasy i niegodnymi potomkami bladych twarzy. Gotowy jest już obraz na płótnie i gliniana wersja pomnika. Zostaną wystawione na Górze Winnetou, dokąd zaproszeni zostali najznakomitsi mężowie i niewiasty wszystkich czerwonych ludów. Wezwano nawet tego parszywego psa Old Shatterhanda.

Tej szaleńczej pyszałkowatości Apaczów trzeba położyć kres! Muszą się dowiedzieć, że złoty pomnik należy się wojownikowi Siouxów albo Utahów, ale nigdy ujadającemu kundlowi z Rio Pecos! Na Diabelskiej Ambonie spotkaliśmy się po to, by ustalić czas i sposób działania. I to, co tu zostanie postanowione, należy wprowadzić w czyn, choćby zginąć miał przy tym cały indiański ród!

Tu nastąpiło zakłócenie spowodowane pojawieniem się postaci widocznej nie tylko dla Indian zgromadzonych u stóp Ambony, ale również dla nas obydwu. Człowiek ten przeszedł

przez strumyk i okazał się być Zebulonem Entersem. Przy butach miał ostrogi, ale szedł pieszo. W ręku trzymał strzelbę. Pod względem uzbrojenia i wyposażenia wyglądał dokładnie tak, jak wyglądali westmani przed trzydziestu laty. Siouxowie znali go i nie wzbraniali mu przejścia. Zaprowadzili go do Ambony. Wszedł na górę i wtedy go znowu zobaczyliśmy. Na nowo też rozległy się głosy.

— Kim jest ta blada twarz? — zapytał Tusahga Saricz.

— Znanym mi człowiekiem — odparł Kiktahan Szonka. — Wezwałem go na Diabelską Ambonę. Miał przybyć dopiero jutro, dlaczego przybywa już dzisiaj?

To pytanie skierowane było do Zebulona. Nie miało nawet pozorów uprzejmości. Czerwonoskóry pogardliwie traktuje białych, których wykorzystuje jako szpiegów. Zebulon odpowiedział:

— Musiałem się śpieszyć, aby was ostrzec.

— Przed kim?

— Przed najgorszym z waszych wrogów, przed Old Shatterhandem.

— Uff, uff, uff, uff! — rozległo się wkoło i nawet sam Kiktahan Szonka wykrzyknął:

— Uff, uff! Old Shatterhand! Ostrzec przed nim! Dlaczego!

— Przybywa tutaj.

— Uff, uff! Skąd o tym wiesz?

— Sam mi to powiedział.

— Widziałeś go i rozmawiałeś z nim?

— Tak.

— Gdzie?

— Przy spadającej wodzie Niagary.

— Uff! Wiemy, że ma przyjechać. Ale że już przyjechał, tego nie wiedzieliśmy. A więc będzie tu na Diabelskiej Ambonie?

— Tak.

— Czego chce?

— Podслуchać was.

— Uff, uff! To brzmi tak, jakby znał nasze zamiary!

— Zna je.

— Od kogo?

— Tego nie powiedział. Odjechał pierwszy, a my dopiero później. W Trinidad natrafiliśmy na jego ślad! Ale tam już go także nie było — prawdopodobnie pojechał prosto tutaj.

— Uff, uff, uff, uff! — rozległo się znowu dookoła. Kiktahan Szonka krzyknął zaś gniewnie:

— Czy ten pies nie jest już na tyle stary, by stracić ostrość wzroku, słuchu i powonienia? Czy nie mógł zostać w swoim śmierdzącym wigwamie po drugiej stronie wielkiej wody?

— Razem ze swoją żoną! — dorzucił Zebulon.

— Mówisz: ze swoją squaw? Czy przyjechał z nią?

— Tak.

— Czy to prawda?

— Oczywiście! Przecież mówię!

— Był z nią nad wodospadem?

— Tak. Również w Trinidad. Powiedziano nam o tym, kiedy pytaliśmy o niego.

— Uff, uff! To dobry znak, to dla nas bardzo dobry znak! Jego rozum jest już słaby! To starzec, bezsilny starzec! Ten, kto ciągnie swoją squaw przez wielką wodę, na Dziki Zachód, jest szalony i nie może już nikomu zaszkodzić. Niech przybywa. Nie obawiam się go. Stanie przy palu męczarni, a jego żonę wezmę do swego wigwamu!

Tu wtrącił się Tusahga Saricz, najstarszy wódz Utahów:

— Niech mój brat nie mówi tak pochopnie! Old Shatterhand zna swoją squaw ty jednak jej nie znasz. Zabierając ją ze sobą musiał mieć pewność, że może to uczynić bez szkody dla siebie. Na pewno się postarzał, ale osiągnął tylko wiek, w którym człowiek staje się mądry, roztropny i podwójnie ostrożny, nie ten zaś, który czyni go powtórnie dzieckiem. Być może powinniśmy się go teraz bardziej obawiać niż wtedy, kiedy był trzydzieści lat młodszy.

— Na dodatek nie jest sam! — zawtórował mu Zebulon.

— Kto jeszcze jest z nim?

— Stary, doświadczony westman — Max Pappermann.

— Uff! Słyszałem o kimś noszącym to nazwisko, że połowę twarzy ma niebieską.

— To ten sam człowiek!

— Tak, to on! Uratował życie mojemu największemu plemiennemu przeciwnikowi — Wakonowi. Niech zły duch go zniszczy! Ten człowiek jest mężny i sprytny zarazem. Jeśli towarzyszy Old Shatterhandowi, jest się czego obawiać!

— Jest z nimi jeszcze ktoś — mówił dalej Zebulon — młody Apacz Mescalero, który nazywa się Młody Orzeł.

— Czy ten Młody Orzeł, który uczył się latać u białych twarzy?

— Tego nie wiem. W Trinidad słyszałem tylko, że był cztery lata u białych i wraca właśnie do swego plemienia.

— A więc to on! Uczeń Wakona! Śle do niego wiele listów i od niego wiele listów otrzymuje. Był jednym z pierwszych spośród tych, którzy nazywają siebie “Młodoindianami” i nie mówią o niczym innym jak tylko o ludzkości, kształceniu się, pojednaniu i miłości. Był też jednym z pierwszych członków klanu Winnetou. Podobno jest krewnym Winnetou. Jeśli towarzyszy teraz Old Shatterhandowi, to musimy zrobić wszystko, by wszystkich czworo dostać w swoje ręce. Gdzie jest twój koń?

— Brat z nim został po drugiej stronie — odpowiedział Zebulon. — Został z końmi, a ja poszedłem pieszo szukając śladów i badając okolicę.

— Jaką drogą przyjechaliście z Trinidad?

— Koło jeziora Kanubi.

— Czy natrafiliście na ślady Old Shatterhanda?

— Nie. Ale widzieliśmy ślady wielu kobiet, które obozowały nad jeziorem.

— To zwiedzione niewiasty naszego plemienia. Nazywają siebie “Młodoindiankami”. Jadą na Górę Winnetou, aby zobaczyć pomnik i oddać swoją część złota. Nie mogliśmy im przeszkodzić, ale Apacze odpowiedzą nam za to. Czy Old Shatterhand mówił coś o Górze Winnetou?

— Nie.

— Ani o drodze, którą chciał się tam udać?

— Nie. Wiemy tylko, że zamierzał przybyć na Diabelską Ambonę, by zobaczyć wodza Siouxów Kiktahana Szonkę.

— A więc jest ciągle tym samym biegającym i wężącym wszędzie psem! Teraz jednak nie uniknie pała męczarni! Przyjechać może tylko od wschodu — tak jak ty?

— Tak.

— Natychmiast rozkażę przeszukać całą okolicę. Ty zaś idź do brata i przyprowadź go tutaj! Obrady zostają przerwane aż do czasu, kiedy będziemy mieć pewność, że Old Shatterhanda nie ma w pobliżu.

Zebulon oddalił się. Poszedł tą samą drogą, którą przyszedł. Była to również nasza droga. Jak dobrze więc, że gwoili ostrożności, staraliśmy się nie pozostawić za sobą żadnych śladów. Ambonę opuścił również Tusahga Saricz oraz wszyscy młodszy wodzowie, którzy rozpoczęli poszukiwania. Na szczycie pozostał jedynie Kiktahan Szonka. Od tej chwili szukało nas czterdziestu Utahów i czterdziestu Siouxów. To nie była błahostka. Wprawdzie ani żony, ani Pappermanna nie posądzałem o to, że mogą być na tyle nieostrożni, by opuścić kryjówkę, jednak byle przypadek mógł spowodować odkrycie ścieżki prowadzącej ze stawu dalej w górę. Również my sami nie mogliśmy być całkowicie pewni własnego bezpieczeństwa. Wystarczyłoby, by choć jeden spośród osiemdziesięciu Indian nie bał się “złego ducha” i wszedł do wschodniej części elipsy. Natychmiast spostrzegłby nasze ślady. Musiałem uzgodnić z moim towarzyszem, jak się zachować w razie takiej ewentualności. Dotychczas rozmawialiśmy z nim wyłącznie po angielsku, a to z tego prostego powodu, że żona nie rozumiała żadnego indiańskiego języka, Pappermann zaś umiał co najwyżej wysłowić się w na poły angielskim na poły indiańskim żargonie. Teraz jednak mogłem Młodemu Orłowi sprawić przyjemność i przemówić w jego ojczystym języku.

— Czy mój brat zrozumiał wszystko, co zostało powiedziane? — zapytałem.

— Słyszałem wszystko — odparł.

— Czy wie on, że wypatruje nas teraz więcej niż sto i połowa stu oczu?

— Wiem.

— Czy myślisz, że nas znajdą?

— Nie.

— Ja również tak nie myślę. Jednak roztropny wojownik powinien być na wszystko przygotowany. Należy rozważyć dwie sytuacje. Czy mój młodszy brat wie, o czym mówię?

— Mogą nas znaleźć tutaj i mogą odkryć nasz obóz na górze.

— Słusznie! Musimy więc wiedzieć, jak się zachować w obydwu sytuacjach. Jeśliby nas tutaj znaleźli, niewybaczalnym błędem byłoby uciekać w górę, do mojej squaw i Pappermanna, i dać się oblegać przeciwnikowi. Mój młodszy brat musiałby raczej pobiec na górę i wyprowadzić ich stamtąd. Ja trzymałbym tymczasem czerwonoskórych w szachu przy pomocy mojego sztucera. Wyjście z kotła jest wąskie. Żaden z nich nie uniknąłby mojej kuli.

— A jeśli odnajdą nie nas, a obóz?

— Również wówczas damy sobie radę. Pappermann trzyma przecież straż. Z pewnością widział, że czerwonoskórzy rozbiegli się i rozpoczęli poszukiwania. Ukryje się więc ze strzelbą przy stawie. Tam również przejście jest wąskie. Jeden człowiek może bronić go przed całą armią. Tymczasem my zaatakujemy Indian od tyłu. Nie ma więc powodu do obaw! Poczekajmy teraz i zobaczymy, co się będzie działo!

Upłynęło więcej niż godzina, zanim pierwszy Indianin wrócił z poszukiwań. Po nim pojawili się następni. Przeczesywanie okolicy nie przyniosło żadnych rezultatów. Przedsięwzięto jednak większe środki ostrożności. Wystawiono strażę. Choć pojawiły się za

późno, stały niestety tam, którędy mieliśmy przejść wychodząc z kotła.

Później przybyli konno bracia Enters. Znowu podjęto obrady. Wodzowie weszli na Ambonę. Przemawiali jednak cicho i ich głosy dochodziły do nas jak przytłumiony pomruk. Czynili tak ze względu na obu białych, którzy byli im potrzebni, ale których nie chcieli dopuścić do swoich spraw. Porozumiawszy się co do wyznaczonego braciom zadania, wodzowie wezwali ich na Ambonę i Kiktahan Szonka przemówił do nich swoim opisywanym już, dalekim od uprzejmości tonem:

— Pamiętacie, o czym z wami rozmawialiśmy?

— Oczywiście — odparł Zebulon, który zdawał się tu mieć pierwsze słowo.

— Czy jesteście nadal gotowi dotrzymać warunków, które uzgodniliśmy?

— Tak.

— W takim razie otrzymujecie jeszcze jedno zadanie, a mianowicie doprowadzić do tego, by Old Shatterhand i jego squaw wpadli w nasze ręce! Czy zgadzacie się?

— Tylko pod warunkiem, że nam się to opłaci.

— Opłaci się!

— Ile nam za nich zapłacicie?

— Bardzo wiele! Nie czas jednak jeszcze rozmawiać o cenie. Jeśli to my go schwytamy, nie otrzymacie oczywiście nic. Pozostaniemy tu jeszcze trzy dni i będziemy czuwać. Jeśli przyjdzie, z pewnością nam nie umknie. Złapiemy go, ale wy wtedy nic nie dostaniecie. Ponieważ jednak z Trinidad wyjechał przed wami i jeszcze go tu nie ma, powzięliśmy przekonanie, że zmienił plany i w ogóle nie pojechał do Diabelskiej Ambony. Prawdopodobnie natrafił nad jeziorem Kanubi na nasze squaw otumanione mrzonkami o nim i o Winnetou, a że przyjemność mu sprawia odbieranie hołdów od kobiet pojechał dalej z nimi.

— To możliwe, całkiem możliwe — powiedział szybko Zebulon.

— Widzieliśmy też kilka męskich śladów.

— Wystarczy! To mógł być tylko on. Teraz więc do was należy zdobyć lub stracić nagrodę za jego schwytanie. Na szczęście znamy następny etap na szlaku kobiet. To Tawuntsits-pajawh¹³. Czy znacie ją?

— Nie.

— Mój sławny brat Tusahga Saricz zna to miejsce bardzo dokładnie i wytłumaczy wam, jak tam jechać.

Ja również nigdy nie słyszałem o Tawuntsits-pajawh, uważałem więc, by nie uronić ani słowa. Wódz był w swoich objaśnieniach na tyle elokwentny, że w pewnej chwili ze zdziwieniem i radością stwierdziłem, iż owa Lisia Góra to nic innego jak Nugget Tsil, który był również naszym celem. Entersowie zapisali sobie coś w swoich notesach, po czym głos zabrał ponownie Kiktahan Szonka:

— Jedziecie więc tam, by odnaleźć Old Shatterhanda i już nie wypuścić go z rąk. Czy czujecie się na siłach tego dokonać?

— Oczywiście! Jak jednak go wam dostarczymy? Kiedy i gdzie? I czy pojedzie z nami dobrowolnie?

— Pojedzie. Czy znacie miejsce zwane Wikonte-mini¹⁴?

— Nie.

¹³ jęz. Utahów: Lisia Góra.

¹⁴ jęz. Siouxów: Woda Śmierci.

— Pojedziemy tam stąd, aby połączyć się przeciw Apaczom z Komańczami i Kiowami. Wy powiecie mu jednak co innego, że słyszeliście jakoby tam mieli się zebrać Kiowowie i Komańcze. Jego niepohamowana ciekawość każe mu tam jechać, by podsłuchiwać z ukrycia. Wtedy go schwytamy.

— A nasza zapłata?

— O tym porozmawiamy, kiedy przyjdziecie nas powiadomić, że on jest w pobliżu.

— A jeśli nam ona nie będzie odpowiadała?

— Wtedy go ostrzeżecie i nam umknie.

— Dlaczego teraz nie chcecie nic powiedzieć?

— Bo nie wiemy jeszcze do końca, czym będziemy wam płacić: zwierzętami, nugetami, towarem, bronią czy łupami.

— Ufamy wam.

— Możecie więc odejść. Radzimy wam nie marnować ani chwili. Im szybciej i sumienniej zabierzecie się do tej sprawy, tym pewniejszy wasz sukces i tym większa zapłata.

Bracia zeszli z Ambony i skierowali się do swych koni. Hariman nie powiedział do tej pory ani słowa. Wodzowie czekali w milczeniu, aż odjadą. Wtedy wódz Utahów wyrzucił z siebie:

— Szubrawcy!

— I łajdaki! — dodał Kiktahan Szonka. — Nie warto ich nawet śledzić! Czy mój brat sądzi, że dostaną za zdradę więcej niż warte jest żdźbło trawy lub wystrzępione ptasie pióro?

— A ten cały interes, który mają zrobić z wami i z nami?

— zapytał Tusahga Saricz.

— Nie dostaną od nas nawet jednego końskiego włosa

— zaśmiał się stary Sioux. — Dadzą nam, co ustalimy, ale nic nie dostaną. Czy mój brat ma coś przeciwko temu?

— Nie. Mój brat jest bardzo mądry.

— Pshaw! Nie potrzeba zbyt wielkiej mądrości, aby oszukać bladą twarz!

— Zdraycy będą jednak żądać, byśmy dotrzyмали obietnicy i uiścili zapłatę.

— Nie będą. Nieżywi nie stawiają żądań. Czy mój brat ma coś przeciwko temu?

— Nie.

— Inni również nie?

— Nie, nie! — zabrzmiało w krąg. Nie mogłem się już powstrzymać. Donośnym głosem wykrzyknąłem:

— Siczepi — szubrawcy!

Nastąpiła głęboka cisza. Potem usłyszałem:

— Uff, uff — uff, uff! Kto to był? Co to było? Skąd ten głos?

Patrząc w lunetę widziałem, jak ich głowy obracają się we wszystkich kierunkach.

— Sziksizcze-lahgszta — łajdaki! — powiedziałem głośno. Znowu chwila głuchej ciszy. Widziałem jednak, że jeden

za drugim wstają z miejsc. Podniósł się nawet nieprawdopodobnie długi Kiktahan Szonka.

— Wy również nie jesteście godni, by was śledzić! — mówiłem dalej.

Znowu głucha cisza. Nagle usłyszeliśmy przyciszony, nerwowy głos wielkiego Siouxa:

— Uff, uff! To nie człowiek!

— Tak, to nie człowiek! — potwierdził Tusahga Saricz.

— Czy mój czerwony brat wie, co zapisano o Diabelskiej Ambonie w starym wampumie?

— Wiem.

— Że dobry duch słyszy wszystko, co mówi zły duch?

— Tak.

— I że zły duch zostaje za to przez niego ukarany.

— Tak. I to bardzo surowo! Przeważnie śmiercią!

— Czy przemówił do nas dobry duch? Co mamy robić? Odjeżdżam stąd!

— Ja również.

— Precz stąd! — krzyknąłem. — Precz, precz!

Skutek był natychmiastowy. Indianie biegli już na łeb na szyję w dół. Na szczycie pozostał tylko niedołężny Kiktahan Szonka, który zresztą bał się najbardziej.

— Pomóżcie mi, pomóżcie — skowyczał. — Weźcie mnie na dół.

Wodzom jednak tak się śpieszyło, że żaden z nich nie wrócił, by się nim zająć. Dopiero później przyszli inni i zaczęli znosić wiekowego przywódcę na dół. Peruka spadła mu na ziemię, ale on na to nie zważał. Przyniesiono mu ją, kiedy już siedział na koniu. Nasadził ją z powrotem na głowę i wydał rozkaz natychmiastowego opuszczenia Diabelskiej Ambony, która odtąd cieszyć się miała dziesięć razy większym poważaniem i sławą. Indianie myśleli teraz tylko o tym, jak się stąd wydostać. Nikomu nie było już w głowie czekać na Old Shatterhanda. Posterunki zostały zdjęte i wszyscy jeden za drugim tak jak przyjechali, opuścili teraz kocioł.

Na ustach patrzącego za nimi Młodego Orła błąkał się wesoły uśmiech, ja również przypuszczalnie nie miałem najsmutniejszej miny.

— To zwycięstwo sprawiło mi większą radość niż gdybyśmy stoczyli zwycięski bój, w którym wszyscy by wyginęli -powiedział Młody Orzeł. -Było to zwycięstwo nauki, a nie zakrwawionego tomahawku.

— Czy znasz tę dziedzinę nauki? — zapytałem.

— Tak. Musiałem ją poznać. Akustyka wchodzi w skład nauki o powietrzu. Zamieszkałem wśród białych twarzy, aby studiować aerostatykę i aeronautykę. Wiem, że już starożytni Asyryjczycy, Babilończycy i Egipcjanie znali zasady przenoszenia się dźwięków na duże odległości. Przepelnia mnie radość i duma, kiedy widzę teraz, że nasi czerwoni przodkowie nie pozostawiali pod tym względem w tyle za innymi ludami. Jest naszym obowiązkiem przywrócić budzącemu się indiańskiemu ludowi wszystko, co na przestrzeni wieków zostało utracone z jego dziedzictwa. Prosimy wielkiego, dobrego Manitou o siłę i męstwo potrzebne do czynienia tego wielkiego i wspaniałego dzieła!

Młody Orzeł przemówił w ten sposób po raz pierwszy.

Jego słowa nie zaskoczyły mnie. Był zrównoważonym, utalentowanym młodzieńcem. Miał też w sobie dość energii, by aspirować do rzeczy wielkich. Jego piękne, poważne rysy rozświetlał ciepły, jakby słoneczny blask, który niegdyś tak często nadawał twarzy Winnetou niezwykle, uduchowiony wyraz. W tym momencie Młody Orzeł wydał mi się nadzwyczaj podobny do mojego niezapomnianego przyjaciela; wyglądał nieomal jak jego młodszy brat!

Kiedy ostatni z Indian zniknął nam z oczu, zeszliśmy z naszego posterunku. Nie

ruszyliśmy jednak od razu w kierunku obozu, lecz udaliśmy się do zachodniej części kotła, by sprawdzić, czy wśród śladów pozostawionych przez przybyszów, nie znajdziemy czegoś dla nas użytecznego. Niczego jednak nie znaleźliśmy. Dopiero kiedy na zakończenie wszedłem jeszcze raz na Ambonę, mój wzrok przykuł przedmiot, którego przedtem na pewno tu nie było. Leżał on w zacienionym kącie. Podniosłem go z ziemi i obejrzałem. Były to dwie małe, miłe w dotyku psie łapki, nie same tylko stopy, ale całe łapki, równo obcięte, o końcach zszytych ze sobą bardzo starannie jelenim ścięgnem w taki sposób, że całość tworzyła jakby podwójną łapkę o stopkach zwróconych w przeciwnych kierunkach. Pokazałem to Młodemu Orłowi.

— Amulet! — krzyknął.

— Najprawdopodobniej! Ale czyj? — zapytałem.

— Kiktahana Szonki!

— Oby! Ale jak mógł go zgubić? Amulety nosi się w zasnurowanych woreczkach! Poczekaj... To łapy psa, nie lisa czy wilka. Wódz Siouxów ma na imię Czuwający Pies. To jednak chyba jego amulet! Jak to się stało? Przyjrzyj się temu mój młody, czerwony bracie!

Podąłem mu amulet. Obejrzał go bardzo dokładnie i oddając powiedział:

— Ten amulet nie był noszony w woreczku, lecz przyszyty do pasa. Tutaj widać szwy. Urwał się, kiedy ciągnięto wodza na lassie, albo kiedy niesiono go na dół. To niezwykle ważne znalezisko!

— Ważne, ale i niebezpieczne. Jeśli Kiktahan Szonka szybko spostrzeże zgubę, na pewno tu wróci, by jej szukać. Jeśli zorientuje się później, to wprawdzie nie będzie dokładnie wiedział gdzie zgubił amulet, ale i tak niebezpiecznie będzie dłużej się tu zatrzymywać. Chodźmy!

Starannie schowałem amulet, po czym ruszyliśmy do obozu. Byliśmy z niego tak dobrze obserwowani, że Pappermann wiedząc, że nadchodzimy, wyjechał nam naprzeciw. Przyprowadził konie, tak że nie musieliśmy brodzić w stawie.

— Ale szybko poszło! — powiedział. — Czy oni wrócą?

— Miejmy nadzieję, że nie — odparłem.

— Nadzwyczajne! Narady trwają zwykle całymi dniami! Dlaczego już pojechali? I co usłyszeliście?

— Poczekajmy z opowiadaniem na moją żonę! Ona będzie zadawała te same pytania.

Miałem oczywiście rację. Przywitała nas z wyrazem takiego napięcia na twarzy, że nie chcąc jej skazywać na choćby jeszcze minutę oczekiwania, krzyknąłem od razu:

— Wszystko dobrze!

— Naprawdę? — spytała. — Zsiądź więc, siadaj i opowiedz wszystko od początku.

Mówiąc to sama usiadła i uderzyła ręką w miejsce obok siebie, które miałem jak najszybciej zająć. Posłuchałem jej. Kazałem tylko Młodemu Orłowi wejść na górę i pilnować, czy nie wraca Kiktahan Szonka. Opowiadałem jak najzwięźlej. Kiedy skończyłem, Serduszko skoczyła energicznie na równe nogi i zawołała głosem pełnym zdecydowania:

— A więc pakujmy się! Musimy natychmiast stąd odjechać!

Jednocześnie chwyciła już jedną ręką garnek, a drugą młynek do kawy. Ja zaś, siedząc ciągle, zapytałem:

— A dokąd?

— W ślad za Entersami!

— Pojedziesz sama?

— Jak to — sama?

— Bo jeśli chcesz jechać, musisz jechać sama! Ja zostaję tutaj.

— A co tu mamy jeszcze do zrobienia?

— Nic.

— I chcesz tu zostać? — spytała zdumiona. Potem zwróciła się do Pappermanna: — Nic tu nie ma do roboty i zostaje! Czy pan coś z tego rozumie?

— Na pewno nie wszystko — odparł zapytany. — Ale jeśli chce zostać, to pewnie ma swoje powody, na co my z kolei nic nie poradzimy.

— Powody? Hm, owszem! Zawsze ma jakieś powody! Ja w każdym razie jeszcze się nie spotkałam z tym, żeby nie miał jakichś powodów.

— Czy są one przekonujące? — spytał stary.

— Hm, prawie zawsze!

— W takim razie niech pani siada, na Boga i okaże mężowi trochę zaufania. On wie, czego chce. Na razie zostajemy tutaj.

— Jak długo?

— Prawdopodobnie do rana.

— Czy tak? — zapytała mnie.

— Tak — skinąłem głową.

— A więc pozwolisz działać Entersom?

— Dziś tak, ale nie dłużej. Wiem, dokąd jadą! A może wolisz, byśmy ich jeszcze dzisiaj dogonili i wlekli się z nimi bez sensu? Potrzebujemy ich — to prawda. Pod pewnymi względami są nam niezbędni, mimo to nie uważam za konieczne trzymać się ich w dzień i w nocy. Dla mnie przynajmniej byłoby to uciążliwe.

— Dla mnie również. Masz rację.

— Doskonale! Ruszamy więc nazajutrz! Dogonimy ich bez przeszkód w dowolnym momencie.

Serduszko przyznała mi rację. Nie było powodu do pośpiechu. Mielśmy czas spokojnie przygotować się do podróży. Indianie nie wrócili. Czuwający Pies nie spostrzegł swej straty. Jej ogrom może docenić tylko ten, kto zna źródła i znaczenie indiańskiej “medycyny”. Czytelnik dowie się niebawem, jak na Kikahana Szonkę podziałała utrata dwóch psich łapek.

Drugi testament

Opuściwszy okolice Diabelskiej Ambony udaliśmy się w kierunku Mugworthills. Jak pisałem w III tomie *Winnetou*, Mugworthills jest tym samym pasmem górskim, który Winnetou wraz ze swym ojcem nazwali Nugget Tsil. Tam też zmierzali Entersowie. Droga, którą jechali była mi znana, jako że słyszałem jej opis z ust Tusahgi Saricza. Znałem jednak również krótszą drogę i tę drogę wybraliśmy. A ponieważ znacznie lepiej od nich jeździliśmy konno, wyprzedziliśmy ich, choć spod Diabelskiej Ambony wyruszyli znacznie wcześniej niż my. Nie wchodził w ogóle w grę, jak początkowo niektórzy sądzili, żaden wyczerpujący pościg; mogliśmy poczekać na braci w dowolnym miejscu na trasie. Najdogodniejsze warunki do takiego spotkania tworzył Canadian, a konkretnie miejsce, w którym wówczas — po śmierci Winnetou — natknąłem się na Gatesa, Claya i Summery. Była tu woda do picia, pokarm dla koni i rozległy teren pokryty gęstymi zaroślami, w których można się było ukrywać przed wzrokiem każdej przejeżdżającej tędy osoby aż do wybranego przez siebie momentu. Pośrodku gęstwiny znajdował się mały prześwit wypalony niegdyś przez obozowy ogień. Roślinność w tym miejscu nie zdołała się odnowić i tutaj też stanąć miał teraz nasz namiot.

Podczas gdy my rozbijaliśmy namiot, żona przygotowywała południowy posiłek. Mielśmy jeszcze sporo niedźwiedziego mięsa, a po drodze ustrzeliliśmy ponadto dzikiego indyka i kilka psów preriowych. Nie musieliśmy więc dopiero teraz rozglądać się za pożywieniem. Po posiłku odpoczywaliśmy, choć prawdę mówiąc żadne z nas nie odczuwało wielkiego zmęczenia. Znajdowaliśmy się już jednak na terytorium Komanczów i Kiowów, należało więc uczynić wszystko, by nie zdradzić swojej obecności.

Zbliżał się już wieczór, kiedy od strony, z której spodziewaliśmy się Entersów ukazało się dwóch jeźdźców. Jechali powoli na wyraźnie zmęczonych koniach. Kiedy wjeżdżać już mieli między zarośla rozpoznaliśmy braci. Uzbrojeni byli na dawniejszą modłę, kiedy Zachód nie należał do miejsc bezpiecznych — w noże, rewolwery i strzelby. Nadjeżdżając z innego kierunku nie widzieli naszych śladów. Zsiadli z koni i podprowadzili je do wody, a sami zaczęli zbierać suche gałęzie na ognisko. Rozpalili je na zewnątrz zarośli, tak że po zmroku byłoby z daleka widoczne. Nasze ognisko dawno już wygasło. Ponieważ ich ogień zdradzić mógł i nas, podniosłem się z ziemi, by się im pokazać i ostrzec przed lekkomyślnością. Pappermann zapytał mnie:

— Czy mogę się przyłączyć? Mam ochotę zobaczyć ich miny, kiedy pana rozpoznają!

— Chodźmy więc!

Kiedy się do nich zbliżyliśmy, ja zostałem w krzakach, a na otwartą przestrzeń wyszedł sam Pappermann. Podeszedł do nich z tyłu i zawołał:

— Dobry wieczór, panowie! Jeśli wolno spytać: czy wolicie od razu być oskalpowani, czy też byłoby bardziej po waszej myśli umrzeć przy palu męczarni dopiero jutro albo pojutrze?

Zerwali się na równe nogi.

— Oskalpowani? Przez kogo? Dlaczego? — zapytał Zebulon.

— A z jakiego powodu mielibyśmy umrzeć przy palu męczarni? — dodał Hariman.

— Komańcze i Kiowowie utrzymują ciągle, że ta okolica należy do nich — odparł stary westman. — Palicie ogień w taki sposób, jakby wam zależało, żeby ściągnąć tu tych łajdaków! Dlaczego nie skryliście się w zaroślach?

— Dlatego, że nie obawiamy się ani Komanczów, ani Kiowów — oświadczył Zebulon.

— Jesteście ich przyjaciółmi?

— Jesteśmy przyjaciółmi każdego, kogo spotkamy — tak samo czerwonych, jak i białych!

— Well! A więc i moimi! Lubię wiedzieć, jak nazywają się moi przyjaciele. Czy mogę spytać, jak godność?

— Nazywamy się Enters. Ja — Zebulon Enters, a on Hariman Enters.

— Wielkie dzięki! A teraz dalej: skąd i dokąd?

— Przybywamy z Kansas City. Zboczyliśmy do Trinidad, a teraz jedziemy do Rio Grandę del Norte. A kim pan jest?

— Nazywam się Pappermann i jadę z Trinidad. A dokąd — tego sam jeszcze dobrze nie wiem.

Bracia drgnęli zaskoczeni, po czym Zebulon szybko zapytał:

— Pappermann? Może Max Pappermann?

— Owszem. Tak się nazywałem i do dziś niestety nazywam.

— Cóż za zbieg okoliczności! Gościliśmy w pańskim hotelu! Nawet zrobiliśmy wcześniej rezerwację.

— Nic o tym nie wiem. Ten hotel nie należy już do mnie.

— Mówiono mi o tym. Ale aż do odjazdu mieszkał pan u nowego właściciela. Wyjątkowo milkliwy i nieuprzejmy typ! Odmówił nam informacji. Musieliśmy pytać innych, a i tak nie udało nam się wiele dowiedzieć. Może pan będzie mógł nam pomóc?

— O co chodzi?

— Chodzi o państwa Burton, którzy mieli przyjechać do Trinidad i czekać na nas w pana hotelu. Dowiedzieliśmy się, że wprawdzie przyjechali, ale już następnego dnia udali się w dalszą drogę. Dokąd — tego nikt nie potrafił powiedzieć. Może pan coś wie na ten temat?

— Hm... Czy wiem? Trzeba przyznać, że pytacie właściwą osobę.

— Doprawdy! To nas cieszy! Niech więc nam pan szybko powie czy...

Tu Pappermann mu przerwał:

— Myślicie panowie, że to ja jestem tą właściwą osobą? Tego nie powiedziałem.

— Jeśli nie pan, to kto?

— Ten oto dżentelmen!

Wskazał na mnie w momencie, gdy wychodziłem zza krzaków, aby zakończyć tę część wstępną powodowany obawą, że Pappermann w swej swadzie powie coś, czego bracia nie powinni się dowiedzieć. Moje pojawienie się było dla braci ogromną, aczkolwiek niekoniecznie niemiłą niespodzianką. Mój widok szczerze ich ucieszył bez względu na to, jak dyskusyjne były powody tej radości. Zażądałem, by natychmiast wygasili ognisko i wraz z końmi przeszli do naszego obozowiska. Przystali na to. Z moją żoną przywitali się z ogromną uprzejmością, którą jednak tylko w przypadku Harimana mogłem wziąć za dobrą monetę. Zebulon starał się wprawdzie usilnie robić dobre wrażenie, ale spoglądał jakoś fałszywie, a w

momentach, kiedy nie czuł się obserwowany — co nie mogło umknąć mnie i mojej żonie — z jego oczu wyczytał podstęp i coś na kształt czającej się groźby. Szczególnie Serduszko ma w tym względzie doskonale wycucie. Zapytany o przyczynę naszego przedwczesnego wyjazdu z Trinidad odpowiedziałem:

— Miałem powody zrezygnować z waszego towarzystwa. Pisałem o tym zresztą. Czy dostarczono wam list?

— Tak. Właściciel pokazał nam go natychmiast, kiedy dowiedział się, jak się nazywamy. Nazwał pan w nim Cornera i Howe'a naszymi przyjaciółmi. Odcinamy się od nich zdecydowanie. Jako handlarze końmi mieliśmy z nimi wspólne interesy, ale zrezygnowaliśmy z nich, poznawszy bliżej tych ludzi. Oni nie są uczciwi. Dlaczego jednak nas obciążać ich nieuczciwością? Czy wolno mi spytać, dokąd udaliście się państwo z Trinidad?

— Na polowanie na niedźwiedzie! — wypaliła Serduszko. Ta krótka i trafna odpowiedź uwolniła nas od pytań dotyczących Diabelskiej Ambony.

— Poszczyściło się wam? — zapytał Zebulon.

— Owszem — odparłem. — Mamy tu niedźwiedzią szynkę. Łapami zaczniemy się raczyć dopiero na Tawuntsits-pajawh.

— Na Tawuntsits-pajawh? — zapytał szybko, rzucając bratu zadowolone spojrzenie. — Czy zna pan to miejsce?

— Tak. Z dawniejszych czasów.

— My też tam jedziemy!

— Wy także? Po co?

— Na prośbę wodzów Siouxów i Utahów.

— Ach, tak! Spotkaliście się z nimi?

— Tak.

— Na Diabelskiej Ambonie?

— Tak. Jaka szkoda, żeście państwo wyjechali. Chętnie zabralibyśmy was ze sobą!

— Nie ma czego żałować. I tak nie mógłbym się im pokazać.

— Ale mógłby pan obserwować wszystko z oddali, a może i coś podsłuchać.

— Ale po co? I tak mam nadzieję wszystkiego dowiedzieć się od pana.

— Czy mam w takim razie opowiadać?

— Tak. Bardzo o to proszę!

Rozpoczął opowieść. Wymienił imiona obu głównych wodzów. Liczba obecnych na naradzie Indian urosła do czterystu, a jego i brata kilkugodzinny pobyt na Diabelskiej Ambonie do pełnych trzech dni. Mówił o nadzwyczaj istotnych rokowaniach, których byli świadkami i w których — jak wynikało z relacji — odegrali decydującą rolę. Mówił o honorach, jakimi zostali obsypani, jak również o szczególnie serdecznym pożegnaniu, kiedy to Kiktahan Szonka i Tusahga Saricz mieli trzykrotnie zawracać z drogi, by raz jeszcze uścisnąć braciom dłonie.

— Czy to oznacza, że czerwonoskórzy wyruszyli przed wami?

— Tak — odparł.

— A dokąd?

— To najściślejsza tajemnica, której za żadną cenę nie wolno nam zdradzić. Wam jednak ją wyjawimy, abyście uwierzyli, że mamy w stosunku do was jak najlepsze intencje. Udali się

do miejsca, które nazywają Wikonte-mini. Czy wie pan, o jakie miejsce chodzi?

— Tak. To chyba jakaś woda.

— Owszem. Opisano nam dokładnie całą drogę.

— A więc i wy tam jedziecie?

— Tak. Tam mamy dowiedzieć się całego planu przeciwko Apaczom i ich sprzymierzeńcom. Zdaje pan sobie doskonale sprawę, jakie to dla pana ważne. Czy chce pan być powiadomiony o wszystkim, co tam usłyszymy?

— Oczywiście!

— Jesteśmy gotowi to dla pana zrobić; oczekujemy jednak wdzięczności.

— Co posiejecie, to i zbierzecie.

— Czy od tej Wikonte-mini, tej Wody Śmierci, daleko jest do Ciemnej Wody, w której zginął nasz ojciec?

— O ile dobrze pamiętam, to obie położone są całkiem blisko siebie. Na miejscu będę lepiej zorientowany.

Nie uważałem teraz za rozsądne uświadamiać mu, że obydwie nazwy odnoszą się do tego samego jeziora.

— A więc ma pan zamiar sam tam pojechać? — zapytał Zebulon.

— Oczywiście. Czy macie coś przeciwko temu?

Zebulon rzucił bratu tryumfalne spojrzenie. Był absolutnie zachwycony faktem, że w naszej nieświadomości wychodziliśmy naprzeciw wszystkim jego planom. Tymczasem on właśnie grzeszył największą nieświadomością.

— A cóż moglibyśmy mieć! — wykrzyknął. — I z jakiego powodu? Jesteśmy waszymi przyjaciółmi. Polubiliśmy was i bardzo nam odpowiada wasze towarzystwo. Z największą przyjemnością zabierzemy was nad Wodę Śmierci. Rozumiemy jednak, że za to wskaże nam pan drogę do Nugget Tsil i Ciemnej Wody.

— Nie omieszkać. Jak to się jednak stało, że Kiktahan Szonka nie zabrał was od razu ze sobą? Dlaczego wysłał was do Tawuntsits-pajawh?

— Mamy obserwować kobiety Siouxów, które się tam udały i zdać mu relację. Z dokładnego opisu trasy, który nam przedstawił wynikałoby, że dzielą nas od tego miejsca jeszcze tylko dwa dni drogi?

— Zgadza się. Mam tylko jedną wątpliwość. Zdziwiał mnie, że wyłącznie do mnie zwracacie się z prośbą o wskazanie drogi do Nugget Tsil i Ciemnej Wody. To zupełnie nie wiarygodne, że do tej pory sami nie odnaleźliście tych miejsc. Co do Nugget Tsil, to wystarczyłoby zapytać Kiowów. Ich wódz Tangua lub jego syn Pida z pewnością wskazałiby wam drogę. A co do Ciemnej Wody, to nie wierzę, że nie mogliście znaleźć żadnego spośród Apaczów, którzy tam wówczas ze mną byli.

— To tylko wydaje się takie proste — odparł Zebulon. — Pytałem u Kiowów. Stary Tangua gotów był udzielić mi informacji, ale — nie wiem dlaczego — nie pozwolił na to Pida. A wśród Apaczów, których pytałem o Ciemną Wodę nie znalazł się ani jeden, który nie uznałby mnie natychmiast za wroga i nie odprawił z niczym. Te łajdaki są nadzwyczaj ostrożne!

— Te łajdaki są moimi przyjaciółmi, mister Enters. Jeśli choćby raz jeszcze użyje pan w stosunku do nich podobnego słowa — rozstaniemy się na zawsze!... Moja żona przygotuje teraz kolację, a potem pójdziemy spać. Wyruszamy o świcie.

Kierunek Tawuntsits-pajawh! Zgoda?

— Zgoda. My rozłożymy się nieco na uboczu. Obydwaj przeraźliwie chrapiemy, a nie chcielibyśmy naprzykrzać się lady.

To nie była zbyt wyszukana wymówka. Chcieli po prostu bez przeszkód ze sobą porozmawiać. Natychmiast pomyślałem, czy by ich nie podsłuchać, ale ostatecznie zrezygnowałem. Żeby się od nich wszystkiego dowiedzieć, nie musiałem uciekać się do podkradania, nasłuchiwania i rozglądania się na wszystkie strony, które jest o wiele bardziej uciążliwe i wyczerpujące, niż można by przypuszczać.

Wyżej opisana rozmowa odbywała się wyłącznie między mną a Zebulonem Entersem. Jego brat milczał jak zakłęty. Wyglądało na to, że jest między nimi różnica zdań, i to głębsza niż zwykle. Unikali nawet swego wzroku.

Równie milczący był Młody Orzeł. Zachowywał się tak, jakby w ogóle nie dostrzegał obecności braci. Perspektywa wspólnej podróży nie była więc zbytnio zachęcająca. Zgodnie z zapowiedzią bracia oddalili się po kolacji. Ujrzyliśmy ich ponownie dopiero następnego ranka, kiedy rozchodzący się wokół zapach kawy powiedział im, że już jesteśmy na nogach. Z chwilą gdy rozbłysło słońce, namiot był złożony i mogliśmy ruszyć w dalszą drogę. Natychmiast zwróciliśmy uwagę, że każdy z braci miał przytroczone do siodła krótki szpadel. Widząc, że ze zdumieniem przyglądam się tym narzędziom Pappermann spytał braci:

— Zaopatrzyliście się w szpadle! Będziecie szukać skarbów?

— Niewykluczone — odparł Zebulon tonem, który miał wzbudzić nasze zainteresowanie.

— Jakich skarbów?

— Tego jeszcze nie wiemy. W każdym razie jeśli zajdzie potrzeba, będziemy mieli czym kopać. Kiktahan Szonka obiecał zapłacić nie pieniędzmi, a łupami, towarami, koźmi i innymi rzeczami. Mówił również o metalach — srebrze, miedzi, a nawet złocie. A chodzi tu oczywiście o bonanzy, które najpierw trzeba będzie odkopać! Dlatego mamy ze sobą szpadle!

Człowiek ten najoczywistej żył złudzeniami. Nie przyszło mu nawet na myśl, że może być tylko narzędziem w rękach innych, które po wykorzystaniu zostanie po prostu odrzucone.

Posuwaliśmy się dokładnie tą samą drogą, którą wówczas jechałem z Gatesem, Clayem i Summerem. Wieczorem zaś rozłożyliśmy się na noc na otwartej prerii w tym samym miejscu, w którym i wówczas spaliśmy. Nie rozpalaliśmy ognia. Poinformowałem Entersów, że nazajutrz około południa dotrzemy do Tawuntsits-pajawh. Bardzo uważałem, by nie wypowiedzieć nazwy Mugworthills, którą znali z mojej książki. Natychmiast zorientowaliby się, że chodzi o Nugget Tsil, a tego, przynajmniej na razie, chciałem uniknąć. Ku mojemu zdumieniu Zebulon zapytał:

— Czy zna pan tę górę tylko ze słyszenia, czy też był pan już na niej?

— Byłem na niej wielokrotnie — odpowiedziałem.

— Podobno jest tam kilka grobów. Trzy lub cztery. Czy to prawda?

— Widziałem tylko dwa z nich. Kto tam leży?

— Wodzowie Kiowów.

— Naprawdę?

— Tak. Słyszałem o tym od kogoś, kto również kilka razy tam był.

— Będziemy obozować w pobliżu dwóch grobów, które ja widziałem. To najlepsze miejsce na obozowisko.

Moja żona jechała zamyślona. Zbliżaliśmy się do miejsca, które było dla niej nie tylko interesujące, ale niemal święte. Do pięknej siostry Winnetou odnosiła się zawsze z wielką

czcią. Często też wspominała, że bardzo chciałaby zobaczyć przynajmniej jej grób. Nigdy jednak nie sądziła, że postawi nogę na ziemi amerykańskiej. Teraz zaś była już po drugiej stronie oceanu i tak blisko spełnienia swego gorącego pragnienia.

Również Młody Orzeł zdawał się być zajęty poważnymi myślami. Czy nie ja byłem ich obiektem? Raz po raz spoglądał na mnie badawczo, spuszczał jednak natychmiast oczy, ilekroć zaskoczył go przy tym mój wzrok. Entersowie trzymali się nieco na uboczu. Jechali za nami i dotrzymywali towarzystwa raczej Pappermannowi, który dzisiaj dokładnie wiedział już, co może im powiedzieć, a czego nie. Wczoraj przed snem szczegółowo go poinstruowałem.

Jeszcze zanim nadeszło południe, na horyzoncie zarysowały się góry. W miarę jak się do nich zbliżaliśmy, stawały się coraz wyższe. Na najwyższym, zalesionym szczycie ciągle stało jeszcze to ogromne, przewyższające wszystkie inne drzewo. Serduszko natychmiast je zauważyła:

— Ach, wszystko się zgadza! — krzyknęła. — To na to drzewo Winnetou wysłał swego zwiadowcę?

— Tak — skinąłem głową.

— Powiedz, co czujesz! Mnie się chce płakać. Czy tobie również?

Milczałem.

Objechaliśmy ciemniejące na tle nieba wzgórze od zachodu i skręciliśmy w lewo na południe, w kierunku znanej moim czytelnikom, wciskającej się pomiędzy nie doliny. Tą doliną pojechaliśmy aż do odchodzącego w bok wąwozu, który poprowadził nas dalej w górę. W miejscu, gdzie się rozdzielał, musieliśmy zsiąść z koni i ciągnąc je za cugle, wspinaliśmy się dalej aż na ostry grzbiet. Tam teren opadał znowu w dół. Jadąc dalej na wprost przez las dotarliśmy do celu. Naszym oczom ukazał się grobowiec ojca Winnetou, Inczu-czuny, który pochowany został siedząc na swym koniu oraz kamienna piramida obsypująca pień drzewa — olbrzyma, u którego stóp spoczęła Nszo-czi. Miałem wrażenie, jakbym dopiero wczoraj stąd odjechał. Drzewa i zarośla urosły, ale poza tym zdawać by się mogło, że głębokiej, przejmującej ciszy tego miejsca przez dziesiątki lat, które już minęły, nie zakłócił nawet gwałtowniejszy podmuch wiatru.

— Tutaj leżą wodzowie Kiowów — powiedział Zebulon Enters. Jesteśmy więc na miejscu. Czy zostaniemy tu na noc?

— Tak. Być może nawet przez cały jutrzejszy dzień — odpowiedziałem.

— Spróbuj ich przynajmniej na razie stąd usunąć! — poprosiła szeptem moja żona. — Nie mogą mi popsuć tej chwili!

Już miałem uczynić zadość tej prośbie, gdy Zebulon sam rozwiązał problem:

— Może pójdziemy z bratem coś ustrzelić? Chyba, że będziemy teraz jeść obiecane łapy niedźwiedzie?

— Idźcie i spróbujcie coś upolować! — odpowiedziała mu szybko Klara. — Macie na to ładnych parę godzin. My jemy dopiero po południu.

Bracia oddalili się, a my z Pappermannem rozbiliśmy namiot. Pocziwina starał się przy tym zachowywać jak najciszej. Widział, że Serduszko klęczy i modli się u grobu Indianki. (Nie popełnię chyba niedyskrecji, jeśli powiem, że Serduszko modli się często i chętnie.) Następnie przeszła do grobu wodza. U jego stóp, dokładnie od strony zachodniej widoczne było w ziemi niewielkie wgłębienie, porośnięte, tak samo zresztą jak cała ziemia dookoła, podobną do mchu trawą.

— To tutaj wtedy kopaleś? — zapytała.

— Tak. Wprawdzie zasypałem dół bardzo starannie, ale nie udało mi się zebrać wszystkiego co rozrzuciłem przy kopaniu i z czasem ziemia w dole nieco osiadła. Stąd to wgłębienie.

— Które jednak również może kogoś skłonić do kopania!

— Niech kopie! Nic tu nie znajdzie.

— Nie bądź tego taki pewny. Przyszło mi coś do głowy.

— Ach, doprawdy?

— Doprawdy! I nie teraz, ale już wcześniej.

— Rzeczywiście wydawałaś się bardzo zamyślona. Czy to z tego powodu?

— Z żadnego innego.

— A więc powiedz, o co chodzi!

Od dawna już mam w zwyczaju we wszystkich sytuacjach brać również pod uwagę myśli i odczucia mojej żony. Jej wrodzona bystrość często przychodzi mi z pomocą tam, gdzie moje własne, z trudem wypracowane rozeznanie, wiedzie mnie na manowce. Zawsze z chęcią przyznam, że w sferze bardziej wysublimowanych instynktów, kobiety mają przewagę nad mężczyznami. Dlatego cieszy mnie niezmiernie, ilekroć słyszę od mojej niewiasty o jakiejś “myśli” czy “przeczuciu”, wiem bowiem, że będą mi bardzo pomocne. Tak było i teraz. Serduszko odpowiedziała:

— Im bliżej byliśmy dzisiaj gór, tym wyraźniej i jaśniej miałam przed oczami to, co o nich opowiadałeś. I wtedy uparcie uczepliły się mnie dwa słowa. Wypowiedział je kiedyś do ciebie, i to parę razy, Winnetou. Czy pamiętasz jeszcze, jak zwykł był nazywać nugety i w ogóle złoto?

— Czy masz na myśli *deadly dust*?¹⁵

— Tak, *deadly dust*. Już na krótko przed swoją śmiercią, kiedy rozmawiał z tobą o swoim testamencie, powiedział, że przeznaczone jest ci coś lepszego niż tylko złoto. A mimo to kopałeś u grobu jego ojca szukając złota i niczego poza tym. Czy to nie był z twojej strony błąd mój drogi mężu?

— Myślę, że nie. Złoto, które tu zakopano, było przeznaczone nie dla mnie, a prawdopodobnie na wzniosłe, dobroczynne cele.

— Czy rzeczywiście nie miałeś znaleźć tu czegoś, co przeznaczone byłoby osobiście dla ciebie, jego najlepszego przyjaciela i brata? I czy Winnetou, dalekowzroczny i szlachetny, mógłby przy sporządzaniu swego testamentu zapomnieć, że także na “dobroczynne, wzniosłe cele” ofiarować można coś nieporównanie przewyższającego samo tylko złoto? Zastanów się proszę!

— Hm! Wiesz, Serduszko, to co mówisz jest bez wątpienia słuszne. Mogę się wprawdzie wymawiać tym, że zagrażało mi wówczas niebezpieczeństwo i że szukałem w wielkim pośpiechu, ale to mnie w gruncie rzeczy nie usprawiedliwia. Miałem przecież wiele lat na to, by tutaj powrócić. Ale nigdy, naprawdę nigdy o tym nie pomyślałem.

— Ja również. Mam sobie do zarzucenia taką samą bezmyślność. Czy mógłbyś coś dla mnie zrobić?

— Co takiego?

— Raz jeszcze poszukać w ziemi. Ale dokładniej i głębiej niż wtedy.

— Chętnie, bardzo chętnie.

¹⁵ ang. śmiercionośny pył.

— Wydaje mi się bowiem, że coś znajdziemy i to coś, co jest prawdziwym testamentem. Złoto stanowiło tylko ochronę prawdziwego skarbu.

— Mówisz jakbyś o wszystkim dokładnie wiedziała!

— Ja nie wiem, ja czuję. Winnetou przerastał cię wówczas mądrością i dojrzałością. Istotna i nieoceniona wartość, jaką sobą przedstawiał, nie miała związku z twoją osobą. Musimy kopać w dwóch miejscach — tutaj, u grobu jego ojca, i w twojej pamięci. Z pewnością nie znajdziemy żadnego śmiercionośnego pyłu, a perły i drogocenne kamienie zrodzone w jego duchowej bonanzie. Do roboty! Póki Entersowie są daleko.

— Nie jest to powód przekonujący, gdyż śladów nie da się usunąć na tyle szybko, by nie zauważyli, co się tutaj pod ich nieobecność działo. Skoro mogło minąć trzydzieści lat, nic się nie stanie, jeśli poczekamy z kopaniem jeszcze parę godzin. Nie zapominajmy, co Tatella-Sata napisał o środkowym spośród pięciu wielkich srebrnych świerków: “Niech jego głos będzie ci głosem Manitou, wielkiego, wiecznego, wszechmiłującego Ducha!”. Jest to więc sprawa tak ważna i pilna, że musimy jej dać pierwszeństwo.

— Masz rację, masz rację! Ale gdzie są te świerki?

— Niedaleko stąd. Chodź ze mną! Zaprowadziłem ją do miejsca w lesie, gdzie z ziemi wyrastało kilka skał, u których podnóża połyskiwało niewielkie jezioro. Tam też stało owe pięć srebrnych świerków, o których pisał Tatella-Sata. Były aż do ziemi obrośnięte gałęziami, po części zresztą już uschniętymi. Ledwie spojrzałem na środkowy świerk, już wiedziałem, w czym rzecz. Serduszko stanęła jednak zupełnie bezradna i złożwszy ręce westchnęła:

— Ależ on wygląda dokładnie tak samo jak jego bracia poza tym, że trochę ich przerasta! Ma dokładnie takie same gałęzie, gęste i oblepione igliwem! I ten świerk ma do ciebie przemówić? W jaki sposób? Może ty wiesz, bo ja nie!

— A ja sądzę, że już wiem! Czy potrafisz odróżnić świerk od jodły?

— Wydaje mi się, że tak.

— Przyjrzyj się więc dokładniej środkowemu świerkowi! Na dole jest kilka uschniętych gałązek, na których utrzymało się trochę tylko igliwia. Policz je, proszę, zaczynając od dołu i pokazując palcem!

Serduszko zrobiła, jak jej powiedziałem.

— Raz, dwa, trzy — liczyła — cztery, pięć, sześć...

— Stop! — przerwałem jej. — Przypatrz się dobrze szóstej uschniętej gałązce! Czy to jest świerk?

— Nie, jodła.

— Czy widzisz, że drzewo zaczyna mówić?

— Ach, więc to o to chodzi!

— Tak! Czy gałązka jodły mogła wyrosnąć na świerku?

— Z pewnością nie. Usunięto gałąź świerkową i na jej miejsce wstawiono jodłową? Czy to jednak nie była nieostrożność? Przecież każdy mógł odkryć tę gałązkę!

— To nie prawda. Miałabyś rację, gdyby chodziło o zielone gałęzie. Gałązka jodłowa byłaby na tle świerkowych bardzo widoczna. Ponieważ jednak są to gałązki uschnięte, odkryłem ją wyłącznie dlatego, że z góry wiedziałem, że coś tu muszę znaleźć. Proszę, zabierz stamtąd tę gałązkę!

— Mam ją ułamać?

— Nie, wyciągnąć.

Serduszko wyciągnęła gałązkę z pnia. Tkwiła ona w dziurze wywierconej w miejscu, z którego wyrastała poprzednia, świerkowa gałązka. Dziura ta była jednak pusta.

Rozpocząłem więc dokładne oględziny pnia wokół wgłębienia. I nie zawiodłem się! Kora wokół dziury została odłupana tworząc coś w rodzaju klapki przytwierdzonej z powrotem do pnia wyjętą przez nas gałązką jodłową. Kiedy odchyliłem klapkę, wypadł spod niej na ziemię kawałek białego papieru. Serduszko pochwyciła go pośpiesznie i krzyknęła radośnie:

— Drzewo mówi! Czyż nie tak?

— Rzeczywiście.

— Cóż to za bystry i zręczny człowiek z tego Indianina!

— Tak — zaśmiałem się. — I cóż za niebywała przenikliwość białej squaw z Radebeul, która natychmiast przejrzała jego tajemnicę!

Serduszko uśmiechnęła się i powiedziała:

— A czy tego odkrycia nie zawdzięczamy również i temu, że doskonale znam różnicę pomiędzy świerkiem a jodłą? Przeczytamy, co tu napisano!

Serduszko, która pełni w domu rolę mojej sekretarki i załatwia prawie całą korespondencję, czuła się uprawniona do rozwinięcia i odczytania kartki. Uniosła już nawet do góry brwi i nadała twarzy wyraz stosownej powagi, ale na widok tekstu powaga ta nagle przysła i Serduszko powiedziała tylko tonem wielkiego zawodu:

— Ale ja nie mogę tego przeczytać!

— Czy to pismo obrazkowe?

— Nie. Alfabet angielski, ale język nieznany.

— Pokaż!

— Zobacz! Ale usiądźmy! Na stojąco głowa gorzej pracuje! Usiadła na ziemi i uderzyła dłonią w miejsce obok siebie.

Wiem doskonale, co mam wówczas uczynić: usiadłem obok niej i zacząłem czytać. List napisany był w języku Apaczów z tą samą kaligraficzną wprawą i na tym samym dobrym papierze, co list, który otrzymałem w domu od Tatella-Saty. Oto jego treść:

Dlaczego celem twych poszukiwań jest "deadly dust", śmiertelny złoty pył?

Czy rzeczywiście sądzisz, że Winnetou, nieskończenie bogaty, nie pozostawił ludzkości po sobie niczego więcej?

Czy Winnetou, którego przecież musiałeś znać, był na tyle powierzchowny, byś mógł zaniedbać sięgnięcia głębiej?

Teraz już wiesz, dlaczego się na ciebie gniewałem. Witaj mi, jeśli teraz potrafisz zrozumieć, w czym rzecz!

To był list od sędziwego Tysiąca Lat. Złożyłem papier i wetknąłem do kieszeni. Popatrzyliśmy na siebie.

— Czy to nie zadziwiające? — zapytała Serduszko.

— W najwyższym stopniu! — potwierdziłem. — Napisał dokładnie to samo, co ty mi powiedziałaś. Jest mi ogromnie wstyd!

— Nie bierz sobie tego zbyt do serca!

— Nie mogę nie brać sobie tego do serca! Zawiniłem wobec Winnetou i nie mogę sobie tego wybaczyć. Nie tylko zresztą wobec Winnetou, ale wobec całego jego ludu! Jestem

przekonany, że znajdziemy teraz rzeczy o wiele ważniejsze niż wówczas.

— Dlatego, że tak napisał Tatella-Sata?

— Również, ale przede wszystkim dlatego, że taki był Winnetou. Mój wzrok i moje czyny nie sięgały wyżyn jego szlachetności. Na tym polegał mój grzech. Winnetou uśmiechnąłby się dobrotliwie i wybaczył mi, mnie jednak w ogóle nie jest do śmiechu. Pomyśl, minęło bezużytecznie ponad trzydzieści lat! Wyrosło następne pokolenie! Chodź, będziemy kopać!

— Tak, póki nie ma w pobliżu Entersów — przytaknęła.

— Nie o to teraz już chodzi! Obojętne mi, czy są w pobliżu, czy ich nie ma. Posłuchaj! Słyszę ich głosy. Rozmawiają z Pappermannem. Wrócili już!

Rzeczywiście, byli już na miejscu. Przynieśli pieska preriowego, który się gdzieś tu w górach zabłąkał. Zebulon zachowywał się tak, jakby dokonał jakiegoś bohaterskiego czynu, ja jednak krótko i zdecydowanie uciałem jego tyradę:

— Niech pan położy tutaj tego zajączka! Może go upieczemy a może nie. Jest teraz coś ważniejszego do zrobienia!

O tym, jak brzmi druga nazwa góry, miałem pierwotnie zamiar powiedzieć braciom dopiero po jej opuszczeniu. Obawiałem się bowiem wpływu tego miejsca i związanych z nim wydarzeń na ich stan duchowy. Innymi słowy istniały pewne psychiatryczne przeciwwskazania. Teraz jednak ważniejsze były dla mnie inne sprawy. Musiałem kierować się względem na dobro wyższego rzędu i dlatego mówiłem dalej:

— Chcę odkryć przed wami coś, z czym zamierzałem jeszcze jakiś czas poczekać. Jesteście w błędzie, co do miejsca naszego dzisiejszego noclegu. Te groby nie są grobami wodzów Kiowów, lecz grobami ojca i siostry Winnetou. Tawuntsits-pajawh to Nugget Tsil.

Moje słowa wywarły na braciach ogromne wrażenie. Stali bez słowa nie czyniąc najmniejszego ruchu.

— Czy dobrze mnie zrozumieliście? — zapytałem. Hariman usiadł w miejscu jakby padając na ziemię

i przycisnąwszy dłonie do twarzy zaczął głośno i gorzko płakać. Zebulon zwrócił na mnie swoje mroczne, ale zarazem pełne jakichś błysków spojrzenie i zapytał:

— Czy to prawda?

— Nie mam powodu was oszukiwać!

— Well! Wierzymy panu! A więc to groby Inczu-czuny i Nszo-czi?

— Tak.

— Których zamordował nasz ojciec?

— Tak, właśnie wasz ojciec.

— Pozwoli pan, że przyjrzę się tym grobom. Podszedł najpierw do grobu wodza, a potem do grobu

jego córki. Przypatrywał im się uważnie. Wydawał się spokojny, ale zauważyłem, że idąc chwieje się nieco. Wyglądało to tak, jakby szedł po rozpiętej na wysokości linie i starał się utrzymać równowagę. Potem wycofał się znowu do miejsca, gdzie leżał piesek preriowy. Kopnął go butem i powiedział lekko skrzypiącym głosem:

— Znowu tylko zajączek! Tak jak wtedy z Gatesem i Clayem. Widzi pan, mister Burton, że wszystko przeczytałem i zapamiętałem, również zajaca i starego gołębia, który nie dał się zjeść. Chciałbym pana prosić o pewną przysługę, dzieło miłosierdzia.

— Co to takiego?

— Aby pokazać nam pan dwie sceny, należące do historii tego miejsca, dwie najważniejsze dla nas sceny. Czy mnie pan rozumie?

— Rozumiem. Chcecie, byśmy siedli na konie i żebym was oprowadził po wszystkich miejscach i pokazał, co tu się działo, kiedy wasz ojciec zastrzelił Inczu-czunę i jego córkę, a także później, kiedy odebrał mi testament?

— Tak, właśnie.

— Sam miałem zamiar to wszystko pokazać pani Burton i nie mam nic przeciwko waszemu towarzystwu. Wydaje mi się jednak, że będzie lepiej, jeśli z tego zrezygnujecie.

— Dlaczego?

— Bo tylko człowiek o bardzo silnych nerwach zdolny jest wytrzymać objazd miejsc, w których jego własny ojciec dopuścił się takich rzeczy.

— Jesteśmy zdrowi i na nerwy również nie narzekamy. Pojedzie pan z nami?,

— Dobrze.

— Kiedy?

— Kiedy będziecie mieli ochotę.

— A więc teraz. Cierpliwość nie należy do moich zalet.

— Kiedyś jednak, prędzej czy później, będzie się nią musiała stać. A więc w drogę! Mister Pappermann zostanie tu na straży.

— Bardzo chętnie — skinął głową stary westman. — Nie mam najmniejszej ochoty chodzić takimi śladami!

Chętnie użyłby on pewnie znacznie mocniejszych słów, bo nie cierpiał braci, a w szczególności Zebulona, ale tym razem zadowolił się tylko aluzją. Mogliśmy wyruszyć natychmiast, bo konie nie były jeszcze rozsiodłane. Pojechaliśmy z powrotem kawałek naszym własnym tropem, a potem skręciwszy na południe dotarliśmy do źródła, przy którym obozowaliśmy wówczas z Winnetou, Inczu-czuną, Nszo-czi, Samem Hawkensem, Dickiem Stonem, Willem Parkerem i trzydziestu Apaczami. Stamtąd droga nasza wiodła śladami mojej dawnej, częściowo pieszej, częściowo konnej wędrówki aż do miejsca, w którym padły śmiertelne dla Inczu-czuny i Nszo-czi strzały. Moja żona i Entersowie mieli teraz jasne pojęcie o okolicznościach morderstwa dokonanego na tak drogich mi osobach. Po tym wszystkim powróciliśmy do naszego namiotu, gdzie mogłem opowiedzieć szczegółowo o zrabowaniu testamentu. Podczas tej całej jazdy Hariman nie powiedział ani słowa, ani razu też na mnie nie spojrzał. Było mi go żal. Na jego policzkach pojawiły się niezdrowe rumieńce, a spod kapelusza spływał mu na czoło pot. Najwyraźniej miał gorączkę. Jego brat — przeciwnie. Wydawał się w swym spokoju zupełnie niewzruszony. I nawet bystry obserwator mógłby uznać ten spokój za autentyczny, gdyby nie oczy. Nad nimi Zebulon nie miał władzy! Zdradzały wszystko! Palila go wściekłość z tego powodu, że ojcu nie udało się to, co zamierzył. Prawdopodobnie nienawidził mnie bardziej i namiętniej niż stary Santer. Był zdolny do wszystkiego, łącznie z zabójstwem. Mimo to przynajmniej na razie nie musiałem się go obawiać, gdyż przyrzekł Kiktahanowi Szonec dostarczyć mnie żywego.

Teraz i on zauważył wgłębienie koło grobu Inczu-czuny. Przypatrzył się mu z namysłem i zapytał!

— To tutaj pan wtedy kopał?

— Tak — skinąłem głową.

— Tu był testament?

— Tak i nie tylko.

— Co jeszcze?

— Tego nie wiem; mam zamiar jednak o tym zaraz się przekonać. Pożyczcie mi waszych szpadli.

— Po co?

— Do kopania.

— Znowu? W tym miejscu?

— Tak, znowu! I w tym samym miejscu!

— A więc naprawdę pan sądzi, że tam coś jeszcze było?

— Tak właśnie sędzę!

Oczy Zebulona rozpały się nagle jakimś wewnętrznym ogniem, a głos drżał mu z podniecenia, kiedy krzyknął:

— A ja mam wam dać mój szpadel! Nie ma mowy! Nawet mi się nie śni! Będziemy sami kopać — ja i mój brat!

Pobiegł do szpadli, przyniósł je i wręczając jeden z nich bratu krzyknął rozkazująco:

— Wstań i przestań już wyc, skunksie! Słyszysz przecież, że to gniazdo nie jest jeszcze całkowicie wybrane! Jest czego szukać! Może jest tego bardzo dużo! Wstawaj, do roboty!

Hariman siedział na ziemi ze spuszczoną głową. Odepchnął wyciągnięty do niego szpadel i powiedział:

— Zostaw mnie. Ja tego nie będę robił. Nie ruszę nawet palcem! Niech przekłte będzie całe to złoto i twoja żądza, by mieć je wyłącznie dla siebie! Ona cię zabije, tak jak zabiła jego!

— A więc nie chcesz?

— Nie! Nie trudź się! Ja mam już tego wszystkiego dosyć!

— Tchórz! Przeklęty skunks! — syknął Zebulon z pogardą. Hariman uniósł się na to gwałtownie i napierając na brata spytał z gniewem w głosie:

— Kto jest skunksem? Ja czy ty? Ja w odróżnieniu od ciebie mam odwagę walczyć! Chcę być wolny, wolny od tego demona, którym zostaliśmy opętani i który do dzisiaj nas dręczy. On nie ma litości ani miłosierdzia. Każe nam albo siebie słuchać albo ginąć. Każe albo samemu popełnić zbrodnię albo własną śmiercią odpokutować za ojca. Nie masz odwagi z nim walczyć; dlatego wybierasz zbrodnię. Ja jednak wolę śmierć. Pytam się więc raz jeszcze: kto jest skunksem? Ja czy ty?

— Nie wybieram żadnej zbrodni, tylko złoto! Złoto! A jeśli ty mi nie pomożesz, to je zabiorę sam!

Rzucił jeden szpadel na bok, a drugim zaczął kopać. Hariman znowu usiadł na ziemi. Pappermann podniósł szpadel i powiedział:

— Pomogę panu. We dwóch pójdzie szybciej. Zebulon skoczył do niego:

— Precz stąd! Nic tu po tobie! Nie zniosę tu nikogo!

— Well! Według życzenia! Myślałem, że robię panu grzeczność.

Upuścił szpadel na ziemię. Zebulon pracował jak szalony. Odrzucał ziemię raz za razem w takim pośpiechu i z taką siłą, jakby chodziło nie tylko o jego życie, ale i całą wieczność. Dół stawał się coraz większy. Co jakiś czas Zebulon wpatrywał się w głąb. Z czoła i policzków płynął mu strugami pot.

— To szaleństwo... zupełne szaleństwo! — szepnęła do mnie moja żona. — Zachowuj się tak, jakby wszystko do niego należało. Co teraz będzie?

— Nic, co by mogło nam zagrozić — odpowiedziałem równie cicho.

— A jeśli coś znajdzie?

— Wzgardzi wszystkim, co nie będzie złotem lub nie będzie przedstawiało sobą materialnej wartości.

— A jeśli będzie to coś, czym nie wzgardzi? Wtedy dojdzie między wami do walki!

— Do walki? W żadnym wypadku! Pozwól mi działać i nie niepokój się na zapas! Wchodzą tu w grę pewne niezmiernie istotne procesy psychologiczne, których w tej postaci z pewnością więcej nie zobaczę.

— Co ci przyjdzie z psychologicznych odkryć, jeśli będziesz za nie musiał zapłacić życiem?

— Proszę cię, zachowaj rozsądek i spokój! Nic mi się nie stanie!

— Chciałabym w to wierzyć. Daj mi jednak jeden z twoich rewolwerów! Zastrzelę tego szaleńca w momencie, kiedy na ciebie podniesie rękę!

Serduszko mówiła poważnie. Naprawdę bała się o mnie. Uosobienie dobroci, które nawet z robakiem czy żuczkiem nie potrafiło obejść się inaczej niż z największą delikatnością było gotowe z miłości do mnie zabić człowieka! Ogarnęło mnie wzruszenie, którego jednak nie dałem po sobie poznać i śmiejąc się odpowiedziałem:

— Drogie dziecko, jeśli trzeba będzie strzelać, to zrobię to sam. Mam lepsze oko. A teraz bądź tak dobra i....

— Słuchaj! — przerwała mi. — Co to takiego? Zebulon wydał z siebie okrzyk triumfu i zdwoił wysiłki.

Ziemia wylatywała z dołu w szaleńczym tempie. Podeszedłem bliżej, by zajrzeć do środka.

— Precz, precz! — ryknął na mnie.

— Chciałem tylko popatrzeć! — usprawiedliwiłem się.

— Nie pozwalam! Precz, bo uderzę!

Podniósł szpadel w górę i patrzył na mnie groźnie. Jego oczy nabiegły krwią. Cofnąłem się i powiedziałem uspokajająco:

— Czy nie wolno nawet spytać, dlaczego pan tak krzyknął?

— To mogę panu powiedzieć: natrafiłem na złoto.

— Doprawdy?

— Tak — na coś twardego, szerokiego. Dół jest za wąski. Muszę go poszerzyć. Ale ja, tylko ja! Uderzę każdego, kto podejdzie za blisko! Ktokolwiek by to był! Zabrał się znowu do pracy, a ja wróciłem na swoje miejsce.

— Widzisz, że miałam rację — zaczęła na nowo Serduszko. — Chciał cię uderzyć!

— Ale tego nie robi. Proszę, nie komplikuj całej sytuacji przez swój lęk o mnie. Nie ma absolutnie żadnych powodów do niepokoju!

Na te słowa Serduszko uspokoiła się, choć zachowanie Zebulona bynajmniej nie dawało ku temu powodu. Do tej pory od czasu do czasu obcierał pot z twarzy, teraz zupełnie już o tym zapomniał. Pot spływał mu z podbródka wielkimi, ciężkimi kroplami. Jego twarz wydawała się spuchnięta, a oczy wychodziły z orbit. Wzdychał i stękał; początkowo z rzadka, potem przy każdym prawie uniesieniu szpadla. Był wyczerpany. Raz po raz zatrzymywał się, by nabrać głębiej powietrza.

Zaczęły mu drżeć ręce, a ruchy stawały się coraz bardziej nieskoordynowane. Wyglądał teraz naprawdę ohydnie — jak demon, zły duch, którego widoku powinni unikać śmiertelni.

Wreszcie zabrzmiał okrzyk radości. I następny, i jeszcze jeden!

— Ojcie, ojcie — ty tu jesteś! Pomagasz mi! Wiem, czuję! Dziękuję ci!

Po tych wykrzyczanych w jakiejś dzikiej ekstazie słowach zwrócił ku nam swą zniekształconą twarz i zagroził:

— Niech nikt nie waży się tu podejść! Tego, kto dotknie tych skarbów, zabiję, natychmiast zabiję! Zapamiętajcie sobie!

Dół był już szeroki i głęboki. Zebulon skoczył do środka i ukrył się w nim aż do pasa. Potem schyliwszy się wydobył coś z dna i położył na krawędzi. Było to gliniane naczynie. Potem wydobył jeszcze jedno i znowu następne; wreszcie czwarte z kolei i piąte. Później spróbował jeszcze kopać głębiej, ale po chwili zrezygnował i wyszedł z dołu. Odetchnąwszy ciężko powiedział:

— Gotowe! To wszystko! Nic tam więcej nie ma! Siedzący tyłem do niego Hariman odwrócił się teraz,

a ujrzawszy naczynia wstał i podszedł do brata.

— Przychodzisz teraz! — zaśmiał się szyderczo Zebulon. -Nie łudź się jednak, że cokolwiek dostaniesz! To wszystko należy do mnie! Do mnie i tylko do mnie!

— Nic nie należy do ciebie!

— A niby do kogo?

— Do pana Burtona i tylko do niego! Winnetou zakopał tu to dla niego!

— Udowodnij mi to — śmiał się Zebulon. — Ten pan Burton wykopał przed trzydziestu laty wszystko, co do niego należało, a mianowicie testament. Całą resztę zostawił, bo nie była jego! A dzisiaj ja to znalazłem. Rzecz znaleziona na prerii należy zgodnie z prawem Zachodu do znalazcy, czyli do mnie!

— Bzdura, zupełna bzdura! — sprzeciwił się Hariman. — Nic o tym skarbie nie wiedziałeś. To pan Burton wszystko ci powiedział. Chciał sam kopać. Prosił o szpadle. Ale ty ofiarowałeś mu również swoje ręce i siły. Wyręczyłeś go w kopaniu. Kopaleś za niego. Tak było, tak jest i nic tego nie zmieni.

— Tak? Tak? — zasyczał Zebulon. -I to mówi mój własny brat. Kto ci powiedział, że kopaleś za niego, a nie za siebie? Chyba nie ja? A może on? Nie! Patrzył spokojnie jak pracuję i nawet nie bąknął, że coś należy do niego. A kiedy chciał zajrzeć do środka, a ja mu zagroziłem, posłuchał się mnie. Poszedł sobie nie wspominając ani słowem o jakichkolwiek swoich pretensjach do tego, co było w ziemi. Zrozumiałeś? Te pięć naczyń to moja własność. I chciałbym widzieć tego, komu starczy odwagi, by mi się sprzeciwić! Pomóż mi teraz! Chcę to pootwierać!

Serduszko skierowała na mnie swe niespokojne i jednocześnie pytające oczy. Odpowiedziałem jej cicho:

— Zobaczmy co jest w środku. Z pewnością to nie złoto.

— A może jednak?

— Nie. Patrzyłem uważnie. To było za lekkie na złoto. Cierpliwości!

Naczynia miały czworokątny kształt i niebiesko-brązowe ścianki ozdobione indiańskimi motywami. Z daleka i bez trudu można było w nich poznać wypalane wyroby garncarskie Indian Moqui lub Zuni. Składały się z części wierzchniej i spodniej, przy czym złącze pokrywała warstwa kitu zabezpieczającego zawartość przed wilgocią. Oplecione zaś były

mocnym, naoliwionym i zawiązanym na supeł sznurem z łyka. Również na tej podstawie skłonny byłem przypuszczać, że wewnątrz znajduje się nie szlachetny metal, lecz coś, co należy chronić przede wszystkim przed wodą.

— Chodź! Pomóż mi! — powtórzył Zebulon raz jeszcze zwracając się do brata. — Ale uważaj, żeby niczego nie potłuc!

Usiedli przy naczyniach i zajęli się najpierw zdejmowaniem sznurów. Hariman robił to spokojnie i z zastanowieniem, Zebulon — pośpiesznie, nerwowo i nie wykazując najmniejszej cierpliwości. Tak jak przedtem całe ramiona, tak teraz drżały mu dłonie i palce.

— Przekłęte supełki! — skarżył się. — Ile na to trzeba stracić czasu. Ale ojciec jest tutaj! Czuję go w moim własnym podnieceniu i napięciu, które mnie po prostu rozsadza. Szybciej, szybciej! Ale niczego nie potłucz! Nic nie może się połamać, nic nie może pęknąć!

Po usunięciu sznurków z dwóch pierwszych naczyń zaczęli wydłubywać nożami kit ze spoiny. Było to czasochłonne zajęcie, bo z upływem lat kit całkowicie skamieniał. Zebulon mówił coś ciągle do brata o srebrze, złocie, perłach, o starej meksykańskiej, tolteckiej, azteckiej a nawet staroperuwiańskiej biżuterii. Wymyślał rzeczy najdroższe i najcenniejsze, przy czym jego monolog schodził coraz bardziej do poziomu głupkowatej, szaleńczej gadaniny, którą znieść można było wyłącznie z uwagi na jej psychologiczną czy raczej psychiatryczną wymowę. Pracowali w jednakowym tempie. Kiedy jeden coś kończył, kończył również drugi. Każdy z nich mógł już teraz otworzyć swoje naczynie, ale żaden tego nie czynił. Zbyt wielkie ogarnęło ich napięcie. Wstrzymali oddechy.

— Zgaduj, co jest w środku — zaskrzypiał dziwnie Zebulon drżącymi ustami. — Złoto? Diamenty?

— Nie będę zgadywał — odparł Hariman. — Otwórzmy to!

— Zgoda! Liczę do trzech! Raz... dwa... trzy!

Pokrywy odskoczyły na bok jednocześnie. Bracia spojrzeli do środka. Każdy z nich cicho i z dziwną powolnością sięgnął ręką po zawartość. Nie zabrzmiało ani jeden okrzyk zdumienia, radości czy triumfu. Patrzyli na to, co trzymali w dłoniach.

— Skórzane zawiniątko! — powiedział w końcu Zebulon.

— Tak, skórzane zawiniątko — potwierdził Hariman.

— Czy w środku jest złoto?

— Nie. To za lekkie.

— A może diamenty? Klejnoty?

— Też za lekkie.

— A więc banknoty?

Jego oczy znowu rozbłysły. Pięć takich paczek banknotów! To majątek!

— Otwórz to, otwórz! Rozetnij! Szybko, szybko! — krzyczał.

Paski zostały rozcięte a skóra odwinięta.

— Książki! — powiedział Hariman z zawodem w głosie.

— Książki! Do diabła! Tylko książki! — ryknął Zebulon.

— Precz z tymi śmieciami. Odrzucił swoją od siebie.

— Ale co to za książki? — zastanowił się Hariman. — Trzeba sprawdzić! W środku mogą być pieniądze!

Zebulon przyniósł natychmiast swą książkę z powrotem, ale bardzo szybko odrzucił ją jeszcze dalej.

— Po prostu zapisane kartki! Same zapisane kartki!

— powiedział ze złością. — Z nic nie mówiącymi tytułami i ukochanym imieniem Winnetou.

— U mnie to samo — odparł Hariman przeglądając swoją książkę.

— A więc precz z tym! Są jeszcze trzy naczynia! Miejmy nadzieję, że znajdziemy tam coś więcej!

Oczywiście obojętność, z jaką przyglądałem się tej całej scenie była tylko pozorna. Każda kartka, każdy skrawek skóry czy kawałek sznurka miały dla mnie nieocenioną wartość. Pozwalałem braciom na to wszystko, tylko dlatego, że ujmowali mi pracy. Nigdy nie dopuściłbym jednak do tego, by coś uszkodzili lub zniszczyli. Kiedy zabrali się do następnych naczyń Zebulon nie miał już kszty cierpliwości. Porwał i poprzecinał sznurki w gorączkowym pośpiechu i krzyknął:

— To idzie za wolno, o wiele za wolno! Nie będziemy zdrapywali kitu i tracili czasu! Po prostu rozbijemy te skorupy!

Na te słowa podszedłem do niego szybko i powiedziałem:

— Nic tu nie będzie rozbijane! Te naczynia zawierają testament wielkiego i szlachetnego człowieka. Więcej są dla mnie warte niż złoto i drogocenne kamienie. Nie pozwolę ich zniszczyć!

Zebulon odłożył naczynie na bok i chwyciwszy szpadel, spojrzał na mnie groźnie i zapytał:

— A jeżeli je zniszczę, to co?

— Pshaw! Nie zdąży pan!

— Nie?

— Padnie pan na ziemię, jak przewrócony worek!

— Nie wierzę! Niech pan mi to pokaże! Ale przedtem niech pan dobrze zrozumie: widzi pan ten szpadel? Rozbiję nim najpierw naczynie, a jeśli uczyni pan najmniejszy ruch, również pańską czaszkę. A więc na co się pan decyduje?

Podniósł szpadel chcąc zrealizować swą groźbę, a ja zacisnąłem już pięść do zapowiedzianego ciosu, gdy nagle u mego boku wyrosła Serduszko i powiedziała:

— Nie ty, a ja to załatwię!

Odsunęła mnie na bok, podeszła bardzo blisko Zebulona i powiedziała do niego rozkazującym tonem:

— Proszę opuścić szpadel!

Wyciągnęła władczo rękę w kierunku napastnika.

Najwyraźniej nie brała pod uwagę żadnego oporu. Zebulon jakby skurczył się w sobie przestraszony i skierował na nią swój wzrok. Ich spojrzenia spotkały się na krótką chwilę, po czym Zebulon opuścił najpierw oczy, a potem także szpadel.

— Odrzuć to! — rozkazała mu. Szpadel upadł na ziemię.

— Niech pan usiądzie — zażądała już mniej surowym tonem.

Zebulon usiadł.

— Dobrze! A teraz niech pan się weźmie znowu do roboty! Ale proszę o ostrożność i rzetelność! Nie wolno dopuścić do żadnych rys czy odprysków! Mam nadzieję, że mnie pan zadowoli!

— Zadowolili, zadowolili! — powtórzył za nią cicho. Co to ma znaczyć, że jej tak słucham? Te jej oczy! Hariman, powiedz jej to, żeby on przynajmniej nie myślał, że się go boję!

— O co chodzi? — spytała Harimana Serduszko. Ten odpowiedział:

— Mój brat nie może znieść pani wzroku, pani Burton. Od pierwszego momentu. Powiedział mi o tym od razu i zdążył już od tego czasu dwadzieścia razy powtórzyć.

— Tak właśnie jest! — powiedział tonem skargi Zebulon.

— Te oczy, te nieznośne, nie do wytrzymania niebieskie oczy! Ranią mnie. Męczą i dręczą. Niech pani nie patrzy już na mnie, bo zrobię wszystko, co pani zechce!

Serduszko usiadła obok niego i dotknąwszy delikatnie jego ramienia odrzekła:

— Jeśli będzie pan robił to, co ja zechcę, będzie pan robił zawsze rzeczy właściwe!

Zebulon wzdrygnął się i wykrztusił:

— Mój Boże! Teraz mnie nawet dotyka!

— Nigdy już tego nie uczynię. Zrobiłam to mimowolnie.

— usprawiedliwiała się. — Teraz, proszę, niech się pan zabierze znowu do pracy! Zostanę tutaj i będę patrzyła.

Zebulon wziął posłusznie do ręki swoje naczynie i powiedział do Harimana:

— A więc wydłubujmy kit! Ale ostrożnie, bardzo ostrożnie, żeby niczego nie uszkodzić! Słyszysz?

Podjął na nowo, jak gdyby nic się nie stało, przerwana pracę. I wykonywał ją tak ostrożnie i uważnie, że wprowadził mnie w najwyższe zdumienie. Na ustach Serduszka pojawił się szczęśliwy uśmiech. Zawsze jest najbardziej radosna wtedy, gdy uda jej się przemienić zło w dobro. Wprawdzie w ruchach Zebulona raz po raz pojawiał się poprzedni pośpiech, ale nieszczęśnik próbował mu się przeciwstawić i zdołał zachować panowanie nad sobą aż do momentu otwarcia naczynia. Odetchnął wtedy głęboko i zawołał:

— Proszę o wybaczenie, pani Burton! Jeśli to znowu tylko książki, to należą one do pani! Jeśli jednak złoto lub coś podobnego, nie oddam tego nikomu! Za żadną cenę! Czy mam sprawdzić?

— Tak — odparła.

Zdjął wieko i zajrzał do środka.

— Identyczna paczka owinięta w skórę! — wyjąkał. Otworzył ją.

— Znowu tylko jakaś pisanina! Hańba i nieszczęście! A u ciebie?

To pytanie skierowane było do brata, który również otworzył swoją paczuszkę. Pokazując ją rzekł:

— Papiery i nic ponadto!

Zebulon zerwał się na równe nogi i zaczął lamentować:

— Powietrza, powietrza! Ogarnia mnie wściekłość! Za chwilę trafi mnie szlag!

Wyrzucił ręce w górę i zaczął biegać w tą i z powrotem po lesie. Hariman wziął zaś bez słowa piątę i ostatnie naczynie i zaczął usuwać sznurki. Serduszko chwyciła naczynie z drugiej strony, by mu pomóc. Widząc to Zebulon podbiegł szybko, wepchnął się między nich i powiedział błagalnym głosem.

— Nie pani, nie pani, pani Burton! Proszę oszczędzać ręce! Ja to zrobię!

Mówił to w dobrej wierze. Nie wierzyłem własnym uszom! Wkrótce otwarte zostało ostatnie naczynie. Swą zawartością nie różniło się od pozostałych. Zebulon ukląkł, zgiął się

całkiem do ziemi i wzięwszy twarz w obie ręce zaczął płakać, tak jak przedtem jego brat, tyle że z zupełnie innego powodu. Jego kłatką piersiową wstrząsał konwulsyjny szloch. Staliśmy wszyscy bez słowa. Po jakiejś chwili nagłym szarpnięciem zerwał się na nogi i rozejrzawszy wokół, jakby zbudzony ze snu, zawołał gniewnym głosem:

— Jak mówiłem? Jak powiedziałem? Ze jest tutaj nasz ojciec? Co za bzdury! Ze starego łajdaka nie zostało już ani jedno włókienko, ani jeden atom! Została nam po nim tylko hańba! I pęd do zła, do mordy, do samozniszczenia. To wszystko, co mu zawdzięczamy! To miał być ojciec, on nazywał się ojcem! Tfu!

Splunął trzykrotnie i odwrócił, by się oddalić. Jednak już po kilku krokach przystanął i zwracając się ponownie w naszym kierunku powiedział:

— Zrzekam się tej pisaniny, mister Burton. Nie interesuje mnie. Darowuję ją pani — niech pani słucha — tylko pani! Z każdym innym gotów byłbym o te papiery walczyć, nawet z Old Shatterhandem. Jednak pani chcę je podarować nie żądając nic w zamian. To pani własność. Proszę z nią zrobić, co się pani podoba!

Powiedziawszy to znowu się odwrócił i zataczając się zniknął pomiędzy drzewami.

— Głupiec! — powiedział w ślad za nim jego brat i umilkł. Pora była już na posiłek, ale Serduszko chciała się najpierw dowiedzieć, cóż to za skarb wykopaliśmy u grobu Inczuczuny. Przede wszystkim poprosiłem Pappermanna, by spróbował kopać jeszcze głębiej dla pewności, że tym razem nic nie zostanie w ziemi. Hariman zgłosił natychmiast chęć pomocy. Pogłębili dół jeszcze o pół metra, ale nic nie znalazłszy, zasypali go z powrotem. Tymczasem ja z żoną zająłem się zawartością glinianych naczyń.

Były to wyłącznie rękopisy Winnetou — pozszywane w zeszyty kartki pokryte linijkami tekstu napisanego znanym mi doskonale charakterem. Można sobie wyobrazić wrażenie, jakie zrobił na mnie widok tego wprawdzie nie najpiękniejszego, ale niezwykle charakterystycznego pisma. Wszystkie litery miały zbliżoną wielkość i były umieszczone na tym samym poziomie. To pismo cechowała harmonijność i jasność właściwa osobie, od której pochodziło. Winnetou właściwie nie tyle pisał, co rysował i malował. Nigdzie nie było żadnej plamy ani najmniejszego śladu jakiegokolwiek nieczystości! Taki był Winnetou! Taki był we wszystkim! A strony te liczyć trzeba było na setki! Gdzie to wszystko pisał? Napisy na niektórych okładkach odpowiadały na to pytanie: *Pisane na Nugget Tsil — Pisane na grobie mego ojca — Pisane na grobie Kleki-Petry — Pisane w mieszkaniu Old Shatterhanda nad Rio Pecos — Pisane u Tatella-Saty — Pisane dla moich czerwonych braci — Pisane dla wszystkich ludzi*. Jednak wiele zeszytów nie nosiło żadnych podpisów. Winnetou pisał po angielsku, a tam gdzie brakowało mu słowa lub zwrotu posługiwał się własnym językiem. Obcując ze mną zapamiętał też wiele wyrażen niemieckich. Ze wzruszeniem spostrzegłem, jak chętnie i często próbował ich w stosownych miejscach używać.

Zeszyt ostatni zamykał spis treści wraz ze skierowanym do mnie osobiście listem. Spis treści opublikuję w późniejszym czasie. List zaś brzmiał następująco:

Mój drogi, dobry bracie!

Modłę się do wielkiego, wszechdobrego Manitou, abyś przybył wykopać te księgi. A jeśli za pierwszym razem kopiąc zbyt płytko na nie nie trafisz, znaczyć to będzie, że jest jeszcze za wcześnie, byś dostał je w swoje ręce. Wtedy nie spocznię w modlitwie, aż przybędziesz jeszcze raz i je odnajdziesz.

Nie pozostawiłem tego testamentu u Tatella-Saty, ponieważ nie jesteś mu drogi. I w tym jednak jego pobudki są szlachetne. Nie powierzyłem tego testamentu również żadnemu innemu człowiekowi, gdyż większą ufność niż w ludziach pokładam we wszechmocnym i wszechmądrym Ojcu światów. Zakopuję te księgi głęboko w ziemi, gdyż są ważne. Nad nimi

spocznie drugi testament, który będzie je ochraniać i bronić. Powiem ci tylko o płytszym testamencie, aby głębszy pozostał w ziemi, aż nadejdzie jego czas. Tatella-Sacie powiedziała o obydwu, aby nie przepadły, jeśli mimo wszystko, nie przybędziesz.

A teraz otwórz przede mną twoje serce i ducha, i usłysz, co ja, umarły, a mimo to żyjący, mam Ci do powiedzenia!

Jestem Twoim bratem i chcę nim pozostać nawet wówczas, kiedy szczepy Apaczów obiegnie żałobna wieść: "Winnetou, nasz wódz, nie żyje!" Nauczyłeś mnie, że śmierć jest największym z oszustw tej ziemi. Chcę Ci udowodnić, że ten Twój drogocenny podarek jest najczystsza prawda, a kiedy będą o mnie mówić, że umarłem, chcę rozpostrzeć nad Tobą moje ręce tak samo, jak to czyniłem za życia. Chcę Cię ochraniać mój przyjacielu i bracie, mój bracie, drogi bracie!

Przyprowadził nas ku sobie nawzajem wielki, dobry Manitou. Nie jesteśmy dwoma istotami, lecz jedną. I tak już pozostanie. Nie ma mocy zdolnej temu przeszkodzić. Nie rozdzieli nas nawet grób. Pokonam jego otchłań przychodząc do Ciebie i pozostając z Tobą na zawsze w moim testamencie.

Od kiedy Cię poznałem, byłeś mi zawsze aniołem-stróżem. Ja zaś byłem nim dla Ciebie. Znałeś dla mnie więcej niż każdy z tych, których kochałem. Naśladowałem Cię we wszystkim. Wiele mi dałeś. Ofiarowałeś mi skarby ducha i umysłu, a ja próbowałem je sobie przyswoić. Jestem Twym dłużnikiem i ciesz się, gdyż ten dług nie przygniata, a wynosi. Czemu wszystkie blade twarze nie przyszły do nas, jak Ty sam jeden przyszedłeś do mnie jednego? Powiadam Ci — wszyscy moi czerwoni bracia z taką samą chęcią zaciągnęliby u nich dług, który ja zaciągnąłem! Wdzięczność czerwonej rasy byłaby tak wielka i szczera, jak wdzięczność, którą ma dla Ciebie Twój Winnetou. A tam gdzie wdzięczne są miliony, ziemia staje się niebem.

Ty jednak uczyniłeś jeszcze nieskończenie więcej! Stałeś się przyjacielem nie tylko Twego czerwonego brata, ale i całej wzgardzonej i prześladowanej rasy, choć wiedziałeś i wiesz równie dobrze jak ja, że nadejdzie czas, kiedy z tego powodu sam staniesz się przedmiotem wzgardy i prześladowań. Ale odwagi mój przyjacielu; ja Cię nie opuszczę! W czym nie uwierzą Tobie — żyjącemu — w tym mnie, zmarłemu, wierzyć będą musieli. Jeśli nie będą chcieli zrozumieć, o czym Ty piszesz, daj im do przeczytania to, co ja napisałem. Jestem przekonany, że najśmielszym i najlepszym czynem Twojego Winnetou było właśnie to, że w cichych, świętych godzinach, odłożywszy na bok strzelbę, chwycił dla Ciebie za pióro. Ciężkie dla mnie było to pisanie, bardzo ciężkie przez pióro, które nie chciało słuchać czerwonoskórego. A jednocześnie lekkie, tak lekkie przez serce, które przemawia w każdej linijce, którą zostawiam ludzkiemu rodowi.

Twój Winnetou pozostanie więc przy Tobie także w śmierci, gdyż jego miłość będzie żyć nadal. Będę walczył u Twego boku wiedząc, że walczę o siebie i o swój lud. Dla Twojej ochrony wzniosłem się ku Tobie, Ty zaś uczyni mi miejsce! Wówczas również mój lud wzniesie się ku Twemu i zgładzone zostaną wszystkie jego cierpienia, jeśli nie z jego dziejów, to przynajmniej przed obliczem Manitou, który, jeśli tylko może, sądzi litościwie.

Ty wiesz, że jestem przy Tobie, kiedy Twoe oczy biegną po linijkach, ale niejako duch, spirytystyczny wymysł, lecz jako wierny, gorący puls, którym odtąd w zjednoczeniu z Twoim własnym pulsem bije Twoje serce. Niechby puls ten stał się pulsem całej ludzkości!

Czyż mam okazać się głupcem pisząc Ci to wszystko? Pozdrawiam Cię! Cokolwiek chciałbyś jeszcze ode mnie usłyszeć, znajdziesz na tych wszystkich stronach. Przyniosłem je na Nugget Tsil. Dół już jest wykopany i czeka, by zatrzymać je dla Ciebie. Jestem sam! Jakże Cię umiłowalem, mój bracie! I jakże Cię miłuję! Byłeś mi duchem i rozumem, sercem i wolą. Czym ja byłem dla Ciebie, tym przez Ciebie się stanę. Jak wielka, jak nieskończona jest liczba

tych, którzy chcieliby się tym również stać — Wami... dla Was... dla Was...!

Twój Winnetou

Serduszko siedziała przyciskając się do mnie. Czytałem jej półgłosem. Kiedy skończyłem, nic nie powiedziała. Objęła mnie tylko rękami, oparła głowę na moim ramieniu i płakała. Ja również milczałem. Minęła długa chwila. Potem pozbieraliśmy rękopisy do naczyń i przenieśliśmy do namiotów. List jednak zatrzymałem przy sobie.

— Pokażesz go Młodemu Orłowi? — zapytała.

Przed chwilą pomyślałem dokładnie to samo. Był to jeden z tych częstych i codziennych wypadków, kiedy dokładnie w tej samej chwili przychodzi nam do głowy ta sama myśl.

— Tak, powinien go przeczytać i to jak najszybciej — odparłem.

Podeszliśmy do niego. Wydawał się całkiem obojętny. Kiedy jednak, wraz z kilkoma słowami wyjaśnienia, wręczyłem mu list, jego twarz pojaśniała, jakby padł na nią promień słońca. Zerwał się na równe nogi i pochwyciwszy list powiedział:

— Bardzo dziękuję, mister Burton! Proszę mi wierzyć, że wiem dobrze, co to znaczy otrzymać taki list i z takiej ręki!

— Pokazuję ci go nie bez egoistycznego zamysłu — odparłem.

— Powierzam mianowicie testament Winnetou twojej szczególnej ochronie. Nie mogę pozostawać bez przerwy w pobliżu namiotu. Proszę więc o czujność, ilekroć się sam stąd oddalę. Jak choćby teraz. Idę poszukać Zebulona Entersa.

— A ja muszę się zająćżywieniem dla ciała — oświadczyła Serduszko. — Spełnimy obietnicę, jaką daliśmy braciom; dzisiaj podamy łapy niedźwiedzie. Mam nadzieję, że z pomocą Pappermanna zdołam sobie z nimi poradzić.

O Zebulonie pomyślałem nie tylko ze względu na własne bezpieczeństwo. Do tego, by nie tracić go z oczu bardziej jeszcze przynaglało mnie współczucie. Jego brat zdawał się być uratowany, teraz należało i jemu samemu przyjść na ratunek. Poszedłem jego śladami. Prowadziły w głąb lasu, ale nie w prostej linii jak ślady człowieka, który wie, dokąd idzie, ale raz w jedną stronę, raz w drugą, raz do przodu, raz do tyłu, jakby błądził po omacku. Raz po raz zatrzymywał się, jednak nie nieruchomo, a obracając się i kręcąc, jakby zagrożony był przez jakiegoś niewidzialnego stwora, przed którym musiał się nieustannie mieć na baczności. Tym niewidzialnym stworem były jego własne myśli.

Obserwując uważnie ślady posuwałem się do przodu dość powoli. Wreszcie usłyszałem Zebulona, zanim jeszcze zdołałem go zobaczyć. Mówił coś bardzo głośno. Poszedłem w kierunku, który wskazał mi głos. Zebulon stał oparty o pień wysokiego buka. W pobliżu było sporo krzewów i za nimi się ukryłem. Zebulon zachowywał się tak, jakby miał przed sobą słuchaczy. Gestykulował, kiwał do nich głową. A oto, co mówił:

— Żaden z was już nie żyje, żaden! My dwaj tylko zostaliśmy. Czy i my mamy pójść w wasze ślady? Hariman chce umrzeć, ale ja wolę żyć! Chcę wypełnić wolę ojca, aby i mnie, ostatniego, nie zamordował. Chcę wydać Old Shatterhanda, dostarczyć go komuś pod nóż! Chcę zniszczyć największego wroga ojca, aby samemu pozostać przy życiu. Ale czy uda mi się? Czy mi się to uda? Czy uda mi się?

Przy tym potrójnym pytaniu obracał głową wokoło, jakby przed nim stali półkolem słuchacze. Zamilkł na chwilę jakby słuchając odpowiedzi, a potem mówił dalej:

— Winna jest ta kobieta! Jej niebieskie oczy i dobroć wypisana na twarzy! Staje mi na drodze!

Przyłożył złożone dłonie do ust i oświadczył tajemniczym szeptem:

— To są niebieskie oczy naszej matki. Te kochane, dobre, niebieskie oczy, które tyle razy płakały, aż udręczone bólem serca, zamknęły się na zawsze! Czy dostrzeżliście to podobieństwo? Toż to życzliwość i dobroć naszej matki! Bez wątpienia! Jak się uśmiecha! Jak prosi! Jak przebacza! Czy i te oczy mają płakać z mojego powodu? Czy tak wiele dobroci ma pójść na marne? Przemienić się w nienawiść i żądzę zemsty? Czy jestem w stanie do tego doprowadzić? Czy wolno mi? Z powodu jednego łajdaka? Łajdaka... łajdaka... łajdaka!

Przechylił głowę na bok, jakby słuchał kogoś, kto do niego krzyczy, po czym uczynił gwałtowny ruch sprzeciwu i odpowiedział: ;

— Nie! Ten stary mnie oszukał! Oszukał, oszukał! Tam nie było złota, a tylko kartki... kartki papieru! Czy oszukał mnie także teraz razem z Kiktahanem Szonką? Za życia oszukiwał wszystkich. Teraz nie żyje, ale ciągle jeszcze potrafi oszukiwać! Jego trzeba oszukać! Czy mam się tak pozwolić zwodzić? Naprawdę mam wielką ochotę odpłacić mu tą samą monetą i oszukać go, tak jak on mnie oszukuje, oszukać go z tym Old Shatterhandem! Może nawet tak zrobić! Tak, to całkiem prawdopodobne! Dla tych niebieskich oczu. Chcę wreszcie...

Przerwał swoją przemowę, a właściwie przerwano mu. Z drugiej strony drzewa ukazał się Hariman, który szedł w jego kierunku wołając:

— Cicho, głupcze! Twoje wrzaski zaszkodzą nam obu!

— Oni tu wszyscy byli! — usprawiedliwiał się Zebulon.

— Bzdura! Nikogo tu nie było! Ale jest ktoś, kto może się w każdej chwili pojawić. I jeśli usłyszysz twoje przemowy do drzew, będzie wiedział o wszystkim, co tak skrzętnie ukrywasz!

— O kim mówisz?

— O Old Shatterhandzie! Poszedł do lasu, właśnie w tę stronę, gdzie zniknąłeś. Wiem o tym demonie, który każe ci wygłaszać w samotności głośne mowy. Dlatego poszedłem szybko, by cię ostrzec. Nie wiedziałem jednak, gdzie jesteś, i nie mogłem cię znaleźć. W końcu jednak usłyszałem twoje wrzaski.

— A więc się przydały! Inaczej byś mnie nie znalazł.

— Nie opowiadaj bzdur, tylko chodź ze mną! Wkrótce pora posiłku. Pomyśl tylko — łapy niedźwiedzie! Ciekaw jestem, jak się jej udadzą, robi to pierwszy raz.

— O, jej się wszystko uda, nawet łapy niedźwiedzie! A jeśli nawet nie, to i tak będą smakowały! I to jak jeszcze! Idziemy!

Oddalili się. Pospieszyłem, by jeszcze przed nimi dojść do obozu. Udało mi się. Kiedy wyszli zza drzew siedziałem obok Młodego Orła i wyglądało na to, że wróciłem już jakiś czas temu.

Co ciekawszym czytelnikom, którzy chętnie dowiadują się również o rzeczach mniej istotnych, uroczyście ogłaszam, że łapy niedźwiedzie oceniłem na czwórkę z plusem. Serduszko jest wprawdzie moją żoną, więc w zasadzie powinienem jej wystawić piątkę z gwiazdką, ale byłby to stopień naciągany, a ja nawet w sprawach kulinarnych niechętnie daję sobą manipulować. Gdyby mimo całej pomocy Pappermanna Klareczka całkiem zepsuła łapy, po prostu odmówiłbym wystawienia oceny, jako że zgodnie z paragrafem pięćdziesiątym pierwszym kodeksu postępowania karnego Rzeszy ^Niemieckiej z i lutego 1877 roku w tego typu delikatnych sytuacjach mam jako małżonek prawo odmówić zeznań. Serduszko spisała się jednak nie najgorzej. Szczególnie dzięki jagodom jałowca, grzybom i listkom bylicy całe danie tak dalece odbiegało smakiem od znanej mi przeciętności, że z pewnością oceniłbym je na piątkę lub nawet piątkę z plusem, gdyby Serduszko przetrzymała łapy jeszcze ze dwa, trzy

dni. Winę więc ponosiła nie gospodyni, lecz same łapy. Jeśli więc byłem zmuszony postawić czwórkę z plusem, to gwoźli sprawiedliwości czuję się również zobowiązany uściślić, że czwórka odnosiła się do łap, a plus do mojej żony.

Po posiłku pojechaliśmy oboje — ja i Serduszko — do wspomnianego już drzewa obserwacyjnego stojącego na szczycie góry. Uznałem, że dobrze — będzie rozejrzeć się wokoło. Kobiety Siouxów również zmierzały ku Nugget Tsil i powinny były przejeżdżać tędy na długo przed nami, a tymczasem nie natknęliśmy się na żaden ślad ich obecności. Nie widzieliśmy zresztą w ogóle żadnych śladów. I dlatego postanowiłem się rozejrzeć.

Kiedy dotarliśmy do celu, powietrze było czyste i przejrzyste. Wszedłem na drzewo tak wysoko, jak tylko pozwoliła na to wytrzymałość gałęzi. Poda mną leżał pokryty lasem grzbiet łańcucha Nugget Tsil. Po obu stronach tego leśnego obszaru rozciągała się skąpo porośnięta drzewami preria. Sięgałem wzrokiem bardzo daleko. Nie dostrzegłem jednak ani człowieka, ani zwierzęcia. Miałem ze sobą lunetę i przy jej pomocy przeszukałem dokładnie całą okolicę. Nie natrafiłem na żaden ślad żywej istoty. Dzisiejszej nocy mogliśmy spać spokojnie. Wróciliśmy do obozu, kiedy już się ściemniało. Pappermann zatroszczył się o suche drwa na całą noc. Leżał u wejścia do namiotu niczym świadomy swego zadania wierny pies. Młody Orzeł siedział obok. Entersowie przykucnąwszy przy ogniu piekli swego zająca. Podzielili się nim z nami, a my nie wzbranialiśmy się przed wspólnym posiłkiem. Wydawali się jakby inni, mniej skrępowani. Ich udział w naszej rozmowie był skromny, ale zabierali głos w taki sposób, jakby nic ich z nami nie dzieliło. Dlaczego? Czy mieli teraz mniej niż przedtem na sumieniu? Albo lepiej: czy nie mieli już wobec nas tak wrogich jak przedtem zamiarów? Chyba tak! I dotyczyło to również Zebulona, który zachowywał się tak spokojnie i rozsądnie, jakby zupełnie zapomniał o tym, co się stało przy grobie Inczu-czyny.

Klan aniolów-stróżów

Wydarzenia mijającego dnia spowodowały, że rozmowa dotyczyła Apaczów a w szczególności Winnetou. Opowiedziałem o kilku szczególnie charakterystycznych epizodach mojej z nim znajomości. Pappermann mówił o okolicznościach, w jakich go poznał, a Młody Orzeł przedstawił w głównym zarysie głęboki, również pośmiertny, wpływ zmarłego na Indian, a zwłaszcza na Apaczów i plemiona z nimi spokrewnione. Entersowie przysłuchiwali się nie mówiąc ani słowa, ku mojej radości widać jednak było, że bardzo ich ten temat zajmuje. Od ojca i jego kamratów nasłuchali się o mnie i Winnetou tyle złego, że dawka zupełnie innych, prawdziwych informacji z pewnością nie mogła im zaszkodzić. Młody Orzeł był na tyle wrażliwy, że wyczuł, jakie cele przyświecają mi w rozmowie z braćmi i wspierał mnie w staraniach o to, by ich nienawiść przemieniać w szacunek.

Rozmowę przerwała na krótko kolacja. Po jej zakończeniu Pappermann chwycił za cygaro, których cały zapas zabrał ze sobą z Trinidad. Bracia wyciągnęli z juków swe krótkie fajki i woreczki z tytoniem. Spojrzeli pytająco w kierunku Serduszka, która chętnie skinęła głową udzielając w ten sposób swego pozwolenia na to by zapalili. Młodemu Orłowi obcy był ten nałóg. Twierdził, że pali wyłącznie podczas narad indiańskich, i to tylko kalumet. Co do mnie, to, jak wiadomo, należałem niegdyś do zagorzałych palaczy. Gotów jestem nawet przyznać, że drugiego takiego nie znałem. To była już jednak przeszłość. Przed około pięciu laty Serduszko poprosiła, bym nie palił tak dużo. Jej zdaniem miałem czytelnikom jeszcze zbyt wiele do powiedzenia, by narażać swoje zdrowie i życie. Odłożyłem wtedy cygaro, które właśnie paliłem i powiedziałem: "To było ostatnie cygaro w moim życiu; zrywam z paleniem!". Czemu nie miałem posłuchać żony? Przecież miała rację! Byłem więc dokładnie w tej samej sytuacji co Młody Orzeł: mogłem palić wyłącznie podczas narad indiańskich i to tylko kalumet. Nie znaczy to, bym nie doceniał miłego pobudzenia, jakie niesie z sobą dobre, rozsądnie palone cygaro czy tytoń fajkowy; wiem również doskonale, że naszej fantazji najmilej i najwygodniej unieść się z nizin w przestworza na tytoniowym obłoku. Pamięć zdaje się wtedy żywsza, a duch bardziej wylewny. Miałem to teraz okazję zaobserwować u Młodszego Orła, który wprawdzie nie palił, ale bawił się ręką niebieskimi kółkami i kółeczkami umykającymi z ust Pappermanna. Chłopak wciąga! w siebie z lubością pachnący tytoniowy dym, który zdawał się nadawać jego myślom zupełnie nowy kierunek, a całej postaci inny wyraz. Zdumiewające, że ze swej natury wolny Indianin, który w zasadzie nigdy nie pada ofiarą tytoniowego nałogu mimo to, a może właśnie dlatego, wrażliwy jest na subtelniejsze i bardziej pozytywne oddziaływanie nikotyny. Pali bowiem wyłącznie w ważnych i uroczystych momentach swego życia.

Młody Orzeł posiadał z pewnością bogate życie wewnętrzne, ale należał do ludzi małomównych. Tego wieczoru po raz pierwszy trochę się odsłonił, choć również bardzo ostrożnie i stopniowo. Nie mówił zresztą o sobie, a wyłącznie o Winnetou i miałem wrażenie, że narkotyczny zapach nikotyny w sposób istotny przyczynia się do otwarcia mu ust. Wykorzystując sposobność Serduszko zadała mu pytanie, z którym nosiła się od czasu naszego krótkiego postoju nad jeziorem Kanubi. Młody Apacz wspominał właśnie o swym spotkaniu z piękną Asztą, gdy żona zapytała:

— Widziałam na jej ubraniu gwiazdę, którą ty również nosisz. Co ona oznacza? I co oznaczają dla was imiona: "Winnetou" i "Winnetah"? A może nie wolno ci o tym mówić? Może to tajemnica?

Indianin zamknął na chwilę oczy. Otworzywszy je powiedział:

— To żadna tajemnica. Każdy może o tym wiedzieć. Owszem, życzylibyśmy wręcz sobie, by usłyszał o tym cały świat i by poszedł w nasze ślady. Ale czy mam teraz rzeczywiście na ten temat mówić?

Jego wzrok przemknął po Entersach. Zrozumiałem i odpowiedziałem:

— Czemu nie? Nie widzę przeszkód.

— A więc dobrze.

Znowu zamknął oczy. Zastanowił się chwilę, a potem zaczął mówić:

— Chciałbym, wolałbym mówić do was w języku Apaczów, gdyż to ich mowa tworzy szatę, w której to, o czym mówię, weszło do mojego serca. Mowa bladych twarzy wypacza zamieszkujące moje wnętrza kształty.

Jego oczy ciągle były zamknięte. Teraz otworzył je i mówił dalej:

— Daleko, daleko stąd jest kraj o nazwie Dzinnistan. Wiemy o nim tylko my, czerwoni mężowie. Bładym twarzą jest on nie znany.

Można sobie wyobrazić zdumienie, w jakie wprowadziła mnie ta nazwa i te słowa na ustach Indianina. Podobnie zareagowała Serduszko. Chwyciła mnie szybko za rękę, jakby bez mojego wsparcia nie była zdolna wytrzymać ani chwili, by nie wykrzyknąć, że myli się ogromnie co do naszej niewiedzy.

— Dzinnistan? — zapytałem. — Czy to słowo należy do języka Apaczów?

— Nie, to słowo z zupełnie nieznanego tutaj języka. Działo się to przed wieloma tysiącami lat, kiedy istniało jeszcze połączenie między Ameryką a Azją. To połączenie było daleko na północy. Teraz rozpadło się na oddzielne wyspy. W tamtym czasie, a więc przed tysiącami lat, przez owo połączenie przybyli do naszych przodków wspaniali ludzie, olbrzymi — zarówno pod względem fizycznym, jak i duchowym — przynosząc ze sobą pozdrowienia od swej władczyni, królowej Marimeh. Serduszko ponownie ścisnęła mi ukradkiem rękę. Tak jak i ja domyślała się, że chodzi o naszą Marah Durimeh. Młody Orzeł mówił dalej:

— Posłańcy przynieśli ze sobą cenne podarki. Im jednak nie było wolno przyjąć żadnych, gdyż dar, który ma być odwzajemniony nie jest darem lecz szantażem. Posłańcy Marimeh opowiadali o położonym wysoko w górach królestwie Dzinnistanu, w którym obowiązywało jedno tylko prawo — "prawo anioła-stróża"¹⁶. Każdy poddany tego królestwa musiał być nieznanym aniołem-stróżem innego poddanego. Tego, kto decydował się być stróżem własnego nieprzyjaciela uznawano za bohatera, jako że zdołał przezwyciężyć samego siebie. Spodobało się to naszym praojcom, którzy dorównywali szlachetnością mieszkańcom dalekiego kraju. Poprosili posłańców o pomoc we wprowadzeniu tego prawa w Ameryce. Ci przystali na to chętnie, zrobili, co do nich należało i udali się w drogę powrotną do ojczyzny.

— Czy jeszcze kiedyś wrócili? — spytała Serduszko.

— Ci sami już nigdy, ale pojawili się inni. Każde nowe pokolenie wysyłało swoich posłańców, których zadaniem było przywieźć podarunki i przekonać się, czy "prawo anioła-stróża" jeszcze obowiązuje po drugiej stronie globu ziemskiego. Tak minęło kilka tysiącleci. Niebo zstąpiło na ziemię. Szeroko otwarte zostały bramy raju. Nie było żadnej różnicy między aniołami a ludźmi, bo każdy człowiek był aniołem, aniołem-stróżem drugiego człowieka.

¹⁶ por. Karola Maya *Marchen von Sitara* (Baśń Sitary)

Nagle odwiedziny się urwały i nie doszło już do następnych. Zawalił się most między Ameryką a Azją. Zostały tylko jego filary — wyspy, o które były szalone fale.

— Jeśli mnie pamięć nie myli, stoją do dzisiaj — wtrącił się Pappermann. — Nazywają się chyba Aleuty.

— Zgadza się — przytaknęła Serduszko. — Jest pan doskonały z geografii.

— O, tego bym nie powiedział — zaśmiał się Pappermann

— ale kiedy chodziłem w Niemczech do szkoły, wiedzieliśmy więcej o Aleutach i Cieśninie Beringa niż o własnych miastach i ulicach!

— Od czasu ostatnich odwiedzin minęło wiele, wiele pokoleń — mówił dalej Młody Orzeł. — Połączenie zostało zerwane.

— Czy nie udałoby się go odnowić? — spytała moja żona. Zapytany uśmiechnął się smutnie.

— My ze swej strony nie zrobiliśmy nic — odpowiedział.

— Jak to w zwyczaju Indian! Chcieliśmy żyć w szczęściu i błogosławieństwie, ale bez trudu i wysiłku. Uważaliśmy, że mamy do tego prawo. Szczęście, o które trzeba byłoby walczyć wydawało nam się kosztowne. Sądziliśmy, że odnajdziemy je mniejszym kosztem. Nie przypuszczaliśmy, że oto bada nas wielki, wszechwiedzący Manitou i że on sam nie dopuścił do nas posłańców, aby nami wstrząsnąć i pobudzić do działania. Nasi przodkowie pozostali jednak w bezruchu. Nie okazali wdzięczności za prawo przyniesione z Dżinnistanu. Nie dali nic ani Manitou, ani królowej Marimeh, by zachować swój raj, swoje błogosławieństwo i szczęście. I to był wielki, niewybaczalny grzech naszych przodków, którego skutki dźwigamy po dzień dzisiejszy!

W tym momencie Zebulon westchnął cicho:

— Przodkowie... przodkowie... ojcowie!

— Cicho, nie przeszkadzaj! — upomniął go brat. Młody Orzeł mówił dalej:

— Prawu Dżinnistanu zabrakło w Ameryce dokonującej się z pokolenia na pokolenie odnowy za pośrednictwem posłańców z jego ojczyzny. Słabło coraz bardziej i traciło moc oddziaływania. Aniołowie stali się na powrót ludźmi. Niebo opuściło ziemię. Raj prysł. Umarła miłość. Wróciły rządy nienawiści, zazdrości, egoizmu i pychy. Jedno wielkie królestwo, rządzone przez jedno wielkie prawo poczęło się chwiać w posadach. Jedna wielka rasa, która podniosła się i wzrastała trzymając się tego jednego wielkiego prawa, straciła swój filar i podparcie. Zaczęła się rozpadać, z wolna — na przestrzeni setek lat — ale systematycznie. Władcy stawali się despotami, patriarchowie tyranami. Podczas gdy wcześniej jedynym prawem było prawo miłości, teraz jedynym prawem było prawo przemocy. Tam, gdzie przedtem było błogosławieństwo, tam pojawiło się przekleństwo, tam gdzie przedtem było dążenie do jedności, tam pojawiły się rozbieżne drogi. Jediną nadzieją ratunku zdawała się być siła, bezwzględna dyscyplina. Nadszedł więc czas ciemnych, gnębicieli, okrutników. Rządzili żelazną ręką, ale tylko przez kilkaset lat. Każdy nacisk, również ucisk tyrana wywołuje reakcję, wzrost temperatury, wewnętrzny żar, który dąży do wydobycia się na zewnątrz, do uwolnienia. Ten napór, siłą tylko powstrzymywanych fal przerwał w końcu tamy. Ogromny ciężar minionych tysiącleci wyzwolił się w postaci energii. Dla lepszego wyjaśnienia posłużę się tu geograficznym porównaniem. Najwyżej położone jezioro naciskało na jezioro Michigan, to z kolei na jezioro Huron, a ono na jezioro Erie. Ten potworny ciężar przełamać musiał nawet skalne zapory. I pękły one rzeczywiście! Powstały wodospady Niagary. Najpierw szaleńczy nurt, potem upadek, który rozbija i będzie rozbijał czerwoną rasę na pojedyncze atomy, dopóki z głębin tego upadku nie podniesie się wielka, zbawienna myśl mająca w sobie moc zebrać pył wodny, krople i odpryski z powrotem w

przyszłym Ontario jedności. Ten obraz jest wam pewnie obcy i niewiele mówi...

— Nie jest nam wcale obcy — przerwała mu spiesźnie Serduszko. — Sam w nas powstał i często o nim rozmawialiśmy, zarówno w domu, jak i tutaj. Ostatnio właśnie nad samą Niagarą z Atabaską i Algongką — wodzami...

— Z Atabaską? — podchwycił Młody Orzeł z radosnym niedowierzaniem.

— Tak.

— I Algongką?

— Z nim również. Byli razem.

Młody Orzeł aż skoczył do góry. Przepełniało go tak wielkie uniesienie, że zupełnie zapomniał o niepisanym prawie, które zabrania Indianinowi okazywania zarówno bólu, jak i radości.

— Byli więc razem! Razem! — wykrzyknął. — Aby się spotkać jeden z nich musiał odbyć daleką, trudną podróż! Potem przybyli razem nad Niagarę, ten wielki, wstrząsający obraz naszej przeszłości i teraźniejszości. A potem? Czy wie pani dokąd chcieli się potem udać?

— Na Górę Winnetou.

— Czy to prawda? Czy jest pani zupełnie tego pewna, pani Burton?

— Absolutnie! — zapewniła go Serduszko, a ja przytaknąłem. Młody Orzeł złożył wtedy ręce, podniósł wzrok jak do modlitwy i powiedział tonem prawdziwej i głębokiej radości:

— Na Górę Winnetou! Ocalona... ocalona!

— Co lub kto? — zapytała moja wścibska Klara, której tym razem nie chciałbym nazywać nawet Klareczką.

Zwlekał chwilę z odpowiedzią — w końcu jednak siadając powoli z powrotem na ziemię powiedział:

— Wielka myśl, idea, która miała się podnieść z głębin Niagary. To ona została ocalona.

— A więc już ją macie? Już ją odnaleźliście?

— Jej nie trzeba było znajdować! Była tam od tysięcy lat. Porwana została przez wielki upadek, wciągnięta w wielki wir Niagary. Jednak nie roztrzaskała się i nie rozprysła jak my, lecz właśnie w momencie, gdy wydawało się, że woda pochłonęła ją na zawsze, wypłynęła spośród spienionych odmętów czysta i cudownie lśniąca. Wypłynęła, by przejąć ją i zatrzymali potomkowie tych, którzy niegdyś nie uznali za warte zachodu otoczenie jej stałą troską.

Indianin mówił w porywającym uniesieniu. Widać było i słysząc, że całym swym umysłem i sercem przylgnął do tej sprawy. Również wścibska Klara stała się dla mnie na powrót Klareczką a nawet Serduszkiem, kiedy zachwycona krzyknęła:

— Wiem, o co ci chodzi! Znam tę wielką, zbawczą myśl!

— To zgoła niemożliwe — zaprzeczył Młody Orzeł.

— O nie! Zналиśmy tę myśl prawdopodobnie o wiele wcześniej niż ty! Nie chodzi przecież o nic innego jak o prawo Dzinnistanu: każdy człowiek ma stać się aniołem drugiego człowieka! Czy tak?

Przez jego twarz przemknął wyraz ogromnego lecz radosnego zdumienia.

— Tak, tak! — krzyknął. — Zrozumiała mnie pani! Jak to było możliwe, pani Burton?

— Dzięki temu właśnie, że jak wspominałam, prawo to również nam jest znane — odpowiedziała. — A także dlatego, teraz słuchaj mnie uważnie, że Dzinnistan i królowa

Marimeh nie są dla nas niczym obcym, choć, jak twierdzisz, wiedzieli o nich wyłącznie czerwonoskórzy.

Młody Orzeł nie wiedział, co na to powiedzieć. Patrzył tylko na mnie pytająco.

— Ona się nie myli — potwierdziłem. — Znamy nawet prawdziwe imię królowej. Nazywała się nie Marimeh, a Marah Durimeh. Te pięć sylab skrócono na przestrzeni wieków do trzech.

— Skoro pan to mówi, muszę uwierzyć — odparł. — Jakże mnie to cieszy! Znacie królową, znacie Dzinnistan, znacie również wielkie, cudownie proste a jednak wszechogarniające prawo tego kraju. Jesteście więc dla nas większą i skuteczniejszą pomocą niż Atabaska i Algongka, których także znacie! Czy wiedzą, kim naprawdę jesteście?

— Nie. Nie powiedzieliśmy im tego. Dla nich byliśmy tylko państwem Burton.

Jego zwykle tak poważna twarz zajaśniała znowu ogromną radością.

— Jakże to również mnie cieszy! — powiedział. — Jak się zdziwią na wieść, kim jesteście! I jak głęboko i prawdziwie szczęśliwy będzie Tatella-Sata, mój ukochany mistrz, kiedy się dowie, że Old Shatterhand chce tego samego, co on! Oczekiwał pana, ale z pewnymi obawami, mister Burton!

— Czym spowodowanymi?

— Tym, że Tatella-Sata uważa pana za człowieka bardziej powierzchownego, niż jest w rzeczywistości! Tym, że spodziewa się, iż przykłaśnie pan planom postawienia pomnika, którym chcą się popisać przed światem ludzie powierzchowni i krótkowzroczni. Pana głos wiele znaczy: wie o tym on i wiemy my wszyscy. Jeżeli opowie się pan po stronie fanfaronady, zamiast wytęsknionego odrodzenia czeka nas unicestwienie. Dusza naszego narodu i rasy zbudziła się ze snu. Przeciąga się i porusza. Zaczyna myśleć. Chce odczuwać swe członki jako jedną, spójną całość. Wszystko co rozumne kieruje swe dążenia ku temu błogosławionemu, zwiastującemu przyszłą moc pocuciu jedności. Co jednak mówią Siouxowie, Utahowie, Kiowowie i Komańcze? Chwytają za broń i to nie przeciw białym, ale przeciw samym sobie, przeciwko własnej duszy. Tę dopiero co budzącą się duszę gotowi są zmiażdżyć i zniszczyć na zawsze. Dlaczego?

Na to pytanie sam chciał dać odpowiedź, ale uprzedziła go Serduszko:

— Ponieważ Old Surehand, Apanaczka, ich synowie i inni zwolennicy obrażają te plemiona w ich uzasadnionym plemiennym patriotyzmie przez zamiar okazania wodzowi Apaczów przesadnej czci, do której nie ma on prawa.

Młody Orzeł spojrzał zdumiony i wręcz przestraszony najpierw na nią, a potem na mnie. Zdawał się nie dowierzać własnym uszom.

— Co pani powiedziała, pani Burton? — zapytał. — Przesadnej czci?

— Tak — odpowiedziała Serduszko.

— Do której nie ma on prawa?

— Tak również twierdzą!

— Pani kocha naszego Winnetou? I szanuje go? Mówił teraz bardzo poważnie. Jego twarz była jak

wykuta z marmuru. Twarz mojej żony była równie poważna. Odpowiedziała:

— Kocham go i szanuję tak, jak poza moim mężem nikogo innego na świecie.

— A jednak mówi pani o przesadzie!

Znowu podniósł się z wolna ze swego miejsca. Za nim zrobiła to również Serduszko.

Obydwoje mieli poczucie ogromnej wagi obecnego momentu. Nie mogli dalej siedzieć. Ja również wstałem. Nie tylko dzieliłem z nimi to poczucie, ale miałem przeświadczenie, że w tej chwili zapada decyzja, od której zależeć będzie wiele niezwykle istotnych spraw. Choć byłem trzykrotnie starszy od tego młodzieńca, ani razu nie przyszło mi na myśl uważać się za trzykroć mądrzejszego. Uosabiał on dla mnie nie tylko rodzący się dopiero ruch określony mianem "Młodoindian", lecz również przeznaczenie i przyszłość całej czerwonej rasy. Przez cztery lata przebywał wśród białych, co, jak się wydawało, przyniosło mu nadzwyczajny pożytek. Znał Atabaskę i Algongkę. Korespondował ze słynnym Wakonem. Był uczniem, i jak się domyślałem, ulubieńcem Tatella-Saty, a więc następcą Winnetou w sercu i duszy największego czarownika wszystkich czerwonych ludów. Wszystko to wymagało ode mnie pewnej skromności. Musiałem się strzec wszelkiej wyniosłości! Mimo swego młodego wieku był on dla mnie pod względem duchowym równorzędnym partnerem. Dlatego zwołałem żonę od konieczności dalszego dialogu i odpowiedziałem za nią:

— Właśnie dlatego, że tak go kochamy i szanujemy, nie chcemy i nie możemy pozwolić na to, by stał się pośmiewiskiem dla potomnych. Bez względu na to, jak wielki będzie pomnik widzialny, nie wywyższa go, lecz poniża. Nie tylko nie oddaje mu czci, lecz czci pozbawia. Winnetou nie był ani uczonym, ani artystą — ani zwycięzcą bitew, ani królem. Nie miał żadnych publicznych zasług! Po co mu więc stawiać pomnik? I po co pomnik tak niezwykle i tak kosztowny? Tak krzykliwy. Czym nasz szlachetny przyjaciel zasłużył sobie na taki policzek i obelgę? Nie pomniejszam go mówiąc, że nie był ani uczonym, ani artystą, ani zwycięzcą bitew, ani królem — był bowiem czymś znacznie więcej — był człowiekiem! Był szlachetnym człowiekiem! Pierwszym Indianinem, w którym dusza całej rasy zbudziła się ze śmiertelnego snu. W nim właśnie dusza ta narodziła się na nowo. Dlatego właśnie był i chciał być jedynie duszą! I dlatego wystarczy, że był i pozostał duszą! Precz z monumentami! Mieszkał w naszych sercach i niech w nich pozostanie! Kto będzie chciał nam go stamtąd wyrwać i przycisnąć jakimś metalem czy kamieniem, ten będzie miał z nami do czynienia! Winnetou ma żyć dalej we mnie, w nas, w tobie, w swym ludzie — w duszy swego narodu, który przez niego doszedł do nowej świadomości, do świadomości, że jedyną drogą ratunku dla skazanego na zagładę ludu jest wielkie prawo Dżinnistanu. Winnetou mógł się przecież wykazać jako bohater i przywódca. Wyrzekł się tego, gdyż uznał, że to przyspieszyłoby tylko koniec. Nawoływał do pokoju i gdziekolwiek się pojawił, tam przynosił i rozdawał tylko pokój. Był dla innych aniołem! Był jak anioł dla każdego, kogo spotkał, obojętnie przyjaciela czy wroga! Kiedy zbudziła się w nim dusza jego ludu, zbudziła się w nim też naturalną kolejną rzeczą świadomość anielskiego prawa, w którym dusza ta niegdyś zasnęła. Winnetou jest więc duchowo w prostej linii potomkiem ostatniego, wielkiego, staroindiańskiego władcy, do którego przyszli posłańcy królowej Marimeh, by już więcej nigdy nie powrócić. Czy zrozumieliście to wy, jego czerwoni bracia? Czy zrozumieliście, że żaden lud nie ma prawa pozostawać wiecznie dzieckiem? Czy zrozumieliście, że byliście niegdyś dziećmi i tylko dlatego zmierzaliście do zagłady, że nie chcieliście przestać nimi być? Czy zrozumieliście, że zasnęliście jako dzieci, by po koszmarnych snach Niagary obudzić się mężami? Czy zrozumieliście, że jeśli się nimi nie staniecie, jesteście bezpowrotnie zgubieni? Czy zrozumieliście, co to znaczy stać się mężem? Kimś, kto potrafi działać czerpiąc z własnej energii i nie pozwala innym sobą się posługiwać? Kimś, kto wie, czego chce i dąży do tego nie zbaczając ze swej drogi? Czy zrozumieliście, czym trzeba było odpokutować za to, że setki coraz mniejszych plemion i szczepów indiańskich od tysiąca lat zwalczało się i wyniszczało wzajemnie? Że było to milion-kroć powtarzane samobójstwo, które doprowadziło was do upadku? Że blade twarze ze swoją żądzą krwi i nowych obszarów były tylko różgą w rękę wielkiego, dobrego Manitou, której razy miały was zbudzić ze snu? Że tylko miłością odpokutować możecie za to, co zawiniliście nienawiścią? Że niebo waszych przodków przepadło z chwilą, gdy czerwony mąż stał się diabłem dla swego brata? I że niebo

zstąpi z powrotem na ziemię tylko wówczas gdy każdy czerwony mąż stanie się dla swego brata aniołem, tak jak było w czasach, kiedy królowa Marimeh nie była jeszcze zmuszona pozostawić was samym sobie?

To była długa przemowa. Ale Winnetou napisał przecież w swoim liście, że od dzisiaj jego puls bił będzie razem z moim. Wyraziłem więc głośno myśli, które w innym wypadku prawdopodobnie zatrzymałbym dla siebie. Wzrok Młodego Orła wisiał na moich ustach, jakby chwytając każde padające z nich słowo. Widziałem, że jest zdumiony i że jego zdumienie ciągle rośnie. Ledwo skończyłem zapytał:

— Niech pan powie, mister Burton, czy pan rzeczywiście nigdy nie był u Tatella-Saty?

— Nigdy — odparłem.

— W takim razie czytał pan księgi z jego ogromnej biblioteki?

— Nigdy nie widziałem, a tym bardziej nie czytałem żadnej z jego książek.

— Niezwykłe, zupełnie niezwykle! Od Winnetou również nie mógł pan tego usłyszeć!

— Czego?

— Myśli, które pan przed chwilą przedstawił.

— Każdy człowiek ma swoje myśli. Nie muszę kraść cudzych. Do mnie należą również pytania, które ci zadałem. Możesz na nie odpowiedzieć lub nie.

— Chętnie odpowiem. Nie tylko słowem, ale również czynem. Pytał pan, czy zrozumieliśmy. Być może jeszcze nie wszystko, ale chyba większość. Oto dowód.

Wskazał na dwunastoramienną gwiazdę widniejącą na jego piersi i mówił dalej:

— Pani Burton chciała wiedzieć, co ona oznacza, a więc odpowiadam: że jesteśmy gotowi odpokutować za grzechy przeszłości. Że już nie chcemy nienawidzić, lecz kochać. Że przestaliśmy być diabłami dla swych braci i staramy się na powrót stać się godnymi raj. Mówiąc krótko, że ma u nas znowu obowiązywać prawo Dżinnistanu. Chcemy się wewnętrznie połączyć, a nie dążyć w przeciwnych kierunkach. Chcemy się związać tak ściśle, by żadna moc nie mogła się wdrzeć między nas. Nie mamy żadnego wodza, który nam to rozkazał czynić, sami sobie rozkazujemy. Myśl wyszła od mistrza, od Tatella— Saty. Ja byłem tym, który nadał jej imię Winnetou. Wkrótce było nas dziesięć osób, dwadzieścia, pięćdziesiąt, sto, teraz są nas już tysiące.

— Dlaczego nazwaliście tę ideę właśnie imieniem Winnetou?

— Czy można wymyślić lepsze? Czy Winnetou nie był wzorem w wypełnianiu wszystkich naszych przykazań i praw? I czyż nie wypełniałby ich nawet do tego nie zobowiązany? A co najważniejsze: czyż imiona Winnetou i Old Shatterhanda nie stały się dla Indian symbolem? Symbolem przyjaźni i miłości bliźniego, gotowości niesienia pomocy i ofiarności aż do śmierci? Czyż kiedykolwiek w dziejach było dwóch bardziej prawych i wierniejszych sobie przyjaciół niż oni? I czy określenie: "jeden aniołem-stróżem drugiego" nie odnosi się w sposób najwłaściwszy właśnie do nich obydwu? Nie uczyniliśmy nic szczególnego. Założyliśmy nowy klan, klan, jakich wiele było i jest wśród czerwonych mężów. Każdy jego członek zobowiązuje się przez resztę swego życia, aż do śmierci, być aniołem-stróżem innego. Klan ten mógłby więc nosić nazwę "Klanu aniołów-stróżów", nazwaliśmy go jednak "Klanem Winnetou", gdyż to skromniejsze i bardziej praktyczne określenie. Trafia w sedno rzeczy, czci pamięć najlepszego i najbardziej kochanego wodza wszystkich czasów i wszystkich szczepów Apaczów. Chcemy jednak być wierni prawdzie. Nie chcemy przesadzać. To ma być jedyny pomnik Winnetou, jaki mu wystawili czerwoni pobratymcy. Nie ma lepszego i prawdziwszego od niego. Kolos ze złota lub marmuru górujący z wierzchołka wzniesienia, wpatrzony w daleki horyzont ponad głowami ludu, byłby

kłamstwem i pychą. Kłamstwem i pychą naszą, a nie Winnetou. On nigdy nie kłamał i zawsze był skromny. Tę jego prawdomówność i skromność winniśmy naśladować. On ma się stać naszą duszą. Dopiero to wyniesie go ponad wszystkie szczyty! I będzie większy od każdego kolosa, którego chcą zbudować swymi rękami mali ludzie! Jestem szczęśliwy słysząc, że Old Shatterhand jest tego samego co ja zdania. Chciałbym, by Tatella-Sata jak najszybciej się o tym dowiedział. Czy pozwoli pan, że powiadomię go o tym przez posłańca?

— Z przyjemnością. Kto jednak będzie tym posłańcem? — zapytałem.

— Nikt z nas. Zawołam go.

Odwrócił się na południe i przyłożywszy ręce do ust, wykrzyknął trzy sylaby "Win-ne-tou!" nie za głośno, ale donośnie.

— Win-ne-tou! — zabrzmiało z głębi lasu.

— Czy to echo? — spytała Serduszko.

— Nie — odparł Młody Orzeł. — To inny Winnetou. Była noc. Świeciły gwiazdy. W ich blasku ujrzelismy po

chwili ciemną postać zmierzającą pewnym, acz niespiesznym krokiem w kierunku ogniska. Człowiek ten miał na sobie skórzane ubranie ludzaco podobne do tego, jakie swego czasu nosił Winnetou. Jego włosy związane były z tyłu w zwieszający się na plecy warkocz. Nie miał przy sobie broni. Stanął przed nami. Kiedy na jego twarz padł odbłask ognia, okazało się, że mamy przed sobą mężczyznę w wieku około czterdziestu lat.

— Ty jesteś strażnikiem Nugget Tsil? — spytał Młody Orzeł.

— Tak, to ja — odparł zapytany.

— Wyślij natychmiast posłańca do Tatella-Saty. Powiedz mu, że Młody Orzeł wykonał swoje zadanie i powrócił. Powiedz mu też, że przybył również Old Shatterhand i że odnalazł spadek po Winnetou. Powiedz mu wreszcie, że w sprawie pomnika może mu ufać tak dalece jak samemu sobie!

Wszystko to powiedziane oczywiście zostało w języku Apaczów. Młody Orzeł zrobił pożegnalny gest dłonią, po czym przybysz oddalił się bez słowa.

— Jakie to niezwykle! — powiedziała do mnie Serduszko.

— Wręcz przeciwnie, bardzo proste — odparł Młody Orzeł. — U Tatella-Saty, a więc na Górze Winnetou zapoznać się w szczegółach z organizacją naszego klanu. Przekonacie się wtedy, że nie ma w niej nawet śladu niezwykłości.

— Czy moglibyśmy się już teraz czegoś więcej dowiedzieć?

— Ja wracam po dłuższej nieobecności, nie jestem więc najodpowiedniejszym źródłem informacji. Wprawdzie nawet z daleka nie traciłem łączności z Górą Winnetou, ale tylko w sprawach najwyższej wagi i najszerzego zasięgu. Dlatego nie mam dostatecznych wiadomości, by udzielić szczegółowych informacji.

Entersowie nie odzywali się dotychczas ani słowem. Tym bardziej więc zwróciło naszą uwagę, że właśnie w tym momencie Hariman powiedział:

— To jest dla mnie niezwykle interesujące! Chciałbym się dowiedzieć, czy i biali mogą być członkami tego klanu?

Młody Orzeł odparł:

— Początkowo utworzono go wyłącznie dla Indian. Wykluczać z niego białych byłoby jednak sprzeczne z leżącą u jego podstaw ideą. Chcielibyśmy, by miłość bliźniego, o którą się staramy zjednoczyć nie tylko nas, lecz i całą ludzkość.

— Czy ktoś mógłby nam zabronić założenia dla siebie specjalnego klanu Winnetou?

— Nikt nie ma prawa wydać takiego zakazu.

— Czy każdy człowiek ma prawo wybrać swego podopiecznego?

— Nie. Wolno mu zgłosić swoje życzenia i w miarę możliwości wychodzi mu się naprzeciw. Gdyby jednak każdemu dać całkowicie wolną rękę, wkrótce pojawiłyby się osoby z wieloma opiekunami, a także takie, którymi nikt by się nie opiekował. Ochraniać tego, kogo się kocha nie jest żadną zasługą. Ale być aniołem kogoś, dla kogo się ma nienawiść lub wręcz pogardę, to o wiele trudniejsza i bardziej stroma ścieżka do szlachetnego, prawdziwego człowieczeństwa.

— Czy opiekunowie i podopieczni są ogólnie znani?

— Nie. To tajemnica. Nawet podopieczny nie zna swego anioła.

— Do końca?

— Nie, nie do końca. Do jego śmierci. Imiona obydwu zostają zapisane. A opiekun nosi imię swego podopiecznego po wewnętrznej stronie gwiazdy, którą ma wyszytą na piersiach. Kiedy po jego śmierci gwiazda zostaje oderwana, wszyscy dowiadują się, czym był aniołem.

— Well! Niech zobaczą to także u mnie po mojej śmierci!

— U ciebie? — spytał jego brat zdziwiony.

— Tak, u mnie! — odparł Hariman zdecydowanym tonem. Zebulon roześmiał się na to i spytał:

— Jesteś zamaskowanym Winnetou?

— Nie, ale chcę nim zostać!

— Nie rozśmieszaj mnie! Czy sądzisz, że właśnie ty zostaniesz dopuszczony do klanu jako pierwszy z białych?

— Nie. Nie byłbym aż tak nedorzeczny. Mimo to zostanę Winnetou. To mi się bardzo podoba. Jestem gotów się zaangażować. A ponieważ nie mogę być czerwonym Winnetou, będę białym!

— Jak to zrobisz?

— Najprościej. Zakładam klan białych Winnetou.

— Kiedy?

— Dzisiaj, właśnie teraz, w tym miejscu!

— Zwariowałeś do reszty!

Zebulon podkreślił ten okrzyk lekceważącym ruchem ręki. Hariman nie dał się jednak zbić z tropu. Powiedział:

— Śmiej się, ile chcesz! I szydź, ile chcesz! Ja to i tak zrobię! Muszę to zrobić! Ty również będziesz musiał!

— Ja? Nawet mi się nie śni!

— Czy ci się śni, czy nie, to sprawa drugorzędna. Mnie się również nie śniło. To przychodzi czy się tego chce, czy nie. A kiedy już przyjdzie, trzeba być temu posłusznym. Zakładam więc klan Winnetou dla białych. To czy pozostanę pierwszym i jedynym jego członkiem nie jest w tej chwili najważniejsze. Obojętne mi również, czy się komuś wydaje śmieszny. Chciałbym jednak, by przyłączyła się do mnie przynajmniej jeszcze jedna osoba. Tą osobą jesteś ty, Zebulonie!

— Na to nie licz! — odparł zagadnięty.

— A ja mimo wszystko liczę i przekonasz się, że się nie przeliczę! Pani Burton, jest pani damą i dlatego mniemam, że ma pani w swoim bagażu przybory do szycia!

— Zgadza się — odpowiedziała Serduszko.

— Bardzo proszę o igłę i nitkę, dobrą czarną dratwę! I o nożyczki!

— Zaraz przyniosę — odpowiedziała i poszła do namiotu.

— A pan, panie Burton, jest pisarzem — rzekł zwracając się do mnie. — Przypuszczam, że i tu, na dalekim Zachodzie ma pan gdzieś przy sobie atrament i pióro?

— Owszem, mam komplet podróżny — odpowiedziałem.

— Proszę więc o pióro i parę kropli atramentu! Papier mam.

— Żona przyniesie wszystko.

— Do czego potrzebny ci atrament i pióro? — zapytał Zebulon.

— Żeby napisać imię osoby, którą biorę pod swoją opiekę.

— Zwariował, naprawdę zwariował! Czy mogę chociaż wiedzieć, kim jest ta osoba?

— Nie! Nikt tego nie może wiedzieć! A ty najmniej! Kiedy Serduszko przyniosła potrzebne przedmioty, Hariman wyciął ze skóry zjedzonego dzisiaj zająca małą, dwunastoramienną gwiazdę i swoim ostrym nożem usunął z niej sierść. Potem wyciął mały kawałek papieru i położywszy go na kolanie, długimi, starannymi pociągnięciami wykaligrafował na nim-imię swego podopiecznego. Wreszcie oznaczył odpowiednie miejsce na froncie swojej marynarki i zdjawszy ją z siebie zabrał się do szycia. Zebulon śledził każdy jego ruch z ogromną uwagą. Na jego twarzy malowało się to szyderstwo, to ogromne, bojaźliwe napięcie. Hariman nie miał w szyciu żadnej wprawy. Już po kilku przeciągnięciach nici musiał na powrót odrywać gwiazdę. Wkrótce historia powtórzyła się. Zaczął się niecierpliwić.

— Wygląda na to, że nie robię nic dobrego. Ale ja to i tak zrobię! — złościł się.

— A może mnie pan pozwoli przyszyć gwiazdę? Zrobię to szybciej i bez trudu.

— Naprawdę, pani Burton? Byłoby to bardzo miło z pani strony! Proszę bardzo — oto marynarka, gwiazda i złożony paperek, który ma się pod nią znaleźć, a do tego nożyczki, igła i cała reszta! Proszę tylko nie rozkładać papieru i nie czytać, co napisałem!

Serduszko umieściła papier w odpowiednim miejscu i z największą starannością zaczęła przyszywać na nim skórzaną gwiazdę. Dwanaście ramion wymagało dłuższej pracy.

— Ja sobie tyle trudu nie chciałem zadać — przyznał Hariman. A po chwili jakby do siebie dodał: — To niesamowite! Kiedy pisałem to imię, czułem się, jakbym podpisywał własny wyrok śmierci. A mimo to było mi bardzo lekko i dobrze na duszy!

Zebulon był w najwyższym stopniu skupiony. Nie spuszczał oczu z mojej żony, ale bardziej interesowała go jej twarz niż pracująca ręka. Od czasu do czasu zamykał oczy, jakby go coś w środku bolało. Nagle — o dziwo! — dostrzegłem, że z czoła ścieka mu coś kropla po kropli! Czyżby się tak pocił? Jego ręce chwyciły kurczowo skórę zająca. Również Zebulon zdawał się działać wbrew własnej woli. Wziął nożyczki i za przykładem brata wyciął ze skóry dwunastoramienną gwiazdę. Robił to z ogromnym ociąganiem i w jakimś wewnętrznym rozdarciu — niemal jak we śnie. Obciął sierść i z wielkim wahaniem podsunął Serduszku mówiąc:

— Proszę, pani Burton, mnie też!

— Przyszyć?

— Przyszyć — skinął głową.

— Razem z papierkiem?

— Tak, z papierkiem i imieniem. Zaraz napiszę.

— A więc jednak! Mówiłem ci! — zawołał Hariman.

— Milcz! — warknął na niego Zebulon. — Nie robię tego, bo ty tego chciałeś, tylko dlatego, że sam tego chcę! Ja też potrafię kogoś ochronić! Jasne?

— Ale kogo? — spytał Hariman.

— To moja sprawa! Ty mi też nie powiedziałeś kogo? A teraz nie dowiesz się, co ja napisałem!

Wziął pióro i papier i zaczął pisać. Musiało to być krótkie imię liczące parę tylko sylab, zanim je jednak napisał minęło sporo czasu. Kilkakrotnie przerywał pisanie. Wciągał głęboko powietrze. Wreszcie skończył, poczekał aż atrament wyschnie i kilkakrotnie złożony papierek podał go Serduszkowi.

Bracia pozornie nie zrobili niczego nadzwyczajnego. Niejeden nazwałby to na moim miejscu dziecinadą i zabawą. Mnie jednak zupełnie nie było do śmiechu. Miałem wrażenie, że w obu przypadkach zaistniał jakiś wewnętrzny przymus, któremu żaden z braci nie potrafił się przeciwstawić.

Kiedy Serduszko skończyła pracę, bracia założyli z powrotem marynarki. Patrzyli na siebie — najpierw poważnie, niemal wrogo, potem coraz przyjaźniej. Wreszcie Hariman roześmiał się. Zebulon tylko się uśmiechnął.

— Wiesz, kim teraz jesteś? — spytał Hariman.

— Jestem Winnetou.

— Tak, ale czy wiesz, co to oznacza?

— Że jestem aniołem-stróżem dla osoby, którą mam ochraniać.

— Nie tylko! Nie to miałem na myśli, bo to rozumie się samo przez się! Nosisz teraz imię kogoś, kogo nienawidziliśmy taką nienawiścią, jaką można mieć tylko dla bestii lub diabła!

— Ty również!

— Zgadza się! Ale czy zastanowiłeś się nad tym, że oznacza to koniec tej nienawiści? Że musi oznaczać jej koniec?

— Nad niczym się nie zastanawiałem — wybuchnął Zebulon.

— Robię to, co chcę! Zastanawianie się oznacza dla mnie tylko jakiś wewnętrzny przymus. Jestem teraz Winnetou i...

— Nie, nie jest pan nim jeszcze — wpadł mu w słowo Młody Orzeł.

Po raz pierwszy odezwał się dobrowolnie do Zebulona.

— Jak to? — spytał tenże. — Czy czegoś jeszcze brakuje?

— Tak.

— Czego?

— Przysięgi.

— Przysięgi? Trzeba przysięgać? Ślubować? Co mianowicie?

— Wierność aż do śmierci swemu zobowiązaniu. Czerwoni mężowie nie potrzebują przysięgi. Wystarczy im podanie ręki, które jest dla nich tak samo święte jak przysięga.

— Dla nas również! — zawołał Hariman.

— Tak, dla nas również! — zawtórował mu brat.

— A więc wstańcie! — polecił im Młody Orzeł. Wstali. Ja również podniosłem się ze swego miejsca.

Pappermann rzucił w tym momencie do ognia wielkie, żywiczne bierwiono. Płomień skoczył do góry. Ogniste języki rozbiegły się we wszystkich kierunkach. Zdawało się, że las ożywiły blade widma. Poruszyły się i zaczęły skakać to w jedną, to w drugą stronę mroczne cienie drzew i krzewów. Wybiegały ku górze i spadały na dół.

— Podajcie sobie ręce! — rozkazał Indianin. Posłuchali. Zbliżył się wtedy do nich, położył swoje

dłonie na ich złączonych dłoniach i zażądał.

— Powtarzajcie teraz za mną: Naszym podopiecznym wierni aż do śmierci!

— Naszym podopiecznym wierni aż do śmierci! — zabrzmiało jakby z jednych ust.

— To słowo jest naszą przysięgą! Powtórzcie!

— To słowo jest naszą przysięgą! — zawtórowali.

— Dobrze! Teraz każdy z was może się uważać za Winnetou. Ale nie gwiazda was nim czyni, lecz wola. I tej woli dalsie wyraz. Ja jestem tego świadkiem. Podajcie mi jako świadkowi wasze ręce.

— Oto moja! — powiedział Hariman wyciągając dłoń.

— A to moja! — powiedział Zebulon.

Apacz chwycił w swe ręce obie dłonie i zapytał:

— Czy jesteście świadomi wagi tej chwili? Milczeli. Mówił więc dalej:

— To, co wam nie jest wiadome, wiadome jest Manitou, a to, czego wy nie możecie, może Manitou. Kto czuwa nad innymi, czuwa nad sobą. Z chwilą, gdy zobowiązaliście się być aniołami swoich podopiecznych, oni też stali się waszymi aniołami. Pozostańcie wierni sobie, i im! To jedyne podziękowanie, jakiego od was oczekują!

Ciemny Włos

Następnego dnia zamierzałem przejrzeć odnalezione teksty, ale nadzieja, że będę się mógł nimi zająć okazała się niestety płonna. Piliśmy właśnie ranną kawę, kiedy na południowym końcu polanki pojawiła się między drzewami jakaś indiańska sylwetka. Indianin podszedł do nas. Był to ten sam Winnetou, którego widzieliśmy wczoraj wieczorem. Zwracał się tylko do Młodego Orła. Na nas zdawał się nawet nie patrzeć. Mówił nie po angielsku, lecz w swym ojczystym języku.

— Zbliżają się jeźdźcy — zameldował.

— Skąd? — zapytał nasz młody indiański przyjaciel.

— Z północo-zachodo-zachodu.

— Ilu? _f

— Duża grupa. Nie mogliśmy policzyć. Byli za daleko.

— Przyjdź więc jak najszybciej zameldować o liczbie. Winnetou oddalił się, ale po dziesięciu minutach był już

z powrotem. Powiedział:

— To mężczyźni i kobiety. Dwudziestu mężczyzn i cztery razy po dziesięć squaw. Z tyłu sporo juczych mułów.

— Jak są daleko?

— Będą na Nugget Tsil za kwadrans.

— Niech przyjeżdżają. Obserwujcie ich z ukrycia. To kobiety Siouxów udające się na Górę Winnetou. Kim są mężczyźni, tego jeszcze nie wiem. My pojedziemy stąd do Deklil-to. Chyba już nie będę potrzebował twojej pomocy.

Winnetou oddalił się nie wymówiwszy nawet sylaby, która nie dotyczyłaby złeconego mu zadania. Wspaniała dyscyplina! Wieść o spodziewanych przybyszach wprawiła starego, pocziwego Pappermanna w podniecenie, którego mimo wszelkich wysiłków nie potrafił ukryć. Entersowie spoglądali niepewnie. Zapytali, czy nie powinni się od nas odłączyć.

— Jesteście teraz z nami i z nami zostanieie — odparłem.

— Nie mówcie tylko, kim jestem.

Na tym też stanęło. I ja, i Serduszko oczekiwaliśmy przybyszów z ogromnym zainteresowaniem, choć ja żałowałem trochę, że nie mogę się zająć rękopisami. Minęły dwa kwadransy. Naszym gościom nie było spieszo. Wreszcie, po z górą godzinie, usłyszeliśmy ich z daleka. Szli pieszo. Konie, ze względu na strome miejscami przejścia, zostały u podnóża. Zauważyli nas, zanim jeszcze wyszli z lasu. Wywnioskowaliśmy to z tego, iż nagle ucichły wśród nich wszelkie rozmowy. Po chwili ujrzelśmy bardzo wysokiego i bardzo wychudzonego mężczyznę. Zmierzał w naszym kierunku kołysząc się na swych długich nogach. Ubrany był nie po indiańsku, lecz w elegancki garnitur w stylu amerykańskim z nadzwyczaj wysokim, śnieżnobiałym kołnierzykiem i mankietami równie olśniewającej

białości. Na jego piersi połyskiwała dumnie, wpięta w klapę, prawdziwa, wielka perła. Na palcach mieniły się w słońcu sygnety z diamentami i innymi szlachetnymi kamieniami. Miał olbrzymie dłonie i stopy, ale były one niczym w porównaniu z jego nosem. Taki nos mógł odziedziczyć tylko po wielkonosej Indiance, która wyszła za mąż za wielkonosego Ormianina. Był to nos tak wąski, jakby pozostała z niego tylko przegroda. Przy tym nosie wścibskie, bezrzesne oczy mężczyzny wydawały się nieproporcjonalnie małe. Twarz była wąska. Głowa robiła w sumie wrażenie ptasiej, ale nie była to głowa śmiałego orła, lecz raczej pieprzjada o monstualnym dziobie.

Tenże więc mężczyzna podszedł do nas rozkołysanym krokiem i bez słowa jakiegokolwiek pozdrowienia zaczął się nam po kolei przyglądać — chciałoby się rzec, jak przedmiotom lub ludziom nie przedstawiającym żadnej wartości, którzy pozwolić powinni na wszystko bez protestu. Potem zapytał:

— Kim jesteście?

Jego głos zabrzmiał ostro i przenikliwie. Ludzie o takim głosie zwykle są pozbawieni uczuć i skrupułów. Rzecz jasna nie otrzymał żadnej odpowiedzi i dlatego zapytał ponownie:

— Kim jesteście? Muszę to wiedzieć!

Zarówno ja, jak i Serduszko dalecy byliśmy od tego, by z nim rozmawiać; tym bardziej Młody Orzeł. Entersowie mieli powody, by trzymać się na uboczu, tak że w końcu głos zabrał Pappermann:

— Musi pan to wiedzieć! Musi! Doprawdy? A cóż pana przymusza?

— Co mnie przymusza? — zapytał zdumiony przybysz.

— Nie ma tu mowy o żadnym przymusie. Ja chcę to wiedzieć!

— Ach, chce pan! To coś zupełnie innego! A więc niech pan dalej chce! Ciekaw jestem, czy to panu w czymś pomoże.

— Pomoże tyle ile zechcę! Jeżeli ma pan nadal zamiar się wygłupiać, to mamy sposoby, żeby na panu wymóc trochę powagi!

My wszyscy siedzieliśmy. Tylko Pappermann podniósł się na widok gościa. Podszedł do niego, stanął w rozkroku i zapytał:

— Mówi pan: wymóc? Na nas wymóc? Pan na nas chciałby coś wymóc? Muszę się przypatrzeć człowiekowi, który coś takiego twierdzi!

Chwycił go za ramiona, obrócił nieco w lewo, potem w prawo, wreszcie na około. Na koniec potrząsnął nim tak silnie, że niemal usłyszeliśmy grzechot jego kości, i powiedział:

— Hm! Zastanawiające! Nie jestem przecież taki głupi! Ale z panem nie mogę się połączyć! Pan nie jest czystej krwi Indianinem? Raczej pół-Indianinem, prawda?

Zapytany miał właśnie zacząć krzyczeć, ale stary westman uprzedził wybuch potrząsając nim ponownie. Powiedział przy tym ostrzegawczym tonem:

— Spokój! Żadnych grubiaństw i obelg! Nie pozwolę na to! Komuś, kto przychodzi do obcych ludzi i nie mówiąc nawet "dzień dobry", próbuje ich zmusić do mówienia o sobie brakuje po pierwsze ogłady, a po drugie rozumu. To jest nasze obozowisko. Zgodnie z prawem prerii należy do nas aż do chwili, kiedy zdecydujemy się je opuścić. Byliśmy tu przed wami. Jesteśmy więc u siebie w domu. A kto do niego wchodzi, ten powinien się z nami najuprzejmiej przywitać i powiedzieć, kto zacz i czego chce. Jasne? A teraz proszę mi powiedzieć, jak się pan nazywa! Ale już! Nie żartuję! Szybko potrafię nauczyć śpiewać takiego ptaszka jak pan!

Ciągle jeszcze trzymał go za ramiona i to tak mocno, że przybysz wykrzywił twarz z bólu

i wystękał żałośnie:

— Niech mnie pan chociaż puści! Nazywam się Okih-czin-cza, a wśród białych twarzy noszę imię Antonius Paper.

— Antonius Paper vel Okih-czin-cza! Doskonale! Ale nie jest pan pełnej krwi Indianinem?

— Nie.

— Lecz pół-krwi, mieszańcem?

— Tak.

— Pana matka była Indianką?

— Tak.

— Z jakiego plemienia?

— Siouxów.

— A pański ojciec?

— Przybył tu z Ziemi Świętej i był z pochodzenia Ormianinem.

— Jaka szkoda!

— Nie rozumiem...

— Żał mi Ziemi Świętej, której nie było dane stać się miejscem pańskiego urodzenia! Ormianie zajmują się w Ameryce przeważnie handlem. Czy pan również?

— Ja jestem bankierem! — odparł zapytany z dumą. A teraz niech pan mnie puści i powie, kim pan jest!

— Już się robi. Jestem starym, ogólnie znanym włóczęgą preriowym, a nazywam się Pappermann, Maksz Pappermann, jasne? Nawiasem mówiąc moim głównym zajęciem jest korygowanie manier grubianom i dolewanie oleju do głowy głupcom. Zdaje się, że nie jest pan sam... Tam wśród drzew siedzą chyba pańscy towarzysze?

— Tak.

— Czy są to również kobiety? Kobiety Siouxów, które jadą na Górę Winnetou?

— Tak. Skąd pan to wie?

— To moja sprawa. A kim są mężczyźni?

— To członkowie komitetu wraz z obsługą i przewodnikami.

— Cóż to za komitet?

— Komitet budowy pomnika jednego...

Urwał w pół zdania. Przypomniawszy sobie, że białych nie wolno wtajemniczać w sprawę. Dlatego też powiedział:

— Niech pan ich sam zapyta! Nie jestem upoważniony do udzielania informacji o celach tego komitetu! I niech pan mnie wreszcie puści!

Raz jeszcze potężnie nim potrząsnąwszy, Pappermann wypuścił go wreszcie ze swych rąk i powiedział:

— Niech pan więc do nich pójdzie i przedstawi mnie! W szczególności damom! Nie jestem odosobniony w przekonaniu, że najpierw należy się zawsze grzecznie przywitać!

Antonius Paper poszedł rozkołysanym krokiem z powrotem na polankę i po chwili zniknął między drzewami. Jego indiańskie imię Okin-czin-cza, które w języku Siouxów oznacza tyle co "chłopiec", wskazywałoby na to, że już od młodości nie wyróżniał się

szczególnie męskimi cechami czy czynami. Był skarbnikiem komitetu budowy pomnika Winnetou. Czytelnik pamięta być może, że ta właśnie postać i jej stosunek do Old Surehanda wzbudziły od początku moje podejrzenia. Pierwsze osobiste zetknięcie również nie wypadło dla niego najkorzystniej. Serduszko podzielała mój pogląd.

— Mieszaniec! — powiedziała. — Zawsze twierdziłeś, że mieszańcy zwykle dziedziczą po rodzicach tylko najgorsze skłonności...

— Tak, przeważnie. Ale patrz! Ktoś idzie!

Ledwo padło z ust pół-Indianina nazwisko Pappermann, rozległ się donośny kobiecy okrzyk i z lasu wyloniły się dwie niewieście sylwetki zmierzające szybkim krokiem w kierunku obozowiska. Była to Aszta, którą spotkaliśmy nad jeziorem Kanubi, oraz najprawdopodobniej jej matka. Za nimi wyszły również pozostałe kobiety, a na końcu wolniejszym, godniejszym krokiem podążali mężczyźni.

Wstaliśmy wszyscy.

— Ledwo się trzymam na nogach! — powiedział Pappermann. Oparł się o najbliższy pień drzewa. Jego szeroko rozwarte, wierne i dobre oczy wpatrywały się z błogim wyrazem w obie zbliżające się postacie. Od razu uderzyło nas ogromne podobieństwo między matką i córką, przejawiające się nie tylko w rysach twarzy, ale także w chodzie, postawie, sposobie poruszania się. Na dodatek obie miały na sobie identyczne ubrania, takie same zresztą jak cała reszta Indianek. Wszystkie też nosiły gwiazdę klanu Winnetou.

Obie miały na imię Aszta. Szły trzymając się za ręce. Matka liczyła sobie niemal pięćdziesiąt lat, ale nadal była piękna — tym pięknem, w którym nie mniejszy udział od ciała ma dusza.

— To on! — powiedziała córka, wskazując na Pappermanna. — A tam stoi Młody Orzeł, o którym ci również opowiadałam.

Jej matka nie zważała jednak teraz na Indianina, lecz całą swą uwagę skupiła na starym westmanie. Puściła rękę swojej córki, przystanęła na moment i popatrzywszy na niego powiedziała:

— Tak, to on — kochany, dobry, skromny!

Podeszła do niego, chwyciła za obie ręce i podniósłszy na niego swe piękne, ciemne ale cudownie przejrzyste oczy zapytała:

— Dlaczego pan nigdy nie przyjechał? Dlaczego pan zawsze przed nami uciekał? To okrutne odrzucać płynące z głębi serc podziękowanie!

Uniosła ręce, przygarnęła go do siebie i pocałowała w czoło i oba policzki. Więcej Pappermann nie potrafił wytrzymać. Zaszlochał głośno, odwrócił się i pobiegł w las.

— Całują się! — zabrzmiało wokół ostro i przenikliwie. To był pół-Indianin stojący z tyłu wśród innych mężczyzn. Wszystkie oczy zwróciły się na niego.

— Co za bezczelność! — krzyknęła córka. — Zapłaci mi za to!

Uniosła groźnie rękę i rzuciła się w jego stronę.

— Aszta! — rozległ się głos matki. — Nie dotykaj go! Jest nieczysty!

Córka zatrzymała się i wróciła do matki. Ta wzięła dziewczynę za rękę i powiedziała tak głośno, że wszyscy mogli ją wyraźnie usłyszeć:

— Chodź, poszukamy naszego przyjaciela i wybawcy, bo stoi trzykroć wyżej od tego, który śmie szydzić z wdzięczności!

Poszły w stronę, gdzie przed chwilą zniknął Pappermann. Spodziewałem się, że nastąpi teraz chwila kłopotliwego milczenia, które koniecznie trzeba będzie przerwać, ale byłem w

błądzie. Antonius Paper czy też Okih-czin-cza miał tak grubą skórę, że tego rodzaju upomnienia nie miały szans przez nią przeniknąć. Zachowywał się tak, jakby zupełnie nic się nie stało i znowu przemawiał pewnym siebie tonem, tym razem do stojących obok niego mężczyzn, którzy choć ubrani po indiańsku najwyraźniej nie mieli dotąd zbyt wiele wspólnego z prerią i dziewiczymi lasami.

— Rzecznik tej grupki niestety się oddalił. Nie może nam więc powiedzieć, kim są pozostali jej członkowie. To nie szkodzi i tak się dowiemy. Ja się o to zatroszczę!

Podszedł do nas.

— Nieszczęśnik! — powiedziała Serduszko. — Teraz się chyba przyczepi do ciebie!

— Bardzo szybko się też odczepi — odparłem z uśmiechem.

Obawy mojej żony potwierdziły się. Człowiek ów zwrócił się teraz do mnie. Wszyscy czekali z napięciem na jego pytania i moje odpowiedzi.

— Mister Pappermann uznał za stosowne się wycofać — rozpoczął mój rozmówca — zwracam się więc do pana. Jak się pan nazywa?

— Burton — odpowiedziałem.

— A towarzysząca panu dama?

— To moja żona.

— A ci panowie, tam z tyłu?

— To bracia. Pan Hariman i Zebulon Enters.

Nie dostrzegając Młodego Orła, który stał na uboczu, pan Paper kontynuował przesłuchanie:

— Skąd przyjeżdżacie?

— Ze Wschodu.

— A dokąd jedziecie?

— Na Zachód.

— Niech pan nie opowiada bzdur! Tutaj też jest Zachód! Jeśli pytam, to chodzi mi o nazwy miejscowości, a nie o ogólniki, z których nic nie wynika!

Zanim jednak jeszcze zdążył skończyć wymierzyłem mu taki siarczasty policzek, że zakręcił się w miejscu i zwałił na ziemię. Zwracając się nieco na prawo powiedziałem:

— Zechcą panie wybaczyć, że las powtórzył echem to, co usłyszał. W końcu jesteśmy w lesie!

A odwracając głowę w lewo dodałem:

— Proszę któregoś z panów o kontynuowanie rozmowy. Mister Paper prawdopodobnie już zrezygnuje.

— Zrezygnuję? — krzyknął tenże podnosząc się z ziemi. — Zobaczymy! Zostałem uderzony... uderzony! To panu nie ujdzie na sucho!

Pospiesznie przetrząsał kieszenie, by w końcu wydobyć z nich elegancki scyzoryk. Otworzył go ostrożnie z obawy przed skaleczeniem. Do tego wydobył skądś salonowy rewolwerek. Odbezpieczył go i odciągnął spust. Zakończywszy te mrozące krew w żyłach przygotowania ruszył na mnie. I byłby się jeszcze bardziej skompromitował, gdyby jeden z mężczyzn nie odsunął go na bok i nie powiedział:

— Niech pan schowa broń, mister Paper! Z ludźmi gwałtownymi rozmawia się inaczej.

Podszedł do mnie z uprzejmym uśmiechem i kłaniając się jeszcze uprzejmiej powiedział:

— Chcielibyśmy się panu przedstawić, mister Burton. Jestem agentem i działam praktycznie w każdej branży. Nazywam się Evening. To jest pan Bell, Simon Bell, profesor psychiatrii. A to pan Edward Summer, również profesor, ściślej profesor filologii klasycznej. Czy to pana zadawała?

Widać było wyraźnie, że spodziewał się zrobić na mnie wrażenie. Przyznam, że o obydwu profesorach myślałem do tej pory z całym szacunkiem, choć nigdy ich przedtem nie widziałem. Zamierzałem zachować się wobec nich możliwie najuprzejmiej i pod każdym względem starać się wyjść im naprzeciw, tym bardziej, że cała czwórka tworzyła wspólnie z Old Surehandem komitet, w którego rękach spoczywał los pomnika Winnetou. Skłoniłem się więc równie uprzejmie i odpowiedziałem:

— Czuję się zaszczycony poznając tak wybitne osobistości i gotów jestem dowieść tego czynem, o ile moje usługi mogłyby okazać się użyteczne.

— To bardzo uprzejmie z pana strony! Sposobność ku temu się już nadarza. Przybyliśmy na to miejsce w ważnej sprawie, sądząc, że nikogo tu nie zastaniemy. Wasza obecność nie jest nam na rękę.

Uprzejmość tonu dorównywała więc grubiaństwu treści. Popatrzyłem na profesorów zwlekając z odpowiedzią.

— Pan mnie zrozumiał?

— Oczywiście — odparłem. — Jasno się pan wyraził.

— A więc?

— Chce pan, byśmy stąd odjechali?

— Tak.

— Wszyscy?

— Wszyscy!

— Daleko?

— Co za pytanie! Oczywiście nie chodzi o dziesięć, dwadzieścia czy pięćdziesiąt kroków. Macie się stąd wynieść na dobre.

— Czy jest to również życzenie panów profesorów? Zapytani potwierdzili z całym zdecydowaniem, a agent

dodał gwoli wyjaśnienia:

— Wydaje się pan być człowiekiem bardzo gwałtownym. Ta sprawa natomiast wymaga tyle delikatności, taktu i dyskrecji, że z całą pewnością nie pasuje pan do tego miejsca.

— Rozumiem pana, mister Evening. Tak, rozumiem pana. Rzeczywiście lepiej będzie, jeśli opuścimy to miejsce.

— Chodzi o to, byście odjechali naprawdę, a nie tylko pozornie.

— Oczywiście.

— A kiedy to zrobicie?

— W tej chwili. Proszę dać nam tylko tyle czasu, ile potrzeba na zwinięcie namiotu i osiodłanie koni.

— Z przyjemnością! Jest pan rozsądniejszy, niż myślałem.

Zająłem się z żoną namiotem poprosiwszy również o pomoc Entersów.

— Jaka szkoda! — poskarżyła się cicho Serduszko. — Jaka szkoda, że to święte miejsce musimy opuścić w ten sposób!

Spostrzegłem, że jest bliska leż.

— Uspokój się, kochanie! — poprosiłem. W drodze powrotnej znowu tu zawitamy, a pewien jestem, że w innej atmosferze i asyście.

— Ale czy tak musi teraz być? Czy musimy ustępować? Takim ludziom? Czy nie mamy jeszcze większego niż oni prawa być tutaj? Czy to nie słabość z twojej strony?

— Przeciwnie, zwycięstwo.

— Mam ochotę cię poprosić, byś mi to wytłumaczył!

— Nie ma potrzeby. Sama się przekonasz, zanim jeszcze stąd odjedziemy. Stoczyliśmy tu pierwszą walkę o nasze ideały. Bardzo cię proszę, pośpiesz się jak najbardziej przy pakowaniu!

Z pakowaniem poszło nam znacznie szybciej, niż się spodziewaliśmy. Panowie z komitetu byli tak dobrzy, że posłali nam do pomocy paru swoich służących. Kiedy Aszta-matka i Aszta-córka wróciły z Pappermannem, byliśmy już gotowi do odjazdu. Cała trójka przysła trzymając się za ręce. Pappermann szedł prowadzony z jednej strony przez matkę, a z drugiej przez córkę. Jego starą pocziwą twarz rozjaśniała czysta, głęboka radość. Na widok objuczonych już mułów i nas czekających przy koniach — Młody Orzeł siedział już nawet w siodle — zawołał zdumiony:

— Co to znaczy? Czyżbyście chcieli gdzieś jechać?

— Tak — odparłem. — Niech pan siada na konia!

— To niemożliwe! Obiecałem, że zostanę!

— A więc niech pan zostanie! Słowa należy dotrzymywać! Ja natomiast obiecałem, że opuszczę Nugget Tsil, i to bez zwłoki!

— Komu pan to obiecał?

— Tym oto dżentelmenom. Wskazałem na członków komitetu.

— Jesteśmy ich zdaniem zbyt gwałtowni! — nie wytrzymał już dłużej Hariman Enters.

— Nie dość delikatni, dyskretni i taktowni — dorzucił Zebulon. — Uważają, że pan Burton nie pasuje do tego miejsca.

— Co za niesłychane grubiaństwo! — wybuchnął Pappermann. — Pan Burton jest człowiekiem...

— Cicho! — przerwałem mu. — Komu obiecał pan tu pozostać?

— Tym oto damom.

— Jak długo?

— Nie było o tym mowy. Na pewno do jutra rano. Mamy sobie tyle do powiedzenia. Czy naprawdę musicie jechać?

— Tak, bezwzględnie. Pan może tu zostać i jutro nas dogonić.

— Co? Mam zostawić pana i pańską żonę? Byłbym szubrawcem! O, nie! Jadę z wami! Poproszę panie o zwolnienie mnie z danego słowa! Na pewno się zgodzą! Obiecuję im, że bardzo szybko znowu się zobaczymy!

Z niedźwiedzią, ale tym bardziej wzruszającą czułością ucałował dłonie obydwu Indianek i podszedł do swego osiodłanego już muła. Aszta-matka wyprostowała się i zapytała głośnym, władczym głosem:

— Co tu się stało? Chcę to wiedzieć ja, żona nieprzekupnego Wakona, który nie zgodził się zostać członkiem tego komitetu! Kto mi odpowie?

— On ci odpowie! Ten, który nadjeżdża! — powiedziała Aszta-córka wskazując na Młodego Orła zbliżającego się na idącym tanecznym krokiem koniu.

Będąc już przy nich Indianin zawołał donośnym głosem:

— Jestem jednym z Winnetou z plemienia Apaczów. Wracam do ziemi moich przodków z miast bladych twarzy. Nazywają mnie Młody Orzeł...

— Młody Orzeł... Młody Orzeł... — przekazywano sobie wokół z ust do ust. To imię było powszechnie znane mimo młodego wieku jego właściciela.

Indianin mówił dalej:

— W imieniu wszystkich Winnetou z plemienia Apaczów oświadczam, że komitet ten nie jest godny rozstrzygnąć wielkiej kwestii, przed którą dzisiaj stoimy! Ten policzek był zasłużony i stanowił jedyną właściwą odpowiedź! Został wymierzony nie tylko samemu Antoniusowi Paperowi, ale całemu komitetowi. Powiedziałem. Howgh! Zebrał wodze w dłonie zamierzając odjechać.

— I ty odjeżdżasz? — zapytała Aszta.

— Czy i ja? Ja przede wszystkim! Ale my się jeszcze zobaczymy — odparł.

— Kiedy i gdzie?

— Na Górze Winnetou.

Obydwa ostatnie pytania i odpowiedzi wypowiedziane zostały w języku Apaczów. Matka dodała nieco ciszej:

— Jesteś ulubieńcem mojego małżonka, Wakona. Jego również zobaczysz na Górze Winnetou. Czy będziesz u Tatella-Saty jeszcze przed pokazem?

— Mam nadzieję.

— Powiedz mu więc, że Aszta, żona Wakona a także córka największego czarownika Seneków, wraz ze wszystkimi czerwonymi niewiastami stoi u jego boku w walce z niezrozumieniem.

— Dziękuję ci w jego imieniu. Czemu jednak jesteście tu z tymi ludźmi?

— Spotkaliśmy się przypadkowo i oni wbrew naszej woli, przyłączyli się do nas. Chcą się dowiedzieć, czego dotyczyć będzie narada na Górze Winnetou. Ale od nas się nie dowiedzą. Przekazujemy ci naszego przyjaciela i wybawcę, i prosimy, byś nad nim czuwał. Kim jest blada twarz, która towarzyszy ci wraz ze swoją squaw?

— Czy Pappermann wam nie powiedział?

— Nie. Pytałyśmy, ale milczał. Zdaje się jednak darzyć oboje ogromnym poważaniem.

Siedziałem na koniu tak blisko, że wszystko słyszałem. Matka sądziła, że jako biały nie rozumiem jej. Młody Orzeł spojrzał na mnie pytająco. Widziałem, że ma wielką ochotę powiedzieć obu Indiankom, kim naprawdę jestem. Szybkim opuszczeniem powiek pokazałem mu, że może to zrobić. Zbliżył wtedy swego konia jeszcze o krok do swych rozmówczyń i powiedział:

— Jeżeli nie chcecie, by ten biały dowiedział się, o czym rozmawiamy, musicie mówić ciszej.

— Dlaczego?

— Bo rozumie język Apaczów. Matka przestraszyła się.

— A więc nas zrozumiał! — szepnęła zmieszana.

— Tak, każde słowo. Nie ma jednak powodu do obaw. To przyjaciel Winnetou, a także twój i wasz przyjaciel. Nie chce teraz wyjawiać swego imienia, ale jeśli potraficie dotrzymać

tajemnicy, powiem wam, jak się nazywa.

— Dotrzymamy tajemnicy!

— To Old Shatterhand.

— Old Shat... — była tak zaskoczona, że nie zdołała wymówić imienia w całości. Zbladła na moment. Potem tym bardziej widoczny był jej rumieniec. — Czy to prawda? Czy to może być prawda?

— Tak, to prawda. To on we własnej osobie — zapewnił ją Młody Orzeł.

— Najlepszy, najprawdziwszy, najwierniejszy przyjaciel i brat naszego Winnetou! Widzę go po raz pierwszy. Czy mogłabym...

Również tego zdania nie zdołała dokończyć. Patrzyła na mnie do góry bezradnie. Córka zbliżyła się do mnie i zanim zdołałem jej przeszkodzić pocałowała ramię mego strzemienia. Potem równie szybko przycisnęła do ust krawędź sukni Serduszka.

— A to jego squaw... — mówiła dalej matka. — O gdybym nie przyrzekła milczeć. Po prostu skakałabym z radości!

Serduszko zsunęła się z konia i objąwszy ją ucałowała w usta i policzki, po czym powiedziała po angielsku:

— Nie rozumiem, co mówicie, ale czytam to z waszych oczu i ust. Kocham was obydwie i pozdrawiam z całego serca. Wkrótce znowu się zobaczymy! A teraz musimy już jechać!

Ucałowała córkę w ten sam sposób i wsiadła z powrotem na konia. Podałem rękę obu pięknym Indiankom i powiedziałem:

— Wakon, niestrudzony badacz i odkrywca zajmuje ważne miejsce w moim umyśle, a jeszcze ważniejsze w mojej duszy; on sam bowiem jest duszą własnego narodu, duszą, której poszukuje. Cieszę się słysząc, że już dzisiaj mogłem poznać jego squaw i córkę. Najbardziej jednak uszczęśliwia mnie fakt, że jesteśmy sprzymierzeńcami. Pamięć o Winnetou to wewnętrzna sprawa serca i duszy, a nie chęłpliwego zewnętrznego wizerunku na jakimś nagim, smaganym wichrem szczycie. Proszę nikomu nie mówić o naszym spotkaniu. Wkrótce się zobaczymy! We właściwym miejscu i czasie!

Odjechaliśmy kłaniając się uprzejmie kobietom, mężczyźni zaś nie zaszczycając ani jednym spojrzeniem. Zjeżdżaliśmy wolno w dół tymi samymi starymi ścieżkami, którymi niedawno wspinaliśmy się pod górę. U podnóża natknęliśmy się na konie tych, którzy przepędzili nas ze szczytu. Minęliśmy je obojętnie. Kiedy teren się wyrównał i wyjechaliśmy z lasu można było rozwinąć większą szybkość. Skoro już opuściliśmy Nugget Tsil należało jak najszybciej dotrzeć do naszego następnego celu, Deklil-to, tym bardziej, że większa część dzielącej nas od niego drogi przebiegała przez nieprzyjazne tereny. Krwawe czasy należały już dzięki Bogu do przeszłości, ale nienawiść, która święciła wówczas swe triumfy, była jeszcze ciągle żywa.

Świadczyły o tym dobitnie listy, które otrzymałem od To-kei-czuna, wodza Komanczów Rakurro i Tanguy, najstarszego wodza Kiowów. Nasz szlak wiódł przez ziemie obu tych plemion. Doskonale zdawałem sobie sprawę, że może nie lekkomyślnością, ale na pewno dużą śmiałością z mojej strony jest przemierzać tę krainę w towarzystwie żony, która mimo wszystko nie potrafiłaby pewnie sprostać możliwym niebezpieczeństwom. Nie miałem najczystszej sumienia, ale strzegłem się, by nie dać jej poznać swego niepokoju.

Ona nie wiedząc nic o trapiących mnie myślach, zachowywała się z całkowitą swobodą. Prawdę rzekłszy — była wręcz radosna. Kiedy na równiejszym terenie galopowaliśmy obok siebie zauważyłem, że od czasu do czasu ukradkiem na mnie spogląda. Wiedziałem, co znaczą te spojrzenia. Nie potrafiła znieść najmniejszego uchybienia w naszym wzajemnym

kontakcie, nawet wówczas, gdy dotyczyło ono samych tylko myśli. Musiała mi zawsze o nim powiedzieć. Musiała się do niego przyznać. Taka sprawa nigdy nie dawała jej spokoju.

Teraz również było coś, co chciała z siebie wyrzucić. W końcu, po którymś już z rzędu badawczym spojrzeniu popatrzyłem jej prosto w oczy i zażądałem z uśmiechem:

— No, powiedz wreszcie, o co chodzi?

— A o co może chodzić? — zapytała.

— Tego spodziewam się dowiedzieć od ciebie!

— Ach, tak! Co można powiedzieć o małżeństwie, w którym nieszczęsna żona musi się tłumaczyć z każdego spojrzenia na własnego męża?

— Uważam, że owa nieszczęsna żona miała dużo szczęścia, że wyszła za mężczyznę, który ją zna i rozumie!

— Hm! Który jednak mimo wszystko nie wie, co ma mu ona do zakomunikowania, ponieważ sam potrafi tylko powiedzieć: "Tego spodziewam się dowiedzieć od ciebie". Cóż, akurat w tym pojedynczym przypadku będę musiała wyjść naprzeciw twoim oczekiwaniom. Choć o tym nie mówiłam, miałam ci coś za złe.

— Co takiego?

— Najchętniej zostałabym tam na górze. Nie miałam ochoty ustępować. Twoja uległość wydała mi się słabością.

— I co?

— No właśnie! Miałeś rację! Gdybyśmy zostali, prowadziłoby to tylko do coraz większej wrogości, do wymiany nieuprzejmości i wojny podjazdowej. A więc byłaby to" bardziej porażka niż zwycięstwo. A tutaj jesteśmy wolni od gniewów, kłótni i wrogości. Pierwszy wielki pojedynek, o którym mówiłeś, został przez nas wygrany.

— A więc rozumiesz...

— Tak, całym sercem! Bardzo mi się podobała starsza Aszta, żona Wakona. To wspaniały charakter i człowiek wielkiego formatu. Żaden z członków komitetu nie dorasta jej nawet do pięt. Ona nie jedzie na Górę Winnetou po to, by przemawiać! Dobrze wie, czego chce! Ale o tym nie mówi; to mi się szczególnie podoba! Pozwalając się przepędzić, zdobyłeś sobie w niej pomocnicę, którą trudno przecenić.

— Tak — roześmiałem się radośnie. — Będzie walczyła z komitetem jak amazonka! Z największym napięciem czekam na dalszy rozwój wydarzeń i to nie jako widz, lecz jako ich pełny uczestnik. Wiemy już, że Kiktahan jest nieprzejednanym wrogiem Wakona. Przypuszczam, że Wakon przybędzie na Górę Winnetou na czele młodych Siouxów, podobnie jak Kiktahan Szonka do Ciemnej Wody na czele starych. Dwa przeciwstawne kierunki w ramach jednego plemienia, ścierające się na obcym terenie! Co za krótkowzroczność! To z tego właśnie powodu ginie indiańska rasa! Trzeba wpłynąć na bieg wypadków! Czy tym razem zgadzasz się ze mną?

— Całkowicie! Gdzie będziemy dzisiaj nocować?

— Nad północnym rozwidleniem Red River. Jutro przyjedziemy nad słoną odnogę tej rzeki. Kiedyś była tam wioska Kiowów. Dawno już jej nie ma, ale na wszelki wypadek ominiemy to miejsce.

Moje przewidywania spełniły się. Pod wieczór przyjechaliśmy nad północne rozwidlenie Czerwonej Rzeki i rozbiliśmy nad wodą obóz. Przy ognisku dowiedzieliśmy się od Pappermanna ciekawych rzeczy. Z wypowiedzi starszej Aszty wywnioskował on, że skarbnik komitetu, Paper, ubiegał się swego czasu o rękę jej córki, a ponieważ spotkał się z

kategoryczną odmową, próbował teraz mścić się we właściwy sobie sposób.

Podczas gdy Pappermann mówił, ja obserwowałem Młodego Orła. Zachowywał się tak, jakby nic do niego nie docierało. Z jego ust nie padło ani jedno słowo, nie drgnął ani jeden mięsień na jego twarzy. Ale właśnie ta niewzruszoność mówiła za siebie wyraźniej niż hałaśliwa złość. Zanim jeszcze położyliśmy się spać opisałem moim towarzyszom drogę, jaką przemierzyłem ścigając Santera — z wioski Kiowów do Rio Pecos, a stamtąd do Ciemnej Wody. Z miejsca, w którym obozowaliśmy można się było dostać do Ciemnej Wody krótszą i prostszą drogą. Wiodła ona prosto na zachód omijając słoną odnogę Red River. Nie pojechałem nią wówczas, ścigając Santera, dlatego, że on wybrał dłuższą trasę. Teraz jednak dałem mym towarzyszom wybór, a oni okazali się na tyle sprytni, że przyjęli krótszy i prostszy wariant. Ostatecznie więc znaleźliśmy się w pobliżu naszego celu nieco wcześniej.

Ostatni etap wiódł przez bezwodne pustkowia. Oko na próżno szukało jakiegokolwiek zieleni. Nie było tu ani drzew, ani krzewów, ani nawet mizernej trawy, tylko kamienie i skały. Teren, dotychczas dość wyrównany, zaczynał się powoli wznosić. Było około południa. Nie zatrzymywaliśmy się jednak na odpoczynek, gdyż brakowało wody, na którą liczyć można było dopiero w wyższych partiach. Nagle, dość daleko przed sobą zobaczyliśmy jeźdźcę, który dotychczas ukryty za niewielkim wzniesieniem, teraz wyjechał nam naprzeciw. Przedtem nas obserwował. Dlaczego nie pozostał w ukryciu? Dlaczego ujawnił się teraz? Z tej odległości nie mógł rozpoznać kim jesteśmy. Doświadczony wojownik poczekałby jeszcze. Czyżby powodem było to, że minęły już dawne czasy z ich niebezpieczeństwami i że obecnie ludzie nie zachowywali już tak daleko posuniętej ostrożności?

To był Indianin. Prowadził swego konia wolno w naszym kierunku. Potem zatrzymał się czekając, aż my się do niego zbliżymy. Nie był to jeden z tych wysokich, szerokich i żyłastych Indian, ale człowiek raczej drobnej postury. Ubranie uszyte miał z kolorowego materiału. Spod upleczonego z włókien agawy kapelusza spływały mu na plecy długie, czarne włosy. Miał nóż za pasem, a na ramieniu lekką strzelbę. Jego koń był dobrego gatunku, a on sam trzymał się na nim w postawie pełnej godności niczym indiański arystokrata. Jego zupełnie pozbawioną zarostu twarz gdzieś już widziałem — ale kiedy i gdzie nie potrafiłem powiedzieć. Była to twarz o łagodniejszych rysach i jaśniejszym niż zwykle u Indian zabarwieniu. Łagodne, poważne, otwarte spojrzenie przywodziło mi na myśl Nszo-czi, siostrę Winnetou — ach, teraz już wiedziałem, skąd znam tego Indianina! W tym samym momencie i on mnie rozpoznał. Przypadek sprawił, że jechałem ostatni, dlatego też zobaczył mnie na końcu. Zdawało się, że zaskoczenie i radość przysporzyły mu kilka centymetrów wzrostu. Oblał się rumieńcem niczym młoda dziewczyna, której zabiło szybciej serce. Chciał to ukryć, ale nie zdołał.

Z mojej twarzy z pewnością nic nie mógł odczytać. W odróżnieniu od niego potrafiłem się opanować. Byłem mężczyzną, on zaś... Wiedziałem już, dlaczego wbrew wszelkim męskim zasadom ostrożności wyszedł z ukrycia i wyjechał nam na spotkanie. Indianin był zakłopotany, wręcz zaniemówił. Dlatego głos zabrał jadący z przodu Pappermann. Zatrzymał swego konia i powiedział:

— Witamy naszego czerwonego brata! Czy dobrze jedziemy do Wikonte-mini?

Zapytany odparł:

— Należę do plemienia Kiowów. Wikonte-mini to nazwa w języku Siouxów, która jednak jest mi znana. Tak, to właściwa droga. Czy tam udają się moi bracia?

— Tak. 1

— W takim razie ostrzegam ich.

— Dlaczego?

— Wikonte-mini znaczy Woda Śmierci. Jeśli tam pojedziecie, jezioro łatwo może się nią dla was stać.

Pappermann odezwał się swym indiańsko-angielsko-hiszpańskim żargonem; odpowiedź jednak otrzymał w niezłym angielskim. Głos Indianina brzmiał jak głos kobiety, która stara się naśladować niskie, męskie tony.

— Z jakiego to powodu grozisz nam śmiercią? — zapytał stary westman.

— Nie grożę, a ostrzegam — odparł jego rozmówca.

— Wszystko jedno! Jaki więc to powód?

— O takich powodach mówi się tylko najlepszym przyjaciółom.

— Jesteśmy twoimi przyjaciółmi!

— Tak ty twierdzisz, ja cię jednak nie znam.

— A więc poznaj! Nazywam się Maksz Pappermann i już od czterdziestu lat włóczę się po Zachodzie. Ci dwaj dżentelmeni to Hariman i Zebulon Entersowie. Trzeci dżentelmen to pan Burton, a ta dama obok to pani Burton, jego żona. Ten oto nasz czerwony brat jest synem Apaczów i nazywa się Młody Orzeł.

Kiowa mierzył każdego przenikliwym badawczym wzrokiem. Tylko na mój widok spuścił wzrok ku ziemi. Na moją żonę spojrzał tak ostro, jakby chciał ją przewiercić oczami. Podjechał bliżej Młodego Orła i powiedział:

— Opowiadają u nas o Młodym Orle Apaczów, który pochodzi ze szczepu Winnetou i jest nawet z nim spokrewniony. Czy to nie ty?

— Tak, to ja — odparł nasz towarzysz.

— Otrzymałeś to imię jako chłopiec po tym, jak schwytałeś orła-woj o wnika i kazałeś mu się znieść z jego niebotycznego gniazda na ziemię. Czy to prawda?

— Tak, to prawda.

— Podaj mi więc swoją dłoń! Widzę na twojej piersi gwiazdę Winnetou. Ja również jestem Winnetou, choć na razie mam powody, by nie wszystkim o tym mówić. Popatrz! Wierzysz mi?

Odchylił klapę swej kurtki i oczom naszym ukazała się dwunastoramienna gwiazda.

— Wierzę ci! — zapewnił go Młody Orzeł.

— Pozwólcie mi więc być waszym przewodnikiem! Oczekiwałem was.

— Oczekiwałeś nas? — zapytał Apacz zdumiony. — To niemożliwe!

— To nie tylko możliwe, ale zupełnie pewne. Możesz mi wierzyć!

Młody Orzeł był zupełnie zbity z tropu. Kiowa czyli wróg! Gwiazda mogła mieć na celu zmylenie przeciwnika! Rzucił mi pytające spojrzenie, a ja przymknięciem powiek dałem mu na nie pozytywną odpowiedź. Młody Orzeł powiedział wtedy:

— W takim razie bądź naszym przewodnikiem! Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale nie zdążył, bo Zebulon

Enters szybko i bez uprzedniego zastanowienia zapytał Kiowę:

— Czy Siouxowie już są?

— Jacy Siouxowie? — odpowiedział pytaniem Kiowa.

— Siouxowie pod przywództwem Kiktahana Szonki, którzy mieli przyjechać do Wikonte-mini. I Utahowie z Tusahgą Sariczem.

Twarz Kiowy straciła przyjazny wyraz. Spojrzał ostro na rozmówcę i zapytał:

— Czy zna pan tych wodzów?

— Tak — odparł Zebulon.

— Słyszałem, że jesteście braćmi?

— Owszem.

— Kiktahan Szonka wysłał was do Wikonte-mini?

— Tak.

— A więc śpieszcie się! Czekają na was. Zgłóście się do Pidy, wodza Kiowów, syna słynnego Tanguy! On zaprowadzi was do Kiktahana Szonki i Tusahgi Saricza.

— Mamy się śpieszyć? Dlaczego?

— Tego nie wiem. Tak mi powiedziano.

— Ale co będzie wtedy z wami? Gdzie się znowu spotkamy?

To pytanie skierował do mnie i do żony. Odpowiedziałem:

— Nie martwcie się o to! Obiecuję wam, że spotkamy się we właściwym czasie i miejscu, i że dotrzymam słowa tak, jak dotrzymałem go w przypadku Diabelskiej Ambony. Jedźcie spokojnie! Możecie zaufać wszystkiemu, co mówi ten Kiowa!

— To Wikonte-mini jest rzeczywiście Ciemną Wodą, w której zginął nasz ojciec?

— Tak. Znacie opis tego miejsca z mojej książki. Natychmiast je rozpoznacie.

— Nie znamy dalszej drogi. Czy to jeszcze daleko? Tym razem w odpowiedzi wyręczył mnie Kiowa:

— Jedźcie dalej sami. My musimy zboczyć trochę z dotychczasowego kierunku. Kiktahan Szonka was wzywa i powinniście go słuchać! Nie martwcie się, że zabłądzicie. Wystarczy jechać prosto. W pobliżu jeziora traficie na wartowników, którzy zaprowadzą was do Pidy.

Kiowa mówił tonem nieznoszącym sprzeciwu. Entersowie posłuchali. Pojechali sami swoją drogą. Wydawało się, że opuszczają nas niechętnie, choć przecież, chcąc nas wydać wrogom, od samego początku musieli się z tym liczyć. Kiedy nie mogli już nas słyszeć, Kiowa zwrócił się do Młodego Orła:

— Czy mój brat zna tych ludzi?

— Znamy ich bardzo dobrze — skinął głową zapytany.

— Czy wiecie, że są waszymi wrogami?

— Tak.

— Że mają was wydać Kiktahanowi Szonce?

— To również.

— A mimo to jedźcie w ich towarzystwie? Uff, uff! Zupełnie jak niegdyś Winnetou czy Old Shatterhand! Lepiej w samym środku niebezpieczeństwa niż tylko na jego krawędzi!

Przy tych słowach rzucił na mnie z ukosa ciepłe spojrzenie. Mówił dalej:

— Dlaczego jedźcie z nimi nad jezioro, gdzie grozi wam śmierć? Czy po to tylko, by ich zdemaskować i ukarać? Nie. Musicie mieć inne, ważniejsze powody. Czy wolno mi je odgadnąć?

— Próbuje!

— Chcecie podsłuchać, o czym będzie mowa na spotkaniu Kiowów i Komanczów z Siouxami i Utahami! Czy tak?

— Mój czerwony brat jest bardzo bystry! Kiowa uśmiechnął się i rzekł:

— Pida, przyjaciel Old Shatterhanda, jest jeszcze bystrzejszy. — Czy jesteś może jego posłańcem? Czy działasz z jego rozkazów?

Kiowa zwrócił wtedy na mnie swe piękne, szczere oczy i odpowiedział:

— Nie. Nie wie nic o tym, co robię. Jest wodzem swego plemienia i synem swego ojca. Musi być więc waszym wrogiem. Ale kocha Old Shatterhanda i szanuje go jak żadnego innego człowieka. Dlatego z całego serca pragnie, by Old Shatterhand tak jak zawsze zwyciężał, tak i teraz zwyciężył, ale nie orężem, a miłością i pojednaniem. Pida nie chce wiedzieć, co robię. I dlatego robię, co chcę, nie pytając go o zdanie. Zaprowadzę was do miejsca, które najlepiej posłuży waszym celom.

— Nie do Wody Śmierci?

— Owszem, ale w taki sposób, by was nikt nie dostrzegł. Staniecie nie tylko nad Wodą Śmierci, ale w samym

Domu Śmierci. Czy boicie się duchów?

— Bać się trzeba żywych, nie umarłych. Nigdy nie słyszałem o Domu Śmierci. Gdzie on się znajduje?

— Nad jeziorem. Nie był do tej pory nikomu znany. Odkryto go dopiero przed dwoma laty. Pełno w nim było kości z pradawnych czasów, niezliczonych totemów, wampumów i innych świętych przedmiotów. Uporządkowanie ich trwało wiele tygodni. Potem zapalono w nim kalumet tajemnicy i zabroniono komukolwiek przekraczać jego progi. Kto odważy się zbliżyć do miejsca na wybrzeżu, gdzie stoi dom, ma być zabity przez duchy tych, których kości znaleziono.

— I mimo to gotów jesteś wejść do środka?

— Tak.

— Co za odwaga!

Trudno było dociec, czy Młody Orzeł mówił poważnie, czy też z domieszką ironii. Kiowa pochylił głowę, a po chwili podniósł ją energicznym ruchem mówiąc z uśmiechem:

— Sam bym tego nie zrobił, ale z wami nic złego mi się stać nie może. Jestem tego tak pewny, jakbym usłyszał to z ust samego wielkiego, dobrego Manitou. Nie znacie mnie i możecie mi nie dowierzać, ale ja proszę, byście za mną poszli! Nie mogę wam dać żadnej gwarancji poza następującą: czy znane jest wam imię Kolma Puszi?

— Tak.

— To moja przyjaciółka. A może znacie też Asztę, żonę Wakona, najsłynniejszego męża Dakotów?

— Ją również.

— Mieszkamy z dala od siebie, ale często porozumiewamy się przez specjalnych posłańców. Mimo wrogości, jaka panuje między naszymi ludami, mam nadzieję wkrótce je obydwie zobaczyć. Czy ufacie mi teraz?

Wzruszający był zapal, z jakim Indianin starał się wzbudzić nasze zaufanie. Kto wie, do czego jeszcze byłby zdolny! Zdawał się być przy tym zupełnie nieświadomym faktu, że nazywając Kolmę Puszi i Asztę swymi przyjaciółkami zdemaskował się jako kobieta. Odpowiedziałem:

— Ufamy ci. Ufaliśmy ci od pierwszej chwili. Prowadź nas! Jedziemy za tobą!

— A więc w drogę!

Entersowie sporo się już od nas oddalili. Pojechaliśmy najpierw wolno ich śladem, tak aby nie zorientowali się, w którą stronę zbaczamy, i dopiero kiedy zniknęli za horyzontem, zjechaliśmy na prawo. Aby bowiem dotrzeć do Domu Śmierci trzeba było objechać jezioro dookoła, a więc zboczyć z dotychczasowej drogi, która wiodła wprost ku niemu. Kiowa jechał przodem mając u swego boku Pappermanna, który chciał go najwyraźniej lepiej poznać i wypytać o różne rzeczy. Usłyszałem, że najpierw zapytał, skąd nasz nowy znajomy zna braci Entersów:

— Nie znam ich — brzmiała odpowiedź. — Kiktahan Szonka wysłał posłańca uprzedzając o ich przybyciu. Posłaniec powiedział, że należy oczekiwać dwóch bladych twarzy, braci, którzy zobowiązali się wydać Siouxiom Old Shatterhanda, jego żonę, starego, białego myśliwego o niebieskiej połowie twarzy oraz Apacza, Młodego Orła. Cała czwórka miała ponieść śmierć. Ruszyłem im więc na ratunek. Odjechałem pół dnia drogi od jeziora i zatrzymałem się w miejscu, obok którego musieli przejeżdżać. Czekałem dwa dni. Wreszcie was zobaczyłem. Wszystko się zgadzało; Indianin, czterech białych mężczyzn i biała squaw. Wyjechałem wam naprzeciw i przede wszystkim chciałem was uwolnić od braci. To mi się udało.

— A więc uważasz, że pan Burton to Old Shatterhand?

— Tak. Czy się mylę?

— Sam go o to zapytaj!

— To zbędne. Gdyby tak nie było, zaprzeczyłby pan natychmiast. Pańska wymijająca odpowiedź była aż nadto jednoznaczna.

Więcej nie zdołałem usłyszeć, bo obydwaj jeźdźcy pogonili szybciej swe konie. Serduszko odezwała się:

— A więc koniec z twym incognito...

— Jeszcze nie całkiem — odparłem.

— Myślisz, że ten Kiowa będzie milczał?

— Tak, jeśli go o to poproszę.

— Podoba ci się?

— Oczywiście!

— Mnie również. Ma w sobie coś prawego i rzewnego zarazem. Melancholia wyziera niemal z każdego, indiańskiego oczu, ale u niego widoczna jest w dwójnasób. Tak jakby od dawna nosił w sobie jakiś ból. Dobrze byłoby mu pomóc! Jak sądzisz?

— Hm! Moje Serduszko chętnie pomogłoby wszystkim ludziom, ale z wewnętrznym bólem nie tak łatwo sobie poradzić. Przede wszystkim lepiej musimy poznać tego człowieka, a sama wiesz, że Indianie są zamknięci w sobie.

— Jeśli o to chodzi — znasz mnie nie od dziś! Potrafię wyciągnąć z kogoś to, co mnie interesuje!

— Zgadza się, niestety!

— Również z Indianina!

— Owszem, owszem! Znam cię. Wyciągniesz z człowieka wszystko bez względu na to, czy jest biały czy czerwony, żółty, zielony czy niebieski! Ale ten Kiowa jest bardzo zamknięty w sobie.

— Tak sądzisz?

— Tak. Od niego niczego się nie dowiesz.

— Hm! A może się założymy?

— Wiesz, że ja z nikim się nie zakładam.

— Ile dostanę, jeżeli już jutro rano znać będę cały jego problem?

— Ile byś chciała?

— Drugie pięćdziesiąt marek na nasz szpital w Radebeul!

— Dziecko, czy nie przesadzasz? — zawołałem przestraszony. A ile ja dostanę, jeśli do jutra niczego się nie dowiesz?

— Dwa razy tyle! Za karę! Sto marek!

— To całkiem przyzwoita, a nawet wielkoduszna propozycja. Szpital może na tym tylko wygrać. Ale skąd weźmiesz sto marek?

— Z kredytu, jaki mam u ciebie!

— Stokrotne dzięki! Nie dam na zakład ani feniga. Spróbuj u Pappermanna! Może jego uda ci się zainteresować szpitalem!

— Biedaczysko! Nie zostało mu już nic ani z hotelu, ani po hotelu! Sam tak przecież powiedział. Poza tym trzeba go odseparować od Kiowy.

— Dlaczego?

— Dlatego, że teraz ja zabieram się do roboty!

— Tak? Już teraz zaczynasz?

— Tak. Koniecznie chcę się dowiedzieć, co mu ciąży. Pomyśl, jak cudnie byłoby mu pomóc! Proszę zabierz Pappermanna!

Sprawiło mi to cichą satysfakcję, bo jasne było dla mnie, że również Kiowa najserdeczniej życzył sobie wypytać o wszystko moją żonę. Spędzili ze sobą całe popołudnie i najwyraźniej przypadli sobie do gustu. Nie miałem żadnych powodów im przeszkadzać.

Teren wznosił się coraz wyżej. Zbliżaliśmy się do gór otaczających Ciemną Wodę. Przed wieczorem zobaczyliśmy z boku na horyzoncie linię lasu zwiastującego bliskość jeziora. Okrążyliśmy las i jezioro szerokim łukiem. Przejechaliśmy przez szeroki, lecz niezbyt głęboki strumień wypływający z wypełnionego wodą zagłębienia. Napoiwszy konie skierowaliśmy się pomiędzy stromymi skałami w górę, ku gęsto porośniętemu lasem grzbietowi, gdzie znajdował się cel naszej dzisiejszej wędrowki. Nie zdołalibyśmy tego dnia dotrzeć do Domu Śmierci, gdyż ściemniło się na tyle, że ledwo zdążyliśmy rozbić namiot i zbudować z kamieni zasłonę dla ogniska, dzięki której było ono spoza obozowiska niewidoczne. Kiowa zapewnił nas, że możemy się czuć zupełnie bezpieczni, gdyż miejsce to należy do obszaru, na który nie wolno nikomu wchodzić. Od Domu Śmierci dzieliło nas jeszcze tylko krótkie zejście, ale na tyle strome, że nie warto było ryzykować go po ciemku. Musieliśmy poczekać do rana. Nad samym jeziorem obradowali oddzielnie Kiowowie i Komańcze. Lada chwila oczekiwano przybycia Siouxów i Utahów.

Młody Orzeł zajął się końmi, a ja z Pappermannem rozbiłem namiot. Stary westman nie był w humorze, pochrząkiwał i pomrukiwał do siebie, jakby chciał coś powiedzieć, ale trudno mu było zacząć. Zapytałem go więc wprost, o co chodzi.

— A o cóż mogłoby chodzić — odpowiedział, ale na tyle cicho, że tylko ja go słyszałem.
— Zły jestem!

— Z jakiego powodu?

— I nie wierzę!

— Komu!

— Kiowie!

— Dlaczego?

— Jeszcze jedno pytanie? Czy pan niczego nie widzi?

— Czego mianowicie?

— Czego? Zdziwiałe! Dlaczego, komu, czego — i na te zdawkowe pytania dać mam wyczerpującą, zrozumiałą odpowiedź? Czy wie pan, ile czasu minęło, od kiedy spotkaliśmy tego Kiowę.

— Prawie sześć godzin.

— Właśnie!

— I co on przez te sześć godzin robił?

— Prowadził nas tutaj.

— Nie o to mi chodzi. Sam się do tego zobowiązał. Poza tym jednak robił coś, co w ogóle nie należało do jego obowiązków! Ani trochę! Czy to pana nie denerwuje?

— A cóż miałyby mnie denerwować?

— Nic? Naprawdę nic? Czy to rzeczywiście nic, że ten Indianin całe sześć godzin jedzie obok pańskiej żony i jest tak zaabsorbowany rozmową z nią, że go nic i nikt poza tym nie interesuje, a w tej liczbie i pan? Czy to rzeczywiście nic?

O to więc chodziło! Pappermann był zazdrosny o Kiowę! Ten stary, samotny człowiek darzył moją żonę szczególnymi względami i był naprawdę szczęśliwy, ilekroć podczas jazdy żona porozmawiała z nim kwadrans albo dwa. Tego szczęścia został dziś pozbawiony. Udałem jednak, że go nie rozumiem i powiedziałem:

— Zupełnie nic. Przez cały ten czas nie zdarzyło się nic, o czym musiałbym porozmawiać z żoną. Nie widzę zatem żadnego powodu, dla którego miałbym przerywać jej rozmowę z naszym nowym przyjacielem.

— Przyjacielem? Nazywa go pan przyjacielem?

— A dlaczegoż by nie?

— Bo nie. Musimy być ostrożni. Nazywam się Maksz Pappermann i jestem starym, doświadczonym wygą. Zanim kogoś nazwę przyjacielem, poddam go dłuższej próbie! Pan też do tej pory zdawał się być ostrożny, jeszcze ostrożniejszy ode mnie. Ale dzisiaj jest pan jak odmieniony. Ostrzegam pana! Wcale nie żartuję i proszę, by pan to potraktował poważnie! Zgoda?

— Zgoda. Drugie sześć godzin nie będą ze sobą rozmawiali.

— Właśnie! Uważam, że to bardzo rozsądne z pana strony. Skoro pan tak mówi, przestaję się złościć i znowu zaczynam się śmiać. Sądzi pan, że rzeczywiście jesteście tu bezpieczni?

— Absolutnie.

— Ma pan jednak do tego czerwonoskórego nadzwyczajne zaufanie!

— Myli się pan. Ufam jemu, ponieważ ufam sobie. Słucham nie jego, a samego siebie. Pan też mu ufa!

— Początkowo owszem. Ale potem ta gadatliwość wydała mi się podejrzana. Wydaje mi się, że wypytuje pana żonę, żeby donieść o wszystkim Kiowom i Komańczom!

— Nie mam takich obaw. Poza tym jest ciągle z nami.

— Well! Zwrócę na niego uwagę! Nic mi nie umknie! Nie dam się oszukać!

Na tym póki co stanęło. Kiedy po posiłku zapytałem Serduszko nieco ironicznie, czy

zdołała odkryć tajemnicę Indianina, odparła:

— Niestety, jeszcze nie. Jest zamknięty w sobie.

— Rozmawiał z tobą przecież całe sześć godzin! Czy to nazywasz zamknięciem w sobie?

— To nie była żadna paplanina. Rozmawialiśmy nie o jego małym cierpieniu, a o wielkim, wzniosłym cierpieniu całej czerwonej rasy. Mówi bardzo mądrze i czuje głęboko. Bardzo go polubiłam, bardzo!

— Ho, ho!

— Naprawdę! Muszę ci jednak coś wyznać!

— Znowu?

— Niestety! Doprawdy nie pojmuję! Kiedy tak ciepło mówił o swoim narodzie i skarżył się, że biali uważają Indian za coś gorszego, jego piękne, uczciwe oczy napęłniły się łzami, a ja wtedy po prostu musiałam ucałować go w czoło i oba policzki, a potem obetrzeć jego łzy własną dłonią. To chciałam ci powiedzieć. Jest przecież mężczyzną. Doprawdy nie rozumiem!

— Bylebym tylko ja to rozumiał — odparłam.

— A rozumiesz?

— Tak.

— I udzielasz mi rozgrzeszenia?

— Z przyjemnością. Jutro jeszcze o tym porozmawiamy. Czy dowiedziałaś się, dokąd została przeniesiona wioska Kiowów, w której wtedy miałem być zamęczony?

— Tak. Przedtem leżała nad słoną odnogą Red River. Teraz przeniesiona jest daleko na zachód, nad jakąś małą rzeczkę, której nazwa wyleciała mi z głowy. Kiowa rozpoznał cię od razu.

— Tak? Czy już mnie kiedyś widział?

— Owszem. Zna cię z tamtych czasów. Był w wiosce, kiedy cię przyprowadzono. Patrzył jak stałeś ze stopami i rękami przywiązanymi do pali. Opowiedział mi wszystko w szczegółach, tak jak ty jeszcze nigdy.

— Czy mówił też o starym Sus-Homasze¹⁷, który chciał mnie uratować?

— Tak. Sus-Homasza miał dwie córki. Jedna z nich została żoną młodego wodza, Pidy. Było to i do dziś jest szczęśliwe małżeństwo. Napadł ją wtedy Santer i ogłuszył uderzeniem w głowę. Uznano, że umarła. I przyprowadzono ciebie. Ludzie do dzisiaj uważają, że uratowałeś jej życie. Dlatego wdzięczny Pida do dzisiaj jest twoim przyjacielem. Wyobraź sobie, że jego żona jest tutaj!

— Nad jeziorem? Z Kiowami?

— Tak. Kiedy rozeszła się wieść, że na Górę Winnetou zaproszony jest również Old Shatterhand, nie było mowy, by ją zatrzymać. Chciała koniecznie znowu zobaczyć swego wybawcę. Sytuacja wśród kobiet Kiowów wygląda podobnie jak u Siouxów. One również zorganizowały się i chcą wziąć udział w obradach. Opuściły wioski, ale gdzie teraz są, nie zdołałam się dowiedzieć.

— Zapominasz o właściwym temacie. Mówiłaś o córkach starego Sus-Homaszy. Jedna jest żoną Pidy. Druga...

Serduszko szybko podjęła wątek:

¹⁷ Jedno Pióro (zob. *Winnetou III*)

— Druga nazywa się Kakho-Oto¹⁸. Chciała zostać twoją squaw, aby cię ocalić, ale się nie zgodziła. Mimo to pomogła ci w ucieczce. Żyje do tej pory. Pozostała samotna. Nigdy nie pozwoliła się dotknąć mężczyźnie, a wszystkie te lata poświęciła na to, by także wśród Kiowów czcić pamięć o Winnetou i pielęgnować ideały szlachetnego człowieczeństwa, przyjaźni i miłości bliźniego. Niczego tak sobie nie życzy, jak udać się na Górę Winnetou i jeszcze raz spotkać się z tobą. Ty jej nie rozpoznasz. Bardzo się zestarzała i zbrzydła. Ma nadzieję, że kiedy ją spotkasz nie będziesz wiedział, z kim masz do czynienia. Ona przysłała Kiowę, by nas ostrzegł i poprowadził. Możemy na nim całkowicie polegać. Będzie postępował tak, jakby nie należał do swego plemienia i spełni każde życzenie, które nie będzie sprzeczne z jego miłością do ojczyzny i całej czerwonej rasy. Czy cię to cieszy?

— Nawet bardzo! A twoja radość sięgnie zenitu, kiedy bliżej poznasz tego wiernego Indianina. Teraz chodźmy już lepiej spać. Jutro czeka nas pewnie bogaty w wydarzenia dzień, który będzie wymagał wiele energii.

Serduszko nie sprzeciwiła się. Wycofała się szybko do swego namiotu, a my również ułożyliśmy się do snu. W innych okolicznościach wartowalibyśmy na zmianę, wiedząc jednak, że nic nam ze strony Kiowy nie grozi, uznałem to za zbyteczne. Pappermann był jednak innego zdania. Ułożył się blisko Kiowy, aby go obserwować. Nie miałem powodu, by mu w tym przeszkadzać.

Nazajutrz obudziłem się nie sam, ale tak jak swego czasu z pomocą Pappermanna. Był czerwony z podniecenia.

— Przepraszam, że przeszkadzam mister Burton — powiedział. — Stało się coś strasznego!

— Co takiego? — krzyknąłem, zrywając się na równe nogi.

— Coś strasznego! Coś potwornego!

— Ale co? Niech pan mówi!

— Nie tak szybko! Muszę pana na to najpierw przygotować.

— Nie trzeba! Niech pan mówi!

— Trzeba, trzeba! I to jak! Jeśli tego nie zrobię, padnie pan z przerażenia na ziemię jak kłoda i nikt pana już nie podniesie!

— Z przerażenia?

— Tak, z przerażenia!

— I tylko ja? Pan nie?

— Nie, ja nie. Choć i ja się przeraziłem. Przeraziłem się tak, jakby chodziło o moją własną żonę, a nie o pańską!

— A więc chodzi o moją żonę?

— Tak! Oczywiście! O pana żonę!

— Dzięki Bogu!

Odetchnąłem głęboko. Stary, dzielny myśliwy rzeczywiście zachowywał się tak, jakby wydarzyło się coś nieodwracalnego i strasznego, coś, co być może pokrzyżowało wszystkie nasze zamiary. Dlatego mnie, normalnie tak spokojnemu, napędził trochę strachu. Teraz jednak, kiedy wspomniał o Serduszkę, natychmiast się uspokoilem.

— Dzięki Bogu? — zapytał. — Nie ma pan Bogu za co dziękować!

— Czy stało się coś złego?

¹⁸ Ciemny Włos.

— Zależy, jak na to spojrzeć! Może nie jej, a raczej panu! Będzie pan rwał włosy z głowy!

— Nie sędzę.

— Oho! Wprawdzie nie miałem żony, ale mogę sobie wyobrazić, jak się człowiek czuje w takiej sytuacji. Zabiłbym faceta!

— Jakiego faceta?

— Ciągle jeszcze niczego się pan nie domyśla?

— Niczego! Absolutnie niczego!

— A więc w końcu będę to musiał powiedzieć! Tylko niech pan obieca, że się pan nie przewróci!

— Zgoda! Nie przewrócę się!

— I że nie zacznie pan od razu bić. Mnie w szczególności!

— Zgoda! Nie będę nikogo bił!

— Well, w takim razie ośmielę się. Niech pan słucha! Zamiast jednak przybliżyć się do mnie, jak to zwykle

bywa podczas komunikowania poufnych wieści, odstał jeszcze dwa kroki do tyłu.

— Ona pana zdradziła!

— Kto?

— Co za pytanie! Żona oczywiście! Serduszko, jak pan mówi do niej, kiedy rozmawiacie po niemiecku!

— Bogu niech będą dzięki! — powtórzyłem. — Ciężar spadł mi z serca! Przychodziły mi już do głowy niesamowite rzeczy!

— Ali devils! Nie pojmuję! Mówię człowiekowi, że go żona zdradziła, a on drugi raz powiada: Bogu dzięki! I zupełnie poważnie zapewnia, że ciężar spadł mu z serca! Kto może niech pojmuję! Ja nie mogę!

I zbliżywszy się do mnie mówił dalej z wielką powagą:

— I ja też bardzo kochałem to pańskie Serduszko. Szanowałem i czciłem. Uważałem za najmilszą, najmądrzejszą i najwspanialszą kobietę na całym świecie. Skoczyłbym za nią w ogień. Oddałbym chętnie za nią moje stare życie, i to nie raz, a sto i tysiąc razy! Ale skończyło się! Nie zdmuchnę dla niej zapalki! Nie jest tego warta! Mieć takiego męża i zdradzić go! I to z kim, z kim!

— Z kim więc?

— Czy się pan jeszcze nie domyśla?

— Nie.

— Rozumiem. Rzeczywiście nie sposób się tego domyślić. Gdybym to był choć ja! Albo jakiś inny biały! Ale zdradzić pana z czerwonoskórym, to szczyt wszystkiego! To absolutna nikczemność!

— Z czerwonoskórym mówi pan? Młody Orzeł leży na swoim miejscu, nie ma Kiowy... Czy to on?

— Tak, on! Pańskiej żony również nie ma!

— Czy to wszystko?

— Nie, mam jeszcze panu wiele do powiedzenia. Czy chce

pan posłuchać?

— Owszem.

— Było tak: byłem wściekły na tego człowieka za to, że wczoraj tak długo i bez przerwy z nią rozmawiał. Mówiłem już, że wzbudziło to moje podejrzenia. Przypuszczałem, że chce wypytać pana żonę o wszystko, aby potem zdradzić nas Indianom. Postanowiłem go obserwować i tak też uczyniłem. Całą noc nie zmrużyłem oka. Obudziłem się wczesnym rankiem, w samą porę. Pańska żona właśnie wychodziła z namiotu. Wiem, że ma zwyczaj modlić się rano i wieczorem. Nigdy nie robi tego w namiocie, lecz pod gołym niebem. Odchodzi gdzieś na bok, by nie być obserwowaną. Tak było i dzisiaj. Kiedy się oddaliła wstał również Kiowa i poszedł jej śladem. Wydało mi się to podejrzane. Poczekalem chwilę, a kiedy nikt się nie zjawiał, zacząłem się skradać za nimi. I jak pan myśli, co zobaczyłem?

— Co takiego?

— Siedzieli na jednym kamieniu!

— I co?

— Blisko siebie!

— I nic więcej?

Spojrzał na mnie zdumiony i obwieścił podniesionym głosem:

— Obejmowali się!

— I nic poza tym?

Teraz Pappermann już krzyczał:

— Całowali się!

— I to wszystko?

— Czerwonoskóry całował pańskie Serduszko! — wrzasnął Pappermann.

— Pytam, czy to wszystko?

— A pańskie Serduszko całowało czerwonoskórego! — ryknął.

— Czy to już wszystko? — zapytałem bardzo przyjaznym i opanowanym tonem.

Pappermann odskoczył i zaczął lamentować:

— Tak myślałem! Stało się! Choć zachowuje się inaczej niż sobie wyobrażałem! Nie przewraca się, nie bije na oślep; po prostu zwariował z nieszczęścia! Zaciął się! Powtarza tylko: to wszystko, to wszystko!

— Nie ma obawy, mogę powiedzieć coś innego — roześmiałem się. — Czy oni siedzą jeszcze na tym kamieniu?

— Mam nadzieję!

— Ma pan nadzieję?

— Tak! Właśnie mam nadzieję! Bo chcę pana tam zaprowadzić i pokazać ich panu!

— Tak też zrobimy!

— Naprawdę?

— I to natychmiast!

— A więc chodźmy! Ja poprowadzę!

— Niech pan jeszcze chwilkę poczeka! Chcę pana uprzedzić, że nie mam zamiaru

postąpić z tym Kiową tak, jak pan tego oczekuje. Ostatnio kilkakrotnie rozmawialiśmy o Kiowach. Pan wie, co u nich przeżyłem ostatnim razem.

— Tak. Każdy o tym wie. A pańska żona raz jeszcze mi o tym po drodze szczegółowo opowiadała. Że miał być pan zabity, i że ocalał za sprawą córki słynnego wojownika

Jedno Pióro.

— Zgadza się. Ta córka nazywała się Kakho-Oto. Zawdzięczam jej życie.

— Czy może chce pan z jej powodu przebaczyć Kiowie?

— Tak.

— O nie! Tak być nie może! To byłaby słabość, niewybaczalna słabość!

— Mam inne zdanie. Chodźmy już!

— A więc naprawdę nic pan nie robi?

— Nic!

— Żonie również?

— Również.

Pappermann dyszał wzburzony:

— Panie... panie Burton! Chcę w takim razie powiedzieć... że... że... mam do pana bardzo wielką prośbę!

— Jaką?

— Niech pan mnie przynajmniej pozwoli wziąć tego czerwonego szubrawca na stronę i wybić mu pięścią z głowy amory!

— Czy sprawi to panu przyjemność?

— Ogromną!

— Niech więc pan to zrobi!

— Nie ma pan nic przeciwko temu?

— Absolutnie nic. Niech pan bije ile sił!

— Teraz ja powiem: Bogu niech będą dzięki! Czegoś takiego jeszcze ten Kiowa nie przeżył i nieprędko przeżyje! Chodźmy! Szybko!

Poszedł przodem, a ja w ślad za nim. Poprowadził mnie przez zarośla do małej polanki. Nie wszedł jednak na nią, lecz przycupnąwszy za jednym z ostatnich krzewów wskazał na coś ręką i powiedział cicho:

— Niech pan popatrzy! Siedzą tam jeszcze! Jak to się panu podoba?

Serduszko siedziała z Kiową na świetnie się do tego nadającym niskim ułamku skalnym. Obejmowała go prawą ręką, w lewej zaś trzymała jego dłoń. Kiowa był nieco drobniejszy niż ona. Delikatnie wspierał głowę na jej ramieniu. Pappermann popatrzył na mnie, najwyraźniej oczekując strasznego wybuchu gniewu.. Ja jednak tylko się uśmiechnąłem. Podziało to na niego jak zgniecie ostrogą.

— Śmieje się pan? — zapytał cicho, ale z naciskiem. — Pytam najpoważniej: co pan o tym sądzi?

— Wygląda to dosyć intymnie i nic poza tym — odparłem.

— Dosyć intymnie... I nic poza tym... — powtórzył. — Co do mnie uważam, że to znacznie więcej niż jakaś intymność. To przestępstwo! Pozwolił mi pan skuć pysk tej czerwonej skórce i nie będę z tym czekał ani chwili dłużej! Niech pan uważa! Biorę się do

roboty!

Przedarł się przez krzaki i spiesznym krokiem zmierzał w kierunku ofiary. Szedłem tuż za nim. Kiowa i Serduszko wstali na nasz widok. Wyglądało na to, że Pappermann chce bez słowa uczynić zadość sprawiedliwości. Chwycił Kiowę lewą ręką za pierś, a prawą uniósł do ciosu. Przytrzymałem jego ramię i powiedziałem:

— Chwileczkę, przyjacielu! Nie lekceważmy prawideł, które w takich sytuacjach obowiązują dżentelmena!

— O jakich prawidłach pan mówi? — zapytał usiłując uwolnić swą rękę.

— Dżentelmeni, którzy uznają za stosowne w ten sposób rozstrzygać swoje spory są bezwzględnie zobowiązani do uprzedniego przedstawienia się sobie!

— Nie ma takiej potrzeby! Już się znamy! Ten czerwony szubrawiec nazywany przez pana dżentelmenem wie, że jestem Maksz Pappermann, a ja wiem, że on nie jest żadnym dżentelmenem tylko czerwonoskórym łajdakiem. Dlatego mam prawo...

— Nie zwrócił pan jednak uwagi na to, jak się ten dżentelmen nazywa. Właściwie to dama, która, o ile wiem, nosi imię Kakho-Oto. Teraz może pan bić!

Puściłem jego rękę. Pappermann jednak stał bez ruchu. Jak oniemiały wpatrywał się w moją twarz.

— Ka... kho... O... to...?—wydusił wreszcie. —Da... ma...?

— Dokładnie tak jak powiedziałem.

— A więc córka Jednego Pióra, która pana wtedy uratowała? *

— We własnej osobie!

Pappermann nabrał głęboko powietrze w płuca i z grymasem skrajnej rozpacz na twarzy zawołał:

— O, wielkie nieba! To się tylko mnie, Makszowi Pappermannowi, mogło przydarzyć! Nieszczęsne imię! Czy ktoś jeszcze na świecie chciał się bić z kobietą! Właśnie wtedy, kiedy byłoby mi tak błogo dołożyć komuś od serca, musiało się zdarzyć coś podobnego! Jestem skompromitowany po wsze czasy! Abdykuję! Zapadam się pod ziemię i znikam!

Obrócił się na pięcie i ruszył biegiem przed siebie. Dotarłszy do krzaków przystanął jednak na chwilę i zawołał:

— Pan się też nie najładniej zachował, mister Burton!

— Dlaczego? — spytałem.

— Mógł mi pan tego oszczędzić! Wystarczyło mi powiedzieć, że to dama, a nie mężczyzna!

— Nie miałem prawa odsłaniać przed panem tej tajemnicy. Powiedziałem jasno, że Kiowa zasługuje na zaufanie. To powinno panu wystarczyć. Dlaczego mi pan nie uwierzył?

— Bo jestem osłem! Skończonym osłem! Ze wszystkim, co się z tym wiąże!

Zniknął wśród listowia. Kakho-Oto stała przede mną ze spuszczonymi oczyma. Jej policzki zaróżowiły się ze wstydu. Przyciągnąłem ją do siebie, pocałowałem w czoło i powiedziałem w jej ojczystym języku:

— Dziękuję ci! Wiele o tobie od tamtego czasu myślałem! Czy chcesz być nam siostrą? Nam obojgu?

— O, tak! Tobie i jej zarazem! — odpowiedziała i odeszła gdzieś na bok głęboko poruszona.

Serduszko zapytała najpierw, dlaczego Pappermann, rwał się do bójki. Wystarczyło kilka

słów, by zrozumiała. Śmiała się serdecznie. Potem podziękowała mi za to, że jej nie powiedziałem wcześniej, kim naprawdę jest Kiowa. Gdybym to zrobił, ominęłaby ją cudowna niespodzianka dzisiejszego poranka. Powróciliśmy do obozowiska, gdzie przy malutkim ogniu przygotowała nam poranną kawę. Stawili się na nią również Pappermann i Kakho-Oto. Obydwoje próbowali udawać całkowitą obojętność. Stary, dzielny westman za bardzo jednak spudłował, by móc przejść nad wszystkim do porządku dziennego. Nieustannie spoglądał z boku na swą niedoszłą ofiarę. W pewnej chwili chwycił jej rękę, przycisnął ją do ust i wymamrotał ze skrucą:

— Pomyśleć, że chciałem coś takiego uderzyć! Sam powinienem za to dostać!

Na tym sprawa została zamknięta. Od tej pory obydwójce bardzo się ze sobą zaprzyjaźnili.

W Domu Śmierci

Po śniadaniu złożyliśmy namiot, mocując maszty na grzbietach mułów podłużnie, a nie poprzecznie, gdyż Kakho-Oto uprzedziła nas, że dróżka do Domu Śmierci jest bardzo wąska. Początkowo schodziła tak stromo w dół, że musieliśmy zsiąść z koni. Szliśmy wzdłuż wąskiego, ale bardzo rwącego strumienia, spływającego w dół głębokim, wijącym się korytem. Nie widzieliśmy nic więcej poza otaczającymi nas ścianami. Po ponad półgodzinnym zejściu natrafiliśmy nagle na wielkie, nagie usypisko skalne, złożone jednak nie ze zwykłych, drobnych ułomków, lecz wielkich bloków skalnych, tak jakby przed setkami lat zwała się tu, cała wielka góra.

Dotarliśmy do Domu Śmierci — powiedziała Kakho-Oto, wskazując na usypisko.

— Czy to jest ten dom? — zapytałam. — Czy skały są wydrążone w środku?

— Tak. To nie jest naturalne zwalisko, lecz sztuczna budowla. Chodźmy!

Okrążywszy jedną ze skał stanęliśmy przed masywną, niewysoką, lecz szeroką bramą o prostokątnym sklepieniu. Jej bocznymi filarami były kamienie o ponad dwumetrowej szerokości. Widniały na nich płaskorzeźby przedstawiające wodzów wchodzących przez bramę do wnętrza świątyni. Znakiem rozpoznawczym ich godności były zatknięte we włosach orle pióra — jedno, dwa lub trzy. Kamień sklepiający miał również kilka metrów wysokości. Wykuty był na nim ołtarz narad, na którym wodzowie składali swe amulety.

— Ależ to żaden Dom Śmierci czy grobowiec — powiedziałem — lecz świątynia narad, na której ołtarzu przechowywano amulety do czasu realizacji ustalonych podczas narad celów!

Kakho-Oto uśmiechnęła się.

— Wiem o tym i ja — powiedziała — ale przed zwykłymi ludźmi trzeba to trzymać w tajemnicy. Inaczej miejsce to nie byłoby dla nich tak święte, jak by sobie tego życzyli wodzowie. Poza tym jest tu wiele zwłok, które w zupełności uzasadniają nazwę Domu Śmierci. Czy wejdziemy od razu do środka?

— Jak daleko jest stąd do jeziora?

— Do samej wody jedynie dwieście kroków.

— Musimy więc być ostrożni. Przybędą tu również obcy Indianie, którzy mogą nie przestrzegać zakazu. Przede wszystkim musimy ukryć konie i nie zostawić za sobą żadnych śladów. Dopiero wtedy wejdziemy do świątyni. Poszukajmy najpierw miejsca dla koni!

— Znam takie miejsce — powiedziała Kakho-Oto. — Znalazłam je zanim po was pojechałam. Chodźcie za mną!

Poprowadziła nas najpierw z powrotem tą samą drogą, a potem w głąb wąskiej szczeliny między skałami. Szczelina ta po jakimś czasie rozszerzała się tworząc otwartą przestrzeń wystarczającą dla naszych celów. Była tu woda i trawa. Rozsiodłaliśmy zwierzęta i spętawszy im nogi zostawiliśmy przy nich na straży Pappermanna, który chętnie na to przystał, jako że "nie lubił łązić po dziurach". Sami wróciliśmy do bramy Domu Śmierci.

Tutaj najpierw dokładnie zbadaliśmy otoczenie. Nie znaleźliśmy żadnych śladów — ani zwierząt, ani ludzi. Z pomocą gałęzi usunęliśmy nasz własny trop. Schodząc od strony naszego wczorajszego obozowiska natrafiliśmy na tylną część budowli, w której, jak wiadomo, znajdowała się brama. Owa brama była poprzednio całkowicie ukryta wśród gęstych zarośli i drzew. Nikomu nie postało nawet w głowie, że może się tu znajdować. Dopiero jakieś niewygaszone ognisko obozowe spowodowało pożar i strawiwszy chaszcze zdradziło tajemnicę. Do dziś okoliczne skały nosiły ślady ognia. Kiedy dotarliśmy do frontowej części sztucznego zwaliska, w odległości dwustu kroków, zobaczyliśmy tafłę jeziora. Spiętrzone bloki skalne były więc stamtąd i z innych miejsc doskonale widoczne, wyglądały jednak tak naturalnie, że nikomu nie przyszło na myśl, iż jest to sztuczna budowla. Bloki były tak strome i w taki sposób spiętrzone, że wykluczały jakąkolwiek wspinaczkę. Tylko tam, gdzie w zagłębieniach skalnych zgromadziło się z biegiem czasu trochę ziemi, szary koloryt skały ożywiały kępki zieleni; poza tym był to gładki, martwy kamień.

Teraz mogliśmy już wejść do wnętrza. Przeszedłszy przez bramę znaleźliśmy się w niezbyt przestronnym, ale bardzo wysokim pomieszczeniu o ciekawym kształcie. Rozszerzało się ono ku górze i zwieńczone było kulistym sklepieniem, tworząc na zewnątrz rzekomo przypadkowe, naturalne zwalisko. Wewnętrzne ściany biegły więc w górę nie pionowo a ukośnie, pod rozwartym w stosunku do podłoża kątem, i nie tworzyły wyrównanej powierzchni, lecz ułożone były z na przemian wysuniętych i cofniętych bloków skalnych. W ten sposób powstawało mnóstwo nisz, w których składane były mumie, szkielety i pojedyncze kości.

Na podłożu, dokładnie w środku pomieszczenia, stał kamienny ołtarz. Jak się później przekonałszy, był wewnątrz pusty. Tę pustą przestrzeń przykrywała ciężka, gładka płyta. Na jego bocznych ścianach widniały dwadzieścia cztery kute w kamieniu wizerunki — dwanaście orlich piór i dwanaście zamkniętych dłoni. Pióra i dłonie ułożone były na przemian. Zamknięta dłoń oznacza milczenie. Płaskorzeźby należało więc interpretować w ten sposób, że do ołtarza mieli się prawo zbliżać wyłącznie wodzowie i że wszystko, o czym tu rozmawiano, objęte było ścisłą tajemnicą. Wierzchnia płyta miała na środku czarny ślad świadczący o tym, że podczas obrad palono na niej ogień. Brakowało jakichkolwiek, nawet kamiennych, miejsc

do siedzenia.

Przedziwne oświetlenie całego pomieszczenia wprowadzało nastrój, niemal magiczny. Mówiąc ściśle, było to coś mniej jeszcze niż półmrok. Odrobina światła, jaka go rozświetlała, przenikała przez boczne ściany i sklepienia, w którym miejscami brakowało kamiennych bloków. Ponieważ jednak owe ściany i sklepienia były bardzo grube, światło docierało do środka długimi, pozałamywanymi gardzielami, których wyloty nie były od wewnątrz widoczne. Musiały być one zresztą dodatkowo zamaskowane na zewnątrz, tak aby nikt nie mógł ich dostrzec z jeziora. Do wnętrza świątyni docierał więc tylko drobny ułamek wpadającego w wyloty światła. Podobnie niesamowite oświetlenie miałem okazję zaobserwować w niektórych grobach królewskich w Egipcie, które jednak miały znacznie niższe sklepienie. W świątyni mieliśmy nad sobą taką przestrzeń, że wrażenie było nieporównanie większe. W każdej z nisz ciemniała ledwie widoczna przycupnięta mumia. Gdziekolwiek rysowały się jaśniej na tle ścian zwinięte w kłębek szkielety lub stosiki czaszek czy innych kości. Pozostałości żywych niegdyś ludzi! Nad każdą z nich widniało wyciosane w kamieniu orle pióro na znak, że śmiertelne szczątki należą

do wodza.

Powietrze w świątyni nie było stęchłe; otwory świetlne umożliwiały najwidoczniej dostateczną wentylację. Szczególnie istotne wydało mi się, że niegdyś można było

przechodzić od otworu do otworu, czyli jakby od okna, do okna. Umożliwiały to wystające ze ścian, łączące poszczególne otwory i nisze, pojedyncze kamienie, które pierwotnie, niczym stopnie, schodziły do ziemi. Obecnie brakowało najniższych. Zostały odrąbane i to nie tak dawno temu, o czym świadczyły jaśniejące na tle ściany, pozostałe po nich

ślady.

— Szkoda, że brakuje tych stopni — poskarżyła się Serduszko.

— Dlaczego?

— Bo chętnie bym się tam wdrapała.

— Kozica! — zażartowałem.

Żona rzeczywiście bardzo lubi cię wspinać. Podczas naszych górskich wędrówek niejednokrotnie musiałem ją powstrzymywać przed ryzykowniejszymi eskapadami.

— Nie udawaj! — odparła. — Znam cię dobrze. Nikt, tak jak ty nie tęskni, by się tam dostać na górę. Chciałbyś zajrzeć do każdej niszy i popatrzeć w każde okienko. Może zaprzeczysz?

— Nie, nie zaprzeczę. Przesadzasz mówiąc, że chciałbym zajrzeć do każdej niszy, ale wdrapać się do któregoś z okienek uważam wręcz za swój obowiązek. Musimy się przekonać, co się stamtąd da zobaczyć. Jaki jest widok na jezioro. Może widać coś, czego inaczej nie da się zobaczyć?

— Ale jak dostaniesz się do pierwszych stopni?

— Bardzo prosto: zrobimy sobie drabinę.

— Słusznie! — przyklasnęła. — Zrobimy drobinę, i to zaraz! Wyszliśmy na zewnątrz. Bardzo szybko znalazłem dwie

długie, strzeliste tyki i wyciąłem odpowiednią ilość szczebli. Rzemieni mieliśmy dosyć. Wkrótce drabina była gotowa. Wnieśliśmy ją do środka i przystawiliśmy do ściany. Sięgała akurat do najniżej położonych stopni. Korzystając z następnych wdrapaliśmy się jeszcze wyżej, co nie było całkiem bezpieczne, gdyż brakowało jakichkolwiek szerszych półek i pomostów. Mieliśmy do dyspozycji tylko pojedyncze, wystające ze ściany kamienie. Każdy z nich trzeba było przed wejściem wypróbować. Po drodze mijaliśmy nisze, do których oczywiście również zaglądaliśmy. Oszczędzę czytelnikom opisu mumii i szkieletów, nie chciałbym bowiem jako pisarz polegać na sensacji i dreszczyku grozy.

Wdrapawszy się na dostateczną wysokość, weszliśmy do jednego z najwyżej położonych otworów świetlnych. Był on tak duży, że mogliśmy się w nim swobodnie wyprostować i jeszcze pozostało nam nad głową sporo miejsca. Przypominał kształtem korytarz. Po zrobieniu dziewięciu kroków dotarliśmy na zewnątrz. Znajdowaliśmy się na dużej wysokości i mogliśmy ogarnąć wzrokiem większą część jeziora. Nie zapominając o ostrożności natychmiast usiedliśmy. Stojąc stanowilibyśmy łatwy przedmiot obserwacji dla każdego Komańcza czy Kiowy, który mógłby być w pobliżu. Owa ostrożność była jak najbardziej na miejscu. Ujrzelśmy nie jednego, a wielu Indian. Jechali jeden za drugim wzdłuż odległego o dwieście kroków wybrzeża -powoli, ociężale i w zupełnej ciszy.

— To Siouxowie starego Kiktahana Szonki — powiedziałem. — Utahowie albo już tu są, albo przyjadą za nimi.

— A więc zdążyliśmy na czas — powiedziała Serduszko. — Czy istnieje jakieś niebezpieczeństwo?

— Dla nich owszem, ale nie dla nas — odparłem. Młody Orzeł milczał; Kakho-Oto powiedziała natomiast:

— Teraz muszę już was opuścić. Czy mi zaufacie? Czy zaufacie, że nie zrobię niczego, co mogłoby wam zaszkodzić?

— Wierzymy ci — odparłem w jej ojczystym języku. -Kiedy mamy się ciebie znowu spodziewać?

— Tego nie wiem. Pójdę zobaczyć, co się będzie działo by donieść wam o tym. Jeśli nie będę miała nic szczególnego do przekazania, po prostu nie będę przychodziła. Ale gdybym dowiedziała się czegoś ważnego, wrócę natychmiast. Gdzie się spotkamy?

— Tam, gdzie ty chcesz.

— Proszę, byś o ile to możliwe, został tam, gdzie stoją teraz konie. Nie narażaj się niepotrzebnie na niebezpieczeństwo. Przede wszystkim nie próbuj nas podsłuchiwać! Ja jestem waszym uchem, a moje oczy są waszymi oczami! Dowiedcie się o wszystkim, czego ja sama zdołam się dowiedzieć!

Obiecałem spełnić jej prośbę. Kakho-Oto odeszła. My zostaliśmy jeszcze na górze, aby w dalszym ciągu obserwować Indian. Minęło sporo czasu, zanim przyjechali wszyscy Siouxowie. Potem przyszła kolej na Utahów. Było mi naprawdę przykro obserwować pochod tych krótkowzrocznych, przepełnionych nienawiścią ludzi.

— Kto zwycięży? — spytała Serduszko. — Oni czy my?

— My! — odpowiedziałem stanowczo. — Czy nie widzisz, że to, co przeciąga przed naszymi oczyma, nie jest naszą klęską, lecz zwycięstwem?

— Skąd ten wniosek?

— Zobacz, jacy są powolni, ociężali i obojętni, a przede wszystkim przyjrzyj się ich pustym workom na paszę i jukom.

— Nie rozumiem.

Również Młody Orzeł spojrzał na mnie pytająco. Mówiłem więc dalej:

— Nie mają prowiantu, ani dla siebie, ani dla koni.

— Otrzymają go z pewnością od swych sprzymierzeńców Kiowów i Komańczo w.

— To tylko chwilowo zmieni sytuację. Ci starzy Indianie są o wiele bardziej lekkomyślni niż dawniej młodzi. Żyją przeszłością i nie są w stanie zrozumieć teraźniejszości. Kiedyś wyruszano na wojnę małymi grupami, a nie od razu w sile tysiąca ludzi. Taka grupa łatwo się mogła utrzymać. Polowano na bawoły i, d ile to było możliwe, wybierano drogę wiodącą przez najlepsze trawy, gdzie również konie miały dostatek pożywienia. Wiosną Indianie przygotowywali mięso na pół roku, a jesienią na następne sześć miesięcy. Mieli tak wielkie zapasy tartego, surowego mięsa, że o każdej porze roku mogli przedsięwziąć dalekie wyprawy wojenne. Ale gdzie teraz znaleźć bawoły? Gdzie znaleźć Indianina, który zgromadził w swoim namiocie wielomiesięczny zapas mięsa? Gdzie ówczesne konie, na których można było polegać w głodzie i pragnieniu, na mrozie i w spiekocie, w każdym niebezpieczeństwie, w najcięższym i najbardziej szaleńczym wyścigu ze śmiercią? To wszystko należy już do przeszłości. Kto chce postępować według starych zasad, ten jest dziś już na straconych pozycjach. Moja rusznica na niedźwiedzie została w domu. Mój sztucer Henry'ego i rewolwery leżą spokojnie w kufrze. Ich czas już minął. Cóż jednak robi Kiktahan Szonka i Tusahga Saricz? Wyruszają na wojnę z tysiącem Siouxów i tysiącem Utahów. Z ludźmi i końmi pozbawionymi jakiegokolwiek doświadczenia wojennego. A przede wszystkim bez większych zapasów prowiantu. Teraz są zmuszeni żebrac u Kiowów i Komanczów. Ale czy oni mają wystarczający zapas mięsa i chleba? Skądże! I oni wyruszą w dwa tysiące ludzi, a więc w sumie będzie ich prawdopodobnie cztery tysiące. Do tego taka sama liczba koni, nie licząc taboru! Skąd wziąć żywność, paszę i wodę dla tak szaleńczo

wielkiej armii? Nie potrzeba do nich strzelać. Poumierają z głodu, z głodu i pragnienia! Wszyscy bez wyjątku! Kiedy tak na nich patrzę, wydaje mi się, że widzę nie ciała, a wycieńczone dusze ciągnące ku drugiej stronie bytu, by tam, w pustej krainie wiecznych łowów ostatecznie zginąć z głodu!

— Uff, uff! — zawołał Młody Orzeł, któremu moje porównanie natychmiast trafiło do przekonania.

Serduszko nie odzywała się. Ona również wiedziała, że mam rację, ale ta wiedza nie podnosiła jej na duchu, a przeciwnie — przytłaczała. Już miała przed oczyma cztery tysiące ginących ludzi i fakt, że nam przyszło przyczynić się do ich zagłady, sprawiał jej przykrość i ból.

Kiedy również Utahowie zniknęli z pola widzenia, zeszliśmy z powrotem na dół, ukryliśmy starannie drabinę, tak aby nie mogło jej dostrzec najbystrzejsze oko, i wróciliśmy do Pappermanna i zwierząt.

— Była tu Kakho-Oto — zameldował. — Osiodłała szybko konia i odjechała. Powiedziała, że wiecie, dokąd.

Rozbiliśmy namiot i rozgościliśmy się w wąwozie. Postanowiłem pójść za radą naszej przyjaciółki i nie narażać się niepotrzebnie na niebezpieczeństwo. Z każdego punktu widzenia było zresztą najrozsądniej siedzieć spokojnie w kryjówce. Mieliśmy więc czas i sposobność do tego, by zająć się testamentem Winnetou. Otworzyłem paczki i na resztę przedpołudnia oraz całe popołudnie pograżyłem się wraz z Serduszką w lekturze. Napiszę o niej w innym miejscu¹⁹; teraz chciałbym jedynie powiedzieć, że nigdy niczego podobnego nie czytaliśmy i że wobec tego złożonego w nasze ręce skarbu niczym jest złoto i szlachetne kamienie, choćby odmierzone cetnarami.

Przed wieczorem zjawiała się znowu Kakho-Oto. Oznajmiła, że Kiowowie, Komańcze, Utahowie i Siouxowie zgromadzili się już razem w sile ponad czterech tysięcy wojowników, po tysiącu z każdego plemienia. Dokładnie tak, jak przypuszczałem. Przed południem zjedzono posiłek, a po południu odbyły się rozmaite narady. Po długotrwałych sporach doszło wreszcie do porozumienia. Narada główna byłaby w zasadzie zbyteczna, gdyby nie to, że ma ona również spełnić rolę uroczystości końcowej będącej uhonorowaniem wszystkich poprzednich rozmów.

— A więc dojdzie do głównej narady? — zapytałem.

— Tak — odparła nasza przyjaciółka.

— Kiedy?

— O północy.

— O gdybym tam mógł być nie zauważony przez nikogo! Nieustannie o mnie zatroskana Serduszko zareagowała gwałtownie:

— O nie! Nic z tego! To niebezpieczne!

— Dlaczego niebezpieczne?

— Jeśli cię złapią, koniec z tobą! Jako twoja żona muszę zatroszczyć się o to, byś przynajmniej pozostał przy życiu!

Kakho-Oto uśmiechnęła się. Ja również uśmiechnąłem się i zapytałem Serduszkę:

— A jeśli się okaże, że nie ma niebezpieczeństwa?

— Wtedy pójde z tobą, by zbadać rzecz na miejscu! Być westmanem jako kawaler to

¹⁹ Autor ma tu na myśli planowany końcowy tom opowieści, pt. *Testament Winnetou*, którego jednak już nie napisał. Tom niniejszy, *Spadkobiercy Winnetou*, był ostatnią powieścią Karola Maya.

żadna sztuka. Ale nikt rozsądny nie będzie twierdził, że można zachować się jak westman mając już od paru ładnych lat żonę! Ilekroć zdarzy się, że my, kobiety, kogoś podsłuchamy, narzekaniom i dowcipom nie ma końca. Ale jeśli jakiś pan czołga się po lesie z zamiarem podsłuchania Indian, mówi się, że jest to po pierwsze konieczne, a po drugie świadczy o niezwyklej odwadze i bohaterstwie. Mam pomysł, który uczyni twoje podsłuchiwanie całkowicie zbytecznym.

— Jakież to?

— Kakho-Oto weźmie udział w naradzie końcowej i powie nam, o czym była mowa.

Roześmiałem się głośno i odparłem:

— I to nazywasz pomysłem? Nic niedorzeczniejszego! Nigdy w takim spotkaniu nie mogłaby wziąć udziału

kobieta!

— Naprawdę? To skandal! Mimo wszystko, musimy się dowiedzieć, o czym będą rozmawiać! Jak by to zrobić?

Nasza indiańska przyjaciółka uśmiechnęła się znowu i powiedziała:

— Będziecie obecni na tej naradzie.

— My? Oboje?

— Tak.

— Myślałam, że jako kobieta nie mam tam wstępu!

— Nikt o tym nie będzie wiedział. Nikt was nie będzie widział. Wodzowie naradzać się będą w Domu Śmierci. Chce tego czarownik Komanczów, a popiera go czarownik Kiowów. Obydwaj twierdzą, że Dom Śmierci był już przed tysiącami lat miejscem narad wodzów i że po jego odkryciu powinien stać się nim znowu. Dom ten był też dla wodzów miejscem wiecznego spoczynku. Za wejście do środka grozi kobietom natychmiastowa śmierć. Dotyczy to również zwykłych wojowników, o ile nie wyznaczono ich do obsługi wodzów.

— To cudownie! — zachwyciła się Serduszko. — A więc będą tam o północy?

— Na krótko przed, bowiem ceremonia ma się rozpocząć punktualnie o północy.

— My w każdym razie będziemy na czas. Może już o jedenastej!

— Nie myślisz chyba o sobie? — zapytałem.

— Dlaczego? — spojrzała na mnie zdziwiona.

— Dopiero co słyszałaś, że niewiastom pod karą śmierci wstęp wzbroniony! Uważam, że to zbyt niebezpieczne! Jako twój mąż muszę zatroszczyć się o to, byś przynajmniej pozostała przy życiu! W związku z tym czuję się zobowiązany oświadczyć, że twój udział w nocnym zebraniu jest absolutnie wykluczony!

— Oho! Odmawiam posłuszeństwa! Jeśli natychmiast nie odwołasz swego oświadczenia, zaraz pójde do Domu Śmierci i ukryję się gdzieś aż do północy, by was wszystkich podsłuchać — nie tylko Indian, ale i was!

— A gdzie się ukryjesz?

— Tego jeszcze nie wiem.

— A powinnaś.

— Z góry?

— Oczywiście! Łatwo powiedzieć: ukryję się. Znalezienie dobrej kryjówki wymaga zastanowienia, którego nie można odkładać na ostatnią chwilę. Nie wiemy, ile osób weźmie

udział w naradzie...

— Ja wiem — wpadła mi w słowo Kakho-Oto. — Będzie Kiktahan Szonka, Tusahga Saricz, To-kei-czun i Tangua — czterech głównych wodzów, a ponadto czarownik Kiowów, czarownik Komanczów i po pięciu młodszych wodzów z każdego plemienia. Ma być też kilku zwykłych wojowników, którzy przyniosą drewno na ogień i starego Tanguę, który nie jest w stanie przyjść o własnych siłach. Każde plemię rozpali swój ogień narady. Wspólny ogień rozpalony zostanie na ołtarzu, w którym zostaną złożone amulety głównych wodzów aż do czasu wypełnienia wszystkich podjętych przy nim postanowień.

— A więc można zakładać — kontynuowałem jej wywód — że obecnych będzie co najmniej trzydzieści osób. Nie wiadomo, jak się rozejdą po pomieszczeniu. Nie ma więc na dole żadnego miejsca, w którym moglibyśmy się czuć bezpieczni. Nie ma nic, za czym moglibyśmy się ukryć. Tylko ołtarz, wokół którego się zgromadzą.

— W takim razie schowajmy się u góry! — zawołała Serduszko. — Skorzystajmy z drabiny! Są nisze, otwory wentylacyjne i świetlne!

— Słusznie! — skinąłem głową. — Ale czy pomyślałaś o ogniu?

— Po co?

— Co za pytanie! Po to, żeby się nie udusić, albo nie zdradzić nieustannym chrząkaniem i kaszlem! Będzie płonęło pięć ognisk — cztery plemienne i jedno na ołtarzu. Palone będzie drewno, chrust i temu podobny materiał. W rezultacie, zwłaszcza jeśli paliwo nie będzie całkiem suche, powstanie taki dym, że tam gdzie chcesz wejść, nie będzie można wytrzymać. Chyba, że znajdzie się miejsce, do którego dym nie będzie miał dostępu.

— Myślisz, że jest takie?

— Mam nadzieję. Na dole się nie ukrywamy i musimy wejść na górę. Ale nie za wysoko, bo nie będziemy nic słyszeć. Należy się zastanowić nad kierunkiem przeciągów. Brama i otwory okienne są ciągle otwarte. Przeciągi więc będą — ale w jakim kierunku? Chodźmy tam szybko i rozpalmy ogień, żeby się przekonać, w którą stronę będzie leciał dym.

— A do tego jeszcze dać się złapać? — rzucił ostrzegawczo Pappermann.

— Nikt tam nie przyjdzie — zapewniła Kakho-Oto. — Możemy się o to nie niepokoić.

Zrobiliśmy, jak zaproponowałem. Poszliśmy do Domu Śmierci zbierając po drodze suche drewno w ilości potrzebnej do przeprowadzenia doświadczenia. Wyciągnęliśmy też drabinę. Pappermann został na dole i dokładał do ognia, a my w czwórkę weszliśmy na górę i obserwowaliśmy spowodowany przez źródło ciepła ruch powietrza, a także kierunki rozchodzenia się dymu. W ten sposób ustaliliśmy najlepiej naszym celom odpowiadające miejsce. Zszedłszy na dół zgasiliśmy ogień i starannie zatarliśmy za sobą wszelkie ślady. Potem wróciliśmy do obozowiska. Kakho-Oto znowu nas pożegnała. Podczas gdy moja żona zajęła się przygotowaniem kolacji, zrobiliśmy z tłuszczu niedźwiedziego i niebarwionego, skręconego sznurka bawełnianego kilka niewielkich świeczek, które miały nam rozświetlić nocny mrok podczas wspinaczki w Domu Śmierci. Wspinaczka po samych tylko wystających ze ściany kamieniach, bez pomocy szerszych pólek czy parapetów, i to z tak mizernym oświetleniem, pozostała jednak przedsięwzięciem ryzykownym. Każde poślizgnięcie musiało skończyć się upadkiem. Dlatego chciałem ze sobą zabrać tylko Młodego Orła. Serduszko była zupełnie zbyteczna, tym bardziej, że z narady prowadzonej w którymś z indiańskich narzeczy i tak nie rozumiałaby ani słowa. Jednak właśnie dlatego, że była to wyprawa niebezpieczna żona uparła się nam towarzyszyć. Więcej bowiem troszczyła się o mnie niż o samą siebie i uważała, że w jej towarzystwie będę ostrożniejszy.

Kiedy nadszedł czas*, ruszyliśmy w drogę polecając Pappermannowi, by w razie naszej przedłużającej się nieobecności — jako termin wyznaczaliśmy poranek dnia następnego —

ostrożnie zorientował się, co nas zatrzymało w Domu Śmierci. Zabraliśmy ze sobą rewolwery, choć nikt z nas nie spodziewał się, by były potrzebne. Już we wnętrzu Domu zapaliliśmy trzy świece. Wspinaczka okazała się trudniejsza, niż przewidywaliśmy, a to z powodu drabiny, której oczywiście nie mogliśmy zostawić przy ścianie. Ja wspinałem się pierwszy, za mną Serduszko, a na końcu Młody Orzeł. Drabina niesiona przeze mnie i Indianina stanowiła ruchome zabezpieczenie dla żony, która w razie konieczności mogła się jej przytrzymać. Wspinaczka trwała bardzo długo, ale w końcu dotarliśmy szczęśliwie do celu. Drabinę wsunęliśmy w głęboki otwór świetlny, tak że zupełnie zniknęła z pola widzenia. Potem zgasiliśmy nasze świece i wyszliśmy przez wylot na zewnątrz.

Nad nami rozpościerało się jasne od gwiazd niebo. W ich świetle jezioro wyglądało niczym matowo-srebrna tafla, spowita w cienie nadbrzeżnych zarośli. Nie czekaliśmy długo. Wkrótce pojawiły się idące powoli, jedna za drugą postaci, najpierw ledwo widoczne, potem coraz wyraźniejsze — nie na tyle jednak, by można było rozpoznać rysy ich twarzy. Również kontury sylwetek były mało wyraziste, ale nie ulegało żadnej wątpliwości, że to Indianie. Widzieliśmy też nosze, na których niesiono wodza Kiowów. Zrobione były z płótna rozpiętego między dwoma drewnianymi żerdziami. Kilku Indian dźwigało wiązki drewna i chrustu. W sumie naliczyliśmy trzydzieści cztery osoby. Zaczekaliśmy, aż ostatni zniknął we wnętrzu świątyni, po czym sami wróciliśmy do środka. Panowały tutaj nieprzeniknione ciemności. Usiedliśmy oczekując dalszego biegu wypadków.

Z dołu dobiegały nas najpierw tylko tajemnicze szmery. Nikt nie rozmawiał, nie zabrzmiął ani jeden rozkaz czy polecenie. Wszystko zdawało się być ustalone z góry w najdrobniejszych szczegółach. Nagle zabłysła gdzieś iskra, a po niej druga i następne. Iskry przemieniały się w małe płomyczki, te zaś w płomienie i całe ogniska. Było ich cztery, po jednym w każdym rogu kwadratu, którego środek stanowił ołtarz. Wokół każdego gromadziły się fantastycznie wyglądające grupy Indian — wodzowie poszczególnych plemion. W górę wzbijały się kłęby dymu, który nam jednak zupełnie nie przeszkadzał ginąc w o-tworach po przeciwległej stronie pomieszczenia. Ogniska rozświetliły też wnętrze, ale wraz z wysokością, światło traciło intensywność i stawało się coraz bardziej tajemnicze.

W migotliwych płomieniach wszystko zdawało się poruszać i chwiać — niszce, mumie, bielejące żebrami klatki piersiowe i najróżniejsze inne kości. Serduszko chwyciła mnie za rękę i ścisnąwszy ją kurczowo szepnęła:

— Jakie to upiorne! Jestem prawie przerażona!

— Czy wolałabyś stąd wyjść? — zapytałem.

— Nie, nie! Czegoś takiego nigdy już więcej nie zobaczę! Czuję się, jakbym zeszła do piekła!

Jej porównanie nie było wcale chybione, choć ja wolałbym miejsce to przyrównać raczej do czyśćca. Tam w dole dopełniał się bez wątpienia grzech, ale nie musiał on koniecznie oznaczać ostatecznego potępienia, i w końcu nasza obecność tutaj miała na celu doprowadzić do innego, lepszego rozwiązania. Skupione wokół ogniska postaci wydały mi się nie tyle spadkobiercami minionych tysiącleci, ile oczekującymi wybawienia duchami pradawnych czasów, które obmyślały swój ostatni, haniebnny czyn niosący jednak z sobą szansę wyzwolenia z ciemności. Kiedy tak o tym myślałem, z dołu zabrzmiwały pierwsze słowa:

— Jestem Awat towawh²⁰, czarownik Komanczów. Powiadam: jest północ!

Następnie odezwał się drugi głos:

— Jestem Onto tapa²¹, czarownik Kiowów. Niech narada się zacznie!

²⁰ Wielki Wąż

²¹ Pięć Wzgórz.

— Niech się zacznie! — zawołał Tangua.

— Niech się zacznie! — zawołał To-kei-czun.

— Niech cię zacznie! — zawołał Tusahga Saricz.

— Niech się zacznie! — zawołał Kiktahan Szonka. Rysy wodzów były dla nas w dalszym ciągu niewidoczne.

Widzieliśmy tylko ich sylwetki i słyszeliśmy głosy, wznoszące się w górę jakby z podziemnego świata. Czarownik Komanczów podszedł do ołtarza i rzekł:

— Stoję przed świętym miejscem, na którym składane są amulety. W świątyni naszego starego, słynnego Tatella-Saty wisi ogromna skóra dawno już wymarłego gatunku srebrnego lwa z napisem: "Czuwajcie nad swoimi amuletami! Błada twarz przybędzie poprzez wielką wodę, aby was ich pozbawić. Jeśli to dobry człowiek, przyniesie wam błogosławieństwo. Jeśli zły, we wszystkich waszych obozowiskach i namiotach rozlegnie się płacz."

Teraz do ołtarza podszedł czarownik Kiowów i przemówił:

— Ale obok skóry srebrnego lwa wisi skóra wielkiego orła-woj o wnika, na której napisano: "Wtedy pojawi się bohater, którego nazwą Młody Orzeł. On przeleci trzykrotnie wokół Góry Amuletów i osiadzie wśród was, aby zwrócić wam wszystko, co zrabowała biała twarz". Pytam was, główni wodzowie czterech zjednoczonych plemion: Czy chcecie pozostać wierni postanowieniom, które dzisiaj wspólnie podjęliście?

— Chcemy! — odpowiedzieli wszyscy czterej.

— I jesteście gotowi złożyć tu wasze amulety jako porękę, że zrobicie wszystko, by te postanowienia wypełnić?

Zabrzmiało głośnie, czterokrotne "Tak".

— A więc przyniescie je tutaj i złóżcie!

Uczynili jak powiedział. Nawet Tangua kazał się zanieść do ołtarza, by osobiście oddać swój amulet. Kiktahan Szonka poskarżył się:

— To tylko połowa mojego amuletów. Drugą zgubiłem, gdy Manitou odwrócił ode mnie swoje oblicze. Oby spojrzał na mnie znowu, bym nie utracił tego, co mi pozostało! Ciężar moich zim ściąga mnie już do grobu. Czyżbym miał stanąć po tamtej stronie bez mojego amuletów, z wyrokiem wiecznego potępienia? Choćby po to, by się przed tym uchronić muszę dopełnić wszystkiego, co dzisiaj przysięgam!

Z ołtarza zdjęto płytę i po złożeniu w środku amuletów nasunięto ją z powrotem. Potem ułożono na wierzchu drewno i chrust i rozpalono ognisko. Był to mały ogień na indiańską modłę — paliły się tylko końce bierwion, które stopniowo podsuwano do środka. Rozpoczęła się więc ceremonia "ognia narady". Zgromadzeni potraktowali ją bardzo uroczyście. Najpierw z ogromną dbałością o zachowanie wszelkich form wypalili fajkę pokoju. Potem, mimo wszystkich odbytych już narad, nastąpiły długie przemowy. Byłoby z pewnością rzeczą bardzo interesującą przytoczyć je tu w całości. Niektóre stanowiły prawdziwe perły indiańskiego krasomówstwa. Brak miejsca uniemożliwia mi niestety zdanie sprawy z taką dbałością o szczegóły, jaką podczas tej uroczystości mieliśmy okazję zaobserwować u Indian. Powiem tylko tyle, że z naszej kryjówki słyszeliśmy i rozumieliśmy wszystko bardzo wyraźnie. Nie umknęło nam ani jedno słowo. Wyniki narady można streścić następująco:

Owe cztery plemiona planowały atak na obozowisko Apaczów i ich sprzymierzeńców na Górze Winnetou. Miał on na celu niedopuszczenie do wyniesienia na piedestał postaci Winnetou, a jednocześnie zdobycie wielkiej ilości łupów i wszelkich kosztowności, jakie miały się znaleźć w obozowisku. Chodziło przede wszystkim o dobrowolne daniny z nugetów i innych szlachetnych metali przywiezione przez przedstawicieli poszczególnych plemion,

klanów, stowarzyszeń, jak i osoby prywatne. Wojownicy czterech plemion mieli pozostać jeszcze kilka dni nad Ciemną Wodą, by odpocząć po długim marszu, a potem udać się do miejsca zwanego Doliną Jaskini. Dolina ta znajdowała się niedaleko Góry Winnetou i stanowiła dobrą kryjówkę nawet dla tak wielkiej liczby ludzi. Miał to być punkt wypadowy do ataku na Apaczów i ich sprzymierzeńców.

Kapitałne znaczenie miała dla nas wiadomość, iż cztery zjednoczone plemiona miały wśród Apaczów swojego człowieka, który miał je o wszystkim informować, uczestniczyć w przygotowaniu napadu i wskazać najodpowiedniejszy dla niego moment. Ów szpieg i zdrajca stanowił tym większe zagrożenie, że nie był człowiekiem zwykłym, lecz jako członek komitetu budowy pomnika miał dostęp do wszelkich informacji i cieszył się ogólnym zaufaniem. Chodziło o pana Antoniusa Papera, o indiańskim imieniu Okih-czin-cza i rozkołysanym kroku. To była dla nas informacja szczególnej wagi. Paper miał otrzymać za współpracę sporą część łupów. Jak dużą — o tym nie było na naradzie mowy, gdyż starzy wodzowie zdawali się unikać tego tematu w obecności swych młodszych współpracowników. Wspomniano też o Entersach, którzy mieli nie dostać swego udziału ze względu na to, co trzeba było dać Paperowi. Z kolei ten ostatni również nie mógł być pewny swojej "doli" z powodu zapłaty obiecanej Entersom. Jednym słowem był to wielki szwindel, w którego szczegóły nikt nie chciał się wdawać! Moim zdaniem Indianie chcieli się ulotnić nie zapłaciwszy ani Paperowi, ani Entersom.

Kiedy ceremonia dobiegła końca, czarownicy wygasili ogień narady. Zmiotli popiół z płyty i odstąpili kilka kroków do tyłu. Czarownik Komanczów powiedział uroczystym głosem:

— Ilekroć święty ogień gaśnie nad amuletami powtarzajmy słowa srebrnego lwa: "Czuwajcie nad swoimi amuletami! Błada twarz przybędzie poprzez wielką wodę i rozległą prerię, aby was ich pozbawić!"

A czarownik Kiowów dodał:

— Ilekroć święty ogień gaśnie nad amuletami, powtarzajmy również słowa wielkiego orla-wojownika: "Pojawi się bohater, którego nazwą Młody Orzeł. On przeleci trzykrotnie wokół Góry Amuletów i osiadzie wśród was, aby zwrócić wam wszystko, co zrabowała biała twarz. Wówczas dusza czerwonej rasy obudzi się z tysiącletniego snu i to, co było podzielone, stanie się jednym narodem, jednym wielkim ludem!"

Od tej chwili nikt już więcej nie mówił. Indianie siedzieli jednak aż dopaliły się ogniska i zgasła ostatnia iskra. To oznaczało koniec uroczystości. Jej uczestnicy opuścili pomieszczenie dokładnie w taki sposób, jak przyszli: jeden za drugim, powoli, cicho, pojedynczo. Patrzyliśmy za nimi, aż doszedłszy do jeziora rozdzielili się na dwie strony. Serduszko westchnęła głęboko.

— Co za noc! — powiedziała. — Nigdy tego nie zapomnę! Co teraz zrobimy?

— Zejdziemy na dół i zabierzemy amulety — odparłem.

— Czy wolno nam to zrobić?

— W zasadzie nie. Grozi za to śmierć. Żaden Indianin nie podniósłby na nie ręki. Nam nie pozostaje jednak nic innego.

Młody Orzeł słuchał w milczeniu. Zapaliliśmy świeczki i wyciągnąwszy drabinę, z największą ostrożnością zeszliśmy z powrotem na dół. Kiedy zbliżyliśmy się do ołtarza młody Apacz zapytał mnie w swym ojczystym języku:

— Naprawdę chcesz je stąd zabrać?

— Bezwzględnie — odparłem. — Staną się mocą w moim ręku, mocą wielką i pełną

błogosławieństwa.

— Wiem. Jednak jako Indianin świadom jestem wagi i nienaruszalności amuletów złożonych w takim miejscu. Wiesz, co mi każe zrobić moje indiańskie sumienie?

— Tak. Nie pozwolić mi ich dotknąć. Użyć nawet siły. Ale czyż ja nie uznaję świętości tych amuletów? Czy chcę je sprofanować?

— Nie, nie masz takiego zamiaru. I jesteś Old Shatterhandem, a ja tylko młodzieńcem. Walka z tobą oznaczałaby dla mnie pewną śmierć. Mimo to chciałbym, byś mi pozwolił postawić jeden warunek.

— Proszę!

— Jeśli chcesz być bladą twarzą srebrnego lwa, która przybywa, by zabrać nam nasze amulety, pozwól mi zostać młodzieńcem orla-wojownika, który sfuwa z Góry Winnetou, by zwrócić amulety swym braciom.

— Czy potrafisz to zrobić?

— Jeśli się zgodzisz...

— Potrafisz polecieć?

— Tak.

— Trzykrotnie wokół Góry?

— Tak!

To był moment niezwykły, a może i epokowy. Ciemności! Budzące grozę otoczenie! Starzejąca się blada twarz i Indianin, niezwykłych uzdolnień i odwagi, w najbardziej obiecującym okresie swego życia. Stoją naprzeciw siebie po obu stronach ołtarza trzymając w dłoniach małe świece, których nikły blask już o parę kroków dalej pochłania zupełna ciemność. Młody Orzeł mówił o lataniu. Twierdził, że potrafi latać tonem wykluczającym jakiegokolwiek wątpliwości. Myślał o fizycznym locie. Ja pomyślałem jednak również o locie duchowym, jaki musiał przedsięwziąć ten archetyp odrodzonego ludu, by zwrócić swym braciom amulety zaginione na przestrzeni minionych tysiącleci. Pokładałem jednak w tym chłopaku wielką, serdeczną i, chciałoby się rzec, świętą ufność.

— Wierzę w ciebie! — odpowiedziałem. — Wezmę je teraz, ale zwrócę ci na każde żądanie.

— Daj mi na dowód swą rękę!

— Oto ona! Podaliśmy sobie dłonie.

— A więc weź je! — powiedział i chwycił za płytę, by pomóc mi ją odsunąć. Była jeszcze ciepła. Wyjąłem amulety z ołtarza. Zasunęliśmy płytę z powrotem i zdmuchnąwszy świece opuściliśmy Dom Śmierci udając się do naszego obozowiska. Drabinę zabraliśmy ze sobą, aby nas już po wszystkim nie zdradziła. Nasz pobyt nad Ciemną Wodą dobiegł końca. Choć krótki, okazał się bardzo owocny.

Na Górze Winnetou. Tatella-Sata

Było to już około tygodnia później. Spędziwszy noc nad dolnym biegiem Klekih Toli, jechaliśmy od wczesnego ranka dalej wzdłuż brzegu rzeki. Klekih Toli oznacza w języku Apaczów tyle co "biała rzeka". Spływa ona z Góry Winnetou w licznych kaskadach i zawdzięcza swą nazwę białemu, spienionemu nurtowi. Ma głębokie koryto o wysokich, stromych brzegach porośniętych w górnych partiach lasem, a bliżej wody zaroślami. Na zboczach potężnego masywu Góry Winnetou Biała Rzeka tworzy kilka wodospadów, które nadają całemu otoczeniu szczególny charakter.

Było nas czworo: Serduszko, Młody Orzeł, Pappermann i ja. Entersów nad Ciemną Wodą nie spotkaliśmy; nie mieliśmy zresztą powodów dążyć do takiego spotkania. Wiedzieliśmy i tak, że prędzej czy później znowu się na nich natkniemy. Kakho-Oto zjawiła się nazajutrz po naradach w Domu Śmierci, by nas powiadomić, że w obozie czerwonoskórych nie zaszło nic szczególnego. Nie pytała, czego dowiedzieliśmy się. Dlatego nie chcąc, by popadła w konflikt ze swymi plemiennymi zobowiązaniami pominęliśmy całą sprawę milczeniem, w szczególności zaś fakt, że mam w swym posiadaniu wodzowskie amulety. Im mniej osób o tym wiedziało, tym lepiej było dla nas. Wieść o naszym rychłym wyjeździe najwyraźniej sprawiła jej przykrość. Chętnie by nam towarzyszyła, rozumiała jednak, że byłaby większym obciążeniem niż pomocą i że więcej mogła dla nas zrobić pozostając wśród Kiowów. Uzgodniliśmy, że spotkamy się na Górze Winnetou.

Góra była już bardzo blisko, choć dla nas, jadących głębokim korytem rzeki, pozostawała ciągle niewidoczna. Od Ciemnej Wody prowadziła na Górę Winnetou również inna, wygodniejsza droga, z której jednak zrezygnowaliśmy, spodziewając się, że w obecnym momencie będzie znacznie bardziej uczęszczana. Chcieliśmy uniknąć niepotrzebnych spotkań i, o ile to możliwe, dotrzeć do celu zupełnie dla innych niespodziewanie. Dlatego zmierzaliśmy ku Górze od mniej przystępnej strony. Aby jednak nie rozminąć się z celem, musieliśmy w końcu wjechać w koryto Klekih Toli, które okazało się dość uczęszczanym w obecnym czasie szlakiem. Dowodziły tego liczne ślady stóp i kopyt końskich. Wkrótce zobaczyliśmy i ludzi — czterech Indian przykucniętych między zaroślami, w miejscu, którego nie dało się ominąć. Ich konie pasły się nad wodą. Nie nosili żadnych malowideł, a z uzbrojenia mieli ze sobą tylko włócznie. Mimo to od razu zorientowałem się, że to Komańcze Pohonim. Na nasz widok stanęli przyglądając się nam badawczo. Był to posterunek wystawiony w celu kontroli przyjezdnych. Młody Orzeł przejechał nie zatrzymany pozdrawiając ich w milczeniu. Nam jednak zagrodzili drogę.

— Dokąd jadą moi biali bracia? — zapytał najstarszy z wartowników.

— Na Górę Winnetou — odparłem.

— W jakim celu?

— Chcemy się spotkać z Old Surehandem.

— Nie ma go tam dzisiaj.

— I z Apanaczką, wodzem Komańców Pohonim.

— Jego również nie ma. Wyjechali obydwaj.

— A więc zaczekam, aż wrócą.

— To niemożliwe. Nie wpuszczamy teraz na Górę Winnetou żadnych bladych twarzy.

— Kto wydał ten zakaz?

— Komitet.

— Do kogo należy Góra Winnetou? Czy do komitetu?

— Nie — odpowiedział z pewnym zakłopotaniem.

— A więc komitet nie ma tu prawa ani rozkazywać, ani niczego zakazywać!

Pogoniłem swego konia. Indianin chwycił za cugle i powiedział:

— Muszę was zatrzymać. Musicie zawrócić! Nie puszczę was!

— Spróbuj!

Spiałem konia i strząsnąłem strażnika. Pozostali trzej próbowali zatrzymać Serduszko i Pappermanna. Mój koń skoczył na nich roztrącając na boki. Pappermann zaśmiał się szyderczo.

— Chcieliście mnie zatrzymać? Maksza Pappermanna? Niesłychane! Przebiję każdego, kto się do mnie zbliży!

Skoczył na swym mule w kierunku włócznie. W chwilę potem byłem tam i ja. Dwa szybkie ruchy i broń Indian należała do nas. Pappermann przewiesił sobie jedną, korzystając z rzemiennej pętli, przez ramię a drugą zniżył do pchnięcia. Ja zrobiłem to samo.

— No! — zaśmiał się. — Komu życie miłe, niech mi schodzi z drogi! Naprzód!

Pojechaliśmy dalej.

Komańcze byli młodymi ludźmi. Najstarszy z nich liczył sobie nie więcej niż trzydzieści lat. Nie należeli więc do minionej, wojowniczej epoki. Byli tak zaskoczeni, że zupełnie nie wiedzieli, co począć. Skoczyli na konie i jechali za nami prosząc, byśmy oddali im włócznie i poczekali, aż zameldują o naszym przybyciu. Wtedy dowiedzielibyśmy się czy wolno nam jechać dalej. Ponieważ nie mieliśmy zamiaru ich ośmieszyć, zwróciliśmy im włócznie. Nie zatrzymaliśmy się jednak. Oni zaś nie śmiąc nam przeszkadzać jechali z tyłu, gdyż najwyraźniej nie wolno im było stracić nas z oczu. Po około godzinnej jeździe trafiliśmy na drugi, również czteroosobowy posterunek. I tym razem próbowano nas zatrzymać. Indianie z pierwszego posterunku poczuli się pewniejsi. W tej sytuacji zeskoczyłem z konia, wyjąłem z juków rewolwery z amunicją i odszedłszy na odległość dwudziestu pięciu kroków oddałem szybko osiem strzałów. Każdy z Indian poczuł szarpnięcie w rękę, w której trzymał włócznie. Kule przewierciły wszystkie osiem drzewc. Uzupełniłem amunicję i wsiadłszy z powrotem na konia powiedziałem:

— Celowałem tylko we włócznie. Ale następnym razem celować będę do ludzi.

Pojechaliśmy. Wartownicy rozmawiali ze sobą cicho krótką chwilę, po czym wszyscy ruszyli w ślad za nami, nie podjeżdżając jednak bliżej, niż byśmy sobie tego życzyli. Po następnej godzinie jazdy mieliśmy przed sobą następny posterunek — tak jak pozostałe czteroosobowy i uzbrojony wyłącznie we włócznie. Znowu zastąpiono nam drogę. Widząc jednak, że jedziemy w obstawie, Indianie puścili nas i przyłączyli się z tyłu do swych pobratymców. Serduszko zaczęła się dobrze bawić.

— Jest ich już tuzin! — powiedziała. — A nas czworo, w tym jedna kobieta! Czy to mają być owi mężni czerwonoskórzy, o których czyta się w książkach? Czy to są ci najzuchwalsi ze wszystkich, Indianie Komańcze?

— Nie sądź zbyt pochopnie — odparłem. — Są młodzi i niedoświadczeni. Daj im sposobność poćwiczyć, a zobaczysz, że w niczym nie ustępują swoim ojcom. Zaskoczyliśmy ich, nic więcej.

Do następnego posterunku jechaliśmy półtorej godziny. Stała tu obszerna chata. Przed nią leżało na ziemi kilka drewnianych kłód przeznaczonych do siedzenia. Tym razem wartowników było więcej, naliczyłem dziesięciu — ośmiu Indian i dwóch białych. Opodal pasło się tyleż koni. Biali zdawali się traktować Indian z pewną wyższością.

Siedzieli osobno i jedli wyjęte z toreb podróżnych śniadanie zakrapiane gęsto brandy ze stojącej pomiędzy nimi butelki. Tak wydawało się nam z daleka. Na miejscu przekonaliśmy się jednak, że nie byli to biali, lecz pół-Indianin i Indianin, tyle że w odróżnieniu od Komanczów ubrani po europejsku. W dodatku trafiliśmy na dobrych znajomych — pół-Indianinem okazał się Okih-czin-cza vel Antonius Paper; Indianin zaś też już nam się kiedyś przedstawiał — mianowicie jako pan Evening, agent od wszystkiego. Obok leżały ich strzelby i kilka ustrzelonych ptaków. Wyglądało na to, że wybrali się na polowanie. Rozpoznawszy nas skoczyli na równe nogi.

— Hallo, hallo! — krzyknął Paper. — Toż to ten odrażający typ i jego niebieski boy. To dlatego Młody Orzeł przyjechał tak szybko! Chciał ich przemycić! Zatrzymajcie ich! Nie wolno im jechać dalej! Łapcie ich!

Te polecenia skierowane były do Indian. Evening dodał ostrzegawczym tonem:

— Ale miejcie się na baczności! To gwałtowni ludzie! Ten Burton ma zwyczaj uderzać błyskawicznie!

Całkowicie lekceważąc te okrzyki skierowaliśmy się ku wodzie i zsiadliśmy z koni, aby mogły się napić. Był już na to najwyższy czas. Tymczasem dwunastu naszych towarzyszy zdawało relację z tego, co zaszło po drodze. Wprawdzie nic nie słyszeliśmy, ale mogliśmy się domyślić, że nie było to dla nas nic pochlebnego.

— Ten Paper nie będzie chyba na tyle głupi, by raz jeszcze z tobą zaczynać? — spytała Serduszko z troską w głosie. †

— Niestety prawdopodobnie będzie! — odparłem. — Ludzie tego pokroju nie uczą się na błędach!

— Czy znowu go uderzysz?

— Nie.

— Dzięki Bogu. Nie lubi na to patrzeć!

— To zupełnie inne miejsce. Można się tu bronić w inny sposób.

Ledwie skończyłem, gdy ten, o którym mówiliśmy, stał już przed nami, przykołtysawszy się do nas na swych bocianich nogach.

— Dzisiaj wyrównamy rachunki, mister Burton! Jest pan moim więźniem! Milczałem.

— Czy pan słyszał? — zapytał. — Gdybym miał kajdanki, to bym je panu teraz założył. Bo tacy szubrawcy...

— Szubrawcy? — przerwałem mu szybko.

— Tak, szubrawcy! Bo tylko szubrawiec może...

Nie dokończył rozpoczętego zdania, gdyż złapawszy go oboma rękami powyżej bioder poniosłem go nad wodę i rzuciłem najdalej, jak mogłem, w głęboki tu dosyć nurt rzeki.

— Ratunku, ratunku! — krzyknął nie dosięgnąwszy jeszcze powierzchni wody.

Potem zniknął nam całkowicie z oczu, a kiedy wynurzył się po chwili zaczął trzepać rękami jak pies, oddalając się stopniowo wraz z wartkim nurtem.

— Ratunku, ratunku! — krzyczał nieustannie.

— Wyciągnąć go! Wyciągnąć go! — zawołał William Evening, agent od wszystkiego. — On nie może utonąć!

Indianie pobiegli brzegiem za tonącym, aby przy pomocy włóczyń wyciągnąć go z wody. Ja zaś podszedłem do agenta i powitawszy go tym samym uprzejmym uśmiechem, z jakim on zbliżył się do mnie na Nugget Tsil, a także skłoniwszy się z większą jeszcze niż on gracją, zwróciłem się do niego w jego własnych słowach:

— Przybyliśmy na to miejsce w ważnej sprawie. Nie spodziewaliśmy się tu spotkać kogokolwiek. Wasza obecność nie jest nam na rękę.

Patrzył na mnie osłupiały.

— Rozumie mnie pan chyba? — zapytałem' tak, jak on wówczas.

Przypomniawszy sobie teraz całą scenę i zaczynał rozumieć, że tym razem zmieniały się role.

— Oczywiście. Jasno się pan wyraża.

— A więc?

— Życzy pan sobie, byśmy się oddalili?

— Owszem.

— W jakim czasie?

— Natychmiast. W innym wypadku będę zmuszony wam pomóc.

Wyciągnąłem rewolwer. Pappermann uczynił to samo.

— Jedziemy, jedziemy! — zapewnił agent szybko, wyraźnie chcąc nas uwolnić od wszelkich wątpliwości. Prowadzą już pana Papera. Mam nadzieję, że przestrach nie pozbawił go sił na tyle, by nie mógł dosiąść konia!

— A gdyby nawet, to chętnie postaram się o to, by mu je przywrócić. Do kogo należy kapelusz wiszący tam, na gałęzi?

— Do pana Papera.

— Doskonale!

Indianie wyciągnęli Okih-czin-czę z rzeki. Cały ociekał wodą. Na razie miał wyraźnie dosyć. Spieszenie zmierzał w kierunku domu. Zanim jeszcze wszedł do środka uniosłem rewolwer i wystrzeliłem celując w jego kapelusz. Trafiłem. Paper przestraszył się i stanął jak wryty. Wskazując na jego przedziurawione nakrycie głowy powiedziałem:

— To był kapelusz! Teraz kolej na człowieka, który chciał mnie aresztować! Daję Antoniusowi Paperowi tylko pięć minut czasu. Jeśli stąd nie zniknie znowu mu coś przedziurawię. Tym razem nie kapelusz, a czaszkę. Niech pan bywa zdrow, panie Evening! Mam nadzieję, że pan zabierze się stąd równie szybko!

Pappermann uniosł swoją lufę i krzyknął do mnie:

— A więc pięć minut i ani sekundy dłużej! Potem ja biorę jednego, a pan drugiego!

Okih-czin-cza chwycił szybko za swój przedziurawiony kapelusz, wcisnął go na głowę i pobiegł ku swemu koniowi. Agent od wszystkiego zgarnął to, co leżało na stole, łącznie 2 butelką brandy, do torby podróżnej, wziął strzelby, bo o swojej Antonius Paper ze strachu zapomniał, i zanim jeszcze czas dobiegł końca obydwaj jechali już w wielkim pośpiechu nie

oglądając się za siebie.

Nic tak nie podoba się Indianom jak odwaga i energiczne działanie. Komańcze nabrali do nas szacunku, któremu zresztą natychmiast dali wyraz. Najstarszy z nich podszedł do nas i zapytał:

— Słyszę, że moi biali bracia znają Old Surehanda?

— Tak — odparłem.

— Oraz naszego wodza Apanaczkę?

— Jego również. Znam nawet Young Surehanda i Young Apanaczkę. Jestem przyjacielem zarówno ojców, jak i synów.

— Czy powiedzieli ci o tym, co ma tu nastąpić?

— Tak. Napisać listy. Zaprosili mnie na Górę Winnetou.

— Czy masz te listy przy sobie?

— Tak.

— Proszę, daj mi je przeczytać!

— Chętnie!

Znowu trzeba było otwierać kufer, ale zrobiłem to bez ociągania. Serduszko przyszła mi pomóc. Bywają momenty, kiedy jest w kpiarskim nastroju i wtedy lepiej się przed nią mieć na baczności. To był właśnie jeden z tych momentów. Otworzyła nie mój, a własny kufer i wyjąwszy z niego cztery pokwitowane rachunki hotelowe z Lipska, Bremenhaven, Nowego Jorku i Albany, podała je Komanczowi mówiąc:

— Proszę bardzo! Od obu ojców i obu synów! Indianin uczynił gest szacunku i wziął papiery. Zaczął je

dokładnie oglądać i robił to z miną coraz większego znawcy. Odwrócił się do swoich ludzi, uniósł kolejno do góry każdy z papierów i potwierdził:

— Zgadza się! Mówi prawdę! To jest list od Old Surehanda, a to od Young Surehanda. To od Apanaczki, a to od Young Apanaczki. Wszystkie listy mówią, że te blade twarze są naszymi przyjaciółmi i że mają przyjechać na Górę Winnetou!

Pozostali Indianie zdawali się być jednak nieźle zorientowani co do jego możliwości, gdyż jeden z nich zapytał:

— Czyżbyś coś przeczytał?

— Nie — odparł. — Ale widzę! Howgh!

Podał "listy" pytającemu. Ten dokonał równie szczegółowych oględzin i zawołał wręczając je następnemu:

— Ja też widzę! Howgh!

I tak rachunki powędrowały z ręki do ręki, a każdy z Indian oświadczył stanowczo: "Ja też widzę! Howgh!". W końcu dowódca przyniósł nam papiery z powrotem i oznajmił nam swoją decyzję:

— Moi biali bracia i ich squaw mogą spokojnie jechać dalej! Wojownicy Komanczów Pohonim winni najpierw słuchać swych wodzów, a nie komitetu!

Zamknęliśmy rachunki w kufrze, po czym Serduszko podając niewprawnemu w czytaniu dowódcy rękę na pożegnanie powiedziała:

— Mój czerwony brat jest nie tylko mądry i rozsądny, lecz również biegły w odczytywaniu naszych totemów i wampumów. I ma bardzo dobre serce. Dziękuję mu

serdecznie i będę go zawsze z przyjemnością wspominać.

To przerosło wszelkie jego oczekiwania. Najpierw osłupiał zupełnie. Potem z błyszczącymi oczyma chwycił Serduszko za rękę, jakby nigdy już nie chciał jej wypuścić i wymamrotał:

— Moja biała siostra wypowiada promienne słowa, tak jak słońce wysyła promienny blask. Dziękuję jej za to! I mam nadzieję, że się z nią znowu zobaczę!

Podaliśmy mu wszyscy ręce i udaliśmy się w dalszą drogę.

Żona oczekiwała, że Młody Orzeł, którego straciliśmy z oczu przy posterunku, będzie gdzieś na nas czekał w pobliżu. Ja byłem innego zdania. Młody Orzeł oddzielił się od nas po to, by nie przeszkodzić w mającej się rozegrać za chwilę interesującej scenie. Chciał stworzyć sposobność ku temu, by ci, którzy w gruncie rzeczy byli naszymi wrogami, zostali skompromitowani. Jego obecność uniemożliwiłaby taki przebieg wypadków. Uznałem więc, że zobaczymy go ponownie u celu podróży.

Mijaliśmy jeszcze następne posterunki, ale nikt nie próbował nas zatrzymać. Wartownicy rozstępowali się. Ich nieprzyjazne spojrzenia mówiły nam aż nadto wyraźnie, że nie słyszeli o nas niczego dobrego. Spodziewałem się, że Okih-czin-cza zgotuje nam specjalne przyjęcie.

Pewne oznaki wskazywały na to, że zbliżamy się do celu podróży. Kiedy na niektórych zakrętach otwierała się dalsza perspektywa widzieliśmy przed sobą potężny masyw, który w miarę jak się do niego zbliżaliśmy ciągle zyskiwał na wysokości. Przewyższał teraz zdecydowanie inne wzniesienia, między którymi wiło się koryto rzeki. W końcu pojawiły się pierwsze namioty. Było ich coraz więcej i stały bliżej jeden drugiego. Wyglądało to tak, jakbyśmy wjechali do ogromnego miasta namiotów i posuwali się wzdłuż jednej z ulic jego centrum. Przed namiotami siedziały Indianki spoglądając na nas z wielkim zainteresowaniem. Widać było, że ktoś zapowiedział nasze przybycie. Od razu uderzał brak dzieci, których nie wolno było zabrać na Górę Winnetou. Nie widzieliśmy też żadnych mężczyzn. Ci oczekiwali już na nas u celu chcąc być świadkami sceny, jaka się tam rozegra.

Dolina rzeki rozstała się nagle na obie strony, tak że w jednej chwili mogliśmy ogarnąć spojrzeniem cały rozciągający się przed nami płaskowyż. Widok był tak oszałamiający, że wszyscy razem w tym momencie jednym szarpnięciem zatrzymaliśmy nasze wierzchowce.

— Wspaniale! — zawołałem.

— Mój Boże, jakie to piękne! — westchnęła Serduszko. — Czy rzeczywiście są takie rzeczy na ziemi!

Pappermann podzielał nasz zachwyt:

— Czegoś takiego jeszcze nie widziałem!

Proszę sobie wyobrazić gigantyczną, ponad tysięczmetrowej wysokości katedrę, przed którą rozciąga się równie gigantyczny pusty plac, podzielony na dwie części — niższą i wyższą — kilkoma rzędami stopni. Katedra stoi po zachodniej stronie placu, a jej liczne wystrieliwujące w niebo wieże widziane w tej perspektywie, giną w szarym błękicie zachodu. Z trzech pozostałych stron plac otoczony jest niższymi wzniesieniami i to tak szczelnie, że jedyną lukę stanowi położony po stronie wschodniej wylot doliny rzecznej, którą tu przybyliśmy. Owa gigantyczna katedra to Góra Winnetou. Jej główna wieża wzbija się w górę wysoko ponad chmury niczym zaimprovizowane przez siły natury arcydzieło gotyku. Spiczasty wierzchołek wyrasta z zieleniejącego dachu położonych niżej hal. Pomędzy ostrymi zakończeniami iglicy jaśnieje olśniewająco biały śnieg, który słońce całuje tak długo aż stopiony żarem jego miłości przemienia się w pył i kropelki wodne, spływające w dół z kamienia na kamień, ze szczeliny w szczelinę. Tam, gdzie wieża wyrasta z głównego gmachu katedry, wody te zbierają się, tworząc wraz ze spływającymi z sąsiednich gór strumykami

staw, z którego po obu stronach wałęsa się pionowo z wysokości około sześćdziesięciu metrów, dwa wodospady. Wody jednego z nich płyną potem na północ, drugiego na południe, aby okrążywszy równinę, czyli plac przed katedrą, połączyć się ponownie w Klekih Toli, której korytem tu wjechaliśmy. Poniżej zielonych hal wysoko na głównej wieży rośnie najpierw rzadszy, a potem niżej, coraz gęstszy i ciemniejszy las otaczający staw tajemniczym mrokiem, pokrywający główny gmach katedry i sięgający aż do placu przed nią, gdzie stopniowo przechodzi w niższe zarośla i soczystą zielenie preriowych traw równiny. Staw nosi nazwę Nahtowa-pa-apu²². We wschodniej części gęsto porośniętego lasem głównego gmachu katedry, znajduje się portal — szeroko otwarte wejście do doliny, którą dostać się można na wysoki, długi grzbiet masywu oraz do Stawu Tajemnicy. Ponad tym portalem wznosi się mniejsza wieża katedry, która nie dorównuje wprawdzie ani wysokością, ani wielkością, ale która na przykład w Tyrolu zostałaby zaliczona do największych iglic dolomitowych. Ją również porasta gęsty las. Ponad mroczną zielenią świerków i jodeł górują jaśniejsze w kolorystyce łąki górskie. W połowie wysokości tej wieży wznosi się staroindiańska strażnica, z której obserwować można całą równinę, jak również górne zakola rzeki. Nieco poniżej strażnicy leśna pochyłość ustępuje miejsca szerokiemu płaskowyżowi. Na nim, niczym niedostępna twierdza, stoi długi szereg budynków pochodzących z pewnością z czasów przedazteckich i przedtolteckich, których zabytki są tak niezwykle rzadkie. Tam właśnie mieszka Tatella-Sata, "strażnik wielkiej wiedzy medycznej". Dojść do niego można skręcając z frontowej części doliny w jedną z jej bocznych odnóg. Nikomu jednak nie wolno tego uczynić bez wyraźnego zezwolenia.

Główna wieża gigantycznej katedry to właściwa Góra Winnetou, mniejsza wieża to Góra Amuletów. Wokół niej miałby trzykrotnie przelecieć Młody Orzeł niosąc czerwonym męzom ich zaginione amulety.

Równina rozpościerająca się u podnóża Góry Winnetou była tak wielka, że przebycie jej wszerek wymagało niemal godzinnej jazdy. Pokrywały ją chaty i namioty tworzące całe miasto. Ponieważ jedna jej połowa leżała nieco wyżej, miasto składało się z części górnej i dolnej. Taki był podział wynikający z topografii terenu. Czy pomiędzy oboma częściami istniały jeszcze jakieś inne różnice — tego na podstawie naszej krótkiej na razie i pobieżnej obserwacji nie mogliśmy jeszcze orzec. Dolne miasto było gęściej zabudowane od górnego. To ostatnie składało się wyłącznie z namiotów, podczas gdy w dolnym stało też wiele chat i dłuższych drewnianych baraków o niewiadomym przeznaczeniu. Niektóre z nich wyglądały na składy, inne bardziej na gospody czy sypialnie. Część z nich pełniła prawdopodobnie rolę miejsc zgromadzeń. Przed namiotami zatknięte były włócznie ich właścicieli. Z boku pasły się konie. Paliło się wiele ognisk, na których gotowano i pieczono, albowiem był to czas południowego posiłku. Miasto tętniło życiem i tylko nigdzie nie udało mi się dostrzec białego człowieka. Ogromna większość mieszkańców nosiła indiańską odzież. Jeden duży, pusty plac przeznaczony był do igrzysk i zawodów jeździeckich, drugi na obrady i inne publiczne zgromadzenia. Na tym ostatnim zobaczyłem około dwudziestu miejsc do siedzenia, wznoszących się ponad ubitą ziemię — prawdopodobnie dla członków komitetu i innych wybitnych osobistości. Na tym to placu stała spora liczba ludzi, których najwyraźniej właśnie my interesowaliśmy, gdyż zaczęli nas sobie pokazywać i głośno ze sobą rozprawiać.

Stanęliśmy u wjazdu na wiekowy, kamienny most, spinający wysokim łukiem oba brzegi rzeki. Tego typu mosty doskonale nadają się do obrony. Wynikałoby z tego, że to miejsce już w pradawnych czasach uznane było za ważny punkt strategiczny i geograficzny. Po drugiej stronie stała, wyraźnie nas oczekując, spora grupa Indian. Nam się nie śpieszyło. Cieszyliśmy oczy niezrównaną panoramą i niezwykle interesującym obrazem tutejszego życia, którego codzienne szczegóły otrzymaliśmy od natury tak majestatyczną oprawę. Czyżby ludzie

²² Staw Tajemnicy albo Amuletów.

zamierzchłych epok byli więksi od dzisiejszych? Ta sceneria właściwsza byłaby dla gigantów na koniach wielkości słoni i książąt na sięgających obłoków tronach! Słońce wisiało niemal pionowo nad nami, rzucając nam do stóp krótkie cienie. Zaglądało w każdy kąt, fałdę i rysę, wydobywając wszystko, co ukryte. Na niebie nie było ani jednej chmurki, żaden powiew nie poruszał powietrzem. Ziemia wspinała się tu tak wysoko, z sugestią mocy i wewnętrznego zdrowia! Tak bardzo czuć było siłę i wolę tworzenia! W tym miejscu mogła się w rzeczywistości narodzić nowa, lepsza idea ludzkości!

Przejechaliśmy przez łukowaty most na drugą stronę i natychmiast zostaliśmy otoczeni przez Indian. Rzeczywiście czekali na nas. Mieli rozkaz pochwylenia nas. Każdy z nich nosił na ramieniu kolorową opaskę. Jak się dowiedzieliśmy, była to oznaka służby porządkowej komitetu. Rozstawiwszy swych ludzi naokoło, dowódca zwrócił się do nas po angielsku:

— Czy jesteście tymi bladymi twarzami, które wrzuciły do wody pana Antoniusa Papera?

— Tak, to my! — odpowiedział pogodnie Pappermann.

— Zostaniecie ukarani!

— Przez kogo?

— Przez komitet!

— Pshaw! Gdzież jest ten przesławny komitet?

— Tam!

Indianin wskazał na plac narad.

— A więc idźcie do nich i powiedzcie, że zaraz tam będziemy! Takich ludzi ciekawe będzie zobaczyć!

— Będziemy robić to, na co mamy ochotę! Pójdziemy tam z wami! Aresztujemy was i doprowadzimy na miejsce!

— Wy nas? — roześmiał się Pappermann. — Spróbujcie! Obrócił się szybko wkoło swym mulem. My uczyniliśmy

podobnie. Indianie zatoczyli się odtrąceni do tyłu. Niektórzy z nich poupadali. My zaś ruszyliśmy galopem w kierunku placu narad. Służba porządkowa skoczyła z krzykiem za nami. Na placu narad wpadliśmy w zebranych tam ludzi i rozpędziwszy ich na boki zeskoczyliśmy z siodeł.

— Niezłe miejsce — powiedziałem. — Tu zostaniemy! Zdejmujemy bagaż!

— Oho! — rozległ się za mną jakiś głos. — Ktoś się tu zachowuje, jakby nie był więźniem a dowódcą!

Obróciłem się na pięcie. Przede mną stał Okih-czin-cza vel Antonius Paper. Obok niego zaś William Evening, agent od wszystkiego.

— Więźniem? — zapytałem, idąc w ich kierunku z wyciągniętymi rękoma.

Zniknęli natychmiast z pola widzenia, a ich miejsce zajęli profesorowie Simon Bell i Edward Summer. Pierwszy z nich uczyniwszy władczy ruch ręką zawołał:

— Proszę się nie zbliżać! I zdać sobie sprawę z rzeczywistej sytuacji! Jest pan aresztowany!

— Przez kogo?

— Przez nas! Już na Nugget Tsil była mowa, że pan nam przeszkadza! Pod tym względem do dzisiaj nic się nie zmieniło!

— Ach tak!

— Właśnie!

— Hm! Trudno w to uwierzyć!

— Niech pan wierzy lub nie! Powtarzam: jest pan aresztowany!

— To oznacza, że mamy być schwytani i zatrzymani siłą.

— Zgadza się.

— A więc ilekroć ktoś wam przeszkadza, aresztujecie go? Nadzwyczajne! To nie jest rozumowanie, jakiego oczekiwałbym od profesora filozofii!

Simon Bell zdenerwował się:

— Proszę milczeć! Aresztujemy pana nie dlatego, że niemiła jest nam pańska osoba, lecz dlatego, że ośmielił się pan podnieść rękę na członka komitetu! To nie może panu ująć bezkarnie!

— Wychłostać go za to! Wychłostać! — krzyknął z tyłu Antonius Paper.

Pappermann rzucił się w jego kierunku z zaciśniętymi pięściami. Ludzie rozstąpili się nieco i w powstałej w ten sposób luce zobaczyliśmy dwóch mężczyzn, którzy najwyraźniej przybyli niedawno, i których uwagę zwróciło zbiegowisko. Tym razem nosili strój indiański, ale mimo to, a może właśnie dlatego natychmiast ich rozpoznałem. Przed nami stali Atabaska i Algongka — dwaj wodzowie, których spotkaliśmy nad Niagarą.

— O co chodzi? — zapytał Atabaska zwracając się do profesora Bella.

— Aresztowaliśmy właśnie dwóch niebezpiecznych włóczęgów, razem z ich squaw, którzy podnieśli rękę na Okih-czin-czę i wrzucili go do wody. Zwołamy sąd preriowy dla wyznaczenia im odpowiedniej kary. Prosimy, byście zasiedli w gronie sędziów.

Profesor odnosił się do wodzów z najwyższym szacunkiem.

— Pokażcie ich! — rozkazał Algongka.

Ludzie rozstąpili się, aby wodzowie mogli nas zobaczyć. To byli przywódcy w dawnym dobrym stylu! Bez śladu jakiegokolwiek zaskoczenia, zupełnie tak, jakby wczoraj się z nami rozstali, ucałowali rękę Serduszku, uściśnęli moją i zwrócili się znowu do profesorów.

— O żadnych włóczęgach nie ma tu mowy — oświadczył Atabaska. — To państwo Burtonowie, których darzymy szacunkiem i miłością. Kto ich obraża, mnie obraża! Howgh!

— Słusznie! — zawtórował mu Algongka. — Kto ich obraża, mnie obraża! Howgh!

— Ten Burton wrzucił mnie do wody! — zawołał żalonym głosem Paper.

Atabaska zdawał się jednak już wiedzieć, z kim ma do czynienia. Zapytał z wyraźną nutą ironii i lekceważenia:

— Czy mógł pan utonąć?

— Oczywiście!

— A czy pan utonął?

— Nie.

— Pan Burton musiał mieć swoje powody. Niech pan tam pójdzie z powrotem i skoczy do wody. Jeśli pan utonie, rachunek będzie wyrównany!

Okih-czin-cza przestał więc liczyć się jako problem. Profesor Summer poczuł się jednak urażony w swej godności zastępcy przewodniczącego. Jako teoretyk niewiele mógł przeciwstawić tym dwóm pełnym mocy osobowości, które przeszły trudną szkołę praktycznego życia. Wodzowie budzili w nim mimowolny szacunek i to go również złościło. Dlatego spróbował rzucić na szalę swój autorytet i powiedział:

— Chciałbym zwrócić waszą uwagę, panowie, na fakt, że zgodnie z naszymi prawami

biali nie mają wstępu na Górę Winnetou. A to są właśnie biali!

Profesor mówił dość ostrym tonem. Wyglądało na to, że doszło tu już do pewnych kontrowersji, o których na razie niczego jeszcze nie wiedzieliśmy.

Atabaska wyprostował się na całą swoją wysokość. Kiedy odpowiadał pytaniem na jego wargach błąkał się ironiczny uśmieszek:

— Czy wolno spytać, od kogo pochodzą te prawa?

— Od nas, od komitetu! Ustanowiliśmy je nie bez przyczyny i nie bez zastanowienia!

— A od kogo pochodzi komitet? Kto go ustanowił? Kto udzielił mu władzy, kto dał mu prawo stanowienia przepisów i pilnowania, by ich przestrzegano? Czy możecie powołać się na autorytet Boga lub Stanów Zjednoczonych? Nie! Jesteście komitetem, który powstał z łaski Old Surehanda i Apanaczki. Niczym więcej! Sami siebie wybraliście. Przybyliśmy jednak, by ten wybór i te przepisy zweryfikować!

Mówił z ogromną powagą i godnością, niczym król. Z takim dostojeństwem żaden z profesorów nie miał nic wspólnego. Wódz rozejrzał się dookoła i mówił dalej:

— Oto plac narad, na którym ma się rozstrzygnąć przyszłość czerwonej rasy. Kim są ludzie, którzy mają o niej decydować? Widzę tu dwadzieścia miejsc siedzących. Pięć z nich jest nieco wyższych od pozostałych. Dla kogo są przeznaczone?

— Dla nas, dla komitetu.

— A reszta?

— Dla wodzów zaproszonych na naradę.

— Jacy to wodzowie?

Padły imiona; wśród nich Atabaski i Algongki oraz wszystkich, którzy do mnie napisali. Potem znowu zabrał głos Atabaska:

— Brakuje mi tutaj jednego wodza i to właśnie tego, o którym najchętniej słyszę, mianowicie Old Shatterhanda.

— To biały!

— Czy nie został zaproszony?

— Owszem. Kazaliśmy mu zwrócić się o numerek do sekretarza.

— I sądziliście, że was posłucha? Co z was za ludzie! To ma być komitet? Mówię wam: jeśli Old Shatterhand rzeczywiście się tu zjawi, zajmie miejsce, które mu się spodoba, a nie to, które mu wskażecie! My, Atabaska i Algongka rzekamy się przydzielonych nam miejsc. Jak mogło do tego dojść, by komitet stawiał się wyżej od starych, znanych wodzów zaproszonych na obrady ludów? Kto go upoważni! do zajęcia tronu między naszymi siedzeniami? Zróbcie nam miejsce! Idziemy stąd. My w tym nie będziemy uczestniczyć!

Ruszył naprzód wzięwszy mnie i żonę za rękę. Indianie rozstąpili się. Nagle jednak znowu się zatrzymał i powiedział do profesorów:

— Wykluczać z obrad te blade twarze, które kochają nasz lud jest największym z błędów. Żaden człowiek nie wzniesie się wyżej bez pomocy innych ludzi. Tak samo lud, naród czy rasa. Możecie pomalować waszego kamiennego Winnetou najczerwieńszą z czerwieni, a i tak będziecie zmuszeni oblać się rumieńcem jeszcze czerwiejszym na widok waszego nedorzecznego dzieła!

Potem zwrócił się do mnie:

— Znam pańską postawę i uczucia względem nieszczęsnego indiańskiego ludu. Mimo to zdziwiony jestem pańską obecnością. Czy wie pan, co tu się dzieje?

— Domyślam się, że ma być wybudowany gigantyczny pomnik Winnetou, z kamienia lub żelaza.

— Rzeczywiście. To pomysł Old Surehanda i Apanaczki, którzy chcieliby rozślawić imiona swoich synów. Bo oni właśnie zaprojektowali figurę. Ustanowiono komitet budowy pomnika. Rozesłano zaproszenia do wszystkich plemion indiańskich. Zabrano się do sprawy z tą samą zręcznością, z jaką zakłada się linię kolejową czy towarzystwo naftowe.

Działano bez ociągania i bez rozgłosu. Przede wszystkim położono rękę na tym wspaniałym miejscu, w którym się teraz znajdujemy. Ten szczyt nazwano Górą Winnetou. Ma tu powstać miasto o nazwie Winnetou-City, w którym będą mieli prawo mieszkać wyłącznie Indianie. W pobliżu znajdują się szyby naftowe. Zakuto w łańcuchy jeden z wodospadów i czerpie się z niego elektryczność. W ten oto sposób rozpoczęto dzieło zniszczenia tego pięknego zakątka, dzieło profanacji i zbrukania wielkich ideałów naszego wielkiego Tatella-Saty. Pokotem padają drzewa w lesie, podczas wybuchów mających dostarczyć wielkich odłamków skalnych na budowę domów i kolosalnego pomnika. Są nawet plany, by zniszczyć największy z cudów tych okolic, Wodospad-Całun, który ma ustąpić miejsca świeckim budowlom. O tym wszystkim prawdopodobnie pan nie wiedział. Ale wie już pan i dowie się o bardzo wielu innych jeszcze rzeczach.

Przerwał na chwilę, co wykorzystał Algongka, by powiedzieć:

— Twierdzi się, że sprawa pomnika zjednoczy wszystkie plemiona. Tymczasem sytuacja jest odwrotna. Dochodzi do coraz większych podziałów, zarówno wewnętrznych, jak i zewnętrznych. Widać to już choćby z tego miejsca. Oto dolne miasto i górne miasto. Na dole zgromadzeni są zwolennicy budowy pomnika, na górze jej przeciwnicy, do których i my należymy. A nad nami wszystkimi ciska pioruny gniewu Tatella-Saty i nie pozwala nikomu się do siebie zbliżyć. Od kiedy rozpoczęto budowę ani razu nie zszedł na dół, ani razu też nie zezwolił nikomu wejść na górę. Mają do niego 'dostęp jedynie członkowie klanu Winnetou i przez nich tylko kontaktuje się z zewnętrznym światem. My również go nie widzieliśmy. Zameldowaliśmy mu o naszym przybyciu, on jednak kazał nam cierpliwie czekać dopóki nie pojawi się ten, którego z bólem serca oczekuje. Wtedy dopiero opuści swój dom, by ukazać się tym, którzy dzielą jego uczucia i zamiary.

— Kto jest tym wyczekiwany przybyszem? — spytała Serduszko.

— Wiemy na ten temat równie niewiele co Winnetou, który nam przekazał tę wiadomość. Czekamy jednak z utęsknieniem, by osoba ta jak najprędzej przybyła. Natomiast nieznane nam są pańskie zamiary, mister Burton. Czy znalazł się pan tu przypadkowo?

— Nie — odpowiedziałem.

— A więc na Górę Winnetou przybył pan celowo?

— Tak.

— I chce pan tu pozostać?

— Pozostać aż do wyjaśnienia sytuacji.

— Gdzie będzie pan mieszkał — w górnym czy w dolnym mieście?

— W górnym.

— Prosimy więc, by rozbił pan swój namiot obok naszego. Może dowiemy się z czasem, co skłoniło pana, białego, do przybycia w te strony.

— Och, tego dowiedzieć się pan może już teraz. Zostałem zaproszony. Poza tym i tak bym tu przyjechał, gdyż usłyszałem od was wiele interesujących rzeczy nie tylko o tej górze, lecz również o związanych z nią planach.

— Od nas? Od nas obydwu?

— Tak. Od was obydwu.

— Kiedy i gdzie?

— W hotelu "Clifton" nad Niagarą.

— Tam? Tam wprawdzie doszło między nami do spotkania i tam zyskał pan nasz ogromny szacunek, ale o Górze Winnetou nie było żadnej mowy!

— Nie mówiliście o tym ze mną, lecz między sobą! Usłyszałem to mimochodem siedząc przy sąsiednim stole.

— Uff, uff! — zawołał mój rozmówca.

— Uff, uff! — zawołał również Atabaska. — Rozmawialiśmy w języku Apaczów. Byliśmy przekonani, że nas nikt nie rozumie. Pan nas zrozumiał?

Nie zdążyłem odpowiedzieć, gdyż z górnego miasta rozległy się głośnie krzyki. Nastąpiło duże poruszenie. Ludzie biegali wzdłuż wszystkich uliczek roznosząc jakąś wiadomość. Wkrótce dotarła ona i do nas.

— Przyjeżdża Tatella-Sata! Przyjeżdża Tatella-Sata! -wołano.

— Czy to możliwe? — zapytał Algongka.

— Czy to prawda? — pytał również Atabaska. — W takim razie musiał przybyć ten, na którego czekał. Kto to jest? Kto go widział?

I wtedy zobaczyliśmy w oddali dwóch jeźdźców, galopujących od strony górnego miasta. Były to kobiety. Wstrzymując konie rozejrzały się po dolnym mieście, a dostrzegłszy tłum ludzi na placu narad, skierowały się w naszą stronę. Były to obydwie Aszty.

Dotarły do placu, zeskoczyły z koni i nie zwracając na nikogo uwagi podbiegły ku nam i przywitały się ze wzruszającą, niemal niezrozumiałą dla nas radością. W chwilę potem była ona jednak dla mnie zrozumiała, gdyż matka uzupełniła powitanie o słowa:

— A więc jesteśmy uratowani, jesteśmy uratowani! Przez pana, mister Burton!

— Uratowani? Przeze mnie? — zapytałem.

— Tak, przez pana. Koniec z oczekiwaniem. Tatella-Sata zacznie teraz działać! Młody Orzeł był tutaj i pojechał prosto do niego, aby zameldować, że pan się zbliża. Kiedy przyjechaliście dano znak z wieży strażniczej. Teraz największy czarownik wszystkich indiańskich ludów po raz pierwszy od długiego czasu opuści swoją skalną warownię, by wyjechać wam na spotkanie. Tak się cieszymy!

Uścisnęła mi dwukrotnie rękę i pocałowała Serduszko. Również stary, dzielny Pappermann otrzymał należną mu porcję powitalnych czułości. Atabaska i Algongka, którzy do tej pory panowali nad wyrazem swych twarzy, nie mogli już dłużej ukryć zdumienia. Nie było im jednak dane wyrazić go głośno, bo uwagę wszystkich, łącznie z nimi, pochłonął orszak jeźdźców, który ukazał się od strony górnego miasta.

Przodem jechał Młody Orzeł, a za nim na karych ogierach przykrytych czaprakami ze skór srebrnych lwów, dwa oddziały przybocznej straży czarownika. Byli to młodzi Indianie, jednakowo ubrani — tak jak niegdyś ubierał się Winnetou — bez włóczni i strzelb, lecz z nożami i rewolwerami za pasem oraz lassami, których zwoje zwieszały się im z ramion do bioder. Każdy z nich miał na piersi gwiazdę Winnetou. Młody Orzeł podjechał ku nam, wskazał nas pozostałym i zatrzymał konia. Reszta Indian również stanęła. Część z nich rozjechała się nieco na boki, robiąc miejsce dla najważniejszej osobistości. Jeździec ów podjechał do nas z wolna, ściągnął cugle i popatrzył na nas badawczo.

Siedział na wspaniałym, śnieżnobiałym mule, którego grzywa zwieszała się w

dziesiątkach warkoczyków do samej ziemi. Czaprak zwierzęcia zrobiony był z owego niezrównanego staroindiańskiego, tkanego z piór materiału, którego decymetr kwadratowy wart jest cały majątek. Jeździec miał strzemiona ze szczerego złota ozdobione inko-peruwiańskimi motywami. Okrywał się niebieskim płaszczem przysłaniającym resztę ubrania. Takiego błękitu jeszcze nie widziałem i prawdopodobnie nigdy więcej nie zobaczę. Płaszcz ów uszyty był z materiału delikatnego niczym najcieńszy, indyjski jedwab, a jednak nie mającego z jedwabiem nic wspólnego. Był to wytwór dawno zapomnianej, niezwyklej sztuki tkackiej, której tajniki znały wyłącznie żony staroindiańskich wodzów. Przybysz nie miał żadnego nakrycia głowy poza nadzwyczaj gęstymi i mocnymi srebrnymi włosami spadającymi w dwóch warkoczach aż do strzemion.

— Marah Durimeh! — szepnęła mi do ucha żona.

Miała rację. Sędziwa, wspaniała, dobrze znana moim czytelnikom Marah Durimeh czesała się identycznie. Również z rysów twarzy czarownik do tego stopnia mi ją przypominał, że aż się zdumiałem. Nade wszystko z oczu — tych wielkich, szeroko otwartych, niezglębionych a przenikliwych oczu, w których odbijała się zarazem bezwzględna surowość, jak święta, wszystko potrafiąca zrozumieć i wszystko potrafiąca przebaczyć, dobroć. Kiedy czarownik przemówił, wzdrygnąłem się niemal ze strachu. Przeszedł mnie dreszcz grozy. To był z pewnością głos Marah Durimeh — głęboki, pełen mocy, nieco bardziej męski, ale bez wątpienia jej głos!

— Który z was jest Old Shatterhandem? — zapytał spoglądając na nas badawczo.

Wszyscy stali do tej pory jak oniemiałi — tak ogromne wrażenie robiła postać czarownika. Jednak na dźwięk tego imienia wokoło rozległy się szept:

— Old Shatterhand? Old Shatterhand? Nie ma go tutaj przecież! Niemożliwe, żeby tu był! A może?

— To ja — odparłem występując spośród innych i zbliżając się do niego wolnym krokiem.

Przez ułamek sekundy wydawało się, że jego spojrzenie spali mnie na popiół, potem jednak z młodzieńczą lekkością zeskoczył z siodła i zrobiwszy kilka kroków w moim kierunku chwycił mnie za ręce. Staliśmy tak naprzeciw siebie, pełni nadzwyczajnej powagi, a jednak z radośnie bijącymi sercami. Oko w oko. Zagłębiając się jeden w drugiego spojrzeniem. Obydwaj w pełni świadomi wagi tego momentu. Tatella-Sata znowu zabrał głos:

— Mówiono mi, że się zestarzałeś. To nieprawda! Starcem czyni cierpienie, a nie miłość bliźniego, która nas jednoczy, choć dopiero od niedawna cię rozumiem! Witaj!

Pocałował mnie, przycisnął do siebie i znowu dwukrotnie pocałował. Potem chwyciwszy mnie za rękę zwrócił się do obecnych:

— Nie znam was. Jestem Tatella-Sata, a tu u mego boku stoi Old Shatterhand. Ale niech nie zmylą was pozory! Jest nas więcej niż dwóch. Ja jestem tęsknotą wszystkich czerwonych ludów spoglądających na wschód z nadzieją zbawienia. A on jest nowym dniem rozświetlającym ziemię i morza i przynoszącym nam naszą przyszłość. Tak samo każdy człowiek oznacza zarazem całą ludzkość, a to, co robicie tutaj, na mojej górze, robicie nie tylko dla siebie i na dzień dzisiejszy, lecz na setki i tysiące lat dla ludów wszystkich krain ziemi!

I ponownie się do mnie zwracając powiedział:

— Siadaj na konia i jedź ze mną! Jesteś moim gościem! Najmilej ze wszystkich widzianym! Co należy do mnie, należy również do ciebie!

— Nie jestem sam! — odparłem.

— Wiem. Doniesiono mi o tym z Nugget Tsil. Przyprowadź swoją squaw, o której moi strażnicy powiedzieli, że jest jak promień słońca. Przyprowadź starego, wiernego myśliwego!

Przyprowadziłem Serduszko. Chciała przed nim uklęknąć i ucałować go w ręce. On jednak przyciągnął ją do siebie i powiedział:

— Moje wargi nigdy jeszcze nie dotknęły kobiety. Będiesz pierwszą i ostatnią, jedyną!

Pocałował ją w czoło i policzki. Potem poprosił:

— Siadaj na konia! Podsadzę cię!

Pappermann już przedtem przyprowadził jej wierzchowca. "Strażnik wielkiej wiedzy medycznej" złożył swe dłonie w strzemię. Serduszko włożyła w nie nogę i została podrzucona do góry. Również Pappermannowi uściśnął czarownik serdecznie dłoń i kazał wraz z całym bagażem dołączyć do orszaku. Uznałem za stosowne, by zanim dosiędzie swego muła, przedstawić mu nasze przyjaciółki, obydwie Aszty, a także Atabaskę i Algongkę. Czarownik natychmiast zdobył sobie ich serca przez sposób, w jaki się z nimi przywitał. Potem wsiadł na swego muła i poprowadził nas ku swojej straży. Odjechaliśmy w porządku podobnym do tego, w jakim orszak zjechał z góry: na przedzie Młody Orzeł, za nim połowa straży, dalej Tatella-Sata ze mną i Serduszką, Pappermann z jukami i reszta straży. Za górnym miastem skierowaliśmy się ku dolinie, której wylot porównałem do portalu. Wszędzie wzdłuż trasy stali Indianie oddając na swój cichy, ale jakże wymowny sposób hołd swemu największemu badaczowi i uczonemu. Patrzyli za nim jak na króla albo świętego, a w gruncie rzeczy jak na obydwu w jednej osobie. Serduszko była aż blada z przejęcia, a i ja czułem się podobnie.

Kiedy zostawiliśmy za sobą zapełnione namiotami, płaskie podnóże Góry Winnetou, w wale przedgórza otworzyła się przed nami wysoka i przestronna brama skalna, przez którą wjechaliśmy do doliny prowadzącej w głąb całego masywu. Ściany doliny wznosiły się wysoko i porośnięte były drzewami.

— Zanim pojedziemy do Twierdzy, pokażę wam cud — powiedział Tatella-Sata. — Myślę o Wodospadzie-Całunie. Czegoś takiego nie ma nigdzie więcej na ziemi. Przedtem zobaczycie jeszcze coś innego, a mianowicie Ucho Diabła, którego celu nikt już dzisiaj nie zna, a także model pomnika Winnetou. Pracują nad nim Young Surehand i Young Apanaczka.

Milczałem. Zachowywałem się tak, jakby owo Ucho Diabła nie wzbudziło we mnie najmniejszego zainteresowania. Jak wiadomo Kiktahana Szonkę i jego sprzymierzeńca Tusahę Saricza spotkaliśmy w górskim kotle o kształcie elipsy, noszącym nazwę Ucho Boga. Dowiedzieliśmy się tam o istnieniu drugiego takiego elipsoidalnego kotła, które nazywa się Ucho Diabła. Czy jest to właśnie Ucho Diabła, o którym wspomniał teraz czarownik? Serduszko spojrzała na mnie. Uważała, że mam obowiązek zabrać głos na ten temat. Ja jednak potrząsnąłem nieznacznie głową. Mówiąc na Diabelskiej Ambonie o Uchu Boga i Uchu Diabła, Młody Orzeł stwierdził, że ma nadzieję, iż Tatella-Sata odkryje przed nim tajemnicę obydwu tych miejsc. Ja natomiast byłem zdania, że i czarownikowi nie wszystko jest wiadome. Dlatego uznałem, że będzie lepiej, jeśli zabiorę głos dopiero wtedy, kiedy poznam jego zasób wiedzy na ten temat.

Droga, którą jechaliśmy, przypominała nie tyle leśną ścieżkę, co stary, zjeżdżony doszczętnie wiejski trakt uczęszczany przez ciężkie, towarowe wozy. Z głębokich kolein i śladów kopyt końskich wnioskować było można, że ogromnym wysiłkiem zwierząt transportuje się nim duże ciężary. Serduszko nie mogła się powstrzymać od pełnej współczucia uwagi. Odpowiedziałem jej coś. Tatella-Sata milczał, ale brwi mu się zbiegły, a

cała twarz przybrała surowszy wyraz.

Droga prowadziła pod górę, ale tak łagodnie, że niemal niepostrzeżenie. Wkrótce natrafiliśmy na odchodzące w lewo i bardziej strome odgałęzienie.

— To droga do Twierdzy — wyjaśnił czarownik. — Teraz zostaniemy jeszcze na dole i pojedziemy dalej.

Po około kwadransie jazdy, ściany doliny rozbiegły się nagle na boki i stając się jednocześnie coraz bardziej strome utworzyły po obu stronach regularne, krągłe, ale nie całkowicie koliste wręby. Obydwa wręby leżały dokładnie naprzeciw siebie i tworzyły ogromne nisze skalne po obu stronach wewnętrznego placu. Od razu zauważyłem, że mają identyczny kształt i wielkość. Odnosiło się wrażenie, że choć najpierw działała tu natura, człowiek również — przed tysiącami lat — przyłożył rękę do tego dzieła. Jasne było dla mnie, że ten ludzki wysiłek miał nie tylko określony cel, ale również głębszy sens. Od razu zastanowiły mnie podobieństwa do Diabelskiej Ambony, w której podслуchaliśmy naradę Siouxów i Utahów. Podłoże przedniej części obu nisz tworzyły ściśle do siebie przylegające płyty kamienne, nie dopuszczające do wzrostu żadnej roślinności. Z tej posadzki, w obu niszach, wyrastała zaopatrzona w stopnie skała o kształcie ambony, jakby dawna wysepka. Owe skały natomiast przywodziły na myśl ambonę, na której znalazłem psie łapki urwane z amuletu Kiktahana Szonki. Natomiast tylna część obu nisz była do tego stopnia zarośnięta wszelkiego rodzaju drzewami i krzewami, że łatwo kryć mogła drugą ambonę w rodzaju tej, na której ustrzeliliśmy niedźwiedzia. Nawet więc bez głębszej refleksji, można było dojść do wniosku, że każda z tych nisz stanowi kopię elipsoidalnego kotła skalnego znanego pod nazwą Diabelskiej Ambony. Celowo mówię: "Bez głębszej refleksji", bo miałem ogromną ochotę uznać to porównanie za powierzchowne. Na głębsze przemyślenia zabrakło mi jednak czasu, gdyż pokazując na jedną i drugą stronę drogi Tatella-Sata powiedział:

— To Uszy Diabła. Tu jedno, a naprzeciw drugie. Czy słyszałeś o nich?

— Słyszałem, ale nie o dwóch, lecz jednym — odparłem.

— Słusznie, bo z tych dwóch jedno jest prawdziwe, a drugie fałszywe. Ale które jest które, tego do dziś nikt nie wie.

— Czy kiedyś było to wiadome?

— Tak, ale wiedza ta zaginęła. Zrobiłem wszystko, co w mojej mocy, by do niej dotrzeć — niestety bez skutku. Istnieją dwie Diabelskie Ambony. Jedna tu, a druga w Colorado. Tamta jest Uchem Boga, tutejsza zaś Uchem Diabła. Opowiem ci później o tym, co znaczą te nazwy.

Pojechaliśmy dalej.

Równinny teren, po którym jechaliśmy, porośnięty był teraz z rzadka tysiącletnimi drzewami-olbrzymami o ogromnych koronach. Zaslaniały nam one dalszą perspektywę. Kiedy jednak wyjechaliśmy spośród nich, odruchowo ściągaliśmy cugle — to, co zobaczyliśmy wprawilo nas w nieopisany zachwyt, nie tylko czysto estetyczny, zewnętrzny, ale sięgający również naszego wnętrza.

— Oto cud, o którym mówiłem: Wodospad-Całun — przemówił czarownik wyciągając rękę.

Staliśmy u podnóża wyższej partii międzygórskiej równiny, po której jechaliśmy. Gdzieś ponad nami, niewidoczny z dołu, drzemał wspomniany już przeze mnie Staw Tajemnicy lub Amuletów. Ściana, która pięła się ku niemu, była na całej swej szerokości absolutnie pionowa. Mówiłem już, że z owego stawu spływały dwa wodospady tworząc ostatecznie Białą Rzekę. Nie cały jednak nadmiar wody znajdował w nich ujście. Był też trzeci wyciek, a mianowicie Wodospad-Całun. Podczas gdy w dwóch pierwszych woda mknęła w dół

wąskim, rwącym potokiem, trzeci rozpościerał się na całą niemal szerokość równiny, na której staliśmy. Ponieważ miał zupełnie gładką, poziomą krawędź, woda przelewała się równomiernie i bez przerwy, tworząc coś w rodzaju gigantycznego wypolerowanego lustra opartego o dno doliny.

Owo lustro miało co najmniej pięćdziesiąt metrów wysokości. Jego gładkiej powierzchni nie zakłócała żadna piana czy rysa. A ponieważ rozciągało się na całą szerokość doliny, wrażenie było kolosalne. Właśnie zbliżało się południe. Słońce wisiało wysoko, a jego padające z ukosa na wodospad promienie łamały się i odbijały w taki sposób, że z góry zdawała się spływać nie woda, a płynne złoto, srebro i miedź z milionami sunących w dół diamentów, rubinów, szafirów i szmaragdów. To rzeczywiście było cudowne! Na domiar wszystkiego spływająca woda nie tworzyła u podnóża następnego zbiornika, lecz ginęła natychmiast i bez śladu w ziemi.

— Gdzie wypływa znowu ta woda? — zapytałem.

— W Dolinie Jaskini, pięć godzin jazdy stąd — odparł

Tatella-Sata.

Była to istotna informacja, gdyż właśnie w Dolinie Jaskini miał się ukryć Kiktahan Szonka wraz z całym sprzymierzonym wojskiem. Czarownik mówił dalej:

— O tej porze dnia wodospad jest jak utkany ze złota i drogich kamieni. Nie wygląda jak całun. Ale zaobserwuj go później — wieczorem albo nocą, w ciemności, o zmroku, przy świetle księżyca lub gwiazd! Człowiek czuje się wtedy jak przeniesiony w inny świat zabrany z tej ziemi, na której nic już nie jest święte!

Mówiąc to wskazał na rozpoczętą nieopodal wodospadu budowę, wyrastającą z ziemi ku niebu mury, których jedynym zadaniem zdawało się być sprofanowanie tego miejsca. Na razie widoczny był ciężki, masywny postument, składający się z dziesięciu gigantycznych stopni, tak szerokich i wysokich, iż same wając z pewnością wiele tysięcy cetnarów dźwigać miały jakiś ogromny ciężar. Na tym piedestale wznosiły się dwa drewniane rusztowania umożliwiające pracę nad najniższą częścią pomnika-kolosa. Jedna noga postaci gotowa była do wysokości kolana, druga sięgała już górnej części uda. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że kolos miał być ubrany w indiańskie mokasyny i spodnie do konnej jazdy.

— Co za zbrodnia stawiać to nieforemne dzieło rąk ludzkich obok dzieła Wszechnocy! — załamała ręce Serduszko. — Kto to wymyślił?

— Nie jeden człowiek, a czterech! — odparł Tatella-Sata. — Surehand, Apanaczka i ich synowie.

— Co? — zawołałem. — Czy to ma być Winnetou? Czarownik skinął tylko głową.

— Niesłychane. W tym miejscu? Myślałem, że pomnik ma stanąć na szczycie?

Od momentu wjazdu do doliny nie jechaliśmy już między strażą, lecz na przedzie, razem z Młodym Orłem, który odpowiedział teraz:

— To prawda. Ostatecznie figura ma stanąć na położonym wyżej wybrzuszeniu, które jeszcze wam pokażę. Model znajduje się w dolnym mieście, w specjalnie do tego celu przeznaczonym budynku. To, co tu oglądamy to próbna budowa. Od jej powodzenia zależy, czy zrealizowany zostanie główny plan. Tak kolosalne dzieło wymaga kolosalnych środków. Aby je zdobyć, trzeba najpierw przekonać dawców. Dlatego Old Surehand i Apanaczka wybrali to miejsce na próbną budowę. Prowadzą ją tutaj na własny koszt. Środki na właściwą budowę mają wpłynąć od wszystkich Indian. To miejsce najlepiej nadaje się do tego, aby ich zachęcić. Tu projekt ma być wystawiony na pokaz. Ma być w nocy oświetlany prądem elektrycznym, lampionami i sztucznymi ogniami. Budowniczości oczekują, że niezrównany

widok Wodospadu-Całunu zrobi swoje.

— A wy macie zamiar patrzeć na to beczynnienie? — zapytała Serduszko, która dobrze zna się na sztuce i którą cały ten plan ranił do głębi niczym głęboka zadra.

— Ja nie! — odparł Tatella-Sata unosząc na potwierdzenie, jakby w geście przysięgi, jedną rękę do góry. — Ale jestem sam! Mogę się tylko przygotowywać i czekać sposobności. Teraz jednak, kiedy przybył ten, w którym jest cała moja nadzieja, zadam mu to samo pytanie: Czy masz zamiar patrzeć na to beczynnienie?

Pytanie było skierowane do mnie. Poczułem, że wstępuje we mnie jakieś dziwne, trudne do opisu uczucie.

— Czy ja mam wpływ na twój lud? — zapytałem. — Nie, żadnego!

— Nie? — tym razem on zapytał. — Nawet gdybyś rzeczywiście go nie miał, jesteś tym, kim jesteś. Potrzebuję twego oka i ucha. Potrzebuję twej ręki i twego serca! Jeśli mi ich użyjesz, zwyciężę!

Podąłem mu wtedy dłoń i odparłem:

— Oto moje oko i ucho, oto ręka i serce. Należę do ciebie! Uścisnął moją dłoń prawie do bólu i rzekł:

— A więc witaj mi po raz drugi, witaj mi bardziej jeszcze! Będziesz mi takim gościem jak nikt jeszcze...

Przerwałem mu szybko:

— Pozwól mi być takim gościem, jakim sam chcę być!

— A czego chcesz?

— Pozostać wolnym. Przybywać i odjeżdżać według własnej woli. Mieć u ciebie zaufanie, jakim sam siebie

darzysz!

— Niech tak będzie! Jesteś panem samego siebie, a wszystko, co do mnie należy, należy również do ciebie!

Znowu wezbrało we mnie to uczucie. Wskazałem na kolosalną w swym zamyśle budowę i rzekłem:

— Powiadam ci więc: prędzej te kamienne bloki zapadną się pod ziemię, w miejscu, z którego się wznoszą, niż Winnetou zostanie zelżony blaskiem lampionów i sztucznych ogní! Ale spróbujmy najpierw miłością!

— Tak, najpierw miłością — przytaknął. — Zawracajmy! Nic tu więcej po nas!

Pojechaliśmy z powrotem aż do owego odgałęzienia prowadzącego ostrzej pod górę, ku Twierdzy. Tam też skręciliśmy. Po drodze Młody Orzeł powiedział nam, że normalnie okolica Wodospadu-Całunu aż roi się od robotników, dzisiaj zaś było pusto, gdyż wszyscy udali się do kamieniołomów po materiał. Serduszko bardzo spoważniała. Widząc, że to zauważyłem i że na pewno chętnie poznałbym powody, postanowiła uprzedzić moje pytanie i powiedziała:

— Bardzo mnie uderzyło to, co powiedziałeś o blokach, które prędzej zapadną się pod ziemię, niż ty zniesiesz sztuczne ognie i lampiony wokół twego Winnetou. Często się zdarza, że twe słowa się spełniają — nawet wtedy, gdy dla innych brzmią zupełnie nieprawdopodobnie. Nierzadko spełniają się w sposób dosłowny. Kiedy mówiłeś miałam uczucie, że wypowiadasz prorocstwo, które przyszło do ciebie nie wiadomo skąd.

— I to cię przynębia? — zapytałem.

— Czy przynębia? Ani trochę! Wręcz przeciwnie — wewnętrznie podnosi. Umacnia. Tak jakbym słyszała coraz bliższe kroki nieodwracalnego przeznaczenia spieszącego nam na pomoc. To mnie wycisza i pobudza do refleksji.

Podczas tej krótkiej rozmowy dotarliśmy do miejsca, z którego widać było wierzchołek przedniego szczytu. Zatrzymując swego mufa Tatella-Sata wskazał na coś w górze i zapytał:

— Czy widzieliście na jednej z półek południowej iglicy wielkie gniazdo orła, które zdaje się być dla ludzi zupełnie niedostępne?

Kiwnęliśmy głowami. Czarownik mówił dalej:

— Tam właśnie jako chłopiec wszedł Młody Orzeł. Chciał przynieść sobie z gniazda orła-wojownika własne imię i amulet. Ale rzemień, na którym wisiał zerwał się. Chłopak spadł do gniazda i nie mógł się z niego wydostać. Najpierw zabił dwa młode orlęta. Potem walczył ze starym orłem i w końcu zmusił go do tego, by sfrunął z nim na dół z tej oszałamiającej wysokości. Teraz nosi jego pióra, szpony i dziób jako ozdobę. Natomiast szpony i dzioby młodych są jego amuletem. Od tamtej pory nosi imię Młodego Orła. A ja jestem jego ojcem chrzestnym, bo kiedy siedziałem przed swoimi drzwiami, wylądował z orlicą u moich stóp. Cała opowieść wyglądała na bajkę albo błagę, a jednak była prawdziwa. Młody Orzeł nie słyszał, o czym mówimy, gdyż pojechał dalej. Ruszyliśmy jego śladem. Nie pytałem czarownika o szczegóły, wiedziałem jednak, że Serduszko bardzo by się ich chciała dowiedzieć i że zdecydowana jest zapytać o nie samego bohatera tej niezwyklej opowieści.

Droga wiała się pod górę aż do momentu, w którym osiągnęliśmy wysokość Twierdzy. Tutaj skręcała w kierunku wschodniego, a więc przedniego zbocza Góry Winnetou, z którego mieliśmy widok w dół, na głęboko pod nami leżące górne i dolne miasto. To aż tutaj dotarł Młody Orzeł, aby powiadomić czarownika o naszym przybyciu. Nad nami pięła się w niebo wieża strażnicza. "Strażnik wielkiej wiedzy medycznej" wskazał palcem do góry i powiedział do Młodego Orła:

— Tam będziesz mieszkał. Teraz jednak chodź z nami wypalić fajkę pokoju i gościnności.

Twierdza nie składała się z jednej czy tylko kilku budowli. Było to całe skalne miasteczko. Powstawało na przestrzeni tysięcy lat. Dlatego dało się w nim wskazać przykłady wszystkich rodzimych, amerykańskich stylów architektonicznych — od jaskiń mieszkalnych i pierwszych chat kordylieryjskich, poprzez staroperuwiańskie baszty obronne i staromeksykańskie domy zgromadzeń, aż do kamiennych wigwamów z północy. Były tu też ogromne "skały mieszkalne" w stylu Indian Pueblo. Jak się później dowiedzieliśmy, od niepamiętnych czasów przechowywano w nich bez żadnych strat ogromne ilości zboża i suszonej żywności. Nie opadały stały mury z kamieni-olbrzymów podobne tym, jakie widziałem w Baalbek i innych znanych miejscowościach Orientu. Mogliśmy podziwiać wszelkiej maści i rodzaju indiańskie namioty, chaty, domy, pałace, balkony, werandy, klepiska, składy, stodoły opinające niczym kamienny pas masyw góry — kamienne pozdrowienia z zamierzchłych czasów słane w dół dolnemu i górnemu miastu, w których karłowaty lud teraźniejszości bronił się ze wszystkich sił przed nami, by wreszcie dorosnąć. A choć kocham czerwoną rasę i najchętniej pisałbym o tym, jak jest dobra, wielka i szlachetna, schylić muszę głowę przed prawdą i otwarcie przyznać, że owe dzieła dawnych architektów mimo, iż po części miały ogromne rozmiary, wydały mi się jakieś niskie, bezduszne i ani mi nie imponowały, ani nie ucieszyły. Zrobiły na mnie wrażenie czegoś bardzo... bardzo... indiańskiego. Nie było w nich dążenia wzwyż, niewiele okien, żadnej dbałości o świeże powietrze, światło i jasność dnia. Te budynki pełzały po ziemi, żaden z nich nie przypominał pnącego się ku niebu kościoła czy meczetu. Jedyne wyjątek stanowiła wieża strażnicza, której przeznaczeniem było jednak kierować się ku temu, co w dole. Zgodnie z zamierzeniem

budowniczych miała panować nad przepastną doliną, a nie być palcem wskazującym duchową drogę wzwyż.

To spostrzeżenie zabolowało mnie. Widziałem, że zabolowało również Serduszko. Ona jest znacznie wrażliwsza i delikatniejsza ode mnie. Jej serce w o wiele większym stopniu współczuje z niedolami tej ziemi i tego życia. A tutaj mieliśmy przed oczyma uwieczniony w kamieniu ogrom cierpienia całej, wielkiej, zaginionej już niemal rasy! Nawet wieża strażnicza nie miała właściwie kształtu wieży, lecz niskiego czworokątnego ostrościanu o ściętym, płaskim wierzchołku. Indianie nie znają wież czy minaretów. Nigdy nie odczytali wskazówek zawartych w kształtach ich gigantycznych drzew. Nigdy nie budowali katedr. Tak więc, również duchowo pozostali na ziemi. Patrzyli na ptaki. Czčili orła. Jego pióra były dla nich najwspanialszą ozdobą. Ale naśladować go, oderwać się od ziemi — ta myśl nigdy nie zaświtała w ich głowach. Latać! Kto tego nie pragnie — czy to cały lud, czy pojedynczy człowiek — pozostaje przykuty do ziemi. Pozostaje w tyle za innymi. Pełza po ziemi i w rezultacie ginie w niej razem z pamięcią o sobie. Taki też los czeka Indian, jeśli w tym ostatnim momencie nie nauczą się latać.

Przygnębiające wrażenie, jakie wywoływał skalny zamek, łagodził widok jego licznych mieszkańców. Ludzie stali wszędzie — na basztach, dachach, w otworach okiennych i drzwiowych, w uliczkach. Mężczyźni, kobiety i dzieci. Mężczyźni ubrani jak niegdyś Winnetou, wszyscy z gwiazdą na piersi, kobiety nadzwyczaj czyste, o inteligentnym spojrzeniu, podobnie dzieci. Ani jednej tępej, naznaczonej indolencją twarzy, jakie często widzi się gdzie indziej. Ani jednego oblicza zastygłego w grymasie niemej skargi czy owej narodowej żaloby, która zdaje się odrzucać każdą radość. Widziałem tylko inteligentne, pogodne twarze. Ludzie cieszyli się i śmiali. Tatella-Sata pozdrawiany był głębokimi pokłonami i pełnymi szacunku gestami rąk. Ludzie odnosili się do niego z największą i najszczerzą bojaźnią, a jednocześnie kochali go. Z ogromnym zaciekawieniem patrzano na mnie i Serduszko. Wszyscy wiedzieli już, po kogo pojechał osobiście "strażnik wielkiej wiedzy medycznej". Słyszałem swoje imię wykrzykiwane z radością. Wszyscy mieli bowiem świadomość, że teraz dojdzie wreszcie do tak dawno wyczekiwanego działania.

— A to jest jego squaw... jego squaw... — słyszałem wokoło.

Zaznaczę przy okazji, że słowo "squaw" nie ma żadnego lekceważącego posmaku. Są autorzy przedstawiający kobiety indiańskie jako pozbawione wszelkich praw niewolnice mężczyzn. Jest to obraz z gruntu fałszywy. W rzeczywistości bywały kobiety-wodzowie. Pozycję kobiety umacnia dodatkowo fakt, że dziedziczenie następuje zwykle w linii kobiecej. Majątek zmarłego obejmuje nie jego własny syn, lecz syn jego siostry. Nie było więc nic nadzwyczajnego w tym, że Serduszko wzbudzała to samo co ja zainteresowanie.

Przejeżdżaliśmy przez szeroką i bardzo głęboką bramę długiego budynku, którego zewnętrzna ściana pocięta była wąskimi, podobnymi do strzelnic, lecz wyższymi otworami. Każdy z nich wychodził na kamienny balkon, z którego widoczne było całe równinne podnóże Gór Winnetou. Przez wspomnianą bramę-tunel dostaliśmy się na obszerny dziedziniec, zamknięty z drugiej strony przez drugi podobny budynek. On również miał bramę prowadzącą na następny dziedziniec, ku trzeciemu z kolei budynkowi. Jak się okazało, był to cały szereg tego typu budynków i dziedzińców, zbudowanych wewnątrz potężnej szczeliny skalnej o wznoszącym się w górę podłożu. Szczelina, na dole bardzo szeroka, zwężała się ku górze, tak że również budynki i dziedzińce, początkowo bardzo szerokie, w miarę wzrostu wysokości stawały się węższe. Z boku dziedzińce ograniczone były skalnymi ścianami, w których widniały szczeliny z głęboko wyrąbanymi w kamieniu ścieżkami biegnącymi w górę do lasu, gdzie na polanach pasły się bezcenne konie czarownika.

Na najniższym i największym dziedzińcu zsiadliśmy z koni. Tatella-Sata powiódł nas do

wnętrza domu — mnie, Serduszko i Młodego Orła. Nikomu nie wolno było iść z nami. Weszliśmy po .stopniach na górę do obszernego i dość wysokiego pomieszczenia, na którego środku stało sześć niesamowitych figur niedźwiedzia grizzly podpierających kamienną płytę. Na płycie leżało kilkanaście fajek pokoju ze wszystkimi niezbędnymi dodatkami. Tutaj przyjmowano zwykłych gości. My jednak poszliśmy dalej, przez cały szereg najróżniejszych pomieszczeń, aż w końcu stanęliśmy przed skórzaną, doskonale wygarbowaną, pomalowaną zasłoną ze skóry. Czarownik odsunął ją na bok ze słowami:

— Wejdźcie i siadajcie. Zaraz wrócę.

Weszliśmy do środka i od razu spostrzegliśmy, że znajdujemy się w pielęgnowanym z wielką miłością świętym miejscu. Pomieszczenie oświetlały dwa oszklone otwory. Wnętrze urządzone było na kształt namiotu, lecz nie wojennego, a namiotu czasu pokoju, o ścianach, na przemian z najradszych białych bobrów i białych skór kur preriowych. Na ziemi leżały cztery bieluteńkie skóry bawole tak jednak ułożone, że tworzyły miękkie miejsca do siedzenia. Głowy i rogi bawole służyły za oparcie dla pleców i łokci. Pośrodku, na czterech głowach jaguarów stała wielka, polerowana waza ze świętej gliny fajkowej wydobywanej na północy. W wazie leżał kalumet. Nie był duży i kosztowny, lecz dość zwyczajny. Choć jednak niczym nie zwracał na siebie uwagi, natychmiast rozpoznałem w nim najcenniejszą fajkę pokoju wszystkich czasów.

— Fajka Winnetou! — krzyknąłem. — Fajka, której używał, kiedy go poznałem! Co za niespodzianka i co za radość!

— Czy aby się nie mylisz? — spytała Serduszko.

— Na pewno nie!

— A więc muszę się jej przyjrzeć! Uniosła się, by wziąć ją do ręki.

— Stój! — poprosiłem. — Niczego tu nie dotykaj! Widzę, że to święte miejsce! Nawet, a może szczególnie, przyjaciele powinni je uszanować!

Podeszliśmy do okien. W dole zobaczyliśmy miasto. Wielki ruch, jaki w nim panował, wskazywał na to, że przybyli tam jacyś znaczni goście. Nie mieliśmy jednak czasu na dalszą obserwację, gdyż do namiotu wszedł Tatella-Sata. Zostawił gdzieś swój płaszcz. Okazało się, że ma na sobie całkiem zwyczajny indiański strój z dobrze wygarbowanej skóry naturalnego koloru, bez śladu kolorowych szwów czy jakichkolwiek innych ozdób.

Czarownik wziął najpierw za rękę Serduszko i zaprowadził do przeznaczonego dla niej miejsca. Sam miał zasiąść naprzeciw, ja po jego prawej, a Młody Orzeł po lewej stronie. Stary Pappermann został na dole przy koniach. Tatella-Sata nie usiadł od razu, lecz stanął i zaczął mówić: — Głęboko poruszone jest moje serce, a dusza moja zmaga się z niezapomnianym ciągle cierpieniem. Ostatni raz kalumet palony był w tym miejscu na pożegnanie. Tu, gdzie teraz siedzi nasza biała siostra, siedziała Nszo-czi, najpiękniejsza z cór Apaczów, nadzieja naszego plemienia. Tu, gdzie siedzi teraz Old Shatterhand, siedział Winnetou, mój ulubieniec, którego nikt tak dobrze nie znalazł jak ja. Na miejscu Młodego Orła siedział Inczu-czuna, mądry i dzielny ojciec obojga. Przyjechali, by się ze mną pożegnać. Nszo-czi chciała jechać na Wschód, do miast bladych twarzy, aby stać się jedną z nich. Moje wewnętrzne oczy płakały. Opuszczało nas uosobienie naszych pragnień i nadziei, opuszczało, gdyż nie do nas należała jej miłość. To był smutny dzień. Na zewnątrz szalała burza, a w moim sercu panowały ciemności. Pojechali. Nszo-czi nigdy już nie wróciła. Zamordowano ją razem z ojcem. Wrócił sam Winnetou. Spierałem się z nim. Płonałem gniewem przeciw temu, z którego powodu odwróciła się od nas córka naszego plemienia. Wtedy Winnetou włożył swój kalumet do tej wazy i przysiągł, że nie dotknie go powtórnie, dopóki nie pozwolę usiąść tu z nami jego białemu bratu i nie wypalimy z nim wspólnie pozdrowienia pokoju. Był u mnie jeszcze wiele razy; mieszkał, ćwiczył i pracował na Górze Winnetou miesiącami. Nigdy już jednak nie

wszedł do tego namiotu i nikt więcej do niego nie wszedł. Zamieszkiwała go tylko jego przysięga. Czekala długi, długi czas. Winnetou umarł. Umarł na sercu Old Shatterhanda. Gniew mój zapłonął jeszcze silniej. Zdawało mi się, że z Winnetou umiera przeszłość Apaczów. Ja jestem strażnikiem amuletów. Ja przenikam historię i tajemnicę naszej rasy. Chciałem ją ratować od upadku i śmierci. Jej duch miał się obudzić w Winnetou, najgłębszym i najszlachetniejszym z Indian. Ale oto umarł, a z nim umarła dusza naszej rasy. Tak ja, głupiec, sądziłem!

Przerwał na chwilę, spojrzał przez okno, które otworzyłem i mówił dalej:

— Nadeszły w końcu jasne, słoneczne dni. Głos życia znowu zaczął docierać do mych uszu. Wszędzie słyhać było imię Winnetou. On żył. Z Góry Hancocka, gdzie go zastrzelono, powrócił przez prerie, doliny i góry do swej ojczyzny. On żył. Czy w ogóle umarł? Obudziły się jego czyny. Od namiotu do namiotu biegły jego słowa. Dała się słyszeć jego dusza. Mówiła, przemawiała. Przekraczała doliny, wstępowała na góry. Wstąpiła i do nas, na Górę Amuletów. Weszła do mego mieszkania, a ja rozpoznałem w niej nie tylko duszę Winnetou, lecz również duszę jego plemienia, ludu i całej rasy. Przystała do mnie. Słyszałem ją dzień w dzień, godzina za godziną. Przez wszystkie drzwi, okna i szczeliny wciskało się do mnie imię Winnetou. Było na ustach wszystkich czerwonych nacji. Stało się światłem latarni, płonącym ponad sawannami i górami. Komu zależało na tym co dobre, czyste i szlachetne, ten mówił o Winnetou. Kto dążył do tego, co wzniosłe i wielkie, ten mówił o Winnetou. Winnetou stał się ideałem. On jest pierwszą duchową miłością naszej rasy! Pojąłem wiele rzeczy, których przedtem nie mogłem pojąć. Nauczyłem się zachowywać ciszę i spokój, kiedy wraz z imieniem Winnetou wymawiano imię Old Shatterhanda. Zrozumiałem, że ci dwaj są w myślach ludzkich nierozdzielnie złączeni. Ilekroć w godzinach wewnętrznej walki wchodziłem do tego namiotu, widziałem oczami duszy Winnetou wkładającego swój kalumet do wazy i unoszącego dłoń w przysiędze, że nigdy już go nie dotknie bez swego brata Old Shatterhanda.

Znowu przerwał. Przez okna dobiegł nas gwar wielu głosów. Były to dochodzące z miasta okrzyki powitalne. Tatella-Sata podszedł do okna i spojrzawszy w dół powiedział:

— Przyjechali wodzowie w ozdobach z piór. Wkrótce dowiem się, kim są.

Odwrócił się do nas i mówił dalej:

— Nigdy jeszcze tak wyraźnie, jak w tym momencie nie odczułem, że Winnetou żyje. Old Shatterhand, który przybył przez ląd i morze, w tajemniczy sposób zaświadcza o tym, że jego czerwony brat nie przebywa w jakiejś wymyślonej na użytek nieoświeconego tłumu krainie wiecznych łowów. Wysłałem list do Old Shatterhanda. Prosiłem, by przybył ratować swego brata Winnetou. Pewien jestem jednak, że Old Shatterhand wie, czyja to prośba -nie Tatella-Saty, a samego Winnetou, duszy czerwonego ludu, który ma być powalony i uduszony przez swych własnych synów. A on przecież pragnie wzbić się w górę! On pragnie latać! Nie tylko jeść i pić, nie tylko pragnąć i łaknąć materialnej strawy. On chce czegoś więcej! Chce mieć swój udział w tym, czym Manitou obdarzył całą ludzkość, a nie tylko niektóre narody. Nie chce już dłużej być dzieckiem, albowiem biada ludowi, który wzbrania się przed pełnoletnością! On chce dorosnąć. Oto jednak głupota nierozumnych spieszy powiedzieć dziecku, że jest mężczyzną, bohaterem, gigantem, spieszy uwiecznić to kłamstwo w marmurze. To równe jest morderstwu, a ponieważ wychodzi od członków tegoż ludu oznacza samozniszczenie. Tego nie ścierpi ani Tatella-Sata, ani Old Shatterhand! Tak się cieszę, że przyjechał, by wesprzeć nas swym ramieniem! Zasiadł po mojej prawicy, jak niegdyś Winnetou. Coś każe mi myśleć o nim, jakby był rzeczywiście samym Winnetou. Tak samo o naszej białej siostrze, jakby była Nszo-czi, ulubienicą naszego ludu. Jestem Tatella-Sata, strażnik wielkiej wiedzy medycznej. Witam was! Gdzieś głęboko czuję bliskość tego,

którego kochałem jak nikogo innego. Widzę i słyszę, że dziś właśnie spełnia się jego przysięga. Old Shatterhand siedzi na tym miejscu. Kiedyś go nienawidziłem, ale teraz kocham. Niech będzie mi bratem. I niech przypieczętuje to kalumet naszego Winnetou!

Wziął fajkę do ręki, napełnił ją i zapalił. Wciągnął dym sześciokrotnie wydmuchując go na cztery strony świata, w dół i w górę. Wypowiedział zwyczajowe formuły i przekazał mi kalumet. Podniosłem się i powiedziałem:

— Pozdrawiam mego Winnetou i wyczekuję przebudzenia się jego ludu. Byłem zawsze nim, a on był zawsze mną. Niech tak będzie i dzisiaj, i na zawsze! Dość już słów, niech przemówią czyny! Czas po temu!

Tak jak mój poprzednik wciągnąłem i wydmuchałem sześciokrotnie dym, po czym zwróciłem mu kalumet. Czarownik podał go Serduszku mówiąc:

— Weź go, jak nasza Nszo-czi! Ona przemówi teraz twoimi ustami!

To było wielkie wyróżnienie. Poczułem radość, choć nie bez domieszki pewnej obawy. Serduszko miała coś powiedzieć! Cóż powie? I zaciągnąć się dymem z ostrego tytoniu zmieszanego z sumakiem! Tylko raz w życiu wypaliła dla żartu pół papierosa. Spojrzała na mnie i niewątpliwie wyczytała w mych oczach: "Serduszko, proszę na Boga, tylko mnie nie skompromituj!" Uśmiechnęła się leciutko, z pewną miną ujęła fajkę, podniosła się i powiedziała:

— Kocham Nszo-czi, córę Apaczów. Byłam na jej grobie i modliłam się. Poczułam wtedy, że to nie jest żaden grób ani śmierć, ani zwłoki. Zepsuciu ulega tylko to, co zbyteczne. Wszystko inne trwa. Jej lud zginął tak jak ona, ale jego dusza pozostała. I jeżeli okażecie się dostatecznie silni, otrzyma on nowe, wspaniałe ciało, do którego od dawna ma prawo. Daj mi swe serce, o Tatella-Sata; moje już dawno do

ciebie należy!

Odważnie pociągnęła sześć razy z fajki i zwróciła ją czarownikowi. Kiedy usiadła miała łzy w oczach i nie wiadomo było, czy od dymu, czy ze wzruszenia.

Teraz otrzymał kalumet Młody Orzeł. Wstał i powiedział:

— Jak daleko sięga ziemia, wielki nastał czas. Ale nie wypełnił się jeszcze, lecz dopiero wypełnia. To młody czas i musi rosnąć, a my z nim. Ludzkość wspina się ku swym ideałom. Ruszajmy i my w górę! Nie trwajmy jak do tej pory na ziemi! Młody Orzeł już prostuje swe skrzydła. Kiedy trzykrotnie obleci górę, czerwony lud zbudzi się z podobnego śmierci snu! Nadejdzie jego dzień!

On również wypuścił sześciokrotnie dym i zwrócił kalumet "strażnikowi wielkiej wiedzy medycznej".

Do niego należało teraz wypalić go powoli i w milczeniu do końca. Ceremonia zakończyła się. Tatella-Sata zaprowadzi! nas z powrotem do opisanej na początku sali gościnnej z całym zbiorem fajek pokoju. Wskazując na oczekującego nas tam potężnego Indianina powiedział:

— To wasz sługa Inczu-inta²³. Zaprowadzi was do waszych pokojów.

Odpowie na wszystkie pytania. Był ulubieńcem Winnetou. Niech więc teraz będzie waszym! Za godzinę zapraszam was na posiłek, ale tylko dziś, pierwszego dnia. Potem będziecie całkowicie swobodni. Do mnie możecie jednak zawsze przychodzić.

Oddalił się uściśnawszy nam dłonie. Zeszliśmy najpierw na dziedziniec do naszych koni, ale zastaliśmy tam tylko ogiera Młodego Orła i muła, który niósł jego ciężki pakunek. Młody

²³ Dobre Oko.

Orzeł dosiadł konia odjechał w kierunku wieży strażniczej, gdzie wyznaczono mu mieszkanie. Od In-czu-inty dowiedzieliśmy się, że resztę zwierząt Pappermann odprowadził do naszej kwatery.

Inczu-inta miał, jak powiedziano, wygląd prawdziwego olbrzyma. Liczył sobie z pewnością ponad sześćdziesiąt lat, ale ciągle jeszcze dopisywała mu młodzieńcza krzepa. Był człowiekiem prawdomównym, wiernym i skromnym. Jeśli pełnił teraz rolę "sługi", to wyłącznie z własnej woli. Nie rozumiał niczego takiego jak wymuszone podporządkowanie czy posłuszeństwo. Pod każdym względem był sam sobie panem. Zaprowadził nas przez kolejne bramy aż na szósty dziedziniec. Tamtejszy budynek w całości przeznaczony był dla nas.

— To dom Winnetou — wyjaśnił Dobre Oko.

— Czy tu mieszkał? — zapytałem.

— Zawsze, ilekroć tu przyjeżdżał — odparł służący. — Pomieszczenia, w których Old Shatterhand zamieszka wyglądały dokładnie tak, jak je zostawił ostatnim razem Winnetou. Inczu-czuna, kiedy przyjeżdżał, mieszkał u swego syna. Nszo-czi również. Nasza biała siostra zajmie pokoje pięknej i dobrej siostry Winnetou.

Również w tym budynku wąskie otwory strzelnicze ściany frontowej wychodziły na balkony. Widok z tego położonego najwyżej domu musiał być jeszcze rozleglejszy niż od Tatella-Saty. Nasze konie i muły znalazły schronienie w przewidzianej na stajnię przybudówce. My zaś weszliśmy schodami do części mieszkalnej i natrafiliśmy najpierw na wielką, po indiańsku urządzone izbę z wysokimi naczyniami do mycia. Było tu wiele różnego rodzaju siedzeń, a także płyta z fajkami pokoju.

— Salon gościnny — uśmiechnęła się Serduszko.

Na ścianach wisiała broń wszelkiego rodzaju i kalibru. Wśród najprzeróżniejszych egzemplarzy dostrzegłem kilka znanych mi noży, pistoletów i strzelb. Należały niegdyś do naszych znajomych myśliwych. Sługa oprowadził nas po całym budynku. Starczyłoby w nim miejsca dla trzydziestu, czterdziestu osób, a ja musiałbym zapełnić kilka ładnych stron, by choć pobieżnie opisać wnętrze i wyposażenie. Dlatego wolę z tym poczekać do publikacji *Testamentu Winnetou*.

Czytelnik łatwo może sobie wyobrazić uczucie, z jakim wchodziłem do trzech przylegających do siebie izb, z których Winnetou korzystał osobiście. Z lewej strony była sypialnia, za nią znacznie większy pokój gościnny, a dalej pracownia. Z każdej izby można było wyjść na balkon i podziwiać niezrównany roztaczający się w dole widok. W sypialni znajdowało się bardzo miękkie, wysokie i bardzo czyste posłanie ze skór i futer; poza tym trochę naczyń na wodę do picia i mycia. Pokój gościnny urządzony był na poły po europejsku — stały tu siedzenia i stoły różnej wysokości. Na stołach, a także na ścianach dostrzegłem parę przedmiotów znanych mi stąd, że pochodziły ode mnie; wśród nich dwie fotografie, które uznałem niegdyś za szczególnie udane. Oryginały zbłądły już bardzo, a na ścianach wisiało około dwudziestu malarskich prób ich reprodukcji.

— Musiał cię jednak bardzo kochać! — powiedziała Serduszko przypatrując się uważnie obrazom. — Nie był pozbawiony talentu. Próbował, ale nie miał w malowaniu żadnej wprawy. Nikt go tego nigdy nie uczył! Wzruszające są te jego wysiłki!

W pracowni stało biurko — tak, prawdziwe biurko z szufladami, przyborami do pisania, atramentem i plikiem kartek papieru. Atrament był oczywiście całkowicie wyschnięty. To tutaj mój niezrównany przyjaciel ćwiczył się w pisaniu. To tutaj ten pogromca najdzikszych mustangów, po mistrzowsku władający każdą bronią, polował na błędy ortograficzne! Mój kochany, mój niezrównany Winnetou! Tutaj powstał jeden z najważniejszych rozdziałów jego testamentu, testamentu, którego ogłoszenie powierzył mnie.

W tym pomieszczeniu pracował też przy pomocy noża i obcęarów, młotka i pilnika, a nawet igły i nici. Żadnej pracy nie uważał za coś poniżej swojej godności. Próbował nawet zrobić aktówkę ze skóry. W środku znalazłem jedną tylko kartkę. Dużymi literami napisane było na niej: *Charly, mój bracie, jakże Cię miłuję!*. Po drugiej zaś stronie mniejszym pismem i najwyraźniej drżącą ręką napisał: *Charly, umieram za Ciebie! Wiem to! Twój Winnetou.*

Stojący obok Inczu-inta widział, jak Serduszko płacze nad kartką. Mnie również łzy zamgliły wzrok. W końcu on sam, silny mężczyzna, odwrócił się i otarł oczy.

— Tak tu czysto! Jakby odjechał stąd przed godziną! — powiedziała Serduszko. — Kto tu sprząta i odkurza?

— Ja — odparł Indianin.

— Jak często?

— Codziennie.

— Od kiedy?

— Od kiedy stąd odjechał.

— Cały ten czas? Mimo iż nie mógł tu powrócić? Mimo że zginął?

Olbrzym pokręcił nieznacznie głową, uśmiechnął się leciutko i odparł:

— Zawsze mówił, że nie ma śmierci; zapewnił go o tym jego brat Old Shatterhand. Uwierzyłem. I wierzę do dzisiaj.

Otarł dłonią skórzany strój wiszący na ścianie.

— Te spodnie i kurtkę miał zwyczaj zakładać, ilekroć nie zamierzał wychodzić na zewnątrz. Kiedy tu czasem sam siedzę, wydaje mi się, że słyszę szelest skórzanych fałd. Czy to Winnetou? Czy przeszedł niepostrzeżenie za moimi plecami? Kiedy tutaj wchodzę, mam wrażenie, że stoi na zewnątrz w altanie modląc się ze złożonymi rękami — tak jak to czynił, ilekroć ogarniała go tęsknota lub jakiś ból. Nazywał mnie swoim przyjacielem, mnie jednak dumą napawał sam fakt, że mogę mu służyć. Chętnie pozwoliłbym mu chodzić po swoich dłoniach i bez wahania tysiąc razy umarłbym za niego. Umrzeć jednak miał on. Albowiem jego śmierć, bardziej niż życie, wstrząsnęła czerwonym ludem, ukazując mu, jak bezcenne jest każde ludzkie istnienie; o ile więc cenniejsze jest jeszcze istnienie całego narodu czy rasy. Byliśmy ślepi i przejrzelismy! O, jakże był mi drogi!

Nagle zwrócił się do mnie, chwycił za rękę i zawołał:

— Ty zajmij jego miejsce! Nie tylko te izby, ale także względem mnie!

Uderzył się pięścią w potężną pierś. Potem wziął za rękę również Serduszko i mówił dalej:

— Ciebie zaś błagam: bądź nam Nszo-czi! Przemów do kobiet, które się chcą tu zgromadzić! I prowadź je ku czynom, a nie samym tylko słowom! Tatella-Sata jest kapłanem, a nie wojownikiem. Pamiętajcie o tym! To dlatego Winnetou tak bardzo pragnął wprowadzić do tego domu swego białego brata. Budzący się tutaj duch potrzebuje ochrony przed własnym ludem. On w was pokłada całą swą nadzieję.

W jaskini

Góra Winnetou znajduje się na południowo-wschodnim krańcu Arizony, na pograniczu z Nowym Meksykiem. Tamtejsi Indianie nie uznają nad sobą żadnej państwowej władzy. Komitet budowy pomnika Winnetou był na tyle sprytny, że zwrócił się do Kongresu Stanów Zjednoczonych i otrzymał od niego zezwolenie, *by na Górze Winnetou założyć miasto o tym samym imieniu, postawić pomnik dowolnej wysokości i rozmiarów oraz przedsięwziąć wszelkie kroki mające na celu realizację tych chwalebnych zamierzeń*. Tak brzmiała treść zezwolenia, które uzyskał od Kongresu delegat komitetu.

Na tej też podstawie podjęto prace, nie bacząc na tradycje i prawa wszystkich zainteresowanych. Szczepy Apaczów łatwo było zdobyć dla sprawy, albowiem chodziło o ich 'ukochanego wodza. Podobnie rzecz się miała ze szczepami Komanczów, gdyż Apanaczka był wodzem Komanczów Pohonim. Od czasów Winnetou nie pojawił się wódz, który by zjednoczył pod swoją władzą wszystkie szczepy Apaczów. Tatella-Sata, którego wpływy rozciągały się na wszystkie indiańskie plemiona, trwał nieprzejednanie w opozycji wobec projektu, ale Old Surehand i Apanaczka ciągle jeszcze mieli nadzieję go przekonać. Liczyli na wymowę faktów dokonanych i dlatego wbrew jego sprzeciwom rozpoczęli budowę. Wszelkie protesty zbywano, zresztą prawdziwym skądinąd stwierdzeniem, że Kongres jest na tym terytorium najwyższą instancją. Old Surehand i Apanaczka nie byli już tymi ludźmi, których niegdyś znałem. Bogactwo i szerokie kontakty w świecie businessu sprawiły, że zarzucili wcześniejsze poglądy i znajomości. Wewnętrznie dawno oddalili się od Indian i stali ludźmi na wskroś białymi. O tym, że każdy czerwonoskóry gotów jest umrzeć za swą indiańską godność zupełnie już nie pamiętali. Cała sprawa stanowiła dla nich swego rodzaju interes, służący jednocześnie reklamie synów, to przedsięwzięcie miało w przyszłości przynieść następne zyski.

Tatella-Sata nie był jednak człowiekiem, który tak łatwo, jak sobie wyobrażali, zrezygnował z tego, co uważał za słuszne. Z początku jakby ugiął się pod naciskiem, ale tylko pozornie. Nie mógł przeszkodzić oplataniu wodospadu przewodami elektrycznymi, nie mógł przeszkodzić niszczeniu lasu wybuchami w kamieniołomach, nie mógł zawrócić do domu tłumy czerwonoskórych robotników, którzy ściągali tu tylko dlatego, że byli odrzuconą przez własne plemiona szumowiną. Wysłał natomiast swych posłańców do Mescalerów, Llanerów, Anikarillów, Tarakonów, Nawahów, Czirikanów, Pinaleniów, Kojoterów, Dżilasów, Lipanów, Mimbreniów i Indian z kopalni miedzi — do szczepów, które "strażnika wielkiej wiedzy medycznej" uznają za najważniejszą osobistość całej czerwonej rasy.

Zaprosił do siebie ich wodzów. Rozmawiał z nimi. Wyjaśnił, że bardziej niż o uczczenie Winnetou chodzi tutaj o reklamę dla Young Surehanda i Young Apanaczki, jak również o zwykłe interesy. Udało mu się nawet uświadomić swym rozmówcom, że wyniesienie na tak niedorzeczny piedestał, byłoby wręcz obrazą dla skromnego pod każdym względem Winnetou. Wykazał wodzom, że całe to przedsięwzięcie raczej przyśpieszy niż opóźni upadek rasy, jako że budzi wśród innych plemion zazdrość względem Apaczów. Jednym słowem całkowicie przekonał przybyszów i odesłał z powrotem do domów, aby z kolei oni wywarli wpływ na swych podwładnych. Wszystkie te działania wspomagał istniejący już w tym czasie

klan Winnetou. Otwarte wystąpienie przeciw komitetowi budowy miasta i pomnika przesunął czarownik na czas wielkiego zgromadzenia mającego się odbyć na Górze Winnetou. Czas ten zbliżał się już wielkimi krokami. Tatella— Sata chciał teraz rozeznąć się w sytuacji, wyczuć, którzy wodzowie mu sprzyjają, a którzy są przeciwni. Do tej pory jednak nie pokazywał się na dole. Przebywał w swoim zamku i dzisiaj po raz pierwszy od dłuższego czasu zjechał na dół, aby mnie przyprowadzić.

To wszystko opowiedział nam podczas obiadu, na który nas wcześniej zaprosił. Nie skarżył się nam. Patrzył w przyszłość daleko i z godną podziwu bystrością. Zdawał sobie doskonale sprawę, że na nim niemal wyłącznie spoczął ciężar takiego pokierowania obecną sytuacją, aby stała się punktem wyjścia ku lepszemu jutru. Zgromadzenie Indian wszelkich plemion i szczepów stanowiło raz na kilkaset lat przydarzającą się sposobność, nie mówiąc już o tym, że bez nowego tchnienia życia czerwona rasa skazana była już na rychłą zagładę. Dlatego Tatella-Sata chciał skorzystać z okazji i pchnąć powstającą z wiekowego snu duszę narodu na nową, właściwą drogę. Natura w pełni przysposobiła go do tego zadania. Brakowało mu jednego: zdecydowanej inicjatywy, agresywnej otwartości. Tej cechy Indianie są pozbawieni. Kiedyś ją mieli, ale zagubili w kontaktach z nigdy nie dotrzymującymi słowa białymi. Podstęp, do którego stosowania zostali zmuszeni, stał się w końcu ich narodową specyfiką. Tylko wyjątkowe jednostki, w rodzaju Winnetou, nie cofały się przed przedsięwzięciem w razie konieczności frontalnego ataku, i to po uprzedzeniu przeciwnika. Zwykły Indianin nie uznawał takich metod. Dlatego Tatella-Sata tak zwlekał i dlatego czekał mego przybycia. Dlatego było dla niego tak ważne, po czyjej jestem stronie. Od chwili kiedy usłyszał z Nugget Tsil, że mam te same co on przekonania, pozbył się swej największej troski. Wyglądał mnie każdego dnia, a teraz, kiedy w końcu się zjawiłem, pytał, czy rzeczywiście gotów jestem stać się jego "Shatterhand" — Gromiącą Ręką — z której pomocą pobić chciał swych nieprzyjaciół.

— Jestem gotów — odparłem. — Proponuję zacząć od razu, nawet teraz, nawet dzisiaj. Najpierw dobrocią i miłością, a potem, jeśli to nie poskutkuje, całą naszą siłą!

Czarownik był całkowicie usatysfakcjonowany. Udzielił mi pełnomocnictw do przedsięwzięcia wszelkich kroków i zaangażowania wszelkich środków, jakie uznam za stosowne. Byłem więc panem siebie nie ograniczonym żadnymi powiązaniami czy zależnościami. Naturalnie bez zwłoki z tego skorzystałem.

Przede wszystkim chciałem zobaczyć model pomnika. W tym celu zaraz po posiłku ruszyliśmy w dół do miasta. Towarzyszyli mi Serduszko, Pappermann, Inczu-inta oraz sześciu młodych, lecz doświadczonych i krzepkich Winnetou. Prośbę Tatella-Saty, o to, by ich wziąć ze sobą w charakterze straży przybocznej, przekazał mi Inczu-inta. Chętnie się zgodziłem. Miałem na dole coś do załatwienia i ci ludzie bardzo mogli mi się przydać.

Nie pojechaliśmy prosto do miasta, lecz skręciliśmy najpierw w kierunku Wodospadu-Całunu. Przeszukaliśmy całą okolicę łącznie z dwoma "diabelskimi ambonami" po obu stronach szerokiego przejścia. Robiliśmy to w taki sposób, by nie zwracać na siebie zbytej uwagi; ja zaś nie wspominałem nikomu ani słowem o celu tych poszukiwań. Jak się jednak wkrótce przekonałem, "sługa" potrafił wspaniale obserwować to, co się wokół niego dzieje. Nie powinno mnie to być zresztą dziwić u wychowanka Winnetou. Widział każde moje spojrzenie i na ich podstawie wyciągał wnioski. Niebawem był już na właściwym tropie. Kiedy zawróciwszy, jechaliśmy w kierunku miasta rozjeżdżonym przez wozy dnem doliny, zbliżył się do mnie z boku i powiedział:

— Old Shatterhand nie chciał widzieć Wodospadu-Całunu.

Spojrzałem na niego unosząc brwi.

— Nie chciał też widzieć budowy — mówił dalej.

— Co więc chciałem zobaczyć?

— Dwa Ucha Diabła — prawdziwe i fałszywe.

Miał rację. Zboczyłem z drogi do miasta tylko ze względu na owe Ucha. Były dla mnie o wiele ważniejsze niż cudowny skądinąd wodospad.

— Hm! — mruknąłem.

To skłoniło go, by powiedzieć:

— Znam je! To nieprawda, co się o nich mówi. Bez względu na to, gdzie się stanie, i tak nic nie słysząc.

— Czy próbowałeś wszystkich miejsc?

— Tak. Byłem nawet w tylnej części, gdzie nie wolno wchodzić. Ale tam też nic nie słysząc.

— Czy przyrzekniesz mi milczeć? Odpowiedział mi kładąc rękę na sercu:

— Przyrzekam ci tak samo, jak niegdyś przyrzekałem Winnetou!

— A więc wkrótce będziesz słyszał. Pokażę ci, jak to zrobić. Czy znasz Dolinę Jaskini na Górze Winnetou?

— Bardzo dobrze.

— Również samą jaskinię?

— Tak.

— Czy jest duża? Długa?

— Bardzo duża i bardzo długa! Stąd jest do niej prawie pięć godzin drogi, a mimo to dochodzi aż do Wodospadu-Całunu. ę

— Jutro rano pojedziemy ją zbadać. Przygotuj wszystko. Ale nikomu ani słowa!

Na tym zakończyliśmy rozmowę, bo dolinę zostawiliśmy już za sobą i przejeżdżaliśmy właśnie przez bramę skalną, skąd widać już było miasto. Panował w nim ruch większy niż podczas naszego pierwszego przyjazdu. Naprzeciw nam galopowała grupa jeźdźców. Wyglądało na to, że zmierzali do Twierdzy. Dostrzegłszy nas zatrzymali się. Bliżej podjechało tylko dwóch z nich. Byli to Atabaska i Algongka. Wspaniale trzymali się w siodłach. Pozdrowili nas w najuprzejmiejszy indiański sposób, po czym głos zabrał Atabaska:

— Chcieliśmy jechać do góry z pozdrowieniem dla Old Shatterhanda, gościa czerwonych mężów. Kochaliśmy go, zanim jeszcze ujrzały go nasze oczy. Ujrzawszy zaś poważaliśmy, chociaż nie wiedzieliśmy, że to on. Teraz, kiedy już jest wśród nas i objawił swoje imię, nie mogliśmy czekać, aż przyjedzie do naszych namiotów i sami pojechaliśmy do niego. Stoi bowiem wyżej od nas.

— Czy pośród braci jeden stoi wyżej od innych? — zapytałem. — Tego samego mamy ojca, Manitou. Jesteśmy sobie równi. Przyjeżdżam w odwiedziny do moich braci i proszę o przywilej wypalenia w ich namiotach fajki powitania!

Moja uprzejmość przypadła im do gustu. Algongka powiedział:

— Dumą napawa nas życzenie naszego białego brata. Niech jedzie z nami. Zobaczy wielu przyjaciół, znajomych z dawnych czasów, którzy tu przyjechali. Słyszając o jego obecności, chcieli nam towarzyszyć, aby ucieszyć swe oczy widokiem jego oblicza. Czekają za nami.

Wskazał na stojących z tyłu jeźdźców. Podjechaliśmy bliżej. Kim są? Kogo zdołam rozpoznać po tylu latach? Byli to: Wagare-Tej, wódz Szoszonów, Matto Szahko, wódz Osagów oraz kilku ich pomniejszych dowódców. Co za radość zobaczyć ich znowu! Wmieście zostawili stuletniego Awaht-Niaha! Nie wierzyłem własnym uszom. Oczywiście

nie mógł im towarzyszyć w wyprawie do Twierdzy. Został przed swoim namiotem. Prosiłem, byśmy najpierw pojechali do niego. Wagare-Teja i Matto Szahko próbowano skłonić do rozbicia namiotów w dolnym mieście, zorientowawszy się jednak szybko w sytuacji dołączyli do Atabaski i Algongki w górnej dzielnicy.

Udaliśmy się najpierw w kierunku namiotu Wagare-Teja, który mieszkał razem ze swym ojcem, ledwie jednak ruszyliśmy z miejsca wyjechali nam naprzeciw dwaj Komanche Pohonim. Oni również chcieli jechać do Twierdzy. Na mój widok zatrzymali się jednak i podjechali, by porozmawiać. Byli posłańcami Young Surehanda i Young Apanaczki i mieli przekazać mi zaproszenie, nieobecnych podczas naszego przyjazdu artystów, do obejrzenia dzisiaj jeszcze statuy Winnetou. Już otwierałem usta, by udzielić im mojej odpowiedzi, gdy Atabaska powstrzymał mnie ruchem dłoni i wziął sprawę w swoje ręce:

— Widzicie tu Atabaskę i Algongkę — powiedział — wodzów najdalej na północy żyjących ludów, dalej Matto Szahko, wodza Osagów i Wagare-Teja, wodza Szoszonów. Wracajcie szybko do Young Surehanda i Young Apanaczki i powiedzcie im, że chcemy natychmiast z nimi rozmawiać! Niech przyjeżdżają bez zwłoki! Chodzi o ważną sprawę!

Mówił tonem tak zdecydowanym, że Komanche nie śmieli odezwać się ani słowem i w pośpiechu pogalopowali z powrotem. My zaś ruszyliśmy ku namiotom. Wigwamy Atabaski, Algongki, Wagare-Teja i Matto Szahko stały blisko siebie. Z daleka już przed jednym z nich zobaczyliśmy stuletniego starca. Białe, zaczesane do tyłu włosy zwieszały mu się do połowy pleców. Nie był obciążonym skórą szkieletem jak Kiktahan Szonka. Poruszał się jeszcze dość żwawo. Miał bystre spojrzenie i mocny głos pięćdziesięcio— albo sześćdziesięciolatka. Na nasz widok wstał o własnych siłach z ziemi. Wagare-Tej powiedział mu, że wraca tak szybko, gdyż po drodze niespodziewanie natknął się na mnie i na moją squaw. Twarz starca pokryta była niezliczonymi zmarszczkami, które jednak w żaden sposób jej nie zniekształcały. Nie dostrzegłem u Awaht-Niaha ani jednej skazy, ani jednego miejsca, które w jakiś sposób — co przecież tak częste jest u ludzi w podeszłym wieku — zakłócałoby harmonię i czystość jego sędziwego ciała. Był naprawdę pięknym starcem! Rozpoznał mnie natychmiast. Jego stare dobre oczy rozbłyły radością. Podeszedł do mnie, objął obiema rękami i przycisnąwszy do siebie zawołał:

— O, Manitou! O, Manitou! Wielki i litościwy! Jakże dziękuję ci za tę radość i szczęście! Jakże pragnąłem raz jeszcze, zanim moje śmiałe ramię rozdzieli wody śmierci, zobaczyć najlepszego, najprawdziwszego przyjaciela czerwonych ludów! Moje pragnienie zostało spełnione. Usłyszałem, że przybywa w te strony. Dlatego sam również wyruszyłem. Przeżyte już lata wyciągnęły swą kościstą rękę, by mnie powstrzymać, ja jednak, czując się młody, wyrwałem się z tego objęcia. Głos w sercu mówił mi, że muszę spieszyć do mojego białego brata, albowiem on zwróci nam wzajemną dobroć, miłość i jedność, które postradaliśmy. Ledwo przyjechałem, zjawia się on! Ty zaś jesteś jego squaw?

To pytanie skierowane było oczywiście do Serduszka. Wszyscy zsiadliśmy już z koni. Serduszko stała obok mnie.

— Tak — odpowiedziałem za nią.

Wyciągnął do niej swą rękę i przycisnąwszy ją do siebie, tak jak mnie mówił dalej:

— Przyprawia nam też przyjaciółkę, naszą białą siostrę. Witaj wśród naszych namiotów i dusz! Jestem tu najstarszy. Usiądźcie w kręgu i podajcie mi kalumet. Jednym z moich ostatnich i najpiękniejszych przywilejów będzie przewodzić temu powitalnemu zgromadzeniu. Niech Old Shatterhand usiądzie z mojej prawej, a jego squaw z mojej lewej strony. Rozpalcie ogień radości!

Ogień radości zapłonął. To była niezwykle wzruszająca ceremonia powitalna. Fajka krążyła nieustannie, wracały wspomnienia — wszystkie związane z Winnetou. Nie mieliśmy

jednak czasu, by się im zanadto oddawać. Obiecaliśmy sobie jeszcze do nich wrócić.

Wśród tej ożywionej, radosnej rozmowy pojawili się nagle Young Surehand i Young Apanaczka. Przyjechali konno. Zeskoczyli na ziemię. Zdawali się ich w ogóle nie dostrzegać. Chcieli się do nas przysiąść, ale nikt nie zrobił im miejsca. Zostali zauważeni dopiero wtedy, gdy postawszy dłuższą chwilę zamierzali już wrócić do koni. Atabaska krzyknął do nich:

— Niech synowie Old Surehanda i Apanaczki podejda

bliżej! Zawrócili. Jego władczy ton budził posłuch nawet u tych, którzy go słuchać nie chcieli. Nagle zapanowała cisza.

Wszyscy zamilkli. Słysząc było tylko lekkie trzaskanie płonącego drwa. Atabaska zapytał:

— Czy Young Surehand i Young Apanaczka są wodzami?

— Nie — brzmiała odpowiedź.

— Czy Old Shatterhand jest wodzem?

— Tak.

— Ma on za sobą siedemdziesiąt bez mała ciężkich zim, oni zaś mniej niż trzydzieści lekkich wiosen. A mimo to nie jadą do niego, lecz domagają się, by on do nich przyjechał. Od kiedy to wśród czerwonych mężów dojrzałość posłuszna jest młodości, a doświadczenie niedoświadczeniu? Chcemy, by nasz lud obudził się ze snu. Chcemy, aby poznał swoje prawa i obowiązki. Chcemy, by stanął wśród cywilizowanych narodów. Jak to jednak możliwe, jeśli nie przestrzega się prawa znanego ludom najdzikszy, prawa szacunku młodości dla starszego wieku?

Young Surehand wtrącił się z butą:

— Jesteśmy artystami!

— Uff, uff! — zawołał Atabaska. — Czy to coś więcej, niż być człowiekiem, czy to coś więcej niż być kimś starym i doświadczonym? Być może Old Shatterhand jest też artystą. On jednak, w przeciwieństwie do was, nigdy tak o sobie nie powiedział. Dlatego zbadamy, czy przystoi wam to miano. A gdyby nawet artysta był kimś wspaniałym, wzniosłym i niedostępnym innym ludziom, tym bardziej należałoby domagać się od niego tych cnót, jakich domaga się od zwykłych ludzi. Zapytajcie waszych ojców, zapytajcie Kolmę Puszi, co zawdzięczają Old Shatterhandowi! Czy za to, co dla nich zrobił, i za całą okazaną im miłość, biegać ma za ich synami i to tylko dlatego, że uważają się za artystów? Co nam z waszej sztuki? Chcecie dać nam ogromny wizerunek Winnetou? Czy potraficie? Nie sądzę! Wielki Winnetou był przede wszystkim skromny. Służył innym. Szanował i czczył podeszły wiek nawet u najmniejszego ze swych bliźnich. Pragnął nade wszystko pomagać, podnosić, uszczęśliwiać. Wy zaś jesteście zbyt pyszni, by najlepszemu przyjacielowi złożyć powitalną wizytę, która właśnie jemu, a nie wam się należy. Nigdy więc nie zrozumieliście Winnetou. Jak możecie stworzyć prawdziwy, a nie zakłamany jego wizerunek? Czy są wasi ojcowie?

— Na razie ich nie ma. Wyjechali dzisiaj rano i będą dopiero wieczorem.

— Kiedy wrócą, powiedzcie im tak: Zebrani tu wodzowie żądają, byście przybyli prosić Old Shatterhanda o przebaczenie dla swych synów. My zaś za godzinę przybędziemy do waszego glinianego Winnetou, aby zbadać, czy rzeczywiście jesteście artystami. Teraz możecie już odejść!

Młodzieńcy dosiedli koni i odjechali bez słowa usprawiedliwienia, ale też nie próbując się bronić. Kiedy po upływie zapowiedzianego czasu przyjechaliśmy do dużego, wysokiego domu, w którym pracowali nad modelem pomnika, czekali na nas w drzwiach. Przyjęli nas

poddańczo, jak ludzie, którzy mają komuś coś za złe, ale wiedzą, że nie wolno im tego okazać. Sami w sobie byli zresztą wspaniałymi, bardzo sympatycznymi młodymi ludźmi, tak że Serduszko postanowiła wziąć ich w obronę. Uśmiechała się do nich ukradkiem. Ja zaś, by nie obrazić Atabaski, kiwnąłem im tylko głową na powitanie.

Wewnątrz zastaliśmy pełny skład komitetu. Nasi znajomi panowie zebrali się, chcąc w jakiś sposób wpłynąć na wodzów, ale potraktowani jak powietrze, nie śmieli nawet podejść bliżej, nie mówiąc już o tym, by nas zagadnąć.

Budynek był okrągły i składał się z jednego tylko pomieszczenia. Rozwieszone w krąg na ścianie lniane płótno przedstawiało udaną panoramę tutejszej okolicy, z Górą Winnetou i jej dwoma ogromnymi wieżami skalnymi — przednią, mniejszą z Twierdzą Tatella-Saty u podnóża, i właściwym szczytem, na którego wierzchołku stała dumnie ogromna figura Winnetou. To leżało oczywiście dopiero w sferze zamierzeń. Gotowy model pomnika stał w środku pomieszczenia. Mierzył około ośmiu metrów wysokości i był korzystnie oświetlony przez padające z góry przez świetliki, dzienne światło. W godzinach wieczornych oświetlano go przy pomocy lamp elektrycznych zasilanych tanim kosztem z urządzeń pod wodospadem. Obliczono, że wodospad będzie mógł kiedyś zaopatrzyć w prąd całe miasto.

Mój wzrok skierowałem przede wszystkim na twarz Winnetou. Była zaskakująco dobrze oddana, a mimo to wydała mi się obca. Patrząc na doskonale znane mi rysy, ale zamiast wyrazu przyjaznej powagi i łagodności, który cechował ich żywy pierwowzór, dostrzegałem coś, czego na tej twarzy nigdy nie było, co natomiast harmonizowało z agresywną, drapieżną postawą całej figury. Szczegóły stroju powtórzone z największą sumiennością — mokasyny ozdobione szczecina dzika, wyszywane spodnie do konnej jazdy, pozbawiona niemal fałd skórzana kurtka myśliwska, zarzucone na ramiona okrycie, spod którego — od prawego ramienia ku lewemu biodru — biegły zwoje lassa. Do tego pas z woreczkiem na proch i kule w dawnym stylu, zatknięty obok nóż i rewolwer. Wysunąwszy prawą nogę do przodu jakby do skoku, figura wspierała się na trzymanej w lewej ręce srebrnej strzelbie, prawą zaś mierzyła z drugiego rewolweru. W tym całym dążeniu naprzód było coś, co przywodziło na myśl węża albo wyskakującą z zasadzki panterę. Do tego układu pasował ów wyraz nie samej tylko groźby, ale i jakiejś drapieżności malującej się na twarzy, drapieżności, którą piękno rysów czyniło bardziej jeszcze obcą i odpychającą.

— Jaka szkoda! — szepnęła mi do ucha Serduszko.

— Szkoda... szkoda... — odparłem. — To jednak prawdziwi artyści.

— Nie ulega wątpliwości! Tylko koncepcja jest błędna. To wręcz przestępstwo! Nie pojmuję, jak można było zrobić z Winnetou kogoś takiego! I ta figura miałaby stanąć na szczycie!

— Nigdy do tego nie dojdzie! Nie pozwolę na to! A jeśli mnie nie będą chcieli słuchać, posunę się do ostateczności i rozbiję ją na kawałki!

Wodzowie milczeli. Obeszli figurę powoli wokoło, obejrzeni ze wszystkich stron, ale nie odezwali się ani słowem. Opodal stali Young Surehand i Young Apanaczka. Z ich twarzy nie dało się wyczytać najmniejszego napięcia. Byli absolutnie przekonani, że ich dzieło uznamy za wspaniałe. Spodziewali się, że nastąpią teraz okrzyki zachwytu. Kiedy jednak kolejne minuty upływały w całkowitym milczeniu, chcąc nam dać przykład sami wypowiedzieli kilka pochlebnych uwag. Skutek był odwrotny od oczekiwanego. Wodzowie skierowali się ku wyjściu. Ja i Serduszko poszliśmy za ich przykładem. Członkowie komitetu i obaj rzeźbiarze pobiegli za nami. Domagali się jakiejś wypowiedzi. Pierwszy dosiadł konia Atabaska. Zaczekał, aż inni znaleźli się w siodłach, a potem powiedział:

— Ten wasz Winnetou to największe kłamstwo, jakie słyszały te góry. Rozwalcie go! Tam na szczycie nigdy go nie postawicie! Nigdy!

Wskazał przy tym ręką do góry, w stronę gdzie miał stanąć pomnik.

— Nigdy! — powtórzył Algongka.

— Nigdy... nigdy... nigdy... — zabrzmiało z ust starszych i młodszych wodzów.

— Postawimy! — krzyknął Young Surehand.

— Postawimy! — powtórzył Young Apanaczka. — Dowiedźcie, że to kłamstwo!

Antonius Paper zaś, jak zwykle mocny i szybki w słowach, przykołysał się do nas ostentacyjnie i oświadczył:

— Jesteśmy komitetem budowy pomnika Winnetou. Tak jak zadecydujemy, tak też i będzie. A decyzja brzmi: Pomnik stanie na szczycie!

Zamachał przy tym rękami, tuż przed koniem Matto Szahko. Ten ścisnął szybko wierzchowca kolanami i najeżdżając na niego powiedział:

— Jesteście komitetem? A więc obalimy was i wybierzemy inny!

— Tak, inny — podchwycili młodszy wodzowie. Antonius Paper zerwał się z ziemi i gwałtownie szukał schronienia za plecami innych członków komitetu.

W tym momencie przewodniczącemu, profesorowi Bellowi, zaświtało jednak w głowie, że przyszłość przedsięwzięcia nie jest tak absolutnie pewna, jak do tej pory zakładał i że chwila obecna może mieć decydujące znaczenie. Zbliżył się do mnie i zapytał:

— A jakie jest pańskie zdanie, mister Shatterhand? Bardzo proszę przedstawić mi swoją opinię.

— Och, to, co ja myślę nie ma tutaj większego znaczenia — odpowiedziałem.

— Nieprawda! — odparł. — Jestem przekonany, że ma pan tutaj głos decydujący. Dlatego pytam: co pan proponuje?

— To nie jest ani miejsce, ani czas po temu! Nie znam zresztą swego miejsca. Będę mógł mówić dopiero wtedy, gdy otrzymam swój numer. Może sekretarz będzie tak uprzejmy i przyniesie mi go do domu.

Odjechałem, a za mną reszta zwiedzających. Po przybyciu do górnego miasta odbyliśmy krótką naradę. Wszyscy byliśmy zdania, że z jakimkolwiek działaniem powstrzymać się trzeba do czasu rozmowy z Old Surehandem i Apanaczką. Mając więc trochę czasu, pożegnaliśmy wodzów i pojechaliśmy do namiotów kobiet Siouxów, aby zaprosić do nas na wieczór obie Aszty. Zaprosiny zostały przyjęte z radością. Potem wróciliśmy do Twierdzy i zostawiwszy konie poszliśmy pieszo przez las do wieży strażniczej, aby zaprosić na wieczór również Młodego Orła. Było u niego kilkoro mężczyzn i kobiet, którzy robili coś pod jego kierownictwem — jakieś lekkie prace, przeważnie stolarskie. O ich cel nie pytałem.

Z Tatella-Satą dzisiaj już nie mogliśmy się zobaczyć. Czarownik dał mi całkowicie wolną rękę, ja zaś postanowiłem, że nie będę go niepotrzebnie niepokoił. Wieczór spędziliśmy więc w miłym towarzystwie naszych trojga gości, obserwując z cichą radością, w jak delikatny sposób zbliżają się do siebie serca młodych. Nie wykluczałem, że jeszcze dziś zjawią się u nas Old Surehand i Apanaczka, ale do tego nie doszło. Natomiast nazajutrz przybył do nas ich posłaniec, przez którego kazali powiedzieć, że mimo całej miłości i szacunku, jaki do mnie żywią, nie mogą odwiedzić mnie w siedzibie swego przeciwnika Tatella-Saty. Muszę wybrać między nim a nimi. Trzeciej możliwości nie ma. W każdym razie jeśli chciałbym pofatygować się do dolnego miasta, gotowi są rozmawiać ze mną o każdej porze. Prosić o wybaczenie nie mają powodu, gdyż synowie — tak jak oni sami — nie mogli przyjechać do mnie do Twierdzy.

Nie wziąłem sobie tego wszystkiego specjalnie do serca. Wchodziły tu w grę sprawy,

których nie znałem i znać nie musiałem. Wiedziałem jedno: kto nie chce, ten będzie musiał! Teraz zaś nie miałem ani czasu, ani ochoty zajmować się osobistymi problemami. Chciałem zobaczyć Dolinę Jaskini. Aby móc się w niej dobrze ukryć, kiedy przybędą wrogie oddziały.

Inczu-inta, nasz ogromny służący, już od świtu czekał wraz ze strażą, aby nam tam towarzyszyć. Wszystko było przygotowane: żywność, woda, światła, pochodnie, liny, haki i wszelkie przedmioty potrzebne do zbadania jaskini. Przywiązywałem do tej wyprawy ogromną wagę, przy czym trudno by mi nawet było jasno wytłumaczyć, dlaczego. Chodziło bardziej o przecucie niż jasną świadomość. Od czasu jednak kiedy zobaczyłem, jak niknie w ziemi bez śladu Wodospad-Całun i usłyszałem, że od spodu dosięga go niemal jaskinia, byłem przeświadczony, iż w przyszłych wydarzeniach odegra ona istotną rolę.

Dla lepszej orientacji w tym, co teraz nastąpi przypominę czytelnikowi, że słynna Jaskinia Mamutów w Kentucky w Stanach Zjednoczonych osiąga wraz z jaskiniami bocznymi długość trzystu kilometrów. Główny korytarz ciągnie się na odcinku szesnastu kilometrów. Są nim niezliczone szyby, przejścia, szczeliny, komory, groty, stawy, strumienie i wodospady. Tak też wyobrażałem sobie tutejszą jaskinię, a moje przypuszczenia okazały się trafne. Nie była wprawdzie aż tak wielka, ale wprawić mogła w podziw każdego, zwłaszcza swymi niezliczonymi i niezrównanymi stalaktytami.

Droga do jaskini prowadziła nie przez miasto i dalej korytarzem Białej Rzeki, lecz w stronę przeciwną, wzdłuż strumienia tak kluczącego między skałami, że zdawał się prowadzić z powrotem do swego źródła. Jest jasne, że choć okrążał wielokrotnie wzgórze, spływał jednak w dół. Idąc z jego biegiem mieliśmy sposobność zobaczyć z każdej strony mniejszy szczyt Góry Winnetou, pod którym mieszkał Tatella-Sata. W pewnym momencie szczególnie dobrze widoczne stało się wielkie gniazdo orła-wojownika, do którego zdołał się wspiąć Młody Orzeł. Serduszko zapytała wtedy Inczu-intę, czy wie dokładnie, jak do tego doszło. Ponieważ tym razem towarzyszył nam nie Młody Orzeł, a Pappermann, mogliśmy rozmawiać swobodnie, bez posądzenia o brak taktu.

— Tak, wiem wszystko — odpowiedział Inczu-inta. — Stałem obok Tatella-Saty, kiedy Młody Orzeł sfrunął nam z gniazda do stóp. Pomogłem zabić tę samicę. Była większa od każdego samca. Większego i silniejszego ptaka nigdy nie widziałem. Trudno było powiedzieć, ile miała lat. Każdy ją tu znał. Nie tolerowała przy sobie samców; dziobała ich i przepędzała. Ludzie przypisywali jej ogromną siłę. Mówiono, że potrafi zanieść do gniazda dorosłego wilka Preriowego. Młody Orzeł miał wtedy dwanaście lat. Był krewnym Winnetou i ulubieńcem wszystkich. Mimo tak młodego wieku wyruszył na północ do świętych kamieniołomów Dakoty po glinę do swojej fajki pokoju. Kiedy wrócił i ulepiono fajkę, oświadczył, że chce teraz przynieść sobie amulet. Pościł czterdzieści dni na pustyni i tam przyśniło mu się, że będzie nazywał się Młody Orzeł i że musi wejść po dwa młode orlęta do gniazda na iglicy. Jego amuletem miały być ich szpony i dzioby. Post osłabił go. Ważył dwukrotnie mniej niż normalnie. Mimo to natychmiast posłuchał nakazu. Wziął łąso, nóż i wiele rzemieni i zaczął wspinać się na iglicę. Na wierzchołku okazało się, że gniazdo jest niedostępne. Trzeba było zejść trochę niżej po drugiej stronie i spuścić się do niego po linie. Tak też zrobił. Uwiązał łąso na występie skalnym i spuścił się po nim w dół. Lina okazała się jednak za krótka. Znalazłszy się na jej końcu zawisł wysoko nad gniazdem, słabnąc coraz bardziej. Otworzył więc dłonie i zeskoczył do gniazda. Koniec łąsa był już nieosiągalny.

— Przerażające! — zawołała Serduszko. — Czy nie było innej drogi, którą można byłoby zejść w dół?

— Nie — uśmiechnął się Indianin. — Orły nie mają zwyczaju budować gniazd na ścieżkach. Samicy nie było. Młode orlęta skrzeczały przestraszone. Chłopak zabił je, odciął im głowy i szpony, a resztę wyrzucił w przepaść. Potem zaczął zastanawiać się, jak się

wydostać z gniazda. Ale nie było żadnej możliwości. Wysoko nad nim kołysał się nieosiągalny koniec lassa, a pod spodem zionęła przepaść. Stąd nie uciekłby nawet szczur czy mysz, a coś dopiero człowiek! Kiedy już się zorientował w sytuacji, dostrzegł nadlatującą samicę z drobnym zwierzęciem w szponach. Na jego widok puściła zdobycz i rzuciła się na niego. Wyciągnął nóż, by się bronić. Ale w tej samej chwili usłyszał jakby ostrzegawczy głos wołający: "Nie rań jej i nie zabijaj, bo sam zginiesz! Ona jest twoim jedynym ratunkiem!".

— Ach, miał z nią polecieć! — zawołała Serduszko wstrzymując oddech.

— Tak, polecieć — przytaknął Inczu-inta. — To było jedyne wyjście.

— Biedactwo! Jak on to zrobił?

— Żadne biedactwo, a odważny, śmiały i mądry chłopiec! Nie trzeba nad nim ubolewać, lecz raczej go podziwiać! Gniazdo wisi na małym występie skalnym, z którego wiedzie niewielka szczelina w głąb skały. Szczelina ta szybko się kończy i pełna jest gałęzi i patyków z poprzednich gniazd, bo orzeł-wojownik buduje co roku na nowo, coraz wyżej. Chłopiec zdążył się ukryć w szczelinie, zanim skrzecząca samica doleciała do gniazda i rozpoczęła swój wściekły atak. Wpełzł pod nagromadzone przez lata gałęzie i bronił się przy ich pomocy. Myślał przy tym gorączkowo w jaki sposób mógłby się uratować. Zrozumiał, że liczyć może jedynie na to, że orlica zanieś go na ziemię. Zastanawiał się, czy mimo swej niepozornej wagi nie będzie dla niej za ciężki. Ptak tymczasem zaprzestał ataku i poleciał szukać swych młodych. Chłopak zyskał dzięki temu czas na spokojne rozważenie sytuacji.

— Był za ciężki! — wtrąciła drżącym głosem Serduszko.

— Tego przynajmniej należało się obawiać — potwierdził Inczu-inta. — O pewnym, spokojnym locie nie mogło być mowy, pomijając już to, że należało przełamać jeszcze opór ptaka. Ale nawet taki lot był lepszy od skoku w przepaść! Chłopak słusznie zakładał, że uderzenia skrzydeł znacznie osłabią impet upadku. Chodziło teraz o to, aby orlicę spętać w taki sposób, by nie mogła ranić szponami i dziobem, a jednocześnie nie utracić zdolności latania. Pętla i węzły znane są każdemu indiańskiemu chłopcu. Rzemieni miał Młody Orzeł aż nadto. Z trzech rzemieni i wyciągniętego z gniazda drewna zrobił coś w rodzaju jarzma, które nie pozwalało ptakowi zginać szyi. W ten sposób chłopiec zabezpieczył się przed dziobem. Na szpony przygotował, Pięciokrotną pętlę, którą zamierzał później jeszcze wzmocnić. Do tego dochodziła pętla, której zadaniem było przycisnąć skrzydła orlicy do ciała, oczywiście do momentu rozpoczęcia lotu. Kilka drewnien zatkniętych na sztorc między krawędzie szczeliny miało służyć chłopcu jako ochronna krata. Chcąc chwycić chłopca dziobem orlica musiała wetknąć w nią głowę, co pozwalało dość łatwo chwycić ją na pętlę.

Serduszko słuchała w ogromnym napięciu, któremu moje niemal dorównywało. Pappermann wisiał wzrokiem na ustach opowiadającego. Inczu-inta mówił dalej:

— W niedługi czas potem orlica znowu nadleciała. Chyba odnalazła szczątki swoich orląt, bo przypuściła wściekleszy jeszcze niż poprzednio atak. Bez chwili zastanowienia wetknęła głowę między kraty. Została natychmiast uchwycona w pętlę i mimo zacieklej obrony musiała poddać się jarzmu prostującemu jej szyję. Wrywała się ze wszystkich sił bijąc skrzydłami i szponami. Na te ostatnie łatwo dało się założyć rzemienie i związać je ściśle ze sobą. Aby zapanować nad skrzydłami, musiał chłopiec wciągnąć orlicę do połowy w szczelinę i tam obwiązać je, przyciskając do ciała specjalnym węzłem. Teraz ptak nie mógł się już poruszyć. Był całkowicie ujarzmiony. Ani on, ani chłopiec nie odniósł podczas walki żadnych obrażeń. Najtrudniejsze miał Młody Orzeł za sobą, teraz przyszła kolej na to, co najśmielsze — na hamowany biciem ptasich skrzydeł upadek w przepastną otchłań.

— Bogu niech będą dzięki, że mnie ominęła taka przygoda! — powiedział Pappermann. — Z pewnością by mi się nie udało. Ktoś, komu los przeznaczył nazwisko Pappermann powinien trzymać się ziemi. Ale dalej! Słucham z uwagą!

Sługa mówił dalej:

— Po skrępowaniu ptaka, chłopak mógł opuścić swą szczelinę. Wyszedł i spojrzał w przepaść. Nie odczuwał żadnego lęku. Nie zamierzał też zwlekać. Orlica była na razie w pełni sił. Wraz z ich utratą skok w przepastną nicość stawał się coraz niebezpieczniejszy. Ptak dyszał żądzą zemsty i krwi. Jego wielkie, krągłe oczy płonęły nienawiścią. A mimo to on był jedynym ratunkiem. To są zagadki, których rozwiązanie zna Jeden tylko, Jedyny — nieskończenie dobry i litościwy! Chłopiec obwiązał się pod pachami najlepszym ze swoich rzemieni, przywiązał go do szponów w taki sposób, by bijące skrzydła nie poraniły mu twarzy i zaciągnął ptaka na krawędź przepaści. Z okrzykiem: "O, Manitou! O, Manitou!" przeciął pętlę krępującą skrzydła. Orlica poruszyła nimi chcąc je rozwinąć, ale nie zdołała się podnieść ze względu na spętane szpony. "O, Manitou! O, Manitou!" — pomodlił się raz jeszcze chłopiec. Zamknawszy oczy zsunął się z krawędzi skalnej pociągając za sobą ptaka.

— Dalej, dalej! — krzyknął Pappermann. — Nie mogę się doczekać.

— Tak, tak! Dalej! — poprosiła Serduszko. Inczu-inta posłusznie ciągnął:

— Powiedziałem, że chłopiec zamknął oczy. Czy spadł na dół? Nie. Roztrzaskałby się kilka sekund później o ziemię. Ale sekundy miały, a on ciągle żył. Nad jego głową łopotały skrzydła. Kołysał się w powietrzu. Orlica skrzeczała ze wszystkich sił. Jej krzyk rozlegał się w dolinie tak głośno, że wszyscy pozadzierali głowy. Wtedy chłopiec otworzył oczy. Zobaczył, że spada, ale nie gwałtownie, lecz powoli, szeroką spiralą. Orlica nie dawała za wygraną. Chciała wzbić się w górę. Jej skrzydła biły bez wytchnienia. Ale chłopiec był zbyt ciężki. Ściągał ją w dół do Twierdzy. Wreszcie dosięgli ziemi. Ale to nie był jeszcze koniec. Chłopiec nie miał już noża i nie mógł przeciąć rzemieni, by się uwolnić od ptaka. Ten zaś próbował znowu ulecieć do góry. Rozpoczęła się walka, w której przewaga "była po stronie ptaka. Bił chłopca skrzydłami, ciągnął za sobą i przewracał. Zbiegli się ludzie. Strach dodał orlicy sił. Raz jeszcze porwała swój ciężar do góry. Przeleciała krótki odcinek i opadła znowu na ziemię, tuż przede mną i Tatella-Satą. Chwyciłem za kamień. Zabiliśmy ptaka. Chłopiec był ocalony. Otrzymał wiele uderzeń skrzydłami, ale uśmiechał się, skakał do góry z radości. Zdobył to, czego pragnął — swój amulet. Od tego czasu nosi imię Młodego Orła i najchętniej rozmawia o lataniu. Pojechał nawet do miast białych twarzy, aby się tego nauczyć.

— A czy potrafi? — zapytała Serduszko.

— Nie wiem jeszcze. Ale już od wczoraj robi sobie własne skrzydła. A więc chyba potrafi. O tym jednak nie wolno rozpowiadać.

Podczas tego opowiadania zrobiliśmy ładny kawałek drogi i przejeżdżaliśmy teraz przez cały szereg dolinek i *wąwozów* połączonych ze sobą, lecz biegnących w różnych kierunkach. Często nie potrafiłem powiedzieć czy jedziemy na północ, czy na południe, na wschód, czy na zachód. Byliśmy w drodze już od ponad trzech godzin. Nagle natrafiliśmy na małą rzeczkę, której przejrzysty nurt wskazywał na to, że płynie z okolic o skalistym, a nie ziemnym czy glinianym podłożu.

— To jest Woda Jaskini, w górę której teraz pojedziemy

— powiedział Inczu-inta. — Wypływa z jaskini i zaprowadzi nas prosto do celu.

Skręciliśmy w górę biegu rzeczki. W miejscu spotkania z nią osiągnęliśmy najniższy punkt naszej dzisiejszej jazdy. Teraz znowu, choć z innej strony, zaczęliśmy wspinać się na masyw Góry Winnetou. Zrobiliśmy ogromne koło. Dolina rzeczki była wąska i gęsto porośnięta lasem iglastym. Często z trudem przeciskaliśmy się wśród gałęzi. Ponad godzinę trwała ta uciążliwa jazda. Ściany doliny rzecznej wznosiły się coraz wyżej. W pewnej chwili rozbiegły się nagle na boki i przez ponad pół godziny jechaliśmy na wprost, nie robiąc najmniejszych nawet skrętów. Było to podłużne, rynnowate zagłębienie, którego dnem rzeczka płynęła, jakby wyznaczonym liniijką kanałem. Po obu stronach stały zadziwiająco

wielkie drzewa, których potężne pnie wyrastały z zielonej gęstwiny zarośli. Takie same bujne zarośla porastały też dno zagłębienia. Wśród nich stały z rzadka iglaste i liściaste drzewa. Zdumiała nas ta obfitość trawy i liści na paszę. Jednak i to było za mało dla tysięcy koni, o ile miały tu popasać dłużej niż kilka dni.

— To jest Dolina Jaskini — powiedział Inczu-inta.

— A gdzie jaskinia? — spytała Serduszko.

— Dalej, na końcu doliny zamkniętym przez Górę Winnetou. Chodźmy!

Pojechaliśmy dalej.

Tutaj więc zamierzali się ukryć sprzymierzeni Siouxowie, Utahowie, Kiowowie i Komańcze. Wybór był rozsądny tyle że od celu dzieliło ich pięć godzin uciążliwej jazdy. A może istnieje krótsze, wygodniejsze połączenie? Jeśli znane jest naszym wrogom... Takie to myśli przebiegały przez moją głowę. Wydały mi się warte sprawdzenia. I rzecz szczególna — w tym właśnie momencie ściągnąć musiałem cugle i dać pozostałym znak do zatrzymania. Zauważyłem ślady. Zeskoczyłem na ziemię, by się im przyjrzeć bliżej. Były to ślady dwóch jeźdźców, którzy nadjechali z góry, z lewej strony. Przejeżdżali tędy przed niespełną godziną. Kim byli, tego odczytać nie mogłem. W każdym razie musieli to być Indianie. Wyjąłem z torby rewolwer. Jechaliśmy dalej, ale powoli, ostrożnie i w miarę możliwości bezszelestnie — jeden za drugim, ja z przodu. Kierunek wskazywał nam trop, wyraźnie odbity w naniesionej ze zboczy miękkiej ziemi, wiodący ku tylnej części doliny.

— Jadą do jaskini — powiedział Inczu-inta. — Muszą więc znać okolicę.

— I to dobrze — dodałem. — Na tyle, że umieli odnaleźć jaskinię zjeżdżając po dzikim zboczu. Poruszają się tu jeszcze pewniej niż ty.

Dojeżdżaliśmy do tylnej ściany doliny, która kończyła się w miejscu, w którym rzeczka wypływała z wnętrza masywu. Przed nami otwarła się w skale spora szczelina — trzykrotnie szersza od rzeczki i wysoka na tyle, że mógł w nią wjechać wyprostowany jeździec. To był wlot do wielkiej jaskini, którą przyjechaliśmy zbadać. Znajdował się przed nim nieduży placyk pozbawiony roślinności przez staczające się z góry kamienie i żwir. Zatrzymaliśmy się, bo *na*— placyku znajdowali się śledzeni przez nas jeźdźcy, zsiadli z koni i leżeli na brzuchu wpatrując się w rozwinięty na ziemi biały prostokąt wyglądający na papier lub coś w tym rodzaju. Konie zaś skubały liście z pobliskich krzaków. Nie opodal leżały siodła wraz z kilkoma torbami i pakunkami, a także strzelby.

My również zsiadliśmy z koni i odprowadziwszy je do tyłu przywiązaliśmy nie chcąc, by nas zdradziły. Potem wróciliśmy na skraj zarośli.

— Znasz ich? — zapytałem Serduszko.

— Nie — odparła.

— Przecież ich widziałeś!

— Skądże!

— A jednak! Patrzyłaś na nich przez parę godzin!

— Gdzie?

— W Domu Śmierci, podczas narady wodzów. To obydwaj czarownicy — Kiowów i Komanczów — ci, którzy otwierali ołtarz.

— Masz lepszy wzrok ode mnie. Widziałam ich tylko w blasku ognia.

— Ja również. Westman stara się jednak zawsze zapamiętać rysy ważnych dla niego osób. Masz w tym po prostu za mało wprawy. Papier, którym są tak zajęci, musi mieć jakieś szczególne znaczenie. Zdaje się, że to mapa, lub coś w tym rodzaju. Wskazują coś sobie na

nim palcami, gwałtownie, jakby się spierali. Mówią przy tym tak głośno, że prawie tutaj ich słysząc. Podczołgam się bliżej, by ich podsłuchać.

— Mogę iść z tobą?

— Nie, kochanie — zaśmiałem się. — I tak nic nie zrozumiesz. A poza tym twoje skradanie na pewno wypadnie nieco za głośno.

— Szkoda! Chciałabym pójść z tobą! A jeśli będą cię chcieli zamordować? Zastrzelić, zakłuć, zarębać?

— Wtedy przyjdiesz mi szybko na pomoc!

— Mogę?

— Możesz! Możesz wtedy nawet wrzeszczeć, krzyczeć, wyć — z całych sił, ile tylko zechcesz!

— Idź już! W razie czego zaraz się zjawię!

Zostawiwszy Inczu-incie konieczne instrukcje wśliznąłem się między krzaki. Podejście do Indian nie sprawiło mi wielkich trudności, gdyż byli tak zajęci swoimi sprawami, że zdawali się nie widzieć i nie słyszeć, co się dzieje wokoło. Zakradłem się tak blisko, że mogłem dotknąć nogi lub brzucha wyciągniętego na żwirze Kiowy. Indianie rozmawiali o rzeczach najwyższej wagi, nie tylko dla siebie, ale i dla mnie.

To, co przedtem wydało mi się kartą papieru, było skórą, cienką jak bibuła, podobną do pergaminu, pokrytą po obu stronach pismem i rysunkami. Na jednej stronie widniał dokładny szkic Góry Winnetou wraz z sytuacyjnym planem Twierdzy, na odwrocie zaś równie precyzyjny plan jaskini, u której wejścia się znajdowaliśmy. Tego wszystkiego dowiedziałem się już w ciągu pierwszej minuty podsłuchiwania. Rozmowa miała bardzo ożywiony charakter. Skóra wędrowała z rąk do rąk i obracana była na wszystkie strony. Indianie wymieniali najróżniejsze nazwy, szukali i znajdowali niezliczone miejsca i punkty orientacyjne. Słuchałem tego wszystkiego z najwyższą uwagą. Jak się okazało mapa należała do czarownika Komanczów. Stanowiła pamiątkę zamierzchłej przeszłości dziedziczną od wielu pokoleń w jego rodzinie. Istnienie tej mapy utrzymywano w tajemnicy i tylko najwyższa waga spraw, o które dzisiaj chodziło, skłoniła go do jej ujawnienia. Czarownik Kiowów wyraźnie podekscytowany, usilnie starał się poznać i zapamiętać treść skórzanej mapy.

— A więc naprawdę jest tak, jak na tej mapie? — dopytywał się.

— Tak — skinął głową Komańcz.

— Jesteśmy teraz w tym miejscu? — pytał dalej Kiowa wskazując jakiś punkt na mapie.

— Tak.

— I można stąd dostać się pod ziemią aż na Górę Winnetou? W dodatku nie pieszo, lecz konno?

— Tak.

— Tędy więc chcesz poprowadzić cztery tysiące naszych wojowników przeciw Tatella-Sacie i jego zwolennikom! Uff, uff! To wielki plan, wspaniały plan! Czy mój czerwony brat jechał już tą drogą? Czy był już kiedyś tam, na górze?

— Nie, ale uczynił to potajemnie jeden z moich przodków. I udało mu się. Droga ma kilka zakończeń. On dotarł do tego, o które mi chodzi.

— Czy to wyjście za Wodospadem-Całunem?

— Tak. To jedyne miejsce, do którego można dotrzeć konno. Inne są osiągalne jedynie na piechotę.

— A jeśli się nie uda? Jeśli ponad cztery tysiące ludzi i koni utknie w jaskini, nie mogąc iść ani naprzód, ani się wycofać? Niech mój brat rozważy, czego wymaga taka liczba ludzi i zwierząt!

— Myślałem nad tym. Dlatego przyjechałem, by najpierw zbadać jaskinię. I wziąłem ze sobą wyłącznie ciebie, mój czerwony bracie, bo tak jak ja i Tatella-Sata jesteś strażnikiem amuletów. Mogę ci zaufać.

— A więc nie traćmy czasu i zaczynajmy! Stań na nogi.

Nie sprzeciali się więc, tylko sprawiali takie wrażenie swą ożywioną gestykulacją. Komańcz również podniósł się z ziemi. Powoli i starannie składał mapę, by ją wetknąć w zanadrze.

— Moi czerwoni bracia będą chyba musieli stracić trochę czasu!

— Uff! — krzyknął przestraszony Kiowa. — To biały!

— Uff, uff! Błada twarz! — krzyknął jednocześnie Komańcz.

Wyrwawszy mu mapę z ręki, wsadziłem ją sobie do kieszeni. Stałem tak, że zagroziłem im drogę do strzelb, po czym mówiłem dalej:

— Zabieram na razie tę mapę, bo chcę wam pomóc w przejściu przez jaskinię!

Indianie otrząsnęli się już z pierwszego wrażenia.

— Kim jesteś, że śmiesz mnie okradać? — zapytał Komańcza.

Zaczął zbliżać się do mnie z wyraźnym zamiarem odzyskania strzelby. Wyjąłem rewolwer i odciągając kurek odparłem:

— Nie kradnę! Jeśli ta mapa należy do ciebie, otrzymasz ją z powrotem. Odsuńcie się od strzelb, bo będę strzelał! Nie jestem sam!

Skinąłem ręką. Zza krzaków wyszli Pappermann, In-czu-inta i towarzyszący nam strażnicy. Za nimi wysunęła się też z wolna Serduszko.

— Uff, uff! — zawołał Kiowa na widok Pappermanna.

— Pół-niebieska twarz!

— I biała squaw — dodał Komańcz, teraz już z wyraźnym przestachem w głosie.

— O tej twarzy i tej squaw już słyszeliście. Kim więc

— zapytałem — ja jestem?

— Old Shatterhand — odpowiedział Komańcz.

— Old Shatterhand! — zawtórował mu Kiowa. — Nasz wróg, nasz największy wróg!

— Kłamiesz! Nie jestem wrogiem żadnego człowieka. Wolałbym zresztą być wrogiem białego niż czerwonoskórego! Zapytajcie waszych wodzów, czy nie zawdzięczają mi ocalenia! Zapytajcie waszych starych wojowników, czy kiedykolwiek usłyszeli z moich ust słowo nienawiści albo widzieli, bym się za coś mścił! Miłuję wszystkich ludzi, was również! Chcę waszego szczęścia i dlatego sprzeciwiam się każdemu zamiarowi, który prowadzi do nieszczęścia. A dzisiaj mieliście taki zamiar. Nie pozwolę byście go zrealizowali— Usiądźcie i oddajcie noże! Jesteście w niewoli!

— Nie jesteśmy w niewoli, lecz...

Z tymi słowami Komańcz skoczył na mnie. Ja jednak uchyliłem się w prawo i pochwywszy go z boku powaliłem na ziemię. Inczu-inta ukląkł mu na piersi i bez większego wysiłku obezwładnił. W ten sam sposób dzielny Pappermann potraktował Kiowę. Po upływie paru chwil obaj nasi jeńcy byli tak związani, że nie mogli się nawet ruszyć. Usiedliśmy obok nich. Strażnicy przyprowadzili konie, ja zaś zająłem się przede wszystkim

mapą. Już pierwsze spojrzenie zorientowało mnie w sytuacji. Zwróciłem się do Komańcza:

— Niech Awat-towawh, czarownik Komanczów, powie mi, czy ma w domu dużo książek, czy ma bibliotekę.

— Nie mam książek — odparł Indianin. — U Komanczów mężowie nie mieszkają książek.

— Czy Awat-towawh wie, gdzie tutaj znaleźć można książki?

— Na Górze Winnetou, u Tatella-Saty.

— Nigdzie więcej?

— Nie znam innego takiego miejsca.

— W takim razie nie oddam ci mapy. Mam obowiązek zwrócić ją prawowitemu właścicielowi. Mapa należy do Tatella-Saty. Została skradziona.

— To kłamstwo! — wybuchnął czarownik.

— To nie kłamstwo lecz prawda.

— Dowiedz jej!

— Proszę bardzo! Problem polega na tym tylko, że brak ci wiedzy, która pozwoliłaby ci zrozumieć, w czym rzecz. Ta mapa ma swój numer, zapisany w dialekcie Pokończ języka Majów. Tu na dole są setki: jo-tuk — pięć razy po dwadzieścia — a więc sto; w tym rogu dziesiątki i pojedyncze cyfry: wuk-laj — siedem i dziesięć, a więc siedemnaście. Ta mapa została skatalogowana w bibliotece lub którymś z jej działów pod numerem sto siedemnastym. Pokażę ją Tatella-Sacie. Na pewno okaże się, że należy do niego.

— Nie masz mu nic do pokazania i nic do niego nie należy. Ta mapa została skradziona, ale dopiero przez ciebie! Ty jesteś złodziejem!

— Zamknij się albo ja cię zamknę pięścią, ty stary łajdaku! — wtrącił się Pappermann. — Gdzie są Entersowie?

To nie było wcale głupie ze strony starego westmana. Czerwonoskórzy dowiedzieli się w prosty sposób, że nie jesteśmy tak nieświadomi tego, co się dzieje, jak przypuszczali. Czarownicy nie potrafili w pierwszej chwili ukryć zdumienia, ale szybko doszli do siebie, a Komańcz zapytał obojętnym tonem:

— Entersowie? A któż to taki?

— To dwaj bracia, którzy zobowiązali się nas wam wydać. Teraz wiecie już dostatecznie dużo, by nie spodziewać się z naszej strony okazywania wam szczególnych honorów. Jeszcze jedno niewłaściwe słowo, a spuszczę wam lanie.

Byłoby pewnie znacznie lepiej, gdyby Pappermann mnie dał dojść do słowa, ale ponieważ dzisiaj, po raz pierwszy od długiego czasu miał przed sobą własnych jeńców, postanowiłem nie bronić mu odrobiny taniej satysfakcji. Od tej chwili czarownicy zamilkli. Słyszając o Entersach zdecydowanie spoważnieli.

Najpierw należało się posilić. Serduszko rozłożyła wiktuały. Rozsiodłaliśmy konie. Mogły się napić i poszukać sobie paszy. Co do mnie, bardziej niż jedzenie interesowała mnie mapa. Studiowałem ją dokładnie zawoławszy do pomocy Inczu-intę, który znał dobrze jaskinię. Istniała zasadnicza sprzeczność między tym, co mówił Inczu-inta, a tym, co pokazywała mapa. Z tej ostatniej wynikało bowiem, że poza wylotem w dolinie, przed którym się znajdowaliśmy, jaskinia ma jeszcze na górze trzy inne wyjścia, dwa wąskie i jedno szerokie. To, którym można było przejechać konno znajdowało się w pobliżu Wodospadu—Całunu. Od głównego korytarza odchodziło w pewnym miejscu węższe odgałęzienie, które z kolei dalej również się rozwidlało, tworząc dwa przejścia nadające się już tylko dla pieszych.

Jedno wychodziło gdzieś na terenie Twierdzy (z powodu niewielkich rozmiarów rysunku nie dało się ustalić, w którym miejscu); drugie nieco niżej, w dolinie, prawdopodobnie w okolicy budowy lub ambon. Dla Inczu-inty informacja o każdym z trzech wyjść była nowością. W przeszłości jaskinia miała kilka wyjść, ale zostały zasypane. Dlaczego — tego nie wiedział. Twierdził, że jaskinia wiedzie szeroką, wygodną drogą pod górę do wnętrza masywu, by po pewnym zwężeniu zakończyć się ślepo ścianą zbudowaną ze skał naciekowych. Miejsce to znajduje się w niewielkiej odległości od Wodospadu-Całunu, którego szum jest słyszalny dla wyczulonego ucha.

Kto miał rację? Inczu-inta czy mapa? Zdecydowałem się bardziej wierzyć mapie, szczególnie w odniesieniu do górnej części jaskini i ewentualnych wyjść na powierzchnię. Co do reszty zaufać mogłem naszemu śludze. Dlatego wbrew wcześniejszym planom postanowiłem zabrać konie ze sobą. Początkowo zakładaliśmy, że wrócimy tą samą drogą. Jeśli jednak na górze było wyjście tak szerokie i wygodne, jak na to wskazywała mapa, dojechalibyśmy prosto do domu bez konieczności powtórnego przemierzania całej jaskini i pięciogodzinnej okrężnej drogi na powierzchni. Inczu-inta twierdził, że i tak będziemy musieli wrócić, ja jednak uznałem za mało prawdopodobne, by ktokolwiek rozsądny mógł całkowicie zasypać trzy wyjścia. Przypuszczałem, że są one co najwyżej zamaskowane lub ukryte i postanowiłem zaufać własnej spostrzegawczości.

Natychmiast po posiłku zaczęliśmy się przygotowywać do wejścia pod ziemię. Mieliśmy własne pochodnie i świece, a po otwarciu bagażu naszych jeńców okazało się, że i oni byli w nie dostatecznie wyposażeni. Dla ochrony przed wilgocią i chłodem mieliśmy ze sobą cienkie lecz odporne na wodę indiańskie derki. Osiodłaliśmy konie, przywiązaliśmy jeńców do ich własnych wierzchowców i zapaliwszy kilka pochodni rozpoczęliśmy naszą podziemną podróż. Wiele sobie po niej obiecywałem, choć prawdę mówiąc, nie wiedziałem dlaczego. Opisem, choćby pobieżnym, cudownych podziemnych krajobrazów wypełnić mógłbym wiele stronic, w tym miejscu ograniczę się jednak tylko do paru zdań, jako że będzie jeszcze okazja powrócić do tego tematu. Będzie o nich mowa w *Testamencie Winnetou*, gdzie staną się widownią zdarzeń, o których teraz muszę jeszcze milczeć. Jechaliśmy więc poprzez cudowny podziemny świat. Na przodzie Inczu-inta z jednym Winnetou oświetlającym drogę pochodnią, za nimi ja z Serduszkim, nasi jeńcy i Pappermann z resztą straży. Tam, gdzie to było potrzebne, zapalaliśmy więcej pochodni i lamp.

Jechaliśmy cały czas pod górę, często bardzo stromo. Nawet w najniższych miejscach korytarz był na tyle wysoki, że nie musieliśmy zsiadać z koni. Żadna z komór, które mijaliśmy po drodze nie przypominała poprzedniej. Następowala zmiana za zmianą, niespodzianka za niespodzianką. Często zaskoczenie było tak wielkie, że z ust mimo woli wyrwały nam się okrzyki zachwytu. Gościliśmy w baśniowej, skalnej krainie, w której marzenia senne zaklęte zostały w szpat i aragonit. Stalaktyty zwieszały się ku wybiegającym im naprzeciw stalagmitom zamieniając się w kamienne kolumny, organy i całą gamę najróżniejszych kształtów, o których nigdy bym nie pomyślał, że mogła je stworzyć sama natura. Niestety dokładną obserwację musieliśmy odłożyć na później. Pchało nas do przodu, do miejsca, w którym się miało rozstrzygnąć, czy przejedziemy na drugą stronę góry. Mijaliśmy przejścia i tunele, niewielkie i ogromne pomieszczenia, refektarze i wnętrza kościołów, dziedzińce i sale kolumnowe, korytarze i werandy. Przejeżdżaliśmy nad przepaściami, z których dochodził plusk podziemnych rzek. Lawirowaliśmy pomiędzy strumykami fontann. Chwilami zdawało się nam, że pada deszcz. Zostawialiśmy za sobą kaskady spływające z niewidzialnych dachów. Nigdzie się jednak nie zatrzymywaliśmy. Parliśmy nieustannie do przodu, aż szeroki korytarz dobiegł końca. Przed nami widniał wąski, niewygodny tunel, którym naprzód posuwać się można było tylko pieszo.

— Widzisz, że miałem rację — powiedział Inczu-inta. - Dalej nie da się jechać konno.

Nie ma żadnego wyjścia koło Wodospadu-Całunu.

Wydawało się, że ma rację. Znajdowaliśmy się przed podwójną grupą stalaktytów i stalagmitów. Szeroki korytarz zakręcał w prawo jako wspomniany już wąski tunel. Mapa pokazywała jednak co innego. Według niej szeroki korytarz biegł dalej prosto, a wąski tunel stanowił tylko jego odgałęzienie. To było decydujące miejsce! teraz miało się okazać, czy mogę ufać bystrości własnych oczu i umysłu! Przystąpiłem do oględzin nacieków i wkrótce już przekonałem się, że prawda nie jest aż tak bardzo skomplikowana.

Stalaktyty są skałami naciekowymi tworzącymi się niczym sople — od góry. Stalagmity natomiast naciekają na podłożu i rosną wznwyż. Kiedy jedno spotkają się z drugimi powstają całe kolumny i grupy kolumn. Stalaktyty różnią się nieco od stalagmitów pod względem budowy i procesu powstawania. Od razu spostrzegłem, że w tym krytycznym obszarze stalaktyty są prawdziwe, a wyrastające z podłoża stalagmity — nie. W gruncie rzeczy były to również stalaktyty. Nie powstały więc tutaj w sposób naturalny, lecz zostały przywiezione i ustawione. Dlaczego? Po co? Odpowiedź była bardzo prosta — po to, by zamknąć szeroki korytarz. Po to, by — jak już wcześniej przypuszczałem — zamaskować i ukryć jego dalszą część.

Pchnąłem ręką jeden ze stalagmitów — zachybotał się. Wyciągnąłem go i odłożyłem na bok. Inni poszli za moim przykładem wyciągając i odsuwając inne skały. Wkrótce było już dla nas jasne, że szeroki korytarz tutaj się jeszcze nie kończy. Powiększyliśmy otwór na tyle, by zmieścić się mógł w nim człowiek. Zabrawszy ze sobą Pappermanna i Winnetou z pochodnią wszedłem w dziurę, chcąc zbadać dalszy bieg korytarza. Reszta miała zostać na miejscu i usunąć jak najwięcej skał, tak aby można było wjechać tu konno.

My trzej, oprócz jednej płonącej pochodni, wzięliśmy na zapas drugą. Poruszaliśmy się oczywiście na własnych nogach. Droga wiodła jeszcze bardziej stromo pod górę. Wkrótce dobiegł naszych uszu najpierw coraz głośniejszy szum, a wreszcie grzmot taki sam, jaki wydawały z siebie walące się w dół wody Niagary. Ten ryk i huk osiągnął takie natężenie, że nie słyszeliśmy nawet własnego głosu. Ściana po naszej prawej stronie zapadła się w przepaść. Lewa ściana została. Od góry zaczęło docierać do nas nikłe, rozproszone światło, jakby przez grubą, nieprzejrzystą szybę. Nagle, wyszedłszy zza zakrętu, zobaczyliśmy przed sobą Wodospad-Całun mknący w podziemia, gdzie tworzył rzeczkę, która doprowadziła nas do jaskini. Panował tu tak duży przeciąg, że musieliśmy chwycić się za kapelusze. Szliśmy teraz po czymś w rodzaju wysokogórskiej drogi, jakie spotyka się w Szwajcarii. Po jednej stronie skalna ściana, po drugiej zapierająca dech w piersiach otchłań, w której znikał wodospad. Wprawdzie przed przepaścią nie chroniła nas żadna ochronna bariera, ale droga była na tyle twarda i szeroka, że mogły nią iść na raz obok siebie cztery konie. Przeszliśmy całą szerokość wodospadu. Światło znikło i znowu musieliśmy zapalić pochodnie. Szliśmy znowu pod górę, tym razem czymś na kształt zakrzywionej łukowato sztolni. Tu znowu dał się słyszeć szum wodospadu. Potężniał z minuty na minutę, a kiedy już stał się prawie nie do wytrzymania, znowu zobaczyliśmy światło dnia — tym razem przed sobą. W chwilę później byliśmy na zewnątrz, czy, ściślej mówiąc, pomiędzy wodną zasłoną Wodospadu-Całunu, a pnącą się pionowo w górę skałą, z której spływał. Staliśmy nad krawędzią przepaści, w której znikła woda. Tamtędy przed chwilą szliśmy. Byliśmy w tej samej sytuacji co turyści, którzy na własne życzenie znaleźli się za rwącą w dół ścianą wodną Niagary. Wystarczyło teraz dojść do końca wodospadu i przedrzeć się przez zarośla, by stanąć na suchym, twardym gruncie.

To mi wystarczyło. Wróciliśmy do naszych towarzyszy, którzy ciągle jeszcze pracowali przy usuwaniu skał. Były one na tyle ciężkie, że potrzebowali na to jeszcze sporo czasu. Wykorzystałem go na dalsze badanie terenu. Chciałem się teraz dowiedzieć, dokąd prowadzi wąski korytarz.

Tym razem zamiast Pappermanna zabrałem ze sobą In-czu-intę i jednego Winnetou z pochodnią. Pozwoliłem iść również Serduszkowi, ponieważ bardzo o to prosiła, choć prawdę mówiąc mogła nam tylko przeszkadzać, a nie pomóc.

Według moich obliczeń znajdowaliśmy się niemal dokładnie pod miejscem, na którym spocząć miał ogromny ciężar statuy Winnetou. Nie było stąd daleko do miejsca, gdzie według map wąski tunel rozchodził się na dwa jeszcze węższe. Kiedy dotarliśmy do tego punktu, natychmiast spostrzegłem, że i tutaj stalagmity zastąpiono stalaktytami. Znowu mieliśmy do czynienia z zamaskowanym przejściem. Inczu-inta przeszedł obok niczego nie zauważywszy. Ani mu w głowie powstało, że tutaj odgałęzia się jeden z węższych tuneli. Poszedł za niosącym pochodnię Winnetou, a ja dołączyłem do nich bez słowa. Zamaskowane przejście musiało prowadzić do diabelskich ambon. Chciałem je później sam zbadać. Korytarz zaś, którym szliśmy dalej, stanowił według mapy połączenie z Twierdzą. To przejście chciałem poznać jeszcze dzisiaj. Wkrótce dotarliśmy do, zdawałoby się, ślepego zaułka.

— Na tym koniec — powiedział zatrzymując się Inczu-inta.

— Naprawdę? — zapytałem.

— Tak. Tak jak w tamtym miejscu!

— Właśnie. Tak, jak w tamtym miejscu. Zabierzmy kamienie zasłaniające przejście, a pójdziemy dalej. Do roboty!

Te stalaktyty nie były ciężkie. Odsunąłem kilka z pomocą Inczu-inty. Moje przypuszczenia okazały się słuszne — przed nami otworzył się dalszy ciąg korytarza. Tu nie musieliśmy robić szerokiego przejścia. Wkrótce już byliśmy po drugiej stronie. Ruszyliśmy w dalszą drogę. Ta część jaskini pozbawiona była skał naciekowych. Składała się z wstępujących w górę komór. Musieliśmy się wspinać. W końcu to naturalne ukształtowanie ustąpiło miejsca biegnącym skalnymi szczelinami, zbudowanym ręką ludzka obmurowanym przejściom i stopniom. Nie patrzyłem na zegarek ani nie liczyłem stopni, ale wydaje mi się, że wchodziliśmy po nich grubo ponad kwadrans. W pewnej chwili stopnie urwały się. Staliśmy u szczytu wąskich schodów. Z obu stron i ponad naszymi głowami był lity mur — bez drzwi, okien czy jakichkolwiek innych otworów. Jak stąd wyjść?

Dokładnie nad ostatnim, najwyższym stopniem wisiała kamienna płyta. Nieduża, więc i nie ciężka. Spróbowałem ją unieść. Bez rezultatu. Były na niej dwa, najwyraźniej czemuś służące zagłębienia. Wetknąłem w jedno z nich trzonek mojego noża, by spróbować, czy nie da się jej przesunąć w bok. Szarpałem bezskutecznie do przodu, do tyłu i w prawo. Dopiero pociągnięta w lewo, drgnęła przesuając się jakby na rolkach. Ponad moją głowę ukazał się czworokątny otwór, przez który mogłem wydostać się na zewnątrz. Nie uczyniłem jednak tego od razu, lecz wsunąłem najpierw ostrożnie głowę do poziomemu oczu. Co zobaczyłem?

Wysokie ośmiokątne, murowane pomieszczenie z dwojgiem drzwi, o ścianach całkowicie porośniętych *passiflorą* czyli męczennicą. Jej kłacza sięgały sklepienia, w którym widniały ułożone w krąg liczne otwory świetlne. *Passiflora* było tak dużo, że całkowicie zakrywała mury. Bujnie zieleniła się i kwitła mimo dość już późnej pory roku. Wynikało to zarówno z wysokiego położenia tego miejsca, jak i z faktu, że przyszło jej wzrastać w zamkniętym pomieszczeniu. Jak wiadomo *passiflora* występuje w ponad dwustu gatunkach. Tutaj reprezentowane były tylko dwa. Tło tworzyła *passiflora quadrangularis*, z jej oszłamiającymi, różowawymi w środku kwiatami, o średnicy dziesięciu centymetrów. Już ona sama robiła ogromne wrażenie. Na tym podłożu pięła się na jednej ze ścian *passiflora incarnata*, w taki sposób ukształtowana i przycięta, że jej śnieżnobiałe kwiaty tworzyły czterometrowej wysokości, pionowo stojący krzyż — zdumiewający, w tym tajemniczym i obcym miejscu, symbol chrześcijaństwa. Naprzeciw mnie znajdowały się zamknięte drzwi. Drzwi były chyba również nade mną, ale aby je zobaczyć, musiałem wyjść na powierzchnię.

Wtedy okazało się, że po naszej stronie pomieszczenia jest kilka schodów wiodących w górę do drugiego, zaryglowanego wyjścia. Skoczyłem na górę, uniosłem rygiel i otworzyłem drzwi. Zobaczyłem niebo. Nie próbowałem jednak określić, gdzie się znajduję, lecz szybko zatrzęsnałem znowu drzwi i zbiegłszy ze schodów zawołałem Inczu-intę, by wyszedł i powiedział, gdzie jesteśmy. Ledwie spojrzał wokoło, zawołał zdumiony:

— Uff! To świątynia kwietna, w której modli się Tatella-Sata!

— Do kogo się tu modli?

— Do wielkiego, dobrego Manitou. A do kogóż by?

— Ale to przecież krzyż, symbol chrześcijaństwa!

— To krzyż Winnetou. Sam go tu zasadził. Powiedział, że to znak jego brata Old Shatterhanda. Nie rozumie go jeszcze, ale im będzie wyższy, tym lepiej będzie go rozumiał. On cię bardzo kochał!

Można sobie wyobrazić, jak głęboko poruszyły mnie te słowa. Przewyciężając wzbierające we mnie uczucia pytałem dalej:

— Dokąd prowadzą przeciwległe drzwi?

— Do sypialni Tatella-Saty.

— A te nad schodami?

— Na zewnątrz. Nikt z nas nie wiedział, że jest tu jeszcze ta klapa w podłodze!

Ową klapę stanowiła płyta kamienna, która przylegając jednym bokiem do najniższego stopnia, po przesunięciu wchodziła w zrobione w nim wycięcie. Tam się teraz znajdowała i wystarczyło ją wysunąć, by na powrót zamknąć wyjście z podziemia.

Z otworu wyłoniła się Serduszko, a za nią Indianin z pochodnią. Na widok tej oszałamiającej ilości "kwiatów-męczeczników" moja żona wydała okrzyk zachwytu. Choć czekając na dole nie słyszała mojej rozmowy z Inczu-intą, natychmiast domyśliła się przeznaczenia tego pomieszczenia.

— To miejsce modlitwy!

Z tymi słowami wyszła na środek, gdzie stała ławka przykryta skórą. Usiadła na niej, dokładnie naprzeciw krzyża i mówiła dalej:

— Tu — siada Tatella-Sata, aby rozmawiać z Bogiem, jedynym swym władcą. Ma przed sobą krzyż, cierpienie całej ziemi, który wyzwala każdego pojedynczego człowieka i wszystkie ludy. Tu modli się o zbawienie swojej rasy. Tu chciałabym razem z nim błagać Boga, by wysłuchał tej prośby!

— Masz okazję! — powiedziałem. — My wrócimy teraz do podziemi i wkrótce znowu tu będziemy.

— Na pewno? Kiedy?

— Może już za pół godziny. Przyprowadzę tą drogą jeńców do Twierdzy. Nikt ich wtedy nie zobaczy. Nie chciałbym, by ktokolwiek z ich krewnych lub znajomych dowiedział się, że są tutaj. Co do ciebie, to nie ma potrzeby, byś dwa razy jeszcze robiła tę samą drogę.

— W takim razie zostanę. Ale co mam robić, jeśli ktoś tu przyjdzie?

— Ktokolwiek by to był, zostaniesz potraktowana jak przyjaciel. Poza tym nie musisz wcale dać się przyłapać. Wystarczy, że wyjdiesz tymi drzwiami na zewnątrz. Nikomu ni przyjdzie do głowy sprawdzać czy są zaryglowane.

— Masz rację! W takim razie zaczekam.

Usiadła z powrotem na ławce, a my zeszliśmy na dół zasuważąc za sobą płytę. Dotarłszy

do naszych towarzyszy przekonaliśmy się, że praca nad usuwaniem stalaktytów dobiega już końca. Kiedy usiadłem, by zaczekać, poczułem, że coś na mnie z góry kapie. Okazało się jednak, że nie jest to woda, lecz pył i piasek kamienny. Od czasu do czasu zdarzały się okrucy wielkości grochu, fasoli lub orzecha. Spojrzałem do góry. Światło pochodni nie sięgało tak wysoko; mimo to dokładnie nad sobą ujrzałem wąską szczelinę, z której syła się kamienny deszcz. W jaskini nie była to rzecz szczególna. Dlatego nie przyszło mi do głowy dociekać powodów powstania owej rysy.

Kiedy droga została już oczyszczona, oznajmiłem, że musimy się rozdzielić: czarownicy, Inczu-inta i jeden Winnetou z pochodnią mieli pójść ze mną na piechotę wąskim korytarzem. Reszcie kazałem się udać pod przewodnictwem Pappermanna szeroką, poprzednio odkrytą przez nas drogą do Wodospadu— Całunu. Stamtąd mieli pojechać prosto do Twierdzy. Poczekaliśmy, aż odjadą. Potem, zawiązawszy czarownikom oczy i ostrzegłszy przed stawianiem jakiegokolwiek oporu, poprowadziliśmy ich pod rękę — ja Komańcza, a Inczu-inta Kiowę. Przodem szedł Winnetou z pochodnią. Wspinaliśmy się znowu tą samą drogą. Z powodu jeńców posuwaliśmy się naprzód tak powoli, że do ostatnich stopni dotarliśmy nie jak zapowiadałem po pół godziny, lecz po upływie ponad godziny. Zabrałem się do odsuwania płyty i prawie natychmiast usłyszałem jakieś głosy. Moja żona nie była sama. Jak najciszej odsunąłem płytę i wetknąłem ostrożnie głowę w otwór do poziomu oczu. Serduszko zniknęła. Najwidoczniej wymknęła się na zewnątrz. Na ławce siedział Tatella-Sata. Obok niego stało dwunastu wodzów Apaczów, z których żadnego nie znałem. Najstarszy miał najwyżej pięćdziesiąt lat. Sędziwy "strażnik wielkiej wiedzy medycznej" mówił do nich ożywionym głosem. Oto co usłyszałem:

— Nasz dobry Manitou większy jest, milion razy większy, niż sądzili do tej pory czerwoni mężowie. Uważali, że jest on tylko ich bogiem, a nie Bogiem wszystkich żyjących. Jeśli nie mylili się, jakże mały byłby to bóg! Bóg paru tysięcy nieszczęśników nękanych, gnębionych i deptanych przez blade twarze! Jakże wielki musiałby być, w porównaniu z nim, bóg białych! I jakże gorąco należałoby życzyć sobie, by ów bóg białych zastąpił naszego bezsilnego Manitou! To _{pr}agnienie zostało jednak spełnione, zanim w nas powstało, popatrzcie na ten krzyż! Zakwita, by nas zbawić. Zabiera nam Manitou, aby nam go dać. Mówi nam, że jest jeden tylko — wszechmocny, wszechmądry, wszechdobry — i że pozbawiamy go tej wszechmocy i wszechmiłości chcąc go mieć tylko dla siebie, dla nas samych, najnieszczęśliwszej i najsłabszej ze wszystkich ras na ziemi. Krzyż stoi mocno w ziemi i wyciąga ramiona w górę ku Bogu. To jedno jego znaczenie. Otwiera jednak również te ramiona, by objąć każdego człowieka i wszystkich ludzi razem. To drugie znaczenie. Nie znaliśmy go. Dopiero Old Shatterhand nam o tym powiedział. Nie posłuchaliśmy go. Jeden był tylko, który sercem przyjął tę wieść — Winnetou. Obserwował i badał. Zaczął wierzyć, i im mocniejsza była ta wiara, tym częściej przychodził do mnie prosić, bym pozwolił posadzić te kwiaty-męczennice i ten krzyż w ulubionym przez mnie miejscu modlitwy. Jego najgorętszym pragnieniem było przyprowadzić do mnie swego białego brata. Chciał, by zobaczył on, jak myśl o krzyżu i wiara w jednego, wielkiego Manitou zapuściła korzenie i wydała kwiaty i owoc w sercu jego czerwonego brata. Ja jednak sprzeciwiłem się. Nienawidziłem Old Shatterhanda. Odszedł wtedy Winnetou niezmącony i więcej już nie powrócił. Wróciło jednak to, czym żyło jego serce. Wróciło do mnie i dzień po dniu kazało mi przychodzić na to miejsce. Natchnęło mnie. Oświeciło. Nauczyło się modlić nie do słabego małego Manitou czerwonych mężów, lecz do potężnego, nieskończonego, wzniosłego Manitou Old Shatterhanda, który jeden jest w stanie tchnąć ducha w nas, jego czerwone dzieci, abyśmy stali się wreszcie, czym stać się mieliśmy, a czym się dotychczas ciągle jeszcze nie staliśmy. Dzisiaj Old Shatterhand, ten, któremu odmawiałem mego serca i dachu, jest wśród nas. Dziś kocham go. Dziś wiem, że bez niego jestem bezradny, tak jak cała

czerwona rasa bezradna jest bez bladych twarzy. On zjednoczy nas w miłości, choć my sami chcieliśmy się zniszczyć naszą nienawiścią. A kiedy...

Urwał w pół zdania, bo nasza pochodnia zaczęła głośno syczeć syjąc wokół skry. Zadymiała również gwałtownie, a dym uniósł się obok mnie przez otwór. Indianie natychmiast go poczuli i zobaczyli. Wszystkie głowy zwróciły się w moją stronę. Tatella-Sata podniósł się zdumiony ze swej ławki. Nie pozostało mi nic innego, jak wyjść na powierzchnię.

— Old Shatterhand! — zawołał czarownik. — To Old Shatterhand!

— Old Shatterhand? To on? To on? — dopytywali się wodzowie.

— Tak, to on — odpowiedział Tatella-Sata. — Dziura w posadzce! Dokąd ona prowadzi? Skąd się tu wziął?

Te pytania były skierowane do mnie. Podszedłem bliżej, wyjąłem z zanadru mapę czarownika Komanczów i rozkładając ją podałem Tatella-Sacie.

— Popatrz na to, a zobaczysz, skąd przychodzę — powiedziałem.

Czarownikowi wystarczył podpis i numer.

— Z tajnej biblioteki! — zawołał. — Niezwykle ważna mapa wykradziona jednemu z moich przodków. Do tej pory bezskutecznie szukaliśmy winnego! Podejrzany był ówczesny czarownik Komanczów, który przebywał tu kilka tygodni i często wchodził do biblioteki. A teraz ty przynosisz mi tę mapę! Co za cud! Skąd ją masz?

— Od potomka tego złodzieja. Zaraz ci go pokażę.

Na moje wezwanie Inczu-inta i strażnik z pochodnią wyszli z podziemia popychając jeńców. Wodzowie Apaczów natychmiast ich rozpoznali. Podnosząc rękę nie dopuściłem do głośnych okrzyków zdumienia i powiedziałem cicho:

— Milczcie! Nie mogą ani zobaczyć, ani usłyszeć, gdzie się znajdują! Wszystko wam później opowiem. Czy jest w Twierdzy miejsce, w którym można ich ukryć przed wzrokiem innych ludzi?

— Mamy tu bardzo odpowiednie cele więzienne — odpowiedział Tatella-Sata.

— Niech więc Inczu-inta zaprowadzi ich tam i wróci do mnie. Będę go jeszcze potrzebował.

Tatella-Sata wydał szeptem mojemu słudze-olbrzymowi odpowiednie rozkazy, a ten oddalił się ze strażnikiem, prowadząc czarowników do ich miejsca odosobnienia. Otworzyły się drzwi wiodące na zewnątrz. Ujrzałem w nich Serduszko, która zdążyła na czas opuścić pomieszczenie. Widząc mnie teraz przez szparę uznała, że i ona może się już pokazać. Czytelnik zapewne domyśla się, że spotęgowało to jeszcze zdumienie wodzów.

Opowiedziałem im, co się zdarzyło, w takim tylko zakresie, w jakim uznałem to za stosowne — nie miałem bowiem zamiaru zwierzać się nikomu ze wszystkich moich poglądów i planów. Kiedy skończyłem, pojawił się Inczu-inta. Zameldował, że więźniowie są już pod kluczem i że do Twierdzy przybył już od strony wodospadu Pappermann z całą resztą wyprawy. Powiedziałem mu, że chcę, by raz jeszcze zszedł ze mną do jaskini i że potrzebne nam są do tego dwie pochodnie. Serduszko zapytała, czy musi mi towarzyszyć. Kiedy zaprzeczyłem, Tatella-Sata zaproponował, że się nią zaopiekuje. Oczekiwał odwiedzin Kolmy Puszi i chciał poznać ze sobą obie niewiasty. Nie miałem oczywiście nic przeciwko temu i kiedy Inczu-inta przyniósł pochodnie, wraz z nim raz jeszcze zszedłem na dół. Warto odnotować, że wspomniani wodzowie Apaczów w liczbie dwunastu, przybyli na Górę Winnetou dopiero Podczas naszej nieobecności i że rozbili namioty w górnym mieście. Tworzyli oni sztab zawiadujący tymi szczepami Apaczów, na których poparcie mógł liczyć Tatella-Sata.

Oczywiście miałem powody, by raz jeszcze zapuścić się w głąb jaskini. Skoro raz zacząłem ją badać, chciałem ją zbadać do końca, a istniała jeszcze odnoga, do której nie dotarłem. Jak czytelnik zapewne pamięta, szeroki, przejezdny korytarz prowadził z Doliny Jaskini do Wodospadu-Całunu. W miejscu, gdzie zagrodzony był stalaktytami odchodził od niego w prawo węższy tunel, dostępny tylko dla pieszych, i wiodący do obrośniętego *passiflorą* miejsca modlitwy. Po drodze jednak odgałęział się od niego drugi wąski tunel, którego nie dostrzegli moi towarzysze. Tylko ja rozpoznałem miejsce, w którym istniejące niegdyś przejście zasłonięto i zamaskowano rzekomymi stalagmitami. Tam też chciałem powrócić. Wziąłem ze sobą samego tylko Inczu-intę, ponieważ był zaufanym człowiekiem czarownika, a nie chciałem, by o odkryciu, którego zamierzałem dokonać, dowiedziało się szersze grono osób. Kojarząc ze sobą obiekty naziemne i podziemne doszedłem do pewnych wniosków. Szeroki korytarz miał wylot w dolinie, za Wodospadem-Całunem. Wąski kończył się w Twierdzy. Biegące między nimi odgałęzienie musiało wychodzić gdzieś między Twierdzą, a wodospadem. Zastanawiając się, jakie miejsce byłoby ku temu najodpowiedniejsze coraz częściej myślałem o "diabelskich ambonach" czy, jak je tutaj nazywano, Uszach Diabła, które czarownik pokazał nam w drodze do Wodospadu-Całunu. Wydawało się wręcz logiczne, by to tajemnicze miejsce posiadało połączenie z jaskinią. Kto wie, jakie związki łączyły przed tysiącami lat ten naziemny i podziemny świat. Dlatego ktoś, kto jak ja, chciał je zrozumieć, winien był działać w sposób możliwie najdyskretniejszy, nie wtajemniczając w sprawę nikogo, kto nie zasługiwał na pełne zaufanie. Dlatego właśnie zabrałem ze sobą tylko wypróbowanego, wiernego Inczu-intę.

Dotarłszy do miejsca, w którym według moich przypuszczeń rozpoczynał się ów drugi wąski tunel, przystąpiliśmy do oględzin najniżej leżących kamieni. To również nie były stalagmity, lecz stalaktyty, a więc skały przyniesione tu z innego miejsca. Usunęliśmy ich tyle, by można było zajrzeć do środka. Moje przypuszczenia okazały się trafne. Tuż za nimi zobaczyliśmy biegnącą w górę ścieżkę. Teraz należało tylko sprawdzić, dokąd ona wiedzie.

Siedliśmy, by odpocząć po sporym wysiłku, jakim było usunięcie ciężkich kamieni. Przez chwilę panowała absolutna cisza i nagle usłyszeliśmy w oddali dziwny łoskot, prawdopodobnie gdzieś z okolic miejsca, w którym nasz wąski tunel rozchodził się z szerokim korytarzem. Co to było albo kto to był? Kto mógł się tam dostać? Nasze bezpieczeństwo domagało się jak najszybszego wyjaśnienia sprawy. Chwyciwszy za pochodnie pospiesziliśmy w kierunku niezwykłych odgłosów. Tam spostrześliśmy, że hałas wywołany został nie przez ludzi a przez odpadnięcie części skał ze sklepienia, dokładnie w miejscu, w którym poprzednio zaobserwowałem zarysowującą się szczelinę. Szczelina była teraz szersza i dłuższa. Na dół spadły pokaźne odłamy skalne. Coś obsuwało się we wnętrzu góry. W tym miejscu należało zachowywać szczególną ostrożność. Nie podejrzewając jednak właściwej przyczyny zjawiska, odniosłem się do niego dość obojętnie.

Wróciliśmy do naszego odgałęzienia i podążaliśmy ku nie znanemu nam jeszcze wylotowi. Olbrzymi Inczu-inta patrzył na mnie z podziwem.

— Jesteś jak Winnetou — powiedział. — Wszystko widzisz, wszystko słyszysz, wszystko znajdujesz! A my, którzy żyjemy tu od wieków niczego nie słyszymy, nie widzimy i nie znajdujemy! Jestem jak on, a on był jak ty!

Również ten tunel prowadził od komory do komory, ale biegł o wiele bardziej stromo pod górę. Wreszcie pojawiły się kute w twardej skale stopnie. Zaprowadziły nas one jednak nie do klapy drzwi, czy jakiegoś muru, lecz do splecionej gęstwiny wyrastających z ziemnych ścian korzeni i kłaczy. Tu musieliśmy pomóc sobie nożami. Szliśmy krok za krokiem, torując sobie drogę wśród płataniny i odrzucając za siebie ucięte kawałki roślin. W końcu przebiliśmy się do listowia, poprzez które przywitało nas światło słońca. Zgasiliśmy pochodnie.

Zarośla, z których wychodziliśmy, porastały kamienne zwałisko, utworzone w sposób sztuczny po to, by zamaskować wylot tunelu. Przedzierając się przez zieloną gęstwinę staraliśmy się nie uszkadzać gałęzi. Wreszcie stanęliśmy na wolniejszej przestrzeni. Gdzie? W lewym Uchu Diabła, a więc dokładnie tu, gdzie się spodziewałem. Prawe Ucho widoczne było po przeciwnej stronie drogi.

— Uff, uff! — sapnął Inczu-inta. — To zakrawa na cud!

— Odkrycie na nowo rzeczy istniejącej od wieków nie jest żadnym cudem — odparłem. — Jesteśmy na waszej Devil's Pulpit.

— Której tajemnicy nie może zgłębić żaden człowiek!

— Naprawdę?

— Tak. Nawet Winnetou nie zdołał tego dokonać!

— Poczekaj chwilę, a być może ty będziesz tym człowiekiem!

— Ja? — spojrzał na mnie osłupiały. — Wykluczone!

— Nie tylko nie wykluczone, ale nawet całkiem prawdopodobne. Czy dochowasz tajemnicy nawet przed Tatella-Satą? Przynajmniej przez jakiś czas.

— Dochowam! — zapewnił, wpatrując się we mnie wyczekująco.

— Dobrze. Najpierw jednak rozejrzyjmy się. Chodźmy na Ucho Diabła!

Weszliśmy na wzniesienie. Wszystko wyglądało tu prawie tak samo, jak na pierwszej Diabelskiej Ambonie, na której Młody Orzeł ustrzelił niedźwiedzia, a ja rozmawiałem na odległość z Serduszkim. Tu także były dwie ambony. Drugie dwie o identycznych rozmiarach i położeniu znajdowały się po przeciwnej stronie drogi. Mało wnikliwy obserwator orzekłby, że są to dwie, symetrycznie względem drogi położone elipsy o dwóch parach ogniskowych, w których zbiegają się fale dźwiękowe. Bystrzejsze jednak oko natychmiast dostrzegło, że prawdziwa elipsa powstała dopiero przez połączenie obu figur liniami biegnącymi przez drogę. Była to wielka podwójna elipsa o czterech ogniskowych — dwóch z jednej i dwóch z drugiej strony — umożliwiającą różne eksperymenty akustyczne, które dla nie wtajemniczonego musiały zakrawać na prawdziwy cud.

To wszystko, jak już powiedziałem, dało się wywnioskować już na podstawie pobieżnej obserwacji. Pogłębić jej nie miałem jednak czasu, gdyż wzrok mój przykuła zmiana, jaka zaszła w scenerii tego miejsca od czasu naszego ostatniego pobytu. Rozpoczęta statua Winnetou tak bardzo urosła, że zrozumiałe stało się to dla mnie dopiero wtedy, gdy zdałem sobie sprawę, jak wielka jest liczba zaprzęgów, które wożą bloki skalne z kamieniołomów i ilu robotników składa te bloki w gigantyczny pomnik spajając je ze sobą przy pomocy przygotowanych zawczasu żelaznych bolców i klamer. Postać Winnetou gotowa była już do pasa, tuż obok zaś powstawała sztuczna skała, na której się miała wesprzeć. Dziś dopiero skonstruowane rusztowanie pozwalało się domyślać gigantycznych rozmiarów planowanego dzieła. Widząc, że moja uwaga kieruje się ku budowie Inczu-inta powiedział:

— Pracują jak oszalali. Stracili pewnoś siebie. Coraz wyraźniej widzą, że świat nie śledzi z zapartym tchem ich poczynąń. Dlatego chcą skończyć jak najszybciej, aby wyrzucić na tysiącach mających tu przybyć pobratymców możliwie wielkie wrażenie.

Kiedy poszedłem po pochodnie, dowiedziałem się, że z powodu twojego sprzeciwu zdecydowani są pracować dzień i noc. Przedtem sądzili, że łatwo sobie z tobą poradzą. "

— Ach tak? W szczególności zapewne pan Okih-czin-cza vel Antonius Paper? Niech sobie radzi, jak może! My wróćmy tymczasem do naszych spraw. Mieliśmy przecież stwierdzić, czy nie ty przypadkiem jesteś człowiekiem, który odkryje tajemnicę tych ambon. Jest ich tu dwie. Po tamtej stronie drugie dwie. Stoimy na pierwszej ambonie. Ja tu zostanę, a

ty pójdz na pierwszą po drugiej stronie. Kiedy będziesz na miejscu wymień normalnym tonem dziesięć liczb. Choć pozornie nie będę cię mógł słyszeć, zaraz powiem ci te same dziesięć liczb.

— Powiesz mi? — zapytał. — Czy je usłyszę?

— Tak.

— To niemożliwe.

— Zobaczysz! Teraz idź! Ale zachowaj wszystko w tajemnicy! Nie mów nikomu, dokąd i po co idziesz!

Indianin popatrzył na mnie z niedowierzaniem i poszedł, gdzie wskazałem. Patrzyłem za nim, nie dając się jednak zauważyć robotnikom i woźnikom, których pełno było na drodze. Nie zwracali na niego uwagi. Przekroczył trakt i wszedł na pierwszą ambonę. Czekałem w napięciu na wynik eksperymentu. Nasłuchiwałem. Nagle — Bogu niech będą dzięki — w uszach zabrzmiało mi dziesięć liczb — wszystkie parzyste, od dwóch do dwudziestu. Odczekałem chwilę i powtórzyłem je równie wolno i wyraźnie.

— Uff, uff! — rozległ się okrzyk zdziwienia. — Czy to ty, czy nie?

— To ja — odpowiedziałem.

— Słyszałeś mnie?

— Tak dobrze, jak ty mnie. Teraz pójdz na drugą ambonę i powiedz coś innego.

— Co?

— Cokolwiek. Zapytaj o coś, a ja ci odpowiem. No, już!

— Zgoda, idę!

Ja również zszedłem ze swojej ambony i udałem się na drugą. Nie była porośnięta krzewami, tak że szybko znalazłem się na szczycie. Po chwili usłyszałem, że i on zbliża się do celu. Trzasnęły gałęzie pod stopami, słyhać było odgłosy przedzierania się przez zarośla. Inczu-inta zapytał:

— Czy zostałeś na miejscu? Słyszysz mnie?

— Tak, słyszę cię — odparłem pomijając jednak milczeniem fakt, że zmieniłem miejsce pobytu.

— Czy mam znowu policzyć?

— Tak, wymień dziesięć innych liczb.

Wymienił liczby nieparzyste od trzydziestu jeden do czterdziestu dziewięciu, a ja je za nim powtórzyłem. Potem kazałem mu wrócić na pierwszą ambonę i wymienić dziesięć innych liczb. Obserwowałem, jak idzie, a potem jak wspina się na wzniesienie. Musiał wymienić te liczby, ale ja nic nie słyszałem. Teraz wiedziałem już wszystko. Rzeczywiście była to podwójna elipsa. Można było w niej słyszeć lub nie

— być słyszany lub nie — według uznania. Wszystko zależało od wyboru miejsca. Opuściłem moją ambonę i poszedłem w kierunku drogi. Inczu-inta zobaczył mnie i ruszył mi na spotkanie.

— Ostatnim razem nie odpowiedziałeś — powiedział.

— Albo cię nie dosłyszałem. To wszystko to naprawdę cud! Uff, uff! Z takiej odległości nikt nie jest w stanie usłyszeć powiedzianego normalnym głosem słowa, a ja usłyszałem! Jak to wytłumaczyć?

— Pomyśl chwilę! W końcu to ty masz odkryć tajemnicę!

— Żartujesz chyba! Po co miałbym odgadywać coś, co od dawna jest ci wiadome! Bo

gdyby było inaczej, nie wiedziałbym, na jakim miejscu mam stanąć. Czy powiesz mi o co chodzi?

— O ile pozwoli mi na to Tatella-Sata.

— Ależ ja nie mogę na razie i jemu nic mówić!

— Ani jemu, ani nikomu! Ujawnienie tego, co odkryliśmy, nawet jednej tylko osobie, mogłoby mieć tragiczne następstwa. Teraz chodźmy z powrotem do Twierdzy! Słońce już zachodzi.

Ta część nieba, która dawała się widzieć z doliny, pokryta była leciutkimi kłaczkami prześwietlonych złotem chmurek. Zatrzymywały one bijący z zachodu blask, który błyskał i mienił się we wspaniałym zwierciadle wodospadu. Jaka szkoda, że widok ten psuła teraz martwa kamienna figura! Staliśmy na tym zakolu doliny, a z nią i drogi, z którego, kiedy się jedzie do miasta, po raz pierwszy widać wodospad. Poczekaliśmy chwilę rozkoszując się niezwykłym widokiem zepsutym teraz po części przez ową fatalną figurę tak ciężką i tak przygnębiającą w swym wyrazie. Drewniane rusztowanie zasłaniające częściowo wodospad dosłownie raniło oko, tym bardziej, że postawiono je krzywo, bez użycia pionu. Tylko jeden jedyny wspornik stał pionowo. Te obserwacje poczyniłem zupełnie mimowolnie. Wydało mi się pozbawione znaczenia. Jak się jednak wkrótce miałem przekonać, w biegu ziemskich wydarzeń nic nie jest do końca bez znaczenia.

Prawdziwy Winnetou

Poszliśmy w kierunku Twierdzy. Inczu-inta kroczył w milczeniu. Roztrząsał wyniki naszej wyprawy. W Twierdzy rozdzieliliśmy się. On poszedł do Tatella-Saty, a ja do mojego mieszkania, gdzie spodziewałem się zastać Serduszko. Moje przypuszczenia okazały się trafne. Serduszko nie była jednak sama. Obok niej, trzymając dłoń w jej dłoni siedziała Kolma Puszi. Na mój widok podniosły się obie i wyszły mi naprzeciw. Na ich twarzach malowało się głębokie wzruszenie. Imię "Kolma Puszi" pochodzi z dialektu Indian Moqui i oznacza tyle co Czarne albo Ciemne Oko. Po blasku owych oczu natychmiast ją poznałem, choć poza tym bardzo się zmieniła. Była znacznie starsza ode mnie. Jej gibka niegdyś sylwetka pochyliła się do przodu. Cieńsze niż niegdyś warkocze okalały jej odkrytą głowę srebrno szarym wieńcem. Twarz choć pokryta gęstą siecią malutkich zmarszczek nie utraciła jednak swego piękna. Przemawiała z niej owa wewnętrzna harmonia nazywana niekiedy pięknem starości, która jest rezultatem wielu doświadczeń i wielu przemyśleń. Oczywiście Kolma Puszi nosiła teraz damski, a nie męski strój. Stała przede mną i przyglądała mi się długo badawczym wzrokiem. Jej poważną z początku twarz rozjaśniał lekki uśmiech, gdy mówiła:

— To rzeczywiście on! Taki sam jak kiedyś! Mimo tych wszystkich lat, które upłynęły! Czy wolno mi powitać Old Shatterhanda?

Zapytała nie wyciągając do mnie ręki. Odpowiedziałem:

— A cóż mogłoby ci w tym przeszkodzić?

— Nieprzyjaźń!

— O jakiej nieprzyjaźni mówisz? Nie wiem, o co chodzi.

— Ja również nie wiedziałam, ale teraz już wiem. Old Shatterhand jest w sprawie pomnika naszym przeciwnikiem.

— Może przeciwnikiem, ale nigdy wrogiem. Zawsze szanowałem, kochałem i podziwiałem Kolmę Puszi. Zachowam te uczucia do końca życia. Proszę, niech poda mi swą rękę, która potrafi być dzielna i śmiała, a jednocześnie łagodna i szlachetna.

Jej pomarszczona twarz rozjaśniła się ciepłym słonecznym blaskiem. Podaliśmy sobie ręce. Przycisnąłem ją do siebie i pocałowałem w kochane, dobre, niegdyś tak smutne oczy. Potem usiedliśmy, by kontynuować przerwana moim przyjściem rozmowę. Przekonałem się, jak wiele Kolma Puszi nauczyła się przez minione lata. Wzrosła duchowo wraz ze swymi wnukami — Young Surehandem i Young Apanaczką — nie wykraczając jednak niestety poza ich horyzonty. Dała się całkowicie zwieść planom czysto zewnętrznej apoteozy Winnetou i była dotychczas absolutnie przekonana, że ja i Serduszko podzielimy jej entuzjazm. Kiedy wystąpiły pierwsze rozbieżności opinii i rozdźwięki sądziła, że nasze przybycie rozstrzygnie konflikty. Ostatnio nie było jej tutaj; wróciła dopiero z Old Surehandem i Apanaczką. Dowiedziała się wówczas, że przyjechaliśmy, że nas lekceważąco potraktowano i że dopiero Tatella-Sata uhonorował nas swym osobistym przybyciem i zaproszeniem do Twierdzy. To powiększyło tylko rozdźwięk pomiędzy dolnym a górnym miastem. W dolnym mieście

obawiano się, że Old Shatterhand, który miał znaleźć się na bocznym torze, uzurpować sobie będzie w kwestii pomnika decydujący głos. To skłoniło Old Surehanda i Apanaczkę do oświadczenia, że postanowili nie odwiedzać mnie u Tatella-Saty. Taka postawa była jednak nie do przyjęcia dla Kolmy Puszi. Zwróciła się do "strażnika wielkiej wiedzy medycznej" o pozwolenie na złożenie mi wizyty, a ten chętnie jej go udzielił. Obydwie panie rozmawiały już ze sobą od kilku godzin i bardzo przypadły sobie do gustu. W tym krótkim czasie udało się Serduszku spełnić oczekiwania swego gościa. Jak wiadomo, list od Kolmy Puszi kończył się słowami: *Przyjedź więc i przywieź mi ze sobą Twą miłość drugiego człowieka i dobroć serca — Twą wiarę w wielkiego, sprawiedliwego Manitou, którego chciałam odczuć tak wyraźnie, jak Ty, moja siostró, Go czujesz*. Serduszko dała odczuć Kolmie Puszi tę miłość, dobroć i wiarę. To, co ja, mężczyzna, musiałbym powiedzieć ostrym tonem, Serduszko przekazała tonem przyjaznego nalegania. W momencie mojego przyjścia, Kolma Puszi była już jedną nogą po naszej stronie i wystarczyło tylko parę uzupełniających słów, aby zrozumiała do końca moje poglądy i zamiary. Kiedy poprosiła, bym mimo wszystko zjechał do dolnego miasta i odwiedził Old Surehanda i Apanaczkę, odparłem:

— Tego mi nie wolno. Jestem gościem Tatella-Saty i kto jego unika, tego i ja muszę unikać.

— Czy tak jest rzeczywiście? — zapytała z troską.

— Tak! — potwierdziłem. — Zgodnie z prawem czerwonych mężów, dom mego gospodarza jest również moim domem. Kto nim gardzi, mną również gardzi!

— Wybacz, ale mylisz się mówiąc o pogardzie. Nikt nie śmiałyby tobą gardzić!

— Nieprawda! To nie ja jestem w błędzie. Zostałem zaproszony na Górę Winnetou. Przyjechałem. Jako gościowi należało mi się przywitanie i przyjęcie. Odmówiono mi go. Nikt do mnie nie przyszedł. Kazano mi samemu gdzieś iść. Kazano mi samemu kogoś szukać. Teraz usłyszysz moją na to odpowiedź.

Serduszko mrugnęła do mnie ukradkiem, abym nieco złagodził ton; miałem przecież przed sobą kobietę. Ja jednak dobrze wiedziałem, co robię, i mówiłem dalej w taki sam sposób:

— Proszę więc Kolmę Puszi, aby udała się do Old Surehanda i Apanaczki, i powiedziała im, że zapraszam ich na jutro na obiad, tutaj, do mojego mieszkania. Obiad zje z nami jeszcze parę innych osób, ale kto to będzie, tego jeszcze do końca nie wiem.

Twarz Kolmy Puszi jeszcze bardziej spoważniała.

— Myślisz, że moi synowie przyjadą?

— Mam nadzieję!

— Na obiad?

— Tak właśnie. W samo południe.

— A jeśli nie przyjadą?

Zadając to ostatnie pytanie zawisła na moich ustach pełnymi napiętego wyczekiwania oczyma. Odparłem:

— Uznam to za największą obelgę pod swoim adresem. Natychmiast wyznaczone zostanie pole walki i przemówią lufy rewolwerów!

— Pojedynek pomiędzy takimi przyjaciółmi?

— Przyjaciół, który mnie obraża, gorszy jest od wroga! Powtórz im to! Powiedz im też, że choć siwy, nie zmieniłem się poza tym wiele. Jeśli nie przyjadą, będziemy walczyć. A potem rozpędzimy na cztery wiatry cały wasz komitet i wybierzemy godniejszy. Winnetou

był wodzem Apaczów. O tym, w jaki sposób należy uczcić jego pamięć, powinni zadecydować Apacze!

— Groźba Old Shatterhanda jest tak pewna i bliska spełnienia, jakby już się spełniła. Mówisz poważnie?

— Absolutnie! Po co żył i po co umarł Winnetou? Nie po to chyba, aby rozśławić imię jakiegoś malarza czy rzeźbiarza? I jak te młokosy go przedstawiły? Gdzie jest jego duch? Gdzie jest jego dusza? Każdy cowboy, zbieg czy tramp potrafi przyjąć bandycką pozę tej glinianej figury, która ma udawać Winnetou! Serduszek, pokaż jej proszę innego Winnetou! Naszego Winnetou!

Żona otworzyła jeden z kufrów i wyciągnęła stamtąd zrobione przed wyjazdem z Niemiec fotografie. Moment, w którym podszedłem pomóc-jej odnaleźć tę właściwą, wykorzystwała na to, by zaszeptać:

— Nie bądź taki! Nie tak ostro! Ona jest już bliska płaczu! Czy ona jest temu wszystkiemu winna?

— W większym stopniu niż przypuszczasz — odparłem równie cicho. — Nie zna się na sztuce i ubóstwia swoje wnuki. Nie przeszkadzaj mi!

Jak już wspomniałem, mieliśmy ze sobą obraz Winnetou dążącego ku niebieskim wyżynom oraz kilka jego fotografii. Wziąłem jedną i przyczepiłem szpilkami do ściany. Potem zapaliłem lampę, bo na zewnątrz już się niemal ściemniało. Blask padającego na fotografię światła rozświetlił krzyż, ku któremu zmierzał Winnetou.

— Oto nasz Winnetou — powiedziałem. — Przypatrz mu się!

Podniosła oczy — milczała. Podeszła bliżej — milczała. Odstąpiła kilka kroków — nie powiedziała ani słowa. Wreszcie dotknąwszy plecami przeciwległej ściany osunęła się po niej i usiadła. Oczy utkwione miała w fotografii. Ciągle nie odzywała się ani słowem. Jednak jej twarz jaśniała jakoś szlachetną radością. Ogarnęło ją przeczucie jakiegoś wewnętrznego piękna i szczęścia, przeczucie, którego nie rozumiała i nie potrafiła wytłumaczyć. Nagle wisząca obok niej zasłona poruszyła się i wyszedł zza niej ktoś, kogo najmniej w tym momencie byśmy się spodziewali — Tatella-Sata. Zagwarantował mi całkowitą swobodę i zapewnił, że starać się będzie jak najmniej mi przeszkadzać. Jednak po dzisiejszych wydarzeniach i sprawozdaniu, jakie najprawdopodobniej przedstawił mi Inczu — Ina, uznał widocznie za konieczne odszukać mnie i wypytać o szczegóły. Od razu dostrzegł obraz, przystanął w wejściu i wpatrywał się w niego coraz szerzej rozwartymi oczyma. Potem wszedł do środka, zbliżył się powoli do fotografii, cofnął się, znowu się zbliżył, a wyraz jego twarzy zmieniał się coraz bardziej. Wreszcie przyszło zrozumienie.

— Uff, uff! — zawołał. — To Winnetou? Prawdziwy Winnetou? Nasz Winnetou?

Skinąłem głową.

— Nie jego dzieło, lecz dusza — mówił dalej. — Unosi się ku niebu! A nad nim krzyż! Taki, jak krzyż z passiflory, który zasadził w mym domu i sercu! Z jego włosów sfruwają pióra wodzowskie! Ostatnia przykuwająca go do ziemi rzecz! Teraz jest już zbawiony! Teraz jest wolny! Jakie to piękne!

Stał w zachwycie. Jego usta poruszały się nadał, ale nie słychać było słów, które z nich wychodziły. Dopiero po jakimś czasie powiedział głośno:

— Oto on! Tak, to on! Czy możemy ukazać go naszemu ludowi takim jak tutaj? Czy możemy postawić mu pomnik, który oddałby jego postać w sposób, w jaki ją teraz odbieram, jako ducha?

— Tak, możemy i uczynimy to! — odparłem.

— Nie wierzę!

— Dlaczego?

— Ukazać ducha przy pomocy żelaza, marmuru czy innej materii?

— Bez żelaza i bez kamienia! A mimo to przewyższając pod każdym względem figurę, która wznoszona jest u stóp Góry Winnetou!

— Nie rozumiem!

— Wkrótce zrozumiesz. Być może już jutro. Chodź! Usiądź! Mam ci więcej do pokazania.

Uczynił jak prosiłem. Wtedy Kolma Puszi podniosła się przerywając swoje pełne zachwyty milczenie. Powiedziała do mnie:

— Old Shatterhand zwyciężył. Jak zawsze. Ale nie sam, lecz wraz ze swym przyjacielem i bratem Winnetou.

Wypowiadając te ostatnie słowa wskazała na fotografię.

— Rzeczywiście — takiego Winnetou nie stworzy ani Young Surehand, ani Young Apanaczka! Idę już. Przekażę moim synom twoje zaproszenie i mam nadzieję, że z niego skorzystają. Czy pokażesz im swego Winnetou?

— Jeśli będą chcieli go zobaczyć — oczywiście.

— A więc bądź zdrow! Nie wiedziałam do tej pory, że obraz może przemawiać mocniej i bardziej przekonująco niż słowa!

Wyszła z pomieszczenia.

Owszem, nie znany był jej dotychczas język prawdziwej sztuki. Ja jednak, znając go, celowo pokazałem obraz

nadzieją na to, że znajdzie oddźwięk w największych głębinach jej serca. Kolma Puszi знала osobiście, ceniła i kochała portretowanego. Jemu zawdzięczała nagły, szczęśliwy zwrot w swym smutnym życiu. Dlatego obraz ten nie mógł na nią nie podziałać. To działanie poniosła teraz z sobą. Moja surowość miała również swój cel i liczyłem na to że przyniesie spodziewane owoce. Po wyjściu Kolmy Puszi pierwszy odezwał się Tatella-Sata:

— Przyszedłem tu właściwie, aby wypytać się o jaskinię, a potem pokazać bibliotekę, z której wykradziono mapę. Porozmawiajmy jednak najpierw o tym obrazie. Czy to jest jedyny jego egzemplarz, jaki posiadasz? Jeśli tak, nie będę mógł wyrazić mego pragnienia...

— Mam ich kilka.

— Proszę cię więc, byś podarował mi jeden z nich!

— Weź ten, który wisi na ścianie! Należy do ciebie!

— Dziękuję! Czy to nie zastanawiające, że ilekroć Old Shatterhand przybywa do swych czerwonych braci, zawsze coś im przynosi? Od nich wiele otrzymać nie może, gdyż są ubodzy. Jego zaś dary należą do owych duchowych skarbów, których nie da się kupić za zewnętrzne bogactwa. Mówiąc to mam na myśli nie tylko Old Shatterhanda, ale wszystkie blade twarze, którym od tej pory zawdzięczać będziemy tylko dobro. Czy sądzisz, że ten obraz pozwoli ci zwyciężyć twoich przeciwników?

— Nie obraz, a sam Winnetou. Obraz jest jedynie kluczem otwierającym przede mną serca i umysły. Oni budują pomnik, ja również biorę udział w budowie.

— Czego?

— Tak jak oni, postaci Winnetou. Ale nieskończenie większej, piękniejszej i

szlachetniejszej od jakiegokolwiek dzieła ludzkiej ręki.

— Kto ją buduje? Czy ty?

— Ja? O, nie! Skoro stworzyć jej nie potrafi żaden artysta, to tym bardziej jest to dla mnie niemożliwe! Budowniczym i rzeźbiarzem jest sam Winnetou! Tworzy dzieło doskonałe. Nawet już stworzył. Muszę je tylko zaprezentować publiczności.

— Gdzie masz to dzieło?

— Tutaj, w przyległym pokoju. Wykopałem je. Na Nugget Tsil. To testament, rękopis Winnetou. Niech więc stary i młody Surehand, stary i młody Apanaczka buduje obok wodospadu! My również budujemy. Tutaj, wyżej, u ciebie, w Twierdzy. Okaże się wkrótce, czyja budowa szybciej stanie i czyja będzie więcej warta! Proszę o pozwolenie wydania jutro uroczystego obiadu. Punkt dwunasta. Polecilem Kolmie Puszi zaprosić Old Surehanda i Apanaczkę.

— Uff! Oni nie przyjadą!

— Przyjadą! Kazałem powiedzieć, że odmowę uznaję za zniewagę i że przemówię wtedy lufy rewolwerów.

— W takim razie przyjadą!

— Zapraszam również wszystkich twoich wodzów, a ponadto Atabaskę i Algongkę, Wagare-Teja, Awath-Niaha, Matto Szahko i parę innych osób. Ciebie nie zapraszam, albowiem należy ci się miejsce wyższe niż wszystkim, których wymieniałem.

— Rób, jak chcesz. Wiesz, że jesteś tu panem samego siebie. Powiedz Inczu-incie, czego ci będzie trzeba, w szczególności daj mu listę niezbędnych artykułów. Wszystko dostarczymy. Czy mogę spytać, jaki cel ma to przyjęcie?

Po pierwsze, zmusić do przybycia Old Surehanda i Apanaczkę. Po drugie i przede wszystkim, uformować z zaproszonych coś na kształt kręgu czytelników. Będą musieli codziennie wieczorem zjawiać się w Twierdzy. Ty będziesz przewodniczył zebraniu, a ja będę czytał z tego, co Winnetou zostawił po sobie czerwonym, białym i wszystkim innym ludom i narodom.

— Uff, uff! Doskonale! — zawołał "strażnik wielkiej wiedzy medycznej".

— W tych stronicach zawarty został jego duch i dusza. Lektura ukaże nam czystą, jasną, szlachetną i prawdziwie wielką osobowość. We wnętrzu słuchaczy powstawać stopniowo będzie duchowa, a więc najbardziej odpowiadająca rzeczywistości, postać twojego i mojego Winnetou. A kto ją w sobie poczuje, kto zobaczy ją oczyma duszy i zrozumie, na tego komitet razem z panem Okih-czin-czą nie będzie już mógł liczyć.

Podał mi rękę i powiedział:

— Przystaję na wszystko całym sercem. Wprawdzie nie znam dosłownej treści zapisków Winnetou, ale za życia często pozwalał mi wejrzeć w swoje myśli i to pozwala mi przypuszczać, że wskazana przez ciebie droga doprowadzi nas do pokoju ocalając od wojny. Przystaję na twój pomysł.

— Weź więc ten obraz i pozwól pokazać sobie jeden jeszcze.

Podał mi fotografię, a na jej miejscu przypiąłem ogromną odbitkę wizerunku Marah Durimeh. Na jej widok czarownik zerwał się z miejsca i zawołał:

— Kto to jest? Czy to mam być ja? Moja siostra? Moja matka? Albo któryś z moich przodków?

— To Marah Durimeh, o której mam ci wiele do powiedzenia.

— Mówisz Marah Durimeh. Czy chodzi o naszą córę królewską, Marimeh?

— Tak, ale o tym później. Skoro już jesteśmy przy obrazach, pokażę ci jeszcze jeden. Obok Marah Durimeh przypiąłem teraz odbitkę wizerunku Abu Kitala²⁴. Również ten portret zrobił na Tatella-Sacie ogromne wrażenie. Najpierw przyglądał mu się osłupiały, potem zamknął oczy i nie otwierając ich powiedział:

— Znam go! Opisał mi go Winnetou. Powiedział przy tym, że opis ma od ciebie! To może być tylko człowiek przemocy, którego sam widok przyprawia serce o ból! Nazwałeś go Abukalem.

— Słusznie! Tylko imię przekręciłeś. Nazywa się nie Abukał, a Abu Kital. Często rozmawialiśmy o nim z Winnetou.

— Nie mogę na niego patrzeć. Proszę cię jednak, abyś później pozwolił mi go raz jeszcze obejrzeć.

— Weź go sobie. Maran Durimeh również. Mam więcej kopii.

— Zwiń mi więc to wszystko.

Dopiero kiedy miał w ręku wszystkie obrazy, otworzył oczy i powiedział:

— Idę. Zabieram wszystkie trzy. Zawładnęły mną i moimi myślami. Jestem ich więźniem. Nie mam już dzisiaj czasu pokazać ci biblioteki. Odłóżmy to na jutro albo na jakiś jeszcze późniejszy moment. Powiedz Inczu-incie, czego ci trzeba! Idę.

Pozostawił u nas po sobie osobliwe uczucie. Nie zabraliśmy fotografii po to, by pokazywać je na Górze Winnetou, tymczasem zdawały się tu odgrywać istotną rolę. Serduszko miała jednak w obecnej chwili na głowie sprawy jeszcze istotniejsze, które rzecz jasna wiązały się z jutrzejszym obiadem. Zaproszenie wyszło ode mnie, czuła się więc gospodynią. Uznała za niezbędne omówienie jadłospisu z Inczu-intą. Zawołała więc służę-olbrzyma. Obserwowałem całą scenę z rozbawieniem. Inczu-inta oznajmił na wstępie, że wszystkich potrzebnych artykułów — mięsa, mąki itd. — jest pod dostatkiem. Zabrzmiało to tak zachęcająco, że Serduszko poczuła się pewnie. Przedstawiła swoją propozycję — bulion z kluskami, kura, ryby, pieczeń, gotowane mięso, sałata, słodkie sosy, ser i parę jeszcze innych rzeczy. Nade wszystko zależało jej jednak na ragout z dziczyzny i grysikowym budyniu z sosem jagodowym. Inczu-inta słuchał w skupieniu i zgadzał się na wszystko. Miał wszystko, znał wszystko, potrafił wszystko i obiecywał wszystko. W gruncie rzeczy jednak twarz jego robiła się coraz dłuższa. Kiedy padły nazwy różnych przypraw, a przy okazji pytanie o młynek do pieprzu, oznajmił, że ma ich co najmniej dwadzieścia sztuk. Serduszko była wniebowzięta.

— Słyszysz? Mają tu wszystko! — cieszyła się. — Ten posiłek będę mogła potraktować jako sprawę mojego honoru.

— Drogie Serduszko, czy nie byłoby słuszniej kazać sobie pokazać wszystkie te wspaniałe rzeczy? — zapytałem.

— Tak, oczywiście. Zaraz to zrobię — odparła. — Ale ciebie nie biorę ze sobą! Zagłądanie do garnków nie doda smaku potrawom.

— A więc idź sama i gotuj! Będę z tobą duchem!

— Dziękuję! Bywaj! Zaraz wrócę!

Oddaliła się sprężystym krokiem. Za nią poszedł Inczu-inta. Zanim jednak opuścił pomieszczenie, odwrócił się do mnie z wyrazem takiej bezradności i zaniepokojenia na twarzy, że z trudem powstrzymałem się od śmiechu. Po godzinie przyniesiono mi kolację. Serduszko prosiła powtórzyć, że na razie jeszcze nie wraca. Po upływie kolejnej godziny przysłała Inczu-intę z wiadomością, że potrzebuje jeszcze dwóch następnych. Chciałem dowiedzieć się

²⁴ Główna postać dramatu Karola Maya pt. *Babel und Bibel*.

od niego paru szczegółów, ale sługa ulotnił się tak szybko, że nie miałem ku temu żadnej sposobności. Zająłem się czytaniem rękopisu Winnetou. Po upływie rzeczonych dwóch godzin od drzwi zabrzmiał głos mojej żony:

— Idź spać, jeśli jesteś zmęczony! Mnie zajmie to jeszcze sporo czasu!

Odwróciłem szybko głowę, ale zdołałem zobaczyć tylko kołyszącą się zasłonę. Serduszka już nie było. Poczekalem Jeszcze godzinę, po czym poszedłem spać do sypialni Winnetou. Ile czasu spałem — nie wiem. Nagle poczułem obecność żony. Stała w drzwiach prowadzących z mojego pokoju do mieszkania siostry Winnetou, które sama teraz zajmowała. Chrząknąłem.

— Nie śpisz? — zapytała.

— Właśnie się obudziłem — odparłem. — Która godzina?

— Dochodzi trzecia.

— Tyle zeszło ci w kuchni?

— Tak, ale to nie jest żadna kuchnia, lecz coś zupełnie innego. Muszę ci to pokazać za dnia. Wszystko tutaj jest kolosalnych rozmiarów...

— Co z zupą z kluseczkami?

— Zapomnij o niej.

— A ragout z dziczyzny?

— Też nic.

— Grysik z sosem jagodowym także przepadł?

— Przestań! Mam wrażenie, że drażnisz się ze mną!

— A dwadzieścia młynków do pieprzu?

— Mówię przestań! Co za ironiczny charakter! Odpychający, niesympatyczny człowiek, którego lepiej się strzec! Czy to ma być zapłata za wszystkie moje zabiegi o to, by uświetnić twój obiad? Wyobraź sobie tylko: dziewięć Indianek i czterech Indian pod ogromnym sklepieniem, które nazywa się tu kuchnią! Ile oni się będą musieli nabiegać przy pracy! I ile pracy trzeba jeszcze włożyć w przygotowanie tego obiadu! Ale to będzie prawdziwe przyjęcie! Robię nawet naleśniki. Wszystko tam jest. A teraz już dobranoc!

— Na jak długo?

— Tylko na dwie godziny. Do piątej. Wtedy znowu muszę iść, bo zjawi się moich trzynastu pomocników.

— Moje biedne Serduszko!

— Bardzo przepraszam, ale nie mam się na co uskarżać! Jestem niezmiernie szczęśliwa, że mogę gotować, piec i smażyć dla tak wielu słynnych wodzów. Nigdy o tym nawet nie marzyłam! A więc dobranoc!

Poszła do siebie, a ja znowu zasnąłem. Kiedy się obudziłem, było już dość późno, a na mojej pościeli leżała kartka od Serduszka następującej treści: *Wstałam o piątej. Wszystko idzie bardzo dobrze. Obiad będzie wspaniały. Możesz spać do dwunastej. Przyjdę cię obudzić. Jadalnia też jest już gotowa. Jeśli wstaniesz wcześniej, zajrzyj tam, czy czegoś nie brakuje. O gościach nie rozmawialiśmy w szczegółach, dlatego zaprosiłam wszystko co zwie się wodzem. Mam nadzieję, że nie popełniłam żadnej gafy. Jedzenia wystarczy— Mam nawet chińską herbatę z suszonych liści truskawek i całe mnóstwo salatek z dziko rosnącej roszponki. Twoje Serduszko.*

Klara we własnej osobie! Nade wszystko ująć mi trosk, abym, o ile to możliwe, nie

oddawał się innym zajęciom niż jedzenie, picie i spanie — i żył jak najdłużej. Wstałem szybko i wezwałem Inczu-intę. Poinformował mnie, że od godziny oczekuje na mnie dwóch białych.

— Białych? — zapytałem. — Sądziłem, że nie mają tu wstępu.

— To przyjaciele Okih-czin-czy. On im pozwolił.

— Ach, tak! Jak się nazywają?

— Enters. To bracia.

— Znam ich. Gdzie są?

— Jeszcze na dziedzińcu. Czy mam ich wprowadzić?

— Nie. Ja do nich zejść. Co robi moja żona? Gdzie teraz utknęła?

— Ciągle jeszcze jest w kuchni. Rozkazuje tam jak królowa, promienieje jak słońce, a pracuje niczym najuboższa kobieta Kojotów. Zyskała dziś pomocnicę, z której jest bardzo zadowolona.

— Kogo?

— Asztę, żonę Wakona, słynnego czarownika Siouxów. Usłyszała w mieście, że squaw Old Shatterhanda ma podejmować dzisiaj gości i przyjechała natychmiast prosić, by pozwoliła sobie pomóc. Mamy więc teraz dwie gospodynie nadzorujące przyjęcie dla wodzów — europejską i indiańską. Ale zobacz, co to za jeźdźcy?

Staliśmy przy oknie. Inczu-inta wskazywał na dolne

miasto, w którym pojawił się pochód około stu jeźdźców - Indian ubranych w skórzane stroje, świetnie trzymających się na koniach. Nie zatrzymali się w dolnym mieście, lecz pojechali do górnego. Pochód prowadził wysoki, dumnie siedzący na koniu jeździec. Nie miałem więcej czasu na obserwację, bo na dole czekali na mnie Entersowie. Nie chcąc, by ich widziano przycupnęli w najodleglejszym kącie dziedzińca. Hariman wyraźnie ucieszył się na mój widok. Zebulon był jak zwykle bardziej powściągliwy.

— Na pewno jest pan zdziwiony widząc nas tutaj, mister Burton — powiedział Hariman. — Nie możemy długo rozmawiać, bo nie chcemy, by ktokolwiek na dole się dowiedział, że utrzymujemy z panem jakieś kontakty. Dlaczego nie pokazał się pan nad Ciemną Wodą?

— Musieliśmy odjechać stamtąd szybciej niż planowaliśmy — odparłem. — Czy cztery plemiona ciągle tam jeszcze są?

— Dziś już nie. Wyruszyli w drogę. Będą tu za trzy dni.

— W jakiej liczbie?

— Ponad czterech tysięcy jeźdźców.

— Gdzie się ukryją?

— W odległej dolinie, zwanej Doliną Jaskini.

— Znacie to miejsce?

— Nie. Ale jutro tam pojedziemy, żeby zorientować się w sytuacji. Najpierw chcieliśmy się panu pokazać.

— Jak to się stało, że was wpuszczono? Tutaj biali nie mają wstępu.

— Polecono nas panu Antoniusowi Paperowi.

— Kto was polecił?

— Kiktahan Szonka. Dzięki temu pozwolono nam wjechać.

— Gdzie mieszkacie?

— Właśnie u tego łajdaka Papera!

— Łajdaka? Dlaczego tak o nim mówicie?

— Bo nim jest! Chcieliśmy być wobec niego uczciwi. Przekazaliśmy mu wszystko co kazał mu przekazać Kiktahan Szonka. Udawał naszego najlepszego przyjaciela. Zatrzymał nas nawet u siebie. Ale podsłuchaliśmy jego rozmowę z agentem Eveningiem. Okazało się, że trudno o większego oszusta. Niech pan sobie wyobrazi, że Kik tahan Szonka, Paper i Evening chcieli skorzystać z naszych usług nie dając nam nic w zamian! Gorzej — kiedy przestaliśmy im być potrzebni, mieli nas po prostu usunąć! Czy to _w ogóle do pomyslenia?

— Nie tylko o tym pomyślałem, ale od dawna o tym wiem. Wiem też o innych sprawach, na przykład o tym, że Kiktahan Szonka w ten sam sposób zamierza potraktować Papera i Eveninga. Również oni mają zniknąć, kiedy uda się wielki skok. Sprzymierzeni wodzowie nie zamierzają niczego nikomu oddawać, lecz wszystko zatrzymać dla siebie.

— Ali devils! Jest pan tutaj jedynym uczciwym człowiekiem. Wszędzie kłamstwo i zdrada! Co mamy robić? Niech pan nam poradzi, mister Burton!

Moja rada była oczywista. Mieli pozostać u Papera, mieć oczy i uszy otwarte i informować mnie o wszystkim. Samo się okaże, co trzeba będzie zrobić później. Ta wizyta bardzo mnie upewniła co do braci. Zanim jednak odjechali, Zebulon zapytał z pewnym ociąganiem:

— Czy mógłbym wiedzieć, jak miewa się pani Burton?

— Dziękuję, świetnie — odparłem. — Często pana wspomina.

— Naprawdę?

— Owszem. Wydaje mi się nawet, że bardzo pana lubi. Jego twarz przybrała szczególny, szczęśliwy wyraz, który

usunął w cień wszystko, co można było pomyśleć złego o tym człowieku. Usta Zebulona poruszyły się jakby chciał coś powiedzieć, ale nie wyszło z nich ani jedno słowo.

Idąc w kierunku bramy musieli się rozstąpić przepuszczając jeźdźca. Rozpoznałem w nim wysokiego, dumnego Przywódcę dopiero co przybyłej do miasta grupy Indian. Nie zwracając uwagi na braci podjechał prosto do mnie, przyjrzał mi się i odezwał się krótko zdecydowanym tonem.

— Pierwszy raz cię widzę. Ty jesteś Old Shatterhand?

— Zgadza się — odparłem.

— Przyjeżdżam prosto do ciebie. Powiedziano mi, że tutaj czekasz, i że moja squaw jest przy twojej. Jestem Wakon. Przyprawiam wybraną młodzież mojego plemienia.

Jego twarz jaśniała radością spotkania. Zeskoczył z konia, pozdrowił mnie i objął jak starego, dobrego znajomego.

— Jestem twoim przyjacielem — powiedział. — Pozwól mi być także bratem. Gdzie moja i twoja squaw? Niech się z nimi przywitam!

Nie miałem najmniejszego pojęcia, gdzie należy szukać tak zwanej kuchni. Szczęśliwie pojawił się nasz olbrzymi Inczu-inta i zaprowadził nas na miejsce. "Kuchnia" mieściła się w piwnicy, za ogromną, otwartą halą. Spostrzeżono nasze przyjście. Poszukiwane przez nas osoby wyszły nam naprzeciw — Serduszko z podwiniętymi rękawami oblepionymi po łokcie surowym ciastem oraz Aszta — matka, również z podwiniętymi rękawami i rękoma błyszczącymi od tłuszczu, oliwy i tym podobnych produktów. Roześmieliśmy się wszyscy czworo. O dotykaniu się nie mogło być mowy. Dlatego przywitanie miało bardziej oficjalny charakter i zakończyło się powrotem żon do ich przyprowadzających o ślinkę łakomstwa zajęć.

Inczu-inta zajął się koniem Wakona. Ja natomiast czułem się w obowiązku zaprowadzić go do Tatella-Saty. W domu czarownika powiedziano nam, że należy go szukać w bibliotece. Znajdowała się ona w innym budynku. Pominę wzajemne powitanie między tymi tak znaczącymi osobistościami, jak również rozmowę, która bezpośrednio po nim nastąpiła. Potem Tatella-Sata poprowadził nas przez wszystkie pomieszczenia biblioteki do trzeciego i czwartego budynku. Mieściły one swego rodzaju świątynię oraz szereg obszernych komnat, w których zgromadzone zostały pamiątki minionych wieków i tysiącleci. Na dokładne oględziny nie mieliśmy czasu. Możliwe było jedynie szybkiej pobieżnej spojrzenie na bogactwo i wspaniałość, których istnienia żaden przedstawiciel nieamerykańskiej rasy nawet nie podejrzewa. W *Testamencie Winnetou* powrócę do tych miejsc. Będę miał czas opisać je tak, jak na to zasługują.

Wspomnieć chciałbym tylko o jednym: w świątyni zobaczyliśmy ogromną skórę "dawno już wymarłego lwa", o którym mówił w Domu Śmierci czarownik Komanczów. Zwierzę to musiało znacznie przewyższać rozmiarami swoich dzisiejszych krewniaków. Na skórze widoczny był napis. Obok wisiała skóra wielkiego orła-wojownika, o której mówił czarownik Kiowów.

Mimo iż spacer przez kolejne pomieszczenia nie dobiegł jeszcze końca, musiałem poprosić Tatella-Satę o zwolnienie nas z dotrzymywania mu towarzystwa. Już za kilka minut należało się spodziewać gości. Oczekiwałem obiadu w napięciu, a to z dwóch powodów: po pierwsze, ze względu na Old Surehanda i Apanaczkę, od których pojawienia się lub nie, bardzo wiele zależało; po drugie, ciekaw byłem dań i całego przebiegu tego niezwykle uroczystego posiłku. Sprawę etykiety powierzyłem Inczu-incie, który otrzymał od Tatella-Saty dokładne wskazówki. Poprosiłem też Wakona, by pomógł mi w przyjęciu gości tak, jak jego żona pomogła Serduszkowi w kuchni. Chętnie na to przystał.

Gości chcieliśmy przywitać nie tam, gdzie miało być podane do stołu, lecz w pomieszczeniu z fajkami pokoju. Ledwie tam stanęliśmy, przybyli pierwsi zaproszeni. Po nich szybko pojawili się następni. Jako ostatni przybyli Old Surehand i Apanaczka. Wszedłszy do sali zaczęli szukać mnie oczami. Kiedy spojrzeliśmy sobie w oczy, runęło nagle wszystko, co nas dzieliło — cały obecny spór rozwiązał się jak kamfora. Ruszyli ku mnie z okrzykami radości, uściskali i zapytali, czy nie mogliby usiąść po obu moich stronach. Jakaż to była dla mnie radość! Wiedziałem, że zdobyłem sobie na powrót ich serca.

Napełniono fajki. Teraz miałem zwrócić się do gości ze słowem powitania. Mówiłem krótko, lecz serdecznie. Ceremonii palenia fajki pokoju nie muszę opisywać. Każdy powiedział kilka słów. Kiedy rytuał dobiegł końca, należało zająć się głównym tematem dzisiejszego spotkania. W momencie kiedy miałem już wstać i powiedzieć na ten temat kilka słów, otworzyły się drzwi i do sali wszedł Tatella-Sata. Zgromadzeni podnieśli się z szacunkiem ze swoich miejsc. Zapaliłem fajkę i podałem czarownikowi. Wydmuchał sześciokrotnie dym i przemówił — tak krótko i zwięźle jak przemawia człowiek nawykły do sprawowania władzy:

— Ja jestem Tatella-Sata, wy zaś głosami ukochanego przeze mnie nade wszystko ludu. Wy macie rozbrzmiewać, ja będę słuchał. Najszlachetniejszym z członków tego ludu był Winnetou, wódz Apaczów. Jemu ma być wystawiony pomnik. Cóż to oznacza? Myśl Winnetou otrzyma zewnętrzną postać. Ma to być postać z żelaza lub kamienia. Ma stać na zimnym, samotnym szczycie góry. Dla nas jest to jednak postać z krwi i kości, nie martwa, a żywa. Każdy członek czerwonej rasy ma stać się kroplą jej gorącej, szlachetnej krwi. Tamten Winnetou wykuwany jest młotem, szlifowany pilnikiem, odlewany w formie. Nasz ma wyrosnąć z serc, które biją nam w piersiach. Cała czerwona rasa stać się ma jednym Winnetou wznoszącym się wysoko ponad wszelką przyziemność, ku jasnym wyżynom życia. Stać się ma dumą i radością dla wszechwielkiego i wszechjedyneho Manitou!

A zwracając się do Old Surehanda i Apanaczki mówił dalej:

— Wy i wasi synowie chcecie kamiennego Winnetou. Czy to rzecz właściwa czy błędna, tego nie chcę sam rozstrzygać. Sami to do społu z nami rozstrzygniecie. Budujecie waszego Winnetou obok wodospadu, abyśmy go zobaczyli i podziwiali. Dobrze! My prosimy, by wolno nam było uczynić to samo. Poznajcie naszego Winnetou! Powstanie on nie tylko przed waszymi oczyma, ale w was samych. Nie tylko go zobaczycie, ale i odczujecie. Wtedy porównacie obydwóch — naszego i waszego. Wtedy też będziemy wiedzieć, którego mamy wybrać. Kto się ze mną zgadza?

— Howgh! — odpowiedziałem.

— Howgh! — przytaknęli wszyscy, którzy do tej pory byli mojego zdania.

— Howgh! — zawołali nawet Old Surehand i Apanaczka, częściowo porwani pojawieniem się i elokwencją czarownika częściowo na skutek zwykłego niezrozumienia, w przeświadczeniu, że ich projekt i tak okaże się zwycięski. Tatella-Sata mówił dalej:

— Zapraszam was wszystkich do mnie dzisiaj wieczorem, jak tylko rozbłyszną gwiazdy. Niech przyjdą również młodzi artyści, Young Surehand i Young Apanaczka, którzy znają jedynie swego kamiennego, a nie żywego Winnetou. Niech poznają prawdziwą sztukę, która nie polega na tym, aby odtwarzać rzeczy ziemskie, lecz na tym, by w rzeczach ziemskich ukazywać rzeczy niebieskie. Dziś wieczorem usłyszą tego, którego chcą zakuć w kamień na szczycie góry. Dowiedzą się, czego on od nich oczekuje. A kiedy to się stanie, zapytamy ich, czy nadal obstają przy martwym wizerunku, czy wybierają raczej życie, ciało i krew. A więc czekam na wszystkich wieczorem. Powiedziałem!

Skinął nam ręką, obrócił się i wyszedł z pomieszczenia. Zapadła głęboka cisza świadcząca o tym, jak wielkie wrażenie wywarło jego wystąpienie. Wszedł Inczu-inta i oznajmił, że posiłek jest gotowy. Zgromadzeni poruszyli się i podążyli za wezwaniem białej i czerwonej gospodyni.

Serduszko zaskoczyła mnie podwójnie. Po pierwsze, założyła indiański damski strój z miękkiej skóry, ozdobiony perłami i frędzlami. Po "drugie zaś przyjęcie, jakie wraz z Asztą urządziła, przeszło moje najśmielsze oczekiwania, wiele par rąk musiało pracować nad indiańską dekoracją sali, a co do samego posiłku to został on przygotowany i podany z ogromnym wyrafinowaniem, choć nie zabrakło w nim smaków i dań, które zbulwersowałyby francuskiego czy angielskiego kuchmistrza. Ale właśnie te najśmielsze w moim pojęciu potrawy najbardziej wodziły smakowały, zresztą wszystko im odpowiadało. Kolejne dania znikwały jak kamfora. Nieustannie uzupełniano braki. Pojawiały się następne potrawy, a ich lista zdawała się nie mieć końca, wreszcie ten czy ów odłożył nóż uznając tym samym, że nie wytrzymuje już tempa. A trzeba wiedzieć, że czerwono-skorzy jedzą chętnie i dużo. I właśnie w momencie, kiedy jedzenie zdawało się dobiegać końca na stole pojawiła się cała góra naleśników nadziewanych przeróżnymi, nieprawdopodobnymi rzeczami. Temu nicponiowi Serduszku najwidoczniej obojętne było, czy ktoś umrze z przejedzenia byleby mu tylko smakowało. A nam smakowało! I zjedliśmy naleśniki! Dostojni wodzowie siedzieli teraz bez słowa, a z triumfalnych spojrzeń naszych gospodyń wyraźnie wynikało, że czują się zwyciężczyniami. Pokonanymi byliśmy my!

Oczywiście podczas jedzenia nieustannie toczyła się ożywiona rozmowa. Nic w tym dziwnego, jeśli zważyć, jakie osobistości i typy składały się na tę małą społeczność. Jak już wspomniałem, siedziałem między Old Surehandem i Apanaczką. Szybko opowiedzieliśmy sobie pokrótce, co się z nami w ciągu tych wszystkich lat działo. Dowiedzieli się również, w jaki sposób wszedłem w posiadanie ich mułów i koni. Ponieważ przede wszystkim zależało im na tym, by przekonać mnie do swych planów, to stało się w końcu jedynym tematem rozmowy. Nie dałem się jednak sprowokować. Nie zaprzeczałem im wprost, ale opowiadając

na przykład o tym, co wykopaliśmy na Nugget Tsil, niepostrzeżenie przygotowywałem grunt pod wydarzenia wieczoru. Old Surehand i Apanaczką jeździli ostatnio do kolejowej linii "Pacific" zaopatrującej w żywność i inne potrzebne artykuły miasto u podnóża Góry Winnetou. To także był interes, po którym obiecywano sobie wielkie zyski. Połączenie z koleją należało utrzymywać poprzez ożywiony ruch wozów towarowych i zwierząt jucznych. Jego organizowanie stawało się koniecznością w obliczu fali ludzkiej, jaka miała wkrótce dotrzeć do podnóża Góry Winnetou.

Po posiłku goście wrócili do swoich namiotów. Został z nami tylko Wakon wraz z żoną. My czworo bardzo się nawzajem polubiliśmy. Młoda Aszta pracowała w wieży strażniczej wraz z innymi robotnikami, które zatrudnił Młody Orzeł. Zaproponowałem, byśmy poszli go odwiedzić. Aszta natychmiast to podchwyciła prosząc, by poszedł z nami również Pappermann. Natomiast Wakon chciał zostać w pokoju Winnetou i przejrzeć testament. Przystałem na to chętnie. Zawołaliśmy Pappermanna i ruszyliśmy Przez las w stronę wieży.

Młody Orzeł ucieszył się na nasz widok i zaprowadził na płaski dach swego mieszkania. Stały tam tajemnicze obiekty i przybory, o których na razie wołałbym jeszcze milczeć. O ile się mogłem zorientować, chodziło o aparat do latania, ale nie znanej dotychczas, oryginalnej konstrukcji. Zdołałem rozpoznać tylko dwa cieniuteńkie, budowane właśnie skrzydła oraz dwie puste formy, coś w rodzaju kadłubów uplecionych z twardej jak stal, lecz bardzo lekkiej trzciny. Ponadto zauważyłem mały, dość lekki, lecz wydajny silnik, który Młody Orzeł przywiózł ze Wschodu. To ten właśnie silnik przydźwigał do Trinidad na plecach. Formy z trzciny nie były jeszcze gotowe. Wyglądało na to, że zadanie ich ukończenia wzięła na siebie młodsza Aszta.

Rozpościerał się stąd cudowny widok. Zostaliśmy więc na wieży tak długo, jak tylko mogliśmy. Potem wróciliśmy do mieszkania. Wakon tak bardzo pogrążony był w lekturze, że niemal nie zauważył naszego przyjścia. Widząc nas odłożył zeszyt, podniósł się i powiedział:

— Tak, to Winnetou we własnej osobie! Kiedy przeczytamy to wieczorem, podniesie się w nas olbrzymi i mocny, by powalić wszystkich naszych wrogów. Czuję go już w sobie — łagodnego, pełnego powagi, czystego i szlachetnego, dążącego wzwyż, ku tej doskonałości, jaka tylko tu na ziemi jest możliwa. To będą wspaniałe, twórcze narodziny w naszym wnętrzu. Nie chce ich bronić mojej squaw. Zabiorę ją ze sobą!

— Ja również chcę tam być — prosiła Serduszko. — A może kobiety nie mają wstępu na to zebranie?

— W zasadzie nie mają — odparłem. — Ale nikt nie ośmieli się was wyprosić. To nie będzie narada wodzów, bo zaproszeni są również Young Surehand i Young Apanaczka. Tam, gdzie im wolno być, tam i wy możecie przebywać.

Ledwie przebrzmiały moje słowa, w drzwiach stanęła Kolma Puszi. Oświadczyła, że Old Surehand, Apanaczka i ich synowie są już u Tatella-Saty. Przyjechała z nimi, aby się dowiedzieć, czy Serduszko i Aszta mają także zamiar wziąć udział w zebraniu. Jeśli tak, chciałyby się do nich przyłączyć. Oczywiście chętnie wyraziliśmy na to zgodę. Wychodząc na zebranie zabrałem ze sobą tylko dwa zeszyty testamentu.

Pozostali goście już czekali. Tatella-Sata kazał ich zaprowadzić do pomieszczenia z passiflorą, do którego udał się teraz razem z nami. Przygotowano tu siedzenia ze skór, a w górze zapalono świece zrobione z wosku dzikich pszczoł. Aby uchronić woń kwiatów przed zapachem licznych świec otwarto drzwi prowadzące na zewnątrz. Ja, jako lektor, zasiąść miałem na nieco wyższym siedzeniu otoczonym wieloma światłami. Zgromadzeni przywitani nas powstaniem. Obecność naszych żon uznali najwyraźniej za rzecz oczywistą. Tatella-Sata skinął ręką, by usiedli, po czym, stojąc, skierował do nich kilka słów tytułem powitania i wprowadzenia. Wyjaśnił cel spotkania oraz lektury, a także wezwał wszystkich do

skierowania swej uwagi do własnego wnętrza, aby nie umknęła jej obecność tego, któremu poświęcony był dzisiejszy wieczór. Zacząłem czytać. Pierwsze słowa brzmiały:

"Jestem Winnetou. Nazywają mnie wodzem Apaczów. Piszę to dla mego ludu. Piszę też dla wszystkich ludzi na ziemi. Manitou, wielki i dobry, rozciągnij swe ręce nad moim ludem i wszystkimi jego przyjaciółmi!"

Słowa powyższe przywitane zostały — chciałoby się rzec pełnym świętej bojaźni poruszeniem.

— Winnetou... Winnetou... -zabrzmiały ściszone głosy-

Czytałem dalej. Mój niezrównany brat tak jak mówił, tak i pisał właściwym swym pobratymcom zwięzłym, treściwym stylem. Ważkie, podnoszące i porywające były to słowa! Dosłowne ich brzmienie stanie się powszechnie znane, kiedy wydam testament drukiem. Nasze wewnętrzne oczy ujrzały duszę chłopca Winnetou będącą zarazem duszą młodej niegdyś indiańskiej rasy. Rozwijała się ona wzrastała. Jej losy były jednocześnie losami całego narodu. W pierwszym zeszycie Winnetou opisywał swoje dzieciństwo; w drugim lata młodzieńcze. Siedziałem dokładnie naprzeciw otwartych drzwi. Kiedy w pewnej chwili uniosłem wzrok znad kartki, zobaczyłem przez nie, na zewnątrz jakąś postać. Siedziała pod gołym niebem przysłuchując się. Był to ktoś młody, kogo twarzy nie mogłem jednak rozpoznać. Długie włosy spływały mu na ramiona i plecy. Czy mógł to być Winnetou, który zstąpił z wyższego świata, by usłyszeć, jak przemówił jego testament?

Zgromadzeni przysłuchiwali się z największą uwagą. Ich oczy śledziły każde poruszenie moich warg. Od czasu do czasu wyrwało się komuś głośniejsze lub cichsze "Uff!". Panowało ogromne napięcie, które zamiast zmniejszać się rosło coraz bardziej. Postać na zewnątrz siedziała bez ruchu całkowicie zauroczona płynącymi z moich ust słowami. Czytałem do północy. Próbowałem wtedy przerwać, ale mi nie pozwolono. Żaden z obecnych się na to nie zgodził.

— Czytaj dalej! — rozbrzmiało ze wszystkich stron.

Wakon zapytał, czy może mnie zastąpić. Oddałem mu zeszyt. Czytał jeszcze parę godzin, aż na zewnątrz rozjaśniło się i w siedzącej przed drzwiami postaci rozpoznałem Młodego Orła. Wstałem i zaproponowałem zakończenie spotkania. Najbliższy wieczór wydawał się odpowiedniejszą porą dla lektury. Wodzowie przystali na moją propozycję tylko pod warunkiem, że wraz ze zmierzchem znowu rozpoczniemy czytanie. Wszyscy powstali z miejsc. Nikt nie mówił ani słowa, gdyż każde zdawałoby się teraz Profanacją. Tatella-Sata wskazał na wschód i powiedział:

- Moi bracia widzą na wschodzie nowy dzień, który w języku ludzi nazywany jest porankiem. Również we mnie, a jeśli taka była wola Manitou, i w was zajaśniał nowy dzień, piękniejszy od innych przeszłych dni. Myślę o nowym wielkim, wspaniałym dniu czerwonego ludu. Narodził się w was w te poświęcone Winnetou godziny. Czy czujecie go w sobie? I czy czujecie gdzieś głęboko ducha tego, którego testament zgromadziliśmy się tutaj wysłuchać i wypełnić? Czy czujecie jak chce rosnąć w was jego wizerunek?

— Czuję go! — odparł Atabaska.

— Tak, czuję go! — zawołała w zachwycie Aszta.

— Czujemy go! Czujemy go! — potwierdzili pozostali.

Nawet Old Surehand i Apanaczka kiwali na potwierdzenie głowami. Tylko ich synowie się nie odzywali. I na nich to, co usłyszeli, zrobiło ogromne wrażenie. Wiedzieli jednak, że im bardziej pozwalają na siebie oddziaływać tym słowom, tym mniej realne stają się ich zamierzenia. Dlatego stłumili słowa cisnące się im na usta.

— Czy moi bracia przyjdą wieczorem? — zapytał Tatella-Sata. — Będę ich oczekiwał o tej samej porze.

— Przyjdziemy — zapewnił Algongka.

— Tak, przyjdziemy! — powiedziała Kolma Puszi, teraz już całkowicie po naszej stronie.

— Przyjdziemy! Przyjdziemy! — rozległy się wołania. Tym razem usłyszałem wśród nich również głosy obu młodych artystów.

Wszyscy rozeszli się. Przed pójściem spać Serduszko wyznała mi:

— Czy wierzysz, że czuję w sobie obecność czegoś, czego przedtem we mnie nie było?

— Wierzę. Nie musimy zresztą mówić zagadkami. Zaszczepiona nam została myśl Winnetou i czy będziemy tego chcieli, czy nie, zdobędzie nas dla siebie. Dobranoc, Serduszko!

— Dobranoc! Wydaje mi się, że zwyciężymy...

Lektura testamentu odbywała się teraz codziennie i działała cuda. Za największy z nich, należy poczytać fakt, że Young Surehand i Young Apanaczka nie mogąc się doczekać dalszego ciągu zawsze zjawiali się pierwsi. Choć bardzo nas to wszystkich cieszyło, udawaliśmy, że nie dostrzegamy ich entuzjazmu. Oni zaś bez względu na całe moje zainteresowanie dla duchowego wizerunku Winnetou nie przerywali pracy przy budowie swego kamiennego pomnika. Rósł szybko, gdyż składano go z przygotow^{an}ych uprzednio bloków. Pomiędzy nami a nimi rysował się jakby wyścig o to, który wizerunek stanie pierwszy — kamienny czy czysto duchowy.

Wieczorem, w trzy dni po pierwszych odwiedzinach obu braci przyjechał do mnie Hariman. Nie chcąc być zauważony przybył po zapadnięciu ciemności. Tego samego dnia, na krótko przed zmierzchem, w dolnym mieście zjawili się jacyś nowi przybysze. Z ożywienia, jakie towarzyszyło ich przyjazdowi, wnioskować było można, że nie są to zwykli goście. Oczywiście nie mogliśmy znać ich imion. Hariman przyjechał specjalnie, by powiedzieć, o kogo chodzi. Rozmawiałem z nim w obecności mojej żony.

— Czy wie pan, kto przyjechał przed wieczorem? — zapytał nasz niespodziewany gość.

— Nie — odparłem.

— Pańscy śmiertelni wrogowie. Czterej sprzymierzeni wodzowie.

— Doprawdy? Czy przyjechali sami?

— Z trzydziestoma najwyżej wojownikami.

— Bez młodszych wodzów?

— Bez.

— Co za nieostrożność z ich strony! Bardzo łatwo z tego wywnioskować, co zamierzają! Młodszy wodzowie normalnie towarzyszą starym, a jeśli nie, sprawa staje się podejrzana. W tym przypadku są oczywiście z czterema tysiącami wojowników, których posłano do Doliny Jaskini.

- Tak! Ale nie to jest najważniejsze! Przede wszystkim starzy chcą pana wyzwą rano na pojedynek! - O, to wielce interesujące! Tu natychmiast wtrąciła się Serduszko:

— To nie tylko nie jest interesujące, ale oburzające i w najwyższym stopniu niebezpieczne! Kim jest człowiek który chce zabić mojego męża?

— To nie człowiek, a czterech ludzi — odparł zapytany

— Co! Czy dobrze słyszę? Czterech ludzi?

— Tak. Kiktahan Szonka, Tusahga Saricz, Tangua i To-kei-czun.

— Czy mają zamiar bić, dźgać i kroić mojego biednego męża jednocześnie?

— Tylko strzelać, droga pani.

— Ach, tak! Tylko strzelać! Rzeczywiście drobnostka! Wszyscy czterej jednocześnie?

— Nie. Jeden po drugim.

— Wypraszam sobie! Patrzcie co za takt — jeden po drugim! Jak do dzikiej kaczki albo rzutków! Jeśli nie trafi jeden, trafi drugi! Dziękuję! Z takiej zabawy nie wychodzi się żywym!

— O to im właśnie chodzi! Chcą koniecznie pozbyć się Old Shatterhanda. Zaspokoić swą żądzę zemsty. Ponadto uratowany zostanie kamienny Winnetou. Wszyscy są zdania, że Old Shatterhand jest jedynym poważnym przeciwnikiem budowy. Jeśli on zginie, przy pomocy czterech tysięcy wojowników wszystko da się przeprowadzić.

— Ale on nie zginie! -przerwała mu ze złością Serduszko. Najpierw wystrzelam jednego za drugim te cztery tysiące wojowników, a potem...

Zatrzymała się i uświadomiwszy sobie sens własnych słów wybuchnęła wesołym śmiechem. I ja roześmiałem się głośno. To rozładowało jej wzburzenie, tak że mogliśmy dalej spokojnie rozmawiać.

Czterej nieprzejednani wodzowie rzeczywiście postanowili wyzwać mnie do prawdziwej indiańskiej walki na śmierć i życie. Należało oczekiwać, że będą starali się podyktować takie warunki, bym nie zdołał ująć z niej z życiem. W obecnej jednak chwili wypadało tylko czekać na dalszy rozwój wypadków. Aż do zaznajomienia się warunkami pojedynku nie można było ani nic zrobić, ani postanowić. Wyzwanie przekazać miał mi Pida, syn Tanguy Jak wiadomo, darzył on mnie sympatią, co pozwalało mieć nadzieję, że pomoże mi ująć niebezpieczeństwu.

Kiedy powiedziałem o tym Serduszkowi, całkiem się już uspokoiła i zdobyła nawet na następującą uwagę:

— Ta sprawa jest bardziej zabawna niż niebezpieczna. Czterech łotrów potężnie się skompromituje. Wystarczy, że zachowasz się jak mężczyzna.

— Hm! Co masz na myśli? — spytałem zaciekawiony.

— To bardzo proste: jesteś przecież przeciwnikiem pojedynków.

— Nawet zdecydowanym!

— No właśnie! Kiedy cię wyzwa na pojedynek, powiesz: Nic z tego, jestem przeciwnikiem pojedynków! Będą musieli odejść ze wstydem!

— Hm! — uśmiechnąłem się. — Ale mówisz przecież, że mam zachować się jak mężczyzna?

— Oczywiście! Czy nie jest po męsku otwarcie i jasno oznajmić, że jest się przeciwnikiem pojedynków?

— Z pewnością! Co do mnie, jestem gotów zachować się jak mężczyzna, a nawet jak dwóch mężczyzn!

— Dwóch mężczyzn? — zapytała żona. — To brzmi podejrzenie. Kiedy zaczniesz mówić w ten sposób, to coś na pewno nie gra! Zaniepokoileś mnie!

— Dlaczego? Czy naprawdę takie tylko wywołać mogłem w tobie uczucia, jeśli w ogóle jakiegokolwiek już wywołać musiałem? Oświadczę temu Pidzie całkiem po męsku, że jestem przeciwnikiem pojedynków. I równie po męsku dodam, że mimo to chętnie strzelał się będę z wszystkimi czterema wodzami. Czyż nie będzie tego za dwóch mężczyzn?

— Nie za dwóch mężczyzn, a za dwóch chłopców! Mam nadzieję, że żartujesz!

— Żartuję, ale jednocześnie mówię poważnie. Jeśli mam być szczerzy, wyzwanie choć

traktowane przez drugą stronę z absolutną powagą, uważam za błazeństwo i tak też na nie zareaguję. Co zrobię, tego w tej chwili jeszcze nie wiem. Niech przyjedzie najpierw Pida. Wtedy usłyszysz moją odpowiedź!

— Nie uważasz więc tej sprawy za niebezpieczną.

— Nie.

— I sądzisz, że ujdiesz z życiem?

— Oczywiście!

— O tym pomyśleli również wodzowie — wtrącił się Hariman. — Nie lekceważą pańskiego sprytu. Dlatego wezwali mnie i brata, i powiadomili o zamiarze wyzwania pana na pojedynek. Jeśli wyjdzie pan z niego żywy, my — ja i mój brat — mamy się z panem rozprawić. Z panem i z pańską żoną...

— Ze mną również? — wpadła mu w słowo Serduszko. — Zgodziliście się to zrobić?

— Oczywiście!

— Ale nie naprawdę?

— Nie naprawdę — potwierdził. — Nie mamy najmniejszego zamiaru podnosić na panią ręki. Pozostaniemy pani wierni. Będziemy pani raczej strzec!

— Wierzę, że tak jest — powiedziała do głębi poruszona.

— Czy to prawda? — zapytał z rozjaśnioną twarzą.

— Tak, prawda — odparła.

— A pan, mister Shatterhand?

— Ja też w to wierzę — przytaknąłem.

— Bardzo się cieszę! Niezwykłe się cieszę! Gotów jestem nawet udowodnić, że jesteśmy względem was uczciwi. Zadbałem o dowód. Niepodważalny dowód. Mam przy sobie coś w rodzaju umowy.

— Na piśmie? — zapytałem.

— Tak.

— Niewiarygodne! Umowy z kim?

— Z czterema wodzami. Podpisanej przez świadków Eveninga i Papera. Oto ona.

Podał mi kawałek papieru. Była to właściwie nie tyle umowa co obietnica zapłaty, której cała racja bytu polegała na tym, że zarówno bracia, jak i podpisani świadkowie mieli paść wkrótce ofiarą zleceniodawców. Uznałem za niemożliwe, by tego rodzaju dokument mógł być celowo podsunięty przeciwnikowi. Miał znajdować się w posiadaniu braci przez ten tylko krótki czas, kiedy byli użyteczni, a potem zostać im odebrany. Po przeczytaniu chciałem go oddać Harimanowi, ale ten zapytał:

— Czy to może się panu przydać?

— Nawet bardzo — odparłem.

— A więc niech pan to uważa za swoją własność.

— Dziękuję! Rzeczywiście udowodnił mi pan swą uczciwość. A gdzie Zebulon? Dlaczego nie przyjechaliście razem?

— Bo chcemy utrzymać wszystko w jak największej tajemnicy, a dwóch ludzi łatwiej jest zauważyć. Jeśli będzie znowu coś do przekazania, może on przyjedzie. A teraz proszę pozwolić mi już jechać z powrotem.

— On jest naprawdę względem nas uczciwy — powiedziała Serduszko po wyjściu

Harimana.

— Oby podobnie było z jego bratem — powiedziałem.

— Nie sądzę, aby żywił wobec mnie jakieś wrogie zamiary.

— Wobec ciebie, owszem — nie! Ale co ze mną? Nie pała do mnie wielką miłością. To wiem na pewno. Nie obawiam się, że wystąpi przeciw mnie tylko dlatego, że tym samym wystąpiłby przeciw tobie. Jak wszędzie tak i tutaj znajduję się pod twoją kuratelą!

— Przyda ci się ona! — zażartowała Serduszko. — Szczególnie jutro rano, kiedy wodzowie będą kolejno starać się ciebie trafić! Tylko proszę, bez zbytniej lekkomyślności! Nie wolno ci zginąć! Należysz nie tylko do siebie, ale i do mnie!

Nazajutrz zjawili się u mnie dwaj Kiowowie i oświadczyli, że Pida, ich wódz, chce ze mną rozmawiać. Pytali, kiedy gotów jestem go przyjąć. Umówiłem się z nim w południe, w porze obiadu. Kiedy Kiowowie odjechali, kazałem Inczu-incie poprosić o przybycie do mnie kwadrans przed dwunastą wszystkich bywalców wieczornych czytań. Kiedy się zjawili poinformowałem ich pokrótce o całej sytuacji, zyskując w ten sposób maksymalną liczbę świadków.

Pida przybył z wielkim orszakiem. Do środka wpuszczony został jednak tylko on sam, jako że nikt z pozostałych nie piastował wodzowskiej godności. Młody wódz próbował ukryć swe zaskoczenie na widok tak wielkiej liczby zgromadzonych. Spodziewał się zastać mnie samego. Były wśród nas również Serduszko, Aszta i Kolma Puszi. Na widok Pidy wstałem z mego miejsca, wyszedłem mu naprzeciw i powiedziałem:

— Pida, wódz Kiowów, zdobył kiedyś moje serce. Do dziś go nie utracił. Nie wiem jednak, czy dzisiaj mogę mówić z nim językiem serca. Niech on sam powie, w jakim charakterze przybywa — czy jako gość, aby mnie powitać, czy jako wysłannik swego ojca, który poskapiłby mi nawet najmniejszego pozdrowienia?

Kiedy ostatni raz widziałem Pidę był młodzieńcem. Teraz liczył sobie już ponad pięćdziesiąt lat. Jego rysy zaostrzyły się, ale nie utraciły sympatycznego wyrazu. Pida spoglądał na mnie przyjaźnie, ale kiedy zaczął mówić, w jego głosie brzmiała ogromna powaga:

— Old Shatterhand wie, czy Pida go kocha, czy nienawidzi. Przychodzę jednak dzisiaj jako wysłannik mego ojca i jego sprzymierzeńców.

— A więc niech Pida usiądzie i przemówi!

Mówiąc to wróciłem na swoje miejsce i wskazałem mu miejsce naprzeciw siebie. On jednak nie chciał usiąść i powiedział:

— Pida musi stać. Tylko pokój spoczywa. Staję przed Old Shatterhandem jako wysłannik czterech sławnych wojowników, których imiona brzmią: Tangua — wódz Kiowów, To-kei-czun — wódz Komanczów Rakurro, Tusahga Saricz — wódz Utahów Kapotę, Kiktahan Szonka — najstarszy wódz Siouxów. Wiele wiosen i zim minęło od czasu, kiedy Old Shatterhand wzbudził w nich pragnienie usunięcia go spośród żyjących. Umknął im wtedy. Żyje do dzisiaj. Do dziś trwa jednak także jego nie odpokutowana wina. Zapomniał o niej. Sądził, że i oni zapomnieli. Odważył się przybyć do ich kraju i wejść na ścieżki, po których nie wolno mu chodzić. Tym samym wydał się w ręce swoich nieprzyjaciół. Stał się ich własnością. Musi umrzeć. Ponieważ jednak czasy pała męczarni już przeminęły, wodzowie chcą okazać swą szlachetność i litość. Chcą mu dać możliwość ratunku przed zasłużoną śmiercią. Chcą z nim walczyć. Przyszedłem go do tej walki zaprosić i wezwać. Jaka jest jego odpowiedź? Wstałem i powiedziałem:

— Przeminęły już nie tylko czasy pała męczarni, ale i długich przemów. Moja odpowiedź

będzie krótka. Nigdy nie byłem nieprzyjacielem żadnego czerwonego męża. Nie zasłużyłem ani na nienawiść, ani na śmierć. Ani nie chodzę po zakazanych ścieżkach, ani nie czuję się wydany w ręce nieprzyjaciół. Przeminięły czasy zabójstw, bijatyk i pojedynków. Zestarzałem się i nabrałem rozważli. Potępiam każdy rozlew krwi. Jestem przeciwnikiem pojedynków...

Serduszko dotknęła mnie ukradkiem i szepnęła do ucha:

— Bardzo dobrze! Bądź mężczyzną!

Możliwe to było tylko z tego względu, że stała tuż obok mnie. Mówiłem dalej:

— Znając jednak sławę wodzów i szanując ich siwe włosy nie chciałbym obrazić ich odmową. Gotów więc jestem zmierzyć się z nimi.

— Oszalałeś? — usłyszałem szept Serduszka. Głos zabrał ponownie Pida:

— Old Shatterhand przeżył już wiele lat. Nigdy nie znał strachu. Niech jednak działa rozważnie! Warunki, jakie stawiają wodzowie są trudne i nieubłagane. Będzie on mógł postawić również swoje, ale nie może oczekiwać, że...

— Nie stawiam żadnych warunków — przerwałem mu szybko. — Zgadzam się na wszystko, czego żądają wodzowie.

Spojrzał na mnie niepewnie i zapytał:

— Czy Old Shatterhand mówi poważnie, czy tylko żartuje?

— Mówię poważnie.

— A więc niech powie to jeszcze raz. Najpierw jednak niech usłyszy, czego żądają wodzowie. Bronią ma być strzelba... Old Shatterhand ma walczyć z każdym spośród czterech wodzów... O kolejności zadecyduje rzucenie losów... Strzelać będzie się na siedząco... Każdy odda jeden strzał... Przeciwnicy usiądą naprzeciw siebie w odległości tylko sześciu kroków... Pierwszy strzał należy zawsze do starszego... Drugi musi paść dokładnie minutę po pierwszym... Pojedynek trwać będzie do śmierci przeciwnika... Jeśli po czterech strzelaniach Old Shatterhand będzie jeszcze żył, pojedynek zacznie się na nowo... Oto warunki. Niech Old Shatterhand je rozważy!

Po wymienieniu każdego z warunków Pida robił przerwę i przyglądał mi się badawczo, a nawet z pewną troską. Odpowiedziałem:

— Już je rozważyłem! Kto daje sygnał do strzału?

— Przewodniczący komitetu.

— Jak długo trzeba czekać z drugim strzałem, jeśli nie pada pierwszy?

— Nie pada? Wszyscy wodzowie starsi są od Old Shatterhanda, który nie ma jeszcze siedemdziesiąt lat. Żaden z nich nie będzie zwlekał z oddaniem strzału. Wystrzelą, jak tylko padnie komenda.

— Tego nikt nie może w tej chwili powiedzieć. Widziałem już, jak dzieją się rzeczy uznawane przedtem za niemożliwe. Pytam więc: skoro każdy z wodzów ma pierwszy strzał, jak długo mam czekać ze swoim, jeśli mój przeciwnik będzie zwlekać?

— Dokładnie minutę od chwili, kiedy powinien był paść!

— Rozumiem. Gdzie należy mierzyć?

— W serce, w samo serce.

— W żadną inną część ciała?

— W żadną inną!

— Gdzie odbędzie się pojedynek?

— Na pograniczu górnego i dolnego miasta. Miejsce zostanie wytyczone.

— Kiedy mam się stawić?

— Na godzinę przed zachodem słońca za Górę Winnetou.

— Kto dopilnuje, by warunki pojedynku zostały ściśle dotrzymane?

— Po dwie osoby z każdej strony. Wodzowie wybrali sobie agenta Williama Eveninga i bankiera Antoniusa Papera. Old Shatterhand ma również wybrać sobie dwóch ludzi!

— Wybieram więc mojego przyjaciela i brata Matto Szahko, wodza Osagów oraz mojego przyjaciela Wagare-Teja, wodza Szoszonów. Będą przy mnie i natychmiast zastrzelą każdego z wodzów, który mierzyłby gdzie indziej niż w moje serce. Czy Pida, ich wysłannik, na to wszystko się zgadza?

— Zgadzam się — odparł zapytany. — A Old Shatterhand?

— Przyjmuję wyzwanie na omówionych przed chwilą warunkach.

— Na Boga! — zaszepotała Serduszko tak głośno, że wszyscy ją usłyszeli. — Nie dopuszczę do tego! Jesteś stracony!

Szczęśliwie odezwała się po niemiecku i nikt jej nie zrozumiał.

— Czy Old Shatterhand ma mi jeszcze coś do powiedzenia? — zapytał Pida.

— Tyle tylko, że zjawię się tam punktualnie razem z moją strzelbą. Pida, wódz Kiowów, przekazał przesłanie, z którym przyszedł. Może odejść!

Kiowa pozdrowił mnie ruchem ręki i obróciwszy się poszedł w kierunku drzwi. Zanim jednak w nich zniknął, przystanął i zastanowiwszy się przez chwilę wrócił do mnie szybkim krokiem, chwycił za obie ręce i ze zmienioną twarzą powiedział:

— Pida kocha Old Shatterhanda. Nie chce, by umarł, lecz by żył i był szczęśliwy. Czy Old Shatterhand nie może nic zmienić w tym pojedynku, który skończyć się może tylko jego śmiercią?

— Mogłbym, ale nie chcę — odparłem. — Pida jest moim bratem, a ja jestem bratem Pidy. Ten pojedynek nie zakończy się moją śmiercią. Old Shatterhand nie rzuca słów na wiatr. Niech Pida uwierzy mi teraz, tak jak kiedyś mi uwierzył! Nie zabije mnie żaden Komańcz, Kiowa, Utah czy Sioux! Już wkrótce wszyscy oni będą naszymi przyjaciółmi. Uwierz mi, proszę!

— Wierzę i życzę sobie tego — zapewnił. — Old Shatterhand mówi tajemniczo, ale każde jego słowo ma swoją przyczynę i cel. On widzi i słyszy to, czego inni nie dostrzegają. Dlatego z góry wie o rzeczach, o których inni wiedzieć nie mogą. Powiedziałem! Odchodzę!

Uścisnąłem mu ręce i pocałowałem w czoło. Jego oczy błyszczały. Pożegnał się ze wszystkimi i wyszedł z podniesioną głową.

Nie trudno sobie wyobrazić, ile się teraz na mnie posypało pytań. Nie mogłem jednak odpowiedzieć na nie w sposób zadowalający. Jeśli nie chciałem narażać na szwank całego planu, musiałem milczeć. To spotęgowało tylko napięcie obecnych. Rozchodząc się ponieśli je z sobą do miasta. Przed Serduszką jednak nie miałem prawa mieć tajemnic. Musiałem ją uspokoić. Powiedziałem jej, że mam pancerz, którego nie zdoła przebić żadna kula. Pancerzem tym są amulety, które zabrałem z Domu Śmierci. Żaden Indianin nie odważy się uszkodzić własnego amuletów. Umrze raczej, a tego nie uczyni. Amulet Kiktahana Szonki składał się z pasa i psich łapek, które znalazłem na Diabelskiej Ambonie. Amulety trzech pozostałych wodzów zaszyte były w skórzanych woreczkach. Związałem przymocowane do nich rzemyczki w ten sposób, że założywszy na szyję miałem woreczki dokładnie na wysokości serca. Wraz z tym skończyło się moje przygotowanie do tego niebezpiecznego na

pozór spotkania. Dowiedziawszy się o wszystkim Serduszko natychmiast się uspokoiła, a nawet zaczęła cieszyć perspektywą "pojedynku".

Wkrótce już dostrześliśmy w mieście oznaki ożywienia. Wytoczano plac do pojedynku, przygotowywano miejsca dla setek widzów. Wzmożony ruch panował zarówno w dolnym, jak i w górnym mieście. Ludzie odwiedzali się i nie rozmawiali o niczym innym jak tylko o zbliżającej się walce na śmierć i życie pomiędzy Old Shatterhandem a czterema słynnymi wodzami. Mówiono, że szaleństwem było przystać na tak krwawe warunki, co inni odpierali argumentując, iż nie raz już pokazałem, jak bardzo moje myśli i postępowanie odbiega od ustalonych wzorów i że z sędami zaczekać należy do końca pojedynku. Krótko mówiąc sprawa była na ustach wszystkich i oczywiście usłyszeć o niej musiał również Tatella-Sata, choć osobiście o niczym go nie informowałem. Po obiedzie zjawił się u mnie. Byłem z Serduszką. Czarownik nie chciał usiąść. Powiedział, że ma jeszcze coś pilnego do załatwienia. Potem popatrzył na mnie badawczo i zapytał:

— Będiesz strzelać się z wodzami?

— Nie — odparłem.

Uśmiechnął się na to wesoło i powiedział:

— Tak myślałem! Old Shatterhand nie jest samobójcą! Ale przybędziesz punktualnie na plac?

— Tak.

— Nie będę pytał, co zamierzasz. Jesteś panem samego siebie i nie musisz pytać nikogo o pozwolenie. Ale ja też się tam zjawię!

— Sam czy z twoimi Winnetou?

— Jak wolisz.

— Przyjdź sam. Niech ludzie zobaczą, że potrafimy zwyciężać sami, a nie tylko wielkim wojskiem.

— Czy dziś wieczór także będziesz czytał?

— Tak. Dzisiejszy dzień niczym nie różni się od innych. Cały ten pojedynek jest błazeństwem i farsą, choć w pewnym sensie również czymś bardzo poważnym.

— Oby ta farsa nie skończyła się inaczej niż przewidujesz.

Poszedł, uściskawszy nam przedtem obojgu ręce. W niedługi czas potem zobaczyliśmy go na dole, w mieście. Oglądał plac walki i zdawał się wydawać jakieś rozkazy. Byli z nim nasi zaprzyjaźnieni wodzowie. Tymczasem ja z żoną udałem się na spacer, ale nie w kierunku miasta, lecz doliną ku wodospadowi. Także tutaj panował ożywiony ruch jednak o innym charakterze i celu. Wbijano w ziemię wysokie słupy. Przeciągano druty i liny. Tu i ówdzie leżały całe sterty papierowych lampionów, a poza tym kable elektryczne, żarówki i szklane żyrandole najróżniejszych kształtów. Ustawiano aparaty fotograficzne. Jakiś inżynier, również Indianin, zajęty był umieszczaniem na jednej z "diabelskich ambon" wielkiego projektora. To wzbudziło ogromne zainteresowanie Serduszki, która bardzo lubi fotografować i zawsze chętnie dowiaduje się czegoś nowego. Mnie bardziej od aparatury interesowały zawsze obiekty, ku którym się ona kieruje. Dlatego jeśli idzie o fotografię, w ocenie Serduszki, znajduję się daleko w tyle za innymi autorytetami. Żona doskonale zdaje sobie sprawę, że na tym polu przerasta mnie o głowę. To jej wystarcza. Dodatkowo uspokaja ją świadomość, że nie mam najmniejszego zamiaru wkraczać w jej królestwo. Czuje się w nim bardzo pewnie i często zachowuje się tak, jakby mnie w ogóle obok nie było. Bardzo chętnie pozostawia mnie sobie samemu i moim zdolnościom w innych dziedzinach. Także teraz po prostu pośpieszyła wielkimi krokami naprzód przesłuchać inżyniera. Tak —

przesłuchać, bo inaczej nie da się tego nazwać. Serduszko potrafi wyciągnąć z człowieka wszystko! Usiadłem więc i zacząłem obserwować wracając wokół mnie pracę.

Co było jej celem? Już przedtem słyszałem o planach oświetlenia pomnika. Powiedziałem wtedy, że prędzej normik zapadnie się w ziemię, niż dopuszczyć do takiej profanacji pamięci o moim najdroższym przyjacielu i bracie. Czyżby to, co obserwowałem dookoła, stanowiło przygotowanie do iluminacji? Przecież pomnik nie był jeszcze gotowy! Budowę doprowadzono do wysokości barków. Brakowało szyi i głowy. I, o dziwo! Kiedy tak zastanawiałem się patrząc na pomnik, wydało mi się nagle, że kamienna postać nie stoi pionowo, lecz przechylona jest w jedną stronę. Spróbowałem popatrzeć na nią z innych punktów, i ciągle dochodziłem do tej samej konkluzji. Jak czytelnik pewnie sobie przypomina, ostatnim razem przypatrywałem się figurze z zakrętu drogi. Wydawało mi się wówczas, że poza jedną, wszystkie pionowe belki rusztowania stoją ukośnie. Poszedłem teraz na to miejsce na zakręcie. I rzeczywiście — zarówno rusztowanie, jak i pomnik pochyliły się w jedną stronę, nieznacznie, ale w sposób wyraźnie dla mnie dostrzegalny. Nie miałem już najmniejszych wątpliwości. Belka, która poprzednio tkwiła pionowo w ziemi przechyliła się w prawo, a z nią również, jeszcze bardziej, pozostałe słupy podtrzymujące rusztowanie.

Przestraszyłem się. Natychmiast przyszedł mi na myśl rysy i pęknięcia, które zauważyłem pod ziemią, w sklepieniu jaskini. Pomyślałem o sypiających się z nich piasku i okruchach skalnych. Czyżby pomnik stanowił zbyt wielki ciężar dla sklepienia. Czyżby nie było ono w stanie utrzymać kolosa? Groziła nam wielka katastrofa! W tym momencie wróciła do mnie Serduszko. Wypytała inżyniera o wszystko. Chodziło na razie o przygotowanie próbnego oświetlenia, którego działanie miało być sprawdzone jutro wieczorem. Na tę próbę zostali zaproszeni wszyscy mieszkańcy miasta.

— A jaką rolę ma spełniać ten wielki projektor? — zapytałem.

— Będzie wyświetlał zdjęcia Young Surehanda i Young Apanaczki na powierzchni Całunu, po obu stronach pomnika. Twórcy obok swego dzieła!

— Tego już za wiele! — zawołałem.

— Cóż możesz zrobić? — zapytała.

— Zabronić im tego! To wystarczy!

— Niby tak... Nawet jeśli nie będą chcieli posłuchać twych słów, będziesz potrafił je czymś odpowiednim wzmocnić. Ale może zastanów się jeszcze! To tylko próba! Czy nie lepiej do niej dopuścić i z działaniem poczekać aż do samego przedstawienia?

— Tak, może masz rację. Sądzę zresztą, że cała sprawa nie jest już w naszych rękach. Włączyła się w nią siła daleko nas przerastająca.

— O czym mówisz?

— Przypatrz się uważnie pomnikowi i powiedz, czy stoi prosto.

Przyjrzała mu się dokładnie i powiedziała:

— Prosto! Przecież nie budowano by go krzywo!

— Celowo na pewno nie. Ale mimo to on stoi krzywo. Nie zauważasz tego, bo nie masz tak wprawneho oka, a odchylenie jest bardzo nieznaczne. Ale spójrz na linię wody spadającej z wodospadu...

Serduszko przerwała mi:

— Krzywo! Stoi krzywo! O mój Boże, czyżby zapadał się pod ziemię?

— Tego na razie nie da się stwierdzić. Musimy zaobserwować czy odchylenie powiększa się i w jakim tempie. Dziś nie mam na to czasu, ale jutro zejdę do jaskini i przypatrzę się

jeszcze raz sklepieniu.

— Czy to nie będzie niebezpieczne?

— Nie. .

— Ale przecież uważasz zapadnięcie się sklepienia za możliwe!

— Nie tylko za możliwe, ale nawet za całkiem prawdopodobne. Myślę jednak, że ani dziś, ani jutro jeszcze do nie dojdzie. Pochylenie musi się przedtem znacznie powiększyć. O tym wszystkim jednak nikomu ani słowa.

— Nikomu?

— Nikomu.

— Nawet Tatella-Sacie?

— Nawet jemu. Chcę sam pokierować tą sprawą. Ktokolwiek w nią wkroczy, będzie mi przeszkadzał, a może nawet wszystko popsuje.

— Czy wiesz, co na siebie bierzesz.

— Tak. Zgadza się, że niemało. Ale sądzę, że dam sobie radę. Chodź, Serduszko! Na nas już czas. Nie mogę się spóźnić ani minuty na pojedynek.

— I tu niestety nie jestem całkiem wolna od obaw — westchnęła.

— A mogłabyś! Będziesz miała o wiele więcej powodów do śmiechu niż do przestachu!

Kiedy wróciliśmy do Twierdzy, Tatella-Sata przysłał nam wiadomość, że osobiście nas odprowadzi na plac walki. Również od wodzów przybył goniec z wieścią, że przyjadą do Twierdzy, aby towarzyszyć mi w drodze na pojedynek. Ja jednak poprosiłem ich, by tego nie czynili, gdyż sprawa nie jest warta takiego zachodu. Na pojedynek ubrać musiałem strój wodza. Naładowałem mój sztucer Henry'ego, choć nie spodziewałem się go użyć. Amuletów nie mogłem mieć przy sobie. Serduszko włożyła je do swojej torby podróźnej. Chciała usiąść na placu walki obok mnie i w ten sposób wziąć udział w pojedynku. Nie miałem nic przeciwko temu. O odpowiednim czasie wyszliśmy na dziedziniec, gdzie stały przygotowane przez Inczu-intę wierzchowce. Tu natknęliśmy się na Młodego Orła i Pappermanna, których nie odwiódłoby od tego, by stać się świadkami mego zwycięstwa, pojawił się też Tatella-Sata na swym białym mule, bez żadnego orszaku. Ruszyliśmy w drogę. Na przedzie czarównik, Serduszko i ja, z tyłu Młody Orzeł z Pappermannem.

Już z Twierdzy widać było wyraźnie, że kroki wszystkich mieszkańców górnego i dolnego miasta kierowały się ku miejscu pojedynku. Otaczał je ogromny tłum, w który jednak nie dało się zaobserwować niedogodności, jakie normalnie towarzyszą większym zgromadzeniom tak zwanych "cywilizowanych" ludzi. Wszyscy byli już na miejscu. Nie brakowało nikogo, w kim pojedynek wzbudził zainteresowanie. Przybywaliśmy jako ostatni.

Moi przeciwnicy siedzieli gotowi do walki. Na nasz widok powstali, z wyjątkiem Tanguy, który nie mógł tego uczynić. Tatella-Sata usiadł dokładnie za mną zyskując przez to doskonały wgląd w twarze, czterech wodzów. Oświadczone mi, że przewodniczący komitetu wygłosi teraz mowę. Przemawiać mieli czterej wodzowie, a na końcu ja, po czym nastąpić miała walka. Słyszając to wyszedłem na środek i zawołałem tak głośno, by wszyscy mnie usłyszeli:

— Old Shatterhand przyjechał walczyć, nie przemawiać. Kiedy niebezpieczeństwo jest blisko, tylko bojaźń szeroko otwiera usta, odwaga zaś milczy i działa. Nie rozmawiałem z Pidą o żadnych mowach. Godzę się tylko na to, co ustaliliśmy!

Przewodniczący komitetu zareagował na to zamaszystym ruchem ręki, który miał zapewne na celu zaimponowanie widzom i zaczął:

— Komitet postanowił, że mam wygłosić mowę, a każde postanowienie komitetu...

— Zamilcz! — zagrziałem. — Postanowienia podjęte zostały między mną a Pidą! Wasz komitet dla mnie nie istnieje. Ledwie go toleruję. Przystałem tylko na to, że będziesz dawał komendę do strzału wodzom, a dokładnie minutę później — mnie. To wszystko, co ci wolno!

— Nie stoję tutaj po to tylko...

— Usiądź, jeśli nie chcesz stać! — przerwałem mu i skoczywszy do niego posadziłem siłą na ziemi. Przestraszony siedział bez ruchu dłuższą chwilę. Ja natomiast mówiłem dalej tym samym donośnym, energicznym głosem:

— Wybrałem w obecności Pidy moich słynnych braci Matto Szahko i Wagare-Teja po to, by dopilnowali zachowania ustalonych warunków walki. Niech teraz przemówią i wymieniają je wszystkie!

Obaj wodzowie powstali ze swych miejsc i uczynili zadość mojej prośbie. Wprawdzie moi przeciwnicy mieli również świadków w osobach Williama Eveninga i Antoniusa Papera, ale nie zamierzałem dopuścić ich do głosu. Kazałem Matto Szahko i Wagare-Tejowi zatroszczyć się o losy. Czterej wodzowie nie sprzeciwiali się niczemu w przekonaniu, że wydaję jedno z ostatnich poleceń w moim życiu. W wyniku losowania wśród moich przeciwników ustalona została następująca kolejność: Tusahga Saricz, To-kei-czun, Kiktahan Szonka, Tangua. Usiedli naprzeciw mnie w tym porządku. Każdy miał w ręku strzelbę, a na twarzy wypisaną pewność zwycięstwa. Przed zajęciem mojego miejsca podszedłem do siedzącego wśród widzów Awaht-Niaha, stuletniego wodza Szoszonów. Pochyliłem się nad nim i ucałowawszy jego starą rękę powiedziałem:

— Ty jesteś najstarszym z obecnych. Na twojej głowie spoczywa błogosławieństwo i miłość wielkiego ducha. Nie przyprowadził cię on tutaj po to, byś zobaczył krew tych, którzy są ci drodzy. Ty jesteś najmądrzejszy i najbardziej doświadczony z nas wszystkich. Ty jesteś pierwszym, który na przykładzie tej walki zobaczy, że każda walka pomiędzy dwojgiem dzieci ludzkiego rodu nie jest niczym więcej niż szaleństwem, które mogłoby wzbudzać śmiech, gdyby nie było tak tragiczne w skutkach.

W odpowiedzi przyciągnął moją rękę do ust i powiedział:

— Niech Old Shatterhand ukaże nam to szaleństwo walki! Oby ci którzy po nas przyjdą, nie czynili już tego, co nasi przodkowie. Oby twoim było zwycięstwo!

Poszedłem na swoje miejsce i usiadłem na ziemi. Obok mnie usiadła Serduszko. Widząc to Kiktahan Szonka krzyknął gniewnie:

— Co robi squaw pomiędzy wojownikami? Precz z nią!

— Czyżbyś się jej bał? — odparłem. — Jeśli tak, sam odejdz! Ona się ciebie nie boi i zostanie!

— Czy Old Shatterhand stał się niewiastą i nie rozumie zniewagi, którą ja jako wojownik odczuwam? — zapytał Kiktahan Szonka.

— Wojownik? Pshaw! Pytasz, co robi moja żona pomiędzy wojownikami. Czy naprawdę uważacie się za wojowników? Przypominacie co najwyżej stare kobiety. Tylko dlatego przyjąłem bez większego zastanowienia wasze warunki. Old Shatterhand nie będzie z wami walczył, bo jest mężczyzną. Przyprowadził tu swoją squaw, która może każdego z was pokonać jednym ruchem ręki. Jeśli się jej boicie, odejdźcie stąd!

— Niech więc zostanie! — zawołał wściekle Kiktahan Szonka. Pierwsza moja kula trafi ciebie, a druga ją!

— Niech zostanie! Niech umrze razem z nim! — zawołali pozostali trzej wodzowie. — Niech rozpocznie się walka!

Pięcioro pojedynkujących się siedziało na środku wytyczonego placu. W pobliżu stali nasi świadkowie. Tatella-Sata siedział, jak wspomniałem, w prostej linii za mną. Pierwszy wielki krąg tworzyli wodzowie, wśród których było też dwunastu wodzów Apaczów. Za nimi stali młodszy wodzowie i inne znamienitsze osoby. Dalej tłoczyli się zwykli ludzie, wśród których wyróżniali się licznie przybyli robotnicy z budowy pomnika i kamieniołomów. Opuścili swe miejsca pracy, aby zabawić się widowiskiem. Zachowanie tych ludzi pozostawiało wiele do życzenia, choć hamowali nieco swe zapędy, przez wzgląd na tak licznie zgromadzonych wodzów. Wśród tych ostatnich zasiadły też Kolma Puszi, obie Aszty, a także dwie inne kobiety, których obecność była dla mnie istotna — żona Pidy i jej siostra, tym razem w damskim stroju. Obydwie dopięły więc swego i zostały zabrane na Górę Winnetou. Widząc je nie miałem już najmniejszych wątpliwości, że cztery tysiące wojowników dotarły do Doliny Jaskini.

Wszyscy obserwowali nas z wyrazem największego napięcia na twarzach. Przewodniczący komitetu, którego posadziłem na ziemi, przypomniał sobie nagle o swojej roli. Podniósł się z zamiarem podania komendy do strzału. Matto Szahko i Wagare-Tej odciągnęli kurki swoich rewolwerów dając tym samym moim przeciwnikom do zrozumienia, że natychmiast ukarzą każdy niezgodny z regulaminem ruch. Byli naprawdę zdecydowani zastrzelić winowajcę. Nagle głos zabrał Tatella-Sata:

— Każda z rund tego pojedynku zacząć się może dopiero wtedy, kiedy dam znak przez podniesienie ręki. Dopiero wówczas może paść komenda do strzału. Pierwszy strzela Tusahga Saricz, wódz Utahów Kapote. Czy jest gotów?

Zapytany przygotował strzelbę do strzału i odparł:

— Jestem gotów. Niech Old Shatterhand udowodni teraz, że jego squaw może każdego z nas pokonać jednym ruchem ręki!

Skinąłem na Serduszko. Szybko wyjęła z torby podróżnej amulet mojego przeciwnika i zawiesiła mi go na szyi tak, że znalazł się na wysokości serca. Wtedy powiedziałem do Tatella-Saty:

— Ja również jestem gotów. Niech rozpocznie się walka. Tusahga Saricz może strzelać! W minutę później strzelam ja!

Zapadła głucha cisza. Wzrok wszystkich utkwiony był w skórzanym woreczku, który Serduszko zawiesiła mi na piersi. Nikt nie zdążył się jeszcze domyśleć, co to takiego. Tatella-Sata dał sygnał do walki:

— Czas nadszedł. Zaczynajcie!

Natychmiast rozbrzmiała komenda przewodniczącego. Ale Tusahga Saricz nie strzelał. Lufa jego strzelby pochyliła się ku ziemi. Rozszerzone oczy wodza wlepione w moją pierś napępniały się z wolna przerażeniem.

— Mój amulet! Mój amulet! — wykrztusił wreszcie.

— Strzelaj! — krzyknąłem do niego.

— Do mojego własnego amuletów? — wyjąkał. — Skąd go masz? Kto ci go dał?

— Nie pytaj, tylko strzelaj! — krzyknąłem po raz drugi. Tłum wydał z siebie jakby głośnie westchnienie ulgi. Zgromadzeni nie wiedzieli jeszcze, w czym rzecz, ale rozumieli już, że nie jestem tak bezbronny, jak dotychczas uważali. Twarze moich przyjaciół rozjaśniły się. A w głosie Tatella-Saty brzmiała radość, kiedy po raz drugi unosząc rękę do góry powiedział:

— Dlaczego Tusahga Saricz nie strzela? I dlaczego nie było jeszcze komendy dla Old Shatterhanda? Minuta już minęła! Jeszcze raz! Old Shatterhand przygotowuje się do strzału!

Uniosłem lufę mojego sztucera. Po raz drugi zabrzmiała komenda dla wodza Utahów.

Tusahga Saricz zawołał:

— Nie mogę strzelać! Kto strzela do własnego amuletu, strzela do swojego wiecznego życia!

— Minuta minęła! — oświadczył Tatella-Sata.

Teraz zabrzmiała komenda dla mnie.

— Niech Tusahga Saricz odejdzie do krainy wiecznych łowów — powiedziałem wycelowawszy w jego pierś.

— Uff, uff! — krzyknął tenże z całych sił i skoczywszy na równe nogi zniknął w tłumie.

— Bogu niech będą dzięki! — szepnęła Serduszko. — Poczułam się znacznie lepiej! Wierzyłam w ciebie, ale mimo to okropnie się bałam.

Widok starego wodza umykającego z pola walki ze żwawością młodzika mógł budzić śmiech, ale nikt się nie śmiał. Zgodnie z dawniejszym prawem prerii Tusahga Saricz powinien był dać się zastrzelić, a więc utracił swój honor.

Moim następnym przeciwnikiem był To-kei-czun. Jego twarz miała przedziwny, trudny do opisanie wyraz. Doskonale wiedział, gdzie złożone zostały wszystkie cztery amulety. Jeśli miałem jeden z nich, najprawdopodobniej musiałem mieć również pozostałe. Szybko zresztą rozwiązałem wszelkie wątpliwości. Zawiesiłem jego amulet na amulecie Tusahgi Saricza i powiedziałem:

To-kei-czun, wódz Komanczów Rakurro, może strzelać. Jestem gotów!

Widziałem, że ze wzburzenia traci oddech. Łapał powietrze szeroko otwartymi ustami. Oczy zwęziły mu się i napełniły łzami.

— Czy To-kei-czun jest gotów? — zapytał Tatella-Sata. — Nie! Nie jestem gotów! — zawołał zapytany, zerwał się na równe nogi i oddalił równie szybko, jak jego poprzednik. Na twarzach widzów pojawiły się pierwsze uśmiechy.

— Kolej na Kiktahana Szonkę, wodza Siouxów — powiedziałem.

Ten jednak odezwał się najgorszym ze swoich tonów:

— Old Shatterhand jest parszywym psem, szubrawcem i łajdakiem! Złodziejem amuletów! Czy i mój ma w swym ręku?

— Owszem — odparłem. Poprosiłem żonę o zawieszenie na wierzchu samego tylko pasa.

Na jego widok Kiktahan Szonka uśmiechnął się szyderczo i zapytał:

— Czy Old Shatterhand myśli, że i ja ucieknę? Nie! Trafi go niezawodnie moja kula, bo amulety działają tylko w całości. A to tylko połowa!

— Ja mam całe amulety — oświadczyłem.

— Nieprawda! — zaprzeczył. — Brakuje połowy!

— Nie brakuje! Oto ona! Niech Kiktahan Szonka dobrze się przyjrzy!

Kazałem sobie podać psie łapki i pokazawszy je wodzowi przymocowałem we właściwym miejscu.

Kiktahan Szonka osłupiał najpierw z przerażenia, a potem zasyczał z nieopisaną nienawiścią:

— Czyżby parszywe psy mogły wszystko? Od kogo masz to, co zgubiłem?

— Od nikogo. Sam to znalazłem.

— Gdzie?

— Na stopniach Diabelskiej Ambony, gdzie wodzowie Siouxów i Utahów omawiali swą

wyprawę na Górę Winnetou. Czekali na Old Shatterhanda, aby go pochwycić. Kiedy rozmawiali, rozbrzmiał głos Wielkiego Ducha. Przerazili się i rzucili do ucieczki, podczas której ty zgubiłeś perukę ze skalpów i pół swego amuletu. Perukę ci później przyniesiono, ale pół amuletu zabrałem ze sobą, aby je teraz połączyć w całość z drugą połową.

— A więc podsłuchiwałeś nas na Diabelskiej Ambonie?

— Tak.

— Uff, uff!

Wyglądał tak, jakby jedynym jego pragnieniem była śmierć. Skurczył się i zwinął tak, że twarzą dotykał teraz kolana.

— Jestem gotów do walki — zameldowałem Tatella-Sacie.

— Czy Kiktahan Szonka również jest gotów? — spytał czarownik.

Zapytany uniósł głowę i wyszukawszy wzrokiem swoich ludzi wezwał ich do siebie ruchem ręki. Dwóch z nich podeszło do niego.

— Wynieście mnie stąd! — rozkazał.

Indianie wsadzili go na konia i odeszli podpierając z obu stron.

Na placu boju pozostał tylko Tangua, ojciec Pidy, najbardziej zacięty i nieprzejednany z moich wrogów. Siedział bez ruchu na ziemi, z zamkniętymi oczami i dwururką na kolanach. Z jego kamiennej twarzy nie dało się odczytać żadnej myśli. Powiedziałem więc:

— Tangua, najstarszy wódz Kiowów, napisał do mnie: "Jeśli starczy ci odwagi, przybądź na Górę Winnetou! Moja ostatnia kula tęskni za tobą!" Przybyłem. I oto siedzę przed tobą. Gdzie jest twoja kula?

Kiedy to mówiłem, Serduszko zawiesiła mi na szyi jego amulet. Tangua otworzył oczy, przyjrzał mu się i powiedział:

— Tak myślałem! Ma również mój amulet! Nie strzelę do niego! Zrzekam się mojego strzału. Ale ciebie proszę, byś po upływie minuty strzelił mi w serce! I włożył mi do grobu mój amulet! Zrobisz to?

— Nie! — odparłem.

— A więc pomyliłem się co do ciebie! Nienawidzę cię tak, jak nigdy nikogo jeszcze nie nienawidziłem. Chcę twojej śmierci i zrobię wszystko, by do niej doprowadzić. Jednocześnie uważałem cię jednak zawsze za honorowego wroga!

— Rzeczywiście się mylisz. Jestem uczciwy, ale nie jestem twoim wrogiem. Nie będę do ciebie strzelał. Nie pragnę twojej śmierci. Nie będzie więc potrzeby kłaść czegokolwiek do twojego grobu. Również twojego amuletu.

— Co więc chcesz z nim zrobić? Zniszczyć?

— Nie. Wasze amulety do mnie nie należą. Nie chcę ich sobie zatrzymać. Ale komu je dam — tego jeszcze nie wiem. O tym sami zadecydujecie.

— My? My czterej?

— Tak. Poddam was próbie. Zwrócę wam amulety, jeśli okażecie się tego godni. Jeśli nie, otrzyma je Tatella-Sata. On jest stróżem amuletów i włączy je do swoich zbiorów, aby dzieci waszych dzieci mogły się kiedyś dowiedzieć, jakimi szaleńcami byli ich przodkowie. Krótko mówiąc: daruję ci życie, ale nie twój amulet. Na niego będziesz musiał zasłużyć! Powiedziałem! Howgh!

Wstałem z ziemi, a za mną Serduszko. Podniósł się również Tatella-Sata i obwieścił donośnym głosem:

— Pojedynek skończony! Zwycięzcą jest Old Shatterhand! Zwycięzcą bez przelewu krwi! Takie zwycięstwo jest dziesięć razy więcej warte od innego!

Poszliśmy do naszych koni i dosiedliśmy ich. Przed odjazdem skierowałem wierzchowca raz jeszcze w stronę Tanguy i powiedziałem:

— Jestem przyjacielem Tanguy, wodza Kiowów, czy mnie kocha, czy nienawidzi. Ze względu jednak na niego samego życzyłbym sobie, by był mi w przyszłości przychylniejszy niż dzisiaj. Czy ma on coś na ten temat do powiedzenia?

— Nienawidzę cię i zawsze będę cię nienawidził! — odparł Tangua. — Ścigać cię będę aż do twego końca!

— Albo własnego!

— To obojętne!

— A więc proszę, również ze względu na ciebie samego abyś przynajmniej nie sprzymierzał się z komitetem i nie występował przeciwko tym, którzy go zwalczają!

— Tego nie obiecuję. Obiecuję coś wręcz przeciwnego!

— Powiadam ci raz jeszcze: doprowadzi to do zguby twojej i twojego plemienia!

Tangua wyprostował się na to, wziął strzelbę do ręki i zawołał z groźbą w głosie:

— Milcz! I oddal się stąd! Jeśli tego nie uczynisz, przewiercę ci głowę tymi dwoma kulami!

— Spróbuj tylko wycelować, a znikniesz spośród żywych! — odpowiedziałem wskazując Pappermanna, który zbliżywszy się szybko do wodza podetknął mu pod nos lufę swego rewolweru. — Najpierw chcieliście zwalczać pomnik, a teraz bratacie się z komitetem, aby wystąpić przeciwko wrogowi tej budowy. Czy to postępowanie godne wodza lub choćby uczciwego człowieka? Chcesz mojej zguby, ja jednak ostrzegam cię z całą uczciwością: strzeż się Doliny Jaskini! Nade wszystko zaś samej jaskini!

Na to skulił się w sobie niczym kot i mierząc mnie płonącym spojrzeniem zapytał:

— O co ci chodzi?

— Zapytaj sam siebie. Wystąpiłeś już raz przeciwko mnie i musiałeś za to zapłacić. Z własnej winy! Wieszysz życie kaleki, a nie wodza. Z własnej winy! Teraz, pod koniec tego nędznego żywota, znowu występujesz przeciwko mnie, dokładając do tamtych następną winę. Zastanów się nad następstwami! Nie odpowiadasz tylko za siebie! To, co ciebie spotka, możesz odcierpieć sam, ale to, co spotka twojego syna, rodzinę i całe twoje plemię obciąży cię przed Manitou, kiedy znajdziesz się w świecie, który nazywasz krainą wiecznych łowów. Zapytaj cię tam o twój amulet. Co na to odpowiesz? To wszystko, co ci miałem do powiedzenia. Howgh!

Odjechałem w tym samym towarzystwie, w jakim przybyłem na pojedynek. Zewsząd rozległy się radosne okrzyki moich przyjaciół. Nasi wrogowie milczeli. Jednak przejeżdżając obok sporej grupy robotników z budowy ze zdumieniem usłyszałem:

— Old Shatterhand! Łajdak! Intruz! Kojot! Zemścimy się! Zatluczymy jak psa!

To były tylko niektóre z gróźb, jakie padły pod moim adresem. Zdumiałem się. Nigdy bym nie przypuszczał, że to możliwe. Jaki był powód tej nienawiści? Kiedy powiedziałem o wszystkim Tatella-Sacie i Młodemu Orłowi, usłyszałem nagle głos starego Pappermanna:

— Zgadza się. Robotnicy pana nienawidzą, mister Shatterhand. Od pierwszego do ostatniego — jak jeden mąż. I nie ukrywają tego. Wiedzą, że chce pan ich pozbawić dobrze płatnej pracy, która zapewnia im egzystencję. Od kilku dni spotykają się potajemnie i radzą, jak by się pana pozbyć, pana i Tatella-Saty. W spotkaniach tych biorą udział członkowie

komitetu.

— Ach tak! To nadzwyczaj istotna informacja! — przyznałem. — Skąd pan o tym wie?

— Od Zabulona Entersa!

— Nie od Harimana?

— Nie, od Zebulona. Wiem, że ma pan do niego jeszcze mniej zaufania niż do jego brata. Ale od kiedy wie, że chciano go oszukać, można na nim polegać bardziej niż na kimkolwiek innym. Bracia odwiedzają mnie potajemnie wieczorami. Rozmawiam z nimi...

— Nie pytając mnie o zdanie? — wpadłem mu w słowo.

— Nie ma powodu do obaw! — odparł. — Uważam, że teraz należy utrzymywać z nimi kontakt. Jeśli tylko powiedzą coś istotnego, sam z tym do pana przyjdę. Najwięcej mówi się o panu w kantynie.

— Jakiej kantynie?

— To budynek przy kamieniołomach, gdzie zabawiają się robotnicy.

— Zna pan ten lokal, Pappermann?

— Tak.

— Ja jeszcze nie. Muszę go sobie obejrzeć i to jeszcze przed zmrokiem. Pojedziemy tam teraz razem?

— W tym stroju wodzowskim? — zapytała Serduszko.

— Tak. Nie mam czasu jechać się przebrać do Twierdzy. Zdejmę tylko pióra. Zabierz je do domu. Sztucer również.

— Pojadę może z tobą?

— Tym razem nie, drogie dziecko. Chodzi o krótki, szybki rekonesans, który zbyt szybko cię wyczerpał.

— Czy to niebezpieczne?

— Ani trochę.

— A więc pozwalam ci jechać!

Serduszko powiedziała to z taką powagą, że nieomal uwierzyłem, iż rzeczywiście udzielono mi pozwolenia. Oddawszy jej pióra, a sztucer Młodemu Orłowi i wymieniwszy kilka słów pożegnania z Tatella-Satą, skręciłem wraz z Pappermannem w mało uczęszczaną drogę wiodącą obok wodospadu ku kamieniołomom.

Choć słońce dawno już zniknęło za masywem góry, nie zaczęło się jeszcze ściemniać. Galopując ostro skręciliśmy z doliny w boczny wąwóz. Ten poprowadził nas wzdłuż północnego podnóża Góry Winnetou ku rozmaitym urządzeniom, za pomocą których w tak bezwzględny sposób zadawano gwałt cudownym dziełom natury. Wyrobiska kamieniołomów robiły wrażenie niegojących się ran na ogromnym cielsku góry. Odpychająca w swych kształtach płatanina rusztowań, murów, stalowych lin i belek, która służyć miała przemianie naturalnych sił wodospadu w energię elektryczną, mogła wzbudzić tylko uczucie żalu i straty. Nie opodal stały brudne budynki stajenne otoczone dziesiątkami ciężkich wozów. Morderczo zgrzytała piła tartaku tnąca bezlitośnie strzeliste świerki. Nisko przy ziemi przycupnęły namioty z porwanych płócien i niewysokie baraki budowane tu i tam bez żadnego porządku.

Pappermann wskazał na duży, długi budynek. — Oto kantyna — powiedział. — Właściciel jest prawdziwym olbrzymem. Nazywają go Darky²⁵.

— To przecież obelżywe słowo! — zauważyłem.

²⁵ *Darky* (ang.) - Murzyn, czarnuch (pot.)

— Przyzwyczajony jest do obelg. Nie bierze tego przezwiska nikomu za złe, ale poza tym to nieokrzesany i gwałtowny człowiek. Nie jest czystej krwi Indianinem. Mówią, że jego matka była Murzynką. Entersowie bardziej się z nim przyjaźnią.

— A to dopiero! Dlaczego?

— Dostarcza im informacji. To przywódca tutejszych robotników. Mówią, że cieszy się zaufaniem nawet niektórych wodzów. Na pewno wiadomo, że jest ulubieńcem członków komitetu. Podobno Evening i Paper przesiadują u niego całe noce przy butelce i kartach. Czy chce go pan zobaczyć?

— Jeśli to byłoby możliwe...

— Czemu nie? Za kilka minut zrobi się ciemno, a wtedy zaprowadzę pana tam, gdzie mają wstęp tylko jego najbardziej zaufani kamraci. Ale teraz nie dajmy się zauważyć! Pojedźmy na krótki spacer!

Do tej pory znajdowaliśmy się pod osłoną krzewów, które kryły nas, pozwalając jednocześnie na dogodną obserwację okolicy. Pojechaliśmy dalej trzymając się tego ukrycia, ale nie po to, by badać teren, lecz by przeczekać czas dzielący nas jeszcze do zmroku. Nie trwało to długo. Szybko zaczęło się zmierzchać. Wkrótce zapadły niemal zupełne ciemności, bo był właśnie nów księżyca, a gwiazdy, po niedawnym zmierzchu, nie nabrały jeszcze blasku. Skierowaliśmy się ku dużemu barakowi. Wśród ostatnich zarośli zsiadliśmy z koni, uwiązaliśmy je i kazaliśmy się im położyć na ziemi. Potem ostrożnie zbliżyliśmy się do tylnej ściany budynku. Nie nastręczało to nam żadnych trudności.

Wzdłuż ściany ustawione były skrzynki i beczki, które stwarzały możliwość ukrycia się w nagłym wypadku. Na szczęście nie okazało się to konieczne. Wewnątrz budynku paliło się światło, dzięki czemu stwierdzić mogłem, że składa się on z kilku pomieszczeń — jednego bardzo obszernego i kilku mniejszych. Pappermann poprowadził mnie ku jednej z mniejszych izb. Posiadała ona tylko jedno okno. Stała pod nim ciężka, masywna skrzynia, na którą można było wejść bez obawy, że się załamie lub zacznie trzeszczeć. Z wnętrza pomieszczenia dobiegały nas głosy. — To izba Darcy'ego — szepnął Pappermann. — Poznaję ją. Entersowie dokładnie mi ją opisali. Słyszysz pan? Rozmawiają...

— Słyszę. Wejdę na skrzynię i zajrzę do środka.

— Dobrze. Ja zostanę na czatach!

Wskoczywszy na skrzynię mogłem bez większego problemu obserwować, co się dzieje w środku. Stały tam dwa stoły z surowych desek i kilka podobnych do nich krzeseł. Rozmowa toczyła się w gronie pięciu mężczyzn, z których czterech natychmiast rozpoznałem. Byli to obydwaj Entersowie, Tusahga Saricz i To-kei-czun. Czytelnik może sobie wyobrazić moje zdumienie na widok starych wodzów. Piątym mężczyzną był bez wątpienia gospodarz — o posturze olbrzyma i indiańskich rysach, ale niekształtnym nosie i czarnej skórze Murzyna. Lepszego uosobienia brutalności trudno byłoby sobie wyobrazić! Zgromadzeni rozmawiali z wielkim ożywieniem. Kiedy po raz pierwszy zajrzałem do wnętrza izby głos miał Darcy:

— Myślę, że na górze nikt jeszcze nie wie o tym, że czarownicy uciekli. Najgorsze, że ten przeklęty Shatterhand ma w ręku mapę jaskini. Na szczęście nie jest nam tak bardzo potrzebna. Czarownicy potrafią wskazać nam drogę. Ten Shatterhand to jednak głupiec. Przyjechał na pojedynek popisać się skradzionymi amuletami, i nie wie, że czarownicy mu uciekli i że atak nastąpi już jutro. Jego dzisiejsze zwycięstwo na nic mu się nie przyda. Odsunął tylko swą klęskę o jeden dzień. Umrze jutro razem ze swoją żoną! Mam nadzieję, że dotrzymacie słowa? Pytanie skierowane było do Entersów.

— Stanie się tak, jak obiecaliśmy! — odparł Hariman. Zebulon zaś dorzucił:

— Trudno sobie wyobrazić dług większy od tego, jaki ma wobec nas ten człowiek razem

ze swoją żoną. Nie zamierzamy go im darować!

— Nic dobrego by dla was z tego nie wynikło! — zagroził Darcy. — Mówię wam: jutro umrą na pewno dwie osoby — albo oni, albo wy! Możecie być tego absolutnie pewni! Jeśli mam być szczery, nie do końca wam ufam! Rzeczą idzie o pracę, o byt wielu tysięcy, którzy chcą i mogą tu zarobić. Dlatego oddałem na jutro pod rozkazy wodzów wszystkich moich robotników i dlatego dążę do tego, by wszystko odbyło się tak, jak zaplanowaliśmy.

To-kei-czun, wódz Komanczów Rakurro, podniósł się z miejsca i powiedział:

— Ma być tak: Jesteśmy zaproszeni na uroczystość. Stawiamy się na nią. Znamy miejsca, jakie nam przydzielono. Czarownicy przeprowadzą nasze czterotysięczne wojsko przez jaskinię. Wojownicy zostawią konie w dolinie i pójdą piechotą, bo nie wiemy, czy przedostatni odcinek da się przejechać konno.

— Ja będę tu czekał z robotnikami — wpadł mu w słowo Darcy — a Entersowie zajmą się Old Shatterhandem i jego żoną. Wojownicy dadzą mi wystrzałem znak, że dotarli do wodospadu. Na ten sygnał Entersowie zabiją Niemców, a ja ruszę z robotnikami, by utorować przejście wojownikom i stworzyć im odpowiednie warunki do działania.

Na to wstał Tusahga Saricz i powiedział:

— Tak będzie dobrze! I niech się tak stanie! O jakichkolwiek zmianach powiadomimy cię sami lub przez posłańca. Idziemy!

Wodzowie wyszli odprowadzeni przez gospodarza. Entersowie zostali sami. Patrzyli na siebie w zamyśleniu.

— Może być gorąco — odezwał się Zebulon.

— Co masz na myśli? — spytał Hariman. — Dowiedzieliśmy się wszystkiego. Jutro rano pojedziemy do Old Shatterhanda, by go ostrzec. Co się nam może stać?

— Nie chodzi o nas; my sobie poradzimy. Ale cały ten rozlew krwi! Takiego ataku nie odeprze bez walki nawet sam Old Shatterhand. Bardziej zresztą interesuje mnie jego żona. Choćby wszyscy mieli umrzeć, ona musi pozostać przy życiu!

Więcej nie potrzebowałem wiedzieć. Zeskoczyłem ze skrzyni.

— Czy usłyszał pan coś istotnego? — zapytał Pappermann.

— Coś absolutnie najistotniejszego! — odpowiedziałem. — Trudno mi uwierzyć, że to cud. Znaleźliśmy się tu dokładnie w takim momencie, by usłyszeć zakończenie rozmowy. Po drodze wszystko panu opowiem. Jedno tylko powiem od razu, a mianowicie, że czarownicy, których schwytaliśmy u wejścia do jaskini, uciekli.

— Niemożliwe! Kiedy?

— Prawdopodobnie dzisiaj rano. Natychmiast porozumieli się ze swymi wodzami i ustalili plan działania, którego treści właśnie się dowiedziałem. Szybko! Musimy jechać do domu!

Przemknęliśmy ku koniom i odwiązawszy je ruszyliśmy w drogę. Podczas jazdy powtórzyłem memu wiernemu towarzyszowi treść podsłuchanej rozmowy. Pappermann powiedział, że zadanie pilnowania czarowników powierzono bardzo zaufanemu Indianinowi mieszkającemu na parterze frontowej części siedziby Tatella-Saty. Tam też znajdowało się pomieszczenie, w którym zamknięto więźniów. Przekazawszy stojącemu konie udaliśmy się najpierw do mieszkania owego Indianina. Nikogo tam nie zastaliśmy. Ponieważ człowiek ów był samotny i mieszkał sam, nikt nie mógł nam udzielić jakichkolwiek informacji co do jego obecnego miejsca pobytu. Poszliśmy do więzienia. Znajdowało się ono nieco na uboczu. Nikt tam nie mieszkał i rzadko nawet tamtędy przechodził. Było to coś w rodzaju piwnicy. Okazało się, że drzwi są na zewnątrz zaryglowane. Ledwie zabraliśmy się do ich otwierania,

kiedy z wewnątrz dobiegł nas głos błagający, byśmy się pospieszyli. Kiedy drzwi wreszcie stanęły otworem, ze środka wyszedł strażnik! Gdy rano przyniósł więźniom jedzenie i wodę napadli na niego znienacka i ogłuszyli kilkoma uderzeniami. Powróciwszy do zmysłów spostrzegł, że zaryglowany został w ciemnym lochu. Więźniowie oczywiście zniknęli. Wołał i hałasował niezmordowanie, ale bez skutku. Nikt go nie usłyszał. Obawiał się surowej kary i prosił, bym wstawił się za nim u Tatella-Saty. Obiecałem mu to i wypuściłem na zewnątrz.

Poszedłem do mojego mieszkania. Serduszka tu nie było. Zostawiła tylko wiadomość, że ze względu na moje opóźnienie sama poszła do Tatella-Saty z rękopisem. Czytać miał Wakon, a ja musiałem stawić się natychmiast po powrocie.

Zwycięstwo

Udałem się do mieszkania Tatella-Saty. Przeszedłem aż do sypialni. W przylegającej do niej kwietnej świątyni panowała w tym momencie całkowita cisza. Zacząłem cichutko otwierać drzwi. W tej samej chwili rozległ się głos Old Surehanda:

— Rzeczywiście, był większy, o wiele większy od nas wszystkich. O wiele większy, niż myśleliśmy!

— I stał się potem jeszcze większy, choć my tego nie dostrzegliśmy! — potwierdził Apanaczka.

— Co się dzieje z waszym wizerunkiem? — zapytał Atabaska.

— Jest za mały, za mały na niego, choć byśmy wzniesli go pod samo niebo! — zawołała Kolma Puszi.

A Aszta-matka dodała:

— Nie chcemy wizerunku z kamienia! Chcemy jego samego! Jego samego w naszych sercach! Wspaniałe słowa, w których przed chwilą zwrócił się do nas za pośrednictwem lektora, powinny po wsze czasy rozbrzmiewać w duszy naszego narodu.

W tym momencie dostrzeżono moją obecność.

— Przychodzisz w odpowiedniej chwili! — powitał mnie Tatella-Sata. — Zrobiliśmy sobie przerwę. Nie mogliśmy dalej czytać — zbyt głęboko trafiały te słowa. Czytaliśmy o zwycięstwie nad pozostałymi wodzami Apaczów. O jego wielkim nawróceniu od myślenia w kategoriach wojny do myślenia w kategoriach pokoju, od nienawiści do miłości, od zemsty do przebaczenia. Bardzo nas te słowa zbudowały. To było jak uniesienie zasłony. Teraz widzimy, co kryje się za ludzkimi czynami. Nawet Old Surehand, Apanaczka i ich synowie są poruszeni...

— Przejrzeliśmy raczej — poprawił go Young Surehand — choć ciągle nie do końca. Jedna zasłona opadła. Czy tak się stanie i z drugą, tego jeszcze nie wiemy. Słyszymy od ludzi, że nasza sztuka jest powierzchowna, bez duszy i wewnętrznej myśli — tak jak pomnik pod wodospadem. Bądźcie więc jutro wieczorem naszymi gośćmi. Zapraszamy was nad wodospad, gdzie będziemy próbowali za pomocą światła ożywić kamienny posąg. Jeśli się nam to uda — dobrze, jeśli nie...

— Uda się na pewno — przerwał mu Young Surehand pewnym siebie tonem.

Spostrzegłem, że kilka osób ma zamiar temu zaprzeczyć, powiedziałem więc szybko:

— Zobaczymy.

— Tak, zobaczymy! — przytaknął Atabaska. — Ale nawet jeśli się to uda, naszym oczom ukaże się co najwyżej gigantyczny awanturnik ruszający z rewolwerem do ataku. Tu natomiast stykamy się z prawdziwym Winnetou obdarzonym szlachetnym duchem i sercem, i takiego ducha i serca od nas żądającym. Tak jak on powinniśmy wraz z całą jego rasą dążyć ku rzeczom wzniosłym. On nas tam prowadzi. On nas tam wzywa.

Mówiąc to wskazał portret Winnetou, który daliśmy Tatella-Sacie. Czarownik przypiął go

do krzyża z białych kwiatów passiflory. Po obu zaś jego stronach ustawił inne portrety — z jednej Marah Durimeh, z drugiej Abu Kitala, człowieka przemocy. Obrazy zrobiły na wszystkich obecnych ogromne wrażenie; z nimi to należało wiązać fakt wyjątkowego odbioru dzisiejszego fragmentu rękopisu. Właściwie miano czytać dalej, ale wraz z przerwą nastąpiło takie poruszenie, że obecni nie byli w stanie wrócić do niezbędnego skupienia. W tej sytuacji Old Surehand zaproponował, by na dzisiaj zakończyć lekturę, tym bardziej że jutrzejszy ważny dzień wymagał od niego jeszcze wielu przygotowań. Zgromadzeni przyjęli propozycję i rozeszli się. W świątyni pozostałem tylko ja, Serduszko i Tatella-Sata.

— Dzisiejszy dzień był dniem wielkiego zwycięstwa — powiedział stary czarownik. — Kiedy tu przyszedłszy i ujrzeliśmy podnoszącego się ze śmierci Winnetou, los kamiennego wizerunku został przesądzony. Nawet młodzi artyści, ich ojcowie i Kolma Puszi znaleźli się pod urokiem obrazu. I wcale nie udawali. Sami to przyznają. Jutro będą jeszcze próbowali ratować swoją ideę. Ale dzisiaj już czują, że nic tu nie pomogą nawet największe wysiłki. Byłeś z Pappermannem w kamieniołomach. Przyjeżdżasz późno. Mniemam więc, że nie jeździłeś tam na próżno.

— Owszem — odparłem. — Rezultaty są więcej niż zadowalające, choć nie dają powodu do radości. Dowiedzieliśmy się wielu istotnych rzeczy, jak na przykład, że uwięzieni przez nas czarownicy zdołali uciec.

— Uff, uff] — zawołał Tatella-Sata przerażony.

Nie mniej zaskoczona była Serduszko. Mówiłem dalej:

— Nie to jednak jest najgorsze. Mam dla was jeszcze smutniejszą nowinę. Usiądźmy. Opowiem wszystko.

Zdałem im relację z naszej wyprawy. Kiedy skończyłem, Tatella-Sata powiedział:

— Zmartwiłbym się tym naprawdę, gdybym nie widział, jak ty jesteś spokojny! Dlaczego nie powiedziałeś o tym wodzom?

— Czy muszą o tym wiedzieć? Do czego nam są potrzebni? — odpowiedziałem pytaniem na pytanie. — Nie mam zwyczaju obciążać nikogo tym, co sam jestem w stanie zrobić.

— Sądzisz, że sam dasz sobie z nimi radę?

— Tak.

— Z czterema tysiącami wojowników?

— Tak.

Spojrzał na mnie w osłupieniu, potrząsnął głową i powiedział:

— Teraz rozumiem u Winnetou to, czego za jego życia nigdy nie mogłem zrozumieć, a mianowicie bezgraniczną ufność, jaką w tobie pokładał. Dzisiaj sam czuję tę ufność. Powiedz więc: co myślisz zrobić w obliczu tego, co nam zagraża?

— Rzec najprostszą w świecie: zablokuję im drogę przez jaskinię! Zablokuję też wejście w dolinie, tak że z głodu będą nas musieli prosić o litość. Schwytam ich wodzów i zatrzymam jako zakładników. Ilu uzbrojonych Winnetou masz do dyspozycji?

— Dzisiaj około trzystu. Jutro wieczorem może ich tu być pięciuset, a później jeszcze o wiele więcej.

— To aż nadto. Potrzebuję ich teraz nie więcej niż dwudziestu, w tym naszego wiernego Inczu-intę. Pójdę teraz do domu zdjąć ten indiański strój. Potem wrócę i zejdę z nimi ukrytymi schodami do jaskini. Ułożymy stalaktyty w taki sposób, że czarownicy nie odnajdą właściwej drogi.

— A jeśli mimo wszystko ją znajdą? Jeśli tak jak ty, usuną kamienie?

— To może im się udać co najwyżej w najszerszym korytarzu, którego wyjście za wodospadem tak im jednak zawalę, że nie zdołają się wydostać na zewnątrz. Tyle przygotowań na dziś i jutro. Wejście do jaskini w dolinie możemy zablokować pojutrze.

Wstałem, żeby wyjść. Serduszko miała jednak jeszcze coś do załatwienia. Zapytała mianowicie "strażnika wielkiej wiedzy medycznej", czy mogłaby go jutro sfotografować. Nieomal się przeraziłem. Na taką śmiałość nigdy bym sobie nie pozwolił. Czarownik uśmiechnął się jednak dobrotliwie i zapytał:

— Czy mogę wiedzieć komu lub w jakim celu ma posłużyć fotografia?

— To tajemnica — odparła Serduszko z tą samą zuchwałością — ale tajemnica dobra i bardzo użyteczna, która wielu uraduje.

— Nie jestem w stanie odmówić dobremu i bardzo użytecznemu życzeniu squaw mojego brata. Może przyjść kiedy chce.

W drodze do domu zapytałem żonę, do czego potrzebna jest jej ta fotografia. Odparła mi na to:

— Kto jest na Górze Winnetou najważniejszą osobistością: ty czy Tatella-Sata?

— On oczywiście!

— No właśnie! I zadowolił się brakiem odpowiedzi. Czy chcesz żądać więcej od niego?

— Tak.

— Jakim prawem?

— Kto jest w naszym małżeństwie ważniejszą osobistością — ja czy Tatella-Sata?

— On oczywiście! — roześmiała się.

— Well! Muszę się w takim razie powściągnąć! Przegrałem! Możesz zachować swoją tajemnicę!

— Do tego mam zamiar zejść razem z tobą do jaskini!

— O, nie!

— Dlaczego?

— Po pierwsze, będziesz tam tylko przeszkadzać, po drugie, nie jestem na tyle ważny, bym mógł spełnić twoje życzenie. Pozostaje mi tylko powiedzieć ci "dobranoc".

— To dla mnie nie do przyjęcia! Wiesz, wolę wyjawić ci moją fotograficzną tajemnicę i zejść z tobą do jaskini. Bo świadomość, że ty tam idziesz odbiera mi jakąkolwiek ochotę do spania.

— Dobrze! Zgoda. A więc co to za tajemnica?

— Zdjęcie naszego przyjaciela potrzebne mi jest do projektora.

— W jakim celu?

— Jutro wieczorem ukazać się przecież mają na wodospadzie, po obu stronach pomnika, wizerunki jego twórców. Ja chciałabym to zrobić z naszym wznoszącym się ku niebu Winnetou oraz portretami Marah Durimeh i Tatella-Saty po obu jego stronach. Co na to powiesz?

— Pomysł jest doskonały. Ale do tego potrzebna ci będzie cała aparatura, soczewki...

— To wszystko już jest! — przerwała mi z entuzjazmem.

— Gdzie?

— U inżyniera, z którym wtedy rozmawiałam.

- Myślisz, że zrobi to dla ciebie?
- Z największą ochotą!
- I nie zdradzi nas przedwcześnie?
- Z pewnością nie! Ręczę za to!
- A więc zgoda.
- Wezmiesz mnie do jaskini?
- Wezmę. Jestem przecież na twoje rozkazy!

Kiedy po jakimś czasie wróciliśmy do Tatella-Saty, czekał już tam na nas Inczu-inta z dwudziestoma Winnetou zaopatrzonymi w pochodnie i narzędzia. Odsunęliśmy płytę przy stopniu i zeszliśmy na dół. W jaskini najpierw odszukaliśmy miejsce, w którym od szerokiego korytarza odchodził wąski tunel. To tutaj odsłoniliśmy niegdyś przejście usuwając stalaktyty. Poznosiliśmy je z powrotem na poprzednie miejsce. Dołożyliśmy do nich sporą ilość innych skał maskując przejście tak, że jego odnalezienie stało się praktycznie niemożliwe. Otwór został zasypany aż po sklepienie i to w sposób tak naturalny, że wykluczone było wszelkie podejrzenie o świadomą ludzką działalność.

Podczas pracy obejrzałem ten odcinek jaskini. Jak czytelnik zapewne sobie przypomina, wcześniej już wydał mi się podejrzany. Od tamtej pory w sklepieniu pojawiły się dodatkowe szczeliny, a na podłożu zebrała się spora ilość kamieni i piasku. Na głowę sypał się nieustanny deszcz drobnych wapiennych ułamków. Co jakiś czas dał się słyszeć cichy, ale przenikliwy dźwięk jakby dwóch trących

o siebie płyt szklanych. Wrażenie było niesamowite. Tu i tam, raz po raz, dudniło coś niewidocznego, jakby uderzające o siebie skały i kamienie toczące się w przepaść. To miejsce napawało człowieka uczuciem niepewności i niepokoju. Z wielkim trudem zmusiłem się do pozostania w nim dłużej. Nieustannie tliła się we mnie obawa, że zostanę nagle zmiażdżony. Dlatego z ulgą przyjąłem wiadomość, że praca dobiegła już końca i że możemy stąd się oddalić. Moje uczucia dzieliła w pełni Serduszko, która na odchodnym powiedziała:

- Bogu niech będą dzięki, że mamy to już za sobą! Bardzo się tu bałam!
- Czego?
- Że się mi wszystko nagle zwali na głowę!
- A więc i ty miałaś to uczucie...
- Od pierwszej chwili. Nie mówiłam nic, żeby cię nie niepokoić. Co znajduje się nad nami?

— Najprawdopodobniej ciężki posąg Winnetou. Tak mi się przynajmniej wydaje, choć nie mam całkowitej pewności.

Serduszko aż krzyknęła:

- On się zawali!
- Ciszej! Nikt nas nie powinien usłyszeć!
- A więc dlatego się przechylił!
- I przechyla się coraz bardziej!
- Czy myślisz, że dojdzie do katastrofy?
- Jest niemal nieunikniona!
- Kiedy się to stanie?
- Tego nie da się dokładnie określić. Konieczne byłoby zbadanie podłoża. Mam jednak

nadzieję, że to nie jest jeszcze kwestia najbliższych dni.

Gdybym wówczas wiedział, jak krótki czas dzieli nas od tego przerażającego wydarzenia, z pewnością nie zawahałbym się ostrzec czterech tysięcy czekających po drugiej stronie Indian. Wróciliśmy wąskim korytarzem aż do miejsca gdzie stromo w górę odchodziło od niego przejście do jednej z "diabelskich ambon". Również ten otwór zamaskowaliśmy w taki sposób, że nikt nie mógł się tu spodziewać sztucznej barykady. Na zakończenie zablokowaliśmy tunel tam jeszcze, gdzie rozpoczynały się kute w skale stopnie wiodące do kwietnej świątyni. Nie mogliśmy pracować od frontu, gdyż sami odcięlibyśmy sobie powrotną drogę. Kiedy wróciliśmy do Twierdzy wschodnią część nieboskłonu rozjaśniał już nowy dzień. Tatella-Saty w świątyni nie było. Starannie zasunęliśmy wejście i rozstawszy się z naszymi indiańskimi towarzyszami poszliśmy przespać się parę godzin.

Kiedy obudziliśmy się, Inczu-inta przywitał nas wiadomością, że Entersowie dłuższy już czas czekają na widzenie z nami. Zaprosiliśmy ich do środka i przywitaliśmy przyjaźnie. Zdawali się być bardzo zakłopotani. Nie wiedzieli, jak zacząć rozmowę. Ułatwiłem im to zadając pytanie:

— Chcecie nam pewnie powiedzieć, że dziś wieczorem mamy umrzeć?

Bracia drgnęli przerażeni, ja zaś mówiłem dalej:

— Czarownicy uciekli i mają zamiar przejść przez jaskinię z czterotysięcznym wojskiem, aby zaatakować nas dzisiaj wieczorem. Od drugiej strony uderzyć na nas mają robotnicy pod przywództwem Darky'ego. Czerwonoskórzy dadzą im sygnał do ataku wystrzałem — z chwilą gdy sami dotrą do wodospadu. Ten wystrzał ma być również dla was znakiem do tego, aby zamordować mnie i moją żonę. Robotnicy mają uporać się z wodzami i resztą naszych zwolenników.

Entersowie patrzyli w osłupieniu. Żaden z nich nie mógł wydusić z siebie ani słowa.

— No i co? — zapytała Serduszko. — Jak się wam to podoba? Czy wszystko się zgadza, czy też chcecie temu zaprzeczyć?

Zebulon odpowiedział:

— Zaprzeczyć? Ani trochę! Przyjechaliśmy tu właśnie po to, aby was ostrzec! Nie odzywamy się, bo tak nas zdumiewa, że już o wszystkim wiecie! O wszystkim! To jakaś niesamowita tajemnica!

— Tajemnica? Pshaw! — powiedziałem. — Od samego początku wiedzieliśmy we właściwym czasie o wszystkim co się dzieje. O wiele zresztą lepiej niż wy. Nareszcie to do was dotarło! Wiemy więc również i o tym planie. Wiemy nawet, że wczoraj w kantynie, kiedy Tusahga Saricz i To-kei-czun wyszli z izby, postanowiliście przyjechać i powiedzieć nam o wszystkim.

— Jak to możliwe? Nie siedział pan przecież pod stołem!

— O nie! To byłoby zbyt uciążliwe! Ludzie udający naszych nieprzyjaciół sami nam o wszystkim opowiadają. Cieszcie się, że jesteście względem nas uczciwi. W przeciwnym razie to was dosięgłyby dzisiaj wieczorem nasze kule.

— Jeśli o to chodzi, to nie przeszkadzałyby nam specjalnie świadomość, że jutro nie będzie nas już wśród żywych! My nie wiemy co to szczęście. Odziedziczyliśmy po ojcu przekleństwo.

— Nie przekleństwo, a błogosławieństwo! — zaprzeczyłem.

— Co ma pan na myśli? — zapytał Zebulon.

— Błogosławieństwo polegające na zadośćuczynieniu postępkom ojca i tym samym uwolnieniu go od nich.

— Pan w to wierzy, mister Shatterhand?

— Tak.

— Naprawdę? Niech pan będzie ze mną szczery!

— Absolutnie!

— Bogu niech będą dzięki! A więc nasze życie ma jakiś sens! W takim razie warto je dźwigać. Wie pan więc już, że mamy za zadanie znaleźć się dziś wieczorem w waszej bezpośredniej bliskości?

— Tak.

— Czy pozwoli pan na to?

— Chętnie.

— Ufa nam pan?

— Jesteśmy pewni waszej uczciwości.

— Niech Bóg panu wynagrodzi te słowa! Czy ma pan dla nas jakieś polecenia?

— Na razie nie. Być może będę miał jakieś dzisiaj wieczorem. Być może w ogóle nie dojdzie do walki. Postaramy się nie dopuścić do ataku.

— Cokolwiek się stanie, niech się pan ma na baczności przed Darkym. Szczerze pana nienawidzi i za wszystko obwinia. Jeśli miałby do wyboru strzelić do pana lub nie, strzeliłby dwa razy! Musimy już iść. Czekaliśmy bardzo długo, a nikt nie może przecież wiedzieć, że tu byliśmy.

Wyszli.

— Strasznie mi ich żal! - powiedziała Serduszko.-Zupełnie się zmienili. Tak bardzo życzę im szczęśliwego życia!

Kiedy zasiedliśmy do spóźnionej kawy, pojawili się jeszcze dwaj inni goście. Była to squaw Pidy i Ciemny Włos — jej siostra. Powitaliśmy je oczywiście jak najserdeczniej. Serduszko natychmiast zaparzyła dla nich kawę, aby i one mogły uczestniczyć w naszym śniadaniu. Poinformowały nas, że wczoraj przybyły kobiety Komanczów i Kiowów i że natychmiast przyłączyły się do kobiet Siouxów pod przywództwem Aszty, aby zająć jednomyślne stanowisko w obradach na temat pomnika. Dziś rano obejrzały w budynku wystawowym panoramę namalowaną przez młodych artystów oraz model posągu. Wyszły stamtąd ogromnie zawiedzione, gdyż to, co zobaczyły, nie miało nic wspólnego z Winnetou kochanym i czczonym jak szeroko rozbrzmiewają indiańskie języki. Takiego Winnetou absolutnie nie chcą i przybyły tu dzisiaj po to, aby mi o tym powiedzieć.

Miały mi jednak do zakomunikowania jeszcze coś innego, co nastroczało im "najwyraźniej spore trudności. Nie wiedziały, jak mnie ostrzec, nie zdradzając jednocześnie wojowników własnego plemienia. Aby dodać im odwagi stwierdziłem, że i tak już o wszystkim wiem i że słyszałem już o nedorzecznym planie starych wodzów przeprowadzenia przez jaskinię czterotysięcznego wojska. W tej sytuacji Indianki mogły rozmawiać z nami szczerze. Dowiedziałem się, że Pida, ich mąż i szwagier, pojechał dziś rano do Doliny Jaskini, gdyż jemu powierzono zadanie dowodzenia wojownikami. Obydwie kobiety stały więc wobec strasznej alternatywy — jeśli zwycięży Pida, muszę zginąć ja, moje zwycięstwo natomiast oznaczałoby śmierć Pidy. Nie widząc innego wyjścia postanowiły udać się do mnie i zwierzyć ze swego ogromnego niepokoju. Obiecałem im, że dotrzymam tajemnicy i zapewniłem, że ani mnie, ani Pidzie nie przydarzy się nic złego. Wyszły od nas uspokojone.

Serduszko poszła sfotografować Tatella-Satę. Ja również byłem przy tym obecny. Następnie udała się do inżyniera. Ja natomiast poszedłem z czarownikiem odwiedzić w wieży

Młodego Orła. Ten zdawał się być uprzedzony o wizycie naszego szanownego przyjaciela i opiekuna, gdyż na nasz widok zawołał z góry:

— Chodźcie tu do mnie! Wszystko jest już gotowe. Mój orzeł czeka na lot!

Weszliśmy długimi, krętymi schodami na płaski dach. Tutaj na czterech nogach, stała wielka, podobna do ptaka konstrukcja o dwóch kadłubach, dwóch szeroko rozpostartych, mocnych skrzydłach i dwóch ogonach. Kadłuby łączyła z przodu jedna duża głowa, głowa orła. Uplecione z lekkiego, ale niezwykle mocnego sitowia kryły w sobie najprawdopodobniej niewidoczny z zewnątrz silnik. Cała machina zbudowana była z bardzo lekkich, lecz niezwykle wytrzymałych materiałów. Najbardziej zadziwiały swym kształtem ogony. Pomiedzy kadłubami wygodnie usiąść mogły dwie osoby. Poza tym widoczne były różne druty i linki, które służyć miały zapewne do sterowania wielkim, sztucznym ptakiem. Poza Młodym Orłem zastaliśmy na dachu Pappermanna i młodszą Asztę.

Nie zostałem upoważniony do dokładniejszego opisu działania całej konstrukcji, ale zapewnić mogę, że po wyjaśnieniu, którego udzielił nam twórca, nabraliśmy wraz z Tatella-Satą takiego przekonania o jej niezawodności, że natychmiast opanowało nas pragnienie wzbicia się na niej w powietrze.

— To lata, to naprawdę lata! Sam widziałem! — zapewnił Pappermann.

— Kiedy?

— Dzisiaj rano o świcie — odpowiedział — kiedy wszyscy jeszcze spali. Nikt nie miał tego widzieć. Ja przyszedłem pomóc. Młody Orzeł wszedł do środka i pociągnął za jakiś drut. W kadłubach natychmiast coś zagrało. Ptak zaczął oddychać. Następne pociągnięcie i rozprostowały się ogony. Poruszyły się skrzydła. Kilka uderzeń i ptak wzbił się z dachu w górę, przefrunął kawałek ponad równiną. Potem poleciał jeszcze wyżej, zatoczył łuk i powoli, łagodnie osiadł znowu na dachu. I w tym miejscu stoi aż do tej pory.

— Czy to prawda? Czy to może być prawda? — zapytałem Młodego Orła.

Skinął głową z uśmiechem. Nie był to uśmiech dumy, lecz niezmiernej radości. Tatella-Sata spojrział w dół z dachu. Jego twarz jakby pojaśniała.

— Chodźcie ze mną — powiedział po dłuższej chwili.

Zeszliśmy po schodach, a potem skierowaliśmy się między drzewa lasu. Tatella-Sata prowadził. Nikt nie mówił ani słowa. Przeszliśmy na drugą stronę góry, na miejsce, z którego widać było jezioro i spływający z niego wodospad. Za jeziorem piał się w niebo główny szczyt Góry Winnetou, a dalej jeszcze ostre granie sąsiednich gigantów, z których jeden miał wierzchołek tak wysoki i stromy, że zdawało się niedostępny człowiekowi. Wskazując na niego stary czarownik powiedział:

— Oto Góra Grobów Królewskich. Rasą indiańską, zanim jeszcze uległa rozbiciu na drobne plemiona, rządziли nie mali wodzowie lecz potężni królowie i cesarze. Wszyscy oni pochowani zostali na sięgającym chmur płaskim wierzchołku tej góry. Grobowce murowano z kamienia. Tworzą one całe miasto zmarłych razem z ulicami i placami, których nigdy nie ożywia najmniejszy ruch. Grobowce zawierają nie tylko ciała zmarłych władców. W każdym z nich złożone zostały również złote skrzynie z księgami opisującymi rok po roku panowanie danego króla. Na tym szczycie znaleźli więc ostatnie ziemskie schronienie nie tylko indiańscy władcy, ale także cała historia — wszystkie dokumenty naszej liczącej sobie już wiele tysięcy lat przeszłości. Wejście na ten cmentarz jest jednak niemożliwe. Po pogrzebie ostatniego króla zniszczona została ścieżka skalna wiodąca ku grobowcom. Od tamtej pory nie mógł się tam dostać żaden śmiertelnik. Podobno istnieje jeszcze jedna ścieżka, ale nikt jej dotychczas nie zdołał odnaleźć. W jednej z moich najstarszych ksiąg wyczytałem, że klucza do tej ścieżki należy szukać na Górze Amuletów, dokładnie u podnóża ostatniej, najwyższej iglicy skalnej,

pod kamieniem o kształcie półkuli. Młody Orzeł, na którego czerwoni mężowie od tak dawna czekają, przeleci — jak to jest zapisane na skórze wielkiego orla-wojownika — trzykrotnie wokół góry i zatrzyma się przy kamieniu, aby wydobyć spod niego klucz. Jeśli to rzeczywiście nastąpi Góra Grobów Królewskich znowu stanie się dostępna, a dokumenty pradawnych czasów przemówią do nas odsłaniając tajemnice przeszłości.

Spojrzał ku iglicy, u której stóp spoczywać miał klucz. Potem popatrzył na szczyt, na którym spoczęli indiańscy cesarze i królowie. Znowu zaczął mówić:

— Wiedziałem o tym wszystkim. W moich piersiach płonęła cała żarliwa tęsknota czerwonej rasy. Siedziałem u mych drzwi, kiedy nagle do mych stóp sfrunął z przestworzy młody śmiałek, który zmusił do posłuszeństwa najpotężniejszego spośród ptaków. Od tamtej pory nosił on imię Młodego Orła. Czy był tym obiecany i zapowiadany? Ja wierzyłem, że tak. Wziąłem go do siebie i wychowałem. Był krewnym mojego Winnetou. Zaszczepiłem w jego sercu pragnienie latania. Kiedy doszło do moich uszu, że w Kalifornii podjęto pierwsze próby lotów, postanowiłem posłać go do białych twarzy, aby się od nich nauczył latać. Uczynił, czego od niego zażądałem. Powrócił. Twierdził, że stał się lotnikiem. Powiedział, że sam wymyślił orła, na którego skrzydłach będzie można polegać. Uwierzyłem mu, bo jest moim pierwszym i najwyższym rangą Winnetou, którego warg nigdy jeszcze nie splamiło kłamstwo. Mimo to, chcę raz jeszcze tutaj, w tym ogromnej wagi momencie, zadać mu pytanie — czy naprawdę ośmielisz się wzlecieć w powietrze i sprawdzić czy rzeczywiście leży tam kamień kryjący klucz do grobowców królewskich? Młody Orzeł odpowiedział bez wahania:

— Nie tylko ośmielę się, ale uczynię z największą łatwością!

— Kiedy chcesz to zrobić?

— Kiedy tylko zechcesz. Teraz lub później. Ty zdecyduj. Mnie to obojętne.

— A więc jeszcze nie teraz. Dzisiejszy dzień ma inne troski. Ale dziękuję ci za twoją pewność. Umacnia ona moją wiarę w lepszą przyszłość. Otworzymy grobowce zmarłych cesarzy i królów. Odnajdziemy księgi i drzemiącą w nich od tysiąca lat duszę czerwonej rasy. Urośnie ona i dojrzeje jak dusze innych ludów i nikt nie przeszkodzi już nam osiągnąć wyżyn, które Manitou przeznaczył nam na mieszkanie!

Z tego miejsca, jak już powiedziałem, mogliśmy sięgnąć wzrokiem Wodospadu-Całunu. Tam też dostrześliśmy teraz Serduszko w towarzystwie inżyniera i kilku Indian dźwigających sprzęt fotograficzny. Moja żona działała więc na całego i zdawała się mieć inżyniera całkowicie w swoim ręku. My tymczasem wróciliśmy do wieży, a potem do Twierdzy, gdzie ze zdumieniem stwierdziłem, że czekają na mnie Old Surehand i Apanaczka.

— Niech cię nie dziwi nasza obecność — powiedział Old Surehand. — Chodzi o sprawę wprawdzie niejasną, ale, jak się wydaje, najwyższej wagi. Czy znasz niejakiego Darky'ego, właściciela kantyny dla robotników?

— Raz go widziałem — odparłem.

— Rozmawiałeś z nim?

— Nie.

— Nie obraziłeś go więc w żaden sposób?

— Nie.

— Mimo to pała do ciebie straszną nienawiścią. Można się zresztą domyślić, z jakiego powodu. Jest po naszej stronie. Nie możemy więc z nim zadzierać. Ale to człowiek do tego stopnia nieobliczalny, wybuchowy i gwałtowny, że posuwa się w swojej nienawiści za daleko. Miał do nas jakąś sprawę i przy tej okazji wyrażał się o tobie w taki sposób, że się

naprawdę zmartwiliśmy. Powiedział, że dzisiejszy dzień jest twoim ostatnim, że wszyscy będą to musieli przyjąć do wiadomości i że dziś okaże się, kto jest panem i władcą na Górze Winnetou. Był chyba trochę pijany. Do tej pory mieliśmy do niego zaufanie, ale to, co powiedział, wzbudziło nasze obawy. Przyjechaliśmy cię ostrzec. Zdaje się, że coś zamierza przeciw tobie; co — tego jednak nie zdołaliśmy się dowiedzieć,

— Dziękuję wam! — odpowiedziałem. — Zostałem już ostrzeżony.

— Naprawdę? Bardzo nas to cieszy. Szczwany lis — jak zawsze! Wszystko i tak wie! Czy nasze obawy są uzasadnione? Czy ktoś coś knuje przeciwko tobie?

— Nie tylko przeciw mnie, ale i przeciw wam.

— Co takiego?

— Chcą i mnie, i was usunąć sobie z drogi. Wiem o wszystkim, ale nie chciałem zawnęzować o tym mówić. Skoro jednak przyszliście ostrzec mnie, waszego przeciwnika, dopuszczę was do tajemnicy.

Powiedziałem im niemal wszystko, o czym sam wiedziałem. Można sobie wyobrazić ich reakcję. Chcieli natychmiast całą siłą ruszyć do Doliny Jaskini, aby dopaść i rozgromić pod ziemią wrogie wojsko. Na szczęście nie powiedziałem im nic o rozkładzie jaskini, ani o tym, że znam jej wyjścia. Z wielkim trudem uspokoiłem moich rozmówców i uzyskałem od nich przyrzeczenie, że wszelkie decyzje w całej sprawie pozostawią wyłącznie mnie. Od jednego tylko nie zdołałem ich odwieść, a mianowicie od tego by natychmiast porozmawiać z Darkym i wziąć go pod straż. Ponieważ mogło to pokrzyżować wszystkie moje plany, chcąc nie chcąc musiałem jechać z nimi, aby ratować przynajmniej to, co dało się jeszcze ratować.

Przejeżdżając obok wodospadu zauważyliśmy nadzwyczaj ożywioną pracę. Przygotowania do wieczornego widowiska świetlnego były w pełnym toku. Rzuciwszy okiem na świeżo wkopany w ziemię słup, skonstatowałem, że posąg a także rusztowanie zdają się być jeszcze bardziej przechylone. Nie napomknąłem jednak o tym ani słowem.

Nie opodal kantyny zastaliśmy Serduszko z inżynierem. Zajęci byli fotografowaniem. Koło nich kręcili się Entersowie, którzy jak się później dowiedziałem, wyszli z kantyny popatrzeć, co robi moja żona. W momencie kiedy zsiadaliśmy obok nich z koni, w drzwiach budynku ukazał się Darcy. Old Surehand i Apanaczka natychmiast do niego podeszli.

— Przyszliście cię aresztować — powiedział Old Surehand bez żadnych wstępów i ceregieli. — Dobrze się składa, że wyszedłeś.

— Aresztować? Mnie? — zapytał Darcy. — Chciałbym zobaczyć tego, komu to się uda! Można wiedzieć, z jakiego powodu?

— Z powodu przedstawienia, jakie odbyć się ma dzisiaj wieczorem.

Darcy przestraszył się, ale szybko odzyskał pewność siebie. Nawet nie próbował się wypierać. Zaśmiał się w głos i zawołał:

— Chcecie mnie aresztować za to, że mam zamiar skrócić kark waszym wrogom? Czy to ma być wdzięczność?

— Myślisz, że nas nabierzesz? — zapytał Apanaczka. — Wiemy dobrze, że masz zamiar załatwić nie tylko naszych przeciwników, ale i nas samych! My również mamy zginąć!

— Kto wam to powiedział?

Oczy Darky'ego błysnęły, kiedy zadawał to pytanie. Apanaczka powiedział:

— Czy nie odwiedzili cię wczoraj To-kei-czun i Tusahga Saricz? Czy nie rozmawialiście dość jasno o waszych wspólnych planach? czy Entersowie nie byli przy tym obecni?

To był ze strony Apanaczki niewybaczalny błąd, którego następstwa nie dały na siebie

długo czekać. Darky sięgnął jedną ręką do kieszeni, prawdopodobnie po rewolwer. Wyprostował się i mierząc każdego z nas nienawistnym wzrokiem wycodził między zębami:

— A więc zdrada! Nie szkodzi! I tak stanie się to, co się ma stać!

Serduszko przyskoczyła do mnie sądząc, że jestem w niebezpieczeństwie. Zbliżyli się również Entersowie. Stali teraz w bezpośredniej bliskości Darky'ego. Ten popatrzył na nich z pogardą i mówił dalej;

— A wiecie kto zdradził? Wy! Bo wodzowie nie zdradziliby samych siebie! Właściwie należałoby was już zastrzelić! Ale poczekacie jeszcze chwilę, bo pierwszy w kolejce jest ten parszwy Niemiec razem ze swoją squaw!

Wyszarpnął rewolwer z kieszeni i skierował na nas odciągając kurek. Pochwycony przez Entersów nie mógł jednak wystrzelić. Old Surehand i Apanaczka również wyjęli broń. Serduszko zasłoniła mnie sobą niczym tarczą. Odsunąłem ją za siebie i powiedziałem:

— Tylko bez głupstw! Nic nam się tu nie stanie! Darky próbował uwolnić się od braci, ale ci nie dawali za

wygraną.

— Jeśli chcesz strzelać do Old Shatterhanda, to strzelaj do mnie! — zawołał Hariman,

— Nie strzelaj do niej, a do mnie! — zawtórował mu Zebulon.

Darky zdołał uwolnić prawą rękę.

— Dobra! — ryknął. — A więc najpierw wy dwaj! A potem oni!

Wycelował błyskawicznie. Huknęły dwa strzały, a prawie jednocześnie drugie dwa. To byli Apanaczka i Old Surehand. Olbrzym trafiony został dwukrotnie w czoło. Zrobił pół obrotu, zachwiał się, a potem zwałił razem postrzelonymi w piersi braćmi na ziemię. Old Surehand i Apanaczka skoczyli ku niemu, by w śmiertelnych drgawkach nie uczynił nikomu krzywdy. Serduszko uklękła obok Zebulona, a ja pochyliłem się nad Harimaniem. Darky mierzył dobrze. Hariman otworzył jeszcze oczy.

— Od tamtego wieczoru na Nugget Tsil byłem pańskim Winnetou — wyszeptał. — Czy zostało mi wybaczone?

— Wszystko, wszystko! — odpowiedziałem.

— Mojemu ojcu również?

— Jemu też!

— A więc... umieram... radośnie...

Te słowa były już ledwo słyszalne. Zwiśł bezwładnie. Zebulon leżał cicho, tylko powieki mu drżały. Jego również nie można już było wydrzeć śmierci. Serduszko płakała, leciutko gładząc jego policzek. Nagle otworzył oczy, uniósł się na łokciach i widząc ją zapytał zdawałoby się mocnym, zdrowym głosem:

— Pani płacze, pani Burton? A ja jestem taki szczęśliwy! Uśmiechną! się i ostatkiem się podniósł sobie do ust jej rękę.

— Niech pani przeczyta imię pod moją gwiazdą! — poprosił.

Skinęła głową.

Po krótkiej przerwie przemówił coraz bardziej cichnącym głosem:

— Czy myśli... pani... że mój ojciec... jest teraz wyzwolony... wyzwolony?

— Myślę, że tak — odpowiedziała.

— A więc... Bogu dzięki... to nie na próżno... nie na próżno!

Opadł na ziemię i wyprężył się. Po chwili i on był wyzwolony. Podnieśliśmy się. Darky leżał pomiędzy swymi ofiarami patrząc w niebo otwartymi, martwymi oczami.

— Czy tak być musiało? — zapytała Serduszko.

— Nie! — odparłem niemal z gniewem.

— Nie musiało tak być — potwierdził Old Surehand. — Mogliśmy tego uniknąć. Działaliśmy zbyt pochopnie. Bez zastanowienia!

— Jak już przedtem wiele razy — przytaknąłem, nie mogąc powstrzymać się od wyrzutu. Przyjęli go spokojnie.

— Co teraz? — zapytałem. — Czy sądzicie, że śmierć przywódcy przekreśli spisek robotników, czy odwrotnie — doprowadzi do szybszego wybuchu?

— Hm — mruknął Old Surehand zakłopotany. — Słusznie! Co teraz?

Popatrzyli na siebie ale żaden nie dał odpowiedzi na to pytanie.

— Jak długo potrwa sprowadzenie tutaj tuzina twoich Komanczów? — zapytałem Apanaczki.

— Najwyżej kwadrans jeśli sam po nich pojedę.

— Nikt nie wie jeszcze, co tu się stało. Robotnicy są albo w kamieniołomach, albo przy wodospadzie. Przyprawdź zaufanych ludzi i ukryj tymczasem ciało Darky'ego. Rozpowszechnimy wiadomość, że zabił Entersów w czasie kłótni i zbiegł obawiając się kary. Robotnicy będą zdezorientowani i prawdopodobnie nie przystąpią do ataku.

— Dobra myśl! — przytaknął Old Surehand. — Jedź szybko po ludzi!

Apanaczka odjechał w pośpiechu i po niespełna piętnastu minutach był już z powrotem z Indianami. Ci przywiązali ciało Darky'ego do konia i zabrali ze sobą. Dwóch z nich zostało jako straż przy zwłokach Entersów.

Serduszko była do głębi wstrząśnięta. Chciała jechać do domu. Pojechałem z nią do Twierdzy. Opuściła ją dopiero po południu, kiedy uspokojona już nieco, podjęła dalszą pracę z inżynierem. Wróciła do domu wieczorem i zakomunikowała mi, że ludzie zbierają się już przy wodospadzie. Zjadłszy kolację udałem się tam i ja w towarzystwie Tatella-Saty i Młodego Orła. Pappermann, Inczu-inta i inni byli już na miejscu.

Tatella-Sata omówił już ze mną wszystko i wydał odpowiednie polecenia. Robotnicy mieli być zgromadzeni w pobliżu posągu. Zwykłych widzów kierowano na wielki, mieszczący tysiące ludzi plac przed pomnikiem, który ciągnął się aż do "diabelskich ambon". Na te ostatnie wstęp mieli tylko młodszy i starszy wodzowie. Pomiedzy robotnikami a widzami stanął potrójny kordon uzbrojonych w rewolwery Winnetou, którzy mieli zapanować nad robotnikami, gdyby przyszło im do głowy postąpić według planu Darky'ego i czterech sprzymierzonych wodzów.

Wspomnieć należy, że w dniu dzisiejszym przybyły pierwsze transporty konne, które miały zaopatrywać oczekiwane tłumy gości w prowiant i inne niezbędne artykuły. Wraz z tymi transportami przyjechał również spory zastęp samych pielgrzymów, którzy z entuzjazmem przyjęli wiadomość, że już najbliższego wieczoru obejrzą widowisko świetlne z ich ukochanym, kamiennym Winnetou w roli głównej. Zgromadzili się już na placu, tak że widownię można było właściwie uznać za zapełnioną. Wodzowie mieli zająć miejsca na ambonach lub w ich pobliżu. Ambony oznaczono w następujący sposób: po lewej stronie drogi znajdowała się ambona pierwsza i druga, po prawej ambona trzecia i czwarta. Z ambony pierwszej słychać było to, co się mówi na trzeciej, z ambony drugiej to, co się mówi na czwartej. Oczywiście? dźwięk biegł też w kierunku odwrotnym, tak że z ambony trzeciej można było podsłuchiwać pierwszą, a z czwartej drugą. Chcąc słyszeć czterech

sprzymierzonych, wrogich nam wodzów a samemu usadawiając się na ambonie pierwszej, musiałem skierować ich na trzecią. Wprawdzie i oni mogli z niej nas słyszeć, ale by uporać się z tym problemem wystarczyło ściszyć głos do szeptu, a głośno mówić to tylko, co przeznaczone było dla nieprzyjaciół. Co do drugiej pary ambon, to zajęta miała być tylko czwarta. Drugą pozostawiliśmy pustą.

Kiedy dostaliśmy się na plac, oświetlony był on tylko prowizorycznie i to nie za pomocą nafty, lecz wyłącznie prądu elektrycznego. Zważywszy na ogromne ilości wytwarzanej na wodospadach energii elektrycznej było tak zarówno wygodniej, jak i taniej. Ludzie rozstąpili się, by dopuścić nas do pierwszej ambony. To od jej podnóża tajemne przejście wiodło w głąb jaskini. Przy ambonie powitali nas zaprzyjaźnieni wodzowie. Obecni byli wszyscy, nawet stuletni Awath-Niah. Kazałem im przedtem powiedzieć, by nie wchodzili na ambonę, lecz usadowili się u jej podnóża. Uczynili tak nie znając powodów. Pospieszyłem teraz, by im je wyjaśnić. Ze zdumieniem przyjęli wiadomość, że chodzi o rozwiązanie starej, znanej wszystkim zagadki. Poprosiłem, aby weszli teraz na górę i zachowywali się bardzo cicho rozmawiając tylko z ręką przyłożoną do ust. Oznajmiłem, że udaję się na rozmowę do naszych nieprzyjaciół, i że pozostając tutaj będą mogli usłyszeć każde słowo.

Stary Kiktahan Szonka siedział już na trzeciej ambonie ze swoimi kamratami. Wzniesienie otoczone było na mój rozkaz kordonem uzbrojonych Winnetou. Kazałem im uważać zebrane na ambonie osoby za więźniów i nie dopuścić do oddalenia się żadnej z nich bez mojego wyraźnego pozwolenia. Potem wszedłem na górę.

— Old Shatterhand! — zawołał na mój widok stary Tangua, który pierwszy mnie rozpoznał.

— Tak, to ja — odpowiedziałem głośno. — Przyszedłem wam o czymś powiedzieć, abyście nie czekali na próżno. Czy wiecie już, że wasz przyjaciel Darky uciekł?

— Wiemy — odparł To-kei-czun. — Ale Darky to dla nas żaden przyjaciel.

— A jednak! — zaprzeczyłem. — Zdarzyło się, że wczoraj przechodziłem pod otwartym oknem kantyny, za którym omawialiście plan na dzisiaj.

— Uff, uff! — krzyknął przerażony. Mówiłem dalej:

— Darky nie żyje, podobnie jak Entersowie. Zabili go Old Surehand i Apanaczka.

— Uff, uff, uff! — zabrzmiało wokoło.

— A Pida, który pojechał do Doliny Jaskini po cztery tysiące wojowników, nie zdoła tu dotrzeć. Zawaliliśmy mu drogę i weźmiemy do niewoli całe jego wojsko.

— Uff, uff!

— Komitet został rozwiązany! Entersowie przekazali mi podpisany przez was dokument. Mam niepodważalny dowód na to, że kłamaliście i czyhaliście na moje życie! Czas wymierzyć wam zasłużoną karę! Jesteście aresztowani! To miejsce otoczone jest przez Winnetou! Każdy, kto będzie próbował ucieczki, zostanie natychmiast zastrzelony!

Wszyscy zamilkli. Wodzowie byli śmiertelnie przerażeni. Czterej członkowie komitetu, którzy także wśród nich się znajdowali, również nie odzywali się ani słowem. Nagle ziemia zadrżała nam pod stopami. Z jej głębin doszedł nas krótki wstrząs i dudnienie. Poczułem, że czas najwyższy uciekać z tego miejsca.

— Słyszycie? — zapytałem. To przemówiła jaskinia, w której znajduje się teraz całe wasze nieszczęsne wojsko! Ci ludzie są zgubieni!

Po tych słowach zszedłem szybko z ambony i pobiegłem do właściwego wyznaczonego mi miejsca. Wśród tłumu panowała głęboka cisza. Ludzie byli przerażeni podziemnym wstrząsem. Nagle dał się słyszeć donośny głos Old Surehanda, nakazującego włączenie

oświetlenia. Inżynier uruchomił projektor. Posąg Winnetou stanął w jasnym świetle, a po obu jego stronach, na powierzchni Wodospadu-Całunu, pojawiły się powiększone portrety Young Surehanda i Young Apanaczki. Jeśli Old Surehand oczekiwał aplauzu, to bardzo się zawiodł. Bezgłowa figura nie robiła szczególnego wrażenia, a twarze obu młodych artystów do tego stopnia pozbawione były głębszego wyrazu, że Przyjęto je z całkowitą obojętnością. W tym momencie dotarłem na szczyt mojej ambony. Dałem obecnym znak ręką, aby nie mówili na głos i zapytałem cicho?

— Słyszeliście wszystko? Kiwnęli głowami.

— Dudnienie też?

— Też — szepnęła Serduszko zakrywając dłonią usta.

— Katastrofa nie chce czekać! — powiedziałem. — Zdaje się, że już mamy z nią do czynienia!

Spod ziemi wydobył się pomruk. Potem stęknęło coś, jakby łamiąc się pod ciężarem. Po raz drugi rozległ się głos Old Surehanda. Inżynier wyłączył projektor. Portrety zniknęły. Rozbłysły natomiast wszystkie możliwe światła — od najmniejszych latarek, po ogromne kule na wysokich słupach. Trzeba powiedzieć, że z równie mizernym co poprzednio efektem. Posąg zalany potokami zimnego światła wyglądał teraz tak jak za dnia. Naturalnie ten powszedni dosyć widok nie wywołał entuzjazmu.

Ja jednak dostrzegłem coś szczególnego! Figura pochyliła się już tak znacznie na jedną stronę, że Serduszko chwyciła mnie za rękę i szepnęła:

— Na Boga! Ona się przewraca!

Ledwie przebrzmiały te słowa, kiedy ziemia znowu zatrzęsała się nam pod stopami. Zadudniło i zatrzęszczało. Figura pochyliła się w lewo, do przodu, a potem przekreśliła nieco w prawo. Zagrzmiało, jakby zginać miał za chwilę cały świat.

— Uciekajmy! Ratunku! — zawyli robotnicy pod figurą rzucając się do ucieczki.

W tym momencie rozległ się nieopisany huk i trzask. W ziemi otworzyła się przepaść. Pomnik wraz ze swym potężnym piedestałem obrócił się dookoła swej osi i z niewyobrażalnym, rozdzierającym bębenki łomotem runął w otchłań, pociągając za sobą wszystko, co znajdowało się dookoła — rusztowania, belki i słupy oświetleniowe. Otoczyły nas ciemności. Z tysięcy gardeł wyrwał się jeden wielki okrzyk przerażenia. Potem na krótką chwilę zapanowała cisza, którą przerwał krzyk starego Tanguy.

— Pida, Pida! Mój synu!

Znowu rozległa się wrzawa. Tysiące ludzi krzyczało, wrzeszczało, nawoływało się, jakby nagle wszyscy razem postradali zmysły. Nikt nie chciał tu zostać. Wszyscy parli ku wyjściu z doliny w obawie, że dzieło zniszczenia nie dobiegło jeszcze końca. Również nasi zaprzyjaźnieni wodzowie zeszli z ambony i w największym pośpiechu naradzali się, jakie przedsięwziąć dalej kroki. Na ambonie pozostaliśmy tylko Tatella-Sata, Serduszko i ja. Czarownik poprosił mnie:

— Nie pozwól im tu wejść z powrotem! Nie chcę, by ktokolwiek więcej słyszał, co zostanie powiedziane na tamtej ambonie.

— Ja również tego nie będę słyszał — odparłem. — Nie mam teraz na to czasu. Trzeba ratować to, co się jeszcze da uratować.

Posłałem Inczu-intę i Pappermanna do Twierdzy po pochodnie. Odszukawszy Old Surehanda oraz inżyniera zapytałem, czy możliwe jest szybkie przywrócenie oświetlenia elektrycznego. Obiecali usunąć uszkodzenie. Przewodów i żarówek mieli pod dostatkiem. Potem sześciu, spośród dwunastu wodzów Apaczów, kazałem mimo nocnej pory jechać ze

swymi ludźmi do Doliny Jaskini i jak najszybciej donieść mi, co się tam wydarzyło. Ledwie skończyłem mówić, zawisła nad nami nowa groźba. Wodospad nie znajdował już ujścia w głębi ziemi. Dno potężnej wyrwy powstałej w miejscu pomnika zatkałe było masami kamieni i ziemi. Woda podnosiła się coraz wyżej grożąc zalaniem całej doliny. Przyjście z pomocą tym, którzy prawdopodobnie zasypani zostali w jaskini, byłoby w takim wypadku niemożliwe. Szczęśliwie problem sam się rozwiązał. Nacisk wody pokonał opór zatykający odpływ skał i ziemi. We wzbierającej kipieli, zaczęły tworzyć się wiry. Od czasu do czasu na powierzchnię wydobywał się potężny bąbel powietrza. Woda znalazła sobie ujście. Wkrótce uformował się w niej potężny wirujący lej, wraz z którym zniknęła na dobre w czeluściach.

Kiedy Inczu-inta i Pappermann przybyli z pochodniami dobrawszy sobie jeszcze kilku zaufanych Winnetou, zszedłem otworem pod amboną na ich czele do jaskini. Pochodnie zapaliliśmy dopiero pod ziemią. Zeszliśmy po stopniach. Skutki wstrząsu były widoczne aż tutaj. Coraz częściej potykaliśmy się o kamienie, które poodpadały ze ścian i sklepienia. Niejednokrotnie musieliśmy je usuwać z drogi, aby móc postępować dalej. Dlatego posuwaliśmy się naprzód bardzo wolno. Sytuacja w miejscu połączenia się naszego tunelu z odgałęzieniem wiodącym do kwietnej świątyni przedstawiała się tak źle, że na utorowanie sobie drogi w zgromadzonych przez nas stalaktytach, do których wstrząs dodał wiele innych ułamków, straciliśmy przeszło godzinę. Następnym krytycznym punktem było połączenie z szerokim korytarzem, zresztą w miejscu, w którym po raz pierwszy zaobserwowałem pęknięcie sklepienia. Dojście do połączenia zostało całkowicie zasypane i to na znacznej długości. Natknęliśmy się jednak na dwie siedzące bez ruchu postaci. Obok nich leżała nie dopalona pochodnia. Byli to czarownicy, którzy prowadzili wojsko przez jaskinię. Nie ruszali się i zdawali się nas nie rozpoznawać. Śmiertelny strach pomieszał im zmysły. Patrzyli lękliwie przed siebie i dopiero po dłuższym czasie, na podstawie ich nieskładnych odpowiedzi, zdołaliśmy odtworzyć przebieg wypadków. Wojownicy zostawili konie w dolinie i weszli pieszo do jaskini. Mając dość czasu powoli posuwali się naprzód. W krytycznym momencie znajdowali się u końca szerokiego korytarza, szczęśliwie nie w centrum, a na peryferiach obszaru zniszczenia. Potężny podmuch powietrza zgasił wszystkie pochodnie. Wszystko wokół zadrżało, ze sklepienia, raniąc wielu, posypały się skały. Wybuchła ogromna panika. Ludzie rzucili się do ucieczki. Jedni chcieli biec naprzód, inni do tyłu. Wśród krzyków i przekleństw deptano i popychano się nawzajem.

W podziemnej rzece zniknęła woda, by wkrótce powrócić tym potężniejszą falą. Wyglądało to tak, jakby rzeczkę gdzieś w górze zatamowano, a potem znowu podniesiono śluzy. Fala przeszła z takim impetem, że zalała wszystkich i groziła porwaniem ze sobą każdego, kto choćby na moment puściłby się skał. Zabrała zresztą ze sobą większe odłamki skalne i zgromadziła je nieco niżej tarasując drogę powrotną do doliny. Przez to zwalisko ledwie przeciekała, płynąca już normalnym strumieniem rzeczka. Indianom nie pozostawało więc nic innego jak iść dalej naprzód. Ci, którzy pobiegli z powrotem do doliny musieli zawrócić i dołączyć do swych towarzyszy. Droga w górę została również niemal całkowicie zasypana. Wojownicy znaleźli w zwalisku tylko jedną wąską szczelinę, którą należało najpierw ostrożnie zbadać. Podjęli się tego obaj czarownicy z największym trudem rozpaliwszy swoją mokrą pochodnię. Szczelina okazała się właściwym tropem, ale ledwie znaleźli się po drugiej stronie, rozległ się znowu huk i zadrżała ziemia. Czarownicy rzucili się naprzód w śmiertelnym przerażeniu. Wpadli na siebie, przewrócili nawzajem i nie władając już sobą w pełni usiedli w końcu w bezmyślnym osłupieniu. Tak ich też zastaliśmy.

Z tej relacji jasno wynikało dla mnie, że na ratunek zasypanym można było przyjść tylko z naszej strony, a nie od strony Doliny Jaskini. Należało sprowadzić robotników z pochodniami, kilofami, łopatami i wszelkimi innymi potrzebnymi narzędziami. Zmusiliśmy czarowników do powstania i wyjścia z nami na zewnątrz, gdzie inżynierowi i jego ludziom

udało się tymczasem przywrócić najniezbędniejsze oświetlenie. Wziąwszy obydwu czarowników pod ręce zaprowadziłem ich do ambony, na której uwięziony był Tangua ze swymi sprzymierzeńcami.

— Uratowani! — krzyknął rozpoznając moich więźniów. — To ich przewodnicy! Jeżeli oni żyją, żyje także Pida!

Nie odezawszy się ani słowem wepchnąłem czarowników za kordon i oddaliłem się, by omówić dalszą akcję ratowniczą z Old Surehandem, któremu podlegali robotnicy. Ci ostatni zapomnieli już o swym wzburzeniu i chętnie zgodzili się podjąć pracę nad usuwaniem blokady. W tym przedsięwzięciu bardzo użyteczne okazało się światło elektryczne. Żarówki uczyniły zupełnie zbytecznymi, dające niewiele światła i kopące pochodnie. Rozpoczęła się praca — ciężka i nie całkiem bezpieczna. Należało usunąć ogromne masy kamieni. Ile czasu mogło to potrwać — tego na razie nikt nie potrafił przewidzieć. Tatella-Sata zszedł raz do jaskini, aby zapoznać się z postępem robót. Głównie jednak pozostawał na swojej ambonie, z której mógł wszystko nadzorować. Najbardziej interesowały go rozmowy wrogich wodzów, którym mógł się stamtąd przysłuchiwać. Poświęcił na to wiele czasu i ciągle jeszcze słuchał z wielkim zajęciem. Dowiedział się nie tylko o wszystkich krętowniach, ale miał również sposobność zaobserwować wpływ, jaki katastrofa wywarła na tych ludziach.

Serduszką praca paliła się w rękach. Wraz z Asztą, Kolmą Puszi i innymi czerwonoskórymi przyjaciółkami przygotowywała się na przyjęcie uwolnionych spod ziemi wojowników, z których wielu z pewnością musiało odnieść poważne obrażenia. Należało liczyć się nawet z wypadkami śmiertelnymi. Zaspokojenia domagał się również głód całego wrogiego wojska. Rzeczy do przemyślenia i do zrobienia było co niemiara. Również my, mężczyźni, nie mogliśmy sobie pozwolić na odpoczynek. Wprawdzie prac ratunkowych, spokojnie i pewnie posuwających się do przodu, przyspieszyć się nie dało, natomiast musieliśmy podjąć decyzje dotyczące dalszego losu czterech tysięcy mężczyzn, przede wszystkim ich schronienia i wyżywienia, a także, o ile to byłoby możliwe, przeobrażenia ich z naszych wrogów w przyjaciół. Owa przemiana zdawała się już zresztą stawać po części faktem, jeśli jeszcze nie w odniesieniu do zasypanych, to na pewno do znajdujących się na powierzchni niektórych naszych czołowych przeciwników. Poczynilem to spostrzeżenie z radością podczas rozmowy z Old Surehandem i Apanaczką, których zastałem rozprawiających ze swymi synami. Moje pojawienie się przyjęte zostało początkowo z zakłopotaniem. Old Surehand opanował się jednak szybko i powiedział:

— Dobrze, że możemy tutaj z tobą na osobności porozmawiać. Właśnie mówiliśmy o tym, czy nie jesteśmy ci winni jakichś przeprosin. Moim zdaniem, jesteśmy. Tobie i Tatella-Sacie, któremu przysporzyliśmy tylu żmartwień. Żałujemy teraz tego. Powiedz mu to od nas!

— Tak, powiedz mu to! — zawtórował Apanaczka. — Chętnie mu wszystko wynagrodzimy. Pomysł z gigantycznym pomnikiem był wielkim błędem! Twoje czytania uświadomiły nam wiele rzeczy. A tego, co jeszcze w nas zostało pozbyliśmy się w momencie, w którym całe nasze dzieło nagle zapadło się pod ziemię. Przyznajemy, że sami na to zasłużyliśmy, co nie zmienia faktu, że była to gorzka lekcja. Nasi synowie zapłacili za nią częścią swej artystycznej osobowości, co zaś tyczy się ojców, to wyłożyliśmy znaczne sumy, które w obecnej sytuacji można uznać tylko za stracone...

— Stracone? — zapytałem. — W żadnym wypadku!

— Jak to?

— W żadnym wypadku! Również zraniona osobowość artystyczna szybko powróci do zdrowia. Gdyby obydwaj młodzieńcy mieli w czasie rodzenia się tego zamysłu więcej zaufania do swojego starego, wiernego przyjaciela, ich myśli zostałyby skierowane na inny tor, a wy nie musielibyście teraz obliczać strat, które jednak w gruncie rzeczy nie są żadnymi

stratami, lecz wielkim, wewnętrznym zyskiem. A ten ma nieocenioną wartość!

— Naprawdę? — spytał Old Surehand.

— Oczywiście! Jeśli nawet nasz pomnik zwyciężył wasz, to pozostaje jeszcze druga część waszego zamysłu.

— O czym mówisz?

— O założeniu miasta Winnetou.

— Uważasz, że ta idea nie upadła razem z naszym pomnikiem?

— Z pewnością nie! Przeciwnie — będę pierwszym, który z całym entuzjazmem dążyć będzie do tego, by stała się faktem!

— O gdyby się stała! — krzyknął uszczęśliwiony. Pozostali trzej zawtórowali mu tymi samymi słowami.

— Stanie się! — zapewniłem. — Jeśli pragniemy przebudzenia się czerwonej rasy, nie wystarczy troszczyć się o sprawy jej ducha. Trzeba także przygotować zewnętrzne miejsce, w którym czerpać będzie płynące z ziemi moce. Miejscem tym powinno być i będzie miasto Winnetou, które zaplanowaliście zapominając o duszy. Pomyślcie, ilu tu trzeba ulic, placów i budynków! Po gmachu dla każdego klanu! A największy i najpiękniejszy dla klanu Winnetou! Pomyślcie, ile to już monumentalnych budowli! Pomyślcie o rozbudowie Twierdzy! O Górze Grobów Królewskich

i o wszystkich niezrównanych jej skarbach, którym należy zapewnić godne schronienie! To tylko kilka rzeczy, które mi się teraz nasuwają. Czy trzeba więcej?

— Wystarczy! — odparł Old Surehand. — Otwierasz przed nami zupełnie nowe perspektywy. I tego właśnie dotyczyć będą obrady?

— Tak.

— Możemy w nich uczestniczyć?

— Jakżeby inaczej?

— A więc dziękujemy! — zawołał w uniesieniu. — To więcej niż kiedykolwiek oczekiwaliśmy! Jaka szkoda, że wcześniej się z tobą częściej nie kontaktowaliśmy!

— Nadrabiajcie zaniedbania! Jeszcze nie jest za późno! — powiedziałem. — We wszystkich tych przedsięwzięciach można wykorzystać kunszt artystyczny waszych synów w zupełnie inny sposób niż w przypadku owej nieszczęsnej figury, przy której na darmo się trudzili! Wrócimy do tej rozmowy. Teraz nie ma już czasu.

Zostawiłem ich zachwyconych tym, co usłyszeli. Z całkowitą pewnością mogłem uznać ich za ludzi przekonanych do wzniosłej szczy i właściwszych poglądów.

Kiedy przed świtem rozmawiałem z Młodym Orłem, przybył posłaniec od wodzów wysłanych do Doliny Jaskini i zameldował, że nasi Indianie szczęśliwie dotarli na miejsce i obezwładnili już część strażników pozostawionych przez wroga wojsko przy koniach. Resztę strażników planowano obezwładnić za dnia. To było niewiele. W dawniejszych czasach nie znaleziono by nikogo, kto chciałby jechać z tak połowicznymi wieściami. Uznałem za zbyteczne udzielanie nagany posłańcowi, ale Młody Orzeł zauważył, że nie jestem zadowolony. Kiedy zostaliśmy sami zapytał:

— Bardzo chętnie przyniosłbym ci lepsze wiadomości. Czy mogę?

— Dziękuję — odparłem. Gońców mamy pod dostatkiem.

— Nie mam zamiaru jechać konno!

— A jak?

— Chcę polecieć!

— Naprawdę? — zapytałem zaskoczony.

— Tak. Będę tam w pół godziny.

— To byłoby wspaniale! Ale pomyśl o ryzyku!

— Nie ma żadnego ryzyka! — uśmiechnął się.

— A jeśli coś się stanie? Zbyt wiele ode mnie żądasz, domagając się pozwolenia.

— W takim razie zapytam: czy to zabronione?

— Zabronić ci tego nie mogę. Jesteś panem samego siebie!

— Dziękuję! I jeszcze jedno, skoro już o latającym orle mowa. W Dolinie Śmierci obiecałeś mi oddać na moje życzenie amulety. Pamiętasz?

— Tak. Chcesz je teraz dostać?

— Czy ich jeszcze potrzebujesz?

— Nie. Spełniły dla mnie swoją rolę.

— A dla mnie jeszcze nie. Ja mam być tym, który zwróci zabrane przez ciebie amulety.

— A więc weź je!

— Teraz?

— Tak, teraz! Chodź ze mną do mieszkania!

Mimo ciemności udaliśmy się do Twierdzy. Tam dałem mu amulety. Zawiesił je sobie na szyi.

— Dziękuję — powiedział. — Czy mogę je zwrócić wodzom w wybranym przez siebie momencie?

— Kiedy tylko zechcesz!

— Czy mogę im je najpierw tylko pokazać?

— To również! Z tego pytania wnioskuję, że znasz moje zamiary i nie uczynisz niczego, co nie byłoby z nimi zgodne. Jestem całkowicie spokojny.

— A więc mam jeszcze jedno życzenie. Chcę, żebyś na własne oczy przekonał się, jak łatwe i bezpieczne jest latanie przy pomocy właściwego urządzenia. Chodź, proszę, ze mną do wieży!

Przystąpiłem na jego prośbę. Doszedłszy do wieży zostałem u jej stóp i usiadłem na ławce. Młody Orzeł udał się na platformę. Niebo na wschodzie już się rozjaśniało. Z każdą minutą świt rozświetlał coraz szerszy widnokrąg. Krajobraz budził się i wynurzał z mroku. Nagle usłyszałem nad sobą cichy pomruk silnika.

— Lecę! — rozległ się z góry głos mojego młodego przyjaciela.

Zadarłem głowę. Na tle nieba ukazał się ptak. Uczyniwszy jakby skok z platformy w powietrzny przestwór, uderzył kilka razy skrzydłami, po czym zaczął ślizgać się w powietrzu do przodu, do tyłu, w lewo, w prawo, jak tylko zażyczył sobie Młody Orzeł. Siedział on wygodnie pomiędzy kadłubami i prowadził maszynę niczym dobrze wyszkolonego, posłusznego konia. Przefrunąwszy kilkakrotnie nade mną łukiem i zygzakami zawołał: — Teraz lecę już na południe do Doliny Jaskini! Bywaj! Zawrócił maszynę w odpowiednim kierunku, wzniósł się kilkaset stóp wyżej i odleciał tak szybko, że po chwili był tylko czarnym punktem w przestworzach. Całe to widowisko wprawiło mnie w osobliwy nastrój. Czułem się jako człowiek dumny, a jednocześnie mały, bardzo mały. Ten lot odczułem jako zwycięstwo nad wszystkim co niskie i ciężące ku ziemi, a jednocześnie jako niepokój o to,

czy uda nam się zrealizować wielkość, do jakiej aspirujemy. Kiedy ponownie przyszedłem nad Wodospad-Całun, było już zupełnie widno i dało się bez trudu ocenić cały ogrom nocnych zniszczeń. Nie ma większego sensu ich dokładniejszy opis. Nie będę również opisywał nacechowanego troską i przygnębieniem ruchu, jaki wokół panował. Teren otaczający otwartą w ziemi szczelinę był obszarem zupełnego spustoszenia. Nikt nie zdobył się jeszcze na bezcelową odwagę spojrzenia z krawędzi w głąb otchłani. Ludzie przychodzili i odchodzili zadając sobie jedno tylko pytanie — kiedy wyjdą na powierzchnię pierwsi zasypani. Niestety zdawało się to być kwestią wielu, a nie kilku godzin. Pracowano w bardzo wąskim tunelu, co nie pozwalało na wykorzystanie całej dostępnej siły roboczej. Dlatego prace posuwały się bardzo wolno i mogły potrwać jeszcze cały dzień. Nad placem rozlegały się skargi starych wodzów.

— Pida, mój synu! — wołał ciągle zrozpaczonym głosem Tangua.

— Moi ludzie, moi ludzie, moi ludzie! — wtórowali mu żałośnie pozostali.

Nagle, wszyscy zgromadzeni zaczęli krzyczeć, zadzierając głowy i pokazując do góry rękami.

— Ptak! Wielki ptak!

Młody Orzeł odleciał przed niespełna dwoma godzinami. Teraz był już z powrotem. Wiedział, gdzie mnie szukać. Zatoczył w powietrzu szeroki łuk i zacieśniając kręgi zszedł ku ziemi i osiadł z zadziwiającą pewnością. Wylądował dokładnie pomiędzy ambonami, na wiodącej środkiem drodze.

— To Młody Orzeł! To Młody Orzeł! — rozbrzmiało dokoła.

Ludzie cisnęli się do niego. Nagle rozległ się nad nim potężny głos Atabaski:

— Cofnąć się! Zrobić miejsce! To on jest tym przepowiadającym orłem, który trzykrotnie okrąży Górę Tajemnicy, aby zwrócić nam zaginione amulety!

Ludzie zastygli zadziwieni, w bezruchu, cofnęli się nawet.

— Przepowiadany orzeł... trzykrotnie wokół Góry Tajemnicy... przyniesie amulety... -przekazywali sobie z ust do ust.

Tatella-Sata zstąpił z ambony i wraz ze mną poszedł w kierunku śmiałka.

— Latasz bez mojego pozwolenia? — zapytał z wyrzutem. Jednak jego stara, piękna twarz jaśniała wielką dumą.

Młody Orzeł udowodnił, że potrafi latać.

— Nie latałem dla ciebie albo dla siebie, ale dla Old Shatterhanda — usprawiedliwiał się Młody Orzeł.

— Dokąd?

— Do Doliny Jaskini.

— Co tam się dzieje?

— Wszyscy strażnicy koni zostali wzięci do niewoli. Jeszcze dzisiaj przyprowadzeni zostaną wraz ze zwierzętami. Wejście do jaskini jest tak zapchane naniesionymi przez wodę skałami, że nie sposób dostać się tamtędy do zasypanych. Widziałem to na własne oczy. Można ich uratować tylko z tej strony. Kiedy mam przefrunąć trzykrotnie wokół góry i polecieć po klucz do grobów królewskich?

— Jeszcze dzisiaj — odparł Tatella-Sata.

— Wielkie dzięki! Zrobię więc to dokładnie w południe, kiedy słońce zawiśnie nad naszymi głowami. Nie mogę jednak lecieć sam, bo mój orzeł ucieknie mi, kiedy będę szukał

klucza.

Mówiąc te słowa popatrzył wokół siebie, a dostrzegłszy w gronie wodzów Wakona zwrócił się bezpośrednio do niego:

— Lecieć ze mną to zuchwałość, której nie mogę domagać się od nikogo, kto się na nią sam nie zdobędzie. Aszta, twoja córka, prosiła mnie, bym ją wziął ze sobą. Czy jej na to pozwolisz?

Wakon popatrzył na niego z wielką powagą i powiedział:

— Jesteś śmiały! Czy zdajesz sobie sprawę, czego ode mnie żądasz?

:

— Tak — odparł Młody Orzeł z równą powagą.

— Czy świadom jesteś konsekwencji takiego wspólnego, historycznego lotu?

— Owszem. Aszta zostałaby moją żoną!

— Czy znasz jej wartość? Czy znasz wielkość daru, jakiego dla siebie pragniesz?

Młody Orzeł ściągnął lekko brwi i odpowiedział:

— Czyż pragnąłbym tego daru nie doceniając jego wielkości? Czyż mniej od niej jestem wart?

Przez szlachetne oblicze Wakona przemknął uśmiech. Potem donośnym głosem, tak aby wszyscy słyszeli, obwieścił swoją decyzję:

— Jesteś pierwszym Winnetou i tym, który nauczy swój lud latać. Będziesz wielkim, słynnym wodzem. Nie mam nic przeciwko temu, aby moje dziecko towarzyszyło ci w podniebnej podróży!

Oświadczenie przyjęte zostało z aplauzem. Młody Orzeł pociągnął za druty swej maszyny. Załopotały skrzydła i aparat wzniósł się na niewielką wysokość. Młody Orzeł krzyknął z góry:

— Dziękuję ci, w moim i jej imieniu! Polecę zaraz po nią. Najpierw mam jednak jeszcze coś do powiedzenia uwięzionym wodzom.

Wzniósł się jeszcze wyżej i przeleciawszy ku zdumieniu wszystkich trzykrotnie nad placem, spłynął zataczając kręgi z powrotem na ziemię tuż nad ambonę, na której siedział Kiktahan Szonka wraz ze swymi sprzymierzeńcami. Młody Orzeł miał teraz na piersi cztery zwrócone mu przeze mnie amulety. Wodzowie natychmiast je spostrzegli i To-kei-czun zawołał:

— Nasze amulety! Oddaj je! Ten, kto nam ich wzbrania jest złodziejem!

— Tak, to wasze amulety — odpowiedział Młody Orzeł. — Nie ukradliśmy ich, a tylko wzięliśmy na przechowanie. Staniecie przed sądem, który orzeknie, w jaki sposób zostaną wraz z wami unicestwione. Zabrał je wam Old Shatterhand. On też pozwolił mi je wam zwrócić. Ponieważ jednak okazaliście się kłamcami, rabusiami i mordercami, zatrzymam je.

— Uff, uff! Uff! — krzyknęli w przestrachu wyciągając do niego ręce.

On jednak nie zwracając na to najmniejszej uwagi wzbił się w górę, i ponownie trzykrotnie okrążywszy plac, poszybował w kierunku swojej wieży, by po chwili zniknąć za Górą Amuletów.

Pojawił się znowu dokładnie w południe. Obok niego siedziała Aszta, jego narzeczona. Tysiące ludzi na placu zadzierało głowy, wpatrując się w maszynę z pełnym nadziei oczekiwaniem. Śmiałość młodej pary niejednego przyprowadzała o żywsze bicie serca. Młody Orzeł zrobił najpierw spokojnie i pewnie trzy popisowe okrążenia wokół Góry Amuletów.

Potem wzbił się ostro w górę ku szczytowi, aby wylądować u stóp skalnej iglicy. Pozostał w maszynie, aby nie utracić nad nią kontroli. Wysiadła Aszta. To dało się zobaczyć mimo dużej, dzielącej nas od nich odległości. Aszta zniknęła na jakąś chwilę, po czym pojawiła się znowu i wsiadła do maszyny. Mechaniczny ptak oderwał się od skał i zataczając kręgi spłynął z powrotem na dół. Okrążył nasz plac trzykrotnie i wylądował dokładnie w tym samym co poprzednio punkcie drogi przebiegającej środkiem doliny. Pospieszyliśmy w jego kierunku z trudem opanowując wzruszenie.

— Czy znalazłeś to, czego szukałeś? — zapytał Tatella-Sata.

— Tak — odparł Młody Orzeł. — Znalazłem kamień, a pod nim te oto dwa talerze.

Wręczył je czarownikowi. Były to dwa małe, bardzo stare, gliniane talerze złożone razem i sklejone ze sobą krawędziami jakimś niezwykle mocnym spoiwem. Musieliśmy je rozbić, aby dostać się do przedmiotu, który się w środku znajdował. Był to jakiś połyskliwy, białoczarny, złożony materiał. Po rozwinięciu okazał się mapą, sporządzoną przy pomocy jakiegoś niezwykle trwałego barwnika. Tatella-Sata ledwie rzucił na nią okiem, krzyknął tonem dawno wyczekiwanej radości:

— Nareszcie! Oto klucz! Oto droga z Góry Amuletów na szczyt Góry Grobów Królewskich! Zwyciężyliśmy! Jest to ogromne i nieporównywalne z niczym zwycięstwo nad mrokami, z którymi zmagala się dotychczas historia czerwonej rasy! Otoczy nas teraz światło i ciepło! Już jutro albo pojutrze wyruszy wyprawa na Górę Grobów Królewskich! Niech z dniem dzisiejszym nastanie radość! Radość, nadzieja i ufność dla wszystkich, których pragnieniem jest wziąć udział w wielkim pochodzie ku wyżynom człowieczeństwa!

Od tej chwili, mimo trudnego ciągle położenia zasypanych, na Górze Winnetou zapanował świąteczny nastrój. Nie mogąc już dłużej wstrzymać naszej ciekawości pospieszyliśmy do Twierdzy, aby w tamtejszej bibliotece porównać szczęśliwie odnaleziony "klucz" z innymi mapami i wyciągnąć szczegółowe wnioski, co do możliwości przejścia wskazaną drogą. Cały ten czas Serduszko zajęta była wraz z inżynierem pracą przy jego urządzeniach. Pojawiła się dopiero wieczorem i zakomunikowała, że wszystko jest w porządku.

— Kto lub co jest w porządku? — zapytałem.

— Winnetou — odparła. — Nasz. Nie ten kamienny, który się zapadł pod ziemię. Wyjdzie cudownie na taflę wodospadu. A po obu stronach charakterystyczne portrety Marah Durimeh i Tatella-Saty. Ale pokaz zrobimy dopiero wtedy, kiedy nic już nie będzie zagrażać zasypanym. Nasz Winnetou powinien oznaczać wybawienie i radość, a nie niepokój i troskę. Zgodzisz się chyba ze mną?

— Zgadzam się zawsze ze wszystkim, co robisz w swych porywach miłości do ludzi. Zjemy kolację i wrócimy na dół. Muszę raz jeszcze zejść do jaskini i dowiedzieć się, dlaczego prace ratunkowe ciągle jeszcze nie przynoszą rezultatu.

W jaskini przekonałem się, że pracowano z wielką ofiarnością. Do odgarnięcia były jednak tak wielkie masy kamieni i ziemi, że musiało to potrwać jeszcze dłuższy czas. Minęło kilka godzin. Przyprawiono konie zasypanych. Ludzie przyglądali się im bez większych emocji. Cała ich uwaga skupiona była na trwającej pod ziemią walce o życie zasypanych. Ostatecznie nadeszła wreszcie wiadomość, że słychać już stukanie po drugiej stronie zwaliska. Należało się spodziewać, że odkopywanie potrwa jeszcze przynajmniej godzinę. Dlatego zwołałem zaprzyjaźnionych wodzów, aby pod przewodnictwem Tatella-Saty podjąć wspólną decyzję co do dalszych losów naszych obecnych i przyszłych jeńców. Narada odbyła się na naszej ambonie, celowo po to, aby przysłuchiwać się jej mogli główni podsądni. Wniosłem, by potraktować winowajców z całą surowością, obrady miały więc bardzo poważny charakter. Wyrok brzmiał: Simon Bell i Edward Summer mają być wykluczeni z

komitetu, William Evening i Antonius Paper — wypędzeni, czterej wodzowie mają być zabici przy palu męczarni, a ich amulety spalone, młodszy wodzowie — rozstrzelani, wojownicy pozbawieni broni, włosów, amuletów i rozpędzeni.

Wyrok surowy, ale o psychologicznym tylko znaczeniu. Wszyscy wiedzieliśmy, że żadnemu z nas nie zależy na jego wykonaniu. Podsądni, choć słyszeli wszystko na swojej ambonie, podczas całej rozprawy nie wydali z siebie ani jednego dźwięku. Dopiero po wygłoszeniu wyroku dały się słyszeć nieokreślone odgłosy podniecenia i krzyki świadczące o tym, że wszystko potraktowali bardzo poważnie. Tylko Tangua nie krzychał powtarzając swoje płaczliwe: "Pida, mój synu!" Musiał go bardzo kochać. Z nich wszystkich właśnie Tangua najbardziej zasługiwał na szacunek. Prawdę powiedziawszy zacząłem czuć do niego coś w rodzaju sympatii.

Z jaskini nadeszła wiadomość, że przebito się do zasypanych i że dowodzący nimi Pida chce ze mną rozmawiać.

Kazałem go do siebie przyprowadzić, ale tylko jego samego. Tak on, jak i cała reszta byli naszymi jeńcami. Wkrótce Pida stał już przede mną. Nie miał żadnej broni, gdyż mu ją zabrano. Wyciągnąłem do niego rękę i powiedziałem:

— Pida jest moim jeńcem, ale zarazem i przyjacielem. Czy mi nie ucieknie?

— Nie — brzmiała dumna odpowiedź.

— W takim razie niech pójdzie porozmawiać ze swoim ojcem. Potem niech do mnie wróci! Im szybciej to uczyni, tym szybciej wyjdą z jaskini jego nieszczęśni wojownicy.

Dałem mu przewodnika. Pida poszedł za nim. Słyszeliśmy każde słowo jego rozmowy z czterema wodzami. Potem wrócił. Zachowywałem się tak, jakbym niczego nie słyszał i o niczym nie wiedział.

— Co Pida ma nam do powiedzenia? — zapytałem.

— Wodzowie chcą z wami negocjować.

— Na jaki temat?

— Na temat swego dalszego losu.

— Czy znają go?

— Tak.

— Skąd? Kto im o tym powiedział?

— Nikt. Słyszeli wszystko. Całą waszą naradę. Każde słowo. Na Górze Winnetou dzieją się cuda.

— Tak, tu rzeczywiście dzieją się cuda! — przytaknąłem. — A największy z nich polega na tym, że chcemy okazać wam łaskę. Ale tylko waszym wojownikom. Zostawimy im amulety. Broń jednak muszą zostawić w jaskini. Będą wypuszczani pojedynczo, jeden za drugim. Nakarmimy głodnych, napoimy spragnionych, opatrzymy rannych.

Jeśli Pida zagwarantuje swoim słowem, że wszyscy wojownicy odniosą się do nas przyjaźnie i z wdzięcznością, być może nie będziemy tak surowi również w stosunku do wodzów!

— Daję ci to słowo! Muszę jednak pójść jeszcze do jaskini, aby pouczyć ludzi, jak się mają zachowywać.

— Idź więc i wracaj szybko!

Chciał już odejść, ale przystanął jeszcze i dorzucił cieplejszym tonem:

— Powiedziałem memu ojcu, że uważasz się ciągle za mojego przyjaciela. Kazał mi tobie

podziękować. On mnie bardzo kocha i bardzo się bał o mnie.

Pida odszedł. Pojawiła się natomiast Serduszko, która do tej pory przebywała w towarzystwie swoich przyjaciół, zgłaszających gotowość nakarmienia i opatrzenia wojowników z jaskini. Zapytała, kiedy wyjdą na powierzchnię pierwsi z nich.

— Pierwszy był tu już przed chwilą — powiedziałem. — Pida. Poszedł z powrotem i wkrótce będzie tu znowu. Potem wyjdą wszyscy, jeden za drugim.

— A więc już czas! Muszę się spieszyć! Gdzie inżynier? Uratowanych musi powitać nasz Winnetou!

Pobiegła w swoją stronę. Do tej pory paliło się tylko kilka żarówek, tak że o dostatecznym oświetleniu wielkiego, rojącego się od ludzi placu nie mogło być mowy. Nadszedł właśnie znowu Pida i dokładnie w tym momencie inżynier uruchomił swój projektor. Na gładkiej tafli wodospadu ukazała się postać dążącego ku niebu Winnetou, z rozwianymi włosami i opadającymi na ziemię piórami wodzowskimi. Ruch mknącej w dół wody wywoływał złudzenie, jakby Winnetou rzeczywiście wznosił się do góry. Wrażenie było piorunujące.

— To Winnetou! Mój Winnetou! Nasz Winnetou! — zawołał Tatella-Sata ponad zastygłym w zupełnej ciszy tłumem.

W chwilę potem zabrzmiał dźwięczny, donośny głos Wakona:

— Tak, to Winnetou! To jego duch!

W tym momencie ludzie dali wyraz swemu zaskoczeniu, zdumieniu i podziwowi w tysięcznych okrzykach radości, ponad które wzbiał się po jakimś czasie potężny bas Inczu-inty:

— Tatella-Sata! Nasz Tatella-Sata!

Inczu-inta miał na myśli obraz jego głowy, który ukazał się po prawej stronie Winnetou.

— Tatella-Sata! Nasz Tatella-Sata! — krzyczał radośnie tłum.

— A to jest głowa Marimeh, legendarnej królowej, przyjaciółki naszych przodków.

To był głos Młodego Orła.

— Marimeh! Królowa! Przyjaciółka! — podawali sobie ludzie z ust do ust.

Wodospad-Całun jawił się teraz oczom wszystkich jak prawdziwy cud! Nikt nie pamiętał już o pochłoniętym przez czeluście kamiennym pomniku. Nikt nie zwracał uwagi na zionącą nie opodal przepaść, w której pogrzebane zostały plany i nadzieje naszych przeciwników. Wszystkie oczy, wszystkie serca i myśli przykuwały te żywe niemal wizerunki, drgające na powierzchni wody. W otworze jaskini ukazali się pierwsi uratowani. Stanęli jak zahipnotyzowani tym pierwszym po wielogodzinnych ciemnościach widokiem. Musieli jednak iść do przodu, bo z tyłu naciskali na nich następni. Ci również stawali w zachwycie i również musieli iść dalej. Nasi Winnetou tworzyli szpaler, którym wyrwani strasznej śmierci wojownicy, udawali się do przeznaczonej dla nich części doliny. Tam znajdowali schronienie i opiekę. Pochód ten trwał godzinami. Zaczął się około północy, a skończył nad ranem, szarym świtem.

Pida nie siedział z założonymi rękami. Nieustannie kursując pomiędzy mną — pełnomocnikiem naszej strony, a Tanguą — rzecznikiem strony przeciwnej, niestrudzenie zabiegał o złagodzenie wyroku wydanego na wodzów. Choć bardzo nam to odpowiadało, udawaliśmy, że nie zależy nam na negocjacjach. Dlatego pierwotny wyrok uchylilem najpierw tylko w stosunku do zwykłych wojowników. Mieli być uwolnieni, a także mogli

zatrzymać swoje konie i amulety. Otrzymali prawo oddalenia się w każdym momencie.

Siedząc w jaskini ani przez chwilę nie przypuszczali, że ich sytuacja ukształtuje się tak pomyślnie. Mimo całego ogromu katastrofy żaden z nich nie zginął. Na obrażenia składały się głównie niegroźne, acz bolesne potłuczenia. Prawdę powiedziawszy pod opieką opatrujących ich kobiet czuli się wyśmienicie. Wielką przyjemność sprawiała im przyjaźń z tymi, których jeszcze wczoraj chcieli unicestwić. Patrzyli na wyszyte na ubraniach gwiazdy swych dobroczyńców. Pytali, co oznaczają. Odpowiedzi uzupełniano o wskazanie migoczącej w strumieniach wody postaci Winnetou. Wyjaśniono, że nie chodzi o wzniesienie kamiennego, martwego wizerunku, lecz o stworzenie wielkiej, szlachetnej rzeszy żywych następców Winnetou, nie tylko w Ameryce, lecz i poza nią — o klan Winnetou nie żądający od swych członków niczego ponad to, by byli szlachetnymi, kochającymi ludźmi, bo tylko miłość czyni człowieka szlachetnym. Zabrał głos Młody Orzeł. Jako pierwszy Winnetou mówił im o tym, co szczególnie w obecnej sytuacji przyniosłoby im pokój i wewnętrzne uzdrowienie. — Gdzie indziej przemawiali inni Winnetou. Był to, by użyć biblijnego określenia, prawdziwy "połów ludzi".

Pida radował się na ten widok i powiedział:

— Jakże cudowne nasienie posiał Old Shatterhand w sercu swego brata Winnetou! Jakże wspaniały przynosi plon! Kwiaty nie przestają pachnąć, a ziarno sypie się nieustannie! Jeszcze parę minut, a wszyscy wasi wrogowie poproszą o przyjęcie do klanu Winnetou! Czy zostaliby przyjęci?

— Oczywiście! Z wielką radością! — odparłem.

— Ja również?

— Ty również!

— A oni?

Wskazał przy tym na ambonę gdzie siedzieli wodzowie. Odpowiedziałem z uśmiechem:

— Mój brat Pida jest bardzo mądrym pośrednikiem. Jeśli potwierdzą, że również oni mogą zostać przyjęci do klanu, będę ich musiał uwolnić i wszystko puścić w niepamięć!

— Dopiero gdy to zrobisz, okażesz się Winnetou — nie pędź. Czy mogę pójść teraz do ojca?

— Idź! — powiedziałem po chwili. — Ale wracaj szybko! Zaraz zrobi się jasno.

Pida poszedł. Oczywiście słyszeliśmy wszystko, co powiedział do wodzów. Również w stosunku do nich okazał się wspaniałym pośrednikiem. Wstrząs, jakie wywołała katastrofa, pełne miłości przyjęcie z naszej strony i niezrównane wrażenie, jakie wywołała projekcja — to wszystko pomogło młodemu wodzowi Kiowów w osiągnięciu celu. Wróciwszy do mnie zameldował:

— Tangua, mój ojciec i wódz Kiowów, chciałby do ciebie przyjść, ale nie jest w stanie. Chce cię prosić o przebaczenie i pojednać się z tobą!

— Niech zostanie na miejscu! — odpowiedziałem pełen radości. Ja do niego pójde. Proszę, poprowadź mnie!

Przed moim odejściem poprosiłem naszych wodzów, aby pozostali na miejscu, słuchali tego, co zostanie powiedziane i byli mi gotowi w razie potrzeby odpowiedzieć. U stóp naszej ambony pojawił się w tym momencie Młody Orzeł najwyraźniej chcąc zadać mi jakieś pytanie. Nie dopuszczając go do głosu powiedziałem:

— Należy natychmiast zwrócić wodzom amulety. Ile czasu zajmie ci ich przywiezienie?

— Mam lecieć?

— Jeśli to możliwe, tak.

— Pół godziny.

— Dobrze. Będzie świtało, tak jak wczoraj. To właściwa pora. A więc leć szybko!

Kiedy doszedłem z Pidą do ambony naszych jeńców, zastałem u podnóża jego żonę wraz z jej siostrą. Weszliśmy na górę. Pida usiadł przy wodzach, ja pozostałem w pozycji stojącej. Pierwszy zabrał głos Tangua. Powiedział, że chętnie by się podniósł na powitanie, ale nie ma siły tego uczynić. Wpadłem mu w słowo i oświadczyłem, że jeśli mamy się prosić o przebaczenie, to z pewnością pierwszy uczynić to powinien biały, a nie Indianin. Nawiązałem do przeszłości i opowiedziałem o tym, jak blade twarze przybyły zza morza, aby pozbawić swych "czerwonych braci" wszystkich ich amuletów. Szedłem dalej tropem historii, w niczym nie przesadzając i niczego nie owijając w bawełnę. Mówiłem prawdę — nagą, bez retuszu, taką, jaką była. Mówiłem o błędach czerwonej rasy, o jej cnotach i cierpieniach, a przede wszystkim o jej obecnym braku perspektyw na przyszłość, który jest w głównej mierze winą białych. Biały człowiek doszedł jednak do głębszego zrozumienia. Chce, by jego czerwoni bracia pozostali przy życiu, by stali się ludem, jakim być mieli w pierwotnym zamiśle. Biały człowiek gotów jest uznać i naprawić wszystkie swoje błędy. Nade wszystko czuje się w obowiązku oczyścić swe serce i sumienie, prosząc o przebaczenie swych czerwonych braci.

Powiedziawszy to wszystko, zbliżyłem się do moich przeciwników i wyciągnąłem do nich na przeprosiny moje obie ręce. Przez kilka chwil panowała zupełna cisza, potem jednak i ich ręce wyciągnęły się w moim kierunku. Przedstawiciele wszystkich plemion uznawali swoje winy i również mnie, bladą twarz, prosili o przebaczenie.

— Przebaczymy sobie wzajemnie! Wy nam, a my wam! — zawołał stary Tangua. — A potem pomóżmy sobie! Nienawidziłem cię, ale odtąd będę cię kochał! A kiedy umrę, niech pokój zstąpi na mój grób! Czy jesteśmy jeszcze waszymi jeńcami?

— Nie — rozległ się głos Tatella-Saty, zanim jeszcze zdążyłem otworzyć usta.

— Uff! — zawołał Kiktahan Szonka. — Kto to powiedział?

— Strażnik wielkiej wiedzy medycznej.

— Gdzie on jest?

— Na drugiej ambonie.

— A więc jesteśmy na czymś w rodzaju Diabelskiej

Ambony?

— Tak. Podśluchiwałem was z północnej ambony nazywanej Uchem Boga. Z niej dobry człowiek słyszy, co mówią źli ludzie, i może się dzięki temu przed nimi obronić. Południowa ambona zwana jest Uchem Diabła. Z niej źli ludzie słyszą, co mówią dobrzy i zostają uratowani. Wódz Tangua pytał, czy jesteście nadal naszymi jeńcami. Niech pyta dalej!

Starzec nie dał sobie tego dwa razy powtarzać:

— Czy staniemy przy palu męczarni?

— Nie — odparł z drugiej ambony Tatella-Sata.

— Nie zabijecie nas więc?

— Nie.

— Zachowamy naszą broń i konie?

— Tak.

— Czy możemy tu pozostać i przyłączyć się do klanu?

— Tak.

— Czy zgadzają się na to wszyscy wasi wodzowie?

— Wszyscy, wszyscy... — rozległy się głosy wodzów siedzących z Tatella-Satą.

— A co z naszymi amuletami?

— Spójrz w niebo! Kogo widzisz?

Było już na tyle jasno, że inżynier wyłączył projektor, Winnetou zniknął z powierzchni wodospadu. Na tle nieba ukazał się za to Młody Orzeł, zniżył lot swej maszyny, okrążył trzykrotnie plac i wylądował u stóp ambony, na której się znajdowałem. Wszedł do nas na górę i powiedział:

— Old Shatterhand zwraca wam przeze mnie wasze amulety. Jesteście wolni!

Jak się rzucili, by zawiesić je sobie na piersiach! Cieszyli się głośno, a ich radość zataczała coraz szersze kręgi wśród zgromadzonego tłumu. Wśród coraz głośniejszego aplauzu Tatella-Sata zawołał:

— Jesteście naszymi przyjaciółmi! Jutro zawiązany zostanie nowy komitet, który zajmie się sprawami klanu Winnetou. Pojutrze wszyscy wyżsi i niżsi wodzowie udadzą się na Górę Grobów Królewskich, aby odnaleźć naszą zaginioną przeszłość. Howhg!

Ta wiadomość spotęgowała jeszcze powszechny entuzjazm. Młody Orzeł odleciał z powrotem do swojej wieży. Ja natomiast postanowiłem przejść się z Serduszką po całej dolinie, wśród wszystkich zgromadzonych tu grup. W końcu dotarliśmy aż do kantyny, gdzie ciągle jeszcze leżały starannie przykryte i pilnowane przez dwóch Komanczów ciała Entersów. Nie mieliśmy dotąd czasu się nimi zająć. Naszym obowiązkiem było teraz urządzić im godny, prawdziwie ludzki pogrzeb. Spełniając ostatnią wolę zmarłych sprawdziliśmy też imiona na ich gwiazdach Winnetou. Hariman wybrał na swego podopiecznego mnie, Zebulon — Serduszko. Tak więc ci, którzy niegdyś czyhali na nasze życie, na skutek wewnętrznej przemiany stali się naszymi opiekunami i oddali za nas swoje życie!

Posłowie

Na tym kończy się ów czwarty tom. Dopisując ostatnie słowa w Wielkanoc roku 1910 mam przed oczami niemiecką gazetę z 23 marca tegoż roku, którą przyniosła mi Serduszko i w której pod nagłówkiem "Pomnik Indian" można przeczytać:

Z Nowego Jorku donoszą, że wielki posąg Columbia stojący u wejścia do portu prawdopodobnie otrzyma wkrótce swego towarzysza. W porcie tej amerykańskiej metropolii stanąć ma potężny posąg upamiętniający na użytek przyszłych pokoleń czerwoną rasę, która w niedługim czasie zniknie pewnie z powierzchni ziemi. Pomysłodawcą tego przedsięwzięcia, które natychmiast znalazło poklask w całym kraju, jest Mr. Rodman Wanaker. Przychylnie odnosi się do idei nawet prezydent Taft. U wejścia do portu ma więc stanąć ogromny Indianin — symbol szacunku, jaki naród amerykański żywi względem szlachetnych cech pierwotnych mieszkańców kontynentu, mimo wszystkich wyrządzonych im niesprawiedliwości. Pomnik odzwierciedlać ma dług, jaki cały kraj zaciągnął względem wymierającej rasy "pierwszych Amerykanów" i przypomnieć przyszłym pokoleniom ich piękne rysy charakteru. Posąg będzie stał z wyciągniętymi rękami, w geście powitania pierwszych białych ludzi, którzy stanęli na amerykańskim wybrzeżu.

Prawda, że interesujące?

